

i nikogo nie wpuszczają. Powiedziałem więc wszystkim, żeby koniecznie na godzinę czwartą byli gotowi, żebyśmy mogli ruszyć jak najwcześniej, ponieważ ci szoferzy obiecali, że w nocy samochód zmontują. Jakieś było moje zdziwienie, a nawet przerażenie, kiedy po przyjeździe przed czwartą do tego warsztatu zobaczyłem, że samochód stoi sobie spokojnie, jak stał, na pieńkach, bez kół, motoru, a co najważniejsze - warsztat mechaniczny jest zamknięty i absolutnie nikogo nie ma. No oczywiście obydwaj z Bersonea zaczęliśmy się naradzać, co tu robić. Byliśmy o tyle nieprzezorni, że nawet nie wiedzieliśmy gdzie mieszka właściciel warsztatu. A myśmy zapłacili całą sumę z góry, ponieważ tego żądał, no a teraz od niego wżytko zależało. Byliśmy pewni, że przecież mając warsztat nie zwieje nam, bo jaki byłby dla niego interes nas oszukać. Mamy go tak czy owak w rękę, mając adres warsztatu. Byliśmy jednak w tej chwili zupełnie bezsilni i musieliśmy siedzieć i czekać. Nie mogliśmy nawet nigdzie odejść nie załatwić ponieważ w każdej chwili mógł ktoś przyjść. Ogarniało mnie przerażenie, ponieważ nie wiedziałem kiedy ktoś przyjdzie., ile czasu minie nim samochód zmontują i kiedy my ruszymy i czy zdążymy dojechać do Warszawy. Siedząc medytowałem wyglądając ciągle na ulicę. Rzeczywiście, około godziny siódmej czy ósmej rano zjawili się. Nawyrylałem im oczywiście, co się dało, że tak się nie robi, skoro zapowiadaliśmy, że wyjeżdżamy o świcie. tłumaczyli się, że coś im wypadło, ale byłem pewien, że ponieważ wzięli od nas sporą gotówkę to wieczorem sobie sporo popili, więc tak wczesnie nie mogli wstać i dlatego zjawili się dopiero o siódmej czy ósmej, więc prawie całe godziny później niż byli umówieni. Ale trzeba przyznać, że bardzo gorliwie już teraz zabrali się do zmontowania tego samochodu. Oczywiście, nie była to godzina, czy półtora, jak zapowiadali, ale trwało to znacznie dłużej i samochód był gotowy dopiero na 10-tą czy 11-tą, tuż przed samym połud-

nie. Myślny się tymczasem jeszcze pożywili, bo każdy miał jakieś zapasy. Ja tu kupiłam (udało się mi się dostać) cały bochenek ciasta (bo przecież myślałam, że w Warszawie brak jest wszystkiego). Wiozłam również jakieś masło osiekowe i jeszcze ser, czy coś innego co mi się udało w Lublinie zakupić. Zajęliśmy miejsca. Ja usiadłam z samego przodu, z Bersonem, ponieważ czuliśmy się gospodarzami tego całego transportu, i wreszcie ruszyliśmy z Lublina. Jechaliśmy szczęśliwie aż do Kurowa. Samochód był pełen. Wszyscy to byli ludzie przez nas dobrani. Przede wszystkim była cała rodzina Bersona, a więc jego żona, trzy córki, oraz stary Berson z żoną, którzy potem tragicznie zginęli. Chowali się później gdzieś w jakimś klasztorze w grójceku, lecz przyszli Niemcy i wyciągnęli ich stamtąd. Prawdopodobnie był jakiś donos, że się tam chowali, no i zamordowano ich. Natomiast młody Berson przeżył jakąś całą okupację. No, ale tymczasem jechaliśmy do Warszawy i jeszcze nie wiedzieliśmy, jaki to los nas spotka w okresie okupacji. Dojechaliśmy do Kurowa i minęliśmy jakiś posterunek. Gdy byliśmy już za nim, nagle szofer się zatrzymał i powiada, że musi nabrać wody. To zatrzymanie się musiało zwrócić uwagę Niemców na samochód, kto w nim jedzie i co się w środku dzieje. No i oczywiście od razu kilku Niemców podleciało i zaczęli wypytywać. Było kilka osób dobrze mówiących po niemiecku, więc tłumaczyli im że jesteśmy uciekinierzy z Warszawy i teraz do niej wracamy. Wszyscy byliśmy w strachu, czy Niemcy nas nie wysadzą. No ale tymczasem chodziło tylko o to, abyśmy jeszcze trzech, czy czterech ludzi, zabrali. No więc naturalnie zabraliśmy ich, pasażerowie wsiadli i Niemcy nas puścili. Jak tylko wyjechaliśmy z miasteczka to zaraz zwróciłam się do szofera i jego pomocnika który siedział obok i powiedziałam im, że jeżeli jeszcze raz zrobią coś podobnego, że przystaną w miasteczku, naradzając nas na to że nas Niemcy mogą zatrzymać, to my wtedy przy pierwszej okazji ich



obydwu wyrzucimy, a ja was doprowadzę autobus do Warszawy. To za nic jakos podziało, ponieważ jechaliśmy dalej szczyłicie. Nic nam się już nie udało i niczego nie bradowało, jechaliśmy tylko bardzo wolno. Kiedy zaczynał się robić zarok w samochodzie nie było żadnego światła, ponieważ go nie zamontowali. Wata była niedzieja, że uda nam się jeszcze przedostać przez rogatkę i na naszą stronę wsiły, bo oczywiście podjeżdżaliśmy do wiadowni i znikła na Pragę. Do rogatki dojechaliśmy szczyłicie. Ja jednak zobaczyliśmy całą masę furmanek, samochodów, woźów. Wszystkie się tu zgromadziło przed rogatkami, bo Niemcy już dalej nie puszczali. No i ku naszemu wielkiemu zaartwieciu, musieliśmy tu w samochodzie spędzić jeszcze całą noc, aż do rana. Na dworze było bardzo zimno. Na całej szczyłicie w samochodzie można było sobie siedzieć w ciepłe, ponieważ przaliliśmy się swoją cioplem, więc jako tako się przespaliśmy i z niecierpliwością czekaliśmy rana. Główna policyjna kończyła się bodaj o 6tej. Był to 22 października. Gdy tylko brząsk się rozpoczął Niemcy uruchomili rogatkę i cała ta kolumna ruszyła naprzód. Nie mogliśmy jechać przez most Poniatowskiego, ponieważ był on jeszcze uszkodzony, tak że musieliśmy okrążyć przez most Kierbedzia. Jechaliśmy przez Nowy Świat, nawalony jeszcze gruzami, ale jako tako oczyszczony, skręciliśmy w Aleję Jeruzolimską. Samochód, jak szofer powiedział, miał jechać na Poznańską, tam gdzie miał jakiś garaż. Ja jednak poprosiłem, żeby mnie na rogu Nowego Świata wysadzili. Wylądowałem, polegnalem się ze wszystkimi i poleciałem do domu. Wziąłem na siebie płaszcz żołnierski, gdzieś go dostałem - już nie pamiętam gdzie - chyba w Lublinie; narzuciłem go sobie na ramiona, w ręku niosłem koszyk i pędziłem przez plac Trzech Krzyży, rozglądając się na wszystkie strony. Inni jeszcze było mało, spotkalem po drodze chyba tylko jedną osobę. Siedziałem jednak patrolu niemieckiego, bo jak się później okazało, w Hotelu Sejmowym ułożona się polowa żandar-

maria niemiecka. Nie zaczepiano mnie jednak i nie zwracano na mnie żadnej uwagi. Przystąpiłam więc do bramy. Brama okazała się zamknięta, więc zaczęłam dzwonić. Otworzył mi dozorca, ucieleśnił się ogromnie, gdy mnie zobaczył, a ja go zapytałam "co, czy moi są w domu, czy zdrowi?". Odpowiedział "tak, wszyscy są zdrowi i żywi i czekają na pana na pana". Nie poszedłam wejść na frontowy, bo nie chciałam budzić ich ani alarmować, poszedłam od kuchni, bo wiedziałam że tam na pewno ktoś jest i mi otworzy. Otworzyła mi jakaś obca zupełnie dziewczyna no i spytała, czego ja chcę. Powiedziałam, że nie nie chcę, przyszedłam do domu. "Jak to do domu?" No powiedziałam - "tutaj mieszkałam, nazywałam się tak i tak", więc ona na to: "jak to się pani nazywa" i opuściła mnie. Odłożyłam tylko ten mój truszczyk, popędziłam dalej. Wykoczyła już do stołowego pokoju żona, więc się przywitałam, wykoczył syn, no i jeszcze wtedy mieszkał z nimi brat żony, dziewczyna, a żona. Mieszkał z moją guberniaczką zwaną "saloniem". Przywitałam się z nimi serdecznie, podałam zapasy, a mój biedny syn cieszył się wówczas bardzo, że zobaczył chleb, masło i ser. Wszyscy się ogromnie cieszyli, że będąc takie dobre i obfite śniadanie.

#### Okupacja i konspiracja

Kreszcie szczęśliwie znalazłam się w domu i tu się zaczął ten ciężki okres okupacji niemieckiej. Jak dotychczas przebieg wojny był dla nas niezgodny. Najważniejsza, że wszyscyśmy żyli. Żył i żona i syn i ja jakoś z tej wojny wróciłam i jakkolwiek byłam ranna, to jednak miałam nadzieję, że wszystko mi się wygoi, poprawi, no i jakoś przetrzamy te okropne czasy. Dom nie był zajęty. Były tylko powyższone szyby od bliskich wybuchów pocisków niemieckich, ale przecież szyby łatwo się dało wprawić, więc mieszkaliśmy dalej w tym samym mieszkaniu na Wiejskiej, na rzeciu Hotelu Sejmo-



wego, co było o tyle teraz niefortunne, że właśnie w tym hotelu ulokowała się żandarmeria niemiecka i trzeba było uważać, żeby nie zauważono nie podejrzanego przez okna frontowe naszego mieszkania. Jak już zaznaczyłem, mieszkał z nami szwagier Sławomir z żoną, no i poza tym była Julia, która zostawiła swoje mieszkanie na Nowogrodzkiej i przenieśli się tutaj do nas. Było to całkiem zrozumiałe, dlatego że chodziło przecież o to, żeby wszyscy byli razem, bo sobie musieli wzajemnie pomagać i jakoś ze sobą współżyć. Mieszkał jakiś czas i Mieczysław, ale on jakoś szybko wyprzedał się do Milanówka, ponieważ tam była jego żona, która też wędrowała podczas wojny i już powróciła. Jednocześnie się dowiedziałem, że powrócił przyjaciel i kolega po fachu szwagra mojego Mieczysława taki Wacek Szuszkiewicz, późniejszy mój wielki przyjaciel, który właśnie razem ze swoją rodziną uciekał woin samochodem. Powrócił on szczęśliwie tym samym woin samochodem, ale niestety wóz był w bardzo kiepskim stanie i musiał być remontowany, czym się oczywiście Szuszkiewicz gorliwie zajął. Dowiedziałem się po przyjeździe, że ten pan, który był w Tomaszowie, list żonie doręczył, więc samochód mój miał jechać przez Lublin do Tomaszowa, gdy tylko będzie wyremontowany. No jednakże nie było to potrzebne, ponieważ ja powróciłem, a samochód jeszcze był w prosku i remontował się w jakimś warsztacie na ulicy Szczęśliwickiej. Na razie życie w Warszawie układało się znośnie. Jako tako zaczęły się pojawiać na rynku różne produkty, "szangiowanne" ze wsi przez kobiety. Niemcy początkowo nie zwracali na to uwagi, potem dopiero zaczęli je prześladować. Dużo wtedy tracili, ponieważ te prowianty były przez Niemców odbierane, ale na innych produktach które udało się im przynieść dużo zarabiali, więc te straty sobie odbijali. Była wtedy taka śmieszna historia, opowiadana sobie z ust do ust w całej Warszawie, zresztą niejedną pewno taka była. A mianowicie, Niemcy wywiesili takie plakaty, że

handel produktami żywnościowymi grozi karą śmierci, no i pod takim plakatem najspokojniej sobie taka bobita siedzi i sprzedaje mięso, czy kiełbasę czy inne prowianty. Mimo to jednak z wyżywieniem początkowo były duże trudności, aczkolwiek dzięki temu prywatnemu handlowi jakoś można było Warszawa wyżywić. Poza tym mnie się udało zdobyć mleko. Było to bardzo trudne. Dowiedziałem się, że mleko przewożone jest do nas z Zaborówka, który w ostatnim roku parcelowalem, więc zaraz wróciłem się do tego jegomościa, który się sprzedają mleka zajął. Mleko przywożone było gdzieś na ulicę Bednarską, więc musiałem co dzień po nie po nie tam chodzić. Najważniejszą dla mnie obecnie problemą było jakieś ułokowanie i zabezpieczenie syna, dlatego że Niemcy od razu zlikwidowali wszystkie szkoły średnie i pozwolili jedynie na uruchomienie szkół zawodowych. Trzeba było chłopaka ułokować gdzieś w takiej szkole zawodowej. Udało się go umieścić początkowo w szkole stolarskiej, gdzieś na ulicy Kazimierzowskiej, dokąd codziennie musiał iść. No nie bardzo nam taka przyszłość chłopca odpowiadała, bo przecież nie chcieliśmy wychować go na stolarza. I dopiero potem przeniesło się go do innej szkoły, takiej szkoły technicznej, która się mieściła na Koszykowej w gmachu Architektury Politechniki warszawskiej. Dopiero po roku udało się go ułokować na tajnych kompletach, na które już chodził do końca okupacji. Drugą jeszcze ważną dla mnie sprawą, to była kwestia mojego zdrowia. Musiałem przede wszystkim pójść do jakiegoś lekarza, który by się zajął moją ręką. Nie chodziło już o postrzał w karku, bo ten się już możliwie goił i ku mojej radości dowiedziałem się, że był to bardzo szczęśliwy dla mnie postrzał, bo milimetra brakowało do nerwu sympatycznego, a gdyby on był kulą naruszony, to od razu bym nie był. Tymczasem to się wszystko dobrze goiło i wrastało, a opatrunki już mogłem zmieniać sam. Problem natomiast stanowiła sprawa ręki. Tu trzeba było znaleźć dobrego chirur-



ga. Dr Levittoux nie było i nie wiadomo było co się z nią stało. Jak się potem okazało znalazł się on w Starobieleku i tam zginął z rąk bolszewików, na równi z innymi, którzy tam byli. Jednym słowem latałem i szukałem jakiegoś chirurga i w końcu udało mi się takiego znaleźć. Był to lekarz mi nieznany, który po zbadaniu mojej ręki nie mógł jeszcze nic powiedzieć, ponieważ brakuwało zdjęć rentgenowskiego. W każdym razie powiedział, że tu można będzie pomóc masażami i że jakkolwiek ręka jest zwichnięta ze stawu, a właściwie stawu nie ma, ale masażami będzie można rękę rozruszać. No i dał mi taką masażystkę, która codziennie przychodziła i te masaże mi robiła. Nie było jednak poprawy i nie wiedziałem, co z tym fantem dalej robić, tak że musiałem czekać aż się w Warszawie zjawi jakiś dobry chirurg, który może tę moją rękę się zajmie. Bałem się, aby z nią nie było gorzej i że stędy nie będę mógł już nią ruszać. Musiałem przede wszystkim odpocząć, zobaczyć moich znajomych, a oni także przychodzili i mnie odwiedzali; stopniowo to życie jakos się układało. Nie było jeszcze slychać o żadnych arcystraszakach i łapaniach. Ku wielkiemu naszemu przerażeniu przed 17 listopada rano był dzwonek do drzwi. Przychodzi dwóch żandarów niemieckich, którzy wyznaczyli mi imienia i nazwiska, każąc się ubrać, bo mnie zabierają. Podniósł się tu straszny lament w domu, ale nic to naturalnie nie pomogło. Niemiec powiedział, że otrzymał taki rozkaz zabrania mnie. Na tu taką listę, zabierają nie tylko mnie, ale także dużo więcej ludzi, ale co i jak - to oni nic nie wiedzą, ponieważ są tutaj tylko wykonawcami. Byli to tylko żandarmi, a nie gestapo, więc jakos dość przyzwolnie się zachowywali. Jeden z nich po niemiecku zwrócił się nawet do żony, że jeżeli się chce czegoś o mnie dowiedzieć, to niech się dowie w Uniwersytecie, bo wszystkich tych ludzi mają tam dostarczyć. Tymczasem mnie wzięli i poprowadzili w aleje Ujazdowskie. Miałem ze sobą mały tłumaczek, do którego dała mi żona jedzenie. No naturalnie nie czułem się dobrze, ponieważ nie wiedzia-

żem czy mnie wywożą do obozu, czy co innego się ze mną stanie. Zaprowadzili mnie do gnachu podchorążówki w Alejach Ujazdowskich. Było tam już sporo ludzi. Dużo było bogatych Żydów, przemysłowców warszawskich, no i nadal nie wiadomo było, po co i dlaczego nas zbierają. Potem dopiero się wyjaśniło, że zbierali nas na podstawie sporządzonych poprzednio list zakładników przed 11 listopada, w obawie żeby nie było żadnej ruchawki z powodu rocznicy rozbicia Księstwa w 1918 roku. Dostę długo siedzieliśmy w gnachu podchorążówki, a następnie nas wyprowadzili do ciężarówek i pojechaliśmy na dworzec Główny. Tam znowu dosiadła jeszcze partia takich zatrzymanych i przewieziono nas do Uniwersytetu i tam ulokowano w takiej dość dużej sali. Ja miałem na wszelki wypadek koc, bo nie wiedziałem jeszcze co z nami będzie i czy nie trzeba będzie gdzieś nocować. W tej sali spotkałem trzech znajomych. Między innymi przyjaciela mojego brata, Piotra, adwokata Deaideckiego-Deaidowicza no i z nim sobie gadałem. Teraz dopiero się wyjaśniło, że tu chodzi o tych zakładników. Siedzieliśmy tam spokojnie, jakkolwiek po wszystkich było wiadom, że są zdezerwowani. Po pewnym czasie zjawił się jakiś major niemiecki z jakimś pisarzem i zaczęli wszystkich po kolei wywoływać i spisywać ich dane. Zobaczyłem, że tutaj ludzie się tłumaczyli, prosili żeby ich zwolnić, że są chorzy, że tasto itp. No jak na mnie przyszła kolej, to ja powiedziałem również, że mam złamaną rękę, więc ona nie może sobie dać rady, jest mi z tym bardzo ciężko i muszą mieć jakąkolwiek pomoc. On mnie tylko spytał, czy mam ją w gipsie, więc powiedziałem, że właśnie wczoraj gips został zdjęty. Buźnąłem, że pomyślałem, że im później zdjęte gips, tym łatwiej mnie może zwolnić. Po spisaniu wszystkich danych powiedział abyśmy dalej czekali. Minęła jakaś godzina i zjawił się znów jakiś żołnierz i z listy zaczął wywoływać ludzi, których mieli zwolnić. Między innymi wywołał również i mnie, mówiąc żebyś szedł do domu.



No oczywiście ucieszyłem się, pożegnałem się z tymi znajomymi, których tu spotkałem, a Desidecalanemu oddałem koc, o który prosił, ponieważ nie było wiadomo, czy ich dłużej potrzymano czy też od razu po 11-ym zwolnią. Byłem przemęczony i głodny. Po wyjściu z Uniwersytetu od razu złapałem przejeżdżającą dorożkę i pojechałem do domu. W domu się dowiedziałem, że już wielki ruch się zrobił, że żona chodziła tam już gdzieś do policji niemieckiej, a tam oświadczyli, że już jestem w Uniwersytecie i że to chodzi tylko o zakładników i jeżeli wszystko będzie spokojnie i w Warszawie nie będzie żadnych rozruchów, to albo 11-go wieczorem, albo najpóźniej 12-tego zwolnię mnie. Żona jednak dalej chodziła się starać o moje zwolnienie, i po powrocie do domu, ku swojej wielkiej radości oczywiście, dowiedziała się, że już wróciłem i że już nie absolutnie mi nie grozi. Ale chyba jeszcze tegoż dnia o 11-ej w dzień świąteczny z naprzeciwka obejrzeli cały nasz dom i większość mężczyzn w sile wieku pozabierali do siebie jako zakładników, bo bali się, żeby w wypadku jakiegoś wypadku nie strzelano z okien. Wszyscy inni zabrali również mojego szwagra, Siaska, który jednak już 12-tego rano zjawił się w domu i opowiadał nawet ze śmiechem, jak tam było w tej kwaterze, gdzie wszyscy sobie śmiali, a nawet Niemcy sami się śmiali z tej obawy jakiegóż rzekomej ruchawki. Nie wiadomo jednak co by to było z tymi zakładnikami gdyby rzeczywiście coś się stało i powstały jakiegokolwiek ekscyty na ulicach. Było zupełnie spokojnie, więc wszystkich zakładników wypuszczono i nie było już żadnych konsekwencji. Nie działało jeszcze wówczas w Warszawie gestapo i dlatego nie było jeszcze nowych porządków. Była tylko żandarmeria, która zresztą nie zaczęła nikogo i nie przeprowadzała rewizji ani żadnych aresztowań. Zdawało się, że tak już będzie zawsze. Niemcy potwierdzali urzędy miejskie, a więc magistraty i starostwa, i urządowanie było w nich jakie takie. Czynna była również poczta. Ciężko nato-

miast było z zapotrzebowaniem w żywność i rozwijał się szmugiel, o któryś już mówiłem. Nikt nie zwracał uwagi na żadne zakazy.

Gdzieś w tydzień, czy dwa, po moim przyjeździe do Łapanowy było rozklepione takie obwieszczenie niemieckie (ogłoszone również w Kurjerze Warszawskim i przez głośnieki uliczne), że wszystkie prywatne aparaty radiowe muszą być oddane do komisariatu policyjnego. Naturalnie byli tacy, którzy te aparaty zatrzymali, ja tego jednak nie zrobiłem, ponieważ nie uważałem za potrzebne w tej chwili narażać się Niemcom, a ponieważ zagranicę i tak trudno było złapać, więc trzeba było ten aparat oddać. Poza tym wyszło jeszcze inne zarządzenie, które nakazywało wszystkim oficerom, zarówno zawodowym jak i rezerwy, zgłosić się z samego rana w gmachu byłego Naczelnego Dowództwa na placu Saskim w celu zarejestrowania się. Długo zastanawialiśmy się, co robić, czy się zgłaszać czy nie, ale ponieważ ja podawałem się wszędzie, że jestem przecież oficerem rezerwy i że nie brałem udziału w walkach, po dłuższej naradzie z kolegami jednak postanowiliśmy się zgłosić. Przecież było i tak wiadomo kto jest oficerem ze stałych mieszkańców Warszawy, bo przecież sągody były nasze meldunki i wykazy. Uważałem się więc z kilkoma kolegami i poszliśmy do Dowództwa Garnizonu. Tam już były dość duże kolejki. Rejestracja ta odbywała się dość szybko. Podawało się nazwisko i stopień wojskowy. Od razu było widać, że dobrze się zrobiło zgłaszając się tam, ponieważ Niemcy te dane porównywali i sprawdzali z listami, które już mieli przygotowane. Tak że chowanie się pod tym względem i ukrywanie się nie miałooby żadnego sensu, bo gdyby mieli kogoś zabrać to i tak by zabrali na podstawie tych list, tym bardziej, że mieszkano się stale w tym samym mieszkaniu. Toteż, jak się okazało, rejestracja ta w żaden sposób nie odbiła się na naszym losie. Jak już wspomnieliśmy na razie nie było jeszcze prześladowań ze strony niemieckiej, wykapywano tyl-



ko szauglerów, czym głównie zajmował się Schusschutz, czyli straż kolejowa.

Chłopak nasz uczył się tymczasem w szkole stolarzkiej. Liczyliśmy na to, że jak będzie w szkole zapisany, to będzie miał jakąś legitymację, która będzie go chroniła przed Niemcami. To już był przecież duży chłopak, miał 14 lat, więc baliśmy się o niego i chcieliśmy go w możliwie jak najlepszy sposób zabezpieczyć. Ja czułem się coraz lepiej. I tak się żyło w Warszawie, aż przyszedł pierwszy szok. Któregoś późnego wieczora obudzili nas jakieś hałasy na ulicy i zobaczyliśmy, że tandarai ładują się do samochodów i gdzieś wyjeżdżają. Dopiero na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że była straszna masakra w Aninie. Wystrzelano ludzi z mieszkań i ponad sto osób, wyłącznie mężczyzn, zostało rozstrzelanych. Jak się okazało chodziło o to, że gdzieś w jakiejś knajpie w Warszawie była awantura. Awanturowali się tam jakiś żołnierz niemiecki, a tamtejsi Andrzej warszawscy zabili jednego z żołnierzy niemieckiego. Niczyjeju tu winy nie było, ponieważ nie był to zamach, ani wystąpienie przeciwko Niemcom. Ot, zwykła awantura. Niemcy jednak z tego wyciągnęli inne wnioski i uznali to za zamach przeciw sobie. W odwecie rozstrzelali stukilkudziesięciu niewinnych ludzi. To zrobiło na wszystkich jak najgorsze wrażenie. Była to pierwsza akcja terrorystyczna, początek tego prześladowania Polaków i prześladowania ludności warszawskiej. No ale człowiek musi się do wszystkiego przyzwyczaić. Przyzwyczailiśmy się do tego, że musieliśmy się zachowywać bardzo ostrożnie. Była godzina policyjna, więc nie można było chodzić po godzinie dziesiętej i , oczywiście, każdy złapany po tej godzinie musiał bardzo poważnie za to przekroczenie odpowiadać. Tak że unikało się chodzenia wieczorem. Trzeba było jednak jakoś żyć i trzeba było się zabierać do jakiejś roboty. Nasz ludzi pracowało w różnych urzędach. Pracycy pracownicy państwowi wrócili na

swoje stanowiska. Takich nie było tak wielu, a pozostali też musieli jakoś żyć, więc przede wszystkim zabrali się za handel. Handlowano się czym tylko się dało. Bardzo ożywiła się Żelazna Brama. Czynne były wszystkie prawie sklepy. Lubieli inni się wszelkiej pracy, jaka się tylko dała. Byli również tacy, którzy w tym okresie bardzo dobrze zarabiali. Byli to handlarze, którzy wzięli się za handel hurtowy i nawiązywali kontakty z Niemcami i przy ich pomocy zdobywali towary, które rezaprowadzali do odsiarców. Sanotne panie, takie jak wdowy po poległych, żony oficerów, którzy się znajdowali w obozach i takie które nie wiedziały jeszcze co się z ich mężami stało, a musiały przecież żyć, zajęte nie same lecz z dziećmi, zajęły się wyplekaniem ciast i tortów i sprzedawały je do sklepów. Zupełnie dobrze powodziło się wówczas, nielicznym zresztą, lekarzom. Ponieważ ludzie jeszcze chorują i muszą się leczyć. Ja nie mogłem się zająć żadną pracą ponieważ utrudniono mi było działanie z tą moją chorą ręką i nie bardzo wiedziałem czym się zająć i za co się zabrac. Parciełaję moja całkiem zamarta. Raz czy dwa pojechałem jeszcze do Saborówka. Było tam trochę chłopów, chcących płacić pieniądze, więc oczywiście je zainkasowałem i wypłaciłem właścicielowi, potrącając swój procent. Poza tym miałem jeszcze sporo pieniędzy. W 1939 roku jadąc na front udało mi się wyjąć z PKO moje oszczędności i zlikwidować rachunek czekowy, więc i gotówki było jeszcze sporo. Dalem ją na przechowanie szwagrowi, Mieczysławowi, a teraz od niego po trochu czepałem te pieniądze, więc możliwie jeszcze było z czego żyć. Ale już myślałem, że trzeba jednak coś robić. Nie mogłem być tylko z oszczędzającym pieniądze, ponieważ stale traciły one ogroenie na wartości, a w końcu by się wyczerpały i nie miałbym z czego żyć i utrzymać rodziny. Specjalnie się jednak nad tym nie zastanawiałem i nie martwiłem się tym, bo wiedziałem że i tak muszę się jakoś przygotować do tego okupacyjnego bytu. Przede wszystkim bałem się o własną skórę, bo przecież wiedziałem, że



już na jakiejś liście jesteś, skoro wzięto mnie już raz na zakładnika.

W tym czasie, w pierwszych dniach grudnia, Niemcy wydali zarządzenie, aby wszyscy oficerowie rezerwy i zawodowi, którzy brali czynny udział w walkach 39 r. bezwzględnie stawili się na Dworcu Gdańskim, ponieważ zostaną wywiezieni do obojgu. No z tymże, oczywiście, ci którzy się nie stawiają i nie wyjadą, nie będą dalej traktowani jako oficerowie, nie będą im przysługowały żadne przywileje, i grozić im będą za to poważne konsekwencje. Ryzyko pozostania w tym wypadku było dość duże. No ale człowiek musiał się nad tym namyślić. Porzucić tak dom i rodzinę i jechać aż do obojgu, czy też ryzykować i zostać. Ja właściwie byłem od razu z miejsca zdecydowany, że z domu się nie ruszę, ostatecznie kto musi wiedzieć o tym, czy ja brałem, czy nie brałem, udziału w ostatniej wojnie. Przecież mógłbym być ranny gdzieś w drodze, w trakcie ucieczki lub bombardowania, i mógłbym na takiego uciec. Toteż zdecydowałem, że na Dworcu Gdańskim się nie stawiam i nie mam zamiaru jechać do obojgu. Jak potem się okazało wyszło to na dobre, bo nic mi się nie stało i jakoś przebrnąłem okupację. Siedziałem w domu i opiekowałem się rodziną, a potem przecież brałem udział w pracach konspiracyjnych, no i tak samo w Powstaniu Warszawskim. Tymczasem gnębił mnie ogromny niepokój co robić. Wiele osób mówiło, że jednak powinno się jechać, ponieważ pozostanie w Warszawie jest bardzo ryzykowne i można życiem za to przypłacić. Zwrócił się do mnie jeden z kolegów, Oleś Korzuchowski, taki mój przyjaciel, pracownik urzędu ziemskiego, który był posłany do wojska i brał udział w kampanii wrześniowej, co radzę mu robić. Powiedziałem, że radzić tutaj nic nie mogę. Nie mogłem powiedzieć "zostań", bo a nuż spotkałaby go jakaś tragedia. Powiedzieć "jedź", a on tam będzie siedział nie wiadomo jak długo w tym obojgu i z kolei zostawi rodzinę - żonę i synka - bez opieki wtedy również może mieć do mnie pretensję. Powiedziałem więc, że tu każdy

musi decydować sam, na swoją odpowiedzialność. Mówił mi wtedy, że przecież był powołany w Zegrzu czy Jabłonie i stałe przyjeżdżał do domu, więc widziano go w mundurze. Mówię na to "no trudno, ja po swoim przybyciu ze Skierniewic, ze swoją odzianką, też rajcechałem konno do domu więc tak samo nie tylko cała kamienica, ale i ludzie z całej ulicy, widzieli mnie, a potem wróciłem ranny i też mnie widziano. Wszyscy mówili: O pan Kownacki wrócił ranny z wojny a jednak bezszkielec pozostaje. Nikomu jednak nic nie radzę, więc niech każdy robi po swojemu. Korzuchowski jeszcze się namiętnił i w rezultacie 14 grudnia jednak wyjechał do oflagu. Był cały czas w Marneu. Później tam się rozchorował i za granicą, podaję we Francji już po skończonej wojnie zmarł. Wyjechało na ogół bardzo mało ludzi. Tak jak potem zostało stwierdzone, jakieś tylko dwieście kilkadziesiąt osób z całej Warszawy. Później czasami słyszy się, czy nie będzie ze strony Niemców jakichś represji, czy nie będzie jakichś dochodzeń, czy nie będą wyszukiwać tych którzy zostali. No, ale jakże wszystko się dobrze skończyło i stopniowo przechodziło w zapomnienie.

Tymczasem zjawilo się już w Warszawie gestapo. Blokowało się w głąb Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego<sup>x)</sup> i wówczas zaczęły się różne łapanki, prześladowania i aresztowania, tak że człowiek był pod stałą obawą, żeby nic mu się nie stało. Bałem się nie tylko o siebie, ale o bliskich a przede wszystkim o syna. Chłopak był duży, a poza tym wiedzieliśmy również o aresztowaniu takich zupełnie młodych chłopców, nie mówiąc już o starszej młodzieży.

Tymczasem zbliżały się święta Bożego Narodzenia i tuż jakos przedtem lub tuż po, zjawił się u nas Jurek Luszkiewicz, mój serdeczny przyjaciel, doktor, którego poznałem bliżej w czasie mojej administracji majątkiem w Zębowie. Ostatnio był lekarzem powiatowym

<sup>x)</sup> Al. Brucha 25 (dziś: Ministerstwo Oświaty i Wychowania, al. L. Ar-  
zyl 25)



wyła w Kieświeżu. Uciekł on stamtąd, gdyż zarządcono go, że ma być - po zajęcia Kieświeża przez bolszewików - aresztowany, ponieważ właśnie takie wywołania w tym okresie na terenie okupacji sowieckiej były przeprowadzane. Masę tam było aresztowań, masowo wywołano ludzi na wschód i nie wiadomo było co się z nimi dalej działo. Tego rodzaju wiadomości dochodziły do nas i wcześniej, no ale nie bardzo w to wierzyliśmy, liczyliśmy, że dużo w tym przesady. Jednakże Jarek potwierdził to w stu procentach. Stwierdził on to, co i przedtem słyszeliśmy, że wywożą przede wszystkim całą inteligencję z miast i miasteczek, oraz bogatszych chłopów ze wsi. Wywożą ich gdzieś w zakrytych wagonach, no jak później dowiedzieliśmy się - straszne to była ta podróż. Wiele osób w tej drodze umierało, dlatego że nie dawano ani jeść, ani pić. Rozdzielano przy tym rodziny. Mężczyzn wywożono osobno, kobiety i dzieci - osobno. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że na terenie Rosji zostały utworzone dwa obozy, przede wszystkim dla oficerów polskich i żołnierzy. Obóz w Kozielsku, gdzieś niedaleko Smoleńska, no i obóz w Starobielsku, gdzieś na Ukrainie. Po pewnym czasie przyjechało do Warszawy dość dużo kobiet, które opowiadały, że były więzione w Kozielsku i mówiły, że jest tam około 15-tu tysięcy ludzi w ogóle, ale że bolszewicy zwalniają właśnie kobiety i żołnierzy, natomiast zatrzymują oficerów. Jak później się okazało oficerów w Kozielsku pozostało około 12 tysięcy. Po pewnym czasie, bliżej już świąt wielkanocnych 1940 roku, nadeszły od jeńców stamtąd listy, zarówno z Kozielaska jak i Starobielska. Dość dużo takich listów otrzymały rodziny oficerów, a między innymi żony moich kolegów. Taki list otrzymała Kaczyńska, od Viktora z Kozielaska, Zielińska - od swego męża Tola ze Starobielska, oraz żona doktora Levittoux. Napisali, że dzieje się im zupełnie dobrze, że siedzą w obozie, ale mają nadzieję, że ich niedługo zwolnią i powrócą do domu. Niestety, jednak tak się nie

stało. Ciężkie losy spotkały zarówno tych w Kozielecku, jak i Starobielisku. No ale o tym opowiem może później. W każdym razie z tego postępowania bolszewików w czasie ich okupacji nie wyglądało, że są to przyjaciele. Zachowali się przecież w stosunku do Polaków nitej wszelkiej krytyki, i jest to takie niezgodne z tym, co teraz twierdzi nasz obecny premier Jaroszewicz i co tak często powtarza o bolszewikach, że jest to taki "wypróbowany przyjaciel". Rzeczywiście postępowaniem w stosunku do Polaków, do ludności polskiej na terenach okupowanych dał się poznać naprawdę jako "przyjaciel".

U nas na szczęście było jeszcze jakos spokojnie. Zylisay zupełnie mogliście. Tymczasem gdzieś w lutym zjawila się u nas również żona Jurka Iuszkiewicza, z obydwoma córkami. Uciekla ona również z Miosziszta, z ogromnymi trudnościami przez Łożę i granicę sowiecko-nieziacką, utworzoną na terenie Polski. Przedostala się przez nią jakos w nocy, z wielkimi kłopotami, i w rezultacie dotarla do Warszawy. Chwilowo zamieszkali u nas, a potem przenieśli się do Wolożyna, gdzie Jurk był dyrektorem szpitala dla szalenie chorych. Potem, gdzieś koło samej Wielkanocy, zjawil się u nas także Piotr, mój brat, który także uciekl z Wilna i jakos się przedostal do Warszawy. Miał on zresztą wyjątkowego pecha, poniewaz wiedzial, że będąc redaktorem i działaczem prawicowym, nie utrzyma się, przy bolszewikach, no więc próbował od razu stamtąd uciec i przedostal się na teren litewski, do Kowna, gdzie kursowały jeszcze samoloty do Skandynawii. Dostal bilet na samolot z Kowna do Sztokholmu, czy Oslo, ale odlot miał być dopiero za kilka dni. Niestety, nic z tego nie wyszlo, poniewaz właśnie w tym czasie Niemcy uderzyli na Norwegię, i wszelkiego rodzaju loty w tamtym kierunku zostaly wstrzymane. Musial powrócić do Wilna i tam siedzial i czekal co dalej będzie. Pewnego dnia zadzwoniono do drzwi. On sam otworzył. W drzwiach stalo dwóch żołnierzy sowieckich, którzy spytali o Piotra Kownackiego. On spokojnie odpowiedzial, że go nie ma, że wczoraj



wieczorem wyjechał gdzieś na prowincję, w jakichś sprawach adwokackich. Oni powiedzieli wtedy "Zaj, zaj" i poszli. No, wtedy już nie czekał ani chwili, zebrał swoje manatki i zabrał się do Łańcuta. Tak samo z wielkimi trudnościami przedostał się przez granicę litewską i niemiecką i dalej do nas do Warszawy. Zatrzymał się u nas. Muszę przyznać, że Pietra trochę się bałem. Bałem się tego, że przecież on zaraz nawiąże liczne kontakty ze swoimi przyjaciółmi, adwokatami i dziennikarzami, i zacznie zaraz pracować w jakichś tajnych organizacjach. Może zostawia w domu jakieś swoje artykuły lub coś tego rodzaju, a gdy wrócosz do mieszkania Niemcy i znajdą taki artykuł, niekorzystny dla nich, oczywiście od razu bez pardonu zabiorą nas wszystkich. Ale na to nie było rady. Prosiłem go tylko, żeby był ostrożny i żeby absolutnie żadnych papierów u nas nie zostawiał, tym bardziej, że już wiedziałem o tym, że zaczął pisać artykuły do różnych tajnych gazetek. A w Warszawie było ich coraz więcej.

Ja tymczasem czułem się fizycznie lepiej. Ręka wspaniale zaczęła się goić po przebytej operacji. Operacja ta odbyła się 1 lutego 1940 roku w lecznicy św. Józefa na ulicy Hożej. Jeszcze w styczniu, gdy mieszkał u nas Jurek Kuszkiewicz a przychodziła do mnie masażystka, przyglądał się tej mojej kuracji i któregoś dnia, gdy wyszła, zwrócił się do mnie i powiedział: "Słuchaj Jędrzek, możliwe że tobie sprawa przyjemność kiedy taka młoda dziewczyna cię gładzi, ale to nie są masaży, które tobie coś pomogą; obawiam się że w rezultacie takiej kuracji stracisz rękę. Proszę zarzuć te masaży i poszukać dobrego lekarza - chirurga, który postawi ostateczną diagnozę i powie co dalej robić. Przecież z twoją ręką nie jest nic lepszego". Przyznałem mu rację, pośegnałem się z tą masażystką i zabraliśmy się z Jurkiem do szukania jakiegoś doktora. On istniał po swoich znajomych lekarzach, których było już sporo w Warszawie, i ja również dowiadywałem się gdzie tylko było można. No i rzeczywiście

dowiedziałem się u moich dobrych znajomych, państwa Borezyckich (on był lekarzem i dyrektorem szpitala Czerwonego Krzyża, a jednocześnie prezesem Czerwonego Krzyża w Warszawie), że w Warszawie jest teraz znany profesor, znakomity chirurg - ortopeda, z Poznania, doktor Kaszeja. Pracuje on w szpitalu Czerwonego Krzyża i na pewno mnie przyjmie. No więc bodajże następnego dnia poszedłem tam do szpitala. Ułatwiono mi przyjęcie przez doktora Kaszeję. Zbadał mnie i powiedział, że tu nie ma rady, że żadne masaży mi nie pomogą i że bezwzględnie musi być zrobiona operacja. Od razu się z nią umówiłem, co do tej operacji, przy której miał asystować doktor Pola który i przedtem mnie badał. Zamieszkałem sobie pokój w klinice św. Józefa, na ulicy Koźiej i tam wkrótce odbyła się operacja. Kaszeja zaznaczył, że nie wie jeszcze, czy pozostawi mi głóbką stawową, czy też będzie musiał ją obciążyć. No dopiero stwierdził podczas operacji, że musi zbadać w jakim stanie są pochewki stawowe. Operacja się odbyła 1 lutego. Trwała bardzo długo bo godziną i dwadzieścia minut. Ja jeszcze dwa tygodnie przeleżałem w tej lecznicy i potem powróciłem do domu, ale rękę miałem jeszcze na takim rusztowaniu, skrzepowana, i nie mogłem zupełnie nią ruszać. Dopiero po pewnym czasie Kaszeja zdjął mi gips i kazał rękę gimnastykować. Dał mi przy tym specjalnego masażystę, który miał mi rękę masować. Rzeczywiście był to masażysta pierwszorzędnny. Rozmasowywał mi rękę bardzo dobrze, jednakże nie udało jej do normalnego stanu doprowadzić, ponieważ nie można było usocować łopatkę i dlatego gdy ruszałem ręką - jednocześnie ruszała się łopatką. Tak już pozostało na zawsze. Dlatego do dziś mam ograniczone ruchy ręką. Doktor Kaszeja dość często mnie odwiedzał i opiekował się mną do samego końca. Ten sławny lekarz i jednocześnie nadzwyczaj miły człowiek tragicznie zginął w warszawskim getcie, gdy za pozwoleniem kresatą Niemców, był zaproszony do przeprowadzenia jakiejś operacji. W trakcie



operowania jakiegoś bogatego Żyda wpadli do mieszkania gestapowcy, zamordowali pacjenta i całą jego rodzinę, a jednocześnie zamordowali Kaszę i asystującego mu doktora Polaka, który zresztą był Żydem. Później Niemcy, gdy do nich się zwróciła żona Kaszy o wydania ciała, bardzo przepraszali i powiedzieli, że to tylko zaszła pomyłka. Niestety, już czytki nie można było naprawić i ten znakomity człowiek w ten sposób zginął.

Jeszcze poprzednio Niemcy utworzyli w Warszawie dzielnicę żydowską, tak zwane getto. Dzielnicza ta była potem otoczona wysokim murem i było do niej kilka tylko bram, gdzie stali wartownicy niemieccy, a Żydzi nie mogli stamtąd wychodzić. Początkowo chodzili po całej Warszawie no i handlowali, dostarczali różne towary do różnych sklepów, więc wtedy jeszcze ich jako tako prowadzono się i jako tako w tym getcie mogli egzystować. Był to zasadniczo cały rejon nalewkowski. Do tego rejonu Niemcy wyrzucali z pozostałych części Warszawy wszystkich Żydów. Natomiast stamtąd Polacy mogli się przedzierać do mieszkań opuszczonych w tym samym czasie przez Żydów. No oczywiście nie było tu żadnych przydziałów, więc można było dobrowolnie porozumieć się z Żydami mieszkającymi w dzielnicę polskiej i przeprowadzić z nimi w ten sposób załatwienie. Niemcy do tych spraw się nie wtręcali, tak że były one załatwiane dość łatwo i korzystnie dla obu stron. Poza tym Niemcy wyznaczali także dzielnicę niemiecką. Był to rejon Alej Ujazdowskich. Wchodziła do niej również i moja ulica. Tu Niemcy początkowo nie wyrzucali Polaków, lecz o ile jakiemuś Niemcowi spodobano się mieszkanie w tej dzielnicy lub przeprowadzał się skądś i chciał zamieszkać w Warszawie, wtedy musiał się porozumieć z tym Polakiem i zaproponować, aby mu to mieszkanie odstąpił. O ile właściciel się nie zgodził to Niemiec załatwiał to sobie przez władze. Przychodziła żandarmeria niemiecka i już bez pardonu wyrzucała rodzinę polską z tego mieszkania. Mogła się ona

wtedy urządzać, gdzie jej się pooba i to już Niemców nic nie obcho-  
dziło. Toteż zawczasu Polacy starali się z dzielnicy niemieckiej  
wyprowadzić i przenieść się do pozostałej części Warszawy. Żydzi nie  
otrzymywali żadnego nakazu, tylko przychodzili tandarai i wyrzucali  
ich wprost na bruk. Zacierali się i przenosili do dzielnicy żydows-  
kiej. W tym czasie zaczynało już szkalec w Warszawie gestapo. Urzą-  
dzali już różne "przyjemności", przede wszystkim Żydom spotykanym  
na ulicach Warszawy, poza gettem. W ogóle zaczęły się wtedy najroz-  
maitsze łapanki i coraz większe prześladowanie Polaków. Jednocześ-  
nie pojawiła się nielegalna prasa polska, tzw. "gazetki". Było ich  
początkowo bardzo mało. Najpierw bodaj zaczęł się ukazywać "Dzien-  
nik Informacyjny", wydawany przez późniejszą organizację wojskową,  
a poza tym różne stronnictwa polityczne zaczęły wydawać najrozma-  
itsze pisma, zarówno prawicowe jak i lewicowe. Gazetki te były w  
rzeczony sposób po całej Warszawie kolportowane, no i oczywiście, gdy  
ktoś dostał taką gazetkę do ręki dawał ją do czytania komuś ze swe-  
go otoczenia. Później puszczał ją w obieg, żeby jak najdalej się  
rozchodziła i jak najwięcej wiadomości podać temu biednemu zgnębio-  
nemu społeczeństwu. W tych gazetkach były dość dokładne informacje,  
pochodzące z nasłuchów radia zachodniego, głównie angielskiego, bo  
te można było jeszcze najłatwiej łapać przez te nasze niezbyt nad-  
wyzsajne aparaty. Ale w każdym razie informacji było dużo i były  
stosunkowo dokładne, a czytało się je z przyjemnością. Poza poli-  
tycznymi były jeszcze w gazetkach inne wiadomości z życia Warszawy.  
O tym, co się u nas działo i kto i kiedy był aresztowany. Wiado-  
mości te były przez wszystkich oczekiwane, więc gazetki miały ograni-  
cone powodzenie. Równocześnie zaczęły się tworzyć konspiracyjne ugru-  
powania - jakby oddziały. Tworzyły je różne ugrupowania i stronnict-  
wa polityczne, których początkowym i zasadniczym celem było wła-  
śnie wydawanie prasy o swoim kierunku politycznym. Następnie przy



tych grupach politycznych zaczęły powstawać sekcje wojskowe, których celem było przygotowanie kadry oficerskiej i żołnierskiej dla zorganizowania później większych oddziałów wojskowych. zasadniczą zaś organizacją konspiracyjną, wojskową, była organizacja stworzona przez oficerów szwadronów, których w Warszawie było dość dużo. Chodziło o to, aby stworzyć armię podziemną, zorganizowaną i przeszkoloną do walki z Niemcami. Organizacja ta nosiła różne nazwy, a między innymi Polscy Związek Powstańców (PZP), następnie Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a w końcu - ale to już dopiero w 1942 roku - nazwała się Armią Krajową (AK). Chodziło wtedy, aby stworzyć tu w kraju taką apolityczną armię, nie mającą już bezpośrednich wpływów politycznych, podległą Rządowi w Londynie i Generalisowi Sikorskiemu. Na czele tej organizacji stał początkowo generał Tokarzewski, a następnie Grot-Rowecki.

Wspomniałem poprzednio, że już na początku okupacji zaczęły się tworzyć najrozmaitsze organizacje prawicowe i lewicowe. Pojawiała się wtedy również organizacja komunistyczna (PKR). Była to bardzo mała organizacja o znikomym liczebnie członków, ponieważ w Polsce komunistów prawie nie było. Organizacja ta zaczęła się tworzyć sztucznie, przy pomocy oczywiście Związku Radzieckiego. Wszystkie te organizacje wydawały pisma podziemne, które bez względu na kierunek polityczny miały wielkie znaczenie. Bez względu na najwartościowszym był "Biuletyn Informacyjny" wydawany przez czynniki wojskowe, przy pomocy Delegatury Rządu londyńskiego. Tutaj były najdokładniejsze wiadomości ze świata: o stanie wojny, o zainicjowaniu na froncie, o tworzeniu się wojska polskiego na zachodzie, no i nasświetlano tu były polskie sprawy polityczne, co miało dla nas w kraju kolosalne znaczenie. Ja początkowo nie kwapiłem się do należenia do organizacji, przede wszystkim dlatego, że chciałem się jeszcze bardzo ście, tak przed operacją, jak i tuż po niej, ale zacząłem o

tym przeżył i coraz bardziej się zastanawiał, to jednak bez-  
względnie, jako oficer rezerwy, powinno wstąpić do organizacji,  
przede wszystkim do organizacji wojskowej. Nie lubiłam i nie intere-  
sowałam się nigdy polityką, nie miałam specjalnie wyrobionych jakichś  
poglądów politycznych. Najbardziej mi odpowiadały mi poglądy prawic-  
owe, ponieważ wiedziałam, że lewicowe prądy bezwzględnie weselej,  
czy później, zamierzają być do komunizmu i bolszewizmu, którego nie  
znosiłam, nie uznawałam go i bałam się, ponieważ wiedziałam, że ko-  
munizm to będzie klęska dla narodu, dla całego państwa i wszystkich  
jego obywateli. Nie tylko pod względem materialnym, ale i tak samo  
pod względem moralnym. Nie wspominałam nigdy Piaseckiego o Stanisławie  
Piaseckim, wielkim przyjacielu mojego brata, działaczu politycznym  
i jednocześnie wydawcy i redaktorze tygodnika warszawskiego "Prosto  
z miasta". Z nim nawiązało się kontakty po powrocie Piotra z  
Wilna, ponieważ ciągle tam z Piaseckim wysił, gdyż mieszkali bar-  
dzo blisko, bo na Krzyżackiej, przy samym placu 3 Krzyży. Ja też tam  
byłam na i któregoś dnia Piasecki w rozmowie ze mną zaproponował,  
czy nie chciałabym należeć do organizacji podziemnej. Wytknął mi,  
że byłaby to organizacja wyłącznie polityczna, prawicowa, która  
już wtedy zaczynała wydawać pod redakcją Piaseckiego pismo pod  
tytułem "Walka". Pismo mi się podobało, bo były w nim bardzo  
dobre artykuły. Było tam świetne nasświetlenie wszystkich spraw  
wojskowych i politycznych, no i znajdowały się dobre wiadomości, naj-  
częściej przedrukowywane z "Biuletynu Informacyjnego" otrzymany  
przez własny nasłuch. Pora była poinformował mnie Piasecki, że stop-  
niowo będą przy tej organizacji politycznej tworzyć oddział wojska,  
no i ja byłam wtedy do tego oddziału wojskowego należała. Tu miałam  
pewne zastrzeżenia, bo znówu powstał odrębny oddział wojska. Uwa-  
żałam, że powinno być jedno tylko wojsko, podległe jednemu tylko  
dowództwu, ponieważ te różne oddziały pod różnymi dowódcami nigdy  
do niczego nie doprowadzą, nigdy nie będą wtedy silnych, a zar-



była i jednolitych oddziałów, a zawsze będą takie, czy inna tarcia polityczna. Piasecki tłumaczył mi, że oni będą jedynie organizować te oddziały, a kiedy stworzy się armia pod dowództwem generała Sikorskiego - w kraju pod dowództwem Grotu-Roweckiego, ta organizacja wojskowa podporządkuje się całości. Wówczas wyrażałem chęć należania, ponieważ miałem przede wszystkim zaufanie do Piaseckiego, a bałem się, że będę wciągnięty, może nawet całkiem przypadkowo, do jakiejś innej organizacji, która by mi zupełnie nie odpowiadała.

W roku 1940 warunki życia stawały się coraz trudniejsze. Przydziały niemieckie były znikome, coraz trudniej było kupić coś z żywności. O ile chodzi o inne towary to łatwiej można było je dostać. Rozwijał się jednak handel prywatny. Kwitły warszawskie bazyry i życie bazarowe, a przede wszystkim mercelek, bazar Kółyckiego na Pradze, gdzie można było wszystko dostać. Chodzono tylko o to, żeby mieć pieniądze. A pieniądź można było jakoś zdobyć. Wielkość ludzi handlowała, a handlowano wszystkim. Byli tacy, którzy jako pośrednicy nie widząc nawet towaru, brali zadatki i przeprowadzali transakcje, prowadzono nawet sprzedane wagonowe. A ogólnie robiono jakies cudo i wielu ludzi na tym handlu się dorabiało. Samotne panie, jak ja wspominałam, zaczęły robić wypieki domowe, a więc różne pastetki, a przede wszystkim ciasta i torty, które stawiało się do różnych kawiarni, najczęściej w tym czasie kolosalne powodzenie. No przecież ludzie gościć musieli się, spotykać, widywać i omawiać różne swoje sprawy, osobiste prywatne, handlowe, czy też nawet konspiracyjne. A to najlepiej było robić właśnie w kawiarni. No a tu trzeba było się napić kawy i coś do kawy zjeść, najlepiej jakies ciasteczko. Tak nam dobrze prosperowały niektóre restauracje, a przede wszystkim nowe - zakładane przez aktorów. Była na przykład taka kawiarnia aktorów, gdzie podawano do stołu znané aktorki. To naturalnie do niej zwabiła publiczność. Później na Karłowickiej założyli kawiarni, 1935, była też restauracja "Femina" na Kapowiec-

kiej i dość dużo innych, gdzie ludzie spotykali się i spędzali sobie przyjemnie czas, omawiając swoje sprawy. Ogromną i bardzo ważną rolę zaopatrywania w żywność Warszawy odgrywał szmagiel, o czym już wspominałem. Mieszkańcy warszawscy mieli często stałych swoich dostawców, którzy przyjeżdżali raz na tydzień, przychodzili do mieszkania i przynosili różne towary. Moja sytuacja materialna w zasadzie nie przedstawiała się źle. Miałem zapasy gotówki, które potrafiłem jeszcze podjąć z PKO na początku wojny. Wiedziałem jednak, że nie na długo mi starczy zasobów, więc trzeba było zabrać się do jakiejś pracy zarobkowej. Oczywiście nie było mowy, żebya mógł iść na jakąś posadę, choć dużo było możliwości posad w administracji miejskiej, stojącej pod nadzorem niemieckim. O pracy na wsi też nie było już mowy a moja parcelacja zanarła całkowicie. Nie można było namówić chłopów do wpłacenia pieniędzy za ziemię, ponieważ nie bardzo mieli czym płacić. Niemcy wszystko co się dało ze wsi zabierali, a chłop - jak to zawsze - liczył, że może mu się uda za tę zakupioną ziemię, na której już siedział, nie nie zapłacić. W tych warunkach musiałem jednak szukać jakiegoś źródła zarobkowania. Skorzystałem więc z propozycji Piaseckiego, aby przystąpić do spółki i założenia kawiarni. Oczywiście skwapliwie z tego skorzystałem. No i zawiązała się taka duża spółka. Kierownikiem jej został Staś Piasecki. Kawiarnia została założona w wypalonym gmachu Filharmonii Warszawskiej, w części mniej zniszczonej, naprzeciwko "Adrii", na ulicy Moniuszki. Nie wiem jakim tam sposobem Piasecki zdobył ten lokal. Dostał niemieckie pozwolenie otwarcia tej kawiarni. Wyremontowało się ten lokal luksusowo, co bardzo dużo kosztowało. Wspólników, jak powiedziałem, było bardzo wielu, każdy wpłacił pewną sumę pieniędzy. Kawiarnia uroczyście została otwarta, no i istniała dłuższy czas. Niestety, nie była dobrze prowadzona. Dochód z niej był bardzo mały, a może nawet nie było go wcale. W każdym razie wspólnicy nic z tego nie mieli,



ponieważ wszystkie pieniądze, które wpływały, musiały iść na zakup produktów i utrzymanie kawiarni, a przede wszystkim trzeba było zapłacić tym, którzy tam pracowali. Kierownikiem był Piasecki. Pracowała tam jego żona Irena, pracowała Domidecka, i jeszcze parę pań, które podawały do stołu. Co wieczór były tam występy aktorów. Tu moim zdaniem Piasecki popełniał bardzo duży błąd, ponieważ chciał, aby w kawiarni nie było występów rozrywkowych, twierdząc, że to nie czas na takie zabawy. Były tylko poważne występy artystyczne. Oczywiście, żeby chodzić do kawiarni i słuchać wyłącznie muzyki poważnej nie było dużo amatorów. Ci ludzie przebywali raczej w domu. Natomiast w kawiarniach siedzieli przede wszystkim handlarze i ci, którzy chcieli się rozzerwać, oraz młodzież, która też nie chciała stale tylko słuchać muzyki poważnej. Kawiarnia ta więc nie miała wielkiego powodzenia i przeważnie były tam puchy, nie tak jak w innych. Nie pamiętam, ale chyba w jakiejś kawiarni na Nowym Świecie występował jakiś Murzyn, a w rzeczywistości Żyd pod nazwiskiem Georg Scott, wyśpiewując najgłośniejsze szlagiery. I tam przede wszystkim uczęszczała młodzież, pragnąca trochę wesołości i jakiegoś rozrywki, w tych przykrych czasach. Z tej kawiarni nie mogłem liczyć na jakieś zarobki. Spieraliśmy się z Piaseckim. Do pewnego jednak stopnia musiałem mu przyznać rację, ponieważ nie chciał robić w swoim lokalu jakiejś wesołej szopy, bo chciał prowadzić ją dla ludzi poważnych, ale w ten sposób nie miała ona powodzenia. Jednocześnie nie mogę powiedzieć, aby samo prowadzenie kawiarni pod względem kulinarnym też było dobre. Piasecka jakoś nie udało sobie z tym dać rady, i często goście narzekali. Właśnie i pod tym względem kawiarnia nie cieszyła się specjalnym powodzeniem. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy powstała ta nasza kawiarnia, zwana "Arkadią", mój szwagier, Mieczysław, zaproponował mi, abym razem z żoną przystąpił do spółki w prowadzeniu sklepu kożusowego. Mianowicie chodziło o to, że znajomy adwokat Mieczysława, Zórawski,

dostał południowy lokal sklepowy na Chmielnej ulicy pod numerem 24. Był to luksusowy lokal dawnego sklepu z konfekcją i ubraniami damskimi. Żydzi go odstępowali, a ponieważ adwokat Zórawski miał do czynienia z Żydami, którzy prowadził różne sprawy, nie wieś już na jakich warunkach - przejął go od nich. Prawdopodobnie obiecał im i gwarantował zabezpieczenie do momentu kiedy powrócą. W każdym razie on również przystąpił do tej spółki i otworzyliśmy ten sklep koni-sowy. Tutaj też wiele osób należało do spółki. Między innymi w sa-mej sprzedaży brała udział żona Mieczysława, Wanda, moja żona była też tam sprzedawczynią i wciągnęliśmy do tej spółki Hempłów. Włoży-ł tam również nieduży kapitał sakołowski. Punkt był bardzo dobry. Towaru było dużo, ponieważ wielu ludzi się wyprzedawało, i przyno-siło najrozmaitsze rzeczy, ale wyszły się przede wszystkim specjali-sowali w sukniach i ubraniach damskich. Na początku, żół gęsto-jeszcz nie było zaknięte, również Żydzi przynosili nam najrozma-itsze towary. Obroty były stosunkowo duże i zarabiali się na tym sporo, ponieważ brało się pewien procent od sprzedaży, no a nieraz podnosiliśmy cenę, co dawało większy zarobek, ponieważ wtedy procent wzrastał. Ja w tym sklepie również pracowałem i byłem jego kierow-nikiem administracyjnym. Mieliśmy tam także kącik filatelistyczny, w którym pracował mąż siostry Hempłowej, wraz z swoim bratem.

Stale ważna dla mnie była kwestia nauki syna. Początkowo, jak zaznaczyłem, pragnęliśmy go tylko zabezpieczyć, więc chodził do szkoły sokołowskiej. Nie miał jednak do tego zdolności ani zaintere-sowania, więc potem poszedł do szkoły technicznej, teoretycznej. Szkoła ta była jakby następem do takiej szkoły, jaką była przed wojną szkoła Havelberga i Kotwana. Mieściła się ona w gmachu Architektury Politechniki Warszawskiej. Chodził do tej szkoły chętnie i miał tam sympatycznych kolegów, ale dłużej tam nie mógł pozostać, ponieważ chodziło o to, aby otrzymał ogólne średnie



wykształcenie. I gdy tylko utworzyły się tzw. "komplety", polegające na tym, że nauczyciele wykładali tajnie małej grupce uczniów, w prywatnych mieszkaniach, zaczął chodzić na komplety. Była to grupa wyjątkowo sympatycznych chłopców. Między innymi był tam Farlikowski i inni ciekawi chłopcy. Komplety te zorganizowało grono nauczycielskie szkoły Ziem Mazowieckiej. Często komplety te odbywały się również w naszym mieszkaniu. Początkowo na ulicy Wiejskiej, a potem jak przenieśliśmy się na Nowogrodzką - to i tam, aż do Powstańca. Ważnym problemem była jeszcze sprawa jakiegoś zabezpieczenia dla nas w postaci jakiegoś legitymacji. Chodziło o to, że Niemcy nie tolerowali nikogo, kto gdzieś nie był zatrudniony. Więc musieliśmy gdzieś dostać taki dowód, ponieważ coraz częściej zdarzały się łapanki uliczne i musieliśmy się czymś na każdy krok legitymować. Mieczysław prowadził dalej to swoje biuro badawcze, przekształcone w spółkę, ponieważ połączyło się z innymi i występowało pod nazwą "Toro". Firma ta zupełnie możliwie prosperowała a ja zostałem włączony jako jej pracownik i dostałem stamtąd legitymację, że jestem w niej zatrudniony. Ponieważ byłem inżynierem, więc to zupełnie dobrze do siebie pasowało. W legitymacji było podane, że jestem kierownikiem działu handlowego i działu zaopatrzenia firmy w materiały budowlane. Więc pod tym względem mogłem być całkiem spokojny.

W tym czasie zdarzyła się śmieszna historia z moim samochodem. Wspominałem, że idąc w 1939 roku na front, zostawiłem firmie mojego szwagra swój samochód. Tym samochodem pojechał na wycieczkę jeden z jego pracowników, Maciek Szuszkiewicz. Po powrocie do Warszawy i zajęciu miasta przez Niemców, samochód zwrócił, ale był on w strasznym stanie więc trzeba go było remontować. Remontowany był w prywatnym warsztacie. No i któregoś dnia samochód ten został zabrany przez jakichś facetów, z opaskami folksdeutschowskimi na ręku, którzy wiele hałasowali i krzykali, mówiąc między sobą po

nieniecku. Zabrali go oczywiście, bez dokumentów, ponieważ dokumenty były naturalnie u mnie, a nie w warsztacie. Ja momentalnie przekradając zgłosiłem do policji, co zarejestrowano ale nie dawano mi wielkiej nadziei, że samochód odnajdzie się, tym bardziej, że w grę wchodził tu Niemcy. Któregoś dnia siedziałem z Jurkiem (nazwisko<sup>x)</sup> wiesz, gdy wpadł do nas Jan Bauerer i powiedział: "Słuchaj, twój samochód stoi na ulicy Rybniej". No więc pognałem we trzech i rzeczywiście poznałem mój samochód. Poznałem go momentalnie i posiałem Jasia do policjanta, a my z Jurkiem czatowaliśmy przy tym samochodzie. Po pewnym czasie wyszedł jakiś jegomość, siedział przy kierownicy i chciał odjechać, ale myśmy go zatrzymali, żeby poczekał, ponieważ zaraz nadejdzie policjant, no i wyjaśni się sprawę, gdyż samochód jest kradziony. Facet zaczął się rzuć, powiedział, że nie potrafi, że zaraz wyjdzie jego przedsiębiorca, a którego on pracuje, a samochód jest własnością garbarni w Nadolcu, własnością Niemców, więc nie może być kradziony. Za chwilę wyszedł jakiś facet, zaczął się także rzucać, ale w międzyczasie nadszedł policjant i wyjaśniło się o co chodzi. Białe dowody, że to jest mój samochód, ponieważ pokazałem posiadane dokumenty, ale on też miał jakies dokumenty, prawdopodobnie podróbione. Wskazałem od tego powiedziałem, jakie są narzędzia do tego samochodu, wskazałem gdzie są zapakowane, itd. Później jeszcze powiedziałem, że w kieszeni przy kierownicy, są takie dwa piezki - czarny i biały - takie moje maskotki. No i rzeczywiście policjant przy nich wyciągnął te piezki, no i z tych dowodów niezbicie wynikało, że samochód był mój. Tym bardziej, że był jeszcze jeden dowód, mianowicie maski były zniszczone, a kluczyki od nich znalazł ja. No więc nie ulegało już żadnej wątpliwości, że mam prawo do tego samochodu.

<sup>x)</sup> Pseudonim i nazwisko, pod którym występował po wojnie Jan Zych.



Policjant zabral nas do komisarjatu, a następnie, po porozumieniu z komendą główną na Danilowiczowskiej, pojechaliśmy jeszcze tam, no i tam samochód został zatrzymany. Oficer dyżurny powiedział, że jeszcze będzie przeprowadzone śledztwo i sprawa się wyjaśni. Po pewnym czasie sprawa się rzeczywiście wyjaśniła, że to był kupiony samochód skraaziony. Odbyło się spotkanie z Niemcami w komisariacie policji, i oni mi zaproponowali, że ten samochód ode mnie kupią. W międzyczasie oficer policji powiedział mi, żeby się już nie targować i samochód sprzedać, to przynajmniej będzie to załatwione polubownie, a w przeciwnym wypadku oni mi i tak ten samochód zabiorą i grosza nie dadzą. Oczywiście przynależała mi racja. No cóż tu wojować z takimi typami folksdeutscheami, którzy uważali się za Niemców, jakkolwiek świetnie mówili po polsku. No i sprzedałem wówczas ten samochód i otrzymałem od nich 6000 złotych, a wzajemnie oddałem im wszystkie dokumenty. Zaproponowali mi wówczas pójście z nimi na wódkę, aby oblać tę transakcję, ale ja naturalnie odabiłem. Natomiast gdy odeszli, to tego tajemnika, który przeprowadzał dochodzenie, zaprosiłem na wódkę i wypiliśmy sobie po parę kieliszków. I tak sprawa mojego samochodu się zakończyła.

Tymczasem do połowy 40 roku na wszystkich frontach niemieckich panował spokój. W ogóle nigdzie prawie żadnych działań wojennych, poza jakąś drobna strzelaniną na linii Maginota, nie było. Oczywiście dla nas było to bardzo smutne. Zależało nam przecież, żeby wojna jak najszybciej rozgorzała, bośmy wszyscy wierzyli w klęskę niemiecką, wierzyliśmy w zwycięstwo armii sojuszniczych, a tym samym uwolnienie Polski z niewoli niemieckiej. Tymczasem był spokój i na nic się nie zanosiło. Dopiero większy ruch, czyli ofensywa niemiecka, zaczęła się na wiosnę 1940 roku, gdy Niemcy zaatakowali Belgię i Francję, i w krótkim stosunkowo czasie zajęli te kraje. Potem zajęli jeszcze Danię i Holandię. Żaga polski na Francji

i utworzone na terenie Francji oddziały wojska polskiego szczęśliwie się ewakuowały do Anglii, gdzie dalej się formowały. Część jednak tych oddziałów, walcząca na południu Francji, musiała przekroczyć granicę szwajcarską i tam była internowana. No, niestety, dla nas nie było zrozumiałe, dlaczego Francuzi zupełnie nie chcieli się dźić. Armia francuska występowała niekiedy wrogo przeciwko walczącej na tym terenie oddziałom polskim, które z wielkim poświęceniem stawiały opór i w wielu wypadkach uły wroga. W każdym razie szczęśliwe było to, że te wszystkie oddziały uratowały się i ewakuowały do innych krajów. Cała ta sytuacja bardzo przygnębiająco działała na społeczeństwo. Ciężko to wszystko przeżywaliśmy, bo przecież chcieliśmy jak najrychlejszego zwycięstwa aliantów, a tymczasem zwycięzcy byli cały czas Niemcy. Jednocześnie na wschodzie za Bugiem działały się z tym czasie rzeczy zupełnie tragiczne. Bolszewicy po usadzeniu się na tych terenach polskich, które ostatecznie im Niemcy, zgodnie z zawartym między nimi układem (układem Ribbentrop-Połotow), zaczęli zaprowadzać swój ład i swoje porządki. Wpę przede wszystkim wywozili ludzi całymi rodzinami, kogo się gdzie dało - głównie inteligencję. Wywieźli całą masę ludzi tam gdzieś na Syberię. Niektórzy potem po powrocie opowiadali, co tam się działo i jakie tragiczne historie miały miejsce. Masę tych ludzi zgineło. Mało kto z nich powrócił do kraju, i zaraz potem bolszewicy przeprowadzili wybory-plebiscyt wśród miejscowej ludności, aby wypowiedziała się, czy chce należeć do Rosji, czy też powrócić do Polski. No, wiadomo jak to było przeprowadzane, wiecie już jak takie wybory czy plebiscyt wyglądał. Wszyscy musieli iść na nie, bo inaczej straszono ich wyłączeniem, torturami lub więzieniem. Rezultat był z góry przewidziany i jednocześnie wszyscy wypowiedzieli się za przynależnością do tak zwanego Związku Radzieckiego, czyli do tej Rosji sowieckiej. Ludzie, którzy w ten czy inny sposób wyrażali swoje niezadowolenie, oczy-



właście pakowani byli do najgroźniejszych więzień. Tak samo uciekinierzy, którzy właściwie przypadkowo znaleźli się na tym terenie i szukali jakiegoś schronienia po tantej stronie i ratunku przed Niemcami - gdy zostali złapani również poszli do więzień. O losie żołnierzy, którzy dostali się do niewoli jeszcze w 1939 roku, wtedy gdy Armia Czerwona wkroczyła na teren Polski - już wspominałem.

Pieniężko też się działo i w tej, tak zwanej Generalnej Gubernii, utworzonej jako namiastka państwa polskiego, będącego oczywiście pod całkowitym zarządkiem niemieckim, na czele którego stał Generalny Gubernator Hans Frank, ze swą siedzibą w Krakowie. W Warszawie był wielkorządca niemiecki w pałacu Blanka. W alei Szucha usadowiło się gestapo, a na ulicy Niejkiej, tuż naprzeciwko naszego mieszkania, w Hotelu Sejmowym siedziała banda tzw. polowa żandarmeria niemiecka, która właśnie wykonywała wszelkie egzekucje. Z naszych okien zawsze było widać, kiedy i jak ta żandarmeria jechała na przeprowadzenie jakiejś akcji lub wykonanie na miejscu egzekucji. Coraz częściej urządzano na ulicach Warszawy najrozmaitsze łapanki. Czasem okrążano niektóre dzielnice miasta i tam wylapywano przechodzących ludzi, pakowano ich do samochodów i wywożono bądź na roboty, bądź do obozów koncentracyjnych. Właśnie w tym czasie na terenie Generalnej Gubernii stworzono obozy koncentracyjne. Największy i "najstraszniejszy" powstał w Oświęcimiu. Potem była jeszcze taka Treblinka, niedaleko Lublina, i wiele innych, mniejszych. O niektórych nawet w tym okresie jeszcze nie wiedzieliśmy, a zostały one wykryte już po klęsce Niemców. Niemcy przeprowadzali również aresztowania w mieszkaniach. Mi z tego, mi z owego, okrążali pewną dzielnicę i wybierali stamtąd ludzi, przede wszystkim i prawie wyłącznie mężczyzn w wieku średnim, a czasem i starszym, o ile z tego lub innego względu wydali się im podejrzani. Między innymi w tym czasie otoczyli tak Kolonij Lubbeckiego i tam wzięli między

innymi mojego przyjaciela Mietka Pierzonalskiego, którego jednak wkrótce zwolnili, ponieważ się wylegitymował, że pracuje jako inżynier w chłodni warszawskiej, dla gospodarki niemieckiej. Zagarnęli również w Alejach Niepodległości mojego przyjaciela Jasia Bauerera. Miał on nieszczęście, że trafił do Oświęcimia, no ale po kilku miesiącach udało mu się stamtąd jakoś wyrwać. W jego sprawie przeprowadzała starania siostra i został on wypuszczony dzięki interwencji jakiejś jej dobrej znajomej, z czasów przedwojennych, a obecnie reichsdeutschki. Życie nasze stawało się więc z dnia na dzień coraz bardziej przykre. Człowiek wstawał rano, wychodził na miasto dla załatwienia różnych spraw i nigdy nie wiedział, czy do domu wróci. No ale trzeba było przecież zdobywać żywność. Najbardziej jednak człowiek się niepokoił wczesnie rano, gdy nasłuchując usłyszał czyjeś kroki. Podobnie było wieczorem, i w nocy, gdy się słyszało szuranie butów niemieckich na schodach, bo wtedy już się wiedziało, że po kogoś idą, a nie wiadomo było, czy nie po niego. Nie wiadomo również było, czy tylko po niego, czy jest to łapanka dla całej dzielnicy. Z łapanek ogólnych, zbiorowych, można było jeszcze jakoś się wykręcić lub uciec i gdzieś się schować, ale najgorzej było wtedy, gdy przychodzili indywidualnie, do poszczególnych osób, aby je zabrać. Przychodzili i wprost pytali o nazwisko, co oznaczało, że chodzi im o aresztowanie konkretnej osoby. Gdy przychodzili - było to niebezpieczne nie tylko dla starych mieszkańców, ale również dla osób przygodnych, które tu z tych czy innych powodów nocowały, lub nie chciały nocować we własnym domu, bo po prostu już się ukrywały. Przez cały okres okupacji obowiązywała przy tym godzina policyjna, więc wyjście z mieszkania w tym czasie było ryzykowne. W zależności od sytuacji Niemcy zalecali czas godziny policyjnej. Przeważnie jednak było to od godziny dziesiątej wieczór do szóstej rano. Bardzo przykra była taka specjalna metoda przeprowadzania



łapanek, na szczątkie trawająca stosunkowo krótko. Chodziło o to, że przed godziną policyjną patrol żandarów wcinował się w bramie trzymając przy sobie dozorcę. Każdego wchodzącego do domu legitymował i o ile się okazało, że dozorca go nie znał i nie figurował na liście lokatorów nie był zameldowany, to zazwyczaj go zabierano i przeważnie likwidowano w egzekucjach ulicznych. Mieszających w tym czasie poza swoim mieszkańcem było bardzo dużo. O ile dozorca znał takiego pana, to było wszystko w porządku; wtedy mówił, że czokolwiek tu nie mieszka ale tu jest jego ciotka, którą często odwiedza. Stędy w zależności od humoru danego patrola niemieckiego przepuszczano go, lub mimo wszystko zatrzymywano i pakowano na Pawiak, i wysłano względnie rozstrzeliwano. W związku z tym systemem był kiedyś kapitalny wypadek. Jedną z łączniczek przed samą prawie godziną policyjną spieszyła się bardzo i wpadła do domu, gdzie miała doręczyć jakąś korespondencję wojskową, z oddziałów konspiracyjnych, do skrzynki mieszczącej się w tym domu. Wpadła do bramy i trafiła na taki patrol niemiecki a zobaczywszy, co się dzieje, mając przy sobie dużo tej kompromitującej korespondencji nie zwracając uwagi na Niemców spytała dozorcę "Panie, niech pan prędko powie gdzie tutaj jest ustęp". Dozorca jej zaraz go pokazał, a Niemcy nie rozumiejąc, o co chodzi, spytali "Was? Was? ale ona już nie słuchając popędziła do ubikacji podwórzpnej. W tym czasie dozorca wyjaśnił Niemcom o co jej chodziło. Dziewczyna tam wpadła. Naturalnie nie miała tej koniecznej potrzeby, jaką symulowała, natomiast całą tę korespondencję, jaką miała przy sobie, schowała w ubikacji i spokojnie wyszła i skierowała się do bramy. Niemcy okazali w tym wypadku wielką galanterię i pytali jej jeszcze w bramie czy "alles ist ordnung". Kivnęła głową, uśmiechnęła się i powiedziała, że wszystko jest już w porządku. Wyszła na ulicę a nawet odżyła

szczęśliwie dobrnął jeszcze do domu. Takich szczęśliwych wypadków w podobnych sytuacjach było jednak bardzo mało i przekazałem ludzi trafiający na kontrolę w brassach kończyli bardzo smutno. Nasz dom jakoś na razie wszystkie te historie szczęśliwie omijały. Jednak była bardzo niespokojny o syna, bo przecież musiał on chodzić na komplety, które też były niebezpieczne, a poza tym bałem się o brata Piotra, ponieważ wiedziałem, że jest bardzo zaangażowany w konspiracji oraz że jest nieostrożny, jest ryzykanta, a poza tym chodził po znajomych i kawiarniach i wszędzie bardzo dużo gada. No ale tutaj też na razie wszystko było szczęśliwie. My prowadziliśmy życie bardzo towarzyskie. Odwiedzaliśmy starych znajomych, do nas ludzie też przychodzili, bo przecież trzeba było jakieś wzajemne stosunki utrzymywać, trzeba było jakoś spędzać czas. Jurek Łuszkiewicz już u nas nie siedział. Urządził się wtedy jako dyrektor szpitala zakaznego w Wołczynie, który sam tam zorganizował i założył, oczywiście na polecenie władz niemieckich, które kolosalnie bały się wszelkiego rodzaju epidemii. Było tam trochę cherych na tyfus, ale przy okazji ulokowani byli również ludzie najzdrowsi, gdy chodziło o ich konspiracyjne zabezpieczenie. Dość często jeździliśmy do Wołczyna odwiedzić Łuszkiewiczów. Chodziliśmy również często do Piaseckich. Tak samo utrzymywaliśmy bliskie stosunki ze znajomymi, między którymi sporo było wdów po oficerach zabitych w 39 roku, czy też samotnych kobiet - żon oficerów pozostających w obozach. Między innymi chodziliśmy też często do tej naszej kawiarni "Arkadii", na Moniuszki, ponieważ były występy aktorów, a poza tym spotykało się trochę znajomych, więc siedziało się i gadało. No a w dzień pracowałam oboje z żoną w tym sklepie komisowym. No a poza tym pracowała tu również Wanda, żona szewca Kieczyńskiego, który był zasadniczym udziałowcem, żona adwokata Żorawskiego i Hempłowie, a także Nacia Hempłowa, którą też wciągnęliśmy do spółki, jako



udziałowczynią. I tak jakoś życie nasze schodziło. Liczyliśmy na szybkie zakończenie wojny. Tylko Piasecki zawsze twierdził, że wojna będzie trwała co najmniej 4 czy 5 lat. No i rzeczywiście dobrze to przepowiedział.

Nie uniknęliśmy jednak nieszczęścia i my. Pierwszy cios uderzył nas na początku grudnia. Któregoś dnia o godzinie 7 rano usłyszeliśmy silne stukanie do drzwi. Z Piotrem umawialiśmy się tak, że dopóki nie porozumieją się między sobą - drzwi nie będziemy otwierali. Ale Piotr, który spał bliżej drzwi wejściowych w dużym moim gabinecie zerwał się i otworzył. Wtedy posłyszeliśmy wielki hałas. Wpadło dwóch Niemców, jeden gestapowiec w mundurze, drugi po cywilnemu. Spędzili nas troje do środkowego pokoju pytając, czy jeszcze ktoś jest w mieszkaniu. Powiedziałem, że jest syn w osobnym pokoju i że ma 14 lat, więc machnął ręką. Postawił nas w rząd. Rozmawiał z nami cywil, mówiący po polsku, natomiast drugi zwrócił się do mojej żony, pokazał brata palcem i spytał "Kame? name? Żona powiedziała Piotr Kownacki". Pokazał na mnie, powiedziała "Andrzej Kownacki". No i wtedy kazał się Piotrowi ubierać. Wtedy zapytałem, czy ja też mam się ubierać, więc popatrzył na mnie, machnął ręką i powiedział "nein". Spytał się, gdzie Piotr mieszka. wskazałem pokój. Wtedy zabrał nas wszystkich troje do tego pokoju i zaczęli robić rewizję. Rewizję, trzeba przyznać, robili bardzo powierzchownie. Stało tam moje biurko i tam Piotra rzeczy nie było; kazał je otworzyć, spytał, czyje to biurko. Powiedziałem, że moje, wtedy kazał je zamknąć i tylko przewracał półcieł Piotra, oglądał meble, ale powierzchownie. Innych pokoi nie residowane zupełnie, więc trzeba przyznać, że zachowywali się przyzwyczajenie; chodziło im zasadniczo tylko o Piotra. Jasne było, że przyszli tylko po niego, z odgórnego rozkazu i w tym momencie ja ich absolutnie nie obchodziłem. Prosiłem, aby można mi było dać jakąś paczkę, więc się zgodzili i żona

przyszykowała mi coś do zjedzenia. Piotr zabrał koc i trochę ciepłych rzeczy. Czego tam nie miał, to ja mu dałam. O ile pamiętam - dałam mu swoją jesionkę, ponieważ jego była bardzo zniszczona i podarta. Potem w tej podartej jesionce musiałem chodzić, ale to już naturalnie nie miało żadnego znaczenia, bo chodziło tylko o to, aby on miał jak najlepiej bo nie wiedząc było wcale, co jeszcze go czeka i co z nim będzie dalej. Jak potem się okazało krótki czas przetrzymali go w alicj Szuca w Gestapo bo tylko kilka godzin, a potem zawieźli na Pawiak. My oddechaliśmy na razie z ulgą, że to tylko tak się skończyło, że tylko Piotra wzięli a nie zabrali mnie i nie ruszyli syna, nie wchodził nawet do jego pokoju. Kiedy wyszli, a była to godzina 7-ma, wówczas powiedziałem żonie: "oni robili rewizję, ale zrobił ją i wy, bo nieświadomo, czy oni nie wrócą i czy po Piotrze jeszcze coś nie zostało". Zaczęłam więc przeglądać wszystkie kąty, wszystkie seble oglądać dokładnie, i pod pokrowcem na jednym z krzeseł znalazłam jakiś artykuł przez Piotra napisany i przygotowany do druku w którejś z konspiracyjnych gazetek. Gdyby wtedy taki artykuł znaleźli, Piotrowi byłoby gorzej po aresztowaniu, i nie wiadomo, czy nie zabraliby wówczas i mnie. No, ale tak jakoś szczęśliwie się stało, że tego nie znaleźli. Senowalec jednak ten artykuł, bo pomyślałam, że oddam go Piaseckiemu, ponieważ był to pewnie artykuł przygotowany dla jego gazety. Tego samego dnia poleciałem do Piaseckiego, powiedziałem, co i jak się stało i oddałam mu ten artykuł. Zawiadziłem też od razu żonę Piotra która także jakoś się w swoim czasie przedostała z Wilna, była już w Warszawie, i mieszkała i Casowskich, to jest u rodziców żony mojego młodszego brata Stasia, który był już teraz zagranicą i od którego oczywiście nie było żadnych wiadomości. Jak potem się wyjaśniło, z Rumunii - gdzie go wojna zastała - wydostał się przez Szwajcarię do Francji, a dalej do Anglii i wstąpił tam jako ochotnik do



lotnictwa angielskiego. Jakias cudeś zrobił się tam od razu kapitanem i działał jako oficer lotnictwa w zakresie radiotechniki lotniczej.

Ogromnie tym aresztowaniem przejęła się Zosia Piotrowa i z miejsca zaczęła czynić wszelkie starania. Wszędzie chodziła i starała się o jakąś pomoc dla niego. Pisała podania, chodziła do Gestapa i do Polaków, o poglądach przeniemieckich, dobrze przez Niemców widzianych, jak np do ks. Trzeciaka, w kościele św. Antoniego. Byłem razem z nią tam u niego. Wszyscy obiecywali coś zrobić, ale niestety nic nie zrobili i Piotr nadal siedział na Pawiaku. W każdym razie wiadomo było, że to o niego chodziło, ponieważ był aresztowany niemiecko. Nie wiadomo jednak jeszcze było o co go oskarżają, co mu dalej grozi, jakkolwiek nie absolutnie u niego nie znaleźli. Nie skończyło się jednak w naszym najbliższym otoczeniu na aresztowaniu Piotra, bo w kilka dni później, tak samo niemiecko i tak samo u siebie w domu na ulicy Książęcej, róg placu 3 Krzyży, został zaaresztowany Staś Miasecki. Było to o tyle gorzej, że znaleźli przy rewizji jakieś obciążające go dokumenty. Tak, że była obawa, że on się już nie wykręci. No i przez pewien czas nie wiedzieliśmy, ani gdzie jest Piotr, ani gdzie Staś. Dopiero po pewnym czasie otrzymałem z Pawiaka gryps pisany przez Piotra. Piotr jak to Piotr, zaraz wszystko widział w różowych kolorach i pisał, że świetnie mu się tam powodzi, że daje sobie radę i że widuje się z Miaseckim, bo obydwaj pracują w jakiejś bibliotece więziennej. No rzeczywiście wyglądało na to, że jakoś im się możliwe powodzi. Ten gryps przyniósł strażnik więzienny. Przyszedł oczywiście do mnie po cywilnemu. Powiedział mi, że na stosunki w więzieniu i nie przyznał się, że był strażnikiem, ale z grypsu to wynikało, bo między wierszami Piotr napisał, że to był strażnik więzienny. W wielu wypadkach i później przekonałem się, że wśród tych więziennych strażników było

dużo przyswoitych, porządnych, ludzi. No oczywiście, gdy został aresztowany Piasecki zapadła panika w jego organizacji, tym bardziej, że jeszcze kilka osób poza tym zostało również aresztowanych. Było to kilka osób, które już znałem z kontaktów w tej organizacji. Od razu wszelka nasza działalność organizacyjna została zawieszona. Resztą straciłem z nimi kontakt, ponieważ ci, których znałem przez Piaseckiego, zostali aresztowani i więc, że byli potem wywiezieni do Oświęcimia i tam wszyscy zginęli. Tymczasem Piotr i Piasecki przebywali na Pawiaku. Na tym jednak był nie koniec naszej tragedii. W jakimś czasie po aresztowaniu Piaseckiego gestapo zablokowało naszą kawiarnię "Arkadię". Tutaj już wygarnęli z miejsca wszystkich mężczyzn i częściowo kobiety, a mianowicie Piasecką i moją bratową Zosię, która akurat w tej kawiarni się znalazła i również wywieźli je na Pawiak. Tymczasem wszyscy potem do Oświęcimia, gdzie wszyscy zginęli. Między innymi, niestety, zginął również w ten sposób mój serdeczny przyjaciel, Kietek Mierzechalski, oraz Jerzy Jasińkowski, z którymi byłem w tej kawiarni właśnie umówiony i miałem się spotkać w godzinach wieczornych. Spóźniłem się tam, ponieważ odbywało się właśnie zebranie w naszym sklepie komunistycznym, no i tam zaczęły się jakieś awantury z adwokatem Łórawskim, tak że do półna tam niedzieliśmy i wyszliśmy stamtąd w stronę tuż przed godziną policyjną, więc już nie było szans, aby iść do "Arkadii", musieliśmy iść wprost do domu. Gdy przychodziliśmy do domu już był alarm. Wszyscy byli poruszeni i ucieszyli się, że zjawiliśmy się. Szczególnie ucieszyli się nasz całopak, bo właśnie zwołano z "Arkadii" śpietaczka, pani Krejczek, wpadła do naszego mieszkania i uprzedziła, że jest najtężej na kawiarni, żeby więc absolutnie tam nie chodzić. I tak byśmy nie poszli, bo jak zaznaczyłem była już godzina policyjna, która bezwzględnie obowiązywała, i uratowała mi życie, bo gdyby tam poszedł, to tak samo byłbym zatrzymany i wywieziony na



Pawlak, a potem do Oświęcimia, gdzie prawdopodobnie była zginęła, bo mało kto stamtąd do domu powracał. Tragiczna historia była z bratową. Niemcy w "Arkadii" ustawili wszystkich w rząd i segregowali, sprawdzając dokumenty, odstawiając jednych na jedną, a drugich na drugą stronę. Mężczyzn odstawiano wszystkich do zabrania, a kobiety segregowali do zwolnienia lub strącania. Zatrzymano wtedy Piasecką, Rutkowską, Demidecką-Demiłowiczową i Zosię Piotrową. Z Zosią podobno była taka historia, że ją początkowo odstawili do zwolnienia, ale ona jakoś cały czas nie lubiła przy sobie torebkę, co zwróciło uwagę jakiegoś gestapowca. wziął z jej rąk torebkę zaczął przeglądać i znalazł tam podanie, pisane przez nią o zwolnienie Piotra z Pawlaka. Wtedy Niemiec zapytał: "Co to, to są pani na Pawlaku?" "Tak, na Pawlaku", "No to pani się z nią zobaczy, niech pani przejdzie na naszą stronę". Później biedną Zosię wysłali również na Pawlak, a potem - podobnie jak Piasecką i Demidecką - do Ravensbrück no i tam uszaria.. Jeśli chodzi o Piasecką i Demidecką to powróciły po wojnie do Warszawy, i Demidecka wkrótce przedostała się przez zieloną granicę do Anglii. Przed wysłaniem do Ravensbrück zwolnili adwokatkę Rutkowską, natomiast obydwaj moi przyjaciele, Pietschalaki i Jeziorowski, zginęli w Oświęcimiu. Kawiarnię oczywiście Niemcy zabrali, opieczętowali i dłuższy czas stała ona nieczynna. Dopiero później jakiś folksdeutsch starał się o jej przydział. Dostał go i musieliśmy mu wszystko zdac, ponieważ klucze były u nas. Kawiarnia została przemianowana na "Watrę". Kupujący, trzeba przyznać, zapłacili nam odszkodowanie, ponieważ przejął wszystkie ruchomości, gdyż kawiarnię można było odebrać, ale urządzenia mieliśmy prawo zabrać i sprzedać. Szczególnie chodziło tu o szkło, porcelanę, noże, widelce, co miało dość dużą wartość.

Ja tymczasem zacząłem czynić jak największe starania o zwolnienie Piotra. Nie pisałem oczywiście żadnych podań. Z Piotrem byłem

w stałym kontakcie dzięki kierowniczce kuchni na Pawlaku. Na oddziale dla chorych była tam dietetyczka kuchnia, którą prowadziła taka pani Lepkowska, mieszkająca na ulicy Ukrag. Muszę podkreślić, że była to nadzwyczajna osoba, ponieważ przekazywała od siedzących na Pawlaku najrozmaitsze wiadomości, broniła się tylko przed noszeniem listów i grypsów, gdyż bała się, że gdyby znaleziono coś takiego przy rewizji - groziła jej kara śmierci. Mimo to mnie przynosiła listy od Piotra. Zorganizowała również spotkanie Piotra z żoną Zosią, przed jej wywiezieniem do Sawensbruck, o czym mi opowiadała, ponieważ prawie codziennie umieszczała tam do niej do mieszkania, gazie mieszkała z matką i synem, którego zaraz po powrocie wciągnęłam do organizacji i który był w Powstaniu w jednym z plutonów Armii Krajowej. Powstałam jeszcze raz, że była to nadzwyczajna osoba, której bardzo wiele nasą ludzi szanowało. Przede wszystkim ja byłem wdzięczny za te kontakty, które miałem za jej pośrednictwem z bratem. W każdym razie tyle dobrego uczyniła za osoba, że bezwzględnie później powinna była być nagrodzona przez polskie władze i społeczeństwo. Niestety, jednak to nie nastąpiło. Wiedząc, że cała jej rodzina zamieszkała po wojnie w Rudawie, ponieważ szczególnie jakoś ocalała. Często im potem odwiedzałem, a nawet byłem chrześniwym ojcem syna młodego Lepkowskiego.

Piotra udało mi się przetrzymać na Pawlaku 8 miesięcy. Chodziłem do adwokatów polskich i niemieckich. Był nawet jakiś adwokat ukraiński, który, oczywiście za grubo pieniądze, obiecywał, że go zwolni. Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość, że nie brali pieniędzy z góry, a chcieli za się im zapłaci dopiero po zwolnieniu. W każdym razie ci, do których ja się zwracałem. Trójkę to wszystko było ryzykowne, ponieważ jak się do nich zgłaszało, to zapisywali adres, a wiadomo, że byli w ścisłym kontakcie z gestapo. Byłem również i u adwokata niemieckiego. W tego Niemca jako sekretarka pracowała



nasza znajoma, znająca wspaniale język niemiecki. Jak ona się tam dostała, to nie mam pojęcia. Zaproponowała mi sama, żeby do tego adwokata poszedł, że to jest bardzo przyzwrotny człowiek, zresztą ona już mu mówiła, że jej dobry znajomy jest aresztowany, i on sam powiedział, że chciałby się czegoś w tej sprawie dowiedzieć. Niezłaskował on wtedy na placu 3 Krzyży, w takim nowym domu, obecnie już nie istniejącym, gdzie było kino "Napoleon". Miał ówczesne, luksemburskie mieszkanie. Opowiedziałem mu całą sprawę, a on zaznaczył, że musi się w tej sprawie porozumieć. Po pewnym czasie zostałem do niego wezwany, przez tę znajomą sekretarkę, powiedział, że tej sprawy się nie podejma, więc podszedł do tego uczciwie. Grosza mu wtedy nie zapłaciłem. Stwierdził, że sprawa jest beznadziejna i że gestapo Piotra nie zwolni. No oczywiście było to dla mnie bardzo przykre i smutne, ale nie na to powiedziałem nie mogłem. Jeszcze robiłem starania przez takiego pana Wiśniewskiego. Był to rzeczywiście nadzwyczajny pod tym względem człowiek. Był on przedstawicielem fabryki Wedla, no i z ramienia tej fabryki, ponieważ świetnie znał język niemiecki, był cały czas w kontakcie z gestapo, ponieważ oni zakupowali, czy odbierali całą produkcję słodyczy. W tej sprawie porozumiewał się z nimi i bywał w alei Szucha, znał wszystkich gestapowców. On właśnie również starał się u jakiegoś kapitana, czy majora, niemieckiego o zwolnienie Piotra. Przy okazji przynosił mi różne wiadomości o Piotrze. W każdym razie te starania dały najwięcej, bo dzięki nim udało się Piotra przetrzymać na Pasiaku aż 8 miesięcy. Był raz nawet taki wypadek, że już go wywozili, już siedział w samochodzie, i w ostatniej chwili przyszło polecenie z Szucha, żeby go zatrzymać, został wywołany i poszedł z powrotem do celi. No ale to trwało tylko 8 miesięcy, a po tym okresie został wywieziony do Oświęcimia, gdzie po roku zmarł. Zawiadomiono mnie o tym depeszą z Oświęcimia, to jest

z dowództwa obozu. Depesza była lakoniczna, zawiadamiająca, że brat mój Piotr Kownacki zmarł na zapalenie płuc. Jednocześnie pytane, czy życzę sobie, aby nadesłane zostały mi jego prochy. Ja sobie tych prochów nie życzylem, ponieważ nigdy nie wiedziałem, czy to byłyby prochy Piotra, czy też jakieś śmiecie zmieszane i nadesłane, z doliczeniem jakichś wyśokich kosztów przesyłki. Przez cały okres pobytu Piotra w Oświęcimiu korespondowałem z nim. Co miesiąc mniej więcej otrzymywałem od niego list, pisany po niemiecku, gdzie donosił, jak się czuje. Dopiero między wierszami wyczusowało się, że jest mu źle, ciężko. Między innymi napisał, że noga go przestała boleć, co znaczyło, że go bolała, a czy przestała to było wątpliwe. Ostatnie listy były pogodniejsze, bo pisał, że jest mu teraz lepiej, bo pracuje w kuchni przy obieraniu kartofli. No tak się jakoś wydawało, że przy tym obieraniu kartofli w tej kuchni wybrnie, bo przecież w takiej kuchni jest trochę cieplej i może trochę więcej lepszego jedzenia. Niestety, właśnie w końcu czerwca 1942 roku dostałem wiadomość o jego śmierci. Do Oświęcimia Piotr był wywieziony gdzieś w sierpniu czy wrześniu 41 r. Najgorsze było to, że do Oświęcimia nie można było wysyłać żadnych paczek. Pech chciał, że już po śmierci Piotra wyszło zarządzenie, że pozwolono już do Oświęcimia wysyłać paczki żywnościowe. Sądzę, że gdyby miał możliwość wysyłania tych paczek jeszcze za życia Piotra, to może by wytrzymał. Nie wiadomo jednak czy zmarł on naprawdę własną śmiercią, czy też był rozstrzelany przez Niemców, bo przecież egzekucje w obozie odbywały się stale. Jeżeli chodzi o Piaseckiego, to został on rozstrzelany na Palairach, już po wywiezieniu Piotra do Oświęcimia. Zosi Piotrowskiej wysyłali najgroźniejsze paczki, a przede wszystkim żywnościowe, Gąsowscy, a ja tylko do tego się przykładałem. Gąsowscy twierdzili, że ia się dobrze powodzi a także że mają pewne zobowiązania w stosunku do Zosi.



Potem dowiedziałem się od Piaseckiej, która po wojnie wróciła z Kawensbruck, że Zosia umarła już w ostatnich prawie miesiącach, bo tuż przed kapitulacją niemiecką i wywiezieniem kobiet do Szwecji. W ten sposób straciła prawie całą swoją rodzinę znajdującą się na terenie Polski. Zginęło bowiem braterstwo, a Stasiak znajdował się gdzieś tam na Zachodzie i absolutnie nie miał o nim nie wiadomości. Zostaliśmy tylko my - ja z żoną i synem i żyliśmy cały czas w niepokoju, bo w każdej chwili mogliśmy trafić do jakiejś łapanki, lub być zabrani z mieszkania, z jakiegokolwiek powodu, przy jakiegokolwiek obławie. Tak samo mógł nasz chłopak być zagarnięty na konspatach, które przecież były tajne i przez Niemców zakazane. Takie to ciężkie i smutne życie było wtedy u nas w Polsce. Trzymaliśmy się tylko tej nadzieją, że ta okupacja niemiecka wreszcie się skończy i Niemcy zostaną rozbici, a my wrócimy do tej dobrej, spokojnej, niepodległości, jak to było przed wojną. Ciężko było żyć w tych warunkach, ale trzeba było się jakoś przystosować do tego koszmarnego życia i tak urządzić, żeby przetrwać do końca i doczekać się klęski niemieckiej. Żeby żyć, trzeba było zarabkować. Zasoby swoje wyczerpywały się szybko. Kawiarnia została zlikwidowana i to tragiczniearesztą, dochodu żadnego, jak zaznaczyłem, nie przynosiła. Założyliśmy ten sklep kawiarniany. Dawał on jakieś takie dochody, ale i to nie trwało zbyt długo, dlatego że jeden ze współników - adwokat Żerawski - który ten lokal dał naszej spółce, żądał, żeby mu oddał sklep, gdyż potrzebował go dla innych celów. Postawił sprawę niezbyt przyjemnie, bo po prostu zażądał, abyśmy mu sklep oddali, a o ile się na to nie zgodzimy, to on zwróci się do Niemców w tej sprawie i wtedy będziemy musieli i tak go oddać. Naturalnie nie można było z nim walczyć, bo mogło to być ryzykowne dla nas wszystkich, tych którzy do tej spółki należeli i tam pracowali; więc postanowiliśmy sklep oddać. Zlikwidowaliśmy go więc,

wszystkie towary posprzedawaliśmy, rozliczyliśmy się z całą naszą klientelą. Oddaliśmy mu sklep, ponieważ baliśmy się, że rzeczywiście wróci się do Niemców. Pod koniec tej naszej spółki kozi-sowej należałem już do konspiracji, więc w sklepie odbywały się różne spotkania, przetrzymywałem tam różne papierki, więc oczywiście w tych warunkach skroczanie Niemców do sklepu byłoby bardzo niepożądane i ryzykowne.

Po oddaniu tego sklepu trzeba było się zastanowić, co robić dalej. Trzeba trafić, że jeden z moich kolegów, Jerzy Husald, kolega jeszcze z Ogniska ze Starej wsi, zaproponował mi, czy nie poprowadziłbym sprzedaży wódek, ponieważ on właśnie dostał koncesję z monopolu. Oczywiście się zgodziłem. Wynajęliśmy taki sklepik na bazarze na Nowym Świecie 22, o ile sobie przypomina. Bazar znajdował się w samym śródmieściu. Były tam wyłożone ławki dla sprzedawców. Porozumieliliśmy się ze sprzedawczynią pantofli. Zaproponowałem, czy nie zgodzi się ona, że przy tych pantoflach w tym samym sklepiku będziemy jednocześnie sprzedawać wódkę, którą otrzymamy od Husalda z przydziału monopolowego. Ona się na to zgodziła. Siadywałem w tym sklepiku na zmianę z żoną, a prawie stale była tu nasza współniczka od pantofli - pani Helena Zawadzka. Jakkolwiek była to typowa handlarka warszawska, taka z bazaru, ale była bardzo sympatyczna, solidna, miła i porządna dziewczyna. Miała ona jednocześnie wytwórnię tych pantofli, mieszczącą się niedaleko, także na Nowym Świecie pod 26, więc pomagałem jej także przy wyrobie tych pantofli. Nauczyłem się robić bambosze, robiłem również i inne pantofle. Wspólnie siadywaliśmy w tym sklepiku, a jednocześnie co miesiąc odbierałem przydział różnych wódek. Postarałem się także o przydział wódek nie tylko monopolowych, ale także z wytwórni Genellego, więc interes prosperował i powodziło się nam zupełnie możliwie. Mieliśmy zupełnie dobry dochód z tych wódek, jak i z tych

M  
4



pantofli. Trzeba było tylko dawać dość solidne łapówki, bo przede wszystkim przechodziła tu kontrola konopolowa i sprzedawała, skąd są te wódki, i po jakiej cenie je sprzedujemy. Trzeba było się dawać łapówkę w postaci litra i jakoś się z tego wyarzącić. Dużo gorzej były wizyty żandarów niemieckich, którzy się zaglądali tu dla jakiejś kontroli, ale głównie po to, aby wziąć litr lub dwa litry wódki. Te się jednak opłacało, ponieważ na wódrach zarabiano się bardzo dużo. Często hurtowo odsprzedawało się cały przydział do restauracji, a dużym zarobkiem to nawet przewyższającym 100%.

Niezależnie od tego musiałem pomyśleć o innej pracy, znacznie poważniejszej i potrzebniejszej, a mianowicie o pracy konspiracyjnej. Wiedziałem, że organizowały się najrozmaitsze oddziały wojskowe i organizacje polityczne. Te ostatnie interesowały mnie mało. Nie chciałem się już tu do żadnych politycznych organizacji angażować, natomiast musiałem i chciałem należeć do organizacji czysto wojskowej, bez specjalnego kierunku politycznego, będącej pod rozkazami dowództwa za granicą. Znalezienie odpowiedniego kontaktu nie było łatwe, bo przecież nie mogłem się zwrócić do pierwszego lepszego spotkanego znajomego, czy dawnego oficera, pytając: "Panie drogi, czy pan nie wie, jak tu nawiązać kontakt z organizacją konspiracyjną?" Też się przyśiadł mi z pomocą przypadek. A mianowicie spotkałem swojego dawnego kolegę, Antka Łozę, który nie kryjąc się, wprost z miejsca spytał, czy należę już do jakiejś organizacji, a jeżeli nie, to czytam może do niej wciągnąć. Miałem do niego całkowite zaufanie. To był bardzo przyzwyczajony człowiek, dobry oficer z naszego byłego 8 pułku, no więc umówiliśmy się z nim, że gdzieś się spotkamy i umówimy dokładnie całą sprawę. Powiedział mi, że jest w dowództwie Okręgu Warszawskiego w Wojskowej Służbie Obrony Powstania, a mnie wciągnie do obwodu Śródmieście tego Okręgu. Była to organizacja

czyste wojskowa - Związek Walki Zbrojnej czyli ZWZ, który uprzednio nazywał się Polski Związek Rewolucyjny czyli PZR. Ta wojskowa organizacja podlegała oczywiście Dowództwu Polakiemu na zachodzie. Na jej czele stał pułkownik Kowacki, o pseudonimie "Grot". Skrótnie zostałam zaprzyjśniony i przedstawiony pułkownikowi "Kedwanowi". Był to pułkownik zawodowy Edward Pfeiffer, dowódca obwodu Śródmieście Okręgu Warszawskiego. Z rancie/ta obwodu warszawskiego zostały mi powierzone oddziały wojskowej Służby Powstania, mieszczącej się na terenie tego obwodu. Cała organizacja ZWZ była potem przemianowana na Armię Krajową, w celu połączenia wszystkich organizacji wojskowych, których było wtedy na terenie Polski stosunkowo dużo. Chodziło o to, aby to była jedna armia, pod jednym dowództwem. Na czele stał dowódca, podległy naczelnyemu wodzowi, Generalowi Sikorskiemu. Wskazywałem głównie na Warszawę. Organizacyjnie cała Polska była podzielona na tak zwane obszary, które z kolei dzieliły się na okręgi. Nie interesował przede wszystkim okręg warszawski i o nim tylko b. d. wspominałem, ponieważ organizacji innych obszarów i okręgów prawie nie znam. Okręg warszawski obejmował zasadniczo tylko miasto stołeczne Warszawę oraz powiat. Okręg warszawski podzielony był na siedem obwodów a mianowicie: obwód I - Śródmieście, obwód II - Żoliborz, obwód III - Wola, obwód IV - Ochota, V - Mokotów, VI - Praga i VII - powiat warszawski. Obwód Śródmieście był ograniczony od wschodu Wisłą, placem Broni i terenami kolejowymi, Towarową i placem Zawiszy, a od południa ulicami Koszykową, Polną, placem Unii Lubelskiej, Magutką do Polwadowskiej, Nowoparkową do Wisły. Obwód Śródmieście był podzielony na 4 rejony: 2 i 4 na północ od Alei Jerozolimskich, rozdzielone od siebie Nowym Światem, placem Centralnym, placem Krasińskich i przez Nowe Miasto. Część północno-wschodnią stanowił I rejon, a zachodnią II, graniczący przez Aleje Jerozo-



liaskie z rejonem III sięgającym do ulicy Karzalkowskiej, poza którą znajdował się już rejon II. Przez poszczególne rejony i osady, wytypowane były na terenie całej Karzawy pewne obiekty, zajęte przez Białców, które na wypadek powstania miały być opanowane przez poszczególne oddziały powstańcze. Oczywiście w tym celu oddziały te musiały rozpracować te wszystkie obiekty. Poznając je, zbadać dokładnie, jakie siły nieprzyjacielskie je obsadzają, jak te poszczególne obiekty są położone i w jaki sposób mogą być najłatwiej opanowane. Przewidywane było, że obiekty trudniejsze do opanowania, to znaczy jakos specjalnie ufortyfikowane, umocnione, czy posiadające silniejszą obsadę nieprzyjacielską będą zdobywane przez oddziały I rzutu Armii Krajowej, natomiast obiekty łatwiejsze, słabiej ufortyfikowane i posiadające słabszą obsadę - przez oddziały pomocnicze tej samej wojskowej służby Obrony Powstania. Przewidywano się dalej, że po opanowaniu wszystkich obiektów w całej Karzawie oddziały wstąpią do zajęte już i opanowane obiekty obsadzić i zabezpieczyć, natomiast oddziały I rzutu zasadnicze oddziały Armii Krajowej miały to już być jakby oddziały frontowe wojska czynnego, a więc oddziały wstąpiłyby tu jakby służby wartowniczo, zabezpieczające opanowane obiekty uprzednio obsadzone przez nieprzyjaciela. Miały to być oddziały jakby porządkowo-policyjne. Jedynym słowem miało to być organizacja stworzona jakby na wzór porządkowego ruszenia, lub rosyjskich "opółceńców", do których mieli być wcieleni ludzie starsi, nie mogący służyć w pierwszej linii. Ten ostatni warunek był zupełnie nieistotny i niewykonalny. Zaplanowano tu bowiem, że werbunek - wobec zasad konspiracji - nie mógł być dokonywany z wyznaczeniem konkretnych zadań według wieku, kwalifikacji, czy szkolenia. Do tych czy innych oddziałów konspiracyjnych werbowano swych kolegów, osoby już do tych oddziałów należące i dlatego też w wojskowej służbie

Centrony Powstania była ogromna większość ludzi młodych, i to zarówno na stanowiskach oficerskich, jak i szeregowych. To samo było przyczyną przynależności ludzi do różnych organizacji, o różnych zabarwieniach politycznych, a mającym wręcz odmiennie przekonania, a zasadniczo ludzie ci mieli walczyć z wrogiem, być w wojsku i linie polityczne ich absolutnie nie interesowały. Wstępowali do tego lub innego oddziału, namówieni przez znajomych lub kolegów, którzy wiedzieli o zabarwieniu politycznym danego oddziału, lub nie wiedzieli wcale. Wiedzieli natomiast, że to jest oddział wojskowy, przygotowany do walki z nieprzyjacielem i do tego oddziału należeli tylko z tego względu. Z tym nastem wciągali dalej następnym. W każdym razie z całą stanowczością mogę stwierdzić, że przez cały okres okupacji w pracy konspiracyjnej w AK nigdy nie spotkałem się z jakąś agitacją polityczną i jakimś kierunkiem w tym czy innym kierunku politycznym. Armia Krajowa stanowiła, w moim przekonaniu, czysto wojskową organizację dążącą do walki z nieprzyjacielem o niepodległość Polski, a nie w interesie tej czy innej partii czy stronnictwa politycznego. Kofline, że gdzieś tam na samej górze, w Komendzie Głównej czy jakiegokolwiek władzach państwowych, na terenie kraju czy zagranicą, były walki polityczne i dążenia do stworzenia takiej czy innej armii dla poparcia swoich tez czy kierunków politycznych, ale w Armii Krajowej w oddziałach warszawskich nigdy żadnej agitacji w tym zakresie nie było. Na wszystkich zebraniach konspiracyjnych poszczególnych oddziałów było przeprowadzane wyłącznie szkolenie wojskowe. Zapoznanie się z bronią, krótką czy długą, - karabinem maszynowym. Wszystkim tym, co tylko można było na takim zebraniu konspiracyjnym żołnierzom przedstawić. Poza tym przedstawiano im sposoby opacowania poszczególnych obiektów i ich zabezpieczenia. Dla oddziałów drugiego rątu, czyli wojskowej służby Centrum Powstania, składających się rzekomo z ludzi starszych wiekiem, przewidziane były celekty i ćwiczenia do zdobycia, wydobycia oddziałów i walki i t. p.



łów mniej liczebnych, słabszych pod względem uzbrojenia. Było to jednak założenie czyste teoretyczne, gdyż mimo przeprowadzenia dokładnych wywiadów sytuacja w miasteczku ulegała gruntownej zmianie. Na przykład zwiększenie liczebności nieprzyjaciela, jego ufortyfikowanie, przez wybudowanie jakichś bunkrów itp. Często więc się zdarzało, że oddziałom wojskowej Służby Ochrony Powstania przyspadały do opanowania obiekty bardzo trudne, wymagające dużej siły, dobrze uzbrojonej grupy. Należało przede wszystkim prowadzić obserwacje terenu i sprawdzanie ewentualne zmiany, w opracowywaniu już sposobów walki dla wykonania zadania. Należało powiedzieć, że wszystkie obiekty przewidziane do opanowania przez wojskową Służbę Ochrony Powstania obwodu Śródmieście były bardzo dokładnie rozpracowane i poszczególne oddziały bojowe były do tego odpowiednio przeszkolone. Plan akcji powstańczej w Warszawie, w Śródmieściu, był szczególnie przygotowany i dokładnie uzgodniony z dowódcami poszczególnych rajonów obywatelskiej formacji. Szczegółowo podkreślić z całą stanowczością, że plan opanowania Warszawy, czyli plan samego powstania w całym mieście dla poszczególnych oddziałów był bardzo dokładnie rozpracowany, z wyznaczeniem każdego oddziału dla poszczególnych obiektów. Tak samo i sposób opanowania każdego obiektu był opracowany i przygotowany dokładnie. Były, jak zaznaczyłem, oddziały wyznaczone dla każdego obiektu, wyznaczone miejsca, kwatery wyzerkowania, z których oddziały powstańcze miały akcję rozpocząć no i sposób jej przeprowadzenia. Bardzo ważną rzeczą było to, że przewidywało się, że powstanie może wybuchnąć wieczorem, tak aby akcja była przeprowadzana w nocy, względnie o świcie - dla akcji na dzień. Wszelkie więc zmiany w tym zakresie, wyznaczenie godziny "X" nie na wieczór i nie na rano, ale w ciągu dnia, oczywiście mogło utrudnić całą akcję, a nawet spowodować jej niepowodzenie.

Największą trudnością w organizacji było oczywiście uzbrojenie oddziałów. Broni w ogóle było bardzo mało, a zdobycie jej było bardzo trudne. Oddziały otrzymywały broń ogólnie, to znaczy były w nią zaopatrywane przez oddziały gospodarcze Komendy Głównej. Zdobywano ją lub zakupywano, lub dostarczana była jakimiś kanałami z różnych źródeł, co wymagało dużych kapitałów i stwarzało ogromne trudności w okresie konspiracji. Zaopatrzenie w tym okresie AK w broń było więc bardzo trudne i oczywiście niedostateczne. Niezależnie od tego oddziały prowadziły zdobywanie broni na własną rękę, czy to w jakichś akcjach, czy wyczynach konspiracyjnych. Więc oczywiście każdy karabin, każdy rewolwer, zdobyty w taki lub inny sposób, był - jak to się mówi - na wagę złota. Oczywiście broń ta posiadana w bardzo niewielkiej ilości była składowana starannie w specjalnych magazynach i nikt z żołnierzy liniowych nie wiedział, gdzie się ona znajduje. Natomiast przy każdym oddziale były małe oddziałyki do uzbrojenia, zadaniem których było dostarczanie jakichś pojedynczych egzemplarzy na zebrania ćwiczebne danego oddziału, względnie dostarczenie jej a szarym na kwaterę wycokania, dla oddziału przed momentem wybuchu powstania. Warunki uzbrojenia nieco się poprawiły pod koniec okresu konspiracji. Wtedy jakoś łatwiej było zdobyć broń na Kresach i można było ją znacznie łatwiej kupić, ponieważ zaczęło się już w armii niemieckiej rozprężenie, szczególnie wtedy, gdy był już jej odwrót ze wschodu. Wtedy żołnierze, chcąc zaopatrzyć się w gotówkę (szczególnie дезертеры lub ci, którzy się odłączyli i szukali swoich oddziałów) bardzo chętnie tę broń sprzedawali, bo chcieli zdobyć gotówkę na dalszą wędrówkę. W każdym razie broni w AK było mało. Na ogół oddziały były w nią zaopatrzone w stopniu niedostatecznym i tak było aż do samego końca, nie tylko w okresie konspiracji, ale i w okresie Powstania. Niezależnie od oddziałów liniowych były w tej armii rów-



nieś różne oddziały pomocnicze. Włóc przede wszystkim wspomniane już oddziały uzbrojenia, których zasadniczym zadaniem było zdobywanie broni i dostarczenie jej z magazynów do oddziałów. Była również cała organizacja saperów, należąca do Armii Krajowej. Był to odrębny rodzaj broni tej armii. Następnie była WSK - Wojskowa Służba Kobiet, tak samo wchodząca w skład Armii Krajowej, oraz służby sanitarne, na czele których stali lekarze, powołani do jej organizacji. Nadzorowali oni opiekę nad rannymi w różnych akcjach żołnierzami AK. Służba zdrowia była bardzo dobrze zorganizowana.

Nie wspominał tutaj o oddziałach wywiadowczych, które były w dyspozycji Komendy Głównej AK, lub Obzarów, czy Obwodów, a także o oddziałach dywersyjnych wykonujących różne zadania w okresie okupacji. Szczególnie tu się odznaczały takie oddziały, jak "Zośka" i wydzielony z "Zośki" batalion "Parasol". Wykonały one najwięcej takich zadań w okresie konspiracji. Poza tym były oddziały łączności i oczywiście propaganda, której wydział był przy Komendzie Głównej. Niezależnie od Armii Krajowej w Polsce znajdowało się, jak już zaznaczałem, wiele oddziałów o zabarwieniu politycznym. Każde stronnictwo polityczne, szczególnie w okresie początkowym, chciało stworzyć swoje oddziały wojskowe prawdopodobnie w tym celu, aby przy tej pomocy zdobyć jakąś władzę i mieć oparcie w swoich posunięciach politycznych. Do takich organizacji, niezależnych początkowo od AK, przede wszystkim należały Bataliony Chłopskie, organizowane przede wszystkim na wsi, przez byłych żołnierzy lub byłych oficerów armii polskiej. Bataliony Chłopskie początkowo tylko nosiły taki niezależny charakter, ale później podporządkowały się Armii Krajowej. Istniały również wówczas oddziały narodowe, organizowane przez prawicę. Początkowo była to jedna organizacja, pod nazwą Narodowa Organizacja Wojskowa. Na jej czele stali przede wszystkim działacze polityczni Stronnictwa Narodowego. Później,

gdy była przeprowadzana w 43 roku akcja, dążąca do połączenia tych wszystkich oddziałów, wówczas ona rozdzieliła się na dwie grupy. Jedna grupa pod tą samą nazwą podporządkowała się Armii Krajowej, natomiast bardziej skrajni prawicowcy wyłonili zupełnie niezależną organizację, a mianowicie NSZ (Narodowe Siły Zbrojne), które nie chciały się podporządkować dowództwu Armii Krajowej. Jak oni rozpracowali i jak przygotowywali swoją akcję powstańczą trudno mi powiedzieć, ponieważ tego nie pamiętam i nie chciałaby na ten temat głosu zabierać. Z każdym razem stwierdzić kategorycznie musimy, że oddziały te zorganizowane były bardzo dobrze, dobrze finansowane były przez zwolenników kierunku prawicowego, demokratycznego, ludzi przeważnie samodzielnych, przez co łatwiej mogli zdobywać broń i lepiej szkolić, a nawet wyposażać swoich żołnierzy finansowo. Niezależnie od tego były jeszcze takie luźne grupy, które powstały wprost dlatego, że ludzie nie mogli jakoś nawiązać kontaktu z organizacją AKowską. Podporządkowały się one naszej organizacji dopiero podczas Powstania. Do takich między innymi należała organizacja "Miecz i Pług" i inne. Poza tym dość poważną organizacją była Gwardia Ludowa. Nie była to jednak organizacja zbyt liczna. Znajdowała się pod protektoratem komunistów - tj. PPR. Odmawiała się tym, że w mieście nie była zbyt liczna, ponieważ w sferach robotniczych w Polsce prawie nie było komunistów; znajdowała się raczej na wsi i składał się z elementu mało ciekawego: z oficerów, którzy liczyli, że zrobią tutaj łatwiej karierę niż w Armii Krajowej, lub jakiegokolwiek innej organizacji. Było tutaj dużo łatwiej o awans, bo sami siebie awansowali i dochodzili w ten sposób do bardzo wysokich stopni wojskowych. Niestety, Gwardia Ludowa w okresie okupacji sławiła się głównie tym, że nashedziła majątki i tam łądala różnym okupom, a nierzadko - rabowała. Gwardia Ludowa przemianowana została następnie na Armię Ludową. Były i inne organizacje,



ale bardzo nieliczne i nie miały specjalnego znaczenia jak np. KB (Korpus Bezpieczeństwa) i równoległe tak zwany PKB (Polski Korpus Bezpieczeństwa). Bardzo poważną i silną organizacją od samego początku była organizacja stworzona przez PPS. Bardzo szybko całkowicie podporządkowała się ona Armi Krajowej. Przez cały okres okupacji, do momentu wybuchu powstania, było prowadzone w poszczególnych oddziałach bardzo intensywne szkolenie. Jak już zaznaczałem, przeprowadzało się przygotowanie poszczególnych obiektów do opanowania szkolenia z bronią, szkolenia taktyczne itp. Takie szkolenia odbywały się w terenie, ale było to ryzykowne, ponieważ można było spaść. Niemcy mogli mieć donos, że gdzieś w lesie zbiera się co pewien czas jakiś oddział, i mogli więc na niego zrobić zasadzkę. Tym niemniej takie ćwiczenia jednak się odbywały, i to prawie we wszystkich oddziałach. Najczęściej jednak szkolenia prowadziło się w specjalnych kwaterach, udostępnionych przez ludzi dobrej woli. Zbierał się tam taki oddział, liczący maksymalnie 10-20 ludzi, gdzie omawiano się wszystkie sprawy i szkolono się. Jasne, że takie zebrania były bardzo niebezpieczne, bo gdyby w momencie takiego spotkania do mieszkania wkroczyli Niemcy, to oczywiście wszyscy byłibyśmy aresztowani, a następnie albo rozstrzelani, albo wysłani do Oświęcimia. Były to również bardzo ryzykowne dla właścicieli mieszkań, którzy je za taką kwaterę przeznaczali. No bo w jaki sposób można było takie zebranie wytłumaczyć? Robiło się najczęściej w ten sposób, że przy mniejszej ilości osób rozkładało się karty i udawało się grę w brydża, a przy większej - robiło się jakieś inne maskowanie. Niemcy jednak w takie rzeczy na ogół nie wierzyli i taka wpadka kończyła się zazwyczaj tragicznie. Ja, muszę przyznać, miałem pod tym względem kolosalne szczęście. Ile razy nawet podczas takich zebrań, w których brałem udział, przyszli Niemcy, to jakoś nie dochełdziło do żadnej tragicznej historii.

Zwyczaj tak jakoś się składało, że do mieszkania nie wkraczali i w ten sposób unikało się jakiegos poważniejszego zajęcia i nieszczęścia. Takich kwater na ogół było dużo. Były kwatery rozmaite, a więc kwatery stałe, przydzielone do tych lub innych oddziałów, urządzone w mieszkaniach znajomych, lub u rodziny. Tam zazwyczaj odbywały się tylko zebrania sztabowe i nieliczne zebrania oficerów. Jeżeli chodzi o zebrania szkoleniowe poszczególnych oddziałów, to wybierały one kwatery na ogół w swoim rejonie, lub czasem gdzieś indziej. Następny razem zbierano się w innym lokalu, aby jednego zbytnie nie obciążać. O ile chodzi o mnie, to najczęściej bywałem na zebraniach sztabowych na ul. Wawelskiej, pod numerem 67, u rodziny "Tomasza", czyli Witolda Gonajskiego, który był komendantem Obwodu Śródmieście mBOPu. Mieszkanie to należało do rodziny "Tomasza". Tam jakoś zawsze było cicho, spokojnie, i zebrania odbywały się bez jakichkolwiek przeszkód. Jakkolwiek spotykaliśmy się tam bardzo często, bo dwa czy trzy razy w tygodniu, to nie zdarzyło się nam żadne nieszczęście. Do takiej kwatery należał również lokal na ulicy Koźiej. No, ale tam był pewien wypadek i trzeba było tę kwatery zlikwidować. To też był punkt służący prawie wyłącznie do zebrań sztabowych, gdzie opracowywało się różne plany akcji powstalczych, które następnie przekazywało się do oddziałów. Tutaj mieliśmy dość groźny wypadek. Pewnego dnia na zebraniu, które odbywało się gdzieś w godzinach południowych, było nas sześciu czy siedmiu i omawialiśmy różne sprawy. W pewnym momencie usłyszeliśmy na schodach ciężkie kroki i po chwili rozległ się u drzwi frontowych dzwonek. Mieszkanie było o tyle wygodne, że były tam dwa wyjścia: oprócz wyjścia frontowego było i kuchenne. W razie czego można było tamtędy próbować ucieczki, ale to by prawdopodobnie nie dało żadnego rezultatu, ponieważ schody wychodziły na to samo podwórko, gdzie można było od razu wpaść na Niemców. No ale



w danym wypadku nie wysłaliśmy o tym i gdy rozległ się dzwonek, zlikwidowaliśmy szybko papierki, wysypaliśmy popielniczki i nastu-  
chiwaliśmy, co się dzieje na schodach. Posłyszeliśmy ten głos jak  
się okazało - miejscowego dozorca, który właśnie Niemcom tłumaczył  
po polsku, że "tu nikogo nie ma, bo widziałem, jak ci państwo, któ-  
rzy tu mieszkają, właśnie wyszli na ulicę". Potem słyszeliśmy głosy  
dwóch Niemców, którzy między sobą rozmawiali i dzwonek uparcie się  
powtarzał. Postanowiliśmy jednak, drzwi nie otwierać. Nie wiedzie-  
liśmy, kto to jest i o co im chodzi, czy jest to większa grupa, czy  
nie. Wstawiliśmy się po dwa stronach drzwi, aby w każdym razie  
przy wejściu ich do mieszkania jakoś się bronie i w ten sposób się  
uratować. Tymczasem pani domu powiedzieliśmy, aby się na wszelki  
wypadek przygotowała do ewentualnego szybkiego wyjścia. O tyle  
szczęśliwie się to wszystko skończyło, że po jakimś czasie, po  
dziesięciu, czy piętnastu minutach dobijania się do drzwi, Niemcy  
zrezygnowali i odeszli. Potem od dozorca, który był bardzo przyzwo-  
ity, dowiedzieliśmy się, że wiedząc, iż tu jesteśmy - powiedział  
Niemcom, że mieszkanie jest puste. Oni jednak początkowo nie wierz-  
li i postanowili dalej dzwonić. W końcu przekonali się, że dozorca  
ma rację. Nie chcieli wyważać drzwi, ponieważ prawdopodobnie przy-  
szli w jakiejś mniej ważnej sprawie. Jak potem się okazało, Niemcy  
już później do tego mieszkania nie przychodzili, nie dowiedzieliśmy  
się więc, o co im rzeczywiście chodziło. Prugi taki ciekawy wypadek  
miałem na zebraniu oddziału szkoleniowego na ulicy Alberta (obecnie  
Niecalej). Tam mieliśmy zebranie szkoleniowe na II piętrze w pod-  
wórku. Właściciel tego mieszkania, należący do tego oddziału, ja-  
koś od początku był niespokojny i co chwila patrzył przez okno.  
Zapytałem go, o co chodzi, czego się tak denerwuje i tak stale  
patrzy przez okno. Wtedy powiedział, że tu bardzo często przycho-  
dzą Niemcy w sprawach meldunkowych, ponieważ on prowadzi meldunki

tego domu. Był to duży dom o ile sobie przypominam, to nawet dwu-  
połówkowy i Niemcy często przychodzili dowiedzieć się, gdzie kto  
mieszka. Bał się, że w każdej chwili mogą tu przyjść Niemcy. Zdzi-  
wiłem się, że tego rodzaju mieszkanie zostało wybrane na zebranie.  
Było tam wtedy 10 czy 12 osób, z oddziałów wojskowych, z rejonu III  
czy IV. Nieodpowiedni wobec tego był ten lokal, bo nie można prze-  
ciś wybrać na zebranie dość dużego oddziału takiego lokalu,  
gdzie od razu z góry można było przewidzieć, że może być odwie-  
dzany przez Niemców. No ale siedzieliśmy dalej. Przeprowadzane by-  
ło badanie szkolenia opanowania jakiegoś obiektu, a ja przysłuchi-  
wałem się tylko, jak to było prowadzone. W pewnym momencie gospodarz,  
który cały prawie czas stał przy ogniu, zawołał: "Panowie, nie wiesz  
co dalej robić, dlatego że idzie tu do mnie dwóch Niemców i jakiś  
facet. Prawdopodobnie w sprawach mieszkaniowych i zaraz tu będą.  
Okazało się, że było tu drugie wyjście kuchenne więc poleciłem  
wszystkim wyjść na schody kuchenne i uważać, kto idzie. Wycekaliby,  
aż Niemcy wejdą do mieszkania - przejść przez podwórze i wyjść na  
ulicę. Kazałem wychodzić po kolei, a tym że ostatni przede mną  
miał wyjść dowódca tego oddziału. Powiedziałem, żeby na mnie poczekał  
na placu Saskim, ponieważ ja wyjdę ostatni. Jak wyjdę, kiedy  
wyjdę - trudno mi było przewidzieć, ale chciałem jeszcze z nim po-  
rozmawiać. Szybko sprzątnęliśmy jeszcze dużą ilość pozostałych nie-  
dopałków, a ponieważ było zadymione, ja dla zamaskowania tego zapa-  
liłem jeszcze papierosa i siedziałem spokojnie. Naczytałem wkrót-  
ce rozległ się dźwięk. Gospodarz poszedł otworzyć i wprowadził  
dwa Niemców mundurowych i jednego cywilnego, który dobrze mówił po  
polsku. Gospodarz prosił ich siadać. Popatrzyli, że tak zadymione,  
więc spytali "co tu taki dym", na co odpowiedziałem, że przecież  
ja tu palę, ten pan też pali, no i siedzieliśmy, bo siedzieliśmy już  
dość długo. Wtedy wrócili się do mnie, kto ja jestem, i po co tu



przyszodem. No więc powiedziałem, że mieszkam w dzielnicy nieszkieckiej, a słyszałem, że tu gdzieś jest wolne mieszkanie. Podano mi nazwisko tego pana, jako administratora tych domów. To nie jest dzielnica nieszkiecka, więc kończąc zamianę mieszkań, wówczas przestali zwracać na mnie uwagę i uaktewnili swoje sprawy seldunkowe - chodziło im o parę osób. Zorientowałem się, że najlepiej dla mnie będzie jak najprędzej wycofać się, więc połączyłem gospodarza i powiedziałem, że już idę, i że do niego jeszcze zadzwońmy, względnie zajdę, bo to mieszkanie, które on mi proponuje nie bardzo mi odpowiada. Jakos nie zwrócili w ogóle na moje uwagi i wyszedłem sobie spokojnie, wyjechałem ironowym, na podwórze i przeszedłem przez plac Saski. Przed Grobem spotkałem oficera, dowódcę tego oddziału, który przeprowadzał ćwiczenia i dowiedziawszy się, że wszystko układa się pomyślnie i skończyło się wszystko spokojnie.

Pewien przegrany wypadek zdarzył się kiedyś na ulicy Chałubińskiej. Właściciel niedzieliłszy też w kilka osób i opowiadał nam swoje sprawy konspiracyjne, wojskowe, gdy rozległa się na ulicy strzelanina. Trudno było cokolwiek zobaczyć przez okno, ponieważ było to IV piętro, wisiało się tylko samochody nieszkieckie stojące blisko domu i nie wiadomo było, co się dzieje. Rozległo się kilka krótkich strzałów, a potem wszystko ucichło. Trzeba było momentalnie likwidować to nasze zeczenie, ponieważ nie wiedzieliśmy, co się tam na ulicy stało. Właściciel mieszkania, jeden z oficerów któregoś z oddziałów, powiada, że to niestety nie ma kuchennego wyjścia. Trzeba tylko schodzić klatką schodową, wychodzącą do brzozy, no ale tam "uwaga! i idziecie na podwórze. Z podwórza jest stosunkowo niewygodni marać, który łatwo przebiec i wtedy wejście na podwórze domu już na ulicy Złotej. Tam znajdziecie się poza niebezpieczeństwem". Ponieważ byłem tu inspektorem na kontroli tego

zebrania sztabowego (nie pamiętam, czy WSPÓWskiego czy I-szego rzutu) znów wypadło mi wyjść ostatniemu, było ich czterech, czy pięciu, więc po kolei bardzo szybko wyszli. Przeszokalem pewien czas. Na ulicy było spokojnie, więc wyszedłem do bramy i tu spotkałem miejscowego dozorcę. Popatrzył na mnie podejrzliwie; poszedłem na podwórze, a on za mną i pyta "A pan co uszuka?" Ja powiedziałem "No ja bym chciał przejść przez ten mur". "Nie" - powiedział "ja nie pozwolę, bo tu mogą przyjecha Niemcy i mnie zabiją, że ja pozwalam komuś uciekać". "Ja nie uciekam, ale jestem tu służbowo, mam teściwy i potrzebuję wyjść" - "Nie, jak pan chce wychodzić, to niech pan wychodzi bramą". Szukałem się, wypodziałem bramą, bo nie wiedziałem, co się w tej chwili tam dzieje, a nie mogłem zostać, przy takim stanowisku tego dozorcę, bo a może rzeczywiście przyjadą Niemcy, a on na mnie wskaze jako na obcego, no i wtedy już się z tego nie wykręci. No więc niewiele się namyślając wyszedłem na ulicę i zaraz się zatrzymałem. Zobaczyłem taki obrazek: mniej więcej ukoszą w stronę Żelaznej stały dwa samochody osobowe niemieckie, a przy nich wartownik niemiecki z karabinem. Naprzeciwko zaś przy jakimś drewniaku stał cały rząd ludzi, twarzą do ściany, z podniesionymi do góry rękoma a przed nimi cała masa gestapowców i przy nich szeregi cicharów. Nie wiedziałem, co robić - odwrócić się i iść w przeciwną stronę to mogą zawołać i zatrzymać, wydam się wówczas podejrzany. Przeszło mi do głowy żeby iść spokojnie w ich kierunku, w stronę Żelaznej, gdzie stał cały tłum gapiów, którzy się przyglądali, co się dzieje. No tak już wtedy w Warszawie było, że jak coś się takiego działo, to momentalnie cała kupa gapiów, ryzykując niebezpieczeństwem, zbierała się i patrzyła, co się tu dzieje. No więc ja wolniutko, spokojnie, szedłem i jak już się znalazłem blisko i zobaczyłem, że Niemcy na mnie spoglądają, pokazałem rękę na siebie a potem zacząłem w stronę Żelaznej, dając do zrozumienia, że py-



tem, czy mogą być przejęte. Kinnelli głowami a ja sobie spokojnie przesiadłem i jakosi na mnie już dalej nie zwracali uwagi. Doszedłem tak do tego tłumu gapiów i zamieszkałem się z nim. Po chwili podszedł do mnie jeden z kolegów, który był na tym zeznaniu zadowolony, że i mnie się, jakos udało, choć powiedział, że bał się, już, czy Niemcy mnie nie zatrzymają. No ale skończyło się, wszystko szczęśliwie. Później okazało się, że to nie była lepanka o charakterze politycznym, ale po prostu wykopanie jakiejś ułiny amerykańskiej. Gestapo wpadło na trop i właśnie przeprowadzało rewizję, więc dlatego może nie zwrócili na mnie uwagi, ponieważ wyszedłem z innej klatki, no i siedłem sobie bez lęku spokojnie.

Jeszcze była taka dość śmieszna historia na ulicy Katolińskiej. Cieszyliński z sąsiedzi odziałem i tak samo cieszyliński nasze przygotowania do powstania. W pewnym momencie rozległ się dźwięk. Gospodarz poszedł otworzyć i po chwili wszedł z jakimś młodym człowiekiem, który powiedział "dzień dobry" i usiadł między nami. Dalej prowadziliśmy te nasze ćwiczenia. No ale jakos tak ten młody człowiek rozglądał się na wszystkie strony, jakoby trafił w niewłaściwe miejsce. Jemu także się przyglądałem. W końcu jeden z uczestników zebrania a może nawet doszedł tego odziału, pochyla się do mnie i mówi: "proszę pana czy tego pana nie znamy, nie wiemy co on za jeden, skąd on się tu wziął". Ja też zwróciłem uwagę, że zachowywał się dziwnie. Ja jednak nie znałem tych ludzi, choć się nimi opiekowałem, bo przecież wszystkich nas nie mogłem znać i nie wiedziałem, czy to jest ktoś obcy. W pewnym momencie zwróciłem się wprost do niego "Pan jakos tak dziwnie tu się rozgląda, czy pan może niewłaściwie trafił?" On odpowiada: "Tak, ja właśnie się dziwię, wasz także takie zebranie jak panowie, ale widzę że nikogo tu nie znam". "A gdzie pan ma to zebranie? Na tej klatce schodowej?" "Tak na tej samej klatce schodowej, pod numerem takim to a takim". Tu

gospodarz się uśmiechnął, i powiada "To pan pomylił się, o jedno piętro". To jest mieszkanie piętro wyżej, więc bardzo pana przepraszamy". Wzrostem odpowiedział: "Ja też bardzo państwu przepraszam, że tak nieszczęśliwie trafiłem". No i rzeczywiście on poszedł, a gospodarz sprawdził, dokąd się udał. Był jednak trochę, nieustraszony i bał się, czy nie będzie jakichś przykrości. Rozmawiałem, że czy nie notesy jeden w 3000 ufać temu jego naciąganiu, że przecież mógł to być posłanie z jego strony. Stał się, że on tu jest cały i teraz sobie wyjął, świadomie gesty on landarmerij, że tu się odbywa zebranie. Wobec tego polskość nasycenia momentalnie się rozchodziła. Widział się rozszedł, że jak zwykle wyrażeniami ostatni, ale na schodach i na podwórku było jak najspokojniej spokojnie i nie było żadnego konsekwencji z wizyty tego słodkiego ciociarka na naszym zebraniu. Wzrostem do przekonania, że to było przejawienie onajaka z jego strony i że śpieszył się na zebranie piętro wyżej. W każdym razie uważałem, że to kwestia, że spalił i tak już żadnych naszych zabawań nie było. Poczekał takie historie czy się u nas minowały. Wtedy jeszcze opowiedział o jednej takiej tajemniczej sytuacji. Była to sprawa z jakimś oficerem, z którymi zapowiedziana. Był to oficer z Komandy Czerwonej i mówił na temat konspiracyjnego, jak należało się w konspiracji zachowywać i tak dalej. I rzeczywiście przyszedł jeden pan, którego ja bardzo dobrze znałem i który więcej jak gościa, nam opowiadał, jak to należało się zachowywać w konspiracji, żeby nie być rozpoznany itd. Kiedy on skończył, wówczas ja zarósłem się, że niego i powiedziałem: "Przepraszam pana, dziękujemy panu za ten ciekawy referat, jaki pan tu wygłosił, tylko mi się wydaje, że pan nie powinien tego rodzaju referatów wygłaszać i udzielać się na takich zebraniach". Wtedy on zszedłszy pytał: "Dlaczego proszę pana?" "Prosta rzecz" - mówił - "proszę pana, jeżeli ktokolwiek istniecznie się nauczy, to przecież pan z widzenia zna bardzo dobrze". No i rzeczywiście, był to Ciomowicz, Aleksan-



der Olechowiez, z rodziny redaktorów "Kariery Wieczornej", opiekujący się tym sławnym tenisistą Ignacym Tłoczyńskim. Zawsze przy każdej meczu krajowym czy zagranicznym, bywał na kortach warszawskich i wszyscy go widywali, więc trudno było mu się ukryć, aby go nie poznano. Przyznał mi rację. Ja oczywiście nie wymieniłem jego nazwiska, bo po cóż miałem go dezkonspirować. Na tym zebraniu się skończyło i już go potem nigdy w takich okolicznościach nie spotkałem. Podobna była sytuacja, gdy na jednym z takich zebrań spotkałem syna mojego plecznego współnika z parcelacji, Olka, młodszego syna Stasia Żółtowskiego. Od razu go poznałem i widziałem, że on tak słodko do mnie się uśmiecha, więc nie mógł mnie nie poznać. Trochę się głupio czułem, bo bałem się, że wobec wszystkich kolegów mnie zdekonspiruje, więc jak tylko zebranie się skończyło, zawołałem go na chwilę i powiedziałem: "słuchaj Olek, jesteś w konspiracji, pamiętaj żebyś absolutnie nikomu i nikomu nie mówić żeś mnie spotkał w takich okolicznościach". Przyrzekł mi, że nic nie powie i prawdopodobnie słowa dotrzymał, ponieważ żadnych przykrości z tego tytułu nie miałem. Miałem jeszcze cały szereg tego rodzaju, mniej lub bardziej, ryzykownych zdarzeń które jednak - tak jak mówiłem - kończyły się szczęśliwie i nic mi się nie stało.

Dość często odbywały się zebrania zastawowe u dowódcy obwodu Śródmieścia, pułkownika Radwana. To były zebrania, na które przychodzili oficerowie Radwana lub komendanci rejonów. Zebrania te odbywały się przeważnie na tej samej kwaterze, prawdopodobnie należącej do Radwana, nie wiem czy to było jego mieszkanie, czy też jego znajomych czy przyjaciół, na ulicy Polnej, w drugiej czy trzeciej podwórzu, gdzieś na parterze. Pod tym względem było to wygodne, bo ciche i spokojne mieszkanie. Tam jednak żadnego ryzykownego wypadku nie było. Spotykając się na takich spotkaniach z wieloma ludźmi można było łatwo się zdekonspirować. Oczywiście

nie chodziło o to, że się spotka kogoś znajomego, bo ostatecznie ten znajomy był najczęściej też sakonspirowany, a skoro należał do organizacji to wątpliwe było, żeby zaraz gdzieś leciał do Niemców, do gestapo, i zawiadomiał, że mnie gdzieś tam spotkał. Ale bywa to tak, że jak się w tych warunkach spotkało kogoś znajomego, to się powtórzyło jednemu, drugiemu, trzeciemu, że właśnie, spotkałem takiego a takiego, w takim a takim charakterze, a to już było ryzykowne. Z drugiej strony spotkanie wielu ludzi było bardzo korzystne. Kiedyś będąc na takim zebraniu powiedziałem, że mam w domu bardzo mały przydział gazu; wtedy mi powiedziano, żebyś poszedł do Gazowni i tam wywołał pana Szpaczyńskiego, radcę prawnego gazowni warszawskiej, który mi tę sprawę załatwi. No i wtedy właśnie sakonspirowano tego "szpaczyńskiego", a wobec niego musiałem sakonspirować się i ja, bo przecież załatwiając swoją sprawę prywatną, musiałem podać swoje nazwisko. Śmieszna historia zdarzyła mi się kiedyś na zebraniu jakiegoś większego oddziału, gdzie było chyba jakieś 15-cie, czy może więcej osób. Było to zebranie wybitnie szkoleniowe, bo była nawet na nim broń. O ile sobie przypominam, to był to "wiś". Po zebraniu wszyscy się rozeszli. Ja, jak zawsze, wychodziłem ostatni i jeszcze o czymś rozmawiałem z właścicielem mieszkania, którego naturalnie nazwiska nie znałem. On oczywiście również nie znał mnie osobście. Potem wyszedłem do przedpokoju, do którego mnie odprowadził. Chciał mnie nawet zatrzymać i zapraszał na herbatkę, ale tego rodzaju kontaktów prywatnych z ludźmi nieznajomymi starałem się unikać. Gdy jeszcze rozmawialiśmy do przedpokoju w pewnym momencie wybiegła mała dziewczyneczka, śliczna zresztą dziewczyneczka, w wieku lat dwóch czy trzech, podbiegła do tego pana, gospodarza mieszkania, wołając "tatusiu, tatusiu!". W tym samym jednak momencie, tuż za nią wpadła kobieta, bardzo ładna zresztą, którą od razu z miejsca poznałem. Chwyliła dziewczynkę,



spojrzała na mnie i powiedziała "Ach, panie Andrzeju, a co Pan tutaj robi?" Ja na to: "Chyba pani wie, co ja tutaj robię, ale co pani tutaj robi?" Okazało się, że to był jej drugi mąż. Była to żona mojego kolegi jeszcze z pułku Azia Srebrnego, o którym już w swoim czasie mówiłem. Była to jego ostatnia żona. Podkreślałem "ostatnia", ponieważ znałem ich kilka, gdyż miał cztery żony ślubne które bardzo dobrze znałem. Ta była ostatnia, a gdy zginął w Katyńniu ona wyszła ponownie za mąż. Ona mnie właśnie poznała, więc wprost gwałtem mnie zatrzymywała, żeby u nich jeszcze zostać na herbaczkę. Nie ślałem już powodu odmawiać, ale byłem już naturalnie zupełnie zdekonspirowany, ponieważ znała mnie przecież bardzo dobrze z imienia i nazwiska, a bodajże nawet wiedziała, gdzie mieszkam. Zostałem u nich na herbacie i bardzo przyjemnie spędziłem wieczór. Zdarzały się i inne wypadki po takich zebraniach, które się oczywiście mogły skończyć tragicznie. Jeden z nich w tym miejscu naszą opowiedział, bo aczkolwiek skończył się dla mnie szczęśliwie i był nawet śmieszny - nabawił mnie trochę strachu. A mianowicie po takim zebraniu, bardzo zresztą udana, gdzieś hen na dalekim Żoliborku, zostałem zatrzymany na brydla. Było jeszcze wczesnie, więc zadzwoniłem do domu, że przyjdę trochę później, i graliśmy sobie, zdrowo popijając. Wyszedłem z tego mieszkania, gdy było już całkiem późno i ciemno. Była to późna jesień, a przecież światła były na ulicach przyeleśnione. Było to gdzieś na ulicy Słowackiego; odprowadzono mnie do drzwi i nawet pośpieszono, abym szedł prędzej, bo już jest bardzo mało czasu do godziny policyjnej a sam jeszcze daleko do domu. Z Żoliborza musiałem jechać do Krakowskiego Przedmieścia, bo żoliborskie tramwaje dalej nie szły; a tam musiałem się przesiadać na inny tramwaj i jechać dalej Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem i Alejami do rogu Piłkowskiej, i dojść piechotą do domu. Mieszkanie ich było na parterze, wyszedłem na chodnik, tuż

obok był placyk, obsadzony kartoflami. Byłem po dobrych kilku kieliszkach. Jeszcze z daleka machałem gospodarzowi ręką, nie patrząc pod nogi i wlałem jakoś w te kartofle, a ponieważ było zupełnie ciemno - zabłądziłem w nich, całkowicie straciłem orientację, gdzie mam iść. Na całe szczęście zauważyłem jadącą tramwaj, więc już złapałem ten właściwy kierunek, pobiegłem tam i nareszcie wybrnąłem z tych kartofli i trafiłem na przystanek tramwajowy. Skrótce nadjechał tramwaj. Byłem w nim zupełnie sam, więc stanąłem koło motorniczego i pytam się go: "Panie, jak długo będzie Pan jechał na Krakowskie Przedmieście?" A on na to "No, no panie do Śródmieścia to nie wiem kiedy Pan dojedzie, bo przecież ja jadę na Bielany". Ładny, myślałem sobie, interes, więc powiedziałem "Niech Pan się zatrzyma, to ja tu wysiądę i pojedę w odwrotną stronę". "Nie ma Pan co tutaj czekać", powiedział, "bo ja już jestem prawie ostatni tramwaj. Tam na Bielanach nie ma już żadnego i żaden tu nie będzie już szedł, więc niech Pan już siedzi tu w tramwaju, niech Pan jedzie ze mną i ze mną Pan powróci". No rzeczywiście rada była dobra, nic lepszego nie mogłem wyszukać, więc pojechałem z nim na Bielany, prosiłem tylko, aby pośpieszał, bo już zbliżała się godzina policyjna, tak że już po godzinie policyjnej znaleźliśmy się na Krakowskim Przedmieściu. No cóż miałem zrobić. Wyskoczyłem z tego tramwaju. Stał właśnie i szperał się do odjazdu tramwaj, idący w kierunku Alei Ujazdowskich. Siedziało w nim kilku Niemców, którzy głośno szwargotali. Wiedziałem że motorniczemu jest Polak i że w razie czego będzie słuchał mi pomocą, więc stanąłem koło niego i spytałem, jak szybko dojedziemy do rogu Ryńskiej. Odpowiedział mi "panie, ja mam czas, no ale będziemy jechać. A co, pan nie Niemiec?" Ja na to, że wracam do domu i właśnie się spóźniłem. Powiedział: "dobrze, będziemy pośpieszać". Bałem się, że któryś z Niemców do mnie się zwróci, a ja niemieckiego nie znałem i rozmówić się z nimi nie mogłem; żadnych odpowiednich



dokumentów przy sobie nie miałem, więc rzeczywiście - zale niepo-  
rozumienie i wpadłbym. Już było jakieś dwadzieścia minut po godzinie  
nie policyjnej, kiedy nareszcie dojechaliśmy do rogu Piłknej.  
Naraz przekroczyłem na drugą stronę Alej Ujazdowskich, ponieważ  
przystanek był tuż przy rogu i Piłkną pędziłem w stronę domu. Ale  
tu skurat z Hotelu Sejmowego, gdzie stała kancargarnia niemiecka,  
wychodziły właśnie patrole na miasto. Idąc tak, z daleka już do-  
baczylem trzyosobowy patrol kancargarni, więc byłem już z wielkim  
strachem, ale wiedziałem, że na lekko wstawionych nie zwracają uw-  
gi, więc kapelusze przesunąłem na tył głowy i lekko podśpiewując  
i chwytając się na nogach szybko szedłem i tak minąłem patrol. Nie-  
cy tylko popatrzyli i nawet się uśmiechnęli. Pomyślałem wtedy, że  
dobrą obratłem metodę, więc gdy spotkałem wkrótce na drodze drugi  
patrol znów zastosowałem ten sam sposób i znów jakoś szczęśliwie  
minąłem ich i nie zatrzymali mnie. Dopadłem do swojej bramy, bo  
byłem już za rogiem wiejskiej, a przecież nieśkałem pod numerem  
1-ym. Naciśnąłem dzwonek, szczęśliwie jakoś dozorca bardzo szybko  
mi otworzył; wpadłem do bramy i tu już byłem całkiem szczęśliwy bo  
byłem zupełnie bezpieczny. Dozorca tylko pokazał głowę i powiada  
"Ale pan późno wraca, to niebezpiecznie". Mówię: "tak, ale tak  
mi wypadło" i popędziłem do domu. Tu oczywiście był już straszny  
dramat, bo niepokojono się o mnie. Żona zdenerwowana w najwyższym  
stopniu wypytywała, czemu tak późno wracam, więc tłumaczyłem, że  
jakoś tak się stało, że nie mogłem przyjechać wcześniej. No ale  
ponieważ wszystko szczęśliwie się skończyło, więc burza domowa też  
jakoś szybko ustala.

Ta moja praca szkolnicza, inspekcyjna, oczywiście bardzo mnie  
absorbowała. Byłem zajęty po całych dniach, wpadałem tylko na obiad  
zjadałem go i znów gdzieś pędziłem na takie czy inne zebranie lub  
w jakichś innych sprawach konspiracyjnych, gdzie musiałem się z

kimś widzieć, załatwić sprawę lokalu, czy broni, czy coś takiego. W każdym razie zajęty byłem ogrobianie i byłem z tego zadowolony bo jakkolwiek praca była ciężka i niebezpieczna, ale pochłaniała mnie całkowicie i w ogóle mogłem nie myśleć o tych ciężkich, trudnych czasach, jakieś tam wtedy przeżywali. Staralem się również zwerbować jak najwięcej ludzi do oddziałów konspiracyjnych. Ludzi, których znałem, którzy mi byli potrzebni, na takich czy innych stanowiskach. Zwerbowałem ich dość dużo. Ode mnie się zwerbowało także Jania Bauererca, który wtedy jeszcze nigdzie do niczego nie należał, więc włączyłem go do IV rejonu Artylerii WOPU. Jeszcze zwerbowałem Musia Metzera, wybitnego oficera, którego zrobiłem komendantem II rejonu WOPU. No i ta rzeczywiście spisyszał się bardzo dobrze, w sprawach organizacyjnych, a potem stał się nawet do pewnego stopnia sławny w okresie Powstania.

Stosunki moje domowe też okładały się jakos ponęcznie. Z wyżywieniem dawaliśmy sobie radę i było zupełnie możliwe. Chłopak się uczył. No, jakoś się żyło, jakkolwiek życie to było bardzo nerwowe i bardzo niebezpieczne, bo każdego dnia mogło mnie spotkać jakieś duże nieszczęście. Mieszkaliśmy na ulicy Alejańskiej. Mieszkanie to stało się o tyle nieprzyjemne, że była to przecież dzielnica niemiecka, z której w każdej chwili mogli nas wysiedlić, wyrzucić nas. Specjalnie jednak nie obawiałem się bo były już próby i jakoś się obroniłem; zresztą zawsze, w razie konieczności, miałem się gdzie wyprowadzić, bo przecież było mieszkanie Julii, siostry Tony, na ulicy Nowogrodzkiej. No i tam mogliśmy się cudownie pościć. Poza tym tylko przez jakiś czas mieszkaliśmy na Alejańskiej same, ponieważ kiedyś zwrócił się do nas syn, czy nie mogliby u nas zamieszkać jego koleczy z kursów technicznych, gdyż to są chłopcy z Częstochowy, a tutaj muszą się uczyć no i zależy mu na tym, aby u nas zamieszkał, bo są bardzo mili i sympatyczni.



Powiedziałem Piotrusiowi, żeby przyprowadził tych chłopców. Przeszli, okazali się bardzo mili, więc zgodziliśmy się, żeby zajęli salon i mieszkali u nas. Po pewnym czasie przyjechała ich matka, z którą ustaliliśmy warunki ich pobytu w ten sposób, że ona w zamian będzie nam przysyłała różne artykuły żywnościowe, o które w Czystochowie było łatwiej, ponieważ tam było dużo mniej łapanek i szmagiel był łatwiejszy. Dawaliśmy więc sobie jakos radę materialnie. Tylko nieścisnie wisiał nad nami ten strach, czy nie spotka nas jakieś nieszczęście, czy to w postaci aresztowania, czy dostania się do łapanki. Doszliśmy tu szczęśliwie gdzieś do połowy lipca, więc prawie że do samego Powstania.

A tymczasem wojna toczyła się stale i to z kolosalnym powodzeniem Niemców. Niemcy w 1940 r. zajęli Francję, Belgię, Holandię, Danię, próbowali także napadu na Wielką Brytanię. Była tam wielka bitwa, która się potra nazywała "Bitwą o Anglię". Odznaczęły się w niej również wojska polskie, szczególnie lotnictwo polskie brało bardzo czynny w niej udział. Niektóre dywizjony bardzo się w niej wstawili. Przy każdym zwycięstwie Niemców nas ogarniało coraz większe przygnębienie. Później nastąpiło zajęcie Norwegii. Mielśmy gazetki, z których wiedzieliśmy, że tam również bardzo chlubnie się spisał polski oddział w Narwiku, broniący tej północnej placówki norweskiej. W ten sposób prawie już cała Europa została zajęta przez Niemców. Umialiśmy się cieszyć jednak każdym jakimkolwiek niepowodzeniem wroga. Cieszyliśmy się więc bardzo, gdy Niemcy wystąpili z ultimatum do Jugosławii i gdy młodzieńcki król Piotr Jugosławiński odmówił wpuszczenia ich na teren swego kraju i zaczęła się wojna niemiecko-jugosławińska. Oczywiście Niemcy bardzo szybko Jugosławię zajęli, no ale tymczasem radościliśmy się tym oporem. W każdej knajpie pili się "pod Piotrusia" i za zdrowie młodzieńckiego króla Jugosławii. Nie bardzo to jednak zatrzymało.

Niemców, bo po Jugosławii zaraz zajęli Grecję. Później zrobili krok na Egipt i również ją zajęli. Wydawało się, że ta armia niemiecka jest niepokonana, że nie się jej nie oprze. Wykorzystując to powodzenie niemieckie nie zagrzebywała gruzek w popiole także i Rosja sowiecka, bo po zajęciu naszych terenów polskich, zagarnęła sobie Litwę, Łotwę i Estonię. Nie wiadomo było właściwie, z jakiego tytułu to robi i jakim prawem właśnie to państwo, które już wtedy tylko opowiadało o pokoju, o umiłowaniu pokoju. Ale im i tego nie wystarczyło. Napadli tak samo na Finlandię i tutaj były bardzo trudne i ciężkie bitwy. Finlandia się zaciekłe broniła, ale musiała do pewnego stopnia ulec, a ponieważ wojna się przeciągała, więc bolszewicy tłumaczyli, że muszą tylko wyrównać swoją granicę, bo muszą ją poprawić pod względem strategicznym. Gdy osiągnęli już ten teren wtedy zawarli niby pokój z Finlandią. W ten sposób te dwa państwa - Niemcy i Rosja - stawały się coraz większe i silniejsze. Nie wiadomo było, jak to się wszystko skończy, jakkolwiek wierzyliśmy, że wcześniej czy później Niemcy muszą przegrać tę wojnę, i chodziło tylko o to, aby jakos przetrwać to bardzo ciężkie dla nas czasie. Znowu zapanała wielka radość, gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy po tych wszystkich sukcesach uderzyli na Związek sowiecki. Już wcześniej można było zauważyć w sercach przygotowania do uderzenia, ponieważ wielkie oddziały przerzucono się tutaj na wschodni front, więc łatwo było się domyśleć, że tu właśnie szykuje się ofensywa przeciwko sowiecom. Bolszewicy prawdopodobnie tego wcale nie oczekiwali, bo gdzieś tej ich obdartej, nieszczęsnej armii było się, idąc do wspaniałą armią niemiecką. Tak, że od razu, gdy Niemcy uderzyli stosując swoim poprzednim zwycięstwem swój "Blitzkrieg" bardzo szybko zajęli cały dawny nasz teren polski, zagarnęli tutaj nasz ludźmi do niewoli. W gazetkach podawano, że przez Gubernię Generalną przesłali takie a takie ilości Rosjan, tak że widac



z tego było, że bolszewicy chętnie poddawali się Niemcom. wiadomo u nas było również, że Niemcy siłami byli tam przez Rosjan kwiatami. Wszyscy tam się cieszyli, że przecież nie wiedzieli, jak to będzie pod tym panowaniem niemieckim, natomiast wypróbowali już na własnej skórze panowanie i terror bolszewicki, więc liczyli, że się poprawi i że z Niemcami będzie lepiej. Tak było podobno w Wilnie, a nawet w Kijowie. Niemcy przez całą wojnę posuwali się naprzód właściwie bez żadnych walk. Bolszewicy się poddawali, a Niemcy zagarniali całą tę ogromną broń, jaką tam bolszewicy mieli. Zajęli w końcu Arpa, przeszli przez Azerę, zajęli Taganrog i doszli do Donosa nad Donem. Tak samo posuwali się dość szybko w kierunku Moskwy i jeszcze w jesieni zajęli Kasleńsk, Kozajok i byli stosunkowo blisko od Moskwy. Także na północy zajęli to wszystkie miasta bałtyckie jak Tallin, Ryga i posunęli się pod Leningrad. Na dalszych terenach bolszewicy jednak zaczęli już stawiać opór. I chwili, gdy Niemcy uderzyli na Rosję, nastąpiła przecież kolosalna pomoc dla niej ze strony Ameryki. Były ogromne transporty z bronią i amunicją do bolszewików. Transporty te szły szczególnie przez Morze Północne do Archangielska i tam dopiero to było wyładowywane i przewożone do centrum Rosji. I każdy razie Niemcy początkowo szli tak szybko, że trudno było od razu odłożyć na tę już zdezorganizowaną armię bolszewicką, a Niemcy nie czekali, bo prawdopodobnie spodziewali się o dotarcie aż do Kaukazu, na północnie i dostanie się do rosyjskiej ropy w Baku. I drugiej strony chcieli zagarnąć stolicę i w ten sposób zalać przeciwnika i zmusić go do kapitulacji. Było prawdopodobne, że ten plan niemiecki mógł się udać, żeby nie to, że już za Donem zaskoczyła ich zima, więc znacznie trudniej było już im posunąć się naprzód i zaopatrzyć armię. Wszędzie spadły duże śniegi i sytuacja armii niemieckiej stawała się coraz trudniejsza na całej linii, tak bardzo rozciągniętego frontu, od Lenina-

gradu aż po Kostów nad Donem. Na tej linii bolszewicy zaczęli już stawiać opór, ponieważ - jak należy stwierdzić - zdolali już lepiej uzbroić się i podnieść posiłki z armii brytyjskiej. Przestawili poddawać się również do niewoli, ponieważ wiedzieli już jak Niemcy znęcają się nad ich ludnością, jak traktują jeńców. Wpłynęło to jakby oświecająco na armię bolszewicką, która zaczęła bronić się tak, że Niemcy natrafiali na coraz większy opór. Niemcy nie zdążyli już przekroczyć Kaukazu, a jedynie dotarli do niego i doszli do Carycyna (później zwanego Stalingradem). Tak samo zatrzymali się z frontem na Smoleńsku i Wołajsku i nie zdolali przed zimą zdobyć Moskwy. Sierpnie ciężka i długa walka toczyła się o Leningrad, którego jednak Niemcy zdobyć nie zdolali. Jeszcze przed zimą jednak w sukurs Niemcom przyszła potężna armia japońska. Japończycy zupełnie niespodziewanie przystąpili do wojny. Stąpili się do niej w ten sposób, że na rozkaz lotnictwa japońskiego zniszczyło prawie całkowicie flotę amerykańską w porcie Pearl Harbour na Oceanie wielkim. Amerykanie tu ponieśli ogromne straty. W tymże czasie japońska armia lądowa uderzyła od północy i posuwała się na południe prawie bez żadnych walk, bardzo szybko; przeszła całe Chiny, później wdarła się do Indochin, posuwała się dalej i w stosunkowo szybkim czasie dotarła do tego ogromnego portu angielskiego Singapur. Stało się to po niewielkich stosunkowo walkach, bo Amerykanie bronili się właściwie bardzo słabo, gdyż zostali zaskoczeni. Pewnie spodziewali się raczej napadu od strony morza, a nie od strony lądu, ponieważ też przeciwnik japoński musiał przejść przez teren bardzo trudny. Jednakże Japończycy przeszli przez bagna i zupełnie niespodziewanie od lądu uderzyli na Singapur i po pewnym czasie zdobyli go<sup>x)</sup>

<sup>x)</sup> kolonia brytyjska od 1867 r., w latach 1942-1945 okupowana przez Japonię.



Anglicy ponieśli tu kolosalne straty. Stracili całą armię i flotę stojącą w Singapurze, przy tym - jeden czy dwa najlepsze pancerniki. Japończycy utrzymali się w Singapurze i po zakończeniu działań armii angielskiej popędzili ją gdzieś na północ i tam znalazła się ona w strasznych warunkach. Był tam również oddział polski. Ci Polacy, którzy przetrwali japońską niewolę, opisywali te straszne warunki i mówili o zagrożeniu się przed japończykami.

W ten sposób wyjaśniło się, że nie już nie zwyciężyła ta armia niemiecka, tzn. armii "osł", "osł" wówczas nazywała się alianse Tokio-Berlin-Rzym. Wtedy jednak nie trzeźwiłi naziści i nie upadali, cała armia na dachu, pewni, że wkrótce czy później wojska alianckie zwyciężą i Niemcy zostaną pokonani. Nie powiedzieli się Niemcom, jak dotychczas, tylko w Afryce. Właściciel armii angielskiej pod dowództwem Montgomery'ego zajęła Abisynię, wypędziła Niemców i posunęła się szybko na północ. Dotarła do Egiptu - do Kairu i dostała się do Aleksandrii. Niemcy wycofali się w głąb Egiptu i stamtąd posuwali się również na zachód. Armia ta była pod dowództwem generała Rommela. Chodzili im o to, aby zająć Aleksandrię, Kair i pójść dalej i zagarnąć bogactwa państw arabskich. Późniejsza armia Rommela miała tu kolosalne powodzenie, posunęła się szybko, po drodze zajmując wszystkie miasta lądowe, aż dotarła do Tebruku. Niemcy chcieli zająć Tebruk, ale w tym mieście był wówczas garnizon polski pod dowództwem generała Kopasńskiego i Tebruk udało się obronić. Niemcy pozostawili Tebruk i maszerowali dalej, podchodząc już pod Aleksandrię. Jednakże Aleksandrię zdobyć nie mogli, gdyż tutaj już przybył dowódca armii Montgomery'ego, który rozkazał przesłać oddziały Rommela, tak że ten szybko musiał się cofnąć na zachód. Rommel uciekał, Anglicy gonili go, ale nie potrafili tak szybko posunąć się naprzód, jak wytrwała armia niemiecka, więc udało się odwrócić od nieprzyjaciela i cofnąć się aż do Bengazy,

gdzie się zatrzymał. Gdy Anglicy tam doszli, to Rommel zdołał już zebrać posiłki, armia wznownie i gdy tylko Anglicy się zbliżyli - uderzył ponownie; znów zaczęła się ofensywa niemiecka, a Anglicy cofali się w kierunku Aleksandrii. Doszli do Tobruku, minęli go i szli na Aleksandrię; tu znów nastąpiła duża bitwa. Anglicy zgromadzili wiele czołgów i ponownie Rommel został rozбитy i znów musiał się cofać w stronę Bengazi, w kierunku Algieru. W końcowym rezultacie ta akcja niemiecka generała Rommela skończyła się całkowitą jego klęską, bo w międzyczasie Amerykanie pod dowództwem Eisenhowera wylądowali w Oranie i uderzyli od zachodu w kierunku na Algier, a z drugiej strony następował z kolei Montgomery, więc Niemcy pod dowództwem Rommela znaleźli się w kleszczach. W rezultacie pośpiesznie musieli się wycofywać i uciekać przez Sycylię i Syrię. Niemcy ponieśli tam kolosalne straty, ponieważ stracili całe dobytki wojskowe, który przeszedł w ręce Anglików. Tak skończyła się cała akcja afrykańska.

Był to pierwszy sukces aliantów, który naturalnie podniósł nas bardzo na duchu. Spodziewaliśmy się, że teraz nastąpi ofensywa aliancka na Sycylię, względnie z Anglii na Francję. Wstępowało w nas coraz więcej otuchy i tym gorliwiej pracowaliśmy w konspiracji, licząc, że już niedługo i my będziemy mogli i musieli przystąpić do akcji zbrojnej.

Jeśli chodzi jednak o zachodnią Europę, to tu był zupełny spokój. należało jedynie czekać i liczyć na skutki lądowania Anglików na północno-zachodnich terenach, ewentualnie we Szwecji lub na Bałkanach, co najbardziej by nam odpowiadało. Gdyby się taka ofensywa zaczęła na tych terenach - byłibyśmy choć częściowo odizolowani od Rosji, ponieważ panicznie baliśmy się w tych warunkach okupacji bolszewickiej. Tymczasem jednak trudno było cokolwiek przewidzieć. Niemcy podszli właśnie do Stalingradu, o który trwały



zawarte walki, co nam naturalnie cieszyło. Hitler, wydawało się, że będzie mądrzejszy od Napoleona i dzięki szybkiemu posuwaniu się naprzód i potęgze swej niemieckiej armii potrafił przewyciężyć rosyjską armię i zejść tak daleko, że armia rosyjska przestanie mu całkowicie zagrażać. Jednak i on się zawiodł. Może powinien był w tej sytuacji przed armią zatrzymać się bliżej i nie pchać się w głąb Rosji, aż gdzieś pod Leningrad i dopiero na wiosnę kontynuować dalsze uderzenie. Jednakże Hitler widocznie liczył, że dojdzie do Moskwy, zajmie ją, zajmie Leningrad i dojdzie na południu na Zakaukazie, gdzie opanuje tereny naftowe no i wtedy da swojej armii odpocząć. No ale plany go zawiodły. Plany te zawiodły, głównie ze względu na armię, ponieważ w okresie zimy nie mógł się już tak szybko posuwać. Wszędzie były śniegi i nie pomogły tu nawet akcje odbierania w krajach zwojowanych futer i kożuchów i ubieranie w nie swojej armii. Wojska i esolgi nie mogły posuwać się naprzód z racji głębokich śniegów i bardzo silnych mrozów. Armia niemiecka zatrzymała się na Podkaukaziu a jednocześnie toczyły się walki pod Stalingradem. Dowódców wojsk stalingradzkich Hitler usunął, mianując na ich miejsce generała Paulusa, który zapewne obiecywał mu, że Stalingrad zdobędzie, ale to się nie udało. Niemcy ponieśli tam kolosalne straty, a cała ta armia poszła do niewoli. W większej części dostała się do niewoli również armia podkaukaska, i Niemcy musieli się cofać. Nie opanowali także Moskwy, a front w pewnym stopniu ustabilizował się koło Mbiajska. Podobnie mimo ogromnych ofiar nie udało się opanować Leningradu. Na niekorzyść Niemców sprzyśli się również inne czynniki. Otóż gdy armia niemiecka rozpoczęła w 1941 roku ofensywę, Rosjanie wszędzie witali ją z radością, ponieważ mieli już dosyć dotychczasowych rządów, strasnej nędzy i terroru; podobnie jak w roku 1918 Niemców zajmujących południową Rosję i Kijów witano z kwiatami, tak i teraz było tu-

taj. Nie trwało to jednak długo, ponieważ żołnierze radzieccy dowiedzieli się, w jaki sposób Niemcy traktują jeńców. Poza tym ludność miejscowa odczuła na własnej skórze stosunek Niemców do niej. Oczywiście szalało wszędzie gestapo. Zakwirowano wszystko, mordowano, wywożono na roboty, a jeńcy w niewoli głodowali. Po Powstaniu Warszawskim widziałem taki obóz w Landsdorfie. Byli tam również jeńcy rosyjscy, którzy staniali się z głodu, byli w okropnych warunkach, głodni. Gdy obok przechodziliśmy do łaźni wołali do nas: "chleba!", a gdy ktoś rzucił im kawałek rzucali się na niego gromadnie i wrywali sobie, a nawet bili się o niego. Jak dowiedzieliśmy się od miejscowych ludzi - masowo umierali z głodu. Te wiadomości oczywiście doszły do armii rosyjskiej i do ludności i entuzjazm na widok Niemców ustał. Na wzmoczenie oporu ze strony armii radzieckiej wpłynął również fakt pomocy aliantów. W tym okresie stosunek bolszewików do aliantów całkowicie się zmienił. Zachód też był wyraźnie zadowolony, że w Rosji ma jeszcze jednego sojusznika po swojej stronie, że powstał drugi front, front wschodni dla Niemców, a więc łatwiejsza będzie walka z przeciwnikiem. Alianci wiedzieli, że bolszewicy są bardzo źle zaopatrzeni w broń i potrzebny sprzęt wojenny, i w tych warunkach nie będą mogli stawiać silnego oporu Niemcom, a tym bardziej posuwać się naprzód, więc musieli armię tę zaopatrywać. Popłynęły z Zachodu liczne dostawy do Archangielska. Ogromne konwoje szły w tym samym kierunku z żywnością i bronią. Ponoszono przy tym ogromne straty, ponieważ Niemcy przeciwko tym konwojom posyłałi łodzie podwodne, bombardowali je za pomocą lotnictwa i starali się je zniszczyć za wszelką cenę. Mimo to alianci w tej pomocy nie ustawali, ponieważ zdawali sobie sprawę z jej konieczności. Z Archangielska zaopatrzenie to momentalnie przesyłane było w głąb Rosji. Armia bolszewicka była już lepiej zaopatrzona. Szczególnie dbano o od-



działy syberyjskie, które właśnie wyszły na front. Wojsko zaczęło się dobrze bić. Odbito Stalingrad i wtedy rozpoczęła się ofensywa bolszewicka i Niemcy, aczkolwiek pomalą, ale zaczęli się cofać na całym wschodnim froncie. Dzięki tej wojnie zmienił się naturalnie radykalny stosunek bolszewików do ludności polskiej. Tak tej, która znajdowała się na terenach zajętych przez nich w 1939 r., jak i tej, która znajdowała się w głębi Rosji, a przede wszystkim tej, która została wywieziona. Powywozili przecież całą inteligencję polską z naszych terenów wschodnich, a więc lekarzy, adwokatów, prokuratorów i sędziów, nie mówiąc już o oficerach. Powywozili ich do różnych obozów. Była to stara metoda niejednokrotnie już przez nich stosowana. Jeżeli chodziło o ludność polską, to wysyłano ją głównie na Syberię. Ciężko pracowali tam przy karczunku lasów i większość ich umierała. Rozdzielano osobno mężczyzn i kobiety. Wysłano także do Karcchatanu, pozostawiając ich we wsiach, gdzie musieli sobie sami jakoś dawać radę. Żywili się otrzymując coś do jedzenia za opowiadania lub ofiarowanie jakichś zachów, a nawet fotografii. Poza tym ciężko pracowali. Gorzej jeszcze było z wywiezionymi do obozów, o czym już wspominałem. W czasie wojny bolszewicko-niemieckiej pozostała przy życiu część oficerów miała możliwość przyłączyć się do tworzącej się wówczas na terenie Rosji armii Andersa. Oficerowie ci, a między innymi doktor Szarecki, sławny polski chirurg, którzy byli wywiezieni do Cziazowca, po powrocie do kraju opowiadali, co i jak się tam działo, a tym czasie Niemcy wykryli w obozach groby oficerów polskich. Były to wielkie doły, gdzie ciała były układane masowo. Wszyscy znajdujący się w nich mieli postrzały w tył głowy. Wiadomo to było stąd, że Niemcy to opublikowali, a później w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego zorganizowali wystawę rzeczy znalezionych przy oficerach odkopanych w Katyniu. Byłem na tej wystawie i oglądałem te

rzeczy. Byłem tam razem z żoną mojego przyjaciela, Viktora Kaczyńskiego, który tam zginął. Widziałem jego rzeczy, które oczywiście żona rozpoznała. Poza tym Niemcy wywieszali listy zamordowanych i publikowali to nawet w gazecie tj. "Nowy Kurierze Warszawskim", czyli tam. "Gadzinówe". Niemcy podobno nie odkopali wszystkich, bo tylko około 4 tysięcy, na 12 tys. tych, którzy tam zginęli. Potwierdziło się to między innymi i w ten sposób, że o wielu oficerach wiedziałem, że byli w Kozielsku i gdzieś zostali wywiezieni, a do Polski nigdy już nie powrócili. Należy przypuszczać, że również tam zginęli, ale przez Niemców nie zostali ujawnieni. Wiadomości o Katyniu z dokładną listą tych, którzy tam byli zamordowani, podane potem w książce, wydanej przez komisję Aliancko-Rieniecką, która w swoim czasie jeździła do Katynia i badała sprawę. Komisja składała się z Niemców, Polaków z obozów jeńczyckich, Włochów, przedstawicieli duchowieństwa i lekarzy oraz członków Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii. Znacznie później została wydana na tej podstawie książka o Katyniu, gdzie było masę zdjęć i dokładna lista oficerów, którzy zostali w Katyniu zamordowani. Była to oczywiście straszna zbrodnia. Takiej zbrodni mogły się dopuścić tylko władze bolszewickie, bo absolutnie żadnych innych władz innej narodowości nie można było o to posądzić. Nawet Japończycy w ten sposób nie mordowali jeńców. Zwalanie potem przez bolszewików tej zbrodni na Niemców, było absolutnie absurdalne, ponieważ przecież wszystkie papiery, jakiegokolwiek zostały znalezione przy zamordowanych (wielu z nich pisano pamiętniki, które znalezione), były datowane z początkiem 40 roku, a Niemcy przecież zajęli te tereny dopiero w 41 roku. Poza tym różne dokumenty i wycinki, które tam zostały znalezione, były znacznie wcześniejsze i żadnej daty późniejszej na nich nie znalezione. Poza tym istnieje argument najważniejszy. Załóżmy, że rzeczywiście - zgodnie z bolsze-



wiekia twierdzeniem - zrobili to Niemcy. Było prawdopodobnie tak, że armia bolszewicka odstępowała, a niemiecka następowała. Musiał być taki moment, dłuższy czy krótszy - obojętne - że obszar był pozostawiony jakiegokolwiek władzy, więc nie można sobie wyobrazić, aby spośród 12 tysięcy Polaków nie znalazł się ani jeden, któryby nie próbował uciekać, i nie udało mu się uciec. Wielu Polaków uciekało przecież z zakwaterowanych obozów niemieckich, tak i tu wielu mogło uciekać tutaj. Przy takiej masowej ucieczce w chwili, gdy już nikt jańców nie pilnował, a front się przesuwał, niewiarygodne jest aby nikt uciekając nie dotarł do granicy i nie opowiedział o tym, że to zrobili Niemcy. Ciurotnie, wszystkie materiały i dane, jakie tylko zostały odnalezione, świadczą o tym, że zrobili to bolszewicy.

Na wszystkich terenach przyłączonych w 39 roku do Związku Radzieckiego - w r. 1941, gdy zaczęła się wojna niemiecko-bolszewicka bolszewicy ogłosili mobilizację i zabierali do wojska resztki Polaków. Ci którzy siedzieli tam w więzieniach, przede wszystkim generalicja polska z generałem Anderszem, gdzie był również generał Bukojewski i inni zostali zwolnieni z więzień i zaproponowano im wstąpienie do wojska i tworzenie wojska polskiego. Zadanie to powierzono właśnie generałowi Andersowi. Generał Anders ulokował się na południu Rosji, chyba w Taszkencie, i tam tę armię polską organizował. Ściągali do niej Polacy ze wszystkich stron Rosji. Przychodzili tu w straszonym stanie, gołi i głodni, wynędzniali okropnie. Anders tworzył z nich armię, na której czele stanęli oficerowie, którzy właśnie zostali wypuszczeni. Przyszli również oficerowie wraz z generałem Szareckim, lekarzem, którzy byli w Gruzji. Tworzenie jednak tej armii szło bardzo opornie. Bolszewicy zobowiązali się należycie je zaopatrywać i żywić, czego właściwie nie wypełnili. Tuż potem zaczęła się tworzyć druga armia polska, pod

dowództwem generała Roli-Żymirskiego i Berlinga. Chodzilo tu zapewne o ludzi, którzy uważali, że pozostając w Rosji w zgodzie z Armią Radziecką łatwiej będzie im się dostać do Polski i pomóc w walkach z Niemcami. Zresztą do przyłączenia się do tej ostatniej armii agitowali bolszewicy, do niej wołali przede wszystkim tych, którzy z tej lub innej racji dobrowolnie lub przymusowo deklarowali swoją przynależność do Związku Sowieckiego. O ile tę armię popierali, to robili wszelkie trudności, aby uniemożliwić tworzenie się armii Andersa, ponieważ wiedzieli, że armia ta nie będzie przychylnie do nich usposobiona. Warunki organizacyjne armii Andersa tam na południu Rosji były bardzo trudne, więc Anders postanowił opuścić Rosję i przemarszerował na południe przez Persję, do Syrii i tam rozlokował wojska na terenach blizkowschodnich. Tam już armia należąca zaopatrzona przez Anglików i Amerykanów, zorganizowała się stosunkowo szybko w dużą polską armię wschodnią, dysponującą różnymi rodzajami broni.

Tymczasem warunki życia w kraju stawały się coraz cięższe. Coraz częstsze stawały się łapanie, rozstrzelywanie ludzi na ulicach, tak że każdy dzień był ryzykowny, a w nocy nie można było spokojnie spać, ponieważ człowiek stałe obawiał się jakiegoś najścia Niemców czy rewizji. Ciągłe kogoś wywożono do Oświęcimia, czy innych obozów. Coraz częściej jednocześnie odczuwano się działania dywersji oddziałów podziemnych, jak na przykład zabicie Kutschery, po których Niemcy stosowali dalsze środki terrorku. Ja byłem jakoś spokojny i wierzyłem w swoją dobrą, szczęśliwą, gwiazdę no i cały byłem pochłonięty konspiracyjną pracą w oddziałach akowskich. W planach Armii Krajowej walki z Niemcami projektowano już od 1940 roku powszechne powstanie na terenie całego kraju, które miało się rozpocząć w momencie załamania się Niemców. Plan ów sprecyzowany został latem 1940 roku pod kierownictwem generała



"Grot" - Stefana Roweckiego, komendanta głównego Armii Krajowej. Były one oparte na wytycznych, otrzymanych od naszego woźca, generała Władysława Sikorskiego, z Londynu, za pośrednictwem oficerów zrzuconych z samolotów lub desant radiowych. Na tej właśnie podstawie opracowywano wszystkie plany walki, a przede wszystkim powstania w Warszawie. Muszę tu podkreślić ten wyraźnie przewidywany moment, moment załamania się Niemców, ponieważ dopiero wówczas mogła zacząć się zamierzona akcja powstańcza. Niestety jednak spotkał Polskę znów straszny cios. A miało być w dniu 30 czerwca 1945 roku aresztowane generała "Grot", a w kilka dni później, z 4 na 5 lipca, zginął Kaczelny Wódz, generał Władysław Sikorski - w katastrofie samolotowej nad Gibraltarem. Wypadek ten był dziwny, w dziwny i niezrozumiały sposób uratował się jedynie lotnik, a wszyscy pozostali pasażerowie zginęli. Zginął Sikorski ze swoją córką Zofią, zginęły wszystkie osoby towarzyszące mu. Wracał wówczas z dokładnej inspekcji wojsk generała Andersa. Strata generała Sikorskiego była dla Polski ogromna, ponieważ próbował on sobie zjednać całe społeczeństwo, opanować wszystkie niezgody i waśnie partyjne i był bardzo popularny. Szczególnie u nas w kraju liczyło się na niego. Po stracie zarówno Sikorskiego, jak i Roweckiego nastąpiło załamanie i osłabienie prac konspiracyjnych. Następcą generała Roweckiego był generał Rór-Komorowski, który okazał się dużo słabszy i nie mógł już dorównać tej energii i siłowości organizacyjnej "Grot". Realizacja początkowych planów uległa dużemu osłabieniu. W dużym stopniu zaniadły również zapowiadane rzuty broni i innych środków walki, co oczywiście wpłynęło na zahamowanie wszystkich prac przygotowawczych do wystąpienia zbrojnego, tak w samej Warszawie, jak i całej Polsce. Niemcy cofali się tymczasem na całą frontie wewnętrzną. Cieszyło nas to, a także ta wrażliwa walka między sobą tych naszych największych wrogów, ale jednocześnie

baliszy się przyjscia tutaj bolszewików i ewentualnej ich okupacji, bo kto wie, czy nie byłaby gorzej od tej niemieckiej. Wszyliśmy o tym, aby jak najprędzej ruszył front zachodni, to jest aliancki. I oto narazem nastąpiło lądowanie wojsk angielskich i kanadyjskich na południu Słocia i stosunkowo szybkie posunięcie się tej armii na północ. W końcu cały ten front południowy, front słocki, zatrzymał się na dłuższy czas dopiero pod Monte Cassino, gdzie toczyła się zacięta walka, o klasztor broniony przez Niemców. W końcu zdobycie klasztoru udało się polskiej armii Andersa, która od samego początku, po wylądowaniu aliantów brała udział we wszystkich włoskich walkach. Wówczas stanęła czołowa dalana droga wojsk alianckich na północ - droga do Rzymu. Alianci nie śpieszyli się jednak z dalszą ofensywą na froncie włoskim, posuwali się tu powoli. W końcu dotarli do Rzymu, który opuszczali i poszli dalej dalej. Niemcy bronili się jednak, mimo rozprawy w sprawie armii włoskiej i prawie jej kapitulacji oraz ucieczki Mussoliniego, po czym nastąpiło jego złapanie, a potem śmierć, przez rozstrzelanie. Wydawało się, że następuje zasadnicza klęska na tym froncie. Ale tak jeszcze nie było. Niemcy się dalej bronili. Na froncie wschodnim, choć armia radziecka posuwała się naprzód, robiła to stopniowo i powoli. W tym czasie było już zupełnie widoczne, że Niemcy poniosą klęskę, że przegrają tę wojnę, jakkolwiek na początku wydawało się to niemożliwe, ponieważ zdobywali wszystkie zamierzone tereny. Klęskę pierzchną ich niepowodzeniem było niepowodzenie w Afryce, kiedy nie udało się opanować Egiptu i armia Rommela musiała się stamtąd wycofać, przemieszczając się do Słocia. Niepowodzeniem również dla Niemców był fakt, że nie udało się im zdobyć Anglii, dzięki sławnej "Bitwie o Anglię", w której to odparowały się dywizjony lotnictwa polskiego, a między innymi dywizjon 305, tak pięknie opisany przez Fiedlera.



Hitler jednak nie tracił nadziei na wygranie wojny. Liczył na nową broń, broń rakietową, która była już w Warszawie produkowana. Nie udało się jednak zrealizować planu całkowicie. Udało się jedynie wykonać bomby raketowe rzucające na odległość z górą 200 kilometrów, które były co prawda straszną bronią dla Anglii, ale nie były jeszcze tym, na co liczył Hitler. Do wykrycia produkcji nowej broni przyczynił się bardzo wywiad, a w pierwszym rzędzie - wywiad polski. Na terenie Polski zostały także miejsca sparte. Wywiad Akowski zawiadomił wówczas Anglię, lecz tam, niestety, comiesiono się do tego dość sceptycznie, ponieważ uważano, że Polacy zawsze przesadzają. W końcu jednak uwierzyli, ale dopiero wtedy, gdy część tych pocisków raketowych, produkowanych w Polsce, zostały wysłane do Anglii. Pozo tym zostały wykryte miejsca produkcji broni krajowej V<sub>1</sub> i V<sub>2</sub> na terenach zachodnich. Tam zostały to jednak granatowo przez lotnictwo angielsko-amerykańskie obombardowane.

Odwołaliśmy sobie z tego sprawy, że większość ostatnia klęska Niemiec nastąpi dopiero wtedy, gdy alianci złączą na terenie Europy, w północnej części Francji. W tym kierunku i chcieli z ogromną niecierpliwością. Zależało nam naturalnie na tym, aby to nastąpiło najprzede i tak, aby nas przywalił zwycięskiej alianci, a nie bolszewicy, jakkolwiek od czasu było widoczne, że na to się nie zanoszą. Mimo bardzo silnego oporu Niemców na froncie zachodnim ponosili oni duże klęski, które dla zwycięskiej już armii niemieckiej były bardzo ciężkie. W Warszawie mieliśmy wówczas duże ilości żołnierzy niemieckich wywołanych na zachód i lekowanych w szpitalach warszawskich. Byli to żołnierze ranni lub z odrażeniami, i widoczne było, że armia znajduje się już w ciężkim stanie i jest bardzo wycozana i znacznie osłabiona, zupełnie nie to, co kiedyś. Mimo jednak tych klęsk niemieckich nasza sytuacja w kraju nie uległa zmianie. Rozwiał się nadal terror, aresztowania, wyroki i śmierć

naszych najbliższych. Były także "wypadki" w samej organizacji Akow-  
skiej. Pracowaliśmy jednak bardzo gorliwie i przygotowywaliśmy się do  
naszego wystąpienia, bo wiedzieliśmy, że z chwilą klęski i calo-  
bienia Niemców będziemy jako Armia Krajowa mogli już przeciw nim  
wystąpić. W tym okresie, jak wspominałem, zdobywaliśmy sporo broni  
od Niemców. Były też zrzuty dokonywane przez aliantów, którzy po  
zajęciu wioch organizowali takie przesyłki samolotowe. Było więc  
m.in. trochę broni, ale niewiele, przysłowiowa "kropka w morzu"  
w stosunku do naszych potrzeb, i trudno było tym naleśycie Armię  
Krajową uzbroić. Było to jednak - mimo wszystko - korzystne i sta-  
wało się dla nas wielką pociechą, że jednak zostaniemy dozbrowieni  
i armia zachodnia przyjdzie nam z pomocą, bo przecież na pomoc  
 bolszewicką absolutnie nie mogliśmy liczyć. Jednakże zrzuty te pro-  
wadzone z pojedynczych samolotów nie trwały długo. Samoloty te le-  
ciały z wioch, o ile sobie przypominam - to aż z Kari. Było to więc  
bardzo duża odległość i trzeba było przelecieć nad terenami nie-  
bezpiecznymi, więc nigdzie po drodze nie można było lądować: a samoloty  
te musiały wracać z powrotem. W drodze w jedną jak i drugą stronę  
były ostrzeliwane, więc lotnictwo alianckie ponosiło przy tym bar-  
dzo duże straty. W końcu loty te zostały całkowicie wstrzymane i  
z tej strony żadnej już pomocy nie otrzymywaliśmy. Byłoby to wielką  
pomocą i kolosalnym ułatwieniem, gdyby samoloty lecące z wioch i  
dokonujące zrzutów mogły przelecieć dalej na wschód i wylądować  
stosunkowo bardzo niedaleko na terenach już opanowanych przez Armię  
Czerwoną. Jednakże bolszewicy, z powodów tylko ich wiadomych, nie  
zgadzali się na to, i na ogół zezwolenia na to nie dawali. Stało  
się to tylko jeden jedyny raz, znacznie później, już podczas ro-  
wstania warszawskiego. Wtedy właśnie - w drodze wyjątku - cała es-  
kadra amerykańska przeleciała tylko nad Warszawą, wyrzuciła bar-  
dzo dużo zasobników, poleciała dalej na wschód, zaopatrzyła się



w paliwo i wróciła z powrotem będąc bez żadnych strat. Ale było to znacznie później. z braku wyrażenia zgody na takie ułatwienia wyrażało się również ich działalność wybitnie wręcz dla Polski, a również nieprzychylna dla aliantów, którzy w zasadzie nie chcieli iść z pomocą, a przeciwnie ci kolosalnie im pomagali destruując całą armię Czerwoną.

Trudno stawały się już moje warunki materialne. Nie umiałem handlować. Ten handel dorywczy, gdzie i casy się dają, nie ufał mi do przekonania, nie umiałem tego jakoś robić, choć przecież przed wojną cały czas handlowałem ziemią, ale przecież to było zupełnie coś innego. Był to zupełnie inny rodzaj transakcji, nie można było tego porównać z ekupacyjnym handlem, że tam powiła "kawiarnianka", gdzie przy kawie załatwiano się transakcje na różne towary istniejące, lub czasem nieistniejące. Wydatki rosły. W mojej sytuacji finansowej pomagał mi mój krawiec, prowadzony na basen z panią Zawadką. W budce była piwnica, w której można było różne rzeczy przechowywać. Byłem z nią w spółce również w sprzedaży jej pantofli, tzw. "Zakopianek". Handel pantoflami bardzo ładnie się godził ze sprzedażą moich wódek. Stlepiła ten krawiec dla mnie jeszcze dodatkowe kapitałowe znaczenie, ponieważ tutaj zrobiłem punkt spotkań konspiracyjnych i schowek na różnego rodzaju papierki i dokumenty konspiracyjne. Praca moja w konspiracji cały czas polegała na kontroli pracy oddziałów K.O.P.U., czyli oddziałów II rzutu z rejonu obwodu królestwa. Te oddziały zostały właśnie powierzone mojej opiece. Chodziłem więc prawie codziennie na takie zebrania szkoleniowe, pod kątem taktycznym i technicznym. Było to szkolenie posługiwania się bronią i prowadzenie szturmów, co wreszcie w zamkniętym lokalu było bardzo trudne do prowadzenia. Poza tym miałem dość często, jak wspominałem zebrania w dowództwie obwodu u pułkownika Kadwana i zebrania z dowódcami poszczególnych rejonów

nów, narodziło i jak i II krata. Z tego względu nie miałem na nic  
już czasu, i całe swoje życie, poświęcając w ten sposób się wyżywiając;  
całą duszą i siłami byłem w konspiracji. Wiedziałem, niestety, jednak  
dużo kłopotu z moim synem, miał już 15 lat i wiedziałem, że prze-  
cież się orientuje w sytuacji i może wejść do jakiegoś oddziału kon-  
spiracyjnego, który by mnie wcale nie odpowiadał, więc zacząłem się,  
co zrobić. Wiedziałem się, o jakimś jego "związku", a jednocześnie i tak  
uczył się na kompletach, więc i to zostało pewnie rytmem, a nie mogłem  
przecież go odizolować. Totalnie woliłem go do oddziału dusia Metz-  
era, wówczas kapłana "Luzaki", który doszedł wtedy II rejonem od-  
działów MOU. Dostał on przydział do kompanii "Jelity",  
inaczej "Kriestuskijskijs" więc prosiłem go o szczególną opiekę. One-  
drze mi o to, aby starał się, nie narazić go, że co przecież można  
sobie wyobrazić, że by się z nim obiegali stano, gdyż, że się coś  
tamiego przytrafiło, czy to aresztowanie, przesłuchanie lub nie daj  
Bóg śmierć. Prosiłem również tego "Kriestuskijskiego", żeby się rze-  
czem opiekował, ponieważ ten był w konspiracji, jako młodzieńca,  
aresztą znawcą. Gdy naogółem się, że do istniejącej swojej decy-  
zji decydując, rolę w tej sprawie odegrało również mojego przyja-  
ciela Jasia Kauszerca, któremu się zwierzyłem do swoich kłopotów.  
Posiadał mi wprost "Ja nie mam co się narodzić, wolałem go do ja-  
kiegoś oddziału wzniesie to poaył sobie, gdyż on nigdy nie nale-  
wał, a byłoby powstanie i nie byłoby w nim udziału, chciałby zawsze  
do siebie pretensję o to, że mu to uniemożliwili. No i wolałem  
mu przyznać rację i z bólem serca zrobiłem tak, że wolałem go do  
kompanii II rejonu MOU.

Koleżwiom tymczasem posuwali się powoli do przodu. Widać było  
było szczególnie w Warszawie, gdzie a frontu wschodniego przywożo-  
no rannych i zajmowano dla nich szpitale warszawskie. Widać było,  
że nie jest to już ta armia butna, pewna siebie, stale zwyciężająca.



Na froncie wschodnim toczyły się duże bitwy. Niektóre z nich były nawet dla Niemców zwycięskie, po nich jednakże musieli się cofać dalej, ponieważ w innych miejscach następowało przerwanie frontu przez bolszewików. A my marzyliśmy cały czas o aliantach i ich inwazji. Wiedzieliśmy, że jeżeli alianci wylądują na półwyspie Bałkańskim, a przecież jednocześnie zajęte już były przez nich Słowacja, więc chyba szybciej posuną się na północ i przyjdą na tereny Polski; w ten sposób odciąliby nas od bolszewików. Ale niestety, marzenia te się nie spełniły, bo właśnie lądowali zupełnie gdzie indziej, bo w Normandii w okolicy Cherbourg. Tam początkowo były bardzo ciężkie bitwy, ale alianci przełamali opór i posuwali się naprzód w kierunku Paryża. Na terenie Francji były bardzo ciężkie walki, w których nie zawsze alianci mieli szczęście, ale jakoś zwyciężali i posuwali się powoli naprzód. Nam to nie odpowiadało, ponieważ marzyliśmy o tym, żeby jak najszybciej doszli do nas. Teraz już wyraźnie zarysowywała się pełna klęska Niemców. Chcieliśmy tylko, aby to nastąpiło jak najszybciej. Nie mogliśmy zrozumieć postępowania Niemców. Wydawało się, że powinni oni stawiać mniejszy opór aliantom zachodnim i wpuścić na swoje tereny Anglików i Amerykanów. Wraz z aliantami posuwała się na lewym skrzydle wspaniała dywizja pancerna gen. Maczka. Wydawało nam się wtedy, że dla Niemców chyba byłoby lepiej, żeby cały ich teren okupowali alianci, a nie bolszewicy. Wtedy inaczej ułożyło by się życie całego narodu niemieckiego. Ale widocznie jednak Hitler myślał inaczej, ciągle liczył na jakąś nową broń, której zastosowania jednak mu się nie udawało. Liczył może na jakąś bombę atomową i na to, że pod tę nową broń armia aliancka się załamie. Na to chyba liczył do ostatniej chwili. Stało się inaczej. Wojska bolszewickie zbliżały się do Warszawy i zajmowały coraz to większe tereny Polski. Taka sytuacja była na początku roku 1944. Jeśli chodzi o prace

w konspiracji to zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że nasze wystąpienie zbrojne sbliza się coraz bardziej, ale nie wiedzieliśmy, naturalnie, kiedy ono nastąpi. Spodziewaliśmy się jednak, zgodnie z nakazami odgórnymi, że wystąpienie Armii Krajowej może nastąpić dopiero w momencie zdecydowanej klęski niemieckiej, to znaczy wtedy, gdy bolszewicy będą zajmować Warszawę. Nie liczyliśmy już, że alianci zdążą tu przyjść przed nimi. W pierwszych więc miesiącach 1944 r. AK była całkowicie przygotowana do wystąpienia na terenie Warszawy. Przygotowania te jedynie o tyle tylko były niedostateczne, że broni było za mało, a nie można jej było zdobyć na tyle, żeby całkowicie uzbroić Armię Krajową. Nie mówię tu naturalnie o jakiejś broni cięższej, jak artyleria, czy coś w tym rodzaju. Chodziło tu tylko o ręczną broń maszynową: o karabiny, karabiny maszynowe itp. Tego wszystkiego było jeszcze za mało. Jeśli chodzi jednak o nasz rozpracowanie taktyczne, to było ono związane na ostatni guzik. Wszystkie obiekty przewidziane do opanowania były rozpracowane bardzo dokładnie, oznaczone były punkty wyczekiwania, miejsca wybuchu. Oznaczone było, skąd ma nastąpić uderzenie, w jaki sposób dany obiekt miał być zdobyty i co miało być z nim dalej, gdzie każdy oddział po jego zdobyciu miał wyruszyć, jak postępować itd. Wszystko to było dokładnie opracowane i prze-myślane, więc na naszych zebraniach powtarzaliśmy wielokrotnie i przypominali szczególnie dowódcom oddziałów, gdzie i jak mają się zbierać, w jaki sposób mają uderzyć i jak liczne mają być poszczególne oddziały. Wyczekiwaliśmy tego wybuchu, ale wiedzieliśmy przecież, że nie nastąpi on wcześniej niż pełne załamanie armii niemieckiej. Był już przekroczony Bug, zajęty Lublin i armia bolszewicka posunęła się w stronę Warszawy. Tymczasem w Lublinie powstał bolszewicki rząd polski. Powstała Krajowa Rada Narodowa. Z rządem polskim nie miało to nic wspólnego, ponieważ było to



stworzone wyłącznie przez bolszewików, żeby po zajęciu Polski utworzyć tu bolszewicką władzę. Bardzo nam się to nie podobało, ale jeszcze mieliśmy nadzieję, że w najbliższej przyszłości sprawy się jakoś rozwiążą i wyjaśnią, bo przecież był w Londynie prawdziwy rząd polski, na czele którego stał Sikorski. Marzyliśmy wszyscy, że może uda się jeszcze jakoś uniknąć tego bolszewizmu. Liczyliśmy, że jednaki alianci dojdą do porozumienia ze Stalinem i może dojdzie do wspólnego porozumienia i sprawy polskie jeszcze się pomyślniej ułożą. Tymczasem sytuacja w naszym mieście nie zaleciała się. Stale były robione łapanki i aresztowania, blokady mieszkań.

W połowie lipca wyrzucano nas z mieszkania i musieliśmy się przenieść do innej dzielnicy. Całe szczęście, że siostra żony miała wtedy do dyspozycji mieszkanie na ulicy Koszykowej, więc mieliśmy możliwość tam się przenieść i ulokować. Przeszła groziło nam już to dawno, dlatego, że mieszkanie znajdowało się w zasadzie w samym centrum tak zwanej "dzielnicy niemieckiej". Z hotelu sejmowego, w którym stało wojsko niemieckie, widać było wszystko, co się działo w naszym mieszkaniu i nasz wrażliwy, że coś in się nie podobało. Szczególnie wtedy, gdy u nas zamieszkał koleżka syna, Ordnowie, i mieszkali w pokoju frontowym, więc dość często przy oknie się kręcili. Przez cały jednak okres okupacyjny, a więc do połowy lipca 44 r. udało się nam jednak tu przemieszkać, a to dlatego, że w swoim czasie mieliśmy kontakt z taką folkadentschką, zamężną z Polakiem, która uważała się za Polkę. Mieszkała ona w dzielnicy polskiej, gdzieś na ulicy Koszykowej, i zastrzegła sobie w urzędzie kwaterekowym niemieckim że to nasze mieszkanie zajmie. Była to do pewnego stopnia uzgodniona ze naszą fikcją, ponieważ chciała sobie w razie czego zabezpieczyć to mieszkanie, o ile ją zechcą przesiedlić, ale zasadniczo liczyła, że pozostanie w swoim mieszkaniu na ulicy Koszykowej, a nam zabezpieczy w ten sposób możliwość mieszka-

nia na wiejskiej. Niezależnie od tego przychodzili również do nas obejrzeć mieszkanie, kierowani prawdopodobnie przez Niemców, amatorzy, których zradaliśmy przede wszystkim tym, że stwierdzaliśmy, że w mieszkaniu są pluszaki, a Niemcy bardzo się tego bali; nie sprawdzając tego okazaliście rezygnowali. Jeden jedyny raz udało mi się z trudem uwolnić od zbyt natrętnych amatorów. Mianowicie przyszła taka Polka, pamiętam nawet jak się nazywała - Gryczyńska. Mąż jej oficer polski był w oflagu a ona tutaj miała zamiar wyjść za mąż za śandaraa niemieckiego i razem z nim pragniała obejrzeć nasze mieszkanie. Argument z pluskami mało tu pomógł, bo powiedziała, że z tym to ona sobie da radę. Udało mi się dopiero oswobodzić od tej przykrej wizyty, gdy pokazałem papierek przyznający namo mieszkanie tej Volkdeutsche Kuchowej. Była oburzona, że nie może zdobyć tego mieszkania, ale jednakże musiała zrezygnować i jakoś się wyniosła. W tej ciągłej niepewności byliśmy aż do połowy lipca, kiedy to ogłoszono nam, że nasz rodzina Reichdeutsche prawie nie mówiących po polsku. Tylko matka mówiła trochę po polsku i zwierzała się że wcale nie chce się tu przeprowadzać. Córki, które twierdziły, że wcale nie mówią po polsku, napierały jednak na to, aby to nasze mieszkanie zająć. W entery oczy tej matce tłumaczyłem, że to nie ma sensu: "Po co macie się tu przeprowadzać, przecież bolszewicy są całkiem blisko, Warszawa zostanie zajęta i co wy wtedy zrobicie? i tak będziecie musieli z Warszawy uciekać, to po co was się tu pakować!" Ona nawet i płakała, ale córki jej nie dawały spokoju, więc musiała ulec. Tu już nie mieliśmy żadnej rady i musieliśmy się przeprowadzić na ulicę Nowogrodzką, do mojej szwagierki Julii; tam przeżyciśmy do dnia wybuchu Powstania. Trzeba przyznać, że prawdopodobnie wyrzucenie nas z ulicy wiejskiej okazało się dla nas lepsze, ponieważ nie wiadomo byłoby, co by się stało, gdybyśmy tam zostali. Z chwilą wybuchu Powstania



Niemcy prawie wszystkich lokatorów na Wiojskiej z mieszkań wyrzucili, wielu pomordowali. Tak zginął między innymi jeden mój kolega, Bachmanow. W każdym razie uratowaliśmy sobie nasze życie.

Na Nowogrodzkiej zresztą było dużo pięciopokojowe mieszkanie, więc rozlokowaliśmy się w nią całkiem wygodnie. Z nami przenieśli się oczywiście i młodzi Ordonowie. Niedługo z nami mieszkali, bo jeszcze w lipcu wyjechali do domu do Częstochowy. Dzielnica niemiecka kończyła się gdzieś na Mokotowskiej, ale Niemcy już antej chętnie się lokowali. Przede wszystkim pchali się w same Aleje Ujazdowskie i Wiojską, natomiast cała pozostała Warszawa - z wyjątkiem getta - stanowiła dzielnicę polską; tu Niemcy się już do mieszkań nie wtrącali.

Z całej dzielnicy polskiej Niemcy wyrzucali Żydów do getta. Ich wyrzucano bez pardonu, każąc się wynosić w ciągu kilku godzin. Czasem zabierali swoje meble, a czasem je zostawiali. Polacy, którzy mieszkali na terenie dzielnicy żydowskiej, musieli się przeprowadzać do dzielnicy polskiej. Odbywały się więc w swoim czasie liczne zamyki mieszkań. Początkowo na terenie getta były jeszcze możliwe warunki i jakos Żydzi sobie dawali taką radę. Oczywiście lepiej poradziło się Żydom bogatym, dlatego że mając pieniądze łatwiej sobie radzili z Niemcami. W okropnych warunkach była bieda żydowska. Masę było takich dzieciaków bezdomnych, porzuconych i opuszczonych, które nie miały co jeść i głodowały. Przedostawały się one nieraz na surowy, na tereny polskie, zebrać. No, ale bano się je przyjmować, ponieważ Niemcy ogłosili, że kto je będzie przetrzymywał i im pomagał, to będzie karany aresztem lub śmiercią. Pamiętam, że na nasz bazar tam na Nowym Świecie przychodziła grupka takich bachorów, więc zaopatrywalimy je w co mogliśmy no i startaliśmy się im pomóc, ale oczywiście to była kropla w morzu. Tak jakos egzystowali aż do 43 roku, tj. do czasu gdy Niemcy przystąpili do likwidacji całego getta, do palenia domów, mordowania ludzi. Stędy

Żydzi wystąpili z obroną i było to powstanie żydowskie w getcie. Żydzi bronili się naturalnie, ale cóż, obrona ta była całkiem bezradniejsza i nasieli zginąć. To też wszyscy zostali wyzbrojeni, a cały teren getta spalony, a następnie przez Niemców zburzony.

Jasne że AK nie mogło w tym momencie okazać żadnej pomocy Żydom, dlatego że wówczas również zostalibyśmy wyzbrojeni. Był to czas, gdy jeszcze Niemcy byli potężni i dysponowali wielką siłą i ogromną ilością wojska, a wtedy jakikolwiek wystąpienie zbrojne byłoby całkowitym absurdem. Rozgano powstanie Żydów w getcie poprzez podrzucanie broni, jakkolwiek sami nie dysponowaliśmy nią w dostatecznej ilości. Podrzucano się również żywność, jakkolwiek było to bardzo trudne i ryzykowne.

Okolo 20 lipca bolszewicy dotarli pod Warszawę i dochodziły pogłoski, że czolgi podchodzą pod Pragę, a nawet że były już na jej przedmieściach. Wydawało się, że lada dzień Praga będzie przez bolszewików zajęta. Potwierdziła to panika, która była już widoczna w Warszawie wśród Niemców. Widać było, jak się pakowali, wyjeżdżali, wywozili różne urzędy. W końcu na ulicach Warszawy pojawiły się pierwsze oddziały wycofującego się wojska. Nie były to już oddziały regularne, ale dużo jadących wozami i furmankami naruderów, którzy ładowali na te wozy, co się dało i jechali na zachód. No i wydawało się, że już nastąpiła ich całkowita klęska i lada dzień Warszawa zostanie zajęta. Ale gdzieś zaraz po dwudziestym lipca ten odwrót niemiecki jakos się uspokoił. Widac było, że niektóre urzędy wracają znów do Warszawy i Niemcy znów się tu rozlokowują. Zaraz się rozszalały pogłoski po całej Warszawie, że Niemcy zastosowali kontruderzenie gdzieś koło Jabłonay, w kierunku północnym i wschodnim, no i zatrzymali ofensywę bolszewicką. Życie w Warszawie powróciło do poprzedniego stanu. Pojawiły się znów na ulicy niemieckie patrole. Kurasowały jednak również uporczywe pogłoski, że



boliszewicy są tuś, tuś, a jedynie nieznacznie cofnęli się od Pragi i są gdzieś koło Madayałina, a główne ich siły są w otrocku. Bliższe dane o tym mógł mieć jedynie wywiad Armii Krajowej, ale nie podawał tego do publicznej wiadomości. Liczyliśmy na to, że nastąpi znów uderzenie i że Warszawa zostanie zajęta. Nie widziałem już było panicznej ucieczki jak poprzednio, jakkolwiek widziałem było, że coś się na froncie dzieje i że Niemcy nie czują się pewni. Maruderzy szli w grupkami, choć już rządziej niż poprzednio, przechodzili przez miasto. Szli na zachód wciągając się w niedopracowane po Warszawie i kombinując, co by tu złapać i zabrać ze sobą. Okres ten był o tyle korzystny dla naszej organizacji, że wówczas można było łatwo zakupić większą ilość broni, właśnie od tych maruderów. Była ona czasem kupowana lub po prostu zdobywana poprzez rozbrojenie małych, wążających się grupek. Trochę to przypominało listopad 1918 roku, ale nie było to robione tak masowo, ponieważ jednak trzeba było uważać, gdyż patrole żandarmerii jeszcze krążyły po ulicach. W każdym razie w tym okresie łatwo było zdobyć trochę broni i to najrozmaitszej. Chodziło tu przede wszystkim o rewolwery automatyczne, karabiny i - od czasu do czasu - nawet karabin maszynowy. Było to dla nas bardzo korzystne, ponieważ właśnie w tym okresie udało się oddziałom AK dobroić. Niemcy czuli się jednak jeszcze całkiem pewnie w Warszawie i robiło wrażenie, że jeszcze nie mają zamiaru jej opuścić.

Ale oto jak grom uderzyło w nas obwieśczenie niemieckie, padające że dnia 26 lipca o godzinie 8 rano mieszkańcy Warszawy w wieku mężczyźni od lat 18 do 60 i kobiety powinni się zebrać na kilku wyznaczonych placach, z łopatami, w celu przygotowania miasta do obrony przed bolszewikami. Było to naturalnie kopanie rowów przeciwlotniczych i okopów. No oczywiście zarządzenie to uderzało w ludność Warszawy i należało przypuszczać, że niewiele osób się na

placę stawi. Wówczas mogą nastąpić represje ze strony Niemców. Ci natomiast, którzy się stawali, mogli być wywiezieni. Choćżko głównie o stółce, bo nie bardzo wierzyli, że chodzi tu tylko o kopanie okopów, ponieważ nie byli do tego przygotowani. Zresztą nie bardzo nawet mieli czym, ponieważ obciążenie, aby się zgłaszać z łopatami, było absurdalne, gdyż mieszkańcy miasta z reguły tych łopat nie mieli, bo i skąd je mogli mieć. Jussa było, że Niemcom nie chodzi tu o to, aby mieć ludzi do kopania okopów, a chodziło raczej o to, aby wygarnąć z Warszawy młodych ludzi. Wygarnięcie zaś stółce groziło kompletną dezorganizacją Armii Krajowej, do czego nie można było w tym wypadku dopuścić, w przedziedzie ewentualnego wystąpienia zbrojnego. Trzeba było temu przeciwdziałać. Wależno przypuszczać, że mieszkańcy się stawali, ponieważ się bali ale i w tym wypadku groziły represje, do których również nie można było dopuścić. Dlatego też wydane zostało alarmowe zarządzenie Armii Krajowej, żeby wszystkie oddziały się mobilizowały i zgłosiły się na kwatery oczekiwania, czekając na dalsze rozkazy. Przypuszczenie o tyle się sprawdziło, że rzeczywiście prawie nikt się nie stawił na te place. Można powiedzieć, że były to jedynie kiliczone grupki ludzi starszych. Wszelkian specjalnie zobaczyć, jak to wygląda, na plac Narutowicza i widziałem stojącą taką grupkę, składającą się z kilkunastu osób. Byli to ludzie, z których Niemcy nie mieliby przy robotach żadnego pożytku. Ciekawym, co z tego wyniknie i jaka będzie reakcja Niemców. No i tu, na ogólnym zdziwieniu, żadna reakcja nie nastąpiła. Niemcy zupełnie <sup>nie</sup> zareagowali na to słabeśnawie ich zarządzenia. I tymczasem rano 27 lipca, Armia Krajowa się mobilizowała i zajęły pozycje, co, w jak ja w moich oddziałach obliczyłem, w ponad 90%. To było rzeczywiście bardzo dużo. Nie tylko mobilizowali się żołnierze, nie tylko zgłosili się na swoich kwatery oczekiwania w gotowia bojowa, ale także



byli uzbrojeni w broń przez siebie posiadaną. Wszystkie oddziały, które miały tę broń w składzie, oczywiście sprowadziły ją na swoje kwatery wyzekiwania, względnie przyniesiona została z magazynów ogólnych, w których była przechowywana. Również zmobilizowali się wszyscy, którzy mieli tę broń dostarczoną. Wszyscy zgłosili się w oznaczonym czasie i ta broń do oddziałów AK-owskich dostarczono. Wówczas miałem swoją kwaterę wyzekiwania w biurze mojego szwagra, na ulicy Żulińskiego, czyli Furawiej, pod numerem 9-tych. Siedzieliśmy całą grupą, mając dość dużą ilość zgromadzonej broni, która w razie zarządzenia godziny "A" czyli wybuchu Powstania, miała być rozbrana przez oddziały nie podlegające (oddziały wojskowej służby ochrony Powstania). Poczekaliśmy na tej kwaterze również cały dzień 27-go i potem następną noc, czekając co się dalej stanie, ale jakoś było bardzo spokojnie. Ludzi, którzy zetruli się na tych placach Niemcy zwalniali i kazali im iść do domu. Tymczasem czekaliśmy na swoich kwaterach, nie wiedząc, co będzie dalej. Wykluczona było, żeby mogło w tym momencie zacząć się jakieś Powstanie, ponieważ Niemcy po odparciu Gólszewików i przeprowadzeniu kontruderzenia czekali. Słychać było jedynie kanonadę artyleryjską z odległości 20-30 km. Dowiadaliśmy się, że front jest na linii Radzyńska, czy Otwocka. Niemcy o swoich działaniach obronnych również nic nie podawali w "Nowym Kurierze Warszawskim". W Warszawie jednak było dużo wojska niemieckiego. Podszły tu nawet siły większe niż poprzednio. Niektóre, że je gromadzono, chcąc przeciwnika zatrzymać. Masę wojska znajdowało się również na przedmieściach Warszawy. W tych warunkach rozpoczęcie Powstania, byłoby absurdalne, ponieważ zgromadzone tu wojsko mogło łatwo zniszczyć te słabe uzbrojone oddziały AK-owskie. Zapewne na skutek takiego właśnie rozumowania wyszedł rozkaz, odwołujący pogotowie bojowe. To było 29 lipca, w niedzielę. Byliśmy z tego bardzo zadowoleni, ponieważ zdawaliśmy sobie z tego sprawę,

Je rozpoczęcie powstania w tej sytuacji będzie absurdem. 29-ego  
wice pierwszy raz zrobiono to, parę kroków do domu, to znaczy na  
ulicę Nowogrodzką. Wówczas spoc. Wolność naturalnie w tych nie-  
pełnych czasach pomyśleć trzeba w domu, nie mieszkać na kwatery w  
biurze u swojego szwagra, gdzie było nas; broniliśmy i w czasie jakiegoś  
skroczenia Niemców, z tego czy innego powodu, byliśmy to bardzo  
nieprzyjemne, ponieważ musieliśmy się bronić, no i rezultat ta-  
kiej obrony był bardzo nieprzyjemny i zupełnie byłoby wówczas nasze  
działanie. W ten sposób przygotowanie alarmowe Armii Krajowej zostało  
odwołane i 29 lipca wszystko wróciło do poprzedniego stanu, sprzed  
alarmu. Niezrozumienie zarządzania niemieckiego, dotyczącego zbior-  
ki na placach, przeważyło trochę bez przykrych konsekwencji dla miesz-  
kańców Warszawy, a tym samym i dla Armii Krajowej. A razie zaato-  
sowanie przez Niemców jakichś represji, a także masowych areszt-  
owań czy wywieżeń, Armia Krajowa musiała by wystąpić, bo po to  
przebieg robili się przygotowanie alarmowe, po to się wybieraliśmy w  
punktach wysekowania. W warunkach takiego nasilenia wojny w okoli-  
cach Warszawy byłoby to bardzo ryzykowne i mogliaby nastąpić całko-  
wita nasza klęska. Zwolnienie przygotowania alarmowego, utrzymanie ofen-  
sywy na froncie warszawskim i jaki taki spokój w mieście, całko-  
wicie potwierdzały moje przypuszczenia, że w tej chwili powstanie  
nie wybuchnie i Armia Krajowa nie wystąpi. Zdawało mi się, że sytuacja  
wysekowania potrwa jeszcze dłużej, ponieważ braliśmy się czekać  
na odpowiedni moment, zgodnie z założeniami konspiracyjnymi, że  
wystąpi się dopiero wówczas, gdy Armia niemiecka będzie całkiem  
rozbita i będzie w pełnym odwrocie. I że to się w tej chwili nie  
zawsze, więc w ścisłości, że taki stan potrafił jeszcze dłużej  
trwać, zanim bolszewicy wystąpią z dalszą ofensywą. Stąd mogło by  
się zacząć powstanie. Byliśmy więc pewni, że mamy jeszcze przed  
sobą dłuższy czas oczekiwanie na ten moment, upragniony przez nas



moment, ale moment wybrany w odpowiedniej dla wystąpienia chwili, w sytuacji możliwej dla nich dla oparowania Karasewy, ab, zapewnić tej akcji powodzenie.

### Powstanie Warszawskie

Wnio tych, miałyby się bardzo logicznych przypuszczeń, 1 sier-  
nia rano, we wtorek, dostałem zawiadomiony przez przysłanego mi łącz-  
nika, że właśnie tego dnia o godzinie 17-ej czyli piątej popołudniu  
wyznaczona jest godzina "X" - wybuchu Powstania Warszawskiego.  
Uważałem posunąć te za całkowicie błędne. Wiedziałem, że Powsta-  
nie w tych warunkach nie może się udać, bo przecież następuje tu  
całkowita zmiara planów, i wszystko musi być przeprowadzone nie-  
zgodnie z założeniami konspiracyjnymi. Przede wszystkim szkolono  
nas i nastawienie było takie, że Powstanie może się rozpocząć wie-  
czorem na noc, albo o świcie na dzień, a tu nagle za to nastąpiło  
w dzień, o godzinie piątej, wtedy gdy jest największy ruch na uli-  
cy, bo właśnie urzędnicy wracają do domów. Tym bardziej, że był to  
jeszcze dzień handlowy, więc na ulicy był zwiększony ruch. Jak tu  
można było przeprowadzać mobilizację i jak można było niepostrze-  
żenie przejść na kwatery i w ogóle przygotować się do akcji, kiedy  
zupełnie inne były poprzednie założenia. Najważniejsze zaś było  
to, że w tych warunkach nie można było absolutnie przeprowadzić  
naszej mobilizacji. Ludzi można było wezwać do stawienia się na kwa-  
tery wyczekiwania tylko wtedy, gdy znajdowali się w domu, ponie-  
waż przecież trzeba było ich jakoś zawiadomić, wyznaczając czas  
zbiórki, tak jak to było poprzednio, kilka dni wcześniej. Jeżeli  
ja, będąc na dość wysokim szczeblu wojskowym, dostałem zawiadomie-  
nie o 7mej rano, to przecież musiałem zawiadomić podległe sobie  
oddziały, a więc z rejonu Śródmieście - dowódców rejonów; ci z ko-  
lei - dalej do kompanii; kiedy ta wiadomość miała dotrzeć do po-

szczególnych żołnierzy? Nie wcześniej jak o godzinie 12 czy 1-szą w dzień. Czyż o tej porze, szczególnie w dzień handlowy, ktokolwiek był w domu? Przecież cała Warszawa handlowała, a poza tym pracowała i wszyscy byli gdzieś zajęci, więc nie było ich w domach, nie można było nikogo zawiadomić, więc w tym wypadku mobilizacja nie mogła się udać. No i rzeczywiście się nie udała. Poszczególne oddziały tylko w bardzo nieliczonych wypadkach stały się na swoich kwaterach oczekiwania. Tragedia jeszcze polegała na tym, że nie stawili się na wezwanie ludzie, którzy mieli pobrać broń z magazynów i dostarczyć ją do oddziałów. Ludzi tych nie było, więc broń nie została na kwatery oczekiwania dostarczona, a jeżeli tak się stało, to tylko w bardzo nieliczonych wypadkach. I dalej, skoro ludzie się nie stawili w odpowiedniej porze na swoich kwaterach oczekiwania, to znaczy, że poszczególne oddziały nie zostały zmobilizowane i nie mogły również być wykonane ich zadania taktyczne, nie mogli zdobyć tych czy innych wyznaczonych punktów. Więc właściwie wszystkie założenia i cały plan powstańczy bierze w łeb, bo kim tu było wojować, skoro nie było oddziałów na swoich miejscach, aby mogły wyznaczone sobie punkty zaatakować. No i rzeczywiście to się potwierdziło. W Śródmieściu właściwie zgodnie z założeniami został zdobyty tylko jeden, jedyny obiekt, a mianowicie Elektrownia Warszawska. Cały oddział znajdował się na miejscu, ponieważ składał się z pracowników elektrowni, więc oczywiście oni się szybko zmobilizowali, przeprowadzili uderzenie zgodnie z planem i elektrownię w ten sposób zdobyli. Co się tyczy innych oddziałów, to jeżeli chodzi o Śródmieście - prawie nikt się nie zmobilizował całkowicie. Nie można było zdobyć wyznaczonych punktów i wówczas zaczęła się po prostu prowizorka działania poszczególnych oddziałów. Każdy oficer kombinował, jak mógł, ze swoimi żołnierzami, którzy się jakoś zebrali, zagłębnie z innymi, znajdującymi się pod ręką na tym



terenie. Nale tego. Zdarzyły się jeszcze takie zupełnie absurdalne pociągnięcia ze strony Komendy Głównej. Mianowicie zacięła ona dla czegoś swoją kwaterę. Otóż przędowało się, że będzie ona na Mokotowie, tymczasem w ostatniej chwili, to znaczy już w momencie po wydaniu rozkazu i wyznaczeniu godziny "S" Komenda Główna przeniosła się na ulicę Okopową. Dalej - pułk "Bazta", który właśnie był na Mokotowie i miał pozostać w dyspozycji Komendy Głównej oczywiście już się nie mógł przenieść z Komendą Główną na ulicę Okopową, pozostał na Mokotowie i tam później w tej czy innej formie, brał udział w walkach powstańczych. Natomiast te najlepsze oddziały, "Zośka" czy "Parasol", które prawie cały czas były w pogotowiu i były tak samo w dyspozycji Komendy, czyli właściwie Komendy Głównej a swoje kwatery wyczekiwania mieli na ulicy Mokotowskiej, w ostatniej chwili musieli się przenieść na ulicę Okopową. W ten sposób grupy te zostały prawie dezorganizowane i znalazły się w terenie właściwie dla siebie nieznanym, obcym, gdzie walka była dla nich dużo cięższa i trudniejsza. Wszystko to się jakoś tak dziwnie stało, no i w rezultacie było jasne, że Powstanie w tym warunkach nie może się powieść. Można było już wówczas przewidywać, że na pewno spotka nas klęska i rzeczywiście tak się stało. Powstanie się nie powiodło, AK poniosła kolosalne straty w ludziach i, niestety, miasto zostało prawie całkowicie zniszczone. Ja osobiście jestem przekonany, że jeżeli nie byłoby tej niezrozumiałej zmiany rozkazu i Powstanie nie zaczęłoby się właśnie w tej chwili, tak niekorzystnej dla Armii Krajowej, wtedy gdy tyle wojska niemieckiego było jeszcze w Warszawie, nie o tej godzinie, a w porze przygotowanej (albo o świcie albo wieczorem), gdyby był czas na ogłoszenie mobilizacji i można byłoby zebrać ludzi w domach, to wtedy Powstanie by się udało. Nie straciłoby się wtedy tak kolosalnej ilości broni, a gros jej przecież przepadło, bo nie można było jej podjąć

z magazynów. Oddziały byłyby na kwaterach wyczekiwania i w godzinie "a" w 80 czy 90% przystąpiłyby do akcji, a wszystkie obiekty zostałyby przez nas zdobyte. Jestem więc przekonany, że Powstanie by się udało i trwałoby, tak jak się przewidywało, trzy, cztery dni. Warszawa byłaby opanowana i wtedy Armia Krajowa byłaby gospodarzem miasta. Nie wiem, co by z tego później wynikało i jak by w tym wypadku zachowali się bolszewicy. Czy dążyliby nadal do klęski Armii Krajowej, to co się okazało później w czasie Powstania, gdy nie pomogli i zależało im na tym, aby Warszawę zniszczyć? Czy w tym wypadku, gdyby Warszawa była opanowana przez Armię Krajową zachowaliby się tak samo czy też ze względu na opinię ogólną, a przede wszystkim państw zachodnich, by mogli się tak biernie zachować jak się zachowali, przez co Powstanie trwało dwa miesiące i się nie udało, a Armia Krajowa poniosła klęskę. W każdym razie zdaje mi się, że gdyby Warszawa była przez Armię Krajową opanowana, to jednak bolszewicy stojąc wówczas pod Pragę lub na Pradze, znajdując się na prawym brzegu Wisły, musieliby jednak Wisłę przekroczyć i przejść na jej lewy brzeg i połączyć się w takiej czy innej formie z Armią Krajową. Oczywiście trudno przewidzieć, jakby się zachowali, czy tolerowaliby ją, czy też w ogóle zlikwidowali, tak jak to było na przykład w Wilnie, czy innych miastach, gdzie mimo to że Armia Krajowa współdziałała z nimi to jednak tych ludzi zlikwidowali lub wywieźli gdzieś w głąb Rosji, "na białe niedźwiedzie" jak to się mówiło. Trudno to wszystko przewidzieć, tymczasem jednak stało się inaczej. Przede wszystkim rozkaz rozpoczęcia Powstania i przystąpienia do niego nawet w niektórych wypadkach wcześniej niż o wyznaczonej godzinie. Powtarzam więc jeszcze raz, że Powstanie mogło się udać w przypadku gdyby zachowane były wszystkie założenia przygotowane w okresie okupacji. Chodziło głównie o to, aby okres od wydania rozkazu aż do godziny "a" był dostatecznie długi i obejmował go-



dsinę policyjną, w czasie której zawsze można było zastać żołnierzy w domu i być na tyle długi, aby umożliwić podjęcie broni z magazynów i dostarczenie jej na kwatery wycokiwania. Wydanie zaś rozkazu w nocy 31 lipca, gdy rozkaz ten dotarł do Dowództwa Obwodów w godzinach rannych, absolutnie to wszystko uniemożliwił. Powstanie o godzinie 17 miało jeszcze tę ogromną wadę, że zaskoczyło wielu ludzi poza domem w obcych całkiem dzielnicach. Nie mogli oni dotrzeć do swoich rodzin. W wielu wypadkach rodziny te zostały rozdzielone i wielu ludzi cywilnych znalazło się w okropnej, a często tragicznej sytuacji, nie wiedząc zupełnie, co się dzieje z ich najbliższymi. Ja osobiście po otrzymaniu tego niezaplanowanego rozkazu porozumiałem się niezwłocznie z porucznikiem "Tomaszem", komendantem obwodu WSOP-u no i zawiadcałem przez tegoż łącznika komendantów rejonów WSOP-u, aby dalej przeprowadzali mobilizację swoich oddziałów. Z porucznikiem "Tomaszem" - Borajką - ustaliliśmy zaraz przeprowadzić zbiórkę komendantów rejonów WSOP-u na ulicy Śliskiej w mieszkaniu mojego przyjaciela Macusia Szuszkiewicza. Następnie sam przygotowałem się do Powstania i wyjechałem na nie mojego syna, który miał zbiórkę swojego oddziału na ulicy Kiejskiej. Żoną, po zabranie przez nią niezbędnych rzeczy, odesłałem do mieszkania tegoż Szuszkiewicza, ponieważ przypuszczałem, że na cichej ulicy Śliskiej będzie względnie spokojnie i nie będzie żadnej bitwy, natomiast Nowogrodzka 42, róg Poznańskiej, tuż naprzeciwko Pocztą Główną wydawała mi się oczywiście punktem niebezpiecznym. Pocztą Główną była jednym z poważnych obiektów, obsadzonych silnie przez Niemców. Poza tym ważnym punktem był również dworzec i tu mogły być prowadzone poważne bitwy, pozostawać tu było bardzo niebezpiecznie. Na Śliskiej czekałem na spotkanie komendantów rejonów. Następnie, ponieważ było już wyznaczone zebranie u komendanta Obwodu pułkownika "Radwana", więc potem razem z "Tomaszem" udaliśmy

się na zebranie na ulicy Polnej. Na zebraniu tym były wydane rozmaite rozkazy i powtórzona konieczność przeprowadzenia szybkiej mobilizacji. Zwróciłem uwagę na bardzo niefortunne wybranie godziny "W" na 17<sup>00</sup> zaznaczając przy tym, że jest to bardzo krótki okres i niemożliwe będzie dostarczenie tej niewielkiej nawet ilości broni do poszczególnych oddziałów. Na to "Radwan" powiedział: "Cóż, broń będzie musiała zdobywać na Kleszczach". Wówczas powiedziałem, swoim zwyczajem porównując te wszystkie akcje z "Trylogią" Sienkiewicza, że to dobre było jak Wiśniowiecki, gdy zwrócono mu uwagę na murach Zbaraża, że brak jest prochów, wskazał ręką na obóz kozacki i powiedział, że prochy są tam, a wtedy oddziały polskie zrobiły wycieczkę i rzeczywiście te prochy zdobyły. Ale to było możliwe tylko wówczas. Natomiast nie uważałem za możliwe obecnie zdobywać broń na Kleszczach, z żołnierzami tak silnie uzbrojonymi. Do tej odprawy, która właściwie nam nie dała, zostałem wyznaczony na punkt obserwacyjny oddziałów, znajdujących się na ulicy Mazowieckiej i Kredytowej, jako nadzorujący te oddziały z siedzibą w Obwodzie Śródmieście, znajdującą się w Hotelu "Victoria" na ulicy Jasnej. No więc tam oczywiście przemieściliśmy się i tam oczekiwaliśmy godziny 17<sup>00</sup>. Ale strzelanina w niektórych wypadkach, a szczególnie na Żoliborzu, zaczęła się już znacznie wcześniej, ponieważ sporo ludzi, zawiadomionych o wybuchu Powstania, wydrwało - kryjąc się - na swoje kwatery oczekiwania i często byli zaczepiani przez Niemców, w związku z czym wybuchały utarczki i strzelanina, w wielu wypadkach znacznie wcześniej jeszcze przed godziną 17, bo podobno już od godziny 12-tej. W naszym rejonie było jednak jeszcze zupełnie spokojnie i strzelanina zaczęła się punktualnie o godzinie 17, gdy oddziały podlegające bezpośrednio dowództwu Obwodu zaczęły zdobywać gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, na rogu Mazowieckiej i Kredytowej. Nadzorowa-



tem tą akcją, no i w ogóle całe moje zajęcie polegało na inspekcji tych oddziałów, które obsadzały ulicę Marsowiecką i Kredytową. Były tutaj oddziały, podlegające bezpośrednio rozkazom dowódcy - pułkownika "Radwana" - no a przede wszystkim jego oddział dywersyjny, pod dowództwem bardzo szlifowanych oficerów. Był tu również oddział porucznika "Andrzeja", który obsadzał ulicę Kredytową, oraz oddział harcerski, który zajął dom przy placu Matkowskiego i kompania harcerska, która zajęła osiedlewo Marsowiecką i osiedlewo gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Tu właśnie rozpoczęło się dla nas Warszawskie Powstanie. O godzinie 17<sup>00</sup> rozgorzały walki w Warszawie we wszystkich obwodach, w większym lub mniejszym natężeniu. Ponieważ jednak mobilizacja oddziałów nie została należycie przeprowadzona i oddziały nie zebrały się na swoich kwaterach oczekiwania, więc nie mogły przystąpić do realizacji założeń taktycznych w myśl rozpracowań konspiracyjnych. Toteż w poszczególnych rejonach, w poszczególnych dzielnicach Warszawy, zaczęły wybuchać sporadyczne zapętlone potyczki, tam gdzie tworzyły się samorzutnie jakieś oddziały. Spotykali się różni żołnierze, lepiej uzbrojeni i gromadzili się pod dowództwem swoich oficerów, lub przygodnie spotkanych, i przystępowali do walki z napotkanymi na drodze Niemcami. Była to zupełnie bezplanowa prowizorka, w tych warunkach nie można było przewidywać, aby powstanie się powiodło. Tymczasem jednak te oddziały, które się zgromadziły, dowodzone przez takich lub innych oficerów, napadały na Niemców i odbierały obiekty w których ci się gromadzili. Niemcy oczywiście byli zaskoczeni. Prawdopodobnie przewidywali, że wczesniej czy później coś w tym rodzaju się zdarzy, ale nie spodziewali się, że wybuchnie to właśnie w tym momencie, o którym wiedzieli, że jest dla polskiej strony bardzo niekorzystny, ponieważ - jak zaznaczyłem - naszą wojska niemieckie było w okolicy Warszawy. Walki więc przede wszystkim rozgorzały tam, gdzie były obiekty nocnej

przez Niemców obsadzone, gdzie była ich większa ilość i gdzie byli lepiej uzbrojeni. Natomiast w obiektach, gdzie Niemcy znajdowali się przysposobieni, tam gdzie nie byli w zwastych oddziałach, tam walki kończyły się szybko zwycięstwem żołnierzy polskich, a wielu Niemców w pierwszych dniach powstania zabierano nawet do niewoli. Natomiast przy obiektach silniej obsadzonych, tam gdzie Niemcy byli skoncentrowani tam oczywiście walki były bardziej zacięte i obiekty te były dużo trudniejsze dla Polaków do zdobycia niż przewidywało się. Z tego też względu całkowicie się zmienił podział terenu na poszczególne grupy, na poszczególne powody dowodzenia. Zmieniły się granice poszczególnych powodów, a także rejonów, a poszczególne oddziały zostały rozbite na grupy. W tej sytuacji w zależności od zmiany terenu, poszczególne oddziały dowództwa powodów i rejonów, nie mając należytej łączności nie wiedziały czym dysponują i gdzie ich jednostki się znajdują. Dowódcy powodów musieli nawiązywać dopiero łączność i szukać swoich oddziałów i dopiero wtedy wydawać odpowiednie rozkazy, gdzie kto co ma zrobić, jakie obiekty zdobywać i jakie odcinki obsadzać. Jedyni obok I Powód to od razu został podzielony na kilka części. Niemcy trzymali w swoim ręku prawie całe Krakowskie Przedmieście, a początkowo nawet całe, dopiero później został opanowany Kościół św. Anny, następnie komenda polioży. Uniwersytet Warszawski nie był opanowany do samego końca, choć trwały tam cały czas bardzo zacięte walki. Dalej całe Krakowskie Przedmieście było w ręku niemieckim, tak samo i ogród Saski i Plac Zamkowy. W ten sposób oddzielone zostało całe Stare Miasto, to znaczy I rejon Powodu I-go. Utrzymali także Niemcy w swoim ręku Most Nierbedzia. Natomiast całe Powiśle było w ręku polskich, to znaczy teren między Mostem Nierbedzia i mostem Poniatowskiego. Aleje Jerozolimskie pozostawały w ręku niemieckim i w ten sposób oddzielały część północną od południowej Obwodu



pierwszego. Przez Aleje Jerozolimskie można było tylko przedostać się takim płytkim wykopem, zasłoniętym barykadami, znajdującym się nieco powyżej Baszki Gospodarczej Krajowego, bliżej ulicy Brackiej. Niemcy utrzymali także w swoim ręku Dworzec Główny, mocno przez nich obsadzony, który mimo bardzo silnych ataków ze strony powstańców do końca powstania nie został opanowany. Dalej Aleje Jerozolimskie tylko początkowo były w rękach powstańców, a mianowicie plac Ławiszny oraz gmach SIGU (Wojskowego Instytutu Geograficznego). Później jednak, po kilku dniach, tak stąd jak i z filtrów, oddziały polskie musiały się wycofać na drugą stronę, Alei Jerozolimskich, ponieważ były one cały czas pod bardzo silnym ostrzeżeniem niemieckim, tak ze strony Dworca Głównego, jak i z drugiej strony - od Ochoty. Tak samo tylko początkowo udało się oddziałom polskim utrzymać plac Żelaznej Brzozy, następnie Małe Mirowskie i dalej ulicę Chłodną. Tutaj była bardzo ważna dla Niemców arteria przebiegająca. Tylko tą arterią, to znaczy ulicą Chłodną, a następnie Królewską, przez plac Saski na plac Zamkowy, do mostu Kierbedzia, mogli mieć połączenie z Pragą. Oczywiście, ze względów strategicznych było to dla Niemców bardzo ważne, bo przecież na nią, trwały jeszcze walki i wtedy musieli przetrzymać swoje oddziały. Oj raz w pierwszych dniach, bodajże 4-tego czy 5-tego sierpnia, Niemcy od strony woli uderzyli na ulicę Chłodną i przebili się bardzo łatwo do Ogrodu Saskiego, rozdzielając w ten sposób dzielnicę północną od Śródmieścia. Tak prawie całkowicie od Obwodu I-szego odpadła część rejonu IV, a mianowicie część poza ulicą Polską i Chłodną aż do wiaty. Również Stare Miasto było zupełnie odcięte oraz część Powiśla, poza mostem Kierbedzia. Dowodzenie podzielonymi w ten sposób poszczególnymi oddziałami było oczywiście trudne, co jeszcze bardziej potęgował całkowity brak łączności z oddzielnymi przez Niemców pozycjami. Toteż później, na północ od Polskiej, Chłodnej,

Królewskiej i placu Zamkowego - tak zwana "Starówka" utworzyła nowy obsód powstańczy, pod dowództwem pułkownika "Kachnowskiego" - tj. pułkownika Karola Ziemińskiego. Tak samo zupełnie rozdzielone zostały między sobą obszary. I tak na przykład Żolibórz odcięty został od obszaru I-go Śródmieścia linią kolejową i murcem Gdańskim. Żolibórz był zupełnie pozostawiony sam sobie a dowództwo było niezależne od dowództwa Orlęgu, które mieściło się w Pał. na ulicy Świętokrzyskiej. Obsód III wola prawie zupełnie się nie zorganizował. Nieliczne atakowo oddziały walczyły z Niemcami w pierwszych dniach Powstania, ale musiały się wycofać poza ulicę Towarową i tam jakoby się stały całkowicie z obszarem I-go Śródmieścia. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa w obszarze Ochota. Tutaj zorganizowało się bardzo mało oddziałów, powstało parę grup przygodnych, które jednak bardzo szybko zostały przez Niemców zniszczone. Częściowo przedostały się one do Śródmieścia, jednakże było to bardzo trudne, ponieważ od razu obsód Ochota był odcięty przez skoncentrowane oddziały Niemców w wyższej szkole wojskowej. Powtarzam, że nieliczne tylko oddziały udało się stać i przedostać do Śródmieścia. Obsód I - jakobś również został odcięty od Śródmieścia, ale jednak było tu dużo oddziałów, które się zorganizowały. Dużo też tu powstało oddziałów samodzielnie, i jakobś bardzo długo walczyły z Niemcami, z pewną nawet powodzeniem. Jeżeli chodzi o inne Obsody, to mianowicie VI i VII - Praga, teren podskarżowski i powiat warszawski to tu zorganizowała prawie całkowicie samodzielnie i oddziały Alowickie od razu przez Niemców zostały zniszczone. W dzielnicach prawie od razu całkowicie opuszczonych przez Niemców, jak na przykład Ochota czy Wola, Niemcy przystąpili do wywieżenia ludności cywilnej, do jej masowego mordowania i wywieżenia do różnych obozów. Niemało z tych rejonach było całkowicie pólone. W ten sposób została spalona dzielnica Ochota, zniszczona była również Wola.



Początkowo Niemcy nie dysponowali w Warszawie ani artylerią, ani lotnictwem, więc walki dla nas znacznie łatwiejsze. Natomiast później, po kilku czy kilkunastu dniach, wprowadzili artylerię i to nawet artylerię ciężką i lotnictwo, wówczas sytuacja Armii Krajowej stała się dużo trudniejsza. Te niepowodzenia potwierdziły moje przekonanie, że Powstanie wybuchło w nieodpowiednim momencie. Pułkownik "Monte" - Chruściel - który zasadniczo był dowódcą całego Powstania, później - już będąc w Londynie - w broszurze swojej tłumaczył że dlatego przeniósł wybuch Powstania na godzinę 5-tą, bo uważał, że wtedy jest największy ruch na ulicy i wówczas łatwiej będzie powstańcom przeprowadzić całą mobilizację, przedzierać się ulicami pod osłoną przechodniów na swoje kwatery wycokiwania oraz przynieść broń. Pisząc o tym, zapomniał o zbyt krótkim terminie na przeprowadzenie mobilizacji i zawiadomienie żołnierzy. To tłumaczenie nie bardzo mi trafia do przekonania. W samym założeniu - nie powiem, żeby było słusne przeprowadzanie mobilizacji pod osłoną ludności cywilnej, a więc swoich najbliższych. Ja osobiście od wybuchu Powstania pełniłem funkcję oficera operacyjnego i częściowo łącznikowego, jak już mówiłem w I Obwodzie Śródmieście. Obwód ten, o czym wspominałem, podzielony był na cztery rejony. Mobilizacja w Obwodzie I przeprowadzona została tak samo niefortunnie jak i w innych. Rejon pierwszy nie wykonał podstawowego zadania, a mianowicie nie opanował mostu Kierbedzia i terenu Zamku Królewskiego, przez co został jakby podzielony na dwie części. Mniejsza część pozostała na południe od mostu Kierbedzia, a więc w kierunku Czerniakowa, natomiast większa część, razem z dowódcą, przeszła na północ od Zamku Królewskiego, to znaczy na "Starówkę" no i tam już walczyła do końca Powstania. Jeżeli chodzi o rejon II, który od razu został oddzielony od dowództwa Obwodu Aleksandr Jerozolimskimi, również nie wykonał podstawowych zadań, ponieważ nie

zebrał się na kwaterach wyczekiwania. A zadania miał bardzo trudne. Nie opanował więc przede wszystkim Alei Szucha i Hotelu Sejmowego, gdzie stała kwatera niemiecka. Były to oddziały bardzo silne, bardzo dobrze uzbrojone, więc nie było mowy, żeby ta garstka częściowo zmobilizowanej Armii Krajowej, stanowiąca II rejon, mogła te silne niemieckie ośrodki niemieckie opanować. Rejon II obsadził tylko plac 3 Krzyży oraz YMCA'y, która została zresztą potem odbita i w większej swej części wycofał się na Czerniaków. Część zaś rejonu, razem z dowódcą pozostała tutaj na górze, obsadzając ulicę Piłkna, Mokotowską do placu Unii Lubelskiej oraz teren do ulicy Marszałkowskiej. Rejon III zajmujący teren od ulicy Marszałkowskiej do Ochoty i Alei Jerozolimskich również nie wykonał swoich zadań. Zresztą i nie było mowy żeby w tych warunkach mógł te zadania wykonać tak mały grupami. Były tu przecież koszary saperów i filtry, silnie obsadzone przez Niemców, a także gmachy szpitala im. Józefa Piłsudskiego na Nowowiejskiej, oraz Politechnika Warszawska. Rejon III absolutnie nic nie osiągnął i wycofał się na Polną i Sosnowskiego, i tu właściwie już pozostał aż do końca Powstania. Poza tym w rejonie III nie udało się zdobyć tak ważnych obiektów jak Poczta przy ul. Nowogrodzkiej róg Poznańskiej i Dworzec Główny, gdzie Niemcy zacięli się bronić. Atakująca część rejonu III przeszła na ulicę Chmielną i obsadzała raczej tutaj odcinek wzdłuż Chmielnej do Sosnowej, pod dowództwem kapitana "Gurta". Rejon IV został podzielony na części. Mianowicie utrzymał się tutaj teren od Alei Jerozolimskich na północ i północny zachód wzdłuż Nowego Świata aż do ulicy Królewskiej. Królewska już oddzielała ten rejon, jak wspominałem, od Starogo Miasta, a dalej utracił on cały swój teren poza ulicą Królewską, częściowo do Wisły i ul. Okopowej, Ogrodowej - do Państwowej Wytwórni Papierów Kartonowych, która jednak została przez oddziały powstańcze utraconą. Na tym terenie nie



było także śadnego oddziału zamobilizowanego chociażby w 50%.

Może najbardziej liczny i zwarty oddział konspiracyjny na tym terenie to był oddział "Kilińskiego" pod dowództwem rotmistrza, później majora "Leliwy", tego sławnego jeźdźca polskiego Rojewicza.

Od razu w pierwszych dniach powstania została tutaj opanowana Poczta Główna na placu Napoleona, właśnie przez oddział "Kilińskiego".

Następnie, ale to już znacznie później, była również opanowana PAST na ulicy Zielnej, gdzie akcja przeprowadzona była zasadniczo również przez oddział "Kilińskiego", pod dowództwem majora "Leliwy".

Na tym rejonie potworzyło się bardzo dużo takich samorządnych oddziałów, zupełnie od nikogo niezależnych i nie mających łączności z dowództwem obwodu. Dlatego, jak już w swoim czasie wspominałem, tutaj na terenie Żelaznej Bramy i Bagna była masa ludzi handlujących, podobnie jak w Śródmieściu, i z chwilą wybuchu Powstania tu właśnie było najwięcej ludzi i najwięcej potworzyło się takich oddziałów, stworzonych pod dowództwem zupełnie przygodnych oficerów.

Dowództwo rejonu majora "Zagończyka", czyli majora Stanisława Steczkowskiego, który awansował na podpułkownika, mieściło się na ulicy Marszałkowskiej, koło Żłotej w lokalu kina. Później lokal ten został rozbity, więc przeniosło się do innego pomieszczenia.

Dowództwo to tutaj już nie miało właściwie nic do powiedzenia, dlatego że nie miało ze swoimi oddziałami prawie żadnej łączności i nie mogło normalnie tymi oddziałami dowodzić, ponieważ nawet nie wiedziało właściwie, czy i jakie oddziały znajdują się na jego terenie.

Jeden z takich liczniejszych oddziałów należący do tego rejonu, to był oddział kapitana "Łosny" początkowo znajdujący się w okolicy browaru "aberbuscha, a następnie kiedy Niemcy zaatakowali od strony Woli, to znaczy w pierwszych dniach sierpnia, oddział ten przeszedł przez dawniejszą granicę swojego rejonu i znalazł się na terenie "Starówki", gdzie do końca pozostawał i walczył

aż do kapitulacji Starego Miasta. W walczącej Warszawie prawie od momentu wybuchu Powstania walczyły całkowicie niezależnie od siebie dzielnice miasta. A mianowicie walczyło Śródmieście pod dowództwem pułkownika "Radwana" (Edwarda Pfajfera), następnie granicząca, lecz oderwana od Śródmieścia, "Starówka" pod dowództwem pułkownika "Wachnowskiego". Żolibórz odcięty torami kolejowymi i Dworcem Gdańskim pod dowództwem "Żywiciela" (Mieczysława Niedzielskiego), a następnie z drugiej strony miasta - Mokotów pod dowództwem młodszy pułkownika "Karola" (Józefa Rokickiego). Łączność pomiędzy tymi poszczególnymi odcinkami walki była bardzo kiepska. A mianowicie połączyć się można było tylko przy pomocy łączników i łączniczek, którzy przechodzili przez kanały. Kładko i z wielkim trudem przedostawali się góra, ale to było bardzo ryzykowne i najczęściej tacy ginęli, więc się prawie tego sposobu nie wykorzystywało. Jeżeli chodzi o łączność telefoniczną, to od razu z chwilą wybuchu Powstania została ona przerwana, z powodu działań wojennych oraz rozłączenia linii przez Niemców. Nie było, niestety, łączności radiowej. Podobno jakoś można było ze Śródmieścia porozumieć się z Żoliborzem drogą radiową, za pośrednictwem Londynu, ale nigdy nie byłem świadkiem takich połączeń i nie wiem jak się to odbywało. W każdym razie służba łączności nie popisała się zupełnie i bardzo źle to było do Powstania przygotowane i zorganizowane. Byłem w Śródmieściu i podlegałam pułkownikowi "Radwanowi" i inspekcjonowałam oddziały jemu podlegające, a mianowicie oddziały mieszczące się w samym centrum Śródmieścia, z jednej strony od ulicy Kredytowej (więc ulica Mazowiecka i Bony Świat) a następnie w drugą kierunku - do Marszałkowskiej. Codziennie zdawałam ze swych inspekcji relację "Radwanowi", ze wszystkiego, co się dzieje na tym odcinku, ponieważ 1 czy 2 sierpnia został właśnie lekko ranny i leżał cały czas w piwnicy, w oficynie domu pod numerem 11 na ulicy Mazowiec-



kiej. Ja się ulokowałem w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Znalazłem sobie jakiś pokój z jakąś kozetką i tam przebywałem i codziennie obchodziłem wszystkie oddziały, omawiałem akcje z poszczególnymi dowódcami i od razu składałem relacje "Radwanowi". Na odcinku Śródmiejska walki trwały ze zmiennym szczęściem. Tak było mniej więcej do 15 sierpnia. Niemcy dysponowali jednak ogromną siłą. Mieli dużo oddziałów, świetnie uzbrojonych. Oddziały 86 warszawskie i Landamerli uzupełnili jeszcze przede wszystkim oddziałami ukraińskimi takiego pułkownika Kanińskiego, a następnie tak samo, ale to już w późniejszym okresie Powstania, dywizjami pancernymi. Początkowo czołgów niemieckich było bardzo mało, ale stopniowo Niemcy ilość czołgów w Warszawie powiększali, atakując nimi różne odcinki AK-owskie. Po kilku dniach walki pokazało się lotnictwo niemieckie, które bombardowało głównie dzielnicę Śródmiejskie. Szczególnie bardzo przykra była ciężka artyleria niemiecka. 67-centymetrowe pociski wyrzucane były przez takie duże działa, ulokowane gdzieś koło Piaseczana. Pociski te, lecące zresztą bardzo wolno w powietrzu, spadały prawie pionowo z bardzo dużej wysokości i przuły, że tak się wyrażę, 4-5-piętrowe kamienice do samych piwnic. Akcji zaczepnych ze strony Armii Krajowej było stosunkowo bardzo mało, oprócz tych o których już wspominałem, a mianowicie oprowadanie Poczty Głównej czy gmachu PABWA. Tak było w Śródmieściu. Nie miałem natomiast wiadomości, co się działo w innych dzielnicach. 13 sierpnia była przeprowadzona ze strony Śródmieścia poważna akcja, a mianowicie chodziło o przebitcie połączenia ze Starym Miastem. Akcja poszła gdzieś od ulicy Chłodnej, koło Żelaznej Bramy. Akcja się absolutnie nie powiodła i oddziały AK-owskie musiały się wycofać. Akcja ta wywołała kontruderzenie ze strony Niemców, którzy złękli się, że takie uderzenie Armii Krajowej spowoduje przecięcie ich linii komunikacyjnej, idącej ulicą Chłodną, przez Ogród Saski na Krakowskie Przedmieście. Była to dla nich bardzo ważna oś,

którą cały czas przechodziły transporty wojska niemieckiego, ostrze-  
liwane zresztą przez nas z gąsachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskie-  
go. W związku z tym Niemcy wybudowali potem taką osłonę, tak że po-  
tem z gąsachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie było już widać  
ulicy Królewskiej. Niemcy przechodzili również przez ogród Saski,  
na plac Saski, i w ten sposób byli niewidoczni z Towarzystwa Kredy-  
towego Ziemskiego. Kontruderzenie niemieckie miało duże powodzenie.  
Odepnnięte bowiem zostały oddziały AK, należące do zgromadzenia  
"Chrobry II" z ulicy Chłodnej na ulicy Krochmalną i Grzybowską. Nie  
bardzo to wszystko było dla mnie zrozumiałe. Nie byłem jesz-  
cze wówczas na tym odcinku i nie wiem, jak to się stało. W pewnym  
momencie, przed wieczorem, kiedy oddziały AK jeszcze się cofały i  
były w dużym stopniu rozbite i miały duże straty - Niemcy zanie-  
chali dalszej swojej ofensywy. Wam wrócić, że gdyby jej nie za-  
niechali i powstałaby przerwa na tym terenie, wówczas przeszliby  
on do ulicy Marszałkowskiej, ponieważ jakaś kontrobrona ze strony  
Armii Krajowej nie była tu zorganizowana i Niemcy mogli się z powo-  
dzeniem poruszać dalej. No, ale szczęśliwie przerwali tę ofensywę  
i ten odcinek ustabilizował się na ulicy Krochmalnej, Grzybowskiej  
do placu Grzybowskiego, Żelaznej Bramy i Ogrodu Saskiego. Dalej od-  
cinek powstańczy szedł ulicą Królewską, aż do Krakowskiego Przed-  
mieścia.

Wspomniałem się wówczas ogólnie o tym. Nie wiedziałem zupeł-  
nie, co się dzieje tam na odcinku Czarniakowska. Wiedziałem jedy-  
nie, że oddziały kapitana "Kryski" (Zygmunta Netchera) wycofały się  
na Czarniaków i gdzieś tam walczyły. Żona początkowo siedziała za-  
pełnie spokojnie na ulicy Śliskiej, w mieszkaniu Czubkiewicza.  
Było to stozunkowo niedaleko, więc dość często ją odwiedzałem.  
Dnia 15 sierpnia wezwał mnie do siebie pułkownik "Redwan" i powie-  
dział, że gdzieś tam na odcinku ulicy Żelaznej, z siedzibą dowódz-  
twa przy ulicy Sienna 41, 54, 43a i 45 znajduje się grupa "Chrob-



ry II" i on nie wie, co się tam dzieje, ponieważ nie ma z nimi łączności. Jest tam podobno trzech majorów, on nie wie jednak kto tam dowodzi, co się tam dzieje, jak się dzieje. Kazał mi więc pójść na ten odcinek i zbadać dokładnie sytuację. Oczywiście od razu się tam udałem. Poszedłem do dowództwa, które, jak zastanowiłem, mieściło się na ulicy Siennej 41 i dowiedziałem się, że tam grupą dowodzi major "Zygmunt" (Zygmunt Brafuak). Znalazłem go i posiedziałem w jakiej sprawie przyszedłem. Poinformował mnie bardzo z grubszą i widnie było, że sam się nadzwyczajnie nie orientuje, więc udałem się na odcinek z rotmistrzem, jego oficerem. Zbadaliśmy cały odcinek i jego organizację wewnętrzną. Widziałem dobrze zorganizowane magazyny materiałowe, rusznikarnię znajdującą się pod numerem 45 na ulicy Siennej, w piwnicy, dobrze pracującą. Stwierdziłem, że pod względem organizacyjnym, jeśli chodzi o tyły, to sprawa przedstawia się zupełnie dobrze. Zbadaliśmy także same szpitale, których na tym terenie było kilka. Był tu szpital na ulicy Śliskiej, gdzie byli lekarze ze szpitala dziecięcego z ulicy Litewskiej, przeniesieni jeszcze wcześniej przez Niemców, ponieważ tamten szpital został przez nich zajęty. Następnie był dość duży szpital na ulicy Żłotej, no i poza tym kilka punktów opatrunkowych. To było zupełnie dobrze zorganizowane i specjalnie się tym zajmował dowódca grupy, major "Zygmunt". Po zbadaniu tej całej sytuacji, wróciłem gdzieś około 17 sierpnia i zameldowałem się u pułkownika "Radwan". Czuję się lepiej, ale jeszcze gorączkował i nie wychodził zupełnie z piwnicy. Zameldowałem więc mu także wszystkie spostrzeżenia, a wtedy spytał, co dalej proponuję. Powiedziałem mu wówczas, że trzech majorów jako dowódców, między którymi są zresztą nieporozumienia, a szczególnie między majorem "Bigiem" (Mieczysławem Kowalewskim) i majorem "Zygmuntem". Nieporozumienia są na tym wie, że ostatnio dowodzi "Zygmunt", a nasz wróciłem, że jest to dobry

organizator, jakkolwiek miałem także wrażenie, że nie bardzo się zajmuje linią frontową, natomiast dobrze organizuje tyły, a mianowicie magazyny, szpitale itp. Wówczas zaproponowałem "Radwanowi" żeby jako dowódcę pozostawić tam majora "Zygmunta", wycofał - do swojej dyspozycji Liga z H&Z, który właściwie nie wiele tam co robi, choć początkowo on tam organizował i dowodził, ale potem dość często zniknął na kilka dni. Wykorzystał to któregoś dnia - 5 czy 6 sierpnia "Zygmunt" i objął wówczas dowództwo. Przeci major - major "Adolf" (Jerzy Lewicki) był właściwie głównym kwatermistrzem i do dowodzenia całą grupą wcale się nie atrywał i a sierżanta nie przeszedł "Zygmuntowi". "Radwan" wówczas spytał mnie, czy ja bym nie chciał być dowódcą tej grupy, ponieważ zgłosił, że mu to proponuję. Powiedziałem, że absolutnie nie, gdyż nigdy nie lubię nikomu wchodzić w drogę, a ponieważ tam już jest "Zygmunt" i dobrze tą całą grupą dowodzi, więc niech dalej będzie dowódcą, a ja - jeżeli "Radwan" uważa to za słusne i wskazane, aby mnie do tej grupy przydzielić - będę zastępcą "Zygmunta". "Radwan" się na to zgodził. Od razu dostalem pisemko i zaraz 19 sierpnia rano, po odejściu po drodze Łoty, na ulicy Wiślickiej, i zakomunikowania jej o tym, że przenoszę się tutaj i będę jeszcze bliżej, przyszedłem na teren grupy "Chrobry II". Dowiedziałem się, że "Zygmunt" jest właśnie w którymś ze szpitali. Poszedłem tam i zostałem go przy salwadaniu. Zaprowadziłem się i pokazałem paplerek. On się uśmiechnął i powiedział, że to jest w gruncie rzeczy duża grupa, on sobie nie może dać rady więc dobrze, że będzie ze mnie miał pomocnika. (Adwiliłamy od razu swoje funkcje, i ustaliliśmy, że "Zygmunt" nadal pozostaje tutaj i opiekuje się tyłami, natomiast cały odcinek frontowy powierza mnie. Przy okazji dowiedziałem się, że tu właśnie 15-tego przy tej akcji, o której wspominałem, zginął tam. szef sztabu kapitan "Proboszcz". Był to wybitnie zdolny oficer i on przewodził przedsięwzięciu na od-



cinku frontowa, toteż "Zygmunt" bardzo akwapliwie teraz zgodził się, żeby ja się zaspiekował frontem. Kapitan "Proboszcz" (Jan Jarczek) nazwał się tu cesarzem szefem sztabu. Nie bardzo mi to odpowiadało, bo nie powiem, żeby to było aż tak duże wojsko, żeby miał być tu aż szefostwo sztabu, więc zaproponowałem "Zygmuntowi" że zlikwidujemy je, a ja obejmę funkcję jego zastępcy. "Zygmunt" się na to zgodził, no więc od razu przystąpiłem do swoich obowiązków w tym tak zwanym zgrupowaniu "Chrobry II". Dowiedziałem się przy okazji, jak powstała ta grupa bojowa i dlaczego się nazywa właśnie "Chrobry II". A mianowicie okazało się, że przede wszystkim na tym terenie, gdzie na ulicy Twardej, miał punkt zbiórki major Lig z oddziałów Kałtowskich. Gdy tylko przyszedł i zaczęła się strzelanina, poniesnął rękuchło już powstańca, nie miał żadnej łączności z oddziałami AK. Na tym terenie było bardzo dużo ludzi, a przede wszystkim masę żołnierzy z najprężniejszych organizacji, natomiast stosunkowo niewiele z jego oddziałów Kałtowskich, ponieważ jeszcze nie przybyli na jego zbiórkę, bo tak samo się pogubili jak i żołnierze AK. Postanowił zebrać te wszystkie oddziały do kupy i udało mu się zorganizować w jedną całość tych przypadnych ludzi, którzy też szukali kontaktów i łączności z jakimiś oddziałami powstańczymi. Organizując wysłał ich na różne placówki. Wtedy innymi wysłał dość znaczny oddział na obsadzenie Dworca Południowego. Potem przystąpiła cała kompania Kałtowska, która obsadziła Dom Relejuży przy wiadukcie z ulicy Żelaznej na plac Starynkiewicza. Całe to swoje wojsko nazwał kryptonimem "Chrobry". Zaczął również szukać łączności z oddziałami AK. W tym celu udał się przede wszystkim do gmachu PZO na ulicy Chałubińskiego, ponieważ wiedział, że tam znajduje się dowództwo Powstania Warszawskiego. Tam zameldował się u jakiegoś oficera, nie wiem czy bezpośrednio chciał się dostać do Wanta, ale będąc tak, a tamten

ekierował go do pułkownika "Radwana", ponieważ oddziały na tym terenie temu właśnie podlegały. Major "Lig" zameldował się u "Radwana", powiedział, że wojsko swoje nazwał kryptonimem "Chrobry" ale "Radwan" wtedy oznaczył, że oddział "Chrobry" już jest. Jest to stary AKowski oddział, należący do IV rejonu i podlegający kapitanowi "Sośnie", nie może być więc dwa oddziałów "Chrobry". Wobec tego nazwie się je "Chrobry I" i "Chrobry II". Stąd powstała ta nazwa i tak to powstała grupa "Chrobry II". Następnie "Zygmunt" mi powiedział, że objął dowództwo dlatego, że "Lig" nie zajmował się nią, tak w każdym razie nakieślił mi sprawę, "Lig" się nie sprzeciwił. Ja od razu się z "Ligiem" tego samego dnia zobaczyłem i dałem mu papiersek odwołujący go do dyspozycji pułkownika "Radwana". No i tutaj - o tyle o ile - te nieporozumienia w dowództwie "Chrobrego II" zostały załatwione. Dowództwo "Chrobry II" jak już oznaczyłem, mieściło się na ulicy Siennej 41. Tam przede wszystkim były zasadnicze magazyny. Były także na Siennej 45. Sienią 43 zajmowała kompania łączności. Tutaj całe dowództwo było szeroko rozbudowane. Była cała dość duża kancelaria, mieszcząca się na parterze domu Sienią 41. Tam były kancelistki i maszynistki, był także adiutant, porucznik Stassel (Stanisław Hummel). Szczególnie podobała mi się zbrojownia, też mieszcząca się w piwnicach, na czele której stał porucznik Czarnecki, mechanik czy inżynier mechaniczny z zawodu. Najwięcej mnie jednak interesował sam odcinek bojowy. Cała grupa "Chrobry II" składała się z dwóch batalionów liniowych. Pierwszy batalion, pod dowództwem kapitana "Lesna" i drugi batalion, pod dowództwem porucznika - również "Lesna", a następnie 3 batalion rezerwy, który mieścił się tutaj na ulicy Siennej (razem w tych trzech budynkach), jego zadaniem było przygotowanie rezerw, którymi się uzupełniały oddziały liniowe. Tutaj dowodził kapitan "Klos". Bataliony liniowe podzielone były na kompanie, które obsadzały poszczególne odcinki. A mianowicie i



batalion miał 3 kompanie i 2 batalion również 3 kompanie. Nie było to jednak jakoś uporządkowane i należało zorganizować, więc uważałem, że przede wszystkim do tego się muszę zabrać i przygotować odpowiednio tę całą linię organizacyjną, a potem zorientować się w tych placówkach i ich akcji bojowej. Nie przeprowadziłem oczywiście od początku zmian personalnych, więc wódcę I batalionu zostawiłem kapitana "Lecha", którego dla odróżnienia od drugiego "Lecha", dowódcy II batalionu, nazwałem "Żelaznym", ponieważ on miał tutaj przede wszystkim cały odcinek w rejonie ulicy Żelaznej i kwatery jego była też na rogu ulicy Żelaznej i Chałubińskiej, tuż naprzeciwko domu Kolejowego. Jak zaznaczyłem, podlegały mu trzy kompanie, a więc kompania I kpt., podlegająca kapitanowi "Złotobrodiemu", z siedzibą w domu Kolejowym. Miała ona odcinek niesprecyzowany i nie ustalony, więc musiałem się tym od razu zająć, wyznaczając im odcinek ulicy Sosnowej, wzdłuż wykopu kolejowego do ulicy Żelaznej. Następna była 3 kompania "Złotobrodzi" (Złotobrodzi Bryła), która zajmowała tutaj odcinek od ulicy Żelaznej, tak że przede wszystkim dom Poczty, a następnie ulicą Pańską do początku Broni. Od ulicy Pańskiej ulicę Wronią, aż do jej końca, obsadzała kompania 2, pod dowództwem porucznika, a następnie kapitana "Kosa" (Mikołaj Kobyliski). Dalej były kompanie II-go batalionu, których dowodził porucznik "Lech", którego dla odróżnienia od tegoż, nazwałem "Lechem Grybowskim"<sup>x)</sup>. Jego kwatery bowiem mieściła się przy ulicy Grybowskiej i ulica ta była właściwie całą jego odcinkiem, aż

<sup>x)</sup> Zaczekaj, Zaczekaj - "Kochanek Kobiety", Londyn 1957 r., relacja z pierwszego spotkania z "J. Jerzyskim" (A. Dowuacki) "Jest on zupełnie inny niż jego poprzednik kapitan Probonowicz. Opaczony w ruchach, spokojny w obiedzi, uważnie słuchający każdego, z kim rozmawia, a jednocześnie zdecydowany w rozstrzygnięciach. Od razu wzbudza sympatię i zaufanie. Jest pierwszy raz na naszym odcinku, lecz z dużym zrozumieniem i zaangażowaniem wszystkich naszych spraw, starannie wypytuje o stan batalionu po nocnej walce, o straty, potrzeby, sytuację na linii, stosunki z sąsiadami i z kapitanem Saleją.

do placu Grzybowskiego i potem do Wawicowa. Poza tymi kompaniami była jeszcze jedna, która się nazywała kompanią "Piatów". To była broń przeciwpancerna, którą dowodził "air" (Czesław Stulkiewicz). Oprócz tego jeszcze była kompania żandarmerii pod dowództwem porucznika "Baja" (Jerzego Gajewskiego). Dowieziono się również, że przedtem kompania 1-sza, tak zwana "Warszawianka" oraz jeszcze inne grupy zajmowały gusach WIGU po drugiej stronie Alei Jeruzolimskich, ale obawiając się odcięcia przez Niemców, wycofały się na tę stronę. Mam wrażenie, że było to słuszne, bo jednocześnie został opuszczony plac Starynkiewicza, przez oddziały osadzające filtry. Wycofane spoza Alei Jeruzolimskich oddziały obsadziły więc przede wszystkim Don Kolejowy, a następnie Skorzec Pocztowy, Chmielną do Towarowej i ulicę Towarową. Odcinki tu nie były aprecyzowane dla poszczególnych oddziałów, więc przede wszystkim musiały się tym rządzić. Jak przypomniałem, oddziały grupy "Carobry II" obsadziły dalej ulicę Towarową do Pańskiej, następnie stronę i tam kompania 2-ga i-ego batalionu łączyła się z kompanią 4 czy 5-tą II batalionu "Lecha Grzybowskiego". W pierwszej więc chwili musiałem dokładnie rozpracować z dowódcami batalionów przede wszystkim odcinki poszczególnych oddziałów, więc nie tylko kompanii, ale także plutonów, a nawet ustalając dokładnie placówki. Bo przecież odcinki te nie były pod względem bojowym, że tak się wyrażę, równe. Bo przede wszystkim odcinek nad wykopem kolejowym, to znaczy odcinek kompanii pierwszej był najspokojniejszy. Początkowo podobno, w pierwszych dniach powstania, tutaj stała stała komunikacja przez most Poniatowskiego na Pragę. No, ale to nie dało rezultatów, dlatego że już zbliżając się do placu Zawiszy i placu Starynkiewicza czuły były ostrzelane białkami z benzyną, od strony Chmielnej, a przede wszystkim od placu Starynkiewicza, wówczas gdy był on jeszcze obsadzony



przez siły polskie. Przebicie się Niemców tu się nie udało, więc potem zaniechali oni całkowicie tych ataków i poruszając od placu Starzyńkiewicza w stronę Karzałkowskiej odcinek ten stał się całkowicie spokojny. Naturalnie dla oddziałów zgrupowania "Srebro II", bo dalej już przy Karzałkowskiej toczyły się stałe walki. Tu było względnie spokojnie, ponieważ oddziały powstańcze wycofały się z tej strony Alei. Przejście jednak w tym miejscu na drugą stronę Alei nie było możliwe ponieważ odcinek ten był stałe ostrzeliwany przez karabiny maszynowe z Dworca Głównego.

Placówki mieszczące się przedtem w domu po tej stronie Alei, moim zdaniem, należało utrzymać ponieważ były to bardzo ważne placówki, a wycofanie w razie czego ich przez wiadukt mogło być zabezpieczone workami z piaskiem. No ale tego nie zrobiono i to w późniejszym okresie znacznie utrudniło wszelkie akcje powstańcze na tym odcinku. Dalej poruszając od placu Ławizy przez całą ulicę Towarową, ciągnął się odcinek już bardzo niespokojny, gdzie stałe toczyły się walki. Tutaj zastałem taką dość dziwną i dla mnie niezrozumiałą historię. Otóż chodziło o to, że tutaj naprzeciwko fabryki Romana, w głębi terenów kolejowych, stał taki domek kolejowy i tutaj stałe po coś kompania 3 z kompanią 2-gą I batalionu przeprowadzały ataki na ten domek w celu opanowania go. Fakazatem tych ataków, ponieważ uważałem je za całkowicie zbędne, gdyż domek był oddalony od ulicy Towarowej dość znacznie, podejście do niego było ogromnie niebezpieczne i zawsze ponosiło się tu straty. Opanowanie tego domku nie dałoby nic, dlatego że połączenie z nim było na przestrzeni otwartej, więc dotarcie tam w ciągu dnia byłoby bardzo trudne. Niemcy nawet po opanowaniu szybko by go odbili, a przy tym wiadomo ponosiło się tu ogromne straty w ludziach. więc z miejsca dowódcom batalionów i kompanii zakazałem dalszych ataków. Potem nastąpił już odcinek ulicy Broniej, na ogół względnie spokojny. Trwała tam tylko strzelanina, ponieważ Bronia była właśnie

taką linią frontową: wschodnią jej stronę obsadzali powstańcy, natomiast zachodnią Niemcy. Tutaj nawet odbywały się, przez ulicę, nie zawsze przyjemne rozmowy, dlatego że na niemieckie zaczepki odpowiadano zazwyczaj z naszej strony wymyślanie. Dalej była ulica Prosta. Tu już były oddziały "Lecha Grzybowskiego" i obsadzała je kompania z początku IV, potem została ona zdjęta i przyszła na jej miejsce kompania V. Zresztą zmiany na placówkach II batalionu były bardzo częste, ponieważ strzelanina była tu wtedy gęsta, gdyż Niemcom chodziło wtedy o utrzymanie tej linii przelotowej ulicą Chłodną, do Ogrodu Saskiego, aby mieć połączenie z Pragą przez most Kierbedzia. Tutaj był najbardziej niespokojny odcinek "Chrobrego II", więc musiał być silniej obsadzony, stąd tu właśnie było to natarcie 16-ego sierpnia, gdzie grupa poniosła duże straty. Zginął wtedy kapitan "Proboszcz". Teraz trzeba było zwrócić szczególną uwagę na ten odcinek, ponieważ trwały tu nieprzerwane walki. Z jednej strony Niemcy chcieli opasać korzystniejsze dla siebie placówki, z ulicy Grzybowskiej do ulicy Kroczyńskiej i dalej do Chłodnej, żeby stamtąd przeprowadzić dalszą ofensywę w stronę Starego Miasta. Z drugiej strony tutaj Niemcy atakowali zarówno wzdłuż ulicy Towarowej, jak i ulicy Grzybowską, Chłodną w stronę Żelaznej, a bardzo często czołgi wchodziły w Żelazną i posuwały się dalej, docierając nawet dość daleko. Tutaj udawało się nieraz naszym żołnierzom zniszczyć taki czołg, który jednak w nocy był przez Niemców zabierany i zastępowany przez inny. W późniejszym okresie walk powstańczych uważałem, że przede wszystkim musiał zabezpieczyć narożnik Grzybowskiej, Kroczyńskiej i Chłodnej, dlatego że tutaj, jak mówiłem, szły największe natarcia niemieckie. Chodziło mi o to, ponieważ był tu punkt stykowy batalionów I-go i II-go więc zależało mi na tym, aby znajdował się pod jednym dowództwem. Ekdaj że około 1 września kompanię I-go batalionu, dowodzoną przez porucznika "Kosa", przerzuciłem do II-go, gdzie kompania ta została przemianowana na kompanię 6, dla-



tego że ta z kolei została przydzielona do prawego skrzydła grupy, a mianowicie do kapitana "Mała" (Macieja Stykowskiego) pod dowództwem porucznika "Jeremiogo" (Kancelarczyka) w ogóle odessła z grupy. Tym bardziej więc musiałem II batalion wrócić. Tymczasem zaś musiałem przeprowadzić reorganizację całej grupy, zorganizować poszczególne oddziały i ustalić poszczególne odcinki dla oddziałów i batalionów. Przede wszystkim uważałem za niewskazane utrzymywanie całej odrębnej kompanii Płatów. Dotychczas było ustalone, że w razie jakiegóś większej akcji na tym, czy innym odcinku, na wypadek ataku niemieckiego w tym, czy innym miejscu, kompania Płatów była z tyłów - gdzieś z ulicy Pańskiej - przesuwana na ten odcinek, gdzie odbywała się akcja. No oczywiście wymagało to zbyt dużo czasu, Płaty przychodziły późno i właściwie nie były należycie wykorzystane. Toteż kompanię, którą dowodził porucznik "Siri" (Czesław Stulkiewicz) zlikwidowałem i poszczególne plutony Płatów przydzieliłem do batalionów, lub nawet, w zależności od takiego lub innego stanowiska dowódcy batalionu - do poszczególnych kompanii, jako plutony wchodzące w skład kompanii, do której zostały przydzielone. Porucznik "Siri" objął wówczas dowództwo 5-ej kompanii II batalionu, gdyż tam właśnie zginął jej dowódca, porucznik "Janusz" (nazwisko -?). Niekiedy również zaniejszyłem batalion zapasowy, uzupełniając, gdzie tylko się dało, poszczególne oddziały liniowe. Pozostawiłem tylko kompanię rezerwową, a nie batalion, zadaniem której było dalsze przeszkalanie żołnierzy i uzupełnianie poszczególnych batalionów liniowych (I i II). Wykonywane to wszystko było w trakcie akcji bojowej, dlatego że jednak walki trwały nieprzerwanie prawie na wszystkich odcinkach. Najspokojniej chyba było tylko nad wykopem w Alejach Jeruzolimskich, na odcinku od Sosnowej do Żelaznej - obsadzany przez 1 kompanię I batalionu. Najbardziej zaś aktywnym odcinkiem był ten stanowiący

jakby narażnik przy zbiegu Wroniej i Żelaznej, następnie przy Żelaznej, następnie przy Grzybowskiej i Krochmalnej, obsadzany przez batalion "Leona Grzybowskiego". Zależało tu bowiem Powstańcom, aby odzyskać połączenie z obwodem Starego Miasta, a Niemcom - aby utrzymać za wszelką cenę linię przelotową przez Chłodną i Królewską. Toteż tutaj, jeszcze przed moim przytyciem do zgrupowania "Chrobry II", dowództwo powstańcze zarządziło uderzenie właśnie z tego odcinka w stronę Chłodnej, aby połączyć się z oddziałami powstańczymi na Starym Mieście. Przygotowane było uderzenie w kierunku Ogrodu Saskiego, następnie ulicy Solnej a z placu Grzybowskiego w kierunku północnym. Dowództwo zostało powierzone majorowi "Zoli" (Bernardowi Romanowskiemu), który miał połączyć oddziały z Obwodu Bródnieście, a na lewym odcinku tego uderzenia miał się znajdować oddział z grupy "Chrobry II". Natarcie to zostało przeprowadzone - nie pamiętam już dokładnie - ale chyba 12 czy 13 sierpnia i kompletnie nie udało się, bo oddziały, podajże "Kilińskiego" czy "Hala" spólniły się. Zresztą, niedokładnie znalazłem przebieg tej całej akcji ale w każdym razie wiem, że natarcie to się nie udało. Niemcy przeprowadzili kontruderzenie i odrzucili nacierające oddziały powstańcze i na tym się akcja zakończyła. Niemcy wówczas zrozumieli, że Powstańcom, chodzi o przecięcie linii komunikacyjnej i nawiązanie kontaktu z oddziałami na Starówce. 15 sierpnia więc przeprowadzili ze swojej strony bardzo silne natarcie. Natarcie poszło przede wszystkim w kierunku ulicy Grzybowskiej, na fabrykę Jaroszkiewicza. Oddziały zostały te rozbite, musiały się cofać i jak mi opowiadano zostały prawie całkowicie rozproszone. Byłyby prawdopodobnie w końcu wyparte dalej, gdyby Niemcy w trakcie swojej ofensywy nie zatrzymali się, a niewiadomej przyczyny. Nie poszli oni dalej, a odwrotnie - cofnęli się na swoje poprzednie stanowiska. Przy tej całej akcji zginął następca dowódcy



zgrupowania "Charury II" - kapitan "Proboszcz". Jak mi opowiadano akcja ta była przeprowadzona bardzo niemiętelnie. Poniosło się dość znaczne straty. W tym też mniej więcej czasie, Niemcy bardzo wzmacnili akcje swojego lotnictwa, więc prawie codziennie nadlatywały po dwa, trzy "sztukasy" i bombardowały nasze stanowiska, nie tylko na linii, ale również na zapleczu. Później jeszcze Niemcy wprowadzili także ciężką artylerię i jedno, czy dwa, działa bardzo ciężkie - 75 cm. Ustawione były gdzieś w okolicy Pruszkowa. Były to ogromne pociski, widoczne w locie, ponieważ leciały bardzo wolno, tak jakby obracając się w powietrzu i spadały pionowo. Były one bardzo ciężkie i bardzo nękające Powstańców, ponieważ trafiając w dom, 4 czy 5 piętrowy, prwały go aż do piwnic i tam wybuchały. Następnie Niemcy również wprowadzili bombomioty, czyli tzw. "krowy", dlatego że wydawały dźwięk podobny do ryku krowy. Na Żoliborzu nazywane je również "skrzypiącymi szafami". Były to bardzo nieprzyjemne pociski, ponieważ padały w stosunkowo bliskiej odległości od siebie, po 6 na raz. Były to pociski o sile działania burzącym, a jednocześnie zapalającym. Sytuacja powstańcza w tym okresie stawała się z każdym dniem cięższa i trudniejsza. Odłamkiem takiego właśnie pocisku, dnia 26 sierpnia, tuż przed budynkiem, w którym się znajdowała kancelaria zgrupowania, został ranny "Zygaunt". Miał rozbitą rękę i trafił go jeszcze jakiś odłamek. Został wówczas przez nas odstawiony do szpitala na ulicy Kopernika, a dowództwo zgrupowania objął ja. Seria pocisków tego wielostrzałowego moździerza, która zraniła "Zygaunta", upadła pod domem Sienna 45. Na parterze była tu kancelaria zgrupowania, a na I piętrze była moja kwatera. Pociski te zniszczyły jednocześnie kancelarię, narobiły szkód i nalaganu i częściowo uszkodziły mieszkania, toteż musieliśmy swoje lokum zmienić. Ulokowaliśmy się więc na Siennej, pod numerem 41, to znaczy w tym domu, gdzie niedługo się wszystkie

wagarny zgrupowania i warsztaty. Tam znalazłem sobie kwatery na I piętrze. Tam przeniosłem również kancelarię, likwidując ją jednak prawie całkowicie, ponieważ większość papierów została zniszczona w poprzednim lokalu. Ulokowałem się w małym pokoiku, w którym jednocześnie dyktowała telefonistka, ponieważ wówczas mieliśmy swoje telefony, gdyż udało się naszym ludziom z kompanii łączności połączyć się telefonicznie (dzięki istniejącej jeszcze sieci miejskiej) z batalionami oraz z dowództwem Obwodu Śródmieście - pułkownikiem "Radwanem". Zaznaczałem, że podlegałem bezpośrednio pułkownikowi "Radwanowi", z całkowitym pominięciem majora, a potem podpułkownika, "Zagończyka", choć cała grupa "Chrobry II" znajdowała się na terenie organizacyjnym jeszcze z okresu okupacji, należącego do IV rejonu Obwodu Śródmieście. "Zagończyk" wówczas miał cały swój sztab przy sobie i starał się dowodzić tą grupą. Oczywiście jednak było tu dużo szwadronów, nie podlegających "Zagończykowi" podczas konspiracji, więc jego dowództwo było pomijane, jak również zostało całkowicie pominięte przez nas, gdyż nie uważałem za wskazane mieć tego rodzaju pośrednictwa i wolałem podlegać bezpośrednio "Radwanowi". Zresztą wychodziło mi to tylko na dobre, w tym czasie udało się nam uzyskać na naszym terenie prąd elektryczny. Wówczas, może nawet trochę wcześniej, została zmodernizowana elektrownia warszawska, więc zostaliśmy zupełnie pozbawieni światła elektrycznego. No ale ja tutaj znalazłem kilku takich elektryków-amatorów, którzy podłączyli nas, przy pomocy starej sieci elektrycznej miejskiej do przewodów kolei elektrycznej, biegnących od Dworca Głównego do podmiejskiej kolei warszawskiej. No i w ten sposób mieliśmy światło elektryczne. Oczywiście nie sięgała ona dalej, ale w prąd elektryczny zaopatrzone były szpitale, co kolosalnie pomagało lekarzom.

W tym czasie więcej więcej czasu został poważnie uszkodzony doc na



ulicy Śliskiej i częściowo rozbite mieszkanie Szuszkiewicza, w którym była moja senna, nie mogła więc tam dalej przebywać. Trzeba było dla niej znaleźć inne pomieszczenie. Przeniosła się więc na ulicę Złotą (obecnie Kriewskiego) pod numer 7-ny, gdzie wisaci się kino "Palladina". Tam właśnie pod tym kinem znajdowały się schrony, w których ulokowało się sporo osób. Był to mechy, nowoczesny dom, więc była nadzieja, że tam będzie spokojnie, tym bardziej, że ta dzielnica nie była dotychczas przez Niemców bombardowana. Zdawało się, że tam będzie dobrze, jednak któregoś dnia, gdy odwiedziłem tam senną, bardzo mi się tam nie podobało. W tej dużej sali było masa ludzi, wiele kobiet z dziećmi, a jednak tylko i to niewielkie - wejście i wyjście. Było ono stosunkowo wąskie więc pomyślałem, że gdyby tam wybuchła panika to byłoby tragicznie, dlatego że wtedy wszystko by się rzuciło do tego jednego wyjścia, powstałby straszny tłok, byłoby bardzo niebezpieczne i groziłoby to wielką katastrofą. Wówczas przeniosłem znów senną, na Czarniaką pod numer 24, tam gdzie kiedyś był nasz sklep komisowy. W domu tym mieszkali wtedy Hempelowie - Racja z senną. Mieszkali oni na 4-ym czy 5-ym piętrze, więc też nie było zbyt bezpiecznie, ale mieli dobrą, głęboką i obszerną piwnicę, więc mogli tam się chronić z moją senną. Ale i tu mi się nie podobało, ponieważ okienko z tej piwnicy wychodziło na taką wąską kaziennicę. Wąską, przy której były drzwi na klatkę schodową, więc pomyślałem, że o ile jakkolwiek pocisk trafi w ten dom, niekoniecznie nisko, ale nawet wyżej i gruz zasypie tę stosunkowo małą wąską, to nie będzie się można z tej piwnicy wydostać. Więc w rezultacie zabrałem senną do siebie na ulicę Sienną i była w tym samym pokoiku, gdzie ja. Tam pozostawała już do końca powstania razem z senną. Niepokoiła się natomiast bardzo o syna. Syn był przecież na Czarniakowie. Zdawało mi się, że jest tam bezpieczny. Niestety, z Czarniakowem nie mieliśmy

ładnego kontaktu, dlatego że połączenie z tą dzielnicą było jedynie tylko poprzez Książęcą, a całą tą ulicę była ostrzeliwana, tak że szpitala św. Łazarza jak i z drugiej strony - z willi Pnińskiego i z YMCA, ponieważ tereny te były zajęte przez Niemców. Przejście ulicą Książęcą, idąc dołem, było oczywiście bardzo niebezpieczne, choć najtrudniejsze miejsca były tam jakoś zabezpieczane, ale czasem łącznicy się tamtędy jakoś przedostawali. Dla większej ilości ludzi takie przejście było jednak zakazane, ponieważ było bardzo niebezpieczne. Należało się więc, że gdyby syn chciał się do mnie przedostać, to groziło mu duże niebezpieczeństwo, a poza tym mogło mu się naturalnie coś stać na terenie oddziału gdzie walczył i gdzie był zwykłym żołnierzem. Zresztą nic już nie można było poradzić. Nigdzie nie było już bezpiecznie, zarówno na linii frontowej, jak i na tyłach, bo tam gdzie nie było strzelaniny karabinowej, to były pociski i bomby lotnicze. Nawzdzie wówczas w Warszawie groziło niebezpieczeństwo i wszędzie można było zginąć. Na Czerniakowie wówczas jednak było stosunkowo spokojnie, front był daleko, bo aż na Sadybie, więc liczyłem że jakoś może się uda i przetrwa Powstanie.

Pod koniec sierpnia ogólna sytuacja Powstania Warszawskiego przedstawiała się następująco. Śródmieście utrzymywało swoje granice poprzednie. W międzyczasie pozyskane zostały takie dwie dość poważne placówki, a mianowicie gmach Poczty Głównej i gmach PASTY, na ulicy Zielnej. Obydwie te placówki zostały opanowane prawie na początku Powstania. O ile chodzi o PASTY, to trochę później - gdzieś w połowie sierpnia. Obydwie zostały opanowane przez oddział IV rejonu, oddział "Kilińskiego", dowodzony przez majora "Leliga". Poza tym na wszystkich odcinkach Śródmieścia toczyły się sporadyczne walki, nie mające właściwie większego znaczenia, gdyż tutaj Niemcy nie pragnęli do jakiegos poważniejszego natarcia. Z drugiej strony Niemcy Jeruzolimskich przez Marszałkowską po Bagatelę, byli



stworzony jakby pododdział obwodu Śródmieście. Kontakt z nim był ciężki. Dowodził tam pułkownik "Sławbor" (Jan Szczurek-Bergowski). Mając słabe kontakty z "Radwanem" dowodził on samodzielnie. Dawna część III rejonu między Aleją i Karzalkową również podlegała teraz Bergowskiemu. Dalej był obwód Mokotów, który ciągnął się od placu Unii Lubelskiej, non ai do arcybiskupstwa, i bodajże nawet dalej. Rejon Woli już na początku został zlikwidowany. Żolibórz przeprowadzał próby ataków w stronę Dworca Gdańskiego ale to się wszystko kończyło niepowodzeniem i Żolibórz został zupełnie odizolowany od Śródmieścia i walczył samodzielnie. Obwód Stare Miasto był dowodzony przez pułkownika "Sachnowskiego". Była to dzielnica w tym okresie najbardziej atakowana przez Niemców. Wyglądało na to, że Niemcy starają się przede wszystkim ją zlikwidować. Ponieważ, że Starówki broniły bodajże najlepsze oddziały, bo były tam wówczas sławne oddziały MBP "Parasol" i "Zoska" i inne, zresztą bardzo dobre oddziały MBZ, ale Niemcy stopniowo posuwali się coraz bardziej w głąb tej dzielnicy i oddziały polskie musiały się cofać. Wyglądało to tak jakby Niemcy koncentrowali swoje uderzenie na jedną dzielnicę, by ją zlikwidować jak najprędzej, a potem będą kolejno likwidować następne, oszczędzając w ten sposób swoje siły i koncentrując silne uderzenie tylko na jedno miejsce. Na Starym Mieście toczyły się bardzo ciężkie walki i Powstańcy ponieśli ogromne straty a miasto było tu niszczone w okropny sposób. Powstańcy bronili się prawie w każdej kamienicy. Szczególnie broniono gmachów państwowych i kościołów. Łączność Śródmieścia ze Starym Miastem była utrzymywana wyłącznie kanałami. Niestety, jeśli chodzi o prace służby łącznościowców to przedstawiała ona pod względem technicznym wiele do życzenia. Przedstawianie się łączników między dzielnicami było bardzo ciężkie i ryzykowne. Łączność kanałami była między Starówką a Śródmieściem dobrze zorganizowana i speł-

niała poważną rolę. Były takie łączniczki, które codziennie prawie wędrowały kanałami, przenosząc meldunki i rozkazy, w jedną i drugą stronę, a jednocześnie zaopatrując Stare Miasto, w miarę sił i możliwości, w amunicję. Mimo to jednak nie udało się zaaranżować tej służnicy i pod koniec sierpnia jedynie niewielki odcinek pozostał w rękach powstańców. Pomoc ta w postaci przeszerzania tam niektórych oddziałów była zupełnie niemożliwa, ponieważ i tu było ciężko, a przejście górą było prawie niewykonalne. Przejście kanałami też było bardzo trudne, ponieważ w niektórych miejscach były one bardzo niskie i trzeba było nimi przechodzić w pozycji agiotej. Stagnowały w nich jeszcze ścieczki, więc przechodzący kanałami ludzie, a szczególnie łączniczki, musieli brnąć w tym obrzydliwym brudzie, nieraz pokwili kolan i wychodziły z nich w straszonym stanie; unyć się po wyjściu było trudne, ponieważ w Śródmieściu już wówczas brakowało wody. Niemcy, obsadzając wodociąg na ulicy Filtrowej, przecinali dopływ wody. O wodę w czasie Powstania było w ogóle bardzo trudno i trzeba było kopać studnie, a z nich wydawało się wodę kubaikami, w zależności od ilości osób, czy wielkości rodziny.

W całej akcji powstańczej nie odegrało się już działań zaczepnych. Chodziło tu o przetrwanie, a właściwie - o to tu już chodziło i co się chciało osiągnąć nikt nie zdawał sobie w pełni sprawy. Kwestoja na ogół panowały jeszcze dobre, ale było coraz gorzej, a ja sobie myślałem, że walka ta jest już absolutnie bezsensowna i niewiadomo, kiedy i jak się zakończy. Można było jedynie liczyć na jakąś pomoc, która właściwie nie mogła nadejść. Na pomoc ze strony Armii Radzieckiej nie można było liczyć, ponieważ nie wiadomo było, do czego ona w swej taktyce dążyła i co zamierzała w stosunku do nas zrobić. W każdym razie w końcu sierpnia na Pradze było jeszcze zupełnie spokojnie i tylko od czasu do czasu słychać było kanonadę artyleryjską. Nie było wiadomo, czy Armia Radziecka przystąpi do



ofensywy. A przecież trochę na to liczyliśmy, że pomoże i uratuje Warszawę od zagłady.

U nas na terenie zgrupowania "Chrobry II" silnych ataków niemieckich nie było. Przeszliśmy właściwie tylko jeden taki atak. A mianowicie jednego dnia, gdzieś po 20 sierpnia, Niemcy przypuścili atak od placu Zawiszy i przez wiadukt uderzyli tutaj na odcinek rejonu plutonu podporucznika "Molmara" (Mariana Moliere), na kompanię 3 "Zdunina". Ponieważ uderzył tu dość silny oddział niemiecki tak, że początkowo oddział nasz musiał się wycofać. Zostałem o tym zaalarmowany. Poleciłem dowódcy batalionu "Lechowi Żelaznemu" wesprzeć ich innymi oddziałami. Atak ten został odparty, przy tym Niemcy ponieśli ogromne straty, ponieważ wielu żołnierzy niemieckich było zabitych, przy czym zginął również dowódca tej ofensywy niemiecki major. Przy nim znaleźliśmy plany tej całej akcji. Przy tym zostały zdobyte karabiny ręczne, dwa czy trzy karabiny ciężkie i dość dużo amunicji, ponieważ Niemcy cofając się porzucali amunicję i karabiny i wszystko to dostało się w nasze ręce. Za tę akcję obronną podporucznik "Molmar" został przedstawiony do "Virtuti Militari", które później otrzymał. Posa tym, jak już zaznaczyłem, na całym odcinku "Chrobrego II" było na ogół spokojnie, bo nie liczą tu codziennych starć na poszczególnych odcinkach. Złotego dnia w końcu sierpnia zostałem wezwany do dowództwa, do "Kadwana". Odbывała się tam odprawa dowódców poszczególnych zgrupowań i dowiedzieliśmy się że będzie podjęta akcja przebiccia się z naszego odcinka z rejonu Królewska, Żelazna, w kierunku na Hale Mirowskie i Plac Bankowy, w celu połączenia się ze Starym Miastem i ułatwienia żołnierzom wycofania się stamtąd. Chodziło również o wycofanie się ze Starego Miasta także ludności cywilnej, ponieważ tam było już bardzo ciężko, a właściwie beznadziejnie. Akcja miała być przeprowadzona w ten sposób, że miało nastąpić uderzenie na tym odcinku, poczynając

od Żelaznej, do Ogrodu Saskiego, a jednocześnie w tym samym czasie nastąpi uderzenie oddziałów ze strony Starego Miasta, od placu Bankowego. Chodziło o stworzenie takiego korytarza i utrzymanie go, aby mogły przez niego przejść oddziały ze Starówki na teren Śródmieścia, przed oddaniem tamtej dzielnicy Niemcom. W ten sposób również miała być z rejonu Starego Miasta ewakuowana ludność cywilna. Nie wyobrażałam sobie, w jaki sposób to może być przeprowadzone. Gdy pułkownik "Radwan" przedstawił ten plan, zabrałam głos i powiedziałam, że wydaje mi się, że jest to akcja zupełnie beznadziejna. Wątpliwe jest, żeby się udała, dlatego że Niemcy mają tam skoncentrowane duże siły, a poza tym nie widzę żadnej możliwości, aby tej masie ludności cywilnej udało się przejść na teren Śródmieścia. Trzeba sobie bowiem wyobrazić, że akcja się nawet uda i że połączyły nasze oddziały z oddziałami Starego Miasta i stworzy się korytarz, zajęty przez powstańców, korytarz nawet szerokości kilometrowej, wtedy przez niego, przez ruiny i gruz, zawalające ten teren, ruszy ta cała masa ludzka z kierunku Starego Miasta. A co? Niemcy? będą ich przepuszczać bezkarnie? Niemcy wówczas będą ich bombardować, więc nie uda się nikomu przejść. Zwróciłam na to wszystkim uwagę, ale nic mi nie odpowiedziano. Polecono mi tylko zorganizowanie takiej akcji, ponieważ otrzymano taki rozkaz. Akcja ta będzie przeprowadzona pod nadzorem samego pułkownika "Montera" (Antoniego Charuciela) i każde z naszych zgrupowań ma dać od siebie najlepszych ludzi, najlepiej uzbrojonych, którzy wezmą udział w tej akcji. Każdy oddział ma być dowodzony przez dobrego oficera. Bardzo mi się to nie podobało, bo wiedziałam, że tych ludzi narażam na niebezpieczeństwo i że poniesie się w tej akcji kolosalne straty. No ale oczywiście dyskusji tu nie było i "Radwan" zwrócił mi uwagę, że to jest wydany rozkaz i o jego odwołaniu nie może być mowy. Akcja ta miała być przeprowadzona w nocy z 30 na 31



sierpnia. Bardzo przygnębiony tym rozkazem wróciłem do siebie i od razu nazwałem "Lecha Grzybowskiego", któremu powierzyłem dowództwo oddziału, wyznaczonego przez dowództwo zgrupowania "Chrobry II". Przydzieliłem mu także jeszcze innych ludzi. Od niego poszedł oddział szturmowy sierżanta "Grzebia" (nazwisko ?). Część ludzi zesrało się z innych kompanii, oraz z pierwszego batalionu. Przede wszystkim poleciłem się zaopatrzyć w jak najlepszą broń. No i rzeczywiście akcja ta rozpoczęła się w nocy z 30 na 31 sierpnia i początkowo powiodła się. O ile chodzi o oddział "Chrobrego II" to opanował on Księ Miroeskie, niestety jednak nie mógł się tam utrzymać, dlatego że nie podeszły oddziały powstańcze od strony Starego Miasta, którym w ogóle akcja się nie udała no i nasi musieli się wycofać, ponosząc duże straty. Dowodził tą akcją kapitan "Kua" (nazwisko - ?), który z całym swoim oddziałem brał w niej udział. Zasadnicze dowództwo było powierzone majorowi "Zagończykowi", ale właściwie samą akcją prowadził kapitan "Kua". Zresztą nie byłam wówczas tam, ponieważ musiałem pilnować innych odcinków grupy, gdyż bałem się, że korzystając z naszego uderzenia Niemcy spróbują zaatakować nasze odcinki w innych rejonach. Musiałem więc tutaj czuwać i zarządziłem jednocześnie pogotowie w innych oddziałach. No ale wszędzie było spokojnie. Akcja się nie udała. Niemcy jednak nie przeprowadzili żadnej kontrofensywy, ale dalej dążyli do całkowitego opanowania Starego Miasta. Ponieważ akcja ta się nie udała, więc wyszedł rozkaz, aby ewakuować wszystkie oddziały ze Starego Miasta do Śródmieścia, kanałami. Oczywiście przy wjazdach do tych kanałów działy się dantejskie sceny. Było to straszne, ponieważ wszyscy się spieszyli, panikali, chcieli wejść jednocześnie do tych wjazdów, tak że tandarneria musiała pilnować jakiegoś takiego porządku. Trzeba przyznać, że ta ewakuacja udała się możliwie, jeśli chodzi o Powstańców. Natomiast o ile chodzi o ludność cywilną

i rannych, to, niestety, niewielu się udało przejść kanałami i bardzo wielu ludzi Niemcy po zajęciu Starego Miasta wywordowali i wywieźli. Porucznik "Lech Grzybowski", któremu udało się opanować Hale Mirowskie i jakiś czas je utrzymać w swoich rękach otrzymał jednak rozkaz wycofania się, ponieważ groziło mu odcięcie. Odznaczony został na miejscu orderem "Virtuti Militari" przez pułkownika "Montera", który odpiął swój krzyż i przypiął jemu. Ja byłem z tego bardzo zadowolony, ponieważ bardzo cenilem tego oficera, gdyż był to bardzo dobry oficer, dlatego właśnie tę bardzo ciężką służbę jemu powierzyłem i byłem pewien, że wykona swoje zadanie należycie. Krzyż, który dostał, był całkowicie zasłużony. Oddziały, które przyszły ze Starego Miasta zostały rozlokowane w całym Śródmieściu. Oczywiście było to wszystko wynędzniałe, przenośne no i po przejściu kanałami niesamowicie brudne, więc musieli się jakoś doprowadzić do porządku i odpochnąć. Na naszym terenie tak samo było dużo ludzi, a jednocześnie z oficerami z Komendy Głównej przybyło dużo oficerów, różnych pułkowników, którzy nie mieli właściwie swego przydziału. W związku ze zwiększeniem stanu liczebnego Powstańców na terenie Śródmieścia należało przeprowadzić tutaj jakąś reorganizację. Dotyczyło to również naszego aggrupowania. No i u nas także został wtedy utworzony odcinek nazwany "Śródmieście północ", który obejmował Królewską do placu Grzybowskiego, a następnie szedł odcinkiem "Chrobrego II", tak że nasze aggrupowanie zostało tu także włączone. Dowódcą tego odcinka został mianowany pułkownik "Paweł" (Franciszek Rataj), dowódcą większych oddziałów NSZ-owskich na Starym Mieście, które bardzo dzielnie tam walczyły. Był to bardzo dobry oficer, więc byłem z tego bardzo zadowolony. Jako jego następcą został mianowany major "Wagóńczyk". Teraz moje dowództwo bezpośrednio jakoś się ustabilizowało no i byłem z nim teraz w ścisłych kontaktach. Ale w międzyczasieaszła dziwna i śmie-



mana, w pewnym stopniu, historia. Otóż pułkownik "Radwan" telefonicznie zapytał mnie, jak ja się czuję, czy nie jestem przemęczony, jak sobie daję radę na tym odcinku i czy nie uważam za wskazane, aby on tu mnie przysłał jakiegoś wyższego, zawodowego, oficera, który by objął dowództwo zgrupowania "Chrobry II". Ja oczywiście mu podziękowałem i powiedziałem, że nie czuję się zmęczony, czuję się dobrze i jakoś - jak dotychczas - daję sobie radę. Przepomniałem mu to zdarzenie z "Trylogii", gdy Kmicie podczas zdobywania Warszawy bronił takiego szaczątko wysuniętego tuż pod mury warszawskie, a Szwedzi bardzo bombardowali tę jego pozycję, tak że nie miał ani w dzień ani w nocy chwili spokoju. Wówczas król, żeby ułatwić zadanie temu swojemu ulubieńcowi posłał mu Gwoździńskiego na zastępcę. Kmicie nie przyjął jednak tego zastępcy i powiedział: "Co wy mi tu wodzów przysyłacie, mnie wodzów nie trzeba, ja i sam dam radę, tylko podesłajcie mi żywność i amunicję". No, powiedziałem to "Radwanowi", on na to się rozśmiał. Powiedziałem mu, że "miałoby tylko urazę do pana pułkownika, gdyby mi pan wodza przysyłał, ale niech mi pan da jak najwięcej amunicji". No i na tym się sprawa skończyła. Rozumiałem, że "Radwan" musiał górzeć tych pułkowników ukłokować i dać im jakieś możliwe przysiały. Tymczasem, o ile chodzi o te wszystkie oddziały, które przyszły ze Starej Warszawy, niektóre częściowo już niekompletne bo uzupełniły one pewne oddziały Śródmieścia, ale gros, razem z dowódcą "Radosławem", przeszło na Czarniaków no i wsparło bardzo wydatnie oddziały czarniakowskie kapitana "Aryasa".

W tym miejscu muszę wspomnieć jedno osobiste zdarzenie. A mianowicie jeden z oddziałów "Żołki", który brał udział w uderzeniu jeszcze ze strony Starego Miasta został odcięty za ulicą Senator-  
skiej, w kościele św. Antoniego i nie mógł się wycofać na pozycję wyjściową. Przeciesiedział tam dwa, czy trzy, dni i kombinował, jak tu się przedostać do Śródmieścia. Nie mając innego wyjścia i nie mogąc

się przebijać, ponieważ Ogród Saski był bardzo mocno obsadzony przez Niemców, sformowali oddziałek i pomaszzerowali półnym wieczorem przez Ogród, udając Niemców. O tyle się to mogło udać, że ubierani byli w zdobyczne panterki niemieckie, a wielu z nich miało kaski niemieckie na głowach, więc z daleka wyglądali podobnie. Przeszli bezczelnie przez Ogród, tak że Niemcy właściwie nie zwrócili na nich uwagi i zorientowali się dopiero gdy ci się już zbliżali do gąsachu dawnej giełdy zbożowej na ulicy Królewskiej 16. Oddział ten bał się jedynie, czy nie będą do nich strzelać Powstańcy. Dlatego kilku skoczyło naprzód ostrzegając, że to idą swoi. No i tak jakos im się udało, że nie zostali ostrzelani ani przez Powstańców na Królewskiej, ani nie zostali zatrzymani przez Niemców. Udało im się w ten sposób wspaniale przejść. Oddział ten, z kompanii "Zośki" był pod dowództwem porucznika "Morze" (Andrzeja Bonockiego), który, niestety, później zginął na Czerniakowie. Był to właściwie jedyny oddział, który przeszedł ze Starego Miasta do Śródmieścia normalnie, bez walki, nie ponosząc prawie strat. Natomiast wszystkie pozostałe oddziały, jak wspominałem, przeszły kanałami, co było bardzo ciężkie, ponieważ w takim ścisłym i tłoku przejście to było bardzo ryzykowne, ogroenie męczące i nieprzyjemne, ponieważ się w błocie brodziło nieraz powyżej kolan. Ale na ogół przejście to również dobrze się udało. Niemcy tylko w niektórych miejscach wrzucali do szlusu granaty, i robili zasadzki, ale nie udawało się im utrudnić tej akcji i oddziały przeszły dobrze.

Plan przejścia górą, ze Śródmieścia do Starówki był nieprzeemyślany, na skutek czego poniosło się duże straty. Potem po utracie Starówki, przypuszczałem, że Niemcy postąpią podobnie jak 15 sierpnia i uderzą na nasz odcinek na teren II batalionu, w chęci zajęcia, lub rozszerzenia swojego terenu i zabezpieczenia utworzonej przez siebie trasy, co znacznie by im ułatwiło działanie. Spodziewałem



się, że taki atak może nastąpić i poleciłem dowódcy II batalionu, aby wzmocniło placówki i specjalnie uważano, czy nie nastąpi atak ze strony niemieckiej. Niemcy jednak żadnej akcji zaczepnej nie przeprowadzili. Ponieważ w tym czasie obydwa bataliony, a szczególnie II, poniosły duże straty w ludziach, musieli je uzupełnić kompanią rezerwową, która w tym czasie zszalała. Przypuszczaliśmy, że po opanowaniu Starówki Niemcy przystąpią do likwidacji następnego odcinka powstańczej Warszawy. Nie sądziliśmy, aby to się stało w Śródmieściu, a raczej przypuszczaliśmy, że stanie się to na Żoliborzu, lub uderzą od południa na Mokotów. No, ale po zlikwidowaniu Starego Miasta panował jakby względny spokój. Nie było większych akcji ze strony niemieckiej i naturalnie nie było również żadnych akcji zaczepnych ze strony powstańczej. Tak że można powiedzieć, że pierwsze dni września przebiegały stosunkowo spokojnie, choć walki trwały na wszystkich odcinkach. Wzmogło się jednak bombardowanie. Była i ciężka artyleria, która czyniła bardzo duże szkody. Prawie od samego rana codziennie latały nad Warszawą po trzy, czy cztery, samoloty. Były to "sztukasy" bombardujące miasto. Pikowały one w dół i było widać wyraźnie, jak wyrzucały na raz po trzy duże bomby, które w pierwszej fazie lotu były bardzo widoczne, ponieważ leciały stosunkowo wolno, a dopiero później nabierały szybkości. Przekre też były bardzo pociski, bo nigdy nie było wiadomo, gdzie spadną, a robiły przecież ogromne szkody. Przeciw tym broniom nie mieliśmy żadnego środka obrony. Nie mieliśmy przecież żadnej artylerii przeciwlotniczej, ani samolotów. Niemcy działali więc bezkarnie, samoloty latały zupełnie nisko, obserwowały dobrze wszystkie obiekty i rzuciły bomby tam, gdzie się im podobało. Strzelaliśmy tylko trochę z karabinów maszynowych, było to jednak całkiem bezskuteczne, więc w zasadzie tego się nie wykazywało, ponieważ przecież śledziło się samoloty, których mieliśmy bardzo mało.

W tym czasie żona moja była jeszcze na ulicy Złotej, w schro-  
nie pod kinem "Palladium". W tym też czasie odwiedził nas syn,  
który przyjechał z Czerniakowa. Nie wiem, kiedy on się dowiedział  
o adresie moim i żony. O ile sobie przypominam, to chyba jednak  
miałem przedtem kontakt z łącznikami, którzy przychodzili z Czerni-  
niakowa do dowództwa Śródmieścia i przez nich posłałem jakąś  
wiadomość do dowódcy Czerniakowa, "Kryski", a ten prawdopodobnie  
zawiadził mojego syna, gdzie przebywamy i co się z nami dzieje.  
Oczywiście odwiedzin syna sprawiły mi kolosalną radość. Prawie  
cały dzień był on ze mną na odcinku. Zakazano go, częstując  
obiadami, których tutaj mieli, a później pokazałem mu na rysunku  
jak jest rozmieszczona grupa "Chrobry II", ponieważ się tym inte-  
rował. Opowiedział mi dużo o tym, co się dzieje na Czerniakowie.  
Nie uciekałem się, że ten jest wagi, daj spokój. Granica odcinka  
czerniakowskiego była na Solcu, dalej więcej było III mostu, a na  
południu było na Sadzbie. Wiek tam na razie specjalnie ciężkich  
nie było, więc nie miałem wrażenia, że tam chłopak jakoś sobie da radę  
i może ocieplę. Ale tymczasem był tu ze mną cały dzień. Jedyną  
rzecz, o której mnie właśnie bardzo prosił, to był rewolwer. Ten chło-  
pak miał już 19 lat, więc chciał ze mną się popisać, że ma przy so-  
bie jakąś broń, a na Czerniakowie nie dostał nic, ponieważ tam z  
bronią było na ogół dość ciężko. Niestety, nie mogłem mu dać żad-  
nej broni. Poszliśmy razem do rękodzielnictwa, ale wówczas nie dyspo-  
nowałem one żadnym rewolwerem. Prosił mnie, żeby mu oddałem swój.  
Jednak trochę bałem się dawać mu ten rewolwer. Był to mały rewol-  
werek, siedmiostrzałowy, nie pamiętam jakie, marki, ale miałem  
tylko jeden nabój, a przy tym zaczęto się śmiać, więc się bałem,  
że nie będzie miał się z nim obchodzić. Może byś chciał konbi-  
nować do niego jakieś naboje, byś nie manipulował, a wtedy nie  
trudno o wypadek. Bałem się, czy się czasem nie przecięli, nie



rani, więc mu tego rewolweru nie dałem. Bardzo mi było przykro, że musiałem mu tego odmówić, ale ja nie mogłem się na to zdecydować. Był z nami do wieczora. Zapatrzałem go w bieliznę i coś z ubrania i odprowadziłem go, ponieważ przyszedł tutaj jakiś łącznik, aby porozumieć się z dowódcą Czerw, które miejsce się wówczas nadal w gmachu PZO na ulicy Świętokrzyskiej. Odprowadziłem go do ulicy Złotej i musiałem szybko wrócić na swój oddział, nie mogłem go więc odprowadzić dalej. Skrzyżił w ulicę Jaśną. Stałem i patrzyłem, aż doszedł prawie do rogu. Stędy sobie pomyślałem, czy czasem nie widzę go ostatni raz, czy przeżyje on te ciężkie i niebezpieczne czasy, czy kiedykolwiek go jeszcze z tyćia zobaczę.

A tym czasie na froncie bolszewickim było bardzo spokojnie. Bolszewicy, jak w końcu lipca podsunęli swoje patrole aż pod Pragę, tak po wybuchu powstania cofnęli się. Naturalnie nie wiem, czy zrobili to z przyczyn politycznych, aby powstanców kontynuować samych sobie, czy też ze względów strategicznych, ponieważ Niemcy ich odrzucili. W każdym razie w pierwszych dniach września bolszewicy stali na linii Otwocka i Radzyńska i ten ten front jakby się ustabilizował i akcji prawie nie było. Tylko od czasu do czasu dochodziły do nas odgłosy kaponady artylerzystów. Dopiero gdzieś pod koniec pierwszej dekady września dowiedzieliśmy się, że bolszewicy rozpoczęli na całym tym odcinku ofensywę na Pragę. Mieliliśmy nadzieję, że mimo operu niemieckiego zdobędą Pragę i może nawet przejdą na stronę, Warszawa lewobrzeżnej i uwolnią nas od Niemców. A sytuacja nasza, sytuacja powstania, stawała się pod każdym względem coraz cięższa. Nie tylko ponosiliśmy straty, ale nie było nadziei na dłuższe trzymanie się w akcji bojowej, bo coraz bardziej brakowało już żywności i wszystkiego niezbędnego dla życia ludzi. Brakowało już lekarstw, a co najsmutniejsze - brakowało wody, ponieważ fontanny były nieczynne już od dawna i musieliśmy jedy-

nie korzystać z prowizorycznie wykopanych studni. Woda była rozdawana i ograniczana, ponieważ w przeciwnym wypadku mieszkańcy byłoby szybko wyczerpane. Wodę racjonowaliśmy szczególnie dla ludności cywilnej, ale także i dla wojska. Nie mieliśmy związku do bolszewików. Nie wiedzieliśmy, jak z nimi postępować. Jednostki nas słuchały, że wszystkie kłose wywozić na Węgry i do Czech. W każdym razie sądziliśmy, że po zajęciu Pragi, a potem Warszawy, nie powinni z nimi nie postępować, ponieważ mimo wszystko musieli się liczyć z aliancami. Przecież ostatecznie były jakieś umowy zawierane z bolszewikami, jakkolwiek umów tych, jak wiadomo, nigdy nie dobrużywaliśmy. Sądziliśmy jednak, że muszą się liczyć z ogólnymi układami politycznymi. Zresztą Armia Krajowa była liczącą i oparcie jej i ucieczkę do niewoli przez bolszewików nie byłoby takie łatwe. Myśleliśmy nawet czasem, że może nas przesłać, być pod względem uzbrojenia, bądź żywienia, czy też pod względem sanitaryjnym, lub ułatwić nam pomoc z Zachodu. Bo przecież stąd było ta pomoc, ale w minimalnym stopniu. Przesyłały tylko pojedyncze samoloty, które zrzucały zasobniki z żywnością i amunicją, lub żołnierzy i wracały. Samoloty tych dużo ginęło, ponieważ miały bardzo długą trasę i musiały mieć bardzo duże zapasy benzyny, żeby wrócić do swojej bazy. Była bardziej, że zawsze przelatując nad terenami okupowanymi samolot taki był ostrzeliwany. A zwiastem z tym powodowało duże straty i na taką pomoc w szerszym zakresie nie mogliśmy liczyć. Pod koniec pierwszej dekady września, jak wspomnieliśmy, wzmogła się kanonada artyleryjska na odcinku praskim i rzeczywiście dnia 12 września zajęli oni Pragę. Mieliśmy wiadomości, że obsadzę Pragę, Wiśle, od Łaskiej Łępy aż do Jabłonny. Niemcy się z Pragi wycofali i wycofali wszystkie mosty warszawskie, tak że już żadnej komunikacji z Pragą nie było. W ten sposób utworzyły się takie przesłoki powstańcze nad Wisłą, na Czarniakowie, potem była przerwa pomiędzy mostami



aż do Żoliborza, bo ten odcinek był cały czas w ręku niemieckim, a dalej Żolibórz Maryański znów był w rękach powstańców. Na tych dwóch przyczółkach wiślanych można się było spodziewać jakichś desantów bolszewickich. W pierwszych dniach jednak po zajęciu Pragi to nie nastąpiło, i sytuacja w powstańczej Warszawie z tej racji nie uległa właściwie zmianie, a raczej należało się spodziewać, że Niemcy przyspieszą swoje natarcie. Istnienie takich przyczółków, wobec bliskości wroga znajdującego się już po drugiej stronie rzeki, było dla nich bardzo niekorzystne, gdyż mogło ułatwić desant i przedostanie się wroga na lewą stronę Wisły. Więc jasne było, że Niemcom będzie teraz zależało na tym, aby odepchnąć oddziały powstańcze od rzeki i do tego nie dopuścić. Myśmy jednak na desant bardzo liczyli. Obecność bolszewików po drugiej stronie Wisły odczuwaliśmy jedynie po tym, że od czasu do czasu następowało bombardowanie Warszawy, a szczególnie Pola Mokotowskiego, przez artylerię bolszewicką. Pojawiały się też samoloty - bolszewickie myśliwce - najczęściej pojedynczo, wieczorami lub o świcie. Były to małe samolociki, tak zwane "kukurufniki", które po pewnym czasie zaczęły rzucić zwyczajne worki, a nie zasobniki, z sucharami a nawet bronią. Były to karabiny automatyczne, tzw. "pepesze". A ponieważ wyrzucali to w zwyczajnych workach, więc rozbijały się i głuży. Niszczyła się także, przy uderzeniu o bruk, również amunicja do tych "pepeszy" i wszystko to musieliśmy oddawać do naszej zbrojowni-rusznikarni, gdzie udawało się z trzech takich "pepeszy", czy karabinów maszynowych zrobić jeden. Tak samo amunicja z pogiętymi łuskami musiała być prostowana i doprowadzana do stanu używalności, co nie było ani proste, ani łatwe. Trzeba było każdy pocisk rozbierać, prostować łuskę i składać go na nowo. Tym niemniej, musieliśmy to wykonywać, ponieważ coraz bardziej odczuwano się brak amunicji. Natomiast o ile chodzi o lotnictwo bolszewickie to było

ono kolosalnie pomocne, bo gdy tylko pojawiał się gdzieś od strony Pragi samolot, samoloty niemieckie, o ile były w tym momencie nad Warszawą, momentalnie uciekały, gdyż Niemcy nie chcieli ryzykować utratą własnych maszyn. Liczyliśmy więc na jakąś zmianę, okropnej już wówczas naszej sytuacji. Mieliśmy nadzieję, że jednak zostaną przez bolszewików wykorzystane utrzymywane stale przez Powstańców przyczółki nad Wisłą. Wiedzieliśmy, że przecież muszą się przygotować do dalszej ofensywy i forsowania Wisły. Liczyliśmy, że nawiążą z nami kontakt, i tak czy inaczej będą nas wspierać. Odczuwało się pewne wzmożenie walk z Niemcami na wszystkich odcinkach powstań-  
czych, a przede wszystkim na Żoliborzu i Czerniakowie. Dopiero po kilku dniach, będąc w dowództwie Obwodu, dowiedziałem się, że jest jakiś oficer łącznikowy bolszewicki, który przebywa w Komendzie Głównej AK, mieszczącej się stale w gmachu PKO na Świętokrzyskiej. Dojechałem tam od razu, wytląc, że się czegoś dowiem i może nawią-  
zę z nim jakiś kontakt. Ku mojej wielkiej radości dowiedziałem się, że specjalnie nim się opiekuje mój dawny kolega jeszcze z 8 pułku z konspiracji - Antek Łocz. Opiekał się rzeczywiście tym kapita-  
nem Kaługinem, bo tak się nazywał ten przedstawiciel strony re-  
dzieckiej. Przedstawił mnie i dość długo siedziałem i rozmawiałem z nim. Był on oficerem łącznikowym, przysłany przez Rokossowskie-  
go, dla utrzymania stałego kontaktu z dowództwem Armii Krajowej. Mówił, że będzie tu ściśle współdziałanie między jedną i drugą  
armią. Było to jednak, jak się później okazało, tylko w teorii, dla-  
tego że absolutnie z dowództwem Rokossowskiego nie można było nawią-  
zać żadnego bliższego kontaktu. Kiby ten kontakt był, bo istniał kon-  
takt radiowy a potem telefoniczny, ale bezpośredniego nie było, a  
o ile już kontakt nawiązany i tanta strona czegoś się dowiedziała  
to zaraz ten kontakt się przerywał. Kapitan Kaługin niby się starał,  
a może udawał, że się stara, o nawiązanie bliższego kontaktu. Mówił,



że tu niedługo nastąpi ich ofensywa a Armia Czerwona przyjdzie na pomoc AK, szczególnie zaś oddziały polskie należące do niej, tzn. I Dywizja Kościuszkowska, która wówczas stała na Pradze i była rozlokowana na samym brzegu Wisły. Rozwzględnie w najbliższych dniach nastąpi jakiś desant na naszą stronę. Jednakże to jakos nie nastąpiło. Dowiedziałem się jeszcze, że w rejonie pola Mokotowskiego, przy Polnej, znaleźli się również jacyś oficerowie sowieccy, artylerzyści, którzy kierowali podobno ogniem artylerii z Pragi. No i rzeczywiście słychać było strzały armatnie i wybuchy z tego kierunku, ale z nimi nie mieliśmy żadnego kontaktu i nie wiedziałem, co się tam dzieje. Opowiadano mi w dowództwie Okręgu i Obwodu, że od czasu do czasu ta artyleria strzela, ponieważ ogniem kierują ci oficerowie, ale strzały te nie dawały żadnego skutku. Jedyną realną pomoc ze strony sowieckiej to było lotnictwo, które od czasu do czasu latało nad Warszawą. Miliła wtedy ciężka artyleria niemiecka, ponieważ nie chciała zdradzić swoich stanowisk.

Zajęcie przez bolszewików Pragi miało dla nas jednak i swoje złe strony. W Powstaniu brała udział tzw. Polska Armia Ludowa (PAL i KB i PAB) to znaczy formacje lewicowe, które nie podlegały dowództwu Armii Krajowej, miały swoje dowództwo i nie bardzo się podporządkowywały rozkazom dowództwa Armii Krajowej. Na ich czele stał pułkownik, czy wówczas już może generał Skokowski. Wydał on rozkaz, aby członkowie tych konspiracyjnych lewicowych oddziałów przenieśli się teraz na Czerniaków. Prawdopodobnie liczyli, że z Czerniakowa jakos się przedostaną na Pragę i połączą z I dywizją Kościuszkowską i uratują się od przesądzonej klęski, jaka tu musi nastąpić. Dato to naturalnie ujemne skutki, dlatego że żołnierze ci porzucali szeregi Armii Krajowej, dotychczasowe szeregi powstańcze i wycosili się na Czerniaków. Szczególnie to się odbiło wyraź-

nie w "Chrobrym II", ponieważ, jak już wspominałem "Chrobry II" to był zlepek najrozmaitszych organizacji, który powstał przecież przypadkowo w pierwszych dniach Powstania, z ludzi, którzy należeli również do oddziałów okupacyjnych lwiewoych. Zaczęli się oni masowo ujawniać i przenosili się na Czerniaków. Były to dwie kategorie ludzi. Niektórzy z nich chcieli nawet zabrac ze sobą broń i nie nikomu nie mówiąc wynosili się przez Plac Trzech Krzyży i dalej Książęcą. Porządniejsi i solidniejsi żołnierze lub oficerowie meldowali się u swoich dowódców, a ci kierowali ich przeważnie do mnie. Taki przychodził do mnie i meldował, że zgodnie z rozkazem swojego dowódcy, pułkownika Skokowskiego, chce i musi się przenieść na Czerniaków. Starałem mu się wytłumaczyć, że to jest bezcelowe, i że nie wiadomo co będzie jeszcze na Czerniakowie, więc niepewne jest, czy w ten sposób się ochroni. Z drugiej strony starałem się go przekonać, że przecież to nie jest przyzwyczajone i solidne stanowisko żołnierskie czy oficerskie, opuszczając swój oddział, w którym się półtora miesiąca walczyło i przenosić się teraz do jakiegoś innego oddziału, licząc tylko na to, że tak będzie spokojniej i bezpieczniej. Te moje argumenty ale bardzo trafiły im do przekonania i większość z nich przeniosła się od nas na Czerniaków. Stworzyło to pewien wyłom w naszych szeregach, ale starałem się to jakoś uzupełnić. W tym czasie nastąpiła już prawie całkowita likwidacja kompanii rezerwowej. Odbiło się to na składzie naszych oddziałów i rzadziej następowały zmiany na placówkach. W ten właśnie sposób od razu odczuliśmy negatywny wpływ bolszewików na nasze stosunki i warunki w zgrupowaniu. No, a cóż nas czekało później? Druga okupacja. Czy ona aby będzie lepsza od okupacji niemieckiej, czy można będzie z bolszewikami jakoś dojść do ładu. Liczono wówczas jeszcze na to, że ewentualnie całą tę warszawską Armię Krajową zastaną jeszcze w szarych szeregach i jej



rozbrojenie nie byłoby takie proste. W każdym razie do ich polecenia musielibyśmy się zastosować i z nimi się liczyć. To też dlatego chcieliśmy przyjąć ich w Warszawie jak gospodarze, jako naszych gości, oczekiwanych sojuszników. Chcieliśmy wiedzieć, jak to się rozwinie. Przybliżenie się do nas frontu wschodniego dawało nam dodatnią korystną możliwość. Niemcy od czasu do czasu pomagali nam, ale pomoc ta okupiona była wielkimi stratami. Obecnie liczyliśmy na to, że skoro jest już tak blisko front wschodni i tereny są zajęte przez sojusznika wschodniego, to pozwoli on lądować samolotom alianckim, co koleśalnie zmniejszą ryzyko ponieszone przy tak długich lotach bez lądowania. Obecnie byłby to lot tylko w jednym kierunku, uzupełnienie paliwa i powrót do swoich baz we Włoszech czy Anglii. I tu w zasadzie liczyliśmy na największą pomoc ze zranionych. Niestety, to nie nastąpiło i samoloty zachodnie się nie pojawiły i jak później dowiedzieliśmy się - ani dowództwo polskie ani alianckie, mimo usilnych starań, nie uzyskało zgody bolszewików na lądowanie na terenach zajętych już przez Armię Czerwoną. Ogromnie nam to utrudniło dalszą walkę, bo było coraz gorzej, tak z żywnością, jak i z amunicją. Byłoby to taka prosta rzecz, taka prosta pomoc, nie tylko dla Armii Krajowej, ale zwykła ludzka pomoc, nie tylko dla Armii Krajowej, ale zwykła ludzka pomoc dla walczącej w określonych warunkach Warszawy.

Niemcy musieli sobie zdawać sprawę z niezabezpieczeniem posiadania przez powstańców przesyłek wiązanych. W ogóle bardzo niewygodne musiało być dla nich całe to powstanie, tu na samej linii frontowej, więc musieli przystąpić do jak najszybszej jego likwidacji. To też - nie zalekając - do tego przystąpili. Najsilniejsze natarcie poszło więc na Żoliborz, a po wprowadzeniu dwóch dywizji pancernych "Goriaga" i "Wiking" - na Mokotów, a przede wszystkim na Czerniaków. Uderzenie tych oddziałów na Sadybę spo-

wodowało, że oddziały powstańcze musiały się stąd wycofać, w kierunku 5-ego mostu, a więc w kierunku Solca. Na Mokotowie natarcie szło od Blusowa i Stusowa, wzdłuż Puławskiej. Jednakże najsilniejsze natarcia były na Żoliborzu. Zaszły się również większe walki w Śródmieściu, na odcinku wzdłuż Wisły, a mianowicie od mostu Kierbedzia, ulicą Dobrą, w stronę Solca. Wyraźnie było widac, że chodzi Niemcom o likwidację przystępka na Szoruliakowie. Względnie spokojnie było na terenie odcinków północnych, to jest właśnie na odcinku "Chrobrego II". I tu jednak były codzienne walki, ale nie miały one takiego natężenia. O żadnych akcjach zaczepnych z naszej strony też nie mogło być mowy, chodziło tylko o obronę. Byliśmy zadowoleni, że tymczasem choć u nas jest mało żywności. Ciężko jednak było nadal z amunicją i wyposażeniem, ale jakoś dawaliśmy sobie jeszcze radę. Tu w okolicach Łelaznej Strazy było zawsze wiele różnych furmanów i sporo koni, a jakkolwiek ich właściciele starannie je chowali w ruinach to udawało się je wytrącić i mieliśmy względnie możliwe zaopatrzenie. Poza tym na naszym terenie, na ulicy Prostej, był dość duży młyn, więc stała się czerpać się ziarna pszenicy i jęczmienia i to nie tylko dla naszej grupy, ale także zaopatrywane stąd było całe Śródmieście. Codziennie rano odbywały się wydrówki ludzi po ich odbiór. Polecilem kapitanowi "Lechowi", żeby to wydawanie jakoś zorganizował i wydawał ziarno w pewnych tylko racjach, nie za duże dla poszczególnych ludzi, ponieważ chodziło mi o to, aby starczyło go na dłuższą. Ten rodzaj odbywał się względnie sprawnie.

W połowie września spotkały mnie dwie miłe chwile. Zostałem awansowany na majora, rozkazem Okręgu, oraz prawie że równocześnie odznaczony orderem Virtuti Militari. Sprawilo mi to kolosalną radość, no ale musiałem zebrać trochę różnych zapasów i urządzić przyjęcie dla dowódców poszczególnych oddziałów "Chrobrego II",



jak i najbliższych sąsiadów, a więc kapitana "Mala", kapitana "Gurba" i jeszcze kilka innych, oczywiście z oddziału powstańczego Śródmieście-północ. Przyjście to odbyło się bardzo uroczystie. Było na nim bardzo przyjemnie. Zorganizowane zostało w mojej kwaterze na ulicy Sienna 45. Było ono trochę zakłócone, ponieważ w tym czasie było bombardowanie i w pobliżu wybuchły jakieś "krowy", i nieprzerwanie przecieł latały samoloty niemieckie i trwały również bombardowanie lotnicze. Muszę to przy okazji opowiedzieć taki dziwny wypadek, dotyczący się nas osobliście. Siadaliśmy, któregoś dnia, gdzieś w polowie września, wychodziliśmy rano z rotmistrzem "Bańkuckim" i gdy właśnie byliśmy już koło Łelaznej, nadleciały trzy "sztuczki" niemieckie. Chcieliśmy tylko o to, żeby te samoloty poleciały jak najdalej i nas nie bombardowały. Wyraźnie w tym czasie odnależały się, trzy, cztery domy stojące obok siebie, zupełnie jeszcze nie uszkodzone na ulicy Sienna, gdy już dookoła były same ruiny. Zatrzymaliśmy się i czekaliśmy, co to będzie dalej. Samoloty leciały nad ulicą Sienną, ale skrzywiły i zacięłyśmy łuk nadleciały znów w naszym kierunku i w pewnym momencie jeden z nich zaczął pikować; widziałem jak wyrzucił trzy bomby. Widziałem wyraźnie jak wyrzucił te trzy bomby i widziałem, że trafiły one w nasz dom. Oczywiście pokryło się wszystko dymem i pyłem, tak że wszystkie te domy dla nas niewidoczne. Rozmyślałem wówczas, że to już całkowite nieszczęście, ponieważ w tych domach znajdowały się nasze magazyny, była cała kompania łączności pod nr 45, a także na kwaterze pozostała moja żona, więc liczyłem, że tam zostaną już tylko jedną ruinę. Kelno szliśmy z powrotem, zbliżając się do naszych kwater, które tak były zasłonięte dymem i kurzem, że nie nie było widać, ale kiedy zbliżyliśmy się całkiem i podszliśmy do 45 numeru zobaczyłem, że brama stoi w całości. Podeszliśmy dalej, ponieważ zasadnicza kwatera była pod 41, tam przecieł była kan-

celaria, rusznikarnia i wszystko się tam mieściło, a także i tam była siena. Ale zobaczyłem, że tu też jeszcze stoi brama. Gdy zbliżyliśmy się do niej, idąc prawie po obocku, wyskoczył z bramy jakiś jegomość, pędził jak nieprzytomny, ale stąpaliśmy go i zatrzymaliśmy, bo chcieliśmy się czegoś dowiedzieć. On jednak się wyrwał i poleciał dalej. Ucieszyliśmy się, że jednak dwoy jeszcze stają. Rozchiliśmy pod nią i zobaczyłem snującą się w tym pyłu iwarci. Znowu stąpaliśmy koło i zapytaliśmy, co się stało? Powiada: "trafiły w nas bomby". "No ale co z tymi bombami, spadły one? Był wybuch? Co się z nimi stało?" On powiada, że były dwie bomby i dwa niewypały leżą na podwórku. Rzeczywiście zobaczyłem leżące dwa ogromne pociski lotnicze, bomby dużego kalibru i jednocześnie zobaczyłem, że już pył się rozrzedził, wygładzającą przez okno naszą kocz. Ucieszyłem się, że tutaj już wszystko w porządku, ale nie rozumiałem zupełnie w pierwszej chwili, skąd wzięło się tyle pyłu i dymu. Osta okazało się, że bomby trafiły akurat w dach i V piętro naszego domu i ten cały gruz runął razem z pociskami na podwórko no i stąd powstał taki pył. No ale przecież jeszcze była trzecia bomba, wyrzucona z samolotu. Na razie nie można było jej znaleźć. Szukaliśmy jej długo, a w końcu znaleźliśmy ją w ruinach sąsiedniego domu, numer 39, już wówczas nieistniejącego. Bomba ta była wbita bardzo głęboko w te ruiny, w gruz, dlatego w pierwszej chwili nie mogliśmy jej znaleźć. W tych gruzach schowany był koń i zobaczyliśmy, że już nie żyje, ponieważ edłanek cegły tkwił w jego łbie, więc doszliśmy się, że gdzieś blisko musi być ta bomba i rzeczywiście po pewnym czasie zobaczyliśmy ją wbity w gruz; na szczęście był to także niewypał. Były to więc trzy niewypały z jednego rzutu. Wówczas postanowiliśmy już nigdzie się z tych pomieszczeń nie przemieszczać, co poprzednio planowaliśmy, dlatego że tutaj było nam już znacznie i za dużo było magazynów. Bał się, że jeżeli ta dom, zostaną zbombardowane, to



poniesiony kolosalne straty. Ale trzy niewypały przekonały mnie, że tu jest cały brzoń przez jakichś niemieckich siły, czy powiedzmy - dla ludzi wierzących - Pan Bóg się nami opiekują. Postanowilem więc nigdzie się nie przemieścić i zostać tu do końca, i rzeczywiście tak się stało. Do końca bowiem te dasy się zostały już naruszone i do dziś dnia, po przeprowadzonych remontach, stoją nieporuszone. Jest to Sienne 41, 43, 43a i 45. Działały również dasy stojące naprzeciwko, a mianowicie 35 i 38, gdzie mieściła się kwatera "Lecha Graybowskiego". Miał tam również rodzaj zaplecza, kwatery odpoczynkowe dla żołnierzy, schodzących z placówek, sztab swego zaplecza. No wyraźnie było widać, że ten odcinek ulicy Siennej jest pod opieką Boską. Był to więc taki, jak to się mówi, "palec Boży", chroniący nas i naszą kwaterę.

Tymczasem sytuacja w powstającej Warszawie stawała się całkiem beznadziejna. Nie było już żadnych szans uratowania się. Nie widać było żadnych możliwości pomocy z zewnątrz. Było już oczywiste, że Armia Czerwona zatrzymała się, i że tymczasem nie ma zamiaru przekraczać Wisły i prowadzić dalszej ofensywy, a tym samym oswojcie-nie nas od Niemców. Nie widzieliśmy również możliwości żadnej pomocy ze strony aliantów. Przestali oni dostarczać nam nawet te niewielkie ilości broni, żywności i lekarstw ze zrzutów, ponieważ samoloty ich już zupełnie nie nadlatywały. Tymczasem było nam coraz ciężiej, coraz gorzej. Wyżywienie było bardzo słabe. Jeszcze tutaj na terenie "Chrobrego II", jak już mówiłem, była pszenica i jęczmień, więc było jako tako możliwe, ale w innych rejonach było bardzo ciężko. Żołnierze byli już na ogół bardzo przemęczeni, ponieważ nie mieli prawie wcale odpoczynku. Odpoczynek poza placówkami był problematyczny, bo gdy zostali złuczeni i schodzili na kwatery, <sup>byli również opiekani i nie,</sup> to mogli należeć do odpoczynku, a zastępujące ich oddziały także były bardzo słabe. Tak samo i było z ubraniami. Wszystko

się podziarsło. Buty były już w straszonym stanie. Niektórzy chodzili już prawie zupełnie boso. Brakowało również środków opatrunkowych, brakowało leków. Lekarze byli przeciążeni, bo pracowali prawie zupełnie bez odpoczynku, gdyż było dużo rannych, a sytuacja ich była wprost rozpaczliwa. Z każdym razem śladali oni tylko o jedno: gdyby opuszczano teren, na którym znajdowało się dany szpital, to żeby bezwzględnie ich zabrać ze sobą, ponieważ bali się pozostać. Byli przecież bezradni, bo unieruchomieni, no i bali się szalenia, że Niemcy - co zresztą często miało miejsce - będą rannych dobijać. Brakowało także broni i amunicji, a na otrzymanie jej nie mieliśmy żadnej nadziei. Jednocześnie Niemcy coraz bardziej wzmagali nacisk na poszczególnych oddziałach. Jak już poprzednio wspominałem, bardzo silne walki toczyły się na Żoliborzu i zdawało się, że już wkrótce musi nastąpić kapitulacja tej dzielnicy. W tym czasie, gdzieś po 15 września, bolszewicy przeprowadzili naty desant plutonu, czy może części plutonu, 6 pułku piechoty i dywizji wojska polskiego. Desant ten przeprowadzili na terenie Marymontu. Udało im się zająć naty skrawek terenu, natomiast już absolutnie nie udało się im posunąć dalej, w głąb dzielnicy, dlatego że Niemcy bardzo silnie ten odcinek bombardowali i od razu przeprowadzili kontruderzenie. Jednocześnie atakowali oddziały powstańcze Żoliborza, która się niestety jednak nie udało połączyć z oddziałem wojska polskiego, no i w końcu cały ten desant został przez Niemców całkowicie wyбитy. Na Żoliborzu po tym wszystkim wznęły się walki, ale po bardzo ciężkich szarżach, ponosząc wielkie straty. Żoliborz jednak musiał skapitulować. Evakuacja oddziałów powstańczych z Żoliborza i przeprowadzenie ludności cywilnej z tej dzielnicy do Śródmieścia było zupełnie niemożliwe, ponieważ było to bardzo daleko, a teren ten był oddzielony już zajętą przez Niemców "Starówką". Natomiast udało się, bardzo zresztą nielicznej części powstańców,



przedostał do puszczy Kaapinezkiej i tam połączył się z oddziałami AK-owcami, które tam się znajdowały. Po upadku Helinorze stało się już zupełnie jasne, że teraz Niemcy przystąpią do likwidacji innych rejonów, względnie zastosują atak generalny na wszystkie naraz odcinki, jakkolwiek to ostatnie było wątpliwe, ponieważ na to potrzebowaliby bardzo dużej ilości wojska. Spodziewaliśmy się, a przecież i ogólnie nasze było takie zdanie, że Niemcy przystąpią teraz do likwidacji Czerniakowa, ponieważ budynek ten znalazło na tym, aby odepchnąć oddziały powstańcze od wiaty i ewentualnie uniescili-  
wie desant oddziałów Armii Czerwonej lub Wojska Polskiego. Tymczasem dnia 18 września nastąpiło znaczne i radosne dla nas zdarzenie. Tego pogodnego i słonecznego dnia, jak co dzień obchodziliśmy wszystkie placówki i gdzieś koło południa znalazłem się na odcinku II batalionu u "Lecha Grzybowskiego". W pewnym momencie usłysze-  
liśmy odgłos zbliżającej się do nas dużej ilości samolotów. I po chwili zobaczyliśmy dużą eskadrę lecącą w naszą stronę z kierunku zachodnio-południowego. Oczywiście opiewała nas wszystkim ogromną radość, zaczęliśmy krzyzczeć i podskakiwać z radości. Wszyscy bieg-  
li i patrzyli, co to za samoloty, bo nie przypuszczaliśmy, żeby to mogły być samoloty niemieckie. Nasze przypuszczenia od razu zo-  
stały potwierdzone silnym ostrzałem ich przez Niemców, którzy strzelali z karabinów maszynowych; było również słychać ich strzały artyleryjskie. Byliśmy więc już pewni, że leci eskadra aliancka i przyjdzie nam jakąś pomoc. Wiedzieliśmy, że przyniosą nam jakieś nowiny i zaopatrzą nas i jakoś - tak czy inaczej - nam pomogą. I rzeczywiście, gdy samoloty znalazły się już nad nami, każdy z nich wyrzucił jakieś przedmioty, które wyraźniej mogliśmy rozpoznać dopiero wtedy, gdy nad nimi ukazały się kolorowe spadochrony. W pierwsz-  
szej chwili zdawało się, że wyrzucają ludzi i że to będzie desant. No więc wszyscy krzyczeli i skakali i klaskali z radości, notując

"niech żyją!", ponieważ przypuszczaliśmy, że to przechodzi pomoc, pomoc w ludziach. No ewwii jednak rozpoznaliśmy, że to nie byli ludzie, to nie był sadon desant, lecz zasobniki. Zasobniki te były dość duże, miały ponad 3 metry długości i były okrągłe. Wpasały stosunkowo wolno, na spadochronach. Gdy spadły, od razu zaczęli się wznosić do ich podnoszenia i ucieplenia jednoczących, różnokolorowych spadochronów, z których następnie zaczęła padać ciemna, ciemna, ciemna kawałki. Większa część tych zasobników spadła na naszą stronę, to jest na teren zajęty przez Armię Krajową. Niestety, jednak duża ich część spadła również i na teren niemiecki, więc nie mogliśmy z nich skorzystać. Była jednak także pewna ilość, która spadła na teren między walczącymi oddziałami. W te zasobniki od razu rozpoczęła się walka, ponieważ każda ze stron chciała jeściągnąć na swoją stronę, tak że przy tym ponieśliśmy straty w ludziach, ponieważ też niemiecy, jak i nasi stawali się do przeciwnika, który chciał ten zasobnik ściągnąć na swoją stronę. Dzięki temu więc naszym (ciągnięciu zasobników, leżących między liniami, ponieważ chcieliśmy o to, aby nie było przy tej okazji strat w ludziach, nie było rannych i zabitych. W związku z tym polecieliśmy, aby zabezpieczyć tylko te zasobniki ogniem, nie dopuszczając do ich zabrania przez wroga, a tym że jak się okazało - niecierpać lub w nocy - wówczas będzie można je zabrać na naszą stronę. Część zasobników zawierała broń, przede wszystkim broń palną. Były tam "ziaty" - to znaczy broń przeciwlotnicza, karabiny maszynowe i "stony", czyli angielskie karabinki automatyczne, bardzo dobre, no i dużo amunicji. Wszystko to było świetnie zapakowane, w metalowe pudełka, więc absolutnie nie było uszkodzone. Niektóre zasobniki zawierały dużo różnego rodzaju lekarstw i środki opatrunkowe. No i sporo zasobników zawierało żywność. Przede wszystkim najrozmaitsze konserwy, zwłaszcza mięsne, które były dla nas szczególnie wykorzystywane. Nie-



liamy nadzieję, że samoloty zawrócą i jeszcze raz przelecą nad naszą terena i znów wyrzucą pewną ilość zasobników. Niestety jednak nie zawróciły i odleciały w kierunku wschodnia. Jak później dowiedzieliśmy się - lądowały gdzieś na terenie Związku Radzieckiego, podobno na jakimś lotnisku wojskowym, gdzieś koło Połtawy, czy Charkowa. Był to jedyny wypadek i jedyny przelot samolotów alianckich z lądowaniem na terenie Związku Radzieckiego, na który władze sowieckie się zgodziły. Gdyby wówczas zgodzili się na częstsze lądowanie tych samolotów na ich terytorium, to oczywiście byłoby to dla nas znaczną pomocą. Ale i z tego, co było w danym wypadku, cieszyliśmy się ogromnie, dlatego że zawartość zasobników stanowiła dla nas kolosalną wartość. Oczywiście wielką przyjemność sprawiła nam także zrzucona żywność, ale nie było to dla nas wówczas najważniejsze. Ważniejsza była broń i amunicja, której alianci nam w dość znacznej ilości dostarczyli. Jakoś się tak szczęśliwie stało, że stosunkowo największa ilość zasobników spadła właśnie na naszą terena, to jest na terena grupy "Chrobry II". Przede wszystkim w rejonie Dworca Poczтового, to jest w rejonie placówki obsadzonej przez pluton porucznika "Piotra" (Władysława Micielskiego) z kompanii 3. Polecilem natychmiast sporządzić dokładny wykaz wszystkiego, co zostało otrzymane przez poszczególne oddziały. Przewidywałem zresztą, co prawie natychmiast się potwierdziło, że takiego wykazu zażąda od razu dowództwo, więc musieliśmy wiedzieć czy dysponujemy, co dostaliśmy i co uzupełni nasze braki w broni. Tego samego jeszcze dnia otrzymałem od batalionów wykaz przedmiotów, podjętych na naszej terena przez poszczególne oddziały. Otrzymawszy rozkaz z dowództwa musiałem taki wykaz przesłać. Oczywiście o pewien procent zanęjszyłem, nie wykorzystując jednak sytuacji za nadto, ponieważ wiedziałem przecież dobrze, że i oni też nie podali dokładnych wykazów, bo każdy z oddziałów też coś tam ukrył. A każdy razie to, co podalem, to były dość

duże ilości, no i byłem pewien, że tym, co "skręcili na lewo", uda się nasze plutony zaopatrzyć. Już następnego dnia otrzymałem rozkaz i polecenie odesłania pewnych ilości, zarówno broni jak i żywności, do poszczególnych zgrupowań i rejonów. Rozkaz ten przewidywał pozostawienie pewnej części zawartości otrzymanych zasobników, bardzo kreską nieznacznej, bo przecież chodziło o to, aby zaopatrzyć również te oddziały, które nie otrzymały nic lub bardzo mało. Odpowiedni też rozkaz w tej sprawie wydałem do swoich dowódców batalionów, aby natychmiast, zatrzymując sobie jedynie tylko pewne wyznaczone ilości, całą nadwyżkę przekazali do dowódcy grupy, z tym że ja następnie miałem to przekazać dalej, według podanego rozdzielnika. Oczywiście wydając taki rozkaz, wskazałem jakie ilości - licząc na podstawie nadesłanych raportów - mają mi odesłać poszczególne zgrupowania. Już tego dnia wieczorem otrzymałem meldunek od dowódcy batalionu I "Lecha Żelaznego", że pluton porucznika "Piotra", który najwięcej zasobników złapał, nie chce nic oddać. Inne oddziały jednak już mi poprzyszyły i to prawie całkowicie zgodnie z moim poleceniem. Podobno opór w plutonie porucznika "Piotra" był tak silny i stanowczy, że dowódca kompanii musiał stamtąd rejterować, ponieważ zagrożono mu, że użyją broni, o ile ktokolwiek będzie chciał im otrzymane zasobniki odbierać. "Lech Żelazny" był zupełnie bezradny i zadzwonił do mnie, że nie wie co ma robić. Więc powiedziałem mu, żeby nic nie robił, a ja wieczorkiem przyjdę tam do nich, nawet bez niego, i na Dworcu Pocztowym z żołnierzami się rozmówię. No i rzeczywiście, poprzedem, zastałem tam wszystkich, zostałem przywitany jak się należy, w sztyku wojskowym. Dowódca plutonu zameldował mi stan plutonu, więc podałem "spocznij" i prosiłem, aby siedli bliżej koło mnie to sobie pogadamy. No i rzeczywiście, wszystko to rozsiadło się koło mnie w sali gacha Dworcowej i zaczęliśmy na razie mówić ogólnie. Spytałem ich, jak im się tu powodzi, jak się



czują, przecież są tu na najlepszej placówce, bo na ogół nie było tutaj prawie wcale, byli zawsze pod dachem, więc w razie deszczu nie mokną, mają względnie ciepło i wygodnie. Wreszcie powiedziałem: "Co to, zameldowano mi, że podobno nie chcecie oddać-wbrew rozkazowi - otrzymanej ze zrzutów broni". Odpowiedzieli mi, że przecież oni podnieśli te zasobniki, oni się narażali, ponieważ Niemcy do nich strzelali, gdy po nie wyszali, więc przecież im się ta broń należała. Odpowiedziałem im najpierw, że nie mają absolutnie racji, ponieważ nie wykonali rozkazu, a w wojsku jest to przecież absolutnie niedopuszczalne. Gdyby to było wojsko "prawdziwe", jak się wyraziłem, to przecież od razu powinni byli być rozstrzelani za jego niewykonanie, przede wszystkim zaś przewódniczy tego buntu. Ponieważ jednak są tu do czynienia nie z regularnym wojskiem, lecz z ochotnikami, a w dodatku bardzo młodymi (bo był to pluton chłopaków i dziewczyn rzeczywiście bardzo młodych - pluton harcerki), "więc dlatego", powiedziałem, "muszę potraktować was zupełnie inaczej i chciałbym tylko was przekonać, że postępujecie niesłusznie. Tak czy inaczej muszę was zmusić do oddania tej broni, ponieważ ona jest również potrzebna innym". Widziałem, że moje argumenty nie bardzo im trafiają do przekonania, więc jeszcze im wytłumaczyłem, że co im z tego przyjdzie, choćby nawet mieli więcej broni, gdy tymczasem kapitan "Gurt", stojący na lewym skrzydle grupy, nie będzie jej wcale posiadał, ponieważ - jak słyszałem - tam u niego nie spadł ani jeden zasobnik. Jeżeli nie otrzyma on ani broni ani amunicji, Niemcy na niego uderzą i oczywiście zmuszą go do odwrotu i wówczas przejdą na nasze tyły, a przede wszystkim na odcinek kompanii I i kompanii III i "wtedy co, i tak będziecie musieli ulec. Więc musicie rozumować logicznie i liczyć się z tym, że nic wam z tego nie przyjdzie, gdy będziecie mieli broni pod dostatkiem, a wasi sąsiedzi nie będą mieli nic". No, trochę jeszcze było na ten temat dyskusji, ale na razie nie pytałem ich

już, czy oddadzą tę broń czy nie, ustalasz, powiedziałem im dobranoc i dodałem "pamiętajcie że w ciągu dwóch godzin od obecnej chwili cała broń jaka została podana w rozkazie ma być przekazana do dowództwa. Przecież wy i tak macie zapleczenie z tych rzutów zupełnie możliwe, i to nie tylko w broń, ale także żywność i w środki opatrunkowe, zresztą nie bardzo was potrzebne, bo, o ile wiem - macie tu stosunkowo niewielu rannych, a środki te są najbardziej potrzebne w szpitalach". Po niecałych dwóch godzinach zameldowano mi, że właśnie z plutonu III kompanii porucznika "Piotra" przyleciała pewna ilość kasobników. Kasalca je przeliczył i sprawdził co zawierają, no i rzeczywiście stwierdziłem, że są to takie ilości, jakie były w poleceniu oddania. Na tym zresztą zakończył się ten przykry incydent, który na szczęście nie miał żadnych dalszych następstw. Przelet samolotów amerykańskich i dokonane z nich rzuty podniosły nas znacznie na duchu, choć nic nie zmieniły w naszej sytuacji. Niemcy w dalszym ciągu silnie atakowali przede wszystkim Czerniaków i Mokotów, jak również Powiśle w rejonie Śródmieścia. Sytuacja stawała się zupełnie beznadziejna. Nie widzieliśmy tutaj żadnego możliwego wyjścia i trudno było sobie wyobrazić, jak to się zakończy, w jaki sposób Powstanie upadnie i co dalej będzie z nami. Zdawało się, że już dalsza walka jest zupełnie niepotrzebna, zbędna, ponieważ ponosiło się kolosalne straty, niszczyło się całkowicie miasto, więc nie zdawałem sobie sprawy, po co właściwie dalej walczyć. Czyż nie lepiej było jakoś dojść do porozumienia z Niemcami i kapitulować w ten czy inny sposób? Uratowałyby się jeszcze wtedy bardzo dużo ludzi i może ocaliłoby jeszcze resztki miasta, które w tej chwili przedstawiało już kompletną ruinę. O dany moment jednak na zakończenie Powstania absolutnie się nie zamawiało. Niemcy atakowali ulicę Książęcą od strony skarpy i Żurka, więc przejdziecie Książęcą zostało całkowicie zlikwidowane i w tej sytuacji na



Czerśniaków zupełnie już nie można było się dostać. Tak samo Niemcy już posunęli się poza Soles, dotarli do ulicy Wilanowskiej i dalej atakowali przyczółek na brzegu Wisły, gdzieś w rejonie ulicy Idzikowskiego. Z drugiej zaś strony Niemcy posuwali się ulicą Czerniakowską i dotarli w końcu do ulicy Zagórnej, zajmując duży gmach szkolny. Na Czerniakowie bronił się już mały zupełnie odcinek na brzegu Wisły, gdzieś w rejonie Idzikowskiego, Zagórnej. Była to już w rękach Powstańców bardzo niewielka przestrzeń Czerniakowa. z rezultacie Czerniaków musiał skapitulować 22 czy 23 września. O sytuacji na Czerniakowie, która mnie oczywiście szczególnie interesowała ze względu na syna, powiedział mi kapitan "Jerzy" (Kyszard Białous), któremu udało się z garstką ludzi jakoś przedostać przez linie niemieckie. Wy dostał się on między Niemcami, wprost po skarpie na górę, na plac 3 Krzyży i w ten sposób dostał do dowództwa Obwodu. Gdy dowiedziałem się, że on tam przybył z Czerniakowa, to od razu popędziłem tam i dłuższy czas z nim rozmawiałem. On mi dokładnie opowiedział o wszystkich ostatnich walkach, które się toczyły na Czerniakowie. Między innymi powiedział mi, że gdzieś w połowie września został ciężko ranny mój przyjaciel, Zygmunt Netzer - "Kryska", który właśnie dowodził częścią odcinka czerniakowskiego. Był on ciężko ranny w nogi i w rękę, ale - razem z żoną - udało mu się przedostać na brzeg praski. Chodziło o to, żeby jak najwięcej jeszcze ludzi uratować, przeprowadzając ich przez Wisłę. Przedostawali się oni częściowo w płas pod ruinami mostu Poniatowskiego, wględnie przeprowadzali się łodziami i barkami, które znajdowały się w niewielkiej ilości na ich odcinku. Ostatnie walki toczyły się na samym brzegu, koło wraku statku "Bajka", który leżał na mieliźnie, tuż przy samym brzegu. Tam się gromadziło nasę ludzi, którzy chcieli się przedostać na tamtą stronę. Między innymi wówczas, już w ostatnich momentach walki, zginęł porucznik "Morro", który dowodził jedną z kompanii Batalionu "Zoska", któremu w swo-

in czasie udało się wydostać ze Starego Miasta i który przeszedł po prostu przez Ogród Saski na ulicę Kościelecką. Przeprowa łodziami była bardzo trudna, ponieważ Niemcy bombardowali w tym miejscu Wisłę i masę ludzi zginęło. Między innymi mój przyjaciel Zygmunt Netzer, jak mówiłem, przeprowił się tą łodzią, razem ze swoją żoną Hanką, no i jeden z pocisków niemieckich trafił w tę łódź. Było tam około czterdziestu ludzi i wszystko to wpadło do Wisły. Netzerowi jakoś udało się dostać, razem z żoną, na zwalony filar mostu Poniatowskiego, gdzie przeczekali trzy doby i dopiero łodzią ściągnęli ich stamtąd żołnierze z oddziału Berlinga, którzy przeprowili się na stronę warszawską.

Zapomniałem tu jeszcze wspomnieć o desancie, który był dokonany na Czerniaków przez 9 pułk piechoty I Dywizji Kościuszkowskiej, pod dowództwem kapitana, czy majora, Tatarkona, który się dowodził. Niemiele ten oddział mógł pomóc powstańcom, choć ludzie ci byli dobrze uzbrojeni, ale było ich mało i absolutnie nie umieli walczyć w mieście. Toteż ponosili kolosalne straty i w rezultacie zostali całkowicie rozbici i musieli się wycofywać na stronę praską, zresztą razem z powstańcami, co było bardzo trudne i niewiele z nich udało się na tamą stronę przedostać.

Jeżeli chodzi o Netzera to, jak zaznaczyłem, przeleżał on trzy doby na filarach mostu Poniatowskiego i nie było już nadziei, aby go stamtąd zabrano, choć podawał w najrozmaitszy sposób różne sygnały na stronę praską. Jednakże nikt stamtąd nie kwapił się po nich przyjechać. Dopiero trzech żołnierzy z tego 9 pułku piechoty przeprowiło się w pław Wisły, płynąc od filaru do filaru, i trafili na ten, na którym znajdowali się Netzerowie. Obiecali wówczas, że jak tylko przedostaną się z powrotem na brzeg, to postarają się o to, aby w nocy przyjechać po nich łodzią. No i rzeczywiście, następnej nocy podpłynęli łodzią i zabrali ich na tamą stronę. Netzer zo-



stał wysłany do szpitala do Lublina, gdzie pozostawał do końca wojny. Syna mojego kapitana "Jerry" nie znał i nigdy się z nim nie spotkał. Powiedział mi jednak taką smutną i ciekawą rzecz, że w pewnym momencie pułkownik "Radwan", dowódca "Zośki" i "Parasola" zabrał część swoich ludzi i przeszedł kanałami na Mokotów, zostawiając całą grupę żołnierzy "Zośki" broniącą gmach ZUS-u, nie pozostawiając ich bez żadnych wiadomości i nie dając im rozkazu, co mają zrobić dalej. Rozmawiałem w tym czasie z pułkownikiem "Radwanem", dowódcą całości Śródmieścia, i pytałem go, czy nie dało by się jakieś przyjęcie z pomocą Czerniakowowi. Czy nie warto byłoby odzyskać połączenia z Czerniakowem i pomóc im tam lub ich stamtąd wycofać, aby mogli wycofać się z Czerniakowa do Śródmieścia. Jednakże pułkownik "Radwan" powiedział mi, że to jest całkowicie niemożliwe i bezcelowe, że nie dysponuje dostateczną ilością ludzi, a odwrotnie - musi teraz bardzo pilnować samego Śródmieścia, ponieważ Niemcy teraz atakują je. Gdy zaproponowałem, że taki oddział mogę zorganizować, powiedział, że to też jest wykluczone, ponieważ nie wiadomo, czy Niemcy w tym czasie nie zatakują któregoś odcinka "Chrobry II". Wówczas będzie potrzebna większa ilość ludzi, dla obrony gdzieś od strony Koli czy placu Grzybowskiego. Niepożądanie mógł również nastąpić atak od strony Dworca Towarowego, to jest od strony ulicy Żelaznej. W gruncie rzeczy przyznałem pułkownikowi rację, bo wiedziałem, że tego rodzaju walki są bezradziejne, i tym bardziej nie możemy teraz zaczynać walk naczepnych, gdyż może się to nam nie udać i ponieśliśmy tylko duże straty.

Po zajęciu Czerniakowa przez Niemców byłem znacznie niespokojny o syna. Nie wiedziałem absolutnie, co się z nim dzieje. Nie wiedziałem, czy się mu udało przedostać na brzeg praski, czy nie był gdzieś ranny, co było bardzo niebezpieczne, dlatego że słyszałem o tym, że Niemcy takich rannych powstańców dobijali lub częściowo ewakuo-

wali ich gdzieś w rejon placu Karłowicza. Trzymali ich przez pewien czas w tym ganachu gdzie była policja niemiecka i tam się nad nimi śmiecali i wielu z nich porzucali. Nie wiedziałem w ogóle co się dzieje z kolegami. Może jest ranny, a może, nie дай Боже, został zabity. Słowozos przypomniała mi się, taka wróżba, która kiedyś miała miejsce. Miałem kiedyś rozmawiając o różnego rodzaju wróżbach i przewidywaniach przyszłości, między innymi o wróżeniu z linii rąk. Obegrzałem mu wtedy dłoń i zobaczyłem, że linia życia u niego jest stosunkowo krótka i gwałtownie się przerywa. Przypomniało mi się, to teraz i pomyślałem sobie, że ta wróżba może się teraz sprawdzić i może ten chłopak zginąć. Byłem więc zaniepokojony, ale nie miałem na to żadnej rady i nie się nie mogłem o nim dowiedzieć. Nie wiedziałem o nim nic, aż do powrotu mojego z obojgu, z niemieckimi.

Po upadku Czerniakowa w rejon Powstańców pozostał już tylko - poza Śródmieściem - Mokotów Górny. W tych warunkach, gdy stan posiadania Powstańców stale malał, absolutnie nie zanoszono się na jakąkolwiek pomoc ze strony Armii Czerwonej. Zupełnie także niemożliwa była pomoc z Zachodu. Wydawało się więc, że dalsza obrona jest niemożliwa i bezcelowa. Moim zdaniem powinniśmy byli już wtedy kapitulować i zawrzeć jakikolwiek układ z Niemcami, którzy prawdopodobnie chętnie by na to poszli, ponieważ dla nich w tej sytuacji obrona Warszawy na samej linii frontowej była przecież niekorzystna. Jednakże na to w żadnym momencie wcale się nie zanoszono i musieliśmy dalej w tych okropnych warunkach prowadzić bezradziejną walkę.

Po upadku Czerniakowa bardzo wzrosła siła natarcia Niemców na Mokotowie Górnym. Oddziały powstańcze musiały się cofnąć tam wzdłuż ulicy Puławskiej i w rezultacie zatrzymały tylko niewielki stosunkowo odcinek, gdzieś w rejonie ulicy Polnej. Tu Niemcy atakowali Powstańców prawie ze wszystkich stron. Sytuacja ich była bardzo



ciężka, tak że widoczne było, że w najbliższym czasie będą musieli kapitulować. Dla uniknięcia tego, chcąc ratować - ile się jeszcze da - ludzi, dowodzący wówczas jeszcze oddziałami mokotowskimi pułkownik "Karol" zarządził wówczas ewakuację kanałami do Śródmieścia. I rzeczywiście bardzo duża ilość oddziałów szła jeszcze kanałami, gdy o tym meldunku pułkownika "Karola" dowiedział się (już wówczas generał) "Monter" i kazał im się cofnąć, powrócić na Mokotów i bić się do ostatka. Zupełnie tego nie rozumiałem, jaki był sens bicia się do ostatka na Mokotowie. Ale w tym momencie nie o to już chodziło. Chodziło o to, że oddziały, które już przeszły tymi kanałami lub jeszcze w nich były, otrzymały ten rozkaz, więc zawróciły i zaczęły iść w kierunku powrotnym. Wówczas spotkały się z oddziałami idącymi do Śródmieścia. No i oczywiście tragedia zaczęła się w samych kanałach. Ludzie nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić i w jaką stronę w rezultacie iść, gdzie się przedostawać. Rozpoczęło się przepychanie i wielu ludzi wówczas się tam podusiło. Część jednak powróciła na Mokotów. Walki trwały dalej, zgodnie z rozkazem generała "Montera". Nikt nie wiedział, do jakiego momentu mają się one ciągnąć. W każdej razie nastąpiła taka sytuacja, że Mokotów musiał w końcu kapitulować i te wszystkie oddziały, które mogłyby jeszcze przejść i wspierać Śródmieście, zmuszone były wówczas oddać się w ręce niemieckie. I tylko bardzo nieznaczna grupa udało się przedostać do Śródmieścia i tam, po takim czy innym odpoczynku, zasilić oddziały tej dzielnicy. Można sobie wyobrazić, jakie koszarne sceny i tragedie działy się w tych kanałach, gdzie ludzie się spotykali i nie wiedzieli już, co ze sobą zrobić. Masę ludzi wówczas było poduszonych i straszonych. Nie rozumiałem zupełnie, co miał osiągnąć ten rozkaz generała "Montera", co dалоby to bicia się do ostatniej chwili, do ostatniej kropli krwi, co by się przez to zyskało, co by ta walka mogła jeszcze dać Powstańcom. W tymże mniej

więcej czasu, gdy następował ten tragiczny upadek Mokotowa, Niemcy prowadzili natarcie na Śródmieście, tak jak poprzednio wspominaliśmy - na Powiśle, zajęli je i posuwali się do góry ul. Kopernika. Opanowali dość szybko tę ulicę i przesunęli się do Nowego Świata, a dalej skoncentrowali swoje uderzenie na ulicę Świętokrzyską i w pierwszą rzędzie ulic Chmielną, ponieważ wiedzieli o tym, że nasze siły powstańcze znajdują się tutaj w rejonie placu Napoleona i ulicy Chmielnej, Widok i Alej Jerozolimskich.

Na odcinku "Chrobrego II" w tym okresie było stosunkowo spokojnie. Tutaj akcji zaczepnych Niemcy nie prowadzili. Były tylko codzienne utarczki, ale nie było żadnego silniejszego uderzenia. Jeżeli chodzi o wschodnią część Śródmieścia, to natarcia te teraz były bardzo silne, jakkolwiek prowadzone ze stosunkowo niewielkim powodzeniem, dlatego że Powstańcy stawiali tutaj silny opór, więc Niemcy posuwali się powoli. Coraz trudniej jednak było się bronić, ponieważ Niemcy coraz częściej używali czołgów i wszelkiego rodzaju ciężkiej broni, a przy tym bombardowali z samolotów. Tego oczywiście nie unikaliśmy i na naszym odcinku. Tu w całym naszym rejonie stale padały pociski ciężkiej artylerii - "krów", i byliśmy bombardowani. Sytuacja powstańcza na odcinku ulicy Chmielnej stawała się coraz cięższa, a Powstańcy ponosili ogromne straty, brniąc każdego domu. Niemcy również rozpoczęli atak od Alej Jerozolimskich, ulicą Bracką, w kierunku Widok i Chmielnej, i tak sytuacja Śródmieścia stawała się coraz cięższa. W pewnym momencie otrzymałem rozkaz od pułkownika "Radwana", aby przysłać jakiś większy oddział, co najmniej pluton, na wsparcie odcinka na ulicy Chmielnej. Bardzo nie na rękę był mi ten rozkaz, no ale musiałem go bezwzględnie wykonać, jakkolwiek robiłem to niechętnie. Wysyłając bowiem taki pluton ze zgrupowania "Chrobry II" znacznie osłabiałem jego szeregi, bo kompania zapasowa wówczas już nie istniała. Uzu-



pełnianie szeregów powstańczych w poszczególnych oddziałach bardzo było trudne i wyrwanie plutonu było bardzo dla nas trudne. Niemniej poleciłem wyznaczyć odpowiednich ludzi i sformowało się taki pluton, który wyszedł na ulicę Chmielną, pod dowództwem porucznika "Tadeusza" (Tadeusza Nycke). Pluton ten od razu znalazł się w bardzo ciężkich walkach, dlatego że wzdłuż ulicy Chmielnej Niemcy bez przerwy atakowali. Atakowali nie tylko czołgami, ale przede wszystkim stosowali taką "humanitarną" metodę, jak pędzenie ludności cywilnej przed czołgami. Tutaj w końcu nasi chłopcy nauczyli się dawać sobie radę, bo przepuszczali tłum pędzonej ludności cywilnej, a gdy czołg się zbliżał na wysokość zajętych po obu stronach kamienic, wówczas krzyčili do ludzi "uciekajcie na dwie strony", a sami obrzucali czołgi butelkami z benzyną. Przeważnie te czołgi się zapalały. Czy były gazowe czy nie, to bywało różnie, ale w każdym razie zasobowani wówczas ogniem Niemcy nie zwracali już uwagi na tłum, który uciekał na wszystkie strony. Żołnierze niemieccy, którzy posuwali się za czołgiem, strzelali wówczas dalej ale w każdym razie większość ludzi pędzonych przed czołgami udawało się uratować. Takie sytuacje zdarzały się teraz dość często. No i pluton nasz brał oczywiście w tych akcjach udział. Po kilku dniach otrzymaliśmy bardzo smutną wiadomość, a mianowicie, że porucznik "Tadeusz" poległ na ulicy Chmielnej. Trzeba było na jego miejsce wyznaczyć innego dowódcę. Ciało porucznika "Tadeusza" zostało przeniesione na rejon "Chrobrego II" mniej więcej w okolice jego macierzystych stanowisk, kompanii IV, i tu w miarę możliwości uroczysto pochowane. Sytuacja na odcinku Chmielnej i Brackiej od strony Alej Jerozolimskich stawała się coraz cięższa i trudniejsza. Było jasne, że Powstańcy ulegną i coina się ulicą Żółtą do ulicy Marszałkowskiej. Byłoby to już całkiem tragiczne, ponieważ wówczas w posiadaniu powstańców pozostawał by tylko odcinek od ulicy Marszałkow-

skiej, w kierunku południowo-zachodnią, obejmujący cały rejon zgrupowania "Garobry II". Wyglądało na to, że każda chwila powstanie będzie musiało upaść. Ale tymczasem na odcinku Chmielnej i Brackiej Powstańcy jednak stawali zaciekły opór. Tymczasem 23 września zdarzył się znamieny wypadek. Koło południa zameldował mi kapitan "Lech Grzybowski", że na jego odcinku, a mianowicie na ulicy Wroniej, tam gdzie bardzo blisko od siebie stały oddziały powstańcze i niemieckie, nastąpiło porozumienie między oddziałem niemieckim i powstańczym, ponieważ Niemcy zaczęli wołać, żeby nie strzelać, bo mają coś ważnego do zakomunikowania. Zapytano ich, o co chodzi. Wtedy powiedzieli, że mają tutaj do doręczenia list od generała von dem Bacha, dowodzącego wówczas wszystkimi oddziałami, które walczyły z powstaniem Warszawą. Wyrażono na to zgodę i wtedy rzeczywiście oficer niemiecki wyszedł z białą flagą i doręczył porucznikowi "Kitowi" (Czesławowi Stalkiewiczowi) zapieczętowaną kopertę. Porucznik "Kit" od razu z tą kopertą udał się do kapitana "Lecha Grzybowskiego". Kopertę otworzyli i rzeczywiście stwierdzili, że był to list podpisany przez generała von dem Bacha, który proponował kapitulację, względnie rozmowy z nim, co do sytuacji, gdyż uważa dalszą walkę Powstańców za beznadziejną. Poleciłem wówczas kapitanowi "Lechowi", aby nawiązał kontakt z Niemcami i zakomunikował im, że wszelkiego rodzaju rozmowy na terenie ulicy Wroniej są dla nas niekorzystne. O ile Niemcy chcą jeszcze rozmawiać na tematy podane przez generała von dem Bacha, to niech starają się skontaktować z oddziałem powstańczym w Alejach Jerozolimskich, przy wiadukcie na ulicy Żelaznej. Następnie poleciłem, aby zakomunikowali Niemcom, aby ewentualnie zgłosili się w wyznaczonym przez mnie miejscu, a my tymczasem porozumieśmy się z dowództwem, bo przecież nie mamy żadnych pełnomocnictw i niczego konkretnego nie moglibyśmy sami załatwić. Ja natychmiast porozumiałem się w tej sprawie z pułkownikiem "Kadwanem", który polecił mi, abym osobiście w tej sprawie zgłosił się do niego



i przyniósł ten list generała von dem Bacha. Oczywiście momentalnie udałem się tam, ale uprzednio porozumiałem się z kapitanem "Lecha Żelaznym" i uprzedziłem go, że właśnie może zdarzyć się taki moment, że Niemcy podejną od guscha przy ulicy Starynkiewicza i będą starali się porozumieć. Przepuszczalnie wywieszą jakąś białą flagę i będą chcieli rozmawiać, zgodnie z naszymi wskazówkami. Gdyby się odezwali karatem im powiedzieć, że jeszcze nie mają żadnej wiadomości i żeby czekali na nią. Gdy przybyłem z listem generała von dem Bacha do pułkownika "Kadłana", on ten list natychmiast przekazał do guscha PKO, to znaczy do generała "Bora-Koscerowskiego". Powiedział, że już z nim nawiązał kontakt, rozmawiał z nim w tej sprawie i że ten powiedział, aby na decyzję Komendy Głównej jeszcze poczekać, ponieważ musi się do tego odpowiednio ustosunkować po zaznajomieniu się z listem von dem Bacha. Po dość długim oczekiwaniu w rezultacie otrzymałem wiadomość, żeby zakomunikować Niemcom, że w najbliższym czasie odezwie się i specjalnie do tego celu wydelegowani oficerowie z Komendy Głównej będą się chcieli porozumieć osobiście z generałem von dem Bachem. Zaznaczył, żeby tymczasem nie podejmować z Niemcami żadnych pertraktacji i do niczego się nie zobowiązywać. Było to naturalnie zupełnie zrozumiałe, ponieważ przecież bez upoważnienia Komendy Głównej nie mogliśmy się porozumiewać, a tym bardziej do czegokolwiek zobowiązywać, nie mając po temu żadnych pełnomocnictw. Udałem się więc szybko na swoją kwaterę i zatelefonowałem do "Lecha Żelaznego". Dowiedziałem się, że właśnie w tej chwili wyszedł ze swojej kwatery, na spotkanie z Niemcami. No więc nie zwlekając poszedłem tam do guscha kolejowego na róg Żelaznej i Chałcilnej. Wpadłem na II piętro, skąd dobrze było widać plac Starynkiewicza, i przez okno zobaczyłem stojącego na placu "Lecha Żelaznego", kapitana "Karola" (Stanisława Michałowskiego) - jego zastępcę w batalionie I, i żołnie-

rza, który trzymał w ręku białą chorągiewkę. Naprzeciwko ujrzałem tak samo trzech Niemców, rozmawiających z naszą grupą ludzi. Byłem wówczas zaskoczony tym posunięciem "Lecha Żelaznego", że poszedł on na pertraktacje z Niemcami, bez żadnego polecenia, bez żadnego rozkazu, nie mając przecież z komendy słownej żadnych instrukcji, co i jak ma mówić. No ale tu już nie było żadnej możliwości odwołania go z powrotem, dlatego że jakby to wyglądało. Na odcinku było spokojnie i nie było żadnych strzałów. Pozostałem więc w domu kolejowym, czekając na powrót "Lecha Żelaznego" i kapitana "Karola". Jednocześnie poleciłem dowódcom kompanii I i III, aby obserwowali wszystkie swoje placówki i absolutnie nie strzelali, żeby nie zaczynać jakichkolwiek zaczepnych akcji i nie narazić naszych kolegów, znajdujących się po stronie niemieckiej. Było teraz jednak całkiem spokojnie. Obserwowanie moje jednak się przedłużało i zacząłem się niepokoić, co się stało, kiedy już zupełnie o zmroku zameldowano mi z placówki na Dworcu Pocztowym, że właśnie obaj panowie powrócili. Momentalnie skomunikowali się ze mną i powiedzieli, że zostali przyjęci przez majora Fischera, który zaprowadził ich do mieszkania, prawdopodobnie dyrekcji wodociągów przy placu Starynkiewicza, i tam pogostował ich winem itp. Rozmowa przebiegała w bardzo przyjemnej atmosferze, że oni starali się dowiedzieć, co Powstańcy myślą i jak się zapatrują na sprawę kapitulacji. Nasi delegaci natomiast chcieli ze swej strony wysłuchać, o co Niemcom chodzi i dlaczego rozpoczęli te pertraktacje. Major Fischer powiedział, że przede wszystkim chodzi o to, żeby już dalej nie prowadzić walk, ponieważ jest to już zupełnie bezcelowe, że resztki Powstańców powinny już skapitulować i uncję kapitulacyjną zawrzeć na korzystnych dla siebie warunkach. Koleśny moi odpowiedzieli na to, że nie są uposzczalni do rozmów, a ponieważ raczej optymistycznie zapatrywali się na dalszą walkę, więc powiedzieli tylko, że o całej tej rozmowie



zameldują do Komendy Głównej i że w najbliższych dniach kontakt z Niemcami będzie przez Komendę Główną nawiązano. Na tym rozmowa się skończyła. Musiałem runąć przede wszystkim "Lecha Żelaznego" za to, że udał się na rozmowę z Niemcami bez mojego polecenia, bez rozkazu z dowództwa, ale on się tłumaczył w ten sposób, że Niemcy się odezwali, on im mówił, żeby poczekali, ponieważ jeszcze nie powrcił oficer, który udał się do Komendy Głównej, ale oni powiedzieli, że nie mogą czekać i prosili, aby ta obiecana przez nas delegacja jak najprędzej wyszła. "Lech" tłumaczył to jeszcze tym, że nie mógł dłużej czekać, co nie bardzo mi trafiło do przekonania. Podkreślił jeszcze raz, że do niczego się nie zobowiązywali, natomiast obiecali, że zameldują o wszystkim i spowodują, aby porozumiała się z nami delegacja z Komendy Głównej. Zameldowałem oczywiście o wszystkim pułkownikowi "Radwanowi". On mi powiedział na to, żeby już żadnych dalszych rozmów w tej sprawie nie było, że wie, iż już jutro nastąpią rozmowy delegatów Komendy Głównej z Niemcami i możliwe, że właśnie ewentualnie będą podane warunki kapitulacji. Wnie oczywiście to ogromnie ucieszyło, ponieważ dawno wiedziałem, że dalsza walka jest bezcelowa, i że zupełnie nieporządnie ponosimy tak wielkie straty. Pułkownik "Radwan" przekazał wszystkie wiadomości do Komendy Głównej, która wtedy mieściła się już na ulicy Łąkowej 19. Polecono mi, aby żadnych dalszych rozmów na naszym odcinku nie prowadzić. Następnego dnia z Niemcami będzie rozmawiał pułkownik "Wachnowski", upoważniony do pertraktacji. Należy zawiadomic tylko Niemców, że parlamentariusze polscy zjawią się tutaj na moim odcinku już zaraz następnego dnia w godzinach rannych. I rzeczywiście, następnego dnia, to jest 29 września, zgłosił się do mnie pułkownik "Wachnowski" i porucznik "Ścibor". W tym czasie Niemcy również pokazali się w miejscach Jerozolimskich, na rogu ulicy Żelaznej przed wiaduktem, oczywiście z białą chorągwią. "Wachnowski"

przezebrali przez wiadukt, rozdzielił się z Niemcami i udał się dalej. Powrócili po południu czy przed wieczorem, nie pamiętam już o której godzinie i "Wachnowski" zakomunikował mi, że dalsze rozmowy będą się toczyły nie tu, lecz na innym odcinku - na ulicy 6 Sierpnia (obecnie Nowowiejskiej) koło barykady, która przecinała tę ulicę pomiędzy szpitalem wojskowym im. J. Piłsudskiego a Politechniką warszawską. Żądali tego rzekomo Niemcy, uważając, że będzie to korzystniejsze dla Komendy Głównej, bo łatwiej będzie się przedostać z ulicy Piłknej na 6 Sierpnia niż tutaj. Jednocześnie dowiedziałem się, że rozmowy przede wszystkim dotyczyły ewentualnego wyjścia z Warszawy ludności cywilnej, a nie spraw kapitulacyjnych. Komenda Główna zasadniczo z tą sprawą zwlekła, oczekując na jakieś wiadomości ze strony sowieckiej. Dowiedziałem się później, że generał Bór-Komorowski starał się nawiązać kontakt z marszałkiem Rokossowskim, dowodzącym tzw. frontem białoruskim, ale to mu się nie udało. To połączenie z Pragą było teraz znacznie trudniejsze, ponieważ zarówno kapitan Żalugin, jak i oficerowie artylerii sowieckiej, którzy w swoim czasie obserwowali teren ulicy Polnej - wycofali się. Nawiązanie tego kontaktu było więc trudniejsze, ale w każdym razie kurierzy dowództwa AK przedostali się na stronę praską i tam korespondowali o sytuacji Powstańców w Warszawie. Meldowali Rokossowskiemu tak samo o tym, że Niemcy proponują kapitulację i że sytuacja Powstańców w tej chwili jest bardzo ciężka. Mimo tych starań nawiązanie kontaktu, żadnych wiadomości od Rokossowskiego nie otrzymaliśmy. Dowiedziałem się w tym czasie jednocześnie, że rozmowy kapitulacyjne Komendy Głównej z Niemcami były już prowadzone w okresie od 8 do 11 września. Rozmawiano wówczas z generałem "Borsem", który stacjonował w Domu Akademickim na placu Narutowicza. Rozmowy te nie dały żadnych konkretnych rezultatów, ponieważ warunki stawiane przez Niemców były ciężkie, a dowództwo polskie zlekotało z ostentacyjnymi załatwie-



niosa tej sprawy, ponieważ ciągle liczyło, że otrzyma jakąś pomoc ze strony Armii Czerwonej. Kiedy 12 września Praga została zajęta przez armię sowiecką - te rozmowy upadły. Liczono wówczas, że skoro zajęta została Praga, to armia radziecka na pewno przyjdzie z pomocą powstańcom, względnie kontynuować będzie ofensywę i sferować terytorium, aby posunąć się dalej. Wówczas licząc na to - Komenda Główna AK postanowiła przerwać wszelkiego rodzaju rozmowy z Niemcami. Teraz ponownie gen. Bór-Komorowski starał się nawiązać kontakty z marszałkiem Rokossowkim na ale, niestety, bezskutecznie. Dowiedziawszy się również, że kapitulacji sprzeciwiał się głównie generał "Monty", dowódca powstania, twierdząc, że nie wie, co nas czeka wtedy, gdy złożymy broń, bo przecież różnie Niemcy postępowali. Czy będą nas traktowali jako żołnierzy, czy też zastosują w stosunku do nas jakieś represje, jak to zwykle było w ich zwyczaju. Z tej strony była oczywiście obawa, z drugiej strony jednak nie wiadomo było również, jak zachowają się bolszewicy. Czy nie postąpią podobnie jak to zrobili z AK w Wilnie. Czy, nie czeka nas drogi Łatyń, czy coś w tym rodzaju. Oczywiście sytuacja nasza była bardzo ciężka i trudne było zdecydować, jak należy postąpić i co się sprzeć w tym wypadku Komenda Główna. Ja uważałem, i tego zdania było wielu ludzi, że jednakże kapitulacja byłaby wówczas najkorzystniejsza, ponieważ dalsza walka była absolutnie bezsensowna, a sytuacja nasza stawała się bardzo ciężka i trudna. Nie mieliśmy już prawie amunicji i przede wszystkim nie było już co jeść. W całej Warszawie zaczął panować już głód. Może jeszcze najlepiej było na naszym odcinku, ponieważ mieliśmy trochę koni oraz pszenicy i jęczmień w alicynie na ulicy Prostej. Uważałem, że poniejsze jednak będzie uzgodnienie warunków z Niemcami, bo o ile nas będą traktowali jak jeńców wojennych, to lepiej będzie niż pozostawać na ręce lub nielubiane Armii Czerwonej. Przypięto mi bardzo w danym wypadku nega-

tywnie stanowisko generała "Montera", tak bardzo przeciwnie kapitulacji. Było to równie niefortunne i błędne jak załama godziny "W", która spowodowała niepowodzenie Powstania, dalej - wybitnie niefortunna akcja w ostatnich dniach sierpnia w celu połączenia się ze Starym Miastem i wyprawa z bronią i cywilów do Królewicza, aresztowanie i rozkaz ewakuacji Mokotowa i związana z tym masakra ludzi w kaszyczkach, która spowodowała ogromne straty. Tymczasem rozmowy Komendy Głównej z Niemcami trwały nieprzerwanie. Codziennie przechodzili oni do barykady na 6 Sierpnia i udawali się do Czarowa, do generała von dem Bacha, i tam prowadzili pertraktacje, przede wszystkim na temat wyłączenia ludności cywilnej z miasta. W rezultacie 30 września został podpisany układ, na mocy którego dnia 1 i 2 października miało nastąpić zawieszenie broni i wyłączenie ludności cywilnej z Warszawy. Przy tym wskazano trzy trasy, których ludność ta ma wychodzić. 1. mianowicie przede wszystkim ulicą 6 Sierpnia i Filtrówą, w kierunku Grojeckiej, następnie ulicą Kłotą do Żelaznej, i dalej w kierunku Ławca Zachodniego. Cała ludność miała być przeniesiona do specjalnego obozu w Pruszkowie. Zawieszenie broni miało trwać 1 i 2 października, a tym, że rozpoczynać się miało o godzinie 5 rano do godziny 17 i następnego dnia znów od 5 do 17 czy 19. O każdej reszcie w pozostałych godzinach zawieszenie broni nie obowiązywało. Ustalono także, że w celu ułatwienia pertraktacji kapitulacyjnych Komenda Główna Armii Krajowej wyznaczy specjalną komisję, która porozumie się z Niemcami i będzie się dalej ze sztabem generała von dem Bacha prowadzić.

W tym czasie, po 20 września, powrócił do grupy "Czerwony II" major "Zygant". Przeniesł on w szpitala na Kopernika, a gdy ulica ta była już zagrożona przez Niemców, przesłósł się, do gmachu PZO na ulicy Świątokrzyskiej, a teraz powrócił do Zgrupowania, uważając słusznie, że tutaj będzie mu lepiej i spokojniej. Rozmawiał obgaj



na dowództwo grupy, jednakże cały ciężar tego dowództwa spoczywał, aż do końca na mnie. Nie było to łatwym zadaniem, ponieważ walki z Niemcami trwały nieustannie i choć u nas nie były takie ciężkie, jak gdzie indziej, jednakże były ciężkie. Stale podjeżdżały czołgi i nieprzerwanie trwały bombardowanie artyleryjskie i lotnicze. W tym też czasie nastąpiła, naturalnie całkiem teoretyczna, reorganizacja Armii Krajowej. Chodziło tutaj o to, aby w razie kapitulacji, czy też wejścia do Warszawy Armią Czerwoną, przedstawić Armię Krajową jako organizację zbliżoną do całkiem normalnej organizacji wojskowej. Dlatego zostały utworzone z warszawskiej powstańczej Armii Krajowej 4 pułki piechoty, a mianowicie: 72, 36, 21 i 15. Wszyscy oficerowie piechoty, którzy wówczas znajdowali się w Warszawie zostali do tych pułków przydzieleni. Oczywiście nie było tutaj żadnych nominacji. W każdym razie obciążone zostały stanowiska naczelne. Mianowicie zostali wyznaczani dowódcy pułków, dowódcy batalionów i niektórzy dowódcy kompanii. O ile chodzi o sgrupowanie "Chrobry II" i inne jeszcze sgrupowania, to założone zostały do 15 pułku piechoty, dowódcą którego został mianowany pułkownik "Paweł" (Franciszek Kotaj). Z wojska oficerów jedynie tylko kapitan "Lech Grzybowski" został mianowany dowódcą jednej z kompanii 15 pułku piechoty. O ile chodzi o oficerów innej broni (kawalerzystów, artylerzystów itd.), do których nigdy nie miałem i ja należałem, nie dostali oni żadnego przydziału, ponieważ nie można było tu stworzyć żadnego pułku, ani żadnego oddziału artylerii, więc nasze przydziały przewidziane były na jakiś okres późniejszy. Nie spowodowało to jednak żadnych zmian w naszej organizacji. Pozostawiliśmy dalej sgrupowanie "Chrobry II", składające się nadal z dwa batalionów i tych oddziałów gospodarczych, kompanii łączności itp.

Wiadomości o rozmowach i pertraktacjach kapitulacyjnych oczy-

właście rozeszła się szybko i szeroko wśród żołnierzy zgrupowania. I zaczęły się tu dyskusje i rozmowy, co i jak ma być, co będzie lepiej, a co gorzej, i tak dalej. Nie miało to jednak naturalnie żadnego wpływu na ich przystąpienie. Myśmy tu nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia i nie mogliśmy o niczym decydować. Podlegaliśmy Komendzie Okręgowej i dowództwu Powstania, więc od nas nie miało znaczenia. Zdarzył się wówczas taki wypadek. Właściciel zgłosił się do mnie kapitan "Lech Grzybowski" i zasładował, że on wraz ze swoimi żołnierzami postanowili nie kapitulować w żadnym wypadku, a bronić się do ostatniej chwili, "do ostatniej kropli krwi", jak się wyraził. Będąc szczerze próbował przebić się przez oddziały niemieckie i przejechać gdzieś do Puszczy Kampinoskiej czy coś takiego. Był to oczywiście całkiem absurdalny pomysł, dlatego że przecież to w żadnym wypadku nie mogło się udać. Staraliśmy się mu to wyperwersadować, co zresztą w końcu mi się udało. O tym, żeby bronić się do ostatniej kropli krwi nie było mowy i nie miało to żadnego sensu. Taki mały oddziałeczek, na którym siedziałoby kilkuset powstańców, Niemcy otoczyliby i zaobardowali, bez żadnej walki wręcz, a nawet zniszczyliby ogniem karabinów maszynowych czy artylerią. O tym, żeby się udało jakkolwiek przebić, obojętnie mówić, poza obecne placówki - też nie mogło być mowy, ponieważ dookoła były bardzo duże siły niemieckie i taki przebijający się oddział momentalnie byłby wykarty i zniszczony do ostatniego żołnierza. Więc wyperwersadowaliśmy to "Lechowi Grzybowskiemu", starając się go przekonać, żeby broń Bożą tego nie robił, bo posiadając wrażenie, jakie by to wywarło na Niemcach, mogliby oni w ogóle nawet podpisać już układ kapitulacyjny, a jego niedotrzymanie zaszkodziłoby wszystkim pozostałym żołnierzom Armii Krajowej, no i oczywiście ludności cywilnej, która całkiem bezbronna siedziała w ruinach Warszawy i ginęła wprost z głodu. Po pewnym czasie, jak powiedziałem, udało mi się to mu wytłumaczyć, z tym,



że on z kolei przekona swoich żołnierzy. To mu się udało i w rezultacie incydent ten nie pozostał żadnym następstwem. Natomiast podsunął on mi zupełnie inną myśl. A mianowicie pomyślałem, czy by się nie dało jakoś wydostać z tego otoczonego terenu gdzieś poza zasięg niemiecki, kanałami, bo przecież można by przedostać się z ulicy Towarowej na spaloną zupełnie Ochotę, gdzie już przecież Niemców nie było. Niemcy koncentrowali się wzdłuż ulicy Grójeckiej i byli na placu Narutowicza. Myślałem przedostać się w ruiny Ochoty a ruinami nocą przejść, ukrywając się, do lasów Kabackich. No ale to był tylko taki mój pomysł, ale bez sprawdzenia nie mógłbym go przeprowadzić. Toteż poleciłem "Lechowi Żelaznemu", żeby znalazł tutaj wśród naszych żołnierzy szczególnie byłych pracowników wodociągów i kanalizacji, którzy znajdowali się bodaj że w kompanii 3, aby zgłosili się do mnie, a ja im wytłumaczę o co mi chodzi. Tego samego dnia zameldowało się u mnie już 3 czy 5 żołnierzy. Poleciłem im wówczas żeby odszukali odpowiedni właz, w miarę możliwości jak najbardziej ukryty i zabezpieczony przed okiem Niemców i tym włazem próbowali się przedostać na Ochotę. Musieliby przejść pod wykopem kolejowym przez Aleje Jeruzolimskie. Chodziło o to, żeby starali się wyjść z tego kanału gdzieś na terenie Ochoty, może na ulicę Szczęśliwicką, lub Słupecką. Chodziło głównie o budowę kanałów, kazałem im niezwłocznie przystąpić do wykonania tego zadania. I rzeczywiście już następnego dnia zgłosili się do mnie i zameldowali, że przejście kanałami na drugą stronę Alej Jeruzolimskich jest absolutnie niemożliwe. Gdy budowano wykop pod tory kolejowe, kanał biegnący ulicą Towarową został podkopany pod tory kolejowe i tutaj ten bieg kanału opuszczał się, nagle w dół. Zbadali to w ten sposób, że jeden z żołnierzy został przywiązany sznurem i spuszczaony stopniowo na dół. No i przy końcu stwierdził, że tam już stoi woda, więc spuszczaając się stopniowo nie głęboko natrafił na nie-

czystości kanałowe i musiał być wyciągnięty zaraz do góry. Stało się zupełnie jasne, że wówczas gdy budowano tutaj ten wykop kolejowy, to przewód kanalizacyjny czy wodociągowy, tzw. "burzowiec", musiał być opuszczony w dół i pod całym tym wykopem musiał powstać dość głęboki syfon, wypełniony całkowicie ściekami kanałowymi. W tej sytuacji przedostanie się nim na drugą stronę Alej Jeruzolimskiej było niemożliwe i cały ten mój projekt spalił na panewce. Opuszczenie Warszawy, a tym samym uniknięcie całkowitej klęski, lub kapitulacji, było więc zupełnie wykluczone, i nie pozostawało już nic innego jak czekać na ostateczne zarządzenie dowództwa Powstania Warszawskiego. Tymczasem dnia 7-szego października, o godzinie 5 rano, zgodnie z zawartym z Niemcami porozumieniem, nastąpiło zawieszenie broni i po pewnym czasie wskazanymi trasami ruszyły masy ludności cywilnej w kierunku pozycji niemieckich. Widok był przykry, a nawet tragiczny. Ludzie ci wyglądali wprost strasznie. Szli wolno przeladowani różnymi bagażami, niesionymi w tłumokach na plecach, lub wprost w rękach, a niekiedy wieszonymi na wózkach dziecięcych. Poza tym widniało się sporo wózków z małymi dziećmi. Zdawało się wówczas, że z Warszawy wychodzi bardzo dużo ludzi, i że właściwie wychodzą już wszyscy. Stanowili bowiem jedną masę płynącą ulicami. Obserwowałem to szczególnie w tych miejscach, które były wyznaczone na naszym terenie. Widać było z naszych placówek jak Niemcy przyglądali się tej wędrówce. Wielu Niemców miało aparaty fotograficzne i pobili zdjęcia tego pochodu. Tak samo zauważało się postacie siedzące na barykadach niemieckich, wskazujące palcami niektórych przechodzących. Jak potem się okazało, byli to szpiegzy, którzy w ten sposób wśród przechodzących wykrywali żołnierzy. Ci ludzie byli potem aresztowani i wysłani do obozów koncentracyjnych. Cała pozostała ludność cywilna była kierowana do Dworca Zachodniego, do przejściowego obozu dla ludności cywilnej, w Pruszkowie. Jak później się okazało,



tego pierwszego dnia wymarszu ludności cywilnej z Warszawy opuściło ją tylko 8 tysięcy ludzi. No i niestety między nimi była pewna ilość żołnierzy Armii Krajowej, którzy w ten sposób zaczęli się ratować, wychodząc z Warszawy z rodziną. Nie było to oczywiście z ich strony posunięcie piękne, dlatego że wówczas wprost dezertowali, no ale byli to oczywiście ludzie słabsi, którym przede wszystkim zależało na ratowaniu siebie i nie rozstawaniu się ze swoją rodziną. Na szczęście takich wypadków było bardzo mało, ale niestety niektórzy z tych ludzi zostali wskazani przez szpiegów i trafili do obozów koncentracyjnych, więc trudno powiedzieć, aby w ten sposób się uratowali. Po południu ilość wychodzących znacznie się zmniejszyła. Były to już tylko pojedyncze osoby, wglądnie małe grupki. Zawieszenie broni miało trwać do godziny 19-tej, ale już o godzinie 17, 18-tej nie było widać nikogo z wychodzących. O godzinie 19 na niektórych odcinkach rozpoczęły się znowu strzały, ale trwały krótko i następnie całkowicie ustały. Jednakże później Niemcy rozpoczęli bombardowanie artyleryjskie miasta, i to przede wszystkim tą najcięższą artylerią kolejową. Bombardowanie było bardzo silne, takie jak jeszcze nigdy. Znamienne było przy tym to, że Niemcy zazwyczaj nigdy nie bombardowali i nie atakowali w nocy, a tu z ogromnym natężeniem bombardowali właśnie nocą. Chcieli zapewne zmusić ludność cywilną do wychodzenia w większej ilości następnego dnia i sterroryzować ją w ten sposób, podobnie jak zmusić żołnierzy do szybszej kapitulacji i zaprzestania walki. Wiedząc, że o 5 rano znów będzie zawieszenie broni byłam pewien, że nie będzie już żadnego ataku ze strony niemieckiej ani żadnej akcji. Podobnie nie były przewidywane żadne akcje z naszej strony. Ulegając wówczas nasowemu żony, zeszedliśmy do piwnicy. Była to pierwsza i ostatnia, zresztą jedyna noc, spędzona przez mnie w piwnicy. No i muszę się przyznać, że czułem się tam okropnie, bo w każdej chwili

bałem się jakiegoś alarmu. Bałem się, że tu ktoś przyjdzie i wezwie mnie z powrotem na górę. Z drugiej strony jednak chciałem tego. Bałem się, bo nie chciałem, żeby była jeszcze jakaś akcja, bo po co mieli ginąć ludzie, ale czułem się okropnie w tej piwnicy, tak jak bym był skazany na zagładę, tak jak bym był skazany na zagładę, tak jak bym się spodziewał zasypania. No na szczęście to nie nastąpiło i skoro świt od razu wyszedłem na górę. Rano, gdy się rozpoczynał świt, było już na odcinkach zupełnie spokojnie i cicho. O godzinie 5 znowu nastąpiło zawieszenie broni i ponownie rozpoczęła się wędrówka ludzi. Tego dnia wyszło ludzi znacznie więcej, bo podobno 16 czy 17 tysięcy, a więc ponad dwa razy więcej, niż poprzedniego dnia. Do tego czasu nie było absolutnie żadnych wiadomości z Pragi, to jest ze strony sowieckiej. Wówczas już była postanowiona kapitulacja Powstania Warszawskiego.

2 października do Ożarowa, z samego rana, udała się komisja składająca się z czterech oficerów sztabowych dowództwa Armii Krajowej z tłumaczem. Zgłosili się do sztabu generała von dem Bacha i już wieczorem została podpisana uroczysta kapitulacyjna. Nie będę tu omawiał warunków kapitulacji, ponieważ są one dokładnie podane w książkach o Powstaniu Warszawskim, a szczególnie w książce Adama Borkiewicza<sup>x)</sup>, więc każdy, kogo to interesuje, może tam to znaleźć i przeczytać sobie o tym dokładnie. Najważniejsze oczywiście było to, że będziemy traktowani jako jeńcy wojenni i wywiezieni do oflagów i aulagów, gdzie mamy pozostać, oczywiście, do końca wojny. Natomiast o ile chodzi o ludność cywilną, to ma ona wyjść z Warszawy najpóźniej do 7-go października, opuszczając ruiny miasta, i uda się tam, gdzie jej się podobą. W każdym razie tak opiewały warunki układu kapitulacyjnego, zawartego po południu 2 października.

---

x) Adam Borkiewicz: Powstanie Warszawskie 1944, Wyd. PAX, Warszawa 1957, s. 746 + mapy



W dniach 3 i 4 października mieliśmy uporządkować teren, a mianowicie rozetrac barykady, żeby umożliwić przejazdy samochodów niemieckich i jakieś takie przejścia ulicami Warszawy. W tym celu odpowiednie grupy z poszczególnych oddziałów zostały do tego wyznaczony i rzeczywiście dość szybko zadanie to wykonano. Najważniejsze było dla nas zachowanie akt poszczególnych oddziałów. No i rzeczywiście, każdy z dowódców tych oddziałów miał te akta zabezpieczyć. Przede wszystkim chodziło o akta batalionowe, bo akt kompanijnych nie było, lub ewentualnie bardzo mało, no i akta dowództwa zgrupowania. Do tych ostatnich należały przede wszystkim wszystkie rozkazy dzienne, tak dowództwa zgrupowania, jak i rozkazy dowództwa okręgu, czyli dowództwa Powatania. Były one o tyle ważne, że zawierały np awanse, odznaczenia oficerów i żołnierzy, więc one przysiężone mogły stanowić ważne dokumenty dla poszczególnych Powatanców. Niezależnie od tego stanowiły bardzo wartościową pamiątkę. Wnie przede wszystkim chodziło o akta zgrupowania, ukryliśmy je w ruinach. Niestety, później po powrocie do Warszawy nie mogłem tych akt odnaleźć, wiadocznie albo zostały one już odgrzebane, lub rozrzucone tak, że nie można ich było absolutnie odszukać. Sam stan tych ruin i wygląd, gdzie były te akta chowane, o tyle się zaimię, że nie można było na nie trafić i w ten sposób nie udało się ich znaleźć. Udało mi się natomiast razem z kapitanem "Karolem", który chował akta batalionu, znaleźć. Te akta przechowywałem potem u siebie w mieszkaniu. Niestety, potem przy rewizji przeprowadzanej w naszym mieszkaniu przez UB, zostały one zabrane. Jakies dokumenty odnaleźliśmy potem w Muzeum Narodowym w Warszawie. Była tam taka gablota Powatania Warszawskiego no i tam znalazłem fragmenty z tych akt, jakies legitymacje, jakis rozkaz. Poza tym miałem jeszcze u siebie rozkaz dowództwa okręgu, gdzie byłem awansowany i odznaczony orderem Virtuti Militari i to mam jeszcze u siebie do

do dnia dzisiejszego. Poza tym 3 i 4 października żołnierzom, którzy nie posiadali jeszcze legitymacji, wydano je, aby mieli dowód że byli żołnierzami Armii Krajowej i brali udział w Powstaniu Warszawskim. Jednocześnie zwrucano się do nas wielu żołnierzy z innych oddziałów konspiracyjnych - AL, PAL i ZP - z prośbą o wydanie im także legitymacji AK. Naszym żołnierzom, AKowcom, jeszcze na początku Powstania wydaliśmy odpowiednie legitymacje. Członkowie AL, PAL i ZP zwracali się do nas o te legitymacje, ponieważ nie dostali ich ze swoich organizacji, bo chcieli się również wykazać wobec Niemców dokumentem wydanym przez Armię Krajową. Oczywiście legitymacje te wydawaliśmy im bez żadnych zastrzeżeń, bo przecież było nas zupełnie obojętne, do jakiej organizacji konspiracyjnej dany żołnierz należał. Na legitymacjach stwierdzaliśmy tylko, że był on żołnierzem polskim Zgrupowania "Chrobry II" i brał udział w walkach powstańczych. Oczywiście AL-owcom zależało na posiadaniu takich legitymacji, ponieważ oni właśnie najwięcej się obawiali złego ustosunkowania się władz niemieckich do nich jako członków organizacji rzekomo komunistycznej i w związku z tym gorzszego traktowania niż żołnierzy AK. W tym czasie zdarzył mi się znamienny wypadek. Wezwał mnie do siebie pułkownik "Radwan" i zaproponował, czy nie zechciałoby zostać w Warszawie i nie iść do niewoli niemieckiej. Chodziło o pozostanie nadal w Warszawie lub jej okolicy, w celu włączenia się do prowadzenia dalszej akcji wojskowej - organizowania oddziałów Armii Krajowej, ponieważ mogą się one jeszcze w przyszłości przydać. Z miejsca odmówiłem. Uważałem, że nie jestem do tego powołany, ponieważ musiałaby to być organizacja o charakterze wybitnie politycznym. Miedziela przy tym, że pułkownik "Radwan" jest zawziętym pilsudczykiem, a ja nie chciałem popierać tego stronnictwa, i w ogóle nie chciałem się mieszać do żadnych spraw politycznych. Nie mogłem wtedy przewidzieć, jaka później będzie sytuacja,



czy w ogóle taka armia podziemna będzie potrzebna i czy będzie miała jeszcze cośkolwiek do roboty. Nie znałam jej celu, nie widziałam w tej chwili potrzeby organizowania żadnych takich jednostek, które nie wiadomo było, do czego mogą być jeszcze użyte i dlatego kategorycznie odmówiłam. Z drugiej strony jednocześnie nie chciałam rozstawać się ze swoim oddziałem, chciałam być razem z żołnierzami Zgrupowania "Chrobry II", aby razem ze wszystkimi dzielić wspólne dalsze losy. "Madnan" odrzekł, że się zaartwił, ponieważ miał do mnie duże zaufanie, powiedział też że zapatrzyłiby mnie w najdroższe dokumenty. No ale odmówiłam, bo nie chciałam już tego rodzaju prac prowadzić. Przecież nie wiadomo było, co będzie w Polsce po ukończonej wojnie. Czy będzie tutaj okupacja bolszewicka i jaka. Jak do nas się bolszewicy ustosunkują i czy w ogóle będzie wówczas jakakolwiek organizacja wojskowa. Nie wiadomo też było, czy nam nie zapiekują się alianci zachodni. Czy nie stworzą mi, zupełnie normalny rząd polski pod ich opieką, no a wtedy taka organizacja wojskowa nie będzie potrzebna, to przecież wówczas powinno być normalne wojsko polskie. Nie widziałam potrzeby organizowania w tej chwili jakiegokolwiek wojska i dlatego nie chciałam w tym brać absolutnie żadnego udziału. Tymczasem zgodnie z umową zawartą z Niemcami oddziały Armii Krajowej kolejno zaczęły opuszczać Warszawę, poczynając od dnia 4 października. A mianowicie 4 października miała wyjść tylko nieznaczna część oddziałów, która rzeczywiście wychodziła gdzieś po południu trasą ul. 6 Sierpnia, koło Politechniki, i skierowana została gdzieś na Zachód. Myśmy oczywiście nie wiedzieli, kto wówczas wychodził i w jakim porządku. My, mieliśmy wyjść dnia 5 października w godzinach rannych, w azyku marszowym i z bronią, którą mieliśmy oddać Niemcom gdzieś w Śródmieściu. Zostało już ustalone, że to rozbrojenie nastąpi na placu Kercelego. Mieliśmy oddać tylko broń palną, a zgodnie z umową - białą broń, to zna-

czy szable, dalej miała przy nas pozostać. Wydałem wówczas rozkaz, ten ostatni rozkaz dowództwa zgrupowania "Czerwony II", rozkaz ustny a nie na piśmie, w jakim porządku i kolejności będziemy wychodzić. Pierwsze wychodziło dowództwo zgrupowania, następnie II batalion, potem I batalion, wreszcie wszystkie oddziały pomocnicze. Polecilem przy tym, że oddziały mają wychodzić w szyku marszowym, a tronią w rękę no i w jak najlepszym porządku, poszczególnymi kompaniami i plutonami. Tak też się i stało. O wyznaczonej godzinie oddziały zaczęły się gromadzić na ulicy Żelaznej. Stał się II batalion swoimi kompaniami, a następnie I. Obchodziłem wszystkie szeregi, patrzyłem jak to wszystko wygląda, no i muszę przyznać, że to wyglądało bardzo przyzwoicie, na tyle przyzwoicie na ile wówczas w ogóle mógł pozwolić ten straszny, rozpaczliwy stan ludzi. Następnie wydałem rozkaz maszerowania z tym, żeby czuło zatrzymanie się na rogu ulicy Żelaznej i Chłodnej. Ja tymczasem przegladalem dalej wszystkie oddziały. Przechodziły one w idealnym porządku, a szczególnie dobrze wyglądała 6 kompania pod dowództwem porucznika "Kosa". Nie było żadnych śpiewów, ponieważ zostały przesennie zakazane. Nie chciałem żeby to tak jakoś uroczyście w stosunku do Niemców wyglądało, którzy stali na chodnikach z aparatami fotograficznymi i nasz przemarsz fotografowali. Widać było, że podziwiali tę naszą armię tak dzielnie walczącą przez te dwa miesiące. Ulicą Chłodną udaliśmy się w stronę placu Kerojego. Na tym placu nastąpiłoby obstawienie, że tak się wyrazię, przez żołnierzy Wehrmachtu, i otrzymaliśmy polecenie, żeby na wyznaczonych miejscach składać broń, a na inną - amunicję. Żołnierze oczywiście rzucali broń. Karabiny były już przeważnie pabawione amunicją. Zresztą, broń ta nie przedstawiała przecież dla Niemców żadnej wartości. Po wyrzuceniu tego wszystkiego maszerowaliśmy od razu dalej. Skryliśmy się z powrotem na ulicę Wolską, na szosę poznańską i pozasze-



rowaliśmy do Ożarowa, dokąd doszliśmy gdzieś w godzinach popołudniowych. Trzeba tutaj przyznać, że na drodze wprost waruszał się był stosunek do nas ludności cywilnej. Kobiety z koszykami podchodziły do nas i mimo protestów ze strony Niemców rzucały nam różne artykuły żywnościowe, a przede wszystkim pomidory, których byliśmy rzeczywiście bardzo spragnieni, ponieważ w czasie ostatnia nie mieliśmy żadnych warzyw i owoców i tego nam bardzo brakowało. Niemcy odpędzali te kobiety, ale z niewielkimi skutkami, ponieważ powracały one i znowu rzucały w naszą stronę te różne pałaszki z żywnością. Trzeba przyznać, że żołnierze zachowywali się bardzo przyzwyczajeni, łapali je, ale nie gonili za nimi po drodze, a w każdym razie nie wychodzili z szeregu. W ten sposób całkiem wolnym marszem, nie uciekając, doszliśmy do Ożarowa, gdzie zostaliśmy rozlokowani w fabryce kabli. W drodze zdarzały się oczywiście ucieczki, ale niewielu się udało, ponieważ Niemcy badali od razu najbliższą szosę polecając chałupy i wylapywali tych uciekinierów. Nie wiem, czy też wrzucali do szeregów czy też byli wywiezieni do obozów koncentracyjnych. Takie ucieczki nie opłacały się więc i były bardzo ryzykowne.

Całą tą sytuacją byłem naturalnie ogromnie przynaglony. Ten mój nastrój pogłębiał jeszcze w pewnym stopniu brak wiadomości o synu. Nie wiedziałem, co się z tym chłopakiem stało. Czy żyje, czy nie został gdzieś ranny, czy gdzieś się nie ujęczy, czy nie przebywa gdzieś w szpitalu, lub pod "opieką" niemiecką, lub sowiecką, co również byłoby tragiczne. Byłem także ogromnie niespokojny o żonę. Nie wiedziałem, co się z nią stanie i co za początek ze sobą. Ludność cywilna, ta większa jej część pozostała jeszcze w Warszawie miała ją opuścić, z rzeczami które można unieść w rękę, do 8 października. Tak samo pozostawali jeszcze ranni. Niektóre szpitale miały być wywiezione przez Niemców, a część rannych wychodziła piechotą,

o własnych siłach. Szpitale miały być ewakuowane przez Niemców i kierowane przez nich do różnych miejscowości poza Warszawę. Miałem przede wszystkim przed wyjściem starać się ulokować żonę w jakimś szpitalu. Myślałem, że to będzie dla niej najlepsze i najbezpieczniejsze. Dlatego porozumiałem się z lekarzem tego szpitala, który znajdował się u nas na Siennej 45 i prosiłem go, aby w tej czy innej formie żonę zabral, czy to jako sanitariuszkę, czy jako raną. Obiecał mi to, ale później tak się stało, że żona nie mogła się z nimi zabrać, więc próbowała przyłączyć się do jakiegoś innego szpitala. Razem z personelem szpitalika z ulicy Chmielnej wyjechała niemieckim samochodem gdzieś w kierunku zachodnia. Niestety samochód ten w rejonie będącym Grodziszka zapisał się, czy wywalił się do rowu. Ale jakos udało mi się jednak żonie dostać się innym niemieckim samochodem do Mszczonowa, gdzie zatrzymała się u właściciela apteczarki. Po pewnym czasie z Mszczonowa żona przedostała się do cukrowni Guzów, za Żyrardowa, gdzie był mój kolega Kazio Chodkowski, no i została na dłuższy czas u niego. Następnie, gdy stosunki jako tako się unormowały i pociągi ruszyły, żona już po cieższym pojechała z Żyrardowa do Częstochowy, do państwa Ordonów, rodziców tych chłopaków, którzy u nas mieszkali w okresie okupacji. Tam została się zatrzymała zgodnie z naszą umową, dlatego że właśnie przed wyjściem z Warszawy powiedziałem żonie, żeby się starała dostać do Częstochowy, bo tamże Ordonowie przyjmą ją gościnnie. Tam będzie pozostawać, aż otrzyma ode mnie jakąś wiadomość z obozu i jakos będziemy się porozumiewać. W końcu przecież się zobaczymy, bo wojna kiedyś będzie musiała się skończyć, a ja do tej chwili spokojnie będę siedział w obozie.

Nie oczywiście na razie nie wiedzieliśmy, gdzie nas wywieżą i w ogóle co będzie z nami dalej, czy Niemcy dotrzymają swych zobowiązań zgodnie z umową kapitulacyjną. Wiedome było tylko tyle, że



następnego dnia będą podstawiłone pod bocznicy żelazny wagon i  
do dalej wysioną nas do obozu, co się gdzie i co dokładnie nie  
było wiadomo. Tymczasem Niemcy wydali nam żołnierskie porcje chle-  
ba i nakazali nam jakąś supę z kotła, która nam oczywiście ogromnie  
smakowała. Rozlokowaliśmy się w halach fabrycznych zupełnie dowol-  
nie, gdzie się komu podobalo ale oczywiście trzymaliśmy się swoich  
oddziałów. Nie było chodząc z jednej na inną do drugiej, ale wol-  
no było jednak opuścić teren fabryczny, gdzie stali wartowni-  
cy, i nikogo nie wypuszczali, ponieważ przypuszczali, że przecież  
mogą być bolszewicy. Po wszystkich halach oczywiście trwały wędrów-  
ki. Czasem chodzili i ściskali znajomych. Masę ludzi się spoty-  
kało, opowiadali sobie wzajemnie swoje przychwyty, mówili również  
o tym, czy gdzieś kogoś spotkali. Jeden od drugiego starał się  
dowiedzieć co z jego rodziną, znajomymi, i tak dalej, tak, że ten  
kontakt na ogół był bardzo dla nas przyjemny i wiele rzeczy w ten  
sposób też się dowiadzieli. Kludziły się, spał już półny wie-  
czorem. Lokowaliśmy się naturalnie, gdzie kto się, dlatego że nie  
było tu ani sienioków, ani nic, każdy jednak miał ze sobą jakąś koc-  
kę i układał się tak, aby mu było już najwygodniej przespać tę noc.  
Następnego dnia rano, czyli 6 października, dostaliśmy znowu przy-  
dział chleba i czarną niemiecką kawę. Wkrótce Niemcy zawiadomili  
nas, że mamy kolejno wychodzić z tych hal fabrycznych do pociągu  
podstawionego na bocznicy i ładować się do niego, po stu ludzi  
do każdego towarowego wagonu. Ładowaliśmy się naturalnie dowolnie,  
gdzie kto chciał. Dotieraliśmy się więc punktami koleżeńskimi, ale  
przeważnie jednak wszyscy trzymaliśmy się swoich oddziałów. W wago-  
nie oczywiście było straszenie ciastem, ale jednak rozlokowaliśmy się  
i ulżyli. Syliśmy jednak zmierzani, że nie śledziliśmy dokąd  
nas posioną i jaką drogą. Jak tylko pociąg ruszył zaczęło się  
coś ciekawego dziać. Każdy zaczął pisać jakiejś kartki, jakiej

listy, adresując tam, gdzie chciał zawiadomić swoich najbliższych, że nas teraz właśnie wywoła z Opatowa gdzieś w nieznane. Napisałem również i ja kartkę. Zaadresowałem ją do mojego kolegi Bogdana Krzyżanowskiego w Milanówku, ponieważ byłem pewien, że przez Milanówek będący przejeżdżał. Rzuciłem tę kartkę, zdawszy mi się, że właśnie w Milanówku. Gdzie ona upadła - nie wiem, dlatego że okna były zamknięte, więc nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. W każdym razie kartkę tę oni dostali, oczywiście dzięki jakiemś kolejarzowi, który tę kartkę widział, jak była wyrzucana, i dostarczył ją temu mojemu koledze w Milanówku. No oczywiście nie mógł on nic pomóc, ponieważ żony u niego nie było, ale w każdym razie miał tę wiadomość o mnie i wiedział, co się ze mną dzieje, że gdzieś mnie wiozą. Drugą kartkę wyrzuciłem, adresując ją do państwa Ordonów, ale niestety tej kartki nie otrzymali. Żeby móc porozumiewać się z kolejarzami na stacjach, wyrwaliśmy z podłogi wagonu deskę i gdy pociąg się zatrzymywał - namowywaliśmy stacjard. Odzywali się jednak tylko Niemcy, którzy na stacjach pociąg obsługiwali żołnierzami, żeby uniemożliwić ewentualne próby ucieczki. W niektórych wypadkach udawało się jednak porozumieć z jakimiś kolejarzami, czy innymi Polakami. My nie wiedzieliśmy jednak z kim rozmawiamy. Podchodzili do wagonów a my namowywaliśmy, wtedy oni się odzywali i mówili, jaka jest stacja. W ten sposób orientowaliśmy się w jakim kierunku jedziemy. W każdym razie jechaliśmy przez Skierniewice i miniliśmy Koluski, więc jechaliśmy gdzieś na południowy-zachód. Później już trudno było porozumiewać się, dlatego że na dalszej trasie Niemcy skrupulatniej pilnowali naszych wagonów. Gdy miniliśmy granicę polsko-niemiecką tam już kolejarze w ogóle się nie odzywali i nie można było się zupełnie porozumieć.



### Obozy

„Dzień w godzinach rannych, a może koło południa, pociąg się zatrzymał, drzwi się otworzyły. Stała tu już cała kupa żołnierzy niemieckich i wszyscy oni wołali, żeby wysiadać. Zobaczyliśmy maleńką stacyjkę, na której odczytałem napis niemiecki: Leasdorf. Nie wiedzieliśmy gdzie to jest i co to jest za stacja, gdzieś w rezultacie dojechali. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero później. No ale w każdym razie, sądząc z napisu i zabudowań stacyjnych, zorientowaliśmy się, że jesteśmy poza dawnymi granicami polskimi, na terenie niemieckim. Było tu, jak zaznaczyłem, dużo żołnierzy niemieckich pod dowództwem oficera, który od razu zaczął do nas przemawiać ostrym tonem. Jego przemówienie od razu tłumaczone było na język polski, przez jakiegoś żołnierza w mundurze niemieckim. Chodziło o to, że będziemy teraz maszerować kilka kilometrów do obozu, mamy iść w porządku, czwórkami, nie wolno nikomu z szeregów wychodzić, a jeśli ktoś będzie zostawał w tyle zostanie momentalnie zastrzelony. Powiedział to w formie bardzo nieprzyjemnej, więc od razu jakoś zrobiło się przykro. Na razie wszystko było w porządku. Do mnie osobiście podszedł jakiś żołnierz i zerwał mi wieszacę na szyi lornetkę Zeissowską. Odebrano również szablę kapitanowi „Lechowi Grzybowskiemu”. Ten zaczął się stawiać, ale Niemiec go odepchnął, a nawet uderzył i szablę mu odebrał. To już było naruszenie umowy z Niemcami, ponieważ tam było wyraźnie powiedziane, że oficerom pozostawia się białą broń. Jeśli chodzi o lornetkę to był to już wprost rabunek. Nie było jednak na to żadnej rady i trzeba było się z tym pogodzić. Kiedyś się tylko ustawili czwórkami zaraz podana została komenda „marsz”. Marsz ten był bardzo ciężki, dlatego że był bardzo ostry, a wielu ludzi było zmęczonych. Tak szliśmy około 5 kilometrów. Każdy z nas miał przecież jakieś swoje rzeczy - plecaki, tłumoki itd. Ja sobie skonstruowałem taki plecak,

no ale muszę przyznać, że już po 3 kilometrach czułem się bardzo zmęczony, bo marsz był szybki, a nie dawano nam żadnego odpoczynku. Bałem się czy wytrzymam, no ale jakoś wytrzymałem. Absolutnie nie godziłem się na jakąś pomoc, którą mi ofiarowywali moi żołnierze, którzy chcieli mi nieść moje rzeczy i pomóc mi iść. Na to się nie godziłem, bo jednak jeszcze miałem dość siły, aby dalej maszerować. No i w ten sposób, bardzo już zmęczeni, dotarliśmy do jakiegoś obozu, gdzie stały drewniane baraki, otoczone parkanem z drutów kolczastych. Nie wprowadzono nas jednak do baraku, lecz ulokowano na placu, ogrodzonym oczywiście wytko drutem kolczastym. Zapowiedziano nam, że tu będziemy nocować, ponieważ jest dość późno, a baraki nie są jeszcze dla nas przygotowane, ale że są tu na plecu ziemianki. No obejrzeliliśmy te ziemianki, były one jednak prawie że zawalone, bardzo brudne, więc o spaniu tam nie mogło być mowy. Rozlokowaliśmy się wprost pod gołym niebem. Całe szczęście, że pogoda była możliwa, a nawet złapał przymrozek, więc było sucho. Ułożyliśmy więc sobie kocy i położyliśmy się koło siebie po kilku, bardzo blisko, nakryliśmy się kocami i prasaaliśmy się stosunkowo dobrze. Na drugi dzień rano nadal nie wiedzieliśmy, co z nami będzie, kiedy narreszcie nas wprowadzą do tych baraków, które widzieliśmy po drugiej stronie drogi. Były one otoczone również siatką z drutów kolczastych. Zjawiła się znów większa ilość żołnierzy niemieckich, kazali się nam ustawić, rozłożyć swoje rzeczy no i zaczęła się tutaj bardzo przykra rewizja. Zaczęli rozwałować nasze walizki i tobołki, oglądać wszystko i zabierać, co się da. To było bardzo nieprzyjemne, i trwało aż do momentu, kiedy wystąpił pułkownik "Paweł" (pułkownik Kataraj). Znając bardzo dobrze język niemiecki zaczął mówić do oficera, stojącego w oddali, że to jest skandal, że tak z nami postępują, że my jesteśmy jańcami wojennymi, jesteśmy Powstańcami Warszawskimi, i niedopuszczalne jest przeprowadzanie takiej rewizji.



Zażądał kategorycznie zameldowania go u dowódcy obozu. Niepodzielnie poskutkowało to. Oficer kazał przerwać rewizję i powiedział, że zaraz zamelduje to generałowi - dowódcy obozu. Twierdził, że został zawiadomiony, że to jest przywieziona jakaś banda aresztowanych, niewiadomo skąd, więc kazało mu przeprowadzić bardzo ostrą i dokładną rewizję. No i od tego momentu dali nam rzeczysielcie spokój. Po pewnym czasie najechał pociąg na plac generał niemiecki no i tak samo powiedział, że przeprosza za postępowanie tego oficera i żołnierzy, że nasze nieporozumienie. Powiedział też, że jeszcze pozostaniemy tutaj na tym placu, dostaniemy kasę i chleb, a potem będziemy rozlokowani w barakach, które widzimy za drogą. Po pewnym czasie przeprowadzono nas na drugą stronę tej drogi i rozlokowaliśmy się w różnych barakach, przeważnie oddziałami, łącząc się jednak z kolegami, których w drodze, czy na placu, spotkaliśmy. Przed ulokowaniem nas w barakach rozdzielono nas z naszymi kobietami, które również jako żołnierze Armii Krajowej zostały przez Niemców z Warszawy wywiezione i przyjechały również do tegoż Landsdorfu. Kobiety zostały ulokowane w innych barakach, po drugiej stronie drogi, tak samo w barakach ogrodzonych drutem kolczastym. Można było się z nimi porozumiewać przez drogę, tak że wielu spośród nas którzy mieli tam swoje żony, czy znajome, rozmawiali z nimi właśnie w ten sposób.

W Landsdorfie ostatecznie nie było nam jeszcze najgorzej. Były tu drewniane prycze, ale były i sienniki. Mieliśmy ze sobą koce, więc można było jako tako spać. Karzono nas zupełnie możliwie jak na te warunki, a co najważniejsze - bodaj że na drugi czy na trzeci dzień po przyjeździe - zaprowadzono nas do lasni. W tej lasni byliśmy bodaj jeszcze jeden raz, przed dalszym wyjazdem. Idąc do lasni mijaliśmy obóz jeńców sowieckich. No, trzeba przyznać, że jeńcy ci byli w straszny stan. Wszystko to było ogrom-

nie wynędziała i wtedy kiedyś przechodzili - szli się do tych drutów i prosili o chleb, o jakąkolwiek pomoc. No więc oczywiście kto tam miał przy sobie chleb to im dawał, a oni rzucałi się za te kawałki chleba i jeden drugiemu je wyrwał, tak że widać było, że Niemcy ich wprost tutaj głodzili. Gdy szliśmy drugi raz do łaźni, to zaopatrzyliśmy się w większe ilości chleba i więcej go rzucałiśmy. Był to straszny obraz i rzeczywiście robił na nas bardzo przykre wrażenie. Natomiast w łaźni posługiwali właśnie jeńcy z obozu sowieckiego i trzeba przyznać, że dość dziwnie się zachowywali, bo prowadzili wybitnie bolszewicką agitację. Nie wiem, czy byli oni tutaj podstępnie przez Niemców, to wówczas nie byłaby zrozumiała ta agitacja bolszewicka, czy też robili to z własnej inicjatywy, licząc na to, że będą tu mieli świadków i wytłumaczenie, dlaczego tak się zachowywali w obozie niemieckim.

W czasie pobytu w Lausdorfie, który zresztą obecnie znajduje się na terenie polski i nazywa się Laabnowice, Niemcy sporządzili dokładne nasze wykazy. Tu nasieliśmy podać swoje prawdziwe nazwiska, zresztą mieliśmy przy sobie swoje osobiste dokumenty, jak również podawaliśmy nasze pseudonimy. Dokumenty nam odebrano, a wydano jedynie takie numerki jenieckie. Robili nas również fotografię i numerki te miały fotografie i odciski palców. W Lausdorfie pozostaliśmy do 16 października. Tego dnia rano Niemcy wywołując nas nazwiskami utworzyli pewne grupy. Ja się znalazłem w grupie oficerów sztabowych. Zanim oddzielono tu oficerów od majora uszył, więc znalazłem się w grupie oficerów z Komendy Głównej. Nasza grupa tworzyła 100 ludzi. Rozszerowaliśmy raz w kierunku stacji kolejowej. Za nami tak samo były inne grupy, utworzone z tych naszych jeńców polskich. Na stacji kolejowej załadowano nas do wagonów po 50 ludzi do każdego. Zdawało mi się nam, że to będzie znacznie luźniej niż poprzednio. Niestety, nasieliśmy się. Dla-



tego se stłoczono nas tylko w części każdego wagonu i odgraniczono drugą kolejną od pozostałej. Po drugiej stronie została przestrzeń, gdzie byli drzwi wagonu, no i tam ulokowali się żołnierze niemieccy, na słonie, i ustawili ręczny karabin maszynowy na trójnogu, skierowany w naszą stronę. No to już nie bardzo nam się podobało. Ale widac było, że się nas obserwują. Zapowiedziano nam, żebyśmy się zachowywali "grzecznie", no i nie próbowali żadnych sztuczek i ucieczek, ponieważ momentalnie będzie ostrzony ogień karabinowy i oczywiście nas wszystkich wybiją. Nikomu z nas nawet w głowie jakieś próby ucieczki, czy buntu, nie powstały, ponieważ wiedzieliśmy, że jest to zupełnie niemożliwe i nie prowadzi do żadnego celu, w ten sposób miałyśmy podróżować. Musieliśmy się jakoś rozłożyć. Już nie pamiętam dokładnie, może było u nas 40 ludzi, a nie 50-tu, w każdym razie było bardzo ciasno. No i przeraziło nas to, że Niemcy po ulokowaniu nas w wagonie kazali nam podać przez te druty nasze obuwie. No nie podobało się nam to, bo niby po co mamy być boso. Popakowali te nasze buty do worków i polecieli w tym samym wagonie, więc było jasne, że nam potem oddadzą. Z początku bardzośmy się na to oburzali, ale potem jak już ułożyliśmy się do spania byliśmy z tego zadowoleni, ponieważ było tak ciasno że ledwieśmy czekaliw jeden na drugim i gdyby były jeszcze buty to musielibyśmy się nimi kopać. Takieśmy jechali, nadrabiając naszą niewygodę humorem, opowiadając sobie różne kawały. Gorsze było samo spanie, bo oczywiście było bardzo niewygodne. Jechaliśmy jedną dobę, czy trochę dłużej, w każdym razie wiem, że jechaliśmy przez Poznań, bo usłyszeliśmy, stojąc na stacji, jakąś rozmowę i zorientowaliśmy się, że była w niej mowa o Poznaniu. O wyjrzeniu nie było mowy, ponieważ okna były zabite i zamalowane, a porozumiewać się z nikim absolutnie nie było można. W każdym razie jechaliśmy dalej i byliśmy zaintrygowani, dokąd i kiedy ostatecznie nas zawiozą. Pociąg wreszcie się zatrzymał na jakiejś stacji,

drzwi się otworzyły, Niemcy rozebrali przegrodę i kazali nam wysia-  
dac. Zobaczyliśmy znów całą stację i napis na niej: Woldenberg.  
Obecnie jest to Dobięguiewo i również znajduje się na terenie pol-  
skim. Tutaj nas znów ustawili w szeregi, zresztą bardzo niewielką  
grupę, bo zobaczyliśmy tylko tych 100 ludzi, których Niemcy do na-  
szej grupy przydzielili. Byli tutaj tylko oficerowie sztabowi,  
był jeden kapitan, zresztą mój kolega z konspiracji - Kapaczyński,  
pseudonim "Kawita", - i dwóch poruczników z broni pancernej, któ-  
rych nie pamiętam, nie wiedziałem, co w czasie okupacji robili i jaki  
mieli przyszły podczas powstania. Takżeśmy sobie teraz pomaszero-  
wali dalej szosą asfaltową, zresztą bardzo niedalako, bo zingliń-  
ny las i zobaczyliśmy na polu masę takich baraków murowanych,  
krytych blachą, dużo zresztą porządniejszych od tych w Lesedorfie.  
Jak się potem okazało, była to komenda obozowa niemiecka. W ten spo-  
sób przybyliśmy do tego sławnego obozu jenieckiego - otlagu 2 Wol-  
denberg. Był to obóz wybudowany przez Niemców w 1939 r., specjal-  
nie dla jeńców wojennych. W tym okresie, kiedyśmy tam przebywali,  
w obozie znajdowali się wyłącznie tylko oficerowie polscy, prze-  
waznie z 39 roku, w liczbie około 7000 ludzi. Składał się on z  
dużej liczby baraków, murowanych, parterowych, rozdzielonych na  
2-łe części i numerowanych od numeru 1-szego. Rozdzielone były  
w ten sposób, że połowa to był barak nr. 1 a druga połowa to był  
barak 1b. Obóz był podzielony tak jakby na trzy części. Na począt-  
ku były baraki, należące do dowództwa obozu, później tam się rów-  
nież mieściły magazyny i łazienki. Następnie była druga linia dru-  
ków kolezastych, stała zamknięta, przy której stało dwóch wartowni-  
ków, no a dalej mieścił się właśnie ten zasadniczy obóz, rozdzie-  
lony jakby na dwie połowy, szosą asfaltową. Część po lewej stronie  
nazywała się batalion pierwszy, po drugiej - batalion drugi. Wszę-  
dzie tu baraki były ustawione w szeregi, <sup>w których</sup> mieściły się poszczególne



kompanie jenieckie. Obóz otoczony był, jak już zaznaczyłem, podwójną linią drutów z wysokimi słupami i podobno przypuszczany był przez te druty prąd elektryczny. Między liniami drutów koleczastych wybudowane były wieże strażnicze, w których stale siedzieli wartownicy, uzbrojeni w karabiny maszynowe i granaty. Obserwowali oni stale cały teren obozu. Z jednej wieży był teren widoczny aż do drugiej, tak że rzeczywista obserwacja była bardzo dokładna. W nocy strażnicy mieli reflektory, którymi oświetlali całą przestrzeń obozu. Poza drutami znajdował się cementarz, na którym chowano jeńców, zmarłych z obozie. Zdawałoby się, że w tych warunkach ucieczka z obozu jest całkowicie niemożliwa. Jednakże takie ucieczki zdarzały się, i niektóre z nich były całkowicie udane. Większość jednakże nie udawała się. Uciekający byli łapani i rzadko kiedy już wracali do obozu, przeważnie byli umieszczani w obozach koncentracyjnych, co stanowiło karę za ucieczkę. Nas wprowadzono oczywiście do tej pierwszej części obozu, to znaczy tam, gdzie się mieściło dowództwo obozu tzw. Abwehr. Pozostawiono nas przed takim małym barakiem, w którym, jak się potem okazało, była łazienka. Byliśmy tuż koło drutów, oddzielających tę Abwehrę od reszty obozu. No i tutaj zaraz za tymi drutami zebrała się masa miejscowych jeńców, którzy zaczęli pytać i wołać bardzo serdecznie "nisch izjaj", ponieważ od razu się dowiedzieli, że jesteśmy tymi powstańcami warszawskimi. Niedługo udało się im z nami rozmawiać, ponieważ straż zaraz weszła na teren obozu i odsunęła ich od siatek, uniemożliwiając rozmowę. Zdążyliśmy się jednak dowiedzieć, że od razu po wprowadzeniu nas do łazienki będzie przeprowadzona bardzo dokładna rewizja. Otrzymamy swoje rzeczy dopiero po przejściu na drugą stronę łazienki, gdzie otrzymamy nowe ubranie i nową obozową bieliznę, tak że będziemy już musieli się rozstać z tym wszystkim, co przy sobie posiadamy. To trochę nas speszyło, ponieważ mieliśmy różne rzeczy, a przede wszystkim tro-

nie pieniężny. Połączając, że ja miałem ze sobą jeszcze trochę złotych polskich, to miałem jeszcze 10 dolarów, które nam dano jeszcze przed wyjazdem z Warszawy. Te dolary również by się przysdały, a oczywiście Niemcy przy okazji by je zabrali. Trochę się zastanawiałem w jaki sposób to przechować i schować tak, że wydrążyłem dziurę w środku w bochenku obozowego chleba, który nam Niemcy wydali na drogę. Tam schowałem te dolary i zapchałem je kawałkami chleba, przykryłem galcami i zrefinem to tak, że było to całkiem niewidoczne. Byłem pewien, że co jak co, ale chleba przez Niemców nam wydanego na pewno nie skonfiskują. Rzeczywiście tak się stało. Wprowadzono nas z tyłami grupami do budynku łazienki. Tu kazano nam się rozbić: i polskie osobne bieliznę, osobno ubranie, a na trzecią taką grupę, polskie wszystkie swoje rzeczy. Następnie wprowadzono nas do łazienki, gdzie były prysznice, więc oczywiście z wielką przyjemnością wykąpaliśmy się, ponieważ byliśmy solidnie brudni. Po wykąpaniu się, przesłaliśmy na drugą stronę, i tam zastaliśmy już swoje rzeczy. Nie było tylko absolutnie naszej bielizny, natomiast każdy otrzymał takie mundury amerykańskie i nową bieliznę. Buty własne natomiast otrzymaliśmy z powrotem. Po wyjściu z łazienki umieszczono nas w baraku, zaraz w pierwszą po lewej stronie, pierwszą stojącą na bramę przy wejściu na teren zasadniczego obozu, w baraku 1a. Blatego w baraku 1a, ponieważ w baraku 1b byli jeszcze starzy jeńcy, ale barak był rozdzielony unywalnią, która przegrodzona była ścianką drewnianą, aby nas całkowicie oddzielić od tych starych jeńców. Przez tę Niemcy zapowiedzieli, że przez jakieś czas, więc przez jakieś 10 dni, 2 tygodnie, będziemy zupełnie izolowani i nie będzie nam wolno wychodzić. Był to rodzaj kwarantanny, żebyśmy tu nie przywieźli ze sobą żadnych chorób, czego Niemcy się panicznie zawsze obawiali. No i rzeczywiście tydzień, czy nieco dłużej, bo już sobie nie przypominam, byliśmy całkowicie oddzieleni od całego obozu.



Co nie znaczy, żebyśmy się z nimi zupełnie nie kontaktowali, bo przecież, jak już wspomnieliśmy, oddzieleni byliśmy tylko takim drewnianym przepierzeniem od drugiej części baraku, to znaczy od baraku 7b. Momentalnie w tym parkanie porobiliśmy sobie dziury i z tamtymi jeńcami rozmawialiśmy sobie, opowiadając kim jesteśmy i co się u nas dzieje. Tam mogli nas tylko odwiedzać lekarze, za pozwoleniem władz niemieckich, żeby nas zbadać, bo znowu gęsto było coś zaradkowego, to chory momentalnie musiał być zabrany gdzieś indziej. No ale na szczęście takiego wypadku nie było. Pierwszą rzeczą to sąsiedzi z sąsiedztwa zaczęli się od nas, żebyśmy podali nazwiska nas wszystkich, ponieważ chcieli się dowiedzieć, kto tu przybył, czy nie sąją wśród nas młodszych. Oczywiście momentalnie sporządziliśmy taki wykaz. Zresztą nie było to takie trudne, bo było nas tylko 100; podaliśmy go przez przepierzenie. Zaraz na drugi dzień zaczęły już na piśmie przychodzić pytania, że, powiedzmy, czy ten to jest ten. Ja na przykład dostawałem całą kupę pytań, jaki jestem Kowacki, czy jestem Piotra, czy mam brata Piotra. Tak te wszyscy dowiadawali się o mnie i od razu dostawałem szereg różnych wiadomości, kto tam jest po tej stronie, z jeńców z 19 r. Wtedy innymi dowiadkiłem się, że jest tam mój kolega, jeszcze z III Korpusu, Koraliówka, poza tym wielki mój przyjaciel Leon Ławczak, jeszcze mój przyjaciel z 8 pułku. A co dla mnie było w tej chwili najważniejsze - był Stanisław Górecki, również kolega z 8 pułku, ale już z okresu późniejszego, ponieważ poznałem go będąc na ćwiczeniach w pułku jako oficer rezerwy. O tym to było dla mnie ważne, że wiedziałem, że jego żona mieszka w Częstochowie, a ponieważ moja żona miała dojechać do Częstochowy do państwa Ordona, więc przesyłałem go, żeby napisał list do swojej rodziny, żeby się dowiedzieli u nich, czy nie ma tam mojej, co się z nią dzieje, jak się jej powodzi i tak dalej. No i rzeczywiście po pewnym czasie otrzymałem wiadomość przez nie-

go, że jego żona była w Ordanów, że swojej żony tam jeszcze nie ma, ale dostali od niej list z Guszowa że w najbliższych dniach przyjeżdża do Czystochowy. Również również, że zaraz przygotowują dla mnie do wysłania paczki. Ugromiło mnie to uśmiechy, a przede wszystkim jak się uspokoiłem co do losów żony. Jedynie gnębiły mnie brak wiadomości o synu.

Ta setka jeńców powstańców też się nazywała kompanią. Dowódcą tej kompanii został wyznaczony pułkownik Szostak, z kompanii Śródniej, pseudonim "Filip". Kompania nasza została podzielona na 4 plutony, i nie wiem już dlaczego - ja zostałem mianowany dowódcą jednego z nich. Jak już wspominałem, w naszym gronie przede wszystkim byli oficerowie z kompanii Śródniej, a poza tym z naszego otoczenia był jeszcze pułkownik "Kaszi" tj. Kstaj, major "Zagóńszys", był major "Ligant" z "Chrobrego II, dostąpił kapitan Kupczyński. Był też kapitan "Barol" z 7 batalionu "Chrobrego II, który dostał od nas legitymację, że jest majorem i w ten sposób pojechał z nami do Holcemburga. Wydał nam tę legitymację, ponieważ zapomniał że w 39 roku był już przedstawiony do awansu, ale jeszcze nie został otrzymany rozkazu, więc w czasie powstania był ciągle kapitanem, ale właściwie jest majorem. Nie zastanawiając się wiele wydał nam tę legitymację tak jako majorowi. Naślizgiło nam to wjeżdżać do Holcemburga, wraz z oficerami sztabowymi. Przez cały okres kwarantanny nie wolno nam było wychodzić z baraków i widywać się z nikim z cewnych więźniów, ale właśnie porozumiewaliśmy się z nimi przez to przepiękanie z ukrytymi. Przekonywałem, że jak tylko będziemy połączeni ze starszymi jeńcami i będziemy mogli się z nimi widywać to oni od nas będą chcieli, abyśmy dokładnie opowiedzieli, co się dzieje w kraju, co się dzieje w Warszawie, i jak to było z tym powstaniem warszawskim. Zalecało nam na tym, żeby to jeszcze usłuchać, aby nie było rozbieżności między naszymi opowieściami, aby wyglądało to



jakoś solidnie i posażnie. Odbywaliśmy więc takie pogadanki i każdy z nas opowiadał o przebiegu i sytuacji na swoim odcinku powstania. O ile chodzi o "Czarobę II" to tutaj taki referat wygłosił ją, opowiadając o całym przebiegu Powstania na tym terenie. Mówili i inni referowali przebieg Powstania na pozostałych odcinkach. Między innymi mówił dowódca "Bastii" z Koszowa i niektóre osoby z Komendy Głównej. Był między nami pułkownik Bocrowolski, ten który podpisywał umowę kapitulacyjną, na więc zasypywaliśmy go różnymi pytaniami, a on nam opowiadał ze wszystkich szczegółami, jaki miał przebieg ten układ kapitulacyjny i pobyt w Czarowie u generała von dem Bache. Były to bardzo ciekawe rzeczy no i nasz wrażenie że jednak dużo spraw uzgodniliśmy i te nasze opowiadania nie były bardzo sprzeczne i jak najdokładniejsze. Chodziło o to, żeby tych jeńców, którzy siedzieli tu od 39 roku, jak najdokładniej poinformować o tym, co się dzieło w kraju i jaka jest obecna sytuacja. No i rzeczywiście, jak tylko miał ten teren naszej kwarantanny i pozwolono nam wychodzić z baraków, to pierwsza rzecz ciągnięto nas, zapraszano do poszczególnych baraków no i tam kazano nam o całym życiu okupacyjnym i powstaniu warszawskim opowiadać. Codziennie zapraszano nas do baraków, częstowano nas świetną kawą "Nesca", którą mieli z paczek amerykańskich i musieliśmy siedzieć i opowiadać. Poza tym wieczorami, a raczej przed wieczorem, gdy wolno było jeszcze wychodzić z baraków, przychodzili do nas oficerowie z innych baraków i opowiadali również różne historie. Często zostawali u nas w baraku na noc, ponieważ nie można było po apelu chodzić po obozie, bo groziło za to zastrzelenie z wiaty strażniczej. Między innymi przychodził taki porucznik Neuman, zawodowy oficer, który miał ogromne zdolności aktorskie i później, po powrocie do Polski, organizował Teatr Wojska Polskiego. Przychodził również Trojanowski, znany sportowy spiker radiowy, który opowiadał nam bardzo

ciekawe i nieraz śmieszne historie ze swego życia sprawozdawcy sportowego. Przychodziło także wielu innych, żeby nas jakoś zaba-  
wić i rozśmiać. Życie jenieckie było tu wspaniale zorganizowane.  
Wśród 7000 oficerów, przeważnie oficerów rezerwy, było wielu pro-  
fesorów z różnych dziedzin nauki, więc były prowadzone wykłady,  
czy to z zakresu medycyny, czy prawa. Później, po wojnie, było to  
zaliczane i w ten sposób szereg osób pokonczyło różne studia: me-  
dyczne, prawnicze, czy jakiegoś inne. Poza tym bardzo wielu uczyło  
się języków. W pierwszym rzędzie - angielskiego. W obozie była  
ogromna biblioteka. Przede wszystkim beletrystyczna, składająca  
się z książek przyniesionych głównie z kraju. Były wspaniałe dwie  
orkiestry symfoniczne, oraz dwa czy trzy chóry, bardzo dobre, a  
poza tym wspaniały teatr, który na nasze przyjęcie wystawił sztukę  
Shakspira "Zołniers i bonster". Grało wspaniale, nie wyłączając ról ko-  
bięcych. Instrumenty muzyczne i częściowo kostiumy dostarczyli Niem-  
cy za pewną oczywiście wynagrodzeniem. Była tu całkiem dobrze gra-  
jąca drużyna futbolowa. Bardzo ważną rzeczą było dobrze organi-  
zowane przez jeńców lecznictwo. Było tu wielu lekarzy, różnych  
specjalności, którzy codziennie przyjeżdżali chorych w takiej przy-  
chodni - izbie chorych, zorganizowanej oczywiście przez Niemców.  
Leki dostarczali Niemcy z pobliskiego miasteczka Söldenberg. Przy  
poważniejszych chorobach, pod eskortą, wzięto takiego chorego do  
miasteczka, gdzie był szpital, i podlegał on tam odpowiedniej ku-  
racji. Poza tym byli różnego rodzaju majstrowie, oczywiście spośród  
oficerów, a więc szewcy, krawcy, zegarmistrze. Przez tych ostat-  
nich był nadzwyczajnie zrobiony, świetnie chodzący zegar, duży  
zegar stojący na płaszu. Zegar ten był zrobiony z drzewa i blachy.  
Materiał był wzięty z paczek amerykańskich z puszek konserwowych.  
Zegar ten był rzeczywiście fenomenalny i sprawiał nam ogromną przy-  
jemność, ponieważ według tego zegara sprawdzaliśmy zawsze swoje se-



garki, gdyż był on regulowany według radia niemieckiego. Niemcy chętnie podawali dokładny czas. Poza wspomnianym przez mnie poprzednio teatrem, był w tym czasie prowadzony jeszcze kabaret. Kierowali nim: zawodowy porucznik kawalerii Neuman, o którym już wspominałem, oraz "azimierz Rudzki, znany w Polsce aktor, który zresztą niedawno zmarł. Poza kabaretem także Neuman prowadził również cyrk. Cyrk ten nazywał się "cyrkiem Neumana". Poza tym była jeszcze prowadzona kawiarnia, mieszcząca się w osobnym pomieszczeniu, przedzielonym zresztą przez Niemców. W kawiarni tej można było dostać bardzo dobrą kawę "Nesca", czarną, względnie białą z mlekiem skondensowanym, a poza tym były ciasteczka wypiekane przez porucznika Czwartwyskiego, który przed wojną skończył szkołę hotelarską w Paryżu. Były to wspaniałe ciasteczka, a nąkę na ten cel bodaj że dostarczali również Niemcy. W kawiarni tej można było sobie bardzo przyjemnie posiedzieć, napić się dobrej kawy no i pogadać. Jednym z bardzo rozpowszechnionych zajęć był brydż. No i rzeczywiście po całych zresztą dniach, z przerwami tylko na obiad i na kolację, siedziały czwórki przy stolikach w tejże kawiarni i bez przerwy grały w tego brydża. Przy tym wszystkim prowadzono bardzo zażarte i zawzięte dyskusje polityczne. Najrozsądziej dyskutowano na ten temat, co będzie dalej. Niewiadomo było i wszyscy tutaj byli tego najzupełniej pewni, że Niemcy przegrają wojnę. Mówiło się o tym, co dalej będzie w Polsce, czy będą bolszewicy czy też będzie ustrój w rodzaju przedwojennego. Oczywiście było tu wielu przedstawicieli najrozsądniejszych stronnictw, tych które były przed wojną. Większość stanowiła tutaj prawica, lewicy było bardzo mało, a jeżeli - to byli to zwolennicy Polskiej Partii Socjalistycznej. O ile chodzi o komunistów, to tych była znikoma ilość, zresztą nie bardzo się oni przyznawali do swoich poglądów, ponieważ momentalnie byli zakrzyczani, no a tacy bardziej pod tym względem gorliwi, którzy śaczy-

nali agitować na rzecz bolszewików, musieli się wycofywać, ponieważ takie dyskusje kończyły się nawet mordobiciem. Zresztą były to wypadki bardzo rzadkie, bo przecież jeżeli chodzi o komunistów, to zawsze w Polsce była ich znikoma ilość, a tutaj nie było ich prawie wcale. A jeśli byli, to raczej tacy, którzy przypuszczali, że bolszewizm się zagnieździ w Polsce, to wtedy tego rodzaju poglądy mogą na przyszłość się przydać i może łatwiej potem w Polsce zrobić karierę. Jednym z takich był niejaki kapitan Olszewski, który mieszkał w baraku razem z moim przyjacielem, kolegą jeszcze z 8 pułku, a mianowicie ze Stanisławem Osieckim, od którego przy jakiejś ożywionej dyskusji politycznej dostał po mordzie. Olszewski ten po powrocie do Polski zrobił od razu karierę. Z miejsca awansował na pułkownika i kiedyś powrócił do Warszawy, to w takiej komisji rehabilitacyjnej dla utworzonej jeńców był przewodniczącym i robił nam przy naszym meldowaniu się duże trudności. No ale o tym powiem później.

Bardzo przykre wrażenie robił na mnie zawsze spacer. Spacer ten odbywał się prawie cały dzień. Naszyacy masowo chodzili dookoła obozu, tuż przy tych drutach kolczastych, grupkami, jedna za drugą. Tu również się rozmawiało i prowadziło się różne dyskusje. Gdy się na to patrzyło to robiło wrażenie, że gdzieś ci ludzie w kółko chodzą, ale niewiadomo dokąd i po co. To było bardzo nieprzyjemne. No ale stopniowo do tego się całkiem przyzwyczaił. Ja również, dla zdrowia, musiałem dużo tak spacerować. Spacer właściwie odbywał się przede wszystkim w godzinach rannych - do obiadu. Oczywiście towarzystwo się zmieniało. Jedno sobie szło do baraków, zajmowało się czym innym, tymczasem wychodziło inne i spacerowało, ale w każdym razie ciągle, ciągle wszyscy chodzili, i to robiło bardzo nieprzyjemne wrażenie. Bardzo nieprzyjemne były również apele. Apele były rano, znaczy zaraz po śniadaniu i wieczorem -



o zmroku, przed kolacją. Obóz był podzielony na dwie części, batalionami, wszyscy się zbierali i ustawiali w grupach - kompaniami i plutonami, w dwuszeręgu, a Niemcy przychodzili i liczyli. No, często się mylili, więc trzeba było czekać, aż powtórzą to liczenie, tak że nieraz te apele trwały bardzo długo. Jeżeli była dobra pogoda, no to ostatecznie było obojętne, nawet czasem wesołe, bo wtedy odchodzili najrozmaitsze dowcipy, no ale jeżeli była zła pogoda, był silniejszy mróz, a co gorsza plucha, to wtedy nie sprawiało to przyjemności. Jednocześnie podczas tych apeli Niemcy przeprowadzali rewizje. Odbywało się to w ten sposób, że oddziałami, kompaniami czy plutonami, dokładnie już nie pamiętam, kazali iść pojedynczo do baraków, no i tam przeprowadzano dość szczegółową rewizję. Rewizje odbywały się przeważnie z tego powodu, że Niemcy od czasu do czasu wydawali jakieś takie bezsensowne zarządzenia, jak na przykład, że nie wolno posiadać "kanadyjek", czyli takich bluz i że muszą one być zdane. Po rozkazie, w dzień czy dwa później, odbywała się rewizja no i szukano się tych "kanadyjek". Nie można było tak samo mieć takich rzeczy ostrych, przede wszystkim brzytwy. (golono się tylko żyłkami), no i wówczas Niemcy znów przeprowadzali rewizję i szukali tych brzytw. Odbywały się przy tym najrozmaitsze kawały, tak że trudno je wszystkie nawet opowiedzieć. Gdy na przykład Niemcy szukali brzytw, a przy tym zupełnie przypadkowo znajdowali "kanadyjkę", to jej nie zabierali, bo już nie było w rozkazie odbierania "kanadyjek", a tylko i wyłącznie brzytw. Miałem kłopot, no i inni prawdopodobnie tak samo, co zrobić w takich chwilach z pieniędzmi, które posiadałem, bo bałem się, że gdy je u mnie znajdą to je zabiorą. No i robiłem to w ten sposób, że pieniądze te miałem przy sobie, a na wypadek rewizji chowałem do rękawiczki. A rękawiczkach przychodziłem do baraku. Kiedy Niemiec w łóżku robił taką rewizję, to ja byłem w rękawiczkach, a wtedy kiedy robił już rewizję osobistą, to zdejmowałem rękawiczki i rau-

całem na swoje postanie, już zrewidowane, które zresztą było na trzecim piętrze. Wówczas byłem już bez rękawiczek, bo przecież głupio było by stać podczas rewizji osobistej w rękawiczkach. Wszystkie to zresztą były drobiazgi i nie sprawiały specjalnie dużej przykrości.

Na ważniejsze były oczywiście dla nas wiadomości polityczne i wiadomości z frontu. Niemcy dawali nam niemieckie gazety i zwykle, gdy już położyliśmy się do łóżek, kolega mój, Kazimierz Rapaczyński, znający świetnie niemiecki, czytał na głos taką gazetę i tłumaczył na język polski. Z tej gazety można było bardzo dużo się dowiedzieć. Nasze wiadomości wyczytywano się między wierzeniami, na przykład oderwanie się od nieprzyjaciela i zajęcie nowych stanowisk oznaczało dotychczas, że jest to cofanie się na froncie zachodnim. Jeśli chodzi o front wschodni, to jeszcze na początku naszego pobytu i tak gdzieś do połowy stycznia było tu jeszcze cicho i nie wiekieliśmy, co się dzieje w Polsce i w Warszawie. Prawie wszyscy spośród nas spotkali wśród dawnych jeńców całą masę znajomych, dawniejszych kolegów, no więc całe to bractwo chodziło i wzajemnie się odwiedzało. Ja osobiście, tak samo jak inni, byłem stale zapraszany to do jednego, to do drugiego baraku, no i wtedy musiałem opowiadać o życiu okupacyjnym w Polsce, o pracy konspiracyjnej, no i oczywiście o Powstaniu. W ten sposób człowiek był właściwie cały dzień zajęty i czas mijał bardzo szybko. Ostatecznie żyło się nie najgorzej, bo i jedzenie było całkiem możliwe. Wielką atrakcją były dostarczane nam paczki amerykańskie. Były to rzeczywiście wspaniałe paczki i dzięki nim jedzenie obosowe było właśnie zupełnie możliwe. Paczki były dość duże, bodaj że pięciokilowe i wydawano jedną paczkę na czterech. Przy takim podziale jej na cztery części odbywało się całe nabożeństwo. Rzeczywiście podział musiał być bardzo sprawiedliwy, bo wychodziły z tego różne nieporozumienia, awantury, pretensje itd. Ci starszy jeńcy robili wprost z tego jakieś nabo-



żeństwo, a my nie przywiązywałeś do tego wielkiej wagi, tak że u nas te podziały szły bardzo łatwo i szybko, tym bardziej, że przecież dzieliliś je w naszym gronie, był to podział między ludźmi dobrze znającymi się, więc wiadomo było, że tu nikt nikogo nie zechce nabierać. Paczki te zawierały przede wszystkim szałc, wędlinę w konserwie, kawę, cukier, masło, czekoladę itd. Rzeczywiście były to paczki bardzo dobre. Zapomniałem jeszcze wymienić mleko skondensowane, które kawę wydawaną przez Niemców czyniło bardzo dobrą. Była w nich również "Kasa", więc niektórzy wprost nią się zapijali. Nie zawsze była ona korzystna dla zdrowia, a szczególnie dla osób jej nadużywających. Stawała się ona dla niektórych narkotykiem. Byłem, jak zaznaczyłem, ciągle zajęty i niewiele nawet miałem czasu na czytanie. Chodziłem stale z wizytami, to do jednego, to do drugiego baraku, no i te pogadanki trwały dość długo. Odwiedzałem nawet barak żydowski, 12a. Chodziło tu o to, że Niemcy, wychodząc z założenia, że oficerom polskim nieprzyjemnie będzie mieszkać w baraku z oficerami Żydami, ulokowali ich wszystkich w osobnym baraku. Jako oficerowie oczywiście byli na tych samych warunkach, co Polacy i Niemcy obchodzili się z nimi zupełnie przyzwoicie. Gnębił mnie tylko ciągle brak wiadomości o synu i sonie. Jeśli chodzi o sone, to wkrótce, jak wspominałem, otrzymałem wiadomość przez Stasia Cieleckiego, że ona lada moment zjedzie do Częstochowy, do Ordonów. Rzeczywiście, wkrótce dostałem list od sony, i zaczęliśmy już korespondować. Niemcy wydawali nam takie specjalne arkusze do listów i wolno było co pewien czas list do rodziny wysyłać. Bardzo szybko napisałem więc list do sony pod adresem Ordonów, no i wkrótce otrzymałem list od niej. Podawała w nim, że szczęśliwie dotarła do Częstochowy, że mieszka u Ordonów, że jest jej tam bardzo dobrze i że wszędzie stara się o wiadomości o synu. Pisała już do Czerwonego Krzyża, bojąc że nawet

zagranicę, do Bawajarii, bo ale jeszcze żadnej konkretnej odpowiedzi nie miała. Od razu w pierwszym liście ona napisała, że jedno cześciej wysyła do mnie paczkę żywnościową. I rzeczywiście, paczki te zaczęły przychodzić dość często. Były to wspaniałe paczki, więc pod względem wyżywienia byłem zaopatrzonej przez przeskarżenie.

Oczywiście Wigilia świętego narodzenia uroczystość była tu obchodzona. Zamieściłmy wieczorem przy wspólnym stole, ładnie nakrytym. Była nasza mała chojneczka. Były piąne przemówienia, najrozsądniejsze życzenia, no i wypiliśmy po kieliszku wódki. Ktoś z dawnych jeńców otrzymał w paczce spirytus. Było to zrobione w ten sposób, że spirytus nalany został do pęcherza gumowego, umieszczony w pudełku i nalany smalcem. No i jakoś udało się tak przeszkarżować go przy rewizji tych paczek, że Niemcy go nie zauważyli i adresat paczkę otrzymał w całości. Podzielił się tym spirytusem oczywiście z nami, tak że na Wigilię mogliśmy wszyscy po jednym kieliszku wypić. Nie były to naturalnie kieliszki, a kubeczki, i w tych przewidzianych naczyniach piliśmy, wnosząc toasty przy tym jednym niewielkim kieliszeczku. Wszyscy wzajemnie życzyliśmy sobie, żeby wojna jak najprędzej się skończyła i żebyśmy zszczęśliwie powrócili do domów i w porządku zastali nasze rodziny.

Dzisiaj w połowie stycznia otrzymałmy wiadomość, że zaczęła się na terenie Polski ofensywa bolszewicka, no i wkrótce dostaliśmy wiadomość, że 17-go została zajęta i uwolniona od Niemców Warszawa. Skończyła się więc okupacja niemiecka, a zaczęła się okupacja bolszewicka, kto wie, czy jeszcze nie gorzej, ponieważ Niemcy byli, jawny, otwarty wrogiem, natomiast bolszewicy ukryty, cichy, udający przyjaciela, dążącego niby tylko z pomocą do uwolnienia nas od Niemców. Po kilku dniach wiedzieliśmy już całkiem dokładnie, że ofensywa Armii Czerwonej rozwija się bardzo pomyślnie. Różne szczegóły przynosił nam sami żołnierze niemieccy. Widac było wśród nich jakąś zwiększającą się panikę, ale porządek na ogół panował



Jeszcze bez zarzutu i tryb życia w naszym obozie nie zmieniał się zupełnie. Niektórzy żołnierze byli zaprzyjaźnieni z oficerami, i oni przynosili te wiadomości. Ci, którzy mieli być ordynansami, a w rzeczywistości byli używani przez Niemców do pracy w sąsiednim miasteczku Goldenberg, przynosili najdokładniejsze wiadomości, które oczywiście momentalnie rozchodziły się po całym obozie. Wiedzieliśmy więc na ogół dokładnie, że armia radziecka posuwa się teraz szybko na całym froncie polskim i należało się spodziewać, że teraz prędko dotrze do nas. Zaczęliśmy się zastanawiać, co z nami będzie, czy będziemy stąd zabrani przez Niemców, czy też zostawią nas w spokoju i będziemy ogarnięci przez Armię Czerwoną. Po kilku dniach rzeczywiście Armia Czerwona zbliżyła się na tyle, że słychać było wprawdzie bardzo odległą, ale zupełnie wyraźną kanonadę artyleryjską. Mogliśmy się więc spodziewać, że Niemcy tutaj prawdopodobnie coś z nami zrobią. No i rzeczywiście, któregoś dnia po południu, przyszedł rozkaz niemiecki, abyśmy się przygotowywali do ewakuacji, bo ma ona nastąpić następnego dnia rano. We wszystkich barakach zaczęła się straszna rzeźba. Wszyscy zabrali się do pakowania i segregowania swoich rzeczy. My, którzyśmy przybyli z Warszawy, z powstania, niewiele ich posiadaliśmy. Było tylko mundurowanie amerykańskie wydane nam przez Niemców, (płaszczki, furacjerki), swoje swetry, ale żadnych specjalnych zapasów nie mieliśmy. Kto miał jakiegokolwiek zapasy żywnościowe, to je przygotował również do zabrania. Była wówczas silna zima. Było dużo śniegu. Wiedzieliśmy, że ma to być marsz pieszy, że nie będą nas ładować do żadnych pociągów. No, było to zrozumiałe, bo przecież wszystkie pociągi zajęte były przez Niemców, którzy oczywiście na gwałt ewakuowali się jak mogli, więc musieliśmy iść pieszo, niosąc przy tym swoje rzeczy. Wtedy w wielkim kłopotcie znalazło się wielu spośród tych dawnych jeńców, z 39 roku, tych zwanych "czorników".

Nagromadzili oni masę najrozmaitszych rzeczy, licząc na to, że kiedyś do domu zabiorą to i będą mieli na sprzedaż, w każdym razie jakos to im się przyda. Przede wszystkim mieli masę papierosów i ubrań, i innych najrozmaitszych rzeczy, z których w rezultacie pozostały przy panowaniu ogromne toboły. Trudno było sobie wyobrazić, jak oni to będą mieli. Dlatego też niektórzy wpadli na pomysł zrobienia sobie szańek, bo właśnie w tym czasie na całym naszym terenie był duży śnieg, a zawsze szańce łatwiej było uciągnąć te rzeczy, niż na plecach, tym bardziej że przecież nie mieliśmy żadnych wygodnych plecaków. Ja osobiście miałem niewielką walizeczkę, do której bez trudu zapakowałem swoje rzeczy. No i sporządziłem również takie niewielkie szańeczki, z desek wyjętych z pryczy. Już nie pamiętam skąd wziąłem gwóźdź, ale w każdym razie wyciągnęliśmy całkiem formalne szańeczki i liczyłem się z tym, że na te szańce przed wynarzem zapakuję swoje rzeczy. Pora tym przyłączyć się do mnie Stas Michalowski i Kapaczyński, i bodaj że jeszcze ktoś i w ten sposób przygotowaliśmy się do wynarzu. Noc oczywiście spędziliśmy bezkarnie, dlatego że wszyscy byli zajęci tym pakowaniem i dyskusją na temat dalszego naszego losu. Rozbieraliśmy także - w miarę możliwości - nasze prycze i paliliśmy nimi w piecach, tak że była to chyba jedyna noc, kiedy było nam w baraku bardzo ciepło. Następnego dnia z rana Niemcy umożliwili nam wyszukanie naszych rzeczy umieszczonych w magazynach, gdzie utrzymywali względny porządek, bo od razu naraz cała kupa ludzi nauczała się tam. Niektórzy nawet dostali się do kancelarii żeby wyciągnąć swoje dokumenty, które przecież Niemcy w swoim czasie porabierali. Mnie również udało się dostać zarówno do magazynu, jak i do kancelarii, jednakże, ani tu, ani tu, absolutnie nic nie znalazłem, więc pozostałem - jeśli chodzi o dokumenty - (tylko z numerkiem obozowym). Jednak nasz wynarzu wówczas nie nastąpił i został przełożony na dzień następny, jakkolwiek kanonadę artyleryjską było



skryć już znacznie wyraźniej, niż dnia poprzedniego. Z rana jednak następnego dnia było już zarządzenie, że bez względu wyruszący i że mamy maszerować dwoma kolumnami, zupełnie innymi drogami, to znaczy każdy batalion osobno, iść mieliśmy barakami, według ich numeracji, no i oczywiście Niemcy zapowiedzieli, że musimy zachować jakiś taki porządek, co znacząco - trzeba przyznać - okazało się możliwe to naprawdę zupełnie przyzwyczailiśmy. Wynaraz nastąpił gwałt w godzinach przedpołudniowych, a więc przed obiadem. Szliśmy w kierunku zachodnim, zwykłymi drogami. Było dość dużo śniegu, więc maszerować było dość ciężko, ale mnie osobiście bardzo utatniały te śniegi. Widziałem po drodze jak ci, którzy nie mieli sanek rzucali swoje pakunki i tłuścio. Po paru kilometrach już się pomęczyli, a nie mając przez dłuższy czas żadnego treningu, z tymi ubieranymi przez siebie rzeczami musieli się rozstać. Kolumna jednak stosunkowo szybko zaczęła się mieszać, ponieważ ludzie wychodzili z szeregów, łączyli się ze swoimi kolegami z innych baraków no i już nie przestrzegali porządku. Niemcy tylko od czasu do czasu nadblykali, ale już w formie zupełnie grzecznej. Było ich stosunkowo niewiele. Szli po obu stronach naszej kolumny, w odległości kilku kroków, a ponieważ droga, po której szliśmy, nie była zbyt szeroka musieli iść już polem. Z każdym razem awatali na nas i jeżdżące w pewnym stopniu nas pilnowali. Była tutaj dyskusja między nami, czy warto uciekać. Ludzie się nad tym zastanawiali, ale mnie się to wydawało absolutnie bezcelowe. Był to teren niezabity, więc gdzie tu uciekać? czy do jakiejś wsi, czy do jakiegoś miasteczka? Przecież tam jeżdżące byli wszędzie Niemcy, a poza tym gdybyśmy się nawet gdzieś przyczepili, aby pojechać na Armię Czerwoną, to też niewiadomo, jak by nas przyjęli. Tak że raczej ucieczka tutaj byłaby ryzykowna, zresztą do każdej ucieczki trzeba się tak czy inaczej przygotować i jakąś alternatywę sobie wybrać. Nikt z nas

tego terenu właściwie nie znał, więc o takiej ucieczce, wprost z szarego, a drogi, nawet wówczas nie słyszałem. Szliśmy bardzo wolno, bez żadnych odpoczynków. Ja osobiście ciągnąłem te swoje kancezki, przy pomocy Michalowskiego i Kapaczyńskiego, którzy ranki podtrzymywali i popychali, uważając przede wszystkim, aby się gdzieś nie wyrócili. Jeszcze przed narokiem dotarliśmy do jakiegoś majątku i tam się zatrzymaliśmy. Zakomunikowano nam, że tutaj dostaniemy obiad i tu przespójemy. Każdy z nas miał swoją kosażkę i łyżkę. Obiad był z kocio. Byliśmy zmęczeni i wygłodzeni, tak że z przyjemnością się ten obiad jadło. Mieliśmy ze sobą jeszcze kawałek chleba z obozu, kilka kawałków zapas szałonu, przystanego przez den., więc posiliłem się zupełnie możliwości. Rozstawiliśmy w zabudowaniach majątkowych, przeważnie w stodołach i innych zabudowaniach gospodarczych, tak że była tam wszędzie słoma, więc przespaliśmy się zupełnie możliwości. Następnego dnia rano otrzymaliśmy jeszcze kawę i wrócić ruszyliśmy dalej. Zniszczeni ludzkich prawie śladów nie mijali. Przypuszczam, że Niemcy prowadzili nas specjalnie w ten sposób, aby omijać skupiska ludzkie. W każdym razie, kiedyś mijali jakiegokolwiek osady, wszędzie była panika, a ludność pakowała się i ładowała na wozy i uciekała również gdzieś tam na zachód. Nie widziałem, aby jechali razem z nami, ponieważ prowadzono nas tak, aby uniknąć spotkań z miejscową ludnością. Szliśmy polowymi drogami, a tamci prawdopodobnie jechali szosami. Widzieliśmy, że razem z naszą kolumną pędziła cała kolumna niemiecka obozu w Goldenbergu. Jechali gdzieś przodem i prawdopodobnie przygotowywali dla nas noclegi. Drugiego czy trzeciego dnia naszego marszu przechodziliśmy przez spore miasteczko i tu również widzieliśmy dużą panikę. Było tu trochę wojska niemieckiego, ale były to jakieś oddziały nieliniowe, ale inne, utrzymujące porządek w miasteczku. Wszyscy nam się ciekawie przy-



glądali, robiąc jakieś swoje uwagi, na które i nasi, znający język niemiecki, nie szczędzili odpowiedzi. Wszyscy tu przykowali się wyraźnie do ewakuacji i widac było, że ofensywa bolszewicka posuwa się naprzód. Zresztą przez cały czas naszego marszu słychać było kanonadę artyleryjską. W ten sposób naszerujac robiliśmy dziennie około 20 kilometrów i w końcu dotarliśmy do dużego majątku o nazwie Detz. Majątek był otoczony wysokim kamiennym murem. Na jego tyłach był duży park, w którym widoczny był pałac. Podobno w tym pałacu ulokowało się całe dowództwo obozowe, na czele z generałem, dowódcą obozu i wszyscy obozowi oficerowie. Nas wprowadzono na podwórze, przez taką dużą bramę, która po przejściu naszej całej kolumny momentalnie została zamknięta, a przy niej postawieni byli wartownicy z karabinami. Kazano nam się tutaj rozłokować i zaciągnąć, że za chwilę otrzymamy obiad i że w tym majątku będziemy nocować. Po zjedzeniu obiadu oblażłem wszystkie budynki, zobaczyłem że wszędzie jest tłok, więc wpakowałem się na taki strych nad oborą. Było tu już wszędzie ciasno, ponieważ leżało już wielu kolegów. Nie bardzo mi się to wszystko podobało, bo chciałem się jakoś wygodniej ulokować i lepiej się przespać, więc całkiem o zarku zajrzałem do obory. Odbyszał się tam właśnie wieczorowy udój, no i nadzorowała go jakaś młoda, przyzwolcie wyglądająca niewiasta, porządnie ubrana, prawdopodobnie z zarządu majątku, lub jego właścicielka, która zresztą od razu na mnie nakrzyczała, żeby się stąd wynosił. W oborze było ciepło i bardzo mi się tu podobało. Tymczasem podszedł do mnie facet ubrany po cywilnemu i po rosyjsku powiedział, że jest jeńcem rosyjskim i żeby przyjechał później, to będę mógł tutaj w oborze przenoćować. Bardzo mi się to spodobało, więc po pewnym czasie, gdy zobaczyłem, że dójki stały się wyniosły, a także ta niewiasta, co na mnie krzyczała, wlaszłem z powrotem do tej obory,

wybrałem sobie taką leśną krówkę i położyłem się koło niej w ten sposób, że głowę miałem na wymianiu. No i bardzo mi smakowało to ciepłe mleczko, które sobie spokojnie wprost do ust dołem. Napiliśmy się tak do syta tego ciepłego mleka i zagryziliśmy chlebem, słodko sobie zasnąłem mając wyjątkowo za poduszkę. Przespałem spokojnie całą noc, bo jakaś moja krówka nie miała zamiaru w ogóle wstawać i tak całą noc sobie spokojnie przeleżała. Rano, gdy się robiło już wiśnie, wstałem i musiałem wyjść z obory, ponieważ tutaj już przychodziły dójki i bała się, że znów zostanie z obory wyrzucony. Poszedłem więc do kolegów i szykowałem sobie sanki do dalszej podróży. Wkrótce kazano nam szykować się do wyarszu. Zebraliśmy się wszyscy na podwórzu i czekaliśmy na otwarcie bramy i komendę do dalszego marszu. Nagle posłyszeliśmy zupełnie już niedalekie strzały karabinowe i karabina maszynowego. Nasz wyarsz został więc odwołany. Powiedziano nam, że zatrzymamy się, ponieważ tu pojawił się jakiś patrol bolszewicki. Został on już odparty przez żołnierzy niemieckich, ale w każdym razie musimy jeszcze poczekać. Czekaliśmy w ten sposób do południa i rozkazu dalszego marszu jakos nie było. Było cicho i spokojnie gdy w pewnym momencie zobaczyliśmy ponad murem ogrodzenia pręt metalowy, który stanowił antenę nad czołgiem. Usłyszeliśmy turkot tego czołgu. Po chwili coś bardzo silnie uderzyło i brama się na rozcięt otworzyła, a na podwórze wjechał czołg bolszewicki. Wartownik stojący przy bramie porzucił w tym momencie karabin i pędem poleciał do pałacu stojącego w parku. Na środek podwórza wjechał czołg, odchyliła się pokrywa i wyjrzał stamtąd taki bolszewik w kołuchcu. Wszyscy się rzucili do niego, może wszyscy to przesada, ale szeregi oficerów rzuciło się w jego stronę, wleźli na czołg i krzyczeli "niech żyje, niech żyje, niech żyje armia sowiecka" no i wykrzykiwali tego rodzaju powitania. I nie wiem co byłoby dalej, ale w tym momencie od strony pa-



żacu ukazał się oficer niemiecki, z komendy obozowej, taki kapitan Holtz, który szedł z podniesioną do góry ręką. Zbliżył się do czołgu i odezwał się po niemiecku, zwracając się do wychylającego się z czołgu oficera czy żołnierza bolszewickiego. Ten oczywiście nie nie rozumiał i zwracał się tylko do nas "szto on gawarit, szto on gawarit?" No, oczywiście tłumaczy tutaj znalazło się sporo. Po-deszli bliżej do czołgu, odsunęli tych, którzy się tam gromadzili no i zaczęli wszystko tłumaczyć co mówił kapitan Holtz. A mianowicie chodziło mu o to, że w tej chwili na terenie tego majątku znajduje się cała masa bezbronnych i niewinnych ludzi, jeńców. "Pozwólcie im opuścić ten majątek, a potem my sobie pogadamy". Na co tancerz odpowiedział: "Charaszo, charaszo pust tak budiet". Kapitan Holtz zawrócił i poszedł w stronę pałacu, a bolszewik zaczął wołać "wsie won". Jednym słowem chodziło o to, żebyśmy się rozeszli i opuścili ten majątek, bo tu może być walka między Niemcami a tymi czołgami bolszewickimi, ponieważ w tej chwili ukazał się i drugi czołg, który też wjechał na podwórze, po co my mielibyśmy przy tym ucierpieć. Zapomniałem jeszcze wspomnieć, że zanim ten pierwszy czołg wjechał do majątku, było jeszcze kilka artyleryjskich strzałów z zewnątrz, (prawdopodobnie z czołgu), które trafiły w stodołę, gdzie znajdowało się przecież pełno naszych oficerów. No i wówczas było dwóch czy trzech zabitych i kilku rannych. Nie rozumiem, po co była ta strzelanina, bo przecież bolszewicy już dobrze wiedzieli, że tu nie ma wojska niemieckiego i z tej strony nie może być żadnej obrony, więc po co było strzelać. Mogli się spodziewać, że tu są jeńcy, bo prawdopodobnie już po drodze ich poinformowano, że taka cała kolumna jeńcka znajduje się w tym majątku. Tymczasem całe nasze towarzystwo rzuciło się do bramy. Wszyscy ciągnęli swoje rzeczy, wlekli saneczki i wyruszyli gdzieś w pole. Nie śpieszyłem się

specjalnie. Szedłem trzymając się już razem z Kapaczyńskim i Michalowskim. Dołączył się także mój kolega z 8 pułku, Leon Ławciewicz, i jeszcze było z nami dwu czy trzech oficerów, między innymi znalazł się tu Stas Osiński. Więc powiedziałam: "My się nie śpieszymy, bo nie wiadomo gdzie ta cała kolumna póleci. Polecą pewnie jak najprędzej, a my sobie poszekajemy, jak to się wszystko rozegdzie. Kiedy pójdziemy sobie do wsi, tutaj zaraz obok majątku i skombinujemy jakieś konie". Rzeczywiście, zaszliśmy do jakiejś większej chałupy. Niemcy tam byli przerażeni, więc uspokoiłem ich, żeby nic się nie denerwowali. Kapaczyński tu pięknie rozmawiał z nimi po niemiecku, powodzieliśmy, że jesteśmy głodni, prosimy o jajecznicę, o kawę i chleb, my sobie podjemy i pójdziemy. Po zjedzeniu tak wspaniałego śniadania, myślałem czy nie wrócić z powrotem do majątku i nie skombinować tam koni i dobrego zaprzęgu. No ale tam zaczęła się strzelanina, gdzieś koło tego pałacu, więc prawdopodobnie Niemcy się bronili i nie chcieli się bolszewikom poddać. Zrezygnowałem więc z tego projektu, i już nie pamiętam, czy u tego naszego gospodarza, czy u sąsiada, wzięliśmy porządną bryczkę, załadowaliśmy wszystko i pojechaliśmy w kierunku wschodnia. Niedaleko jednak ujechaliśmy, bo jeszcze tutaj na terenie wsi spotkaliśmy pułkownika Tarnowskiego (pułkownika "saligórę") który był w Powstaniu dowódcą obwodu wola. Siedziałem, że był on poważnie chory i z trudem szedł przy pomocy kolegi. No więc oczywiście zatrzymaliśmy się, oddaliśmy mu naszego konia i brykę. Sami wróciliśmy znów do tych chałup do tej wsi i skombinowaliśmy zwykły wóz, zaprzęgniemy w parę koni i załadowawszy się pojechaliśmy sobie dalej. Ujechaliśmy kilka kilometrów, ale zaczął się już robić srok, zaciemniała się noc, więc nie było sensu jechać dalej. Zatrzymaliśmy się więc w osobno stojącym gospodarstwie, ale tam już pełno było naszych oficerów. Zresztą był to bodaj że jakiś punkt opatrunkowy, więc znaleźli się tu lekarze i robiono



ranany opatrunki. więc myślny wleźli do jakiegoś stodoły, postawiliśmy konie w jakimś chlewie, daliśmy im jeść a w stodole przemocowaliśmy, mano zaprzęgliśmy konie i ruszyli dalej. Pierwszą moją myślą było to, żeby się odłączyć od tej całej kolumny jeńców wędrujących w kierunku wschodnia. Obawiałem się takiej wędrowki razem ze wszystkimi, bo nie wiedziałem, co z nami zrobią bolszewicy. Nie wiedziałem też, jak ewentualnie ustosunkują się Niemcy, bo przecież te czolgi bolszewickie to mogły być tylko wypadki pierwszej strąty i mogły się cofnąć, a tu gdzieś mogła być jeszcze armia niemiecka, która mogła nas zagarnąć. Na taką dużą kolumnę zwrócono by uwagę, no i wiedziałem, że tam zawsze znajdą się wozowicze, którzy będą chcieli z całej tej kolumny stworzyć wojsko, prowadzić je marszem i tak dalej, a uważałem, że tego trzeba uniknąć. Te moje zdanie podzielali również ci moi koledzy, którzy razem ze mną jechali. Odłączyliśmy się więc od spotkanych oficerów, zoboczyliśmy w całkiem bocznej drodze i jechaliśmy raczej w kierunku południowym. Tys bardziej, że zamierzałem jechać nie do Warszawy, bo nie wiedziałem, jaka tam jest sytuacja strategiczna, musiałem zainterować przede wszystkim do Częstochowy, żeby spotkać żonę. Będąc jeszcze w obozie, i szykując się do tej wędrowki, wykombinowałem sobie mapę tych terenów i na tej mapie wyznaczyliśmy sobie teraz kierunek naszej trasy, omijając większe miasta, ponieważ obawialiśmy się, że tam jeszcze może nas spotkać jakaś przykra niespodzianka. Chodziło o to, żeby jechać jakimiś bocznymi drogami, no i w kierunku najkorzystniejszym dla mnie - na Częstochowę. Musieliśmy przede wszystkim jechać w kierunku Arzyża, gdyż liczyliśmy, że tam uda się nam przeprawić przez Notec. Nie wiedzieliśmy, czy tu są jakieś mosty i czy uda nam się przez lód przejechać, bo nie wiadomo było czy wytrzyma naszą furę, konie i czy będzie dostatecznie mocny. Chodziło o to, żeby się trzymać kierunku południowego, względnie południo-

wo-wschodniego. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, czy pojedziemy na Poznań, czy będziemy starali się go również ominąć. To miało zależeć od sytuacji, którą będziemy po drodze spotykać. Nie spieszyliśmy się zupełnie, ponieważ zależało nam na tym, żeby przede wszystkim ta główna kolumna oderwała się od nas. Niech by sobie szli naprzód, wtedy przekonamy się, co się tam z nimi stanie, a my tymczasem pojedziemy sobie sami, to też zjechałiśmy w kierunku południowym. Jazda była ciężka, bo było dużo śniegu, więc nie mogliśmy nawet zbyt szybko pośpieszać. I tak sobie jechaliśmy całkiem spokojnie, nie napotykać po drodze na nikogo. Przejżdżaliśmy tylko przez majątki i wsie niemieckie, całkowicie opuszczone przez niemieckich. Jakoś to dziwnie wyglądało, bo po całej wsi leżało masę najrozmaitszego inwentarza domowego, więc konie, krowy, świnie, owce, ponieważ ludzie, uciekając, nie mogli tego oczywiście zabrać ze sobą i puścili luzem. Nasze to więc i szukało sobie jakiegoś pokarmu. Cuiuslibet równieś gdzieś od strony południowej Woldenberg. Nie chcieliśmy wracać na teren obozu, bo też nie wiedzieliśmy, co tam się dzieje. Wiedzieliśmy, że zostało tam jeszcze sporo naszych oficerów, którzy nie czuli się na siłach maszerować, słabszym, a zresztą i tych, którzy liczyli, że może pozostanie w obozie będzie dla nich znacznie korzystniejsze. Jednego z takich kolegów później spotkałem i on opowiadał, że tam przyszli bolszewicy i wszystkich ich bez żadnej kwestii zwolnili. Myśmy tymczasem jechali dalej i nie pamiętam już, trzeciego czy czwartego dnia, zajechaliśmy na przedmieście miasta Krzyża. Zatrzymaliśmy się tutaj na noc, w budynku drużnika kolejowego, tuż przy torze. Nie zastaliśmy tu nikogo, budynki były całkiem opuszczone przez gospodarzy. Dużo było natomiast różnego rodzaju drobia. Nie było za to innego inwentarza domowego, oprócz psa, przywiązanego do budynku gospodarczego na łańcuchu. No i urządziliśmy sobie tu wspaniałą ucztę, ponieważ zabr-



liśny indyka, kurę i gęś i z tego wszystkiego razem ugottonaliśmy sobie wspaniały rozół. No więc pożyliśmy się pierwszorzędnie. Spaliśmy pierwszy raz w miękkich, porządnych łózkach, w czystej pościeli. Było trochę kłopotu z tym psem, ponieważ nie dał zupełnie do siebie podejść, a nie mogliśmy przecież zostawić go na ławusku. W końcu jakiś jednak udało nam się go odczepić i sobie gdzieś popędził. Rano ruszyliśmy dalej i tu już przy moście przez Notec wpadliśmy znowu w sam środek fali wędrującej kolumny jahoów. Musieliśmy jednak przekroczyć most i nie mogliśmy od tej kolumny na razie się odłączyć. Jakiś starszy oficer kazał nam się nie odłączać już od niej, no ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Gdy zobaczyliśmy pierwszą boczną drogę w kierunku południowym, to tam zaraz skręciliśmy i pojednaliśmy dalej sami. Nikt nas tu już nie ruszał i nie zaczepiał. Należało się jechać razem z nimi, bo przecież wiedziałem, że taka kolumna musi zwrócić na siebie uwagę, czy to napotkanych gdzieś jeszcze Niemców, co już było raczej wątpliwe, czy też bolszewików. Nie wiedziałem przecież, jak się bolszewicy do tej małej oficerów ustosunkują, czy nie zechcą z nas zrobić drugiego katynia, czy czegoś w tym rodzaju i z tego względu wolałem żebyśmy jechali zupełnie osobno - łatwiej nam samym gdzieś się przesknąć, niż w takiej masie ludzkiej. Trzeba tu jednak stwierdzić, że i taka nasza jazda była bardzo ryzykowna, bo jadąc na południe jechaliśmy wzdłuż frontu bolszewicko-niemieckiego, więc mogliśmy natrafić czy to na jakieś oddziały Niemców, cofających się, czy też na oddziały bolszewickie, względnie takich czy innych maruderów, którzy nie wiadomo co by z nami zrobili. Oni byli uzbrojeni, a my żadnej broni nie mieliśmy, więc byliśmy bezbronni. No i rzeczywiście w jednej ze wsi mieliśmy takie złasienne zdarzenie. A mianowicie wjechaliśmy do tej wsi, pełnej łazącego po ulicach wioski ławentara, biegną-

cych koni, krów, świń i tak dalej, tak że wolniutko jechaliśmy naszymi wozami, gdy w pewnym momencie z za chałupy wyszło dwóch bolszewików w narzuconych na ramiona płaszczach, którzy nas zatrzymali i pytali, kto my, skąd i po co jedziemy. Mówiąc dobrze po rosyjsku rozmawiałem z nimi i wytłumaczyłem, że jesteśmy jeńcami, zostaliśmy zwolnieni przez Armię Czerwoną i wracamy teraz do domu. Wtedy jeden z nich pyta się mnie "a czy macie zegarki?" "A czas jest u was?". No więc ja uśmiechnąłem się spokojnie i powiedziałem "skądże, jakież czasy przecież jesteście podoficerami, byliście w obozie niemieckim, więc Niemcy nam podbierali wszystkie zegarki i w ogóle było tam ciężko no a teraz jedziemy do domu". Odchylił on wtedy płaszcz i zobaczyłem, że za pasem tkwią dwa rewolwery. Położył rękę na nich i powiedział: "a jeśli najdu?" to znaczy "a jeśli znajdu?". Spokojnie mu wtedy odpowiedziałem: "no, iszczy". Następnie on spojrzął na swego kolegę, wachnął rękę i powiedział, żebyśmy jechali dalej. To było takie trochę nieprzewidywalne zdarzenie, ale całe szczęście minęło dla nas szczęśliwie. W ten sposób jechaliśmy dalej, ale wkrótce, gdy dojeżdżaliśmy do jakiegoś bezimiennej, czy linii kolejowej, rozdzielił się. Jeszcze przedtem musieliśmy porzucić nasz wóz i zaprzęgnąć konie w dwoje sanie. W jednym zaprzęgu jechałem ja z Michałowskim, Ławciewiczem i takim Stanisławem Kowickim, oficerem z Komendy Głównej, a w drugim - Kapaczyński, Cielecki i jeszcze ktoś. Oni stwierdzili, że chcąc jak najszybciej dostać się do domu, to znaczy Kapaczyński do Warszawy, bo wiedział, że tam gdzieś jest chyba jego żona. Cielecki powiedział, że będzie jak najprędzej dążył do Częstochowy, bo tam jest jego żona, więc na najbliższej stacji kolejowej przesiadnie się na pociąg i nią dojedzie prędzej niż takim konikiem. Postanowili więc razem z Kapaczyńskim odizolować się od nas, skręcili i pojechali z powrotem w kierunku linii kolejowej Poznań-



-Szczecin. Liczyli, że złapią jakiś pociąg. No a my we czwórkę pojechaliśmy dalej i skrótce dotarliśmy gdzieś po południu do Wroniek. Przedtem jednak musieliśmy nasze sanie znów zamieścić na brykę, dlatego że nastąpiła odwilż, śnieg stopniał i trudno było już jechać sankami. Wyfasowaliśmy więc jakąś brykę, zaprzęgliśmy swojego konika i tak jechaliśmy dalej. Do Wroniek dotarliśmy zupełnie świadomie. Chodziło nam o przekroczenie warty, bo nie wiedzieliśmy, czy gdzie indziej po drodze znajdziemy most i czy uda się po stosunkowo już cienkim lodzie przedostać się na drugą stronę. We Wronkach jednak zastaliśmy most wywołany w powietrze i trzeba było jednak ryzykować przedostanie się na drugi brzeg po lodzie. Byli tu już ludzie miejscowi, Polacy, bo była to już granica dawnej Polski. Oni nie uciekali na Zachód. Powiedzieli nam, że tu po lodzie ludzie jeżdżą, i wiedzieliśmy nawet na nią utarty szlak. W każdym razie zachowaliśmy tutaj daleko posuniętą ostrożność, a wiadomości najpierw na takiej długiej linie przeprowadziliśmy konia, idąc daleko od niego, aby zaniejść ciężej, a potem na linie przeciągnęliśmy naszą brykę do drugiego brzegu, tak że przeprawiliśmy się całkiem szczęśliwie. Za Wronkami jechaliśmy już zupełnie spokojnie na Szamotły. Zupełnie świadomie chcieliśmy teraz dojechać do więzkiego miasta, bo kolega nasz, Stanisław Nowicki, przeziębził się, silnie się rozchorował, miał dużą gorączkę, więc nie można było ryzykować wieść go dalej bryką, a trzeba było poradzić się lekarza. Przybyliśmy więc do Szamotul. Tam już było o tyle spokojnie, że nie było ani Niemców ani bolszewików, więc pierwsza rzecz pojechaliśmy do szpitala. Dostałem się tam do dyrektora szpitala, lekarza i rozmówiłem się z nim. Powiedział mi, że jest tam jeszcze i wracamy z Goldenbergu, że jesteśmy powstańcami warszawskimi, a kolega nasz się rozchorował i chodzi o to, żeby go uleżosć w tym szpitalu, bez żadnych

trudności to nam się udało, jakoś go ulokowaliśmy, choć nie wiem pod jakim nazwiskiem, bo widać było, że lekarze trochę się bali tej naszej kombinacji. No ale nie było na to rady, musieli nam przyjąć z pomocą. Umieściliśmy więc Stasia w szpitalu i pożegnaliśmy się z nim. Został on tam z potem, jak mi wiadomo, dobrnął szczęśliwie do swojej rodziny. Mieliśmy tutaj jeszcze tylko jedno takie zdarzenie, jakkolwiek nie ryzykowne. Było to bodaj jeszcze przed wronkami. Chodziło o to, że gdzieś przed wieczorem dojeżdżaliśmy do jakiejś wsi, aby tam przenocować. Przed tą wsią spotkaliśmy placówkę bolszewicką, składającą się z kilku żołnierzy, którzy okopali się w śniegu. Widać było, że jest to placówka przed jakimś większym oddziałem bolszewickim. Oczywiście zatrzymali nas, wypytali "kto i co" i pozwolili jechać dalej. Gdyśmy wjechali do tej wsi, zobaczyliśmy, że tu pełno jest żołnierzy, a przede wszystkim, że stoi tu większy oddział/pancerny, składający się z całego szeregu ustawionych kolejno dość dużych czołgów. Wolniutko jechaliśmy dalej. Oczywiście od razu sobie pomyśleliśmy, że w tej wsi już się nie zatrzymamy i musimy, jakkolwiek robi się zurek, jechać dalej. Wówczas nagle przed nas wyszedł jakiś major rosyjski jak to się mówi "na śląskich nogach". Było widać, że był w sztok urtnięty. No i również zatrzymał nas i wypytywał "kto i co", a ja mu wytłumaczyłem kto my jesteśmy, ręce do nas wyciągnął i powiedział "no bratoy, to chodźcie do mnie, wypijemy, napijecie się herbaty, odpoczniecie i dopiero pojedziecie dalej". Więc zacząłem mu tłumaczyć, że to jest absolutnie niemożliwe, ponieważ się śpieszymy, no musimy znaleźć jakiś nocleg, a nie możemy tu nocować, gdzie jest tak dużo wojska, więc musimy jechać do następnej wsi. Ale powiedział "no wszystko jedno, musicie iść ze mną, pokażę wam swój czołg". Nie mogliśmy się od tego wykręcić. Wylekliśmy z tej naszej bryczki, a on poprowadził nas do jednego czołgu, stojącego na czele tych kilku innych; był rzeczy-



wisście duży. Popatrzyłem z przodu a tam wykuta były trzy litery "USA".  
Więc domyśliłem się oczywiście że jest to czołg amerykański. No a on  
pokazuje swój czołg i mówi, że jest dowódcą tego oddziału czołgów.  
Ja na to: "oczywiście, ogromny, piękny czołg, ale to jest czołg  
amerykański". On mówi "nie podobnego, to jest czołg rosyjski, ame-  
rykańskie są małe i słabe, nasze tylko są dobre, podobnie jak samo-  
chody". I pokazuje mi taki mały samochód a obok - Dodge amerykański,  
twierząc że Dodge jest rosyjski, a ZIS amerykański. No więc oczy-  
wiście już nie przeczyłem, potaknąłem, że rzeczywiście bardzo pięt-  
ne, i dodałem: "dobrze, że chociaż w ten sposób Amerykanie nam w tym  
zwycięstwie pomagają". Wyciągnął jeszcze z kieszeni butelkę, prze-  
pił do nas, myśmy też pociągnęli wszyscy trzej po kolei, potęgniali-  
śmy się z nim czule i odjechaliśmy. Droga dalej odbywała się, szczęś-  
liwie. wszędzie nas witano życzliwie, wszędzie tu była ludność  
polska. Nie spotykaliśmy już Niemców. Widzieliśmy jedynie ucieki-  
nierów, wracających gdzieś z Niemiec do domu. Na ogół czuli się  
szczęśliwie, różnie jeźdźli i wydrowali. Biedne były tylko kobiety,  
które - jak się nam zwierzały - były zrozpaczone, bo prawie wszyst-  
kie bez wyjątku gwałcone były przez żołnierzy bolszewickich. Któ-  
regoś dnia, gdy byliśmy już niedaleko Częstochowy, zatrzymaliśmy  
się na chwilę, ponieważ zbliżał się już wieczór i chcieliśmy prze-  
nocować, aby w godzinach rannych przyjechać do miasta. Ruszyliśmy  
następnego dnia rano i chyba po godzinie jazdy tą naszą bryczką  
zbliżaliśmy się, drogą czystą już od śniegu, do Częstochowy. Z od-  
dali zobaczyliśmy wieże klasztoru częstochowskiego. Tutaj od razu  
przypomniała mi się oczywiście "Trylogia", jak to Kmicie podjeżdżał  
do Częstochowy, uciął i siedział i, prosząc Boga o szczęśliwą dal-  
szą jazdę. Myśmy się tu nie modlili, nie zatrzymywaliśmy się, ale  
przypomniałem wtedy kolegom ten urywek "Trylogii". No i westchnę-  
liśmy sobie oby i nasza dalsza jazda była szczęśliwa i abyśmy

wszystko poważnie zastali w domu. Nie obyło się jednak jeszcze bez bardzo przykraj przygody. Mianowicie, kiedyśmy już jechali przedmieście Częstochowy, gdzie od strony zachodniej było już dużo ludzi. Jechaliśmy środkiem ulicy, bo po bokach było straszne cłoto. W pewnym momencie jakaś kobieta zatrzymała nas i powiedziała: "panowie, nie jedźcie dalej, dlatego że od wczoraj bolszewicy postawili straż na rogatce, wszystkich zatrzymują, rewidują, odbierają różne rzeczy ucieskinierom, więc i was może to samo spotkać". Nie uśluhaliśmy jej, ponieważ przecież nieraz już spotykaliśmy różnych bolszewików, nieraz nawet przyszło nocować razem z nimi w jakichś chałupach i nigdy właściwie żadna przykreść nas nie spotkała. Więc nie przypuszczaliśmy, że tutaj może się na coś stać. Na chogo okręgać bocznymi uliczkami spokojnie pojechaliśmy dalej, zmierzaliśmy wprost do śródmieścia do kasynów i dobrych analognych Stasia Michalewskiego. Tam mieliśmy się zatrzymać pewien czas i ewentualnie sprzedać konia i bryczkę, aby zdobyć trochę pieniędzy. Podjeżdżaliśmy do tej utworzonej przez bolszewików rogatki. Zobaczyliśmy całą noc wozów ciężarowych już zatrzymanych. Zjechałem troszeczkę w bok i tak boczkami chciałem przejechać wolniutko, nie zwracając na siebie uwagi. Niestety, jakiś żołnierz zobaczył nas i krzyknął "Stój, stój, pojeżdżaj siuda". No więc musiałem zawrócić i podjechać do niego. "czak mi wejść do budynku, wchodząc do niego zobaczyłem takie przykre strona sceny, idące do piwnicy, i domyśliłem się, że tam może być jakiś meszt. Wszedłem do tego pokoju, do którego mnie skierowano. Przy stole zastaliśmy siedzących dwu oficerów bolszewickich. Na stole stały różne zakąski, kiełbasa, ogórki, no i butelka wódki do połowy już wypita, więc wiedziałem, że są już dobrze pod gazem. Pytali mnie "co i kto", więc im wytłumaczyłem, że jedziemy z obozu no i do domu, do Częstochowy. Częściowo uwierzył, ale powiedział,



że musi sprawdzić dokumenty i zobaczyć co ma ze sobą wieziony. Wy-  
tłuszczyłem mu, że my dokumentów nie mamy, pokazałem mu numerek obo-  
zowy, i powiedziałem, że przecież Niemcy zabrali nam wszystkie do-  
kumenty. Na to on machnął ręką, ale chciał koniecznie zrobić rewizję.  
Zawołałem kolegów, no i przede wszystkim otworzyłem swoją walizkę,  
aby ją rewidował. Otworzył walizkę, byle jak przejrzał. Miałem tam  
jednak kilka kawałków wspaniałego amerykańskiego mydła, którego w  
obozie nie używaliśmy, i wysłałem że przywiozł je do domu, bo tu na  
pewno dobrego mydła nie będzie. To mydło bardzo mi się podobało,  
więc mu zaproponowałem, żeby sobie wziął jeden czy dwa kawałki.  
Oburzył się, że on tu żadnej łapówki nie przyjmuje. Mówię, że tu  
nie chodzi o żadną łapówkę, ale przecież są naszymi przyjaciółmi,  
którzy nas uwolnili od Niemców, są naszymi sojusznikami, jest to  
wprost jest taki koleżeński prezent. Wziął wówczas sobie ze dwa ka-  
wałki i przestał mnie rewidować i nie rewidował już moich kolegów;  
powiedział wreszcie: "możecie już sobie iść dalej". "Jak to iść" -  
pytam - "będziecie jechać". "Nie" - powiada - konia i bryczkę on  
zatrzyma, bo to nie nasze, bo przecież w obozie nie mieliśmy konia  
i bryczki, a to jest "trofiejno", jak się wyraził, na Niemcach.  
Mówiłem, że nie, że to nam dali Polacy, ale powiedział, żeby mi  
głowy nie zawracał, że to bryczka niemiecka. Mówię, że są to tereny  
polskie, więc więcej jest takich bryczek. Wtedy powiada, żeby mi  
nie przeszkadzało, bo chyba widziałem jakie tam ścieżki prowadzą  
na dół, to mogę posiedzieć, a może i dalej gdzieś pojechać. Przyznam,  
że tutaj się trochę nastraszyłem tego interesu. Zebrałem swoje ma-  
natki, koledzy tak samo i wróciliśmy. Spakowaliśmy wszystko tak, aby  
można było to nieść w rękach lub na plecach, no i zostawiliśmy tę  
bryczkę, którą oni zabrali gdzieś do budynków gospodarczych. Szli-  
śmy na piechotę, było straszne błoto, ale dostaliśmy się jakoś do

podalejskiego folwarku tych kuzynów, czy znajomych, Michałowskiego. Tam się wszyscy nami ucieszyli. Nakazali nas, umyliśmy się porządnie, a ja popędziłem jak najprędzej do żony, jakkolwiek było już dobrze po południu, a uprzedzono mnie, że wieczorami po nocie chodźcie jest niebezpiecznie. Nie zwracałem jednak na to uwagi, ponieważ pilnie mi było do żony dowiedzieć się, co się z nią dzieje i jak ona się czuje. Szedłem do Ordonów, bo miałem dokładny ich adres. Ucieszyli się bardzo, bo byli tu i obydwaj chłopcy, którzy u nas mieszkali, ale niestety nie zastałem już żony. Powiedzieli mi, że właśnie przed dwoma dniami wyjechała. Gdy ruszyły już koleje, żona korzystając z tego, że jechał do Warszawy pociągami brat pana Ordona, który był konduktorem kolejowym, pojechała razem z nim do Warszawy. Właściwie do Miłanówka, bo tam właśnie już mieszkał jej brat, Mieczysław. Zmartwiłem się tym bardzo, bo ale trudno, na to nic nie można było poradzić. Ale tu od razu przy okazji dowiedziałem się, że żona się już skomunikowała z rodziną. Że jest i drugi brat, który mieszka gdzieś w Jędrzejewskiem, razem z żoną, którą zresztą tam bardzo ciężko chorowała. Znalazła się również i siostra żony Julia, która była w jakimś folwarku tuż pod Warszawą. Tylko że żona nie miała absolutnie żadnej wiadomości o synu, co mnie bardzo zmartwiło, ponieważ liczyłem jednak, że będąc w Częstochowie jakoś przez Czerwony Krzyż nawiąże z nim jakąś łączność, wglądnie dowie się, gdzie on jest i co się z nią dzieje. Ordonowie od razu zaprosili mnie do siebie. Przenieśliem się więc do nich. Ubrali mnie już całkiem po cywilnemu i zacząłem myśleć o tym, aby zdobyć jakiś dokument i jak najprędzej wyruszyć do Warszawy. Szedłem na drugi, czy trzeci dzień pobytu u Ordonów w starostwie miejscim dostałem takie zaświadczenie na podstawie mojego numeru obozowego. Było to zaświadczenie, że byłem jeńcem wojennym, że powracam z obozu jeniec-



kiego, jestem chwilowo w Częstochowie i idę do Warszawy. Liczyłem, że takie zaświadczenie zawsze może mi być pomocne, bo będę miał się już czym wylegitymować. No i teraz z niecierpliwością oczekiwałem na możliwość wyruszenia dalej, do Milanówka, żeby się znaleźć razem z żoną. Kolega mój Lawcewicz też znalazł jakichś znajomych w Częstochowie i przebywał jakiś czas u nich, a później wyjechał już pociągami do Gdańska czy Gdyni, bo tam była jego rodzina. Natomiast my razem ze Stasiek Michałowskiem zabraliśmy się pociągami, przy pomocy brata pana Orzona, który nas wadził do wagonu. Całkiem szczęśliwie dojechaliśmy do Milanówka, a Michałowski wysiadł w Grodzisku bo stamtąd mógł się dostać do Leśnej Podkowy, gdzie była jego żona z synem.

#### Na gruzach życia

Żonę zastałem w dobrym stanie. Przeżyła ona różne ciężkie i przykre koleje losu, ale jakoś szczęśliwie w końcu dostała się do Milanówka. Nie mogła już pozostawać w Częstochowie, bo przykre jej było siedzieć tak dłużej na łaskawym chlebie u Orzonów, bo i stosunki z tego powodu zaczynały się psuć z panią Orzonową, bo rzeczyscie, siedzenie u kogoś w ciasnym mieszkaniu nie należało do przyjemności. Dlatego też wyjechała do Milanówka, aczkolwiek spodziewała się mojego przyjazdu do Częstochowy. Po przyjeździe tutaj ulokowała się u swego brata, a swojego szwagra, Mieczysława, no i tu oczekiwała mojego powrotu, spodziewała się <sup>do</sup> przybycia do Częstochowy i dowiedzeniu się, że już wyjechała - przyjadę tutaj. Tak też się i stało.

Żonie udało się uratować trochę naszych zapasów finansowych, a także wspaniałe futro karakulowe, no więc pod tym względem było całkiem możliwe i mieliśmy z czego żyć. S każdym razie na początku, mieliśmy trochę gotówki, a ja przywoziłem swoje pieniądze,

2

które miałem, oraz te dolary, uratowane w Woldenbergu, w które nas zaopatrzone przy wyjściu z Warszawy po Powstaniu. Swagra mojego, Mieczysław, nie został wówczas w Milanówku. Był on już wtedy w Warszawie, dlatego że wraz ze swoim przyjacielem Kozłowskiem, którego dom na ulicy Jaworzyńskiej ocalał, stworzyli Spółdzielnię budowlaną z dawnego swojego biura budowlanego z okresu przedwojennego i okupacji. Założyli oni taką spółdzielnię, ponieważ już wówczas nie można było składać żadnych firm prywatnych. Na Jaworzyńskiej dom ocalał całkowicie, tak że swagier dostał tam pięciopokojowe mieszkanie na drugim pięttrze, w którym zamieszkał ze swoim przyjacielem, a swoim kolegą jeszcze z III Korpusu, Antonim Czudowskim i jego rodziną. Tak że cały tydzień był w Warszawie, a na sobotę i niedzielę przyjeżdżał do Milanówka. Warszawa wówczas zaczęła się już odbudowywać, więc spółdzielnia budowlana miała bardzo dużo roboty i w ogólnie możliwie im się powodziło.

Moją jedyną myślą, jedynym celem było wtedy znalezienie syna, zdobycie chociaż jakiegokolwiek wiadomości o nim. W tym celu przede wszystkim szukałem w Milanówku różnych swoich dawnych znajomych. No i udało mi się znaleźć Szpakowskiego. Spotkałem kilku innych, ponieważ wielu Warszawiaków wówczas urządziło się jakoś w Milanówku. Był też dość duży szpital, w którym było sporo rannych żołnierzy z Powstania Warszawskiego. Odwiedziłem więc i ten szpital. Pozwolono mi tam przejść przez wszystkie sale. Szukałem tam kogoś z Czerniakowa, ale niestety wszystkie na próżno. Wykładałem, że przede wszystkim muszę teraz pojechać do Warszawy i tam zacząć jakoś szukać, gdzie tylko się da, może coś się dowiedzieć, może znajdę ślad mojego syna. Było to wszystko w końcu lutego lub na początku marca 1945 roku. Przede wszystkim chciałem się dostać do Warszawy. Droga do Warszawy wówczas nie była łatwa. Pociągi szerokotorowe do samej Warszawy nie dochodziły, a tylko do Pruszkowa. Wydestanie się z



Pruszkowa też nie było łatwe. Najprostsza komunikacja odbywała się przez dojeżdżenie piechotą do Leśnej Podkowy, gdzie z Grodziska chodząca dawniejsza KMD, jakkolwiek wagony ciągnięte były przez lokomotywę. Ale i te pociągi nie dochodziły do samej Warszawy. Dojeżdżały tylko do stacji Szczęśliwice, czy gdzieś tam, a stamtąd trzeba było już iść na piechotę. Warszawa przedstawiała wówczas straszny widok i robiła okropne wrażenie. Było to właściwie jedno zwalisko gruzów. Całe dzielnice, gdzie nie było zniszczeń z powodu bombardowania niemieckiego w okresie Powstania, zostały przez Niemców wypalone. Wypalona na przykład została cała Ochota, jak również cała Kolonia Łubeckiego i jeszcze inne dzielnice. Dość duże zniszczenia, choć znacznie mniejsze, były w Śródmieściu i na Żoliborzu. Najlepiej wyglądała Praga, bo tam przecież nie było zupełnie działań powstańczych. Będówka po Warszawie była bardzo trudna, dlatego że tylko częściowo i nie wszystkie ulice zostały na jezdniach oczyszczone, więc zwaly gruzu leżały na chodnikach. Zawalone były całkowicie niektóre ulice, więc przejście było utrudnione. Tę nieaniej ruch był duży. Dużo ludzi szło z tobozami, widać było że wielu do Warszawy powraca, no i jakos zaczynało się życie, zaczynała się odbudowa Warszawy. Nie będę tutaj o tym opowiadał, ponieważ o całym budzący się życiu w Warszawie, o jej odbudowie, napisano dużo najrozmaitszych książek, bardzo dużo jest różnych zdjęć fotograficznych, no więc o tym można łatwo się dowiedzieć. Tym bardziej, że władze bardzo się chwalały tą odbudową, tym ogromnym poświęceniem przy jej odbudowie, właśnie przede wszystkim czynników państwowych. Prześadnie opowiadają także o tej wielkiej pomocy w tym zakresie ze strony Związku Radzieckiego.

Ja przede wszystkim poleciałem na Jaworzyńską, żeby się zobaczyć ze szwagrem Mieczysławem, a następnie poszedłem na Nowogrodzką, aby

zobaczyć, co się dzieje z naszym mieszkaniem. No i zobaczyłem, że dom jest całkowicie wypalony. Następnie poszedłem na Wiejską, tam gdzieś poprzednio mieszkali, no i tu znowu zastałem tylko jedną kupę gruzów, tak że śladu domu właściwie nie było w ten sposób wszystko, cały mój dobytek, został całkowicie zniszczony i zostaliśmy z żoną właściwie, tak jak stołaj, nie licząc naturalnie tych zapasów, które żonie udało się wynieść i mieć przy sobie. Poszedłem również na Pragę. Odwiedziłem tam na ulicy Grochowskiej Gąsowskich. Zastałem tam ich oboje i oczywiście swoją bratową, żonę Stanisławę, i jej brata - Pawła. Wszyscy oni szczęśliwie jakoś ocalili, no i zostali w całości swoje mieszkanie. Tam się ulokowali razem z siostrami Gąsowskiego. Następnie byłem w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych, gdzie mieścili się wszystkie instytucje to znaczy ministerstwa i władze państwowe, które już przeniosły się w tym czasie z Lublina do Warszawy. Na Pragę nie było trudno się przedostać, ponieważ bolszewicy wybudowali most pontonowy i komunikacja po nim była całkiem łatwa. Liczyłem na to, że może na terenie tych Ministerstw spotkam znajomych, a przede wszystkim wiedziałem, że sporo tam pracuje dawnych oficerów, którzy wrócili już z niewoli niemieckiej. Myślałem, że spotkam kogoś i może coś się dowiem lub spotkam któregoś z Powstańców z terenu czerniakowskiego. No i cokolwiek się dowiem o synu. Niestety żadnych wiadomości tam nie uzyskałem i musiałem powrócić do Milanówka. Takie podróże do Warszawy odbywałem kilkakrotnie. Musiałem jeździć, musiałem szukać syna, nie dawało mi to spokoju, że nie ma od niego żadnej wiadomości. No i dla ułatwienia poszukiwań przenieśliśmy się w końcu do Warszawy. Zamieszkaliśmy w jednym z pokoiów na ulicy Jaworzyńskiej, w mieszkaniu mojego szwagra. Jeszcze przedtem spotkałem w Milanówku dobrych znajomych Ketzarów, od których się dowiedziałem, że Ketzar jest



obecnie w szpitalu w Lublinie, że żona jego Hanka przyjeżdżała do Warszawy. Od niej dowiedzieli się, że był on poważnie chory, bo był przecież ciężko ranny w czasie powstania, jednakże ogólny stan jego zdrowia się poprawia. Oświeca go tam jego brat Stanisław, który ze swoją rodziną mieszka w folwarczku Cholewy, stanowiącym ich własność, a znajdującym się niedaleko Stonia. No więc i tam pojechałem jeszcze, na rewersie, z Miłanówka, ponieważ myślałem, że może tam się czegoś dowiedzieć. Nie zastałem Stanisława Netzera, była tylko jego żona, która poinformowała mnie, że on wyjechał parę dni temu właśnie do Lublina i niedługo powróci, więc może coś będzie wiedział. Niewiele na to liczyłem, bo wiedziałem, że to przecież była sprawa niewiele go obchodząca, więc więcej był zajęty zdrowiem brata, niż czymś innym. Tymczasem więc wszystkie moje poszukiwania nie dały żadnego konkretnego rezultatu.

Ponieważ na Jaworzynie było bardzo ciasno, dlatego że masę ludzi tam się zbierało i wiele osób tam nocowało, więc było niewygodnie. Dowiedziałem się, że w otoczeniu mieszkania nadal mój przyjaciel doktor Łuskiwicz. No więc zabrakłem się razem z żoną, pojechaliśmy do nich i tam przez pewien czas też mieszkaliśmy. Stamtąd również jechałem do Warszawy i stale szukałem jakiegoś śladu, lub wiadomości o moim synu. Ponieważ zdawało mi się, że już wyczerpałem wszystkie możliwości i nie mogę sobie tutaj z tym dać rady, postanowiłem pojechać do Lublina, żeby się zobaczyć z Netzerem i czegoś się od niego dowiedzieć, bo syn był przecież u niego na Czerniakowie, więc może coś się dowiedzieć. Poza tym w Lublinie również była skrzetuska, tak zwana "żuczok", która na moją prośbę opiekowała się synem, a w każdym razie obiecywała mi, że będzie mi nim opiekować. Może z nią się zobaczyć, może ona cokolwiek będzie wiedziała. O swoim zamiarze jazdy do Lublina zakomunikowałem któregoś wieczora szwagrowi. Wówczas powiedział mi, że zupełnie nie ma celu jechać

do Lublina, dlatego że on wie dokładnie go się z synem stało. A wiadomości, że syn mój został zabity na Czerniakowie, podczas walk powstańczych. Wiadomość tę otrzymał od Heci Knaplowej, która była w tym czasie w Łowiczu, no i spotkała tam byłego żołnierza z Czerniakowa, który w rozmowie właśnie powiedział jej o tym, pytany zresztą o to, czy tam gdzieś mojego syna nie spotkał. Powiedział, że owszem, spotkał go na Czerniakowie i był akurat przy tym, jak on zginął. Dokładnie powiedział jak to było i gdzie został pochowany. - na takim podwórku na ulicy Zagórnej. Pamiętał to dobrze, nawet narysował taki szkic w którym miejscu był pochowany. Pamiętał również, że był pochowany, oczywiście prowizorycznie, razem jeszcze z innymi kolegą, również tego samego dnia zabitym. Wtedy przy pomocy Kazia Szpakowskiego i Stanisława Michałowskiego udaliśmy się tam na Zagórnią. Łatwo odnaleliśmy to miejsce, gdzie syn był pochowany. Odkopaliśmy go. Zagrzebaliśmy w innym miejscu. Postawiliśmy mu taki prowizoryczny krzyżyk, żeby łatwiej można było znaleźć. Zwróciłam się wówczas do biura pogrzebowego i ustaliłam datę pogrzebu. Dojechałam do Łowicza. Zawiadomiona o tym żoną. No naturalnie było to wszystko bardzo smutne i tragiczne. Przejmowały to oboje ogromnie. Przywiezłam żonę do Warszawy i w oznaczonym terminie odbył się pogrzeb, to znaczy ekshumacja syna. Pogrzebaliśmy go w grobie rodzinnym na Powązkach<sup>x)</sup>. Pogrzeb zorganizowany przez ten Zakład Pogrzebowy odbył się w ten sposób, że chłopakiem wozem przywieźliśmy na Powązki trumnę, zwykłą, sosnową, zbitą z desek, no i tam został złożony do grobu, oczywiście po Mszy Świętej, w obecności księdza. Matkę syna całkowicie mnie zalamano.

A do tego stanu psychicznego przyczyniła się również i ogólna

---

x) Kwatera 251, rząd 4, grób 5,6,7



sytuacja, która wtedy panowała w Polsce i w Warszawie. Była okupacja bolszewicka. Były straszne stosunki. Życie było okropne i ciężkie i nie zanosilo się zupełnie na to, że nastąpi jakkolwiek poprawa. Nie byłem zdolny absolutnie do niczego. Leżałem na Jaworzynskiej na łóżku i czytałem jakieś okropne kryminały. Nawet żadnej poważniejszej książki przeczytać nie byłem w stanie. Mzekoma pomoc, ta mzekoma odbudowa kraju z pomocą Rosji polegała głównie na tym, że pierwsi rzecz bolszewicy wyciągnęli w Warszawie wszystkie przewody telefoniczne i zabrali je. Następnie uruchomili wprawdzie elektrownię warszawską, ale tylko prowizorycznie, podobno stawiając pociąg-elektrownię, zdobyty na Niemczech. No ale w ten sposób w każdym razie Warszawa miała światło elektryczne. A poza tym nastąpiły ogromne aresztowania. Zrobili w Rembertowie taki obóz, gdzie pakowali wszystkich, kogo się tylko dało, gdy tylko podejrzewano kogoś o zły stosunek do związku Radzieckiego, czy też przynależność do jakiegokolwiek wrogiej organizacji, które tu właśnie na gwałt zaczęły się tworzyć. No a przede wszystkim posądzano, że do tych organizacji należą głównie byli oficerowie Armii Krajowej. Obóz rembertowski był wprawdzie dwa-czy trzykrotnie odbity i wszyscy tam znajdujący się zostali uwolnieni, tym niemniej nie dało to żadnych konkretnych rezultatów i terror i prześladowanie całej trwały. Były stale liczne aresztowania.

Tymczasem wojna toczyła się dalej. Alianci na zachodzie po wylądowaniu we Francji posuwali się stosunkowo szybko naprzód, jakkolwiek Niemcy stawiali ten zasępły opór. Brali tam również z walcech oddziały polskie, przede wszystkim polskie lotnictwo, broń pancerna, a między innymi sławną dywizję generała Maczka. Tak samo pożyźnie odbywała się od strony wschodniej ofensywa Armii Czerwonej. Posuwała się dalej stosunkowo szybko. Nie było tu już takiego silnego oporu ze strony armii niemieckiej. Były gdzieś tylko spora-

dyżenne ciężkie bitwy, jak na przykład sławny Wal Pomorski, gdzie Niemcy mocno się bronili, ale na ogół Armia Czerwona posuwała się stosunkowo szybko. Wyglądało to na wyścig armii sojuszniczych prowadzony tak ze strony wschodniej, jak i zachodniej dążących do opanowania jak największego terenu niemieckiego, aby móc potem łatwiej dyktować swoje warunki i łatwiej dojść do porozumienia między sobą. Nie było tu zrozumienia tej szalonej głupoty niemieckiej, bo przecież wydawało się jasno, że armia niemiecka została już zupełnie rozbita i dalszy poważniejszy jej opór jest wykluczony, a Niemcy w końcu muszą i tak kapitulować. Moim zdaniem należało wtedy cofnąć się na zachód, wpuścić jak najprędzej armię angielsko-amerykańską, a tu na wschodzie stawiać jak najcięższy opór, aby nie dopuścić do opanowania swojego kraju i takiego zniszczenia i ruin i doprowadzenia wszystkiego do nędzy. Jednak tak się nie stało i armie posuwały się w tym samym tempie i w rezultacie spotkały się, tak gwałtownie na sobie. Ciężkie stosunkowo walki toczyły się przy zajmowaniu samego Berlina. Były to oczywiście walki Armii Czerwonej z Niemcami. Niemcy jednak tutaj nie wytrzymali i w rezultacie 9 maja 1945 roku nastąpiła kapitulacja niemiecka. Hitler i Goebbels popełnili wtedy samobójstwo. Hermann gdzieś zginął bez śladu, no a pozostali wszyscy dyktatorzy dostali się do niewoli i później byli sądzeni przez sąd w Norymberdze i skazani zostali prawie wszyscy na karę śmierci. Tymczasem bolszewicy na terenach przez siebie zajętych zaczęli oczywiście rządzić się, tworząc tu rzekomo niepodległe państwa, niepodległe rządy, ale obsadzając stanowiska przez swoich ludzi i oczywiście podporządkowując dane państwo całkowicie sobie. Tak samo oczywiście było w Polsce. Zaraz po zajęciu Lublina przez bolszewików został w tym mieście zorganizowany rząd polski, na czele którego stanęli oczywiście polscy komuniści, ludzie niko-



na nie znani, nie wiadomo skąd wzięci. W późnych pisanym przez siebie życiorysach podawali, że byli nadzwyczajnymi ludźmi i całe życie poświęcili walce o niepodległość Polski, ale w rzeczywistości nie chodziło tu o niepodległość, a jedynie wprowadzenie w Polsce bolszewizmu. Ci ludzie więc stanęli na czele tego rządu polskiego. Prezydentem mianował się jakiś Bierut, osobistość nikomu nie znana. Premierem został Cieszkowski. No o tym trochę było wiadomo. Był on jeszcze przed wojną w Warszawie, z zawodu inżynier budowlany, pracujący w jakiejś spółce budowlanej. Utworzona tu również została taka namiastka Sejmu, nazwana Krajową Radą Narodową. Wszystko to po zajęciu przez bolszewików Warszawy zjechało tutaj do Stolicy. Bierut ulokował się w nieznanym Belwedrze, a wszystkie ministerstwa na Pradze, jak wspominałem, w gmachu DOKP (w Dyrekcji Czynowej Polskich Kolei Państwowych), no i tam odbywało się urzędowanie zgrupowanych w jednym lokalu ministerstw. Krajowa Rada Narodowa miała za siedzibę dawne kino "Koma" na ulicy Nowogrodzkiej, naprzeciwko Banku Rolnego. Był to gmach należący do Kurii Biskupiej, ale oni to zajęli z niczym się oczywiście nie licząc. W terenie tworzyły się starostwa powiatowe, gminy - niby ten sam układ administracyjny, co przed wojną. W miastach również na wzór przedwojenny tworzyły się starostwa grodzkie. Znaczenie już później, na skutek układów Jaltańskich było ustanowione, że chwilowo będzie utworzony Rząd Tymczasowy w kraju, natomiast z Londynu przyjadą przedstawiciele rządu londyńskiego, po czym zostaną przeprowadzone wybory powszechne, na podstawie których utworzy się nowy rząd, nowe kierownictwo państwa. No i rzeczywiście po pewnym czasie zjechał premier rządu londyńskiego Sikorski, utworzył tutaj takie stronnictwo ludowe, którego zresztą od początku był członkiem. Przyjechało z nim wówczas szereg polskich działaczy politycznych. Od razu

zaczęły powstawać różne stronnictwa i partie. Zasadniczą partią była jednak komunistyczna partia, tak zwana PPR (Polska Partia Robotnicza), która właśnie opierała się na tych ludziach, którzy przyjechali z Rosji i byli zatwierdzeni przez bolszewików. Partia ta miała nieograniczoną władzę. Oni zasadniczo tworzyli ten tryon rządzący, oni w całości obsadzali Radę Narodową, zajmowali wszystkie stanowiska, od najwyższych do najniższych, wprowadzając wszędzie ustrój komunistyczny. Nie było Sejmu, nie było prądu żadnej opozycji, mogli robić, co im się podobało, bez żadnych ograniczeń w całym kraju wprowadzali ustrój bolszewicki. W dawnej Polsce nie było zasadniczo prawie komunistów, więc teraz do Polskiej Partii Robotniczej weszli przede wszystkim ludzie, którzy zostali przysłani z Rosji. Byli to ci, którzy chcieli zrobić karierę, ponieważ tu można było objąć od razu dobre posady i stanowiska. Do PPR i do władz pchali się w pierwszym rzędzie Żydzi, którzy siedzieli na najwyższych stanowiskach, gdzie było ich pełno. Do drugiej partii należałoby zaliczyć Polską Partię Socjalistyczną, opartą na działaczach przedwojennych. No tutaj partia powiększała się stosunkowo dość szybko, ponieważ wielu ludzi, przede wszystkim ziemiaństwo, następnie urzędnicy i ludzie, którzy chcieli się zabezpieczyć, zapisywali się do niej, licząc na to, że jak będą należeli do PPR, to nie zostaną zamordowani do należenia do PPR. I na tym się później w przyszłości ogromnie zawiedli, ponieważ potem nastąpiło przymusowe zjednoczenie tych partii. Wielu ludzi wyrzucono w ogóle z PPR, no a pozostali musieli się podporządkować PPR i utworzyła się wówczas Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która rządzi Polską do dziś dnia. Do następnego stronnictwa, nie mniej licznego niż PPR, należało Stronnictwo Ludowe, na czele którego stał Nikołajczyk. Tu przede wszystkim garnęła się wieś. Tu przede wszystkim działał Wincenty Witos i ta partia była stosunkowo liczna i reprezentowała dość duży odłam



społeczeństwa. Jazdka mogę tu wymieniać Stronnictwo Demokratyczne. To był jakiś taki niezrozumiały dla mnie twór, dlatego że nie wchodziła tutaj prawica i nie reprezentowało ono prawicowego odłamku społeczeństwa w Polsce, a właściwie tylko afiszczan i rzemieślników. Te wymienione stronnictwa były legalne i zatwierdzone przez władze państwowe, jednakże śaden z działaczy niczyja się nie wyróżniał, dlatego że gdy tylko zaczynał działać bardziej energicznie lub występował przeciwko Polskiej Partii Robotniczej, a potem PZPR, to był aresztowany. Wszyscy siedzieli jak mysz pod miotłą i żadnej działalności politycznej, jawnej, otwartej nie odczuwało się w kraju zupełnie. Nie było żadnego stronnictwa prawicowego. Przestała istnieć Chrześcijańska Demokracja i Narodowe Stronnictwo Demokratyczne, dlatego że ci w ogóle nie mogli się ujawnić, ponieważ aresztowane by ich, więc nikt do swoich poglądów prawicowych się nie przyznawał, ponieważ było to bardzo niebezpieczne. Dla jawnej działalności takie stronnictwo musiało być zatwierdzone przez władze państwowe, a o zatwierdzeniu jakiegokolwiek stronnictwa politycznego prawicowego, które by tworzyło opozycję - nie było mowy. W tych warunkach zgodnie z postanowieniem Jaltańskim oczekiwano zebrania pierwszego Sejmu a przedtem głosowania. Wszyscy liczyli, że jednak przy wyborach wejdą do Sejmu różne stronnictwa i powstanie jednak opozycja, która będzie działała i krytykowała a wtedy może te rządy będą nieco łagodniejsze i bardziej sprawiedliwe i realne. Wybory miały się odbyć pod nadzorem komisji alianckich, które miały kontrolować, w jaki sposób będą przeprowadzone. wobec tego liczone, że będą przeprowadzone spokojnie i sprawiedliwie. Jak później w przeszłości się okazało - było zupełnie inaczej. Jednocześnie zaczęły się tworzyć w kraju najgroźniejsze organizacje, przede wszystkim o charakterze wojskowym, które dążyły do obalenia istniejącego ustroju, stworzenia innego i do opanowania władzy w kraju. Były

to najrozmaitsze organizacje, liczniejsze i mniej liczne, nie powiazane absolutnie ze soba, dowolnie operujace tu czy tam w terenie. Zadaniem ich zasadniczo bylo przeprowadzenie najrozmaitszych sabotaży i likwidowanie nieciekawych dygnitarzy, wiec wójtów, obsadzonych w poszczególnych gminach, oraz innych urzadników. Najliczniejsze i najskrajniejsze organizacje to byly organizacje partyzantowe, tworzące sie z byłych członków NZZ (Narodowych Sił Zbrojnych). Nicco później, dopiero utworzyła sie, organizacja wybitnie wojskowa pod nazwą NIA (Wolność i Niepodległość). Na czole tej organizacji stali przede wszystkim oficerowie Armii. Ich zadaniem nie bylo przeprowadzanie żadnych sabotaży i mordowanie poszczególnych dygnitarzy, lecz zorganizowanie i przygotowanie wojska, na wypadek gdy to wojsko będzie potrzebne, wojsko, które wystąpiłoby przeciwko bolszewikom. Jasne ze moglo to mieć powodzenie tylko w tym wypadku, gdyby bylo to poparte przez aliantów, to znaczy gdyby państwa zachodnie udalo się tak czy inaczej zmusić do ustępstw, na rzecz stworzenia naprawdę niepodległej Polski. Minien i ja różne propozycje przyłączenia sie, do nich. Jednakże nie skorzystalem z tego. Uważalem, ze ta cala akcja jest absolutnie bezcelowa, ponieważ zdawalam sobie sprawę z tego, ze skoro bolszewicy tutaj warczyli, to oni już władzy ze swoich rąk nie popuszczą, no i do ustępstwa dopiero można by ich zmusić siłą, a to mogłoby jedynie zrobić państwa zachodnie. Na to sie, jednak absolutnie nie szcześnie. Wojna i tak trwała dość długo i należało marzyć o pokoju i spokoju, więc nie należało sie spodziewać, aby ktorekolwiek z państw zachodnich wystąpiło w obronie Polski i w interesie Polski niepodległej. Wiec uważalem, ze wstępowanie do takiej organizacji, która nie ma nieśladnego widoku powodzenia, jest bezsensowne i bezcelowe. Należąc do tej organizacji człowiek przede wszystkim ogromnie ryzykował, dlatego ze przy każdej okazji mógł być łatwo aresztowany. Zresztą



wszystkie te małe organizacje, swoją działalność ograniczały do wyczynów sabotażowych, ewentualnie likwidacji jakiegoś przedstawiciela bolszewizmu. Utrzymanie się takiej większej organizacji w mieście było bardzo trudne, dlatego że przecież było bardzo rozwinięte szpiegostwo, poprzez bolszewicki system donosicielski, więc przy jakiegokolwiek szerszej działalności taka organizacja byłaby od razu zlikwidowana. Toteż te organizacje zazwyczaj działały na prowincji, a potem musiały nawet wychodzić z miasteczek i wsi i iść do lasów, tworząc partyzantki, które też całkowicie były likwidowane i to likwidowane bezpardonowo. Poza tym nie tak już sami bolszewicy, jak nasz Urząd Bezpieczeństwa, zaczął urządzać w kraju takie "kotły" - blokady mieszkań ludzi podejrzanych. Wpędzanie "kotły" przeprowadzane były w następujący sposób: do podejrzanego mieszkania wkraczało o świcie dwóch lub trzech przedstawicieli tak zwanego Urzędu Bezpieczeństwa, blokowali mieszkanie, tak że absolutnie nikogo z niego nie wypuszczano i zatrzymywano wszystkich do niego wchodzących. W ten sposób w ciągu kilku dni w mieszkaniu mogło się zebrać kilkanaście lub może nawet więcej osób. Wszystkie były przez Urząd Bezpieczeństwa badane, a jeżeli na podstawie tych badań dochodzili do przekonania, że byli oni pod tym, lub innym, względem podejrzani to byli aresztowani. Nikogo jednak nie zwalniano do kompletnego zlikwidowania "kotła". Co się tyczy gospodarza, to najczęściej był on zabierany, bo przecież jego najwięcej podejrzewano, z tej racji, że u niego ten "kocioł" zakładano. "Kotłów" takich w tym okresie było dość dużo. W każdym razie sam znałem kilka takich wypadków. Między innymi był taki "kocioł" u mojego dobrego znajomego pułkownika Gorazdowskiego z dowództwa Armii Krajowej, do którego między innymi wpadł również pułkownik Rzepeski i pułkownik Sanoja. Drugi taki "kocioł" był również u członka Armii Krajowej z Komendy Główn-

nej - Pluty-Czarnowskiego - na ulicy Filtrów. Tam znówu przesiadział coś dwa tygodnie mój przyjaciel Netzer. I wszędzie tam były dokonywane aresztowania. Ci, co siedzieli w takim "kotle", spędzali czas jak mogli, a więc grali w brydża, rozmawiali, a co do wyżywienia, to dawali pieniądze "ubiarzom", którzy wychodzili na miasto i kupowali wszystko, co się u nich obstalo. Czasem się zdarzało, że taki "kocioł" był nieudany. Znała na przykład taki wypadek, że do takiego "kotła" na drugi już dzień przyszła dziewczynka: dziewięć - czy dziesięćletnia. "Ubiarz" otworzył drzwi i spytał, po co przyszła i o co jej chodzi. Powiedziała, że chce odwiedzić "Malgosię, bo jej te dwa czy trzy dni nie było w szkole. No więc powiedział, że jest niezdrowa, więc nie trzeba tutaj przychodzić i głowy zawracać. Ale to się wydało jej podejrzane, więc opowiedziała to koleżankom, a te, powtórzyły to prawdopodobnie w domach i dowiedziały się, że to jest "kocioł". Wówczas po kolei zaczęły tam chodzić i odwiedzać tę Malgosię. No i w ten sposób szeroko się rozniosło po mieście, że tam jest "kocioł", więc spalił on na panewce i musieli go "ubiarze" zlikwidować. Niezależnie od "kotłów" były po tzw. "oswobodzeniu" Polski i Warszawy często stosowane masowe aresztowania. Szczególnie prześladowano byłych oficerów Armii Krajowej. Również aresztowano dużo młodzieży i osadzano ją - o ile chodzi o Warszawę - w sławetnym "Bokotowie" i innych więzieniach. Aresztowania najczęściej odbywało się nie we własnym mieszkaniu, gdzie rewizję przeprowadzano później a delikwenta zabierano wprost z ulicy. Podchodziło do niego dwóch takich "ubiarzy" i wprost mówili mu "pan pozwoli z nami". No i tak człowiek ginął niewiadomo gdzie tak że rodzina nie mogła się o nim nic absolutnie dowiedzieć, bo we wszystkich urzędach odpowiadano, że o nim nic nie wiedzą, że takiego u nich nie ma. Dopiero gdzieś po miesiącu, lub dwóch, rodzina dowiadywała się, że siedzi tu czy tam w więzieniu. Bardzo wielu ludzi



zostało również wywiezionych gdzieś w głąb Rosji i do dnia dzisiejszego jeszcze niektórzy z nich nie powrócili, jakkolwiek taki powrót zaczął się już odbywać po 56 roku. No ale o ile wiadomo to jeszcze na terenie Rosji są jakieś obozy i wielu w nich jest Polaków i AKowców i młodzieży, która była zaangażowana w szeregi Armii Krajowej. A więc u nas panował okropny terror, wszyscy się bali i życie było bardzo ciężkie i trudno było sobie z nim poradzić. Tak wyglądało to tak zwane "oswojowanie", tu tak zwana "wolność".

Moja sytuacja również nie była łatwa. Nie miałem absolutnie żadnych dokumentów, prócz tego numerku z obozu jenieckiego, więc musiałem je sobie wyrobić. Jednocześnie dowiedziałem się, że gdzieś na Bielanach jest takie specjalne biuro dla wszystkich jeńców powracających z niewoli. Któregoś dnia razem ze Stasiem Michałowskim wyraziliśmy się tam. Siedzieliśmy i przeglądaliśmy różne blankiety (leżące na stołach), które każdy powracający z niewoli musiał wypełnić. Zastanawialiśmy się, jak i co napisać, do czego się przyznać, a do czego się nie przyznawać, kiedy w pewnym momencie usłyszeliśmy za sobą głos "witam panów". Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy byłego kapitana z Woldenbergu, który stał tutaj przed nami już w mundurze pułkownika. Znaliśmy już jego bolszewickie poglądy z Woldenbergu, ale nie przypuszczaliśmy, że tu po powrocie tak szybko awansuje. Przywitał się z nami i powiedział, że jest w Komisji Rehabilitacyjnej. My powinniśmy nałęczycie wypełnić blankiety. Powiedział przy tym "jutro o godzinie 8mej niech panowie się stawią przed komisją i załatwią sprawę". Ułatwiło nam to o tyle, że wiedzieliśmy już teraz, że musimy blankiety wypełnić zgodnie z tym, co było, bo przecież ten Olaszewski wiedział dobrze, że przyjechaliśmy po Powstaniu Warszawskim, w stopniu oficerskim, bo byliśmy przecież razem z nim w tym Woldenbergu i tutaj nie można było już nic bujać.

No więc zabraliśmy blankiety i pojechali do domu na ulicę Jaworzyską, aby je wypełnić. Na drugi dzień stawiliśmy się przed tą komisją. Wszystko odbyło się szczęśliwie i ostatecznie przeszło dobrze. Miałem trudności o tyle tylko, że ten pan pułkownik Olszewski nie chciał mi uznać stopnia majora. Powiada, że byłem awansowany gdzieś tam w AK, a oni nie uznają AK, ale może mi uznać stopień kapitana. Kategorycznie się sprzeciwiłem i powiedziałem: "pan mnie nie awansował, więc pan nie może mnie degradować, a jeżeli pan to tłumaczy w ten sposób, że nie mam przy sobie żadnych dokumentów i żadnych dowodów, że zostałem awansowany na majora, to ja w ogóle przecież nie mam żadnych dokumentów i niech pan mnie uzna jako szeregowca". Po pewnym czasie i nareszcie zarejestrował mnie jednak jako majora i wydał jakiś ten kwitek, tak że później z kasy otrzymałem nawet jakąś niewielką sumę pieniędzy. I skończyło się wszystko jakoś szczęśliwie. No ale trzeba było wyrobić sobie jeszcze jakieś dokumenty na co dzień. No bo Komisja Rehabilitacyjna swoją drogą, ale jakiś cywilny dokument swoją drogą. Z tym nie było trudności, ponieważ wówczas starostwa miejskie wydawały wprost zaświadczenia, rodzaj dowodu osobistego. Była to kartka papieru z fotografią, na której były wypisane wszystkie dane osobiste. To wydawano na podstawie zeznania dwóch świadków. Wyrobiłem sobie takie zaświadczenie w starostwie w komisji miejskiej w Milanówku. Tam oczywiście tych świadków znalazłem, no ale sobie na wszelki wypadek dodałem pięć lat, ponieważ myślałem, że takiego starszego człowieka już po pięćdziesiątce, będą bardziej szanować i łatwiej unikną aresztowania. Ale po pewnym czasie namyśliłem się, że to może być dla mnie niekorzystne, że zainicjuję w ten sposób dokument i znowu - tym razem w starostwie grodzkim w Warszawie - wyrobiłem sobie nowy dokument i tu już podałem datę prawidłową. Zainicjuję tylko sobie miejsce urodzenia na Warszawę, ponieważ uważałem, że lepiej mi być urodzonym



w Warszawie, dlatego że nie wiadomo było jak się ustosunkują do tych, którzy urodzili się na terenie Rosji. Niezależnie od tego wszystkiego musiałem jednak gdzieś pracować, coś robić, bo trzeba było zarabiać, ponieważ nasze zasoby się wyczerpywały, więc trzeba było z czegoś żyć, a przede wszystkim mieć jakiś dokument, że jest się gdzieś zatrudnionym, dlatego że w ustroju sowieckim wszyscy muszą przecież pracować, i to oczywiście na rzecz państwa. Totem ponieważ wówczas szwagier mój, Mieczysław, prowadził spółdzielnię budowlaną pod nazwą "Dom", mieszczącą się na parterze domu na ulicy Jaworzyńskiej, więc tam zarejestrowano mnie jako członka spółdzielni i wydano mi legitymację, że jestem pracownikiem tej spółdzielni i prowadzę dział zaopatrzeniowy w materiały budowlane. No i w ten sposób właśnie się jakoś ustabilizowałem i trzeba było zacząć myśleć o zarobku. To jednak nie było takie proste. O parcelacji naturalnie nie mogło być mowy, o tym żeby chłopci kupowali w tych warunkach ziemię i płacili jakies za to pieniądze nie było absolutnie co myśleć. Nie wiedziałem więc zupełnie, co mam robić i za co się brać. Ale najważniejsze było co innego. Właśnie ówczesny mój nastrój. Byłem kompletnie zalanany po śmierci syna i z powodu ogólnej panującej sytuacji. Wyślałem, że po to się walczyło, po to się wszystko poświęciło, żeby właśnie doprowadzić do takiego stanu, jaki wówczas panował, żeby nie było już wolnej, niepodległej Polski, a panował w niej bolszewizm. W tych warunkach, w tym nastroju oczywiście nie mogłem nawet myśleć, aby się zabrać do jakiegokolwiek pracy. Całe dni absolutnie nie nie robiłem, siedziałem w pokoju na ulicy Jaworzyńskiej i czytałem najrozmaitsze kryminały.

Do zwalczania wszelkiego rodzaju opozycji, a w pierwszym rządzie działających partyzantek, władze utworzyły Urząd Bezpieczeństwa (UB). Walceli tam ludzie, zwani "ubiarzami" powszechnie znie-

nawidzeni przez społeczeństwo. Na czele tego Urzędu stało Ministerstwo. Wydzielone zostały oddziały wojskowe tworzące tak zwany Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego: czyli KBW. Trwały wówczas masowe aresztowania, najrozsławniejszych ludzi, nie tylko podejrzanych o jakąkolwiek działalność opozycyjną, ale również ludzi, których przesłankę wydawała się dla władz bezpieczeństwa szkodliwa i niebezpieczna. Tego rodzaju ludzi, jak również członków takiej czy innej organizacji, pakowano do więzienia, które były w straszny sposób przepełnione, ale poza tym trzymano jeszcze ludzi w poszczególnych Urzędach Bezpieczeństwa. Następnie sądzono w specjalnie stworzonych do tego sądach wojskowych, tak zwanych sądach rejonowych, albo też rozprawy takie odbywały się w celach, a tym celu zostały stworzone specjalne stanowiska prokuratorów. Prokurator taki nie musiał być prawnikiem, był nim z miarowasia i pełnił swoje funkcje w odpowiedni sposób nie mając naturalnie żadnego pojęcia, o jakichkolwiek przepisach prawnych, a sądził - a raczej oskarżał - jak mu się podobало. Wyroki były bardzo wysokie. W najlepszym wypadku kilkunastioletnie lub dożywotnie, a najczęściej wprost wyrok śmierci, o ile dowiedziano takiemu oskarżonemu udział w jakiejś akcji wojskowej lub zabójstwie jakiegoś dygnitarza. Wyroków śmierci wówczas było bardzo dużo. Szczególnie skwapliwie aresztowano wówczas byłych oficerów Armii Krajowej i przedwojennych oficerów zawodowych, a szczególnie tych, którzy w swoim czasie należeli do tak zwanej "dwójki". Między innymi aresztowano wówczas wielu oficerów Komendy Głównej Armii Krajowej. Między innymi, jak już wspominałem, był aresztowany pułkownik Gorazdowski (Polański), personalny AK, następnie pułkownik Sanojca, pułkownik Mazurkiewicz (Radosław), szef Kedywu, Fluta-Czachowski, szef łączności, następnie Szcurek-Bergowski, razem z dwoma synami, no i wielu innych. A stosunku do wszystkich stosowane



bardzo ciężkie i wyszukane tortury, jak głodzenie, sadzenie na  
nóżce od krzesła i temu podobne. Naturalnie było to trudne do prze-  
trwania i wielu z nich traciło zdrowie. Wielu z nich również usie-  
ralo. Prześladowane były także rodziny aresztowanych. Wyrzucono je  
z mieszkań, wysiedlano z warszawy i robiono temu podobne zyknan-  
y. Wśród aresztowanych było też wiele kobiet, które pełniły funkcje  
łączniczek między oficerami, stojącymi na czele WİNu i innymi, ukry-  
wającymi się, którzy jednak starali się zorganizować jakkolwiek opór  
przeciwko ustrojowi. Zaszła wówczas bardzo ciekawy i znamienny wy-  
padek. Podano do wiadomości pewnym obozom, że władze radzieckie prag-  
ną się porozumieć z przedstawicielami społeczeństwa polskiego w  
sprawie ustronowania i ulżenia się stosunków, dojścia do jakiejś  
współpracy i wprowadzenia porządku politycznego w Polsce. Obył w  
tym celu zaproszone szereg przedstawicieli poszczególnych stron-  
nictw politycznych i społecznych do Moskwy. Przy tym gwarantowano  
wszystkim całkowite bezpieczeństwo. Powiadczano, o ile panują, za  
pośrednictwem poprzednio aresztowanych łączniczek, aby się zgła-  
szali do jakiegoś generała bolszewickiego, z którym przeprowadzą pewne  
pertraktacje. W ten sposób, gwarantując pełne bezpieczeństwo, zebra-  
no szereg ludzi, a przede wszystkim generała Okulickiego ("Niedźwiad-  
ka"), który był komendantem WİNu, następnie inżyniera Jankowskiego,  
który był delegatem rządu londyńskiego na Polskę, byłego senatora  
Aleksandra Zwierzyńskiego, adwokata Stypulkowskiego i innych. Po  
przewiezieniu ich do Moskwy, zamiast do obiecwanego luksusowego  
hotelu, zawieziono ich wprost do więzienia, gdzie po pewnym czasie  
zyczone im jawny proces sądowy. Wyroki na ogół nie były wysokie,  
tya nieśniej zarówno Okulicki, jak i Jankowski, zmarli w więzieniu,  
natomiast o ile chodzi o Zwierzyńskiego i Stypulkowskiego, odbyli  
swoje niewielkie wyroki - około rok czy półtora roku - i powró-  
cili do Warszawy. Dziwna to była historia i absolutnie nie zrozu-  
miała. Jakim prawem i na jakiej podstawie obce zupełnie państwo

zabierano z drugiego, samodzielnego, niepodległego, państwa jego obywateli i wywoziło ich do swego kraju, gdzie ich sądzono, nie wiadomo za co; bo przecież nie popełnili oni żadnej zbrodni, czy przestępstwa, a byli tylko działaczami politycznymi w panującym wówczas ustroju. I tam ich sądzono i więziono. Była ta cała historia sprost nie do uwierzenia, stanowiła jednak dowód całkowitej zależności Polski od Związku Sowieckiego. Sowieckim władzom polskim zależało jednak bardzo na likwidacji w kraju ruchu opozycyjnego, no a przede wszystkim ruchu działającego czynnie, a więc wszelkich partyzantek i organizacji wojskowych. Wszelkiego rodzaju akcja nie dawała zbyt pożądanego rezultatu. Ani masowe aresztowania, ani częściowa likwidacja partyzantek w terenie, przeprowadzana siłą, nie odnosiła spodziewanego skutku. Należało więc wprowadzić jakiś inny system, no i w tym celu została wydana przez władze państwowe Polskie specjalna ustawa. Przewidywała ona, że jeżeli członek jakiegokolwiek organizacji, działającej już po 45 roku, zgłosi się do powołanej w tym celu odnośnej komisji i ujawni całą swoją działalność opozycyjną, wówczas zostanie zwolniony od winy i kary i jego przestępstwa będą mu darowane. Aby zainteresowani mieli większe zaufanie do takiej komisji, na ich czele zostali postawieni oficerowie z Komendy Głównej AK, zwolnieni w specjalnie tym celu z więzienia, a przede wszystkim właśnie pułkownik Mazurkiewicz (Radosław), Gorazdowski, Sanojca i inni. Komisja ta, szczególnie początkowo, miała bardzo duże powodzenie. Zgłaszała się młodzież, głównie młodzi chłopcy, którzy brali udział w Powstaniu Warszawskim i nie należeli do WZ, ani do żadnej innej organizacji. Zgłaszali się również członkowie organizacji czynnych, ale w stosunkowo niewielkiej ilości, dlatego że nie mieli jednak zaufania i bali się, że obietniczki-obiecankami, ale że jednak mogą być aresztowani. I rzeczywiście wielkiego zaufania tutaj nie można było mieć. Zgłaszali się jednak przede

Wojtyła



ci AKowcy, która udala się przedostać ze wschodu, to jest ze wschodnich obszarów Polski do Polski centralnej. No oni nie mieli nic do stracenia. Brali czynny udział w akcjach AKowskich na kresach, gdzieś na Wileńszczyźnie, czy w Małopolsce Wschodniej, chcieli się tutaj jakoś ustabilizować, więc się zgłaszali. No i większości z nich później rzeczywiście nic już nie groziło i nie wyciągnięto w stosunku do nich żadnych konsekwencji. Były jednak i inne wypadki. Niezależnie na przykład od tego, że ktoś się zgłosił i ujawnił wszystko swoje czyny - był aresztowany i sądzony, a gdy na rozprawie powoływał się na tę ustawę, że wszystko ujawnił, więc powinien być wolny od kary, to bywał mimo to jeszcze skazywany. Znam dokładnie taki wypadek, gdy dziewczyna łączniczka była aresztowana, a przedtem ujawniła wszystko bardzo dokładnie. Powiedziała o tym w sądzie, że się przecież ujawniła. Mimo to wyrok opiewał, że aczkolwiek rzeczywiście w myśl takiej a takiej ustawy oskarżona ujawniła wszystkie swoje przestępstwa w stosunku do Polski Ludowej, to biorąc jednakże pod uwagę jej inteligencję i fakt, że musiała rozumieć że popełnia to czynny przeciwko ojczyźnie Ludowej - skazuje się ją na 6 lat więzienia. Było to oczywiście niezgodne z duchem samej ustawy, która wyraźnie stwierdzała, że wszyscy, którzy ujawnią swoje czyny przeciwko Polsce Ludowej - będą wolni od winy i kary. Wynika z tego, że do tych wszystkich ustaw nie można było mieć żadnego zaufania, tak samo jak do wszelkiego rodzaju obietnic i przyrzeczeń Związku Radzieckiego, który mówił co innego, obiecywał co innego, a w rzeczywistości postępował zawsze inaczej i zawsze niekorzystnie dla Państwa Polskiego. Najlepszym tego dowodem był przede wszystkim fakt, napisane na Polskę w 59 roku, wywożenie ludności polskiej ze wschodnich obszarów Polski w głąb Rosji, całkowity brak pomocy podczas Powstania. I tak dalej, przykładów takich można podawać bardzo wiele. Z tej sytuacji nastroj mój nie mógł ulec żadnej poprawie.

Dalej całem się zle i zalanany, i większość czasu spędzałem w mieszkaniu na Jaworzyńskiej, nie absolutnie nie robiąc. Odwiedzałem jedynie znajdujących się w Warszawie kolegów i znajomych, no i niektórych wypytywałem o możliwości dostania jakiegó pracy, ale absolutnie nie dawałem sobie sprawy z tego, jaką drogę powiadę dostać i czyja się właściciele mogą zająć. Dowiedziałem dość czysto Ministerstwo Rolnictwa, mieszczące się w dawnym Banku Rolnym, na ulicy Nowogrodzkiej. Pracowało tam dość dużo ludzi dawnych kolegów. Przede wszystkim byli dawni koledzy z Ministerstwa i z Urzędu Ziemiańskiego. Zaproponowano mi, abym pojechał na Ziemię Odzyskaną, obojętnie gdzie, to jest na ziemię przyłączone do Polski z dawnych terenów polnieckich i objął stanowisko kierownika majątku państwowego. Właśnie wówczas tworzyło się z dawnych polnieckich majątków państwowe gospodarstwa rolne, coś w rodzaju rosyjskich sukchozów. Dotyczyło to tylko majątków na terenach polnieckich, natomiast majątki na terenie dawnej Polski podlegały głównie reformie rolnej i parcelacji, i nie wiadomo było jeszcze, jakim władze ustosunkują się do nich. Co będzie, mniejszymi gospodarstwami rolnymi jeszcze nie było także wiadomo, ale sędziło się, że będzie również dążenie do tworzenia kolchozów na wzór radziecki. Wówczas namawiano mnie bardzo w Ministerstwie Rolnictwa, abym właśnie pojechał na Ziemię Odzyskaną i ewentualnie objął kierownictwo przejętego majątku. I rezultacie uległem. Dostałem delegację służbową. Prosiłem również, żeby dano taką delegację mojemu koledze, Stasiowi Michałowskiemu, i pojechaliśmy wówczas razem. Podróżi już jako tako chodziły. Pojechaliśmy do Kozłowa i dojechaliśmy stosunkowo szczęśliwie. Tam zaróciłem się do miejscowych władz wojewódzkich. Skierowano mnie do Wydziału rolnego, do kierownika, któremu podlegały te majątki ziemskie. Razem z nim, na drugi czy trzeci dzień, po zapoznaniu się z ogólnymi sąsiedzialami, pojechaliśmy w teren.



Powiedział mi, że tylko w niektórych gospodarstwach są już kierownicy, ale przeważnie majątki są jeszcze nie obsadzone. Starał się już zaangażować szereg ludzi, których kierowano do niego na administratorów. Przy mnie również toczyły się takie dość dziwne rozmowy. Siedziałem i oczywiście przysłuchiwałem się im. Mówił np., że jest taki a taki majątek, położony tu i tu, pozbawiony zupełnie inwentarza żywego, jest tam jedynie trochę inwentarza martwego, jest tam znikoma ilość pracowników, na przykład dwóch czy trzech na taki duży majątek i namawiał, żeby zgłaszający się zaraz tam jechał i gospodarował. No wynikała tu naturalnie sprawa finansowania tych gospodarstw. Inspektor, bo tak go nazwę, nic nie mógł obiecać, ponieważ mówił, że teraz nie ma na ten cel funduszy, tak samo nie ma funduszy na wynagrodzenie dla takiego administratora, więc niech sam stara się na siebie i na utrzymanie gospodarstwa zarobić. Mało kto się oczywiście na takie warunki godził. Ale niektórzy jednak jechali taki majątek obejrzeć. My wybraliśmy się, samochodem również. Zabrał się inspektor, jeszcze jakiś pan i my razem ze Stasiem Michałowskim. Inspektor dysponował jakimś tam samochodem, przydzielonym do jego dyspozycji. Kłopot był z benzyną, którą trudno było dostać. Pytałem więc: "Jeżeli nie ma benzyny to jak pojedziemy". On na to, że dostaniemy w terenie. "No skądże benzyna w terenie?". "Prasta historia - benzynę mają żołnierze sowieccy, a my weźmiemy ze sobą spirytus, za który kupimy benzynę i w ten sposób będziemy jechali". I rzeczywiście, po przyjeździe do pierwszej gorzelni, w którymś tam majątku, nabrało się pełne karnistry spirytusu no i zatrzymało się na skosie samochodu wojskowe i proponowało się żołnierzom zamiar na benzynę. Zwykle te transakcje dochodziły do skutku, zapatrywałem się w ten sposób w benzynę i jechaliśmy dalej. Dziwny jedynie wydał mi się ten sposób zabierania spirytusu z gorzelni, ponieważ z niego przecież trzeba się było jakoś wyliczyć,

powstawał już monopol spirytusowy, który miał przecież jakiś nadzór nad tymi gorzelniami. No ale oni machali ręką i mówili, że trudno, bez spirytusu nie można żyć, więc przeszedłem nad tym do porządku dziennego i pojechałem dalej. Majątki zasadniczo były wszystkie obsadzone przez Armię Czerwoną. Siedzieli tam żołnierze i właściwie oni tam gospodarowali. Gospodarowanie to polegało na tym, że ponieważ była to już druga połowa lipca, więc były żniwa, a nawet już po żniwach, więc wprost cięli to zboże i od razu je młócili. Zrzucali na kupę słomę, plewy, co się marnowało, natomiast zboże sypali do worków, lub luzem na wozy i wywozili do najbliższej stacji kolejowej. Tam znowu wysypywano się je na kupę, bez żadnego przykrycia; leżało tam wprost pod gołym niebem, a potem ładowało się na wagony. O te wagony wówczas nie było tak łatwo, więc zboże nieraz długo leżało pod gołym niebem, padał na nie deszcz, no więc porastało i w ogóle się marnowało. To samo było w majątkach z maszynami i narzędziami rolniczymi. Zabierano się i wywoziło je gdzieś na stację kolejową i tam załadowywano na wagony; często czekały na załadowanie również pod gołym niebem i niszczały. Jednym słowem majątki te były całkowicie ogarniane. Jeśli chodziło o bydło i w ogóle inwentarz żywy, to wszystko to żołnierze bolszewicy stadami pędzili na wschód. No oczywiście po drodze wiele tego bydła się marnowało, ale tak samo było ono sprzedawane przez żołnierzy ludności miejscowej szczególnie dalej na wschodzie na terenie dawnej Polski. I tam chłopci te piękne krowy chętnie kupowali. Były to krowy rasy czarno-białej, niemieckiej. Chłopci je kupowali płacąc wprost zamianą za pół litra, czy litr, wódki i w ten sposób zaopatrywali się w ten inwentarz żywy. Nie wykluczone było, że jak następna partia wojska pędziła bydło i zobaczyła gdzieś taką czarno-białą krowę, po której widać było, że jest pochodzenia polskiego, to oczywiście bez pardonu ją zabierała i przyłączała do swojego stada.



Krowy takie najczęściej się marnowały, ponieważ mało były dobrane, bo żołnierze dolił je tylko na swoje potrzeby, lub czasem proponowali miejscowym kobietom, aby je dla siebie wydoily. W każdym razie krowy pędzone były gdzieś na wschód i co się z nimi potem stało - nie mam pojęcia. Zasadniczo chodziło o to, że te majątki były całkowicie ogalane i trudno sobie wyobrazić, jak można było w nich gospodarować bez ludzi i bez tych inwentarzy. A tej swojej podróży jednocześnie zwróciłem uwagę na to, że bolszewicy zdejmują drugie tory kolejowe, pozostawiając tylko jedną linię, i tak samo ładują je i wywożą gdzieś na wschód. Nie było to dla mnie zrozumiałe, podobnie jeśli chodzi o miasta, które niszczone. Miasta na Pomorzu były stosunkowo mało zniszczone przez wojnę, a były one w większym lub mniejszym stopniu popalone, czy zburzone, i jak miejscowi twierdzili - zniszczone zostały już w tydzień, czy dwa tygodnie, po ich zajęciu przez bolszewików i po ustąpieniu z nich Niemców. Było to dla mnie absolutnie niezrozumiałe. Przecież to było rzekomo zaprzyjaciłone państwo, te tereny przewidziane były dla Polski, kraju sojuszniczego o tym samym ustroju, po coś więc było to wszystko niszczyć? Po co to było ograbiane, żeby temu państwu Polskiemu, które ma się właśnie zagospodarowywać odbudowywać dopiero, zostawiać to w takim zniszczonym stanie. To była już jakaś taka ekstra mądra polityka bolszewicka. Po objechaniu w ten sposób dość dużego terenu na Pomorzu zachodnim powróciliśmy do Koszalina i razem ze Stacją Michałowską wróciliśmy do Warszawy. Człowiek z pałady tej nie przyjął, jakkolwiek była to dość dla mnie propozycja korzystna, zarówno pod względem finansowym, jak ciekawa, ponieważ było to dość wysokie stanowisko, no ale nie wyobrażałem sobie, w jaki sposób można w tych warunkach majątki zagospodarowywać, mając w każdym z nich tak przyjemnych lokatorów, jak żołnierze sowieccy.

Miculański był namiętym wędkarzem, więc chciał koniecznie jechać gdzieś w olsztyńskie jeziora, i tam zobaczyć, czy się nie uda jakoś urządzić w rybolówstwie, czy w jakimś tworzącym się przedsiębiorstwie rybackim. Toteż w końcu wybrał się do Olsztyna. Jazda była tu o tyle łatwiejsza, że było bardzo dużo pociągów z węgla. Jeździły one tymi liniami na Olsztyn, Prusy wschodnie i dalej na wschód, transporty jeden za drugim, z węgla z polskiego Śląska. Z takimi transportami można było się zabrać i tak szczęśliwie dojeżdżaliśmy do Olsztyna. Olsztyn również był częściowo zrujnowany, a częściowo wypalony. Ulokowaliśmy się dość wygodnie w domu rybaka i na drugi dzień rano pojechaliśmy samochodem do takiego gospodarstwa rybnego. Tam obserwowaliśmy połów ryb sieciami. Ryby złapano bardzo dużo tych ryb, ale niewiele z tego miało pożytku, ponieważ kiedy już byli na środku jeziora i ściągali sieci, przyjechały dwa czy trzy samochody wojskowe i pod groźbą karabinów kazano im dobiec do brzegów, wyciągnąć rybę i oddać wojskowym sowieckim. Cały połów został zatrzymany na samochód i wojsko najspokojniej odjechało. Pytałem dlaczego oni odbierają tę rybę, ale rybacy rozłożyli tylko ręce i powiedzieli, że na to nie ma już absolutnie żadnej rady, ponieważ z tej sprawy zwracano się nawet do różnych władz w Olsztynie, ale bez skutku. No po prostu odchodził tu zwykły, pospolity rabunek. Nie zawsze jednak tak było i czasem udało się cały połów zatrzymać dla siebie, no i wówczas wywozili go do Olsztyna i dostarczali do tzw. Centrali Rybnej, lub sprzedawali gdzieś na lewo. Trudno było oczywiście przewidzieć, jak długo jeszcze tego rodzaju gospodarka będzie trwała, zarówno w miastach jak i na wsi, w gospodarstwach rolnych, czy rybnych, któreśmy tam oglądali. Nie podobало mi się to wszystko, oczywiście, więc tak samo jak poprzednie wróciliśmy niefortunnie do Warszawy. Kiedy gdy byliśmy w Olsztynie,



na Jaworzyńskiej zdarzyła się bardzo nieprzyjemna historia, a mianowicie w mieszkaniu dokonana została rewizja przez UB. Nie wiadomo było, czego oczekiwali i czego właściwie szukali. Zabrali moje akta, które poprzednio wykopałem, tzn. akta I batalionu zgrupowania powstańczego "Chrobry II". Przy okazji zabrano dwa, czy trzy zegarki, ale absolutnie nic nie znaleziono. Pytali poza tym przede wszystkim o Stasia Michałowskiego no i o mnie. Okazało się później, że znaleziono u jakiejś aresztowanej łączniczki podany przez Stasia Michałowskiego adres na Jaworzyńskiej, stąd powstała ta rewizja. Ale widocznie ta łączniczka, czy nie wiedziała skąd ma ten adres, czy w ogóle nie wiedziała, kto to jest Michałowski, i nie wyppała go, tak że po tej rewizji już żadnych konsekwencji nie było, ani Stasia ani mnie nie ruszono. Przypuszczam, że może byłoby inaczej, gdyby nas zastano w domu, wtedy jeżeli nie obydwu, to któregoś z nas - i to prawdopodobnie Stasia bo jego adres był u łączniczki - mogli zaarrestować. Całe szczęście, że jakoś to wszystko szczęśliwie się skończyło. Michałowski stale upierał się, żeby ponownie jechać w olsztyńskie i szukać jakiegoś zaczepienia się w przemyśle rybackim. Wnie tam jednak nie ciągnęło, więc kategorycznie odmówiałem. Natomiast pojechaliśmy jeszcze raz do Katowic i na Śląsk, ale to już raczej nie w celu szukania jakiejś posady i pracy, ale w sprawach po prostu handlowych. Radzono nam bowiem, żebyśmy wzięli ze sobą na handel jak najwięcej boczku, ponieważ w miastach śląskich boczki bardzo chętnie kupują. Ta jazda nie była zbyt trudna i nie skomplikowana. Zabraliśmy rzeczywiście kilkanaście kilogramów boczku i pojechaliśmy - tym razem pociągami osobowymi. Byliśmy w Bytomiu i chyba w Gliwicach, ale jednak boczku spieniężyć nie mogliśmy, ponieważ podawano nam cenę poniżej tej którą płaciliśmy w Warszawie. I dopiero gdzieś w Bytomiu, w jakiejś restauracji, do której poszliśmy na obiad udało się nam ten boczek sprzedać, po

cenie kupna, a jednocześnie jako dodatek postawiono nam za darmo dla obydwóch obiad i pół litra wódki. Byliśmy i z tego zadowoleni, zabraliśmy forsy, zostawiliśmy ten nieszczepany bocek, wróciliśmy do Katowic a stamtąd zabraliśmy się do Warszawy. Na tym właściwie skończyły się te podróże w poszukiwaniu "złotego runa", mimo że masę ludzi jeździło wówczas na Ziemi Odzyskanej pociągami i samochodami, robiąc interesy i przywożąc różne rzeczy, a przede wszystkim meble i wielu ludziom w ten sposób bardzo dobrze się powodziło. Spotykaliśmy się wówczas dość często z moim kolegą z baterii, z 8 pułku artylerii, Kazimierzem Chodkowskim, który był wtedy w Guzowie inspektorem plantacyjnym. Wspominałem już o nim, ponieważ u niego właśnie pewien czas po wyjściu z Warszawy mieszkała moja żona. Kazimierz Chodkowski namówił mnie jeszcze na taką kombinację, żeby kupić samochód ciężarowy i wozić po Warszawie, która była pozbawiona jeszcze wszelkiego rodzaju komunikacji, tzw. "łebki" na Mokotów, czy Żoliborz, lub z Warszawy na Pragę, bo już wtedy z Pragą połączenie było całkiem możliwe, ponieważ był wybudowany taki drewniany most prowizoryczny. Zgodziłem się z nim, pojechaliśmy do Gdańska, ponieważ tam podobno było wówczas najłatwiej nabyć taki samochód. I rzeczywiście kupiliśmy stosunkowo niedrogo od kogoś z drugiej ręki polskiego ciężkiego dużego ciężarowego Mercedesa. Został on tam w warsztatach w Gdańsku wyremontowany. Znaleźliśmy też szofera, który był przyjezdny i chętnie do Warszawy wrócił i nam ten samochód do Warszawy dostawił. Samochód zarejestrowało się za firmą budowlaną mojego szwagra, Mieczysława. W ten sposób samochód mógł już kursować. Tym samochodem zajmowałem się już ja sam, bo Chodkowski pojechał do cukrowni Guzów, gdzie przecież mieszkał i pracował. Wzieliśmy z tym szofera "łebki", z Warszawy na Pragę i z powrotem. No nie był to taki interes jak się początkowo zdawało. Mówiono mi



przedtem, że to taki świetny interes, ponieważ przecież "lebki" zupełnie możliwie płacili. Przede wszystkim chodzi o to, że nie wszyscy płacili, bo niektórzy się upierali, że są urzędnikami państwowymi i jadą na Pragę ślubowo, więc nie mają, czy płacić. Ja się trochę sta-  
wiałem, zatrzymywałem samochód i jego właściciela wysadzałem mówiąc, że jak nie ma pieniędzy to niech idzie na piechotę, lub niech mu przed-  
siębiorstwo za te przejazdy wraca. Ale takie spory mogły być ryzy-  
kowne, bo przecież te całe jazdy były nieprawne, gdyż były nie re-  
jestrowane, więc milicja cały czas się czepiała: podchodziła i  
trzeba było płacić różne łapówki, ponieważ taki milicjant wprost  
się zwracał "no panie szefie" - powiedział - "lebki wozisz, a ja mar-  
zną". No więc trzeba było mu dać minimum 100 czy 200 zł. Na Pradze,  
o ile taki milicjant zaczepiał, to mu się mówiło: "ślubowo jesteście",  
jesteście urzędnikiem takiej a takiej firmy no i że przywieziono tu do  
magazynów (które rzeczywiście były tam gdzieś na ulicy Wińskiej)  
jakieś tam materiały budowlane, a teraz wracamy do Warszawy, a szo-  
fer chce zarobić, więc pozwoliłem mu zabrać kilka "lebków". Czasem  
się tak udawało wykręcić, ale czasem jednak milicjant twierdził,  
że widział nas już niejednokrotnie, więc trzeba mu było zapłacić,  
bo inaczej brali samochód do komisariatu, mogli go zatrzymać oraz  
zatrzymać prawo jazdy szoferowi i odebrać dokumenty samochodowe.  
Nie było to przyjemne, nie mogłem też narzącać firmy, więc raczej  
wplacaliśmy się. Spróbowaliśmy również jazdy z "lebkami" poza War-  
szawę. Najczęściej jeździliśmy do Sochaczewa. Tu było trochę lepiej,  
ponieważ od razu w Sochaczewie przy wsiadaniu każdy wplacał ustaloną  
sumę do Warszawy. Po drodze jednak powtarzała się ta sama historia  
z milicją i znów trzeba było płacić i to już znacznie większe sumy.  
No więc w końcu uznałem, że ta nasza próba zarobkowania w ten sposób  
nie bardzo się nam opłaca. Samochód jednak jeszcze trzymaliśmy da-

lej i dopiero gdzieś pod koniec 45 roku, w listopadzie czy grudniu, zaniechaliśmy tych wszystkich jazd i postawiliśmy samochód w garażu gdzieś u znajomych Chodkowskiego w Sochaczewie. Jeszcze wcześniej Staś Michałowski wyjechał do Sopot i tam zaczął pracować w jakimś przedsiębiorstwie przemysłu rybnego.

W tymże mniej więcej czasie brat mój Stanisław nawiązał jakiś kontakt ze swoją siostrą Wandą, która zaczęła robić próby wyjazdu do Anglii, dlatego że Staś był wówczas w Londynie. Oczywiście o jakiejś legalnej jeździe nie było mowy, ponieważ żadnych legalnych kontaktów z zachodem władze sowieckie nie pozwalały nawiązywać, więc trzeba było przedostać się przez granicę nieoficjalnie, to znaczy przejechać przez "zieloną granicę". Berlin podzielony był na kilka stref, a m.in. były tam strefy angielska i amerykańska. Szczególnie Amerykanie przyjeżdżali często na tereny polskie, ponieważ powstała już UNRRA i był spory ruch samochodowy z tamtej strony. Przy ich pomocy właśnie Wandzie udało się wydostać na zachód, do Berlina, a następnie dalej do Paryża i Londynu, gdzie spotkała się ze swoją siostrą, a moim bratem. Próbowala przedtem tej ucieczki w różny sposób: i statkiem, i przechodząc granicę gdzieś na południu, koło Karpacza, ale to wszystko kończyło się niepowodzeniami; dopiero ostatnia próba przy pomocy samochodów amerykańskich udala się.

Natomiast z matką moją w Rosji nie mogłem przez dłuższy czas nawiązać żadnego kontaktu, no i absolutnie nie wiedziałem, co się tam z moją rodziną dzieje.

Jakoś na początku 45 roku dowiedziałem się, że w Ministerstwie Rolnictwa urzęduje znany powszechnie i bardzo przyswoity człowiek, a wybitny fachowiec, Waringo, i właśnie z racjonalia Ministerstwa organizuje na Ziemiach Odzyskanych Państwowe Mieruchomości Ziemskie, które po przejęciu od Niemców trzeba jakoś zagospodarować. Dotyczy-



to to tylko majątków znajdujących się na Ziemiach Odzyskanych, natomiast nie miały do tego jeszcze należeć majątki znajdujące się na terenie dawnej Polski. Maringe urządował zasadniczo w Poznaniu, ale dosyć często przyjeżdżał do Warszawy, gdzie urządował na ulicy Nowogrodzkiej w Ministerstwie Rolnictwa, a tam mogłem się z nim zobaczyć i rozmówić. Początkowo w ogóle nie chciałem iść, ponieważ ciągle jeszcze byłem jakos nieswój i nie chciało mi się jeszcze nic robić, ale żona mnie zmusiła więc poszedłem i gdzieś w połowie stycznia dostałem się do Maringe'a. Rozmówiłem się z nim. Przedstawił mi całą sytuację i plan zagospodarowania majątków. Trafiało mi to do przekonania. Powiedział, że może mnie zaangażować, ale trudno mi jeszcze powiedzieć, na jakie stanowisko. Właśnie następnego dnia rano jechałem samochodem do Poznania, gdzie odbędzie się zjazd ludzi już przez niego do tej pracy zaangażowanych, więc ja bezwzględnie powinienem z nim jechać. Tam dopiero się orientuję, co i jak będzie ze mną. W pierwszej chwili nie zdecydowałem się na to, namyślałem się. Nie wiedziałem, jak postąpić i jakoś z moim ówczesnym usposobieniem nie chciało mi się nigdzie ruszać. Maringe widocznie zorientował się w moim ogólnym stanie psychicznym, bo wprost zapytał się, czy byłem w wojsku, a ja to potwierdziłem. Wtedy powiedział: "No ja widzę, że pan się waha, więc daję panu rozkaz. Jutro o godzinie Stej rano ma pan się stawić tutaj w Ministerstwie i stąd ruszamy całą grupą samochodów do Poznania. Odpowiedziałem: "tak jest, bardzo dziękuję panie prezesie, postaram się być". Z tym powróciłem do domu. Opowiedziałem wszystko żonie, która oczywiście powiedziała "bezwzględnie musisz jechać". Ja jeszcze namyślałem się, bo nie chciało mi się wprost ruszyć. Byłem jakiś ciężki, tym wszystkim zalanany, bałem się jakiegokolwiek czynu ze swojej strony. Nie mi się absolutnie robić nie chciało, ale pod wpływem żony zde-

cydowała się. Nazajutrz poszedłem do Ministerstwa i pojechałem w dużej grupie ludzi, jadących w tym samym celu, do Poznania, aby być uczestnikami dużej konferencji rolników, zaangażowanych przez Karina'a i szefów spraw, przyszłej organizacji Państwowych Kieruchowości Ziemiaków. W sąsiedztwie spotkałem dwóch czy trzech swoich znajomych, kolegów z SGGG, więc zacząłem zbierać więcej chęci do tego ewentualnego mojego zajęcia. Wiedziałem tu solidnych ludzi, więc liczyłem, że będzie to najlepiej zorganizowane, a szczególnie pod kierownictwem takiego człowieka, jakim był Karing. Zebranie w Poznaniu odbywało się gdzieś na ulicy Libelta, a my byliśmy ulokowani w hotelu. Ja znalazłem w jednym pokoju z takim Antonim Marzewskim, którego znałem jeszcze poprzednio, bardzo miły i sympatyczny człowiekiem. Po omówieniu na tych wszystkich konferencjach sposobu zorganizowania Państwowych Kieruchowości Ziemiaków, każdego z nas po kolei Karing zapraszał do gabinetu i omawiał z nim ewentualną jego pracę. Tak samo i ja byłem przez niego przyjęty no i powiedziałem mu, że najchętniej to bym pojechał do Gdańska, względnie Gdyni, lub Sopot, gdzie miał być właśnie ten Zarząd Okręgowy na Pomorze, bo tam ulokował się mój drugi kawaler, Cławowicz, więc liczyłem na to, że tu będę miał trochę rodzinnego oparcia. Przyrzekł mi, że wydeleguje mnie właśnie tam z całą, która pojedzie tworzyć ten Zarząd Okręgowy PRZ. Po kilkudniowym pobycie w Poznaniu wszyscy się rozjechali, a tym że gdzieś pod koniec stycznia mieliśmy się znowu zjechać w Poznaniu, gdzie każdy miał otrzymać już odpowiedni przydział i od razu z Poznania samodzielną rzeszą z innymi kolegami wyruszyć na miejsce swej pracy. Po tej drugiej śluzowej konferencji Karing odczytał listę już zaangażowanych pracowników Centralnego Zarządu PRZ jak również pracowników poszczególnych Okręgów. Zostałem i ja wyczytany, ale byłem tym poważnie zaskoczony,



ponieważ mimo że w poprzedniej rozmowie Maringe<sup>7</sup>em przyrzekł mi, że pojedę na Pomorze, teraz wyznaczył mnie w składzie ekipy Śląskiej. Oznaczało to, że miałem jechać razem z panem Ludwikiem Ślaskim, który został mianowany dyrektorem Okręgu Śląskiego, do Opola, gdzie miał być właśnie utworzony Zarząd Okręgu Śląskiego. Byłem tą zmianą, jak mówili, zaskoczony, więc od razu zgłosiłem się do Maringe'a, aby wyjaśnić tę sprawę. Maringe od razu przyznał mi, że wie że przychodzę w sprawie tej zmiany przez niego wprowadzonej, ale miał jednak wrażenie, że w zasadzie jest mi obojętne, czy pojedę tu czy tam, a ja w tej chwili jestem jak najbardziej potrzebny na Śląsku. Będę współpracował z tak wybitnym i znanym biologiem i fachowcem, jakim jest Ślaski. Uważa, że będzie mi tam zupełnie dobrze, a po pewnym czasie, o ile nie będzie mi się tam podobało, to sam się do niego zgłoszę, a on wtedy przeniesie mnie do okręgu pomorskiego. Ponieważ mi rzeczywiście było zupełnie obojętne, a tu jechało kilka bardzo sympatycznych ludzi, którzy mi się podobali, zgodziłem się. Podobał mi się zresztą i pan Ślaski. Po trzech dniach wyruszyliśmy tam już całą ekipą, samochodem ciężarowym przejeżdżonym do użytku Okręgu PSL. Tam na początku ulokowaliśmy się w hotelach, czy kwaterach prywatnych i od razu przystąpiliśmy do urzędowania. Byli tu również przyjeźdźcy pracownicy wydziału rolnego z województwa katowickiego. Było tu także trochę przyjeżdżających, a przede wszystkim byli koleśnicy, którzy już tutaj w terenie dawno pracowali. Ślaski został dyrektorem, a zastępcą jego - ten wybitny dobry rolnik, Czarnowski. Po konferencjach poprzydzielano nam odpowiednie stanowiska. Ja najpierw miałem propozycję objęcia stanowiska naczelnika wydziału rolnego w Zarządzie Okręgowym, ale zrezygnowałem z tego, ponieważ wolałem być w terenie i mieć posadę bardziej ruchliwą. Dostałem więc stanowisko inspektora okręgowego na teren gliwicki.

wybrałem inspektorat gliwicki, dlatego że Gliwice były najbliższą Katowic, więc woląłem być blisko dawnej granicy polskiej, a nie zapuszczać się dalej gdzieś na te tak zwane Niemieckie Odzyskania. Do mojego inspektoratu weszły powiaty: gliwicki, bytomski, a potem jeszcze strzelecki. Pojechałem od razu do Gliwic i olokozałem się u takiego pana Janowickiego, który był uprzednio inspektorem z ramienia województwa katowickiego na powiat gliwicki. Właściwie był jedynie administratorem takiego dużego majątku Łabędy, położonego tuż pod samymi Gliwicami. Tu mieszkałem i jednocześnie stworzyłem swoją kancelarię. Zacząłem wszystko organizować i pracować po to, aby przede wszystkim zorganizować takie zespoły rolne, które miały się składać z kilku majątków, w tych powiatach mnie przydzielonych. Praca więc moja polegała przede wszystkim na tym, że musiało poznać wszystkie majątki poniemieckie, znajdujące się w tych powiatach, a opuszczone przez poprzednich właścicieli - Niemców - którzy wyjechali na zachód. Z majątków tych, zgodnie z ustalonymi założeniami, miałem utworzyć tzw. klucze, składające się z kilku lub kilkunastu majątków, w zależności od ich wielkości i położenia. No i oczywiście te wszystkie majątki trzeba było obsadzić odpowiednimi kierownikami, radcami i administratorami. Na czele takiego zespołu miał stać administrator, a na poszczególnych majątkach - radcy, którzy podlegali by bezpośrednio temu administratorowi. Miał on siedzieć w takim majątku zespołowym i dysponować radcą lub pomocnikiem, który zarządzał tylko tym majątkiem, a oprócz tego musiał mieć kancelarię, która prowadziłaby całą księgowość danego zespołu. Ogólna księgowość całego Okręgu była prowadzona w Opolu. Był tam stworzony duży dział księgowości. Zespoły wysyłały do Opola sprawozdania miesięczne i swoje książki rachunków. Każdy zespół otrzymywał z Opola pewną dotację, oznaczoną było gdzie i na co wydawane mają być te pieniądze i później z tej dotacji każdy administrator zespołu, przy po-



wojny krajowego, musiał się dokładnie wyliczyć i udokumentować te odpowiedzialni kwaterami i dokumentami rachunkowymi. W pracy swojej w pierwszym rzędzie musiałem poznać teren, aby wiedzieć, jak majątki są położone i jak można utworzyć z nich te grupy, klucze czy zespoły. W tym celu musiałem oczywiście cały teren dokładnie obejrzeć, musiałem więc mieć samochód. Wówczas w każdym powiecie byli tzw. komisarze ziemscy, którzy do pewnego stopnia zarządzali tym terenem ale robili to tylko z punktu widzenia administracji terenowej i politycznej. W Gliwicach takim komisarzem ziemskim był całkiem sympatyczny facet, szedł on mi na rękę, zresztą miał także ogólnie polecenie, aby ułatwiać pracownikom Państwowym Kierowności Ziemskich należycie zorganizowanie tych poniesionych majątków. Posiadał samochód i oddał go do mojej dyspozycji. Tym samochodem musiałem obejrzeć cały teren, sprawdzić wszystkie majątki i poznać tych ludzi, którzy tam siedzieli, ich możliwości, aby przeznaczyć ich na te czy inne stanowiska. Na moje szczęście w lutym 46 roku pogoda była całkiem możliwa, szliśmy więc przesy, do każdego majątku były dobre dojazdy, więc objechanie tych majątków samochodem nie przedstawiało dla mnie zasadniczej trudności. Objżdżając je poznawalem jednocześnie ludzi tam już gospodarujących. Na całej szczyście było tu już nie tak jak w swoim czasie w Koszalińskim, gdzie gospodarowali bolszewicy. Tutaj ich już właściwie nie było. Był tu tylko jeden majątek, zajęty przez oddział bolszewicki, podległy aresztą jakiemuś komendantowi, siedzącemu w Gliwicach. No jak powiedziałem poznałem tam wszystkich tych ludzi. Prawie w każdym majątku był już jakiś rzęca, który jakoś tam gospodarował, wyciągając jakieś korzyści z tego majątku i składał jakieś sprawozdania do wydziału rolnego województwa katowickiego. Majątki te były całkowicie ogołcone, nie miały więc również żadnych inwentarzy - koni, ani krów.

Rzadko gdzie trafiała się jakaś para koni. Oczywiście nie było również żadnych maszyn, ani narzędzi rolniczych. No więc to zapospodarowanie na początku musiało być bardzo trudne. Tworząc zespoły musiałem oczywiście wybrać ten główny zasadniczy majątek, zespołowy, z siedzibą administratora tego zespołu. Na ogół był to majątek największy i w sier, możliwości położony centralnie między innymi, który do tego zespołu przeznaczano. Skrajnie gospodarstwa musiały obsadzać odpowiednimi ludźmi. Współpraca moja z ludźmi w Państwowych Nie-  
ruchomościach Niemieckich układała się bardzo dobrze. Pracowało mi się tam znakomicie. Następnym razem poprosił mnie bardzo. Miałam pracę, która mnie ogromnie interesowała i pochłaniała mnie całkowicie. Byłem ogromnie zajęty. Tylko w godzinach rannych przebywałem w moim pokoiku, tak swojej kancelarii, w której załatwiałem różne sprawy bieżące, polegające na tym, że kontaktowałem interesantów, którzy zgłaszali się do mnie do pracy na tych czy innych stanowiskach. Chodziło tu oczywiście o ludzi chcących pracować tylko w terenie, to znaczy w majątkach. Jeżeli był ktośkolwiek, kto chciał pracować w mieście, to znaczy gdzieś w biurze w zarządzie, tego kierowałem do Opola, gdzie ewentualnie mógł znaleźć posadę w księgowości lub w dziale technicznym. Nasz, czasu zarządcy spychałem w terenie, czasami nawet nocowałem gdzieś w majątku. Musiałem przecież bardzo dokładnie majątki te poznać i dopasować do ich wielkości i wartości odpowiednich administratorów. Były to sprawy czysto organizacyjne, które najbardziej przecież odpowiadały mojemu usposobieniu i moim zamiarom. Stosunki moje z Zarządem Okręgowym w Opole ułożyły się całkowicie bez zarzutu. Z cudzoziemcami byłem z dyrektorem Śląskim i jego następcą, tak samo z naczelnikiem wydziału rolnego, który raczej tylko nadzorował gospodarstwa i dawał pewne kierunki gospodarowania. Był to świetny rolnik i administrator, Henryk Wzrus.



Jeśli chodzi o obsadę pracowników administracyjnych - z tym również nie było kłopotów. Wówczas bardzo dużo ludzi przyjechało ze wschodu, z ziem zagarniętych przez Związek Radziecki. Wszystko to jechało tu na zachód i szukało różnych stanowisk, posesji itd. Przyjechało również dużo ziemian, wielu dawnych administratorów dużych polskich majątków. Byli to wszystko ludzie jak najlepiej wykwalifikowani, więc nie było żadnych trudności z obsadzeniem stanowisk: administratorów czy rządców tych gospodarstw. Jeżeli chodzi o pracowników fizycznych, to również nie było większych trudności, bo przede wszystkim na Śląsku pozostało bardzo dużo autochtonów, Polaków osiadłych dawno na tych ziemiach, ludzi, którzy czuli się Polakami, tych którzy w swoim czasie przeprowadzali powstania śląskie. Ci wszyscy pracowali na swoich gospodarstwach indywidualnych, lub w majątkach. Pod tym względem nie odczuwano się z tej racji braków. Jeździłem dość często do Opola, aby się porozumieć z naczelnikiem Mazurem, lub z samym dyrektorem Śląskiem, czy to w sprawie samej organizacji, czy też w związku z zaopatrzeniem, z którym wówczas było wiele trudności. Sprawy finansowe zostały rozwiązane w bardzo prosty sposób. A mianowicie - każdy majątek musiał być finansowany, musiał mieć pieniądze na wydatki bieżące lub na płace dla pracowników. Ponieważ nie były jeszcze należycie zorganizowane sprawy finansowanie zespołów majątkowych, więc w pierwszym stadium, na początki samej organizacji ich zagospodarowywania, otrzymywaliśmy w Opolu pewne sumy pieniędzy. Jadąc do Zespołu omawiałem z administratorem jakie są potrzeby i jakich sum trzeba na bieżące wydatki. Dawałem mu z tych pieniędzy, które w Opolu dostawałem, sumy zaliczkowe biorąc oczywiście wzmiankę o powzięciu i z sum tych on później musiał się odpowiednio wyliczyć, przy pomocy już wtedy posiadanej w Zespole księgowego. Dla ułatwienia tej sprawy, i żeby nie jeździć z większą sumą pieni-

dzy, w miejscowym Banku w Gliwicach otworzyłem konto na swoje nazwisko, no i w razie potrzeby dawałem takiemu administratorowi albo czek, albo też wiedząc, że gdzieś będą pieniądze potrzebne, wyjeżdżając podnosiłem odpowiednią sumę i tam zwoziłem. Te wyjazdy moje nie były trudne, ponieważ cały czas dysponowałem samochodem, którego mi udzielił, do całkowitej mojej dyspozycji, miejscowy komisarz ziemski. Majątki na ogół były już jako tako zagospodarowane, to znaczy częściowo już poobsiewane w 45 roku, nie było mimo to dużo piaszczy odłogów i pól zapuszczonych. Co ciekawe, pola były zachwaszczone, szczególnie ognicha, ponieważ zazwyczaj tak bywa, że pola o bardzo wysokiej kulturze, gdy nie są obsiane, to silnie rzucają się na nie chwasty, a szczególnie ognicha, która na wiosnę pięknie zakwita. Pola ślicznie wyglądały, całe były w kolorze żółtym. Z daleka wydawało się, że to kwitnie rzepak. Tymczasem to była ognicha, którą trzeba było odpowiednio likwidować zagospodarowując należycie majątek. Trudność głównie polegała na zaopatrzeniu majątków w sprzęt i inwentarze żywe: więc konie, bydło i świnie, no ale i z tym pomalutko też dawało się radę. Przede wszystkim znalazło się dość dużo porzuconych przez Niemców traktorów, które trzeba było remontować i uruchamiać. Tworzyło się więc w majątkach od razu pod ręczną własną warsztatami, stalmaszarnie, itp. Główne warsztaty były organizowane przede wszystkim w Opolu, więc traktory lub inne maszyny z większymi uszkodzeniami wysyłało się do Opola. Z ogromną pomocą w tych początkowych okresach gospodarowania w majątkach przyszła UNRRA. Dostaliśmy od niej wówczas świetne konie. Niestety, transport ich był tak przeprowadzony, że wiele z nich zginęło, bo w wagonach nie było odpowiedniego nadzoru, konie były nie karzione, nie pojone, jechały bardzo długo, więc dużo koni się pomarnowało. Tym niemniej otrzymaliśmy ich dużo i to pierwszorzędnych. Trochę



było i młodego bydła, ale z tym były większe trudności. Po pewnym czasie dostaliśmy również traktory amerykańskie. Były to pierwszorzędne, lekkie traktory, które kolosalnie ułatwiały pracę w majątkach i świetnie się nadawały na te niezbyt ciężkie ziemie w gliwickim i bytomskim, a tym bardziej w powiecie strzeleckim. Trudności w mojej pracy jedynie sprawiały miejscowe władze - starostwa powiatowe - które do wszystkiego chciały się wtrącać. No i oczywiście wszędzie się panoszyło UK. Miała tu dwa znamienne zatargi. Pierwszy w majątku Mikulczyc pod Zabrzeczem, w powiecie bytomskim. Była tam czynna bardzo duża i dobra gorzelnia, i koniecznie majątek ten chciał odebrać Monopol Spirytusowy. Otrzymałem nawet takie zarządzenie od miejscowego starostwa. Ja się nie bardzo na to godziłem i chcąc sprawę ułatwić pojechałem do Warszawy do Maringe'a. Zarząd Główny PZK nadal zasadniczo znajdował się w Poznaniu, ale Maringe - jak zwykle - od czasu do czasu przyjeżdżał do Warszawy. Urzędował tu przez dwa-trzy dni, ale już nie w Ministerstwie Rolnictwa, ale w jakimś lokalu na ulicy Nowogrodzkiej pod numerem 4. Wiedząc, w których dniach bywa w Warszawie i kiedy można go zastać, pojechałem do niego. Pierwszą rzecz powiedział mi: "pewnie przyjeżdża pan do mnie, żeby pan przeniósł, tak jak to panu obiecałem, na Wybrzeże". "Aprzeciwiłem, powiedziałem że nie, że nie należy mi na tym, że wciągnąłem się już do pracy na Śląsku. Świetnie mi się pracuje z dyrektorem Śląskiem no i chciałbym już na Śląsku pozostać. To ucieszyło Maringe'a, no ale powiada "wobec tego, po co pan do mnie przyjeżdża". Wówczas przedstawiłem mu całą sprawę Mikulczyc, że byłoby dla nas bardzo niekorzystnie oddawać ten majątek, dlatego że w bytomskim był niewielki stosunkowo zespół i oddanie go bardzo by go osłabiło. Maringe powiedział, że zna już tę sprawę, że ma z nią duże trudności, ale skoro ja tak sprawę przedstawiam i nalegam, to w każdym razie te Mikulczycy pozostaną przy nas. I rzeczywiście

tak się stało, choć niestety niedługo ten majątek był w PNE i już po roku musieliśmy jednak przekazać go do Monopola Spirytusowego. Drugim moim zatargiem, oczywiście poważniejszej natury, był zatarg zarówno z powiatem bytomskim, jak i gliwickim, na temat bydła. Mianowicie chodziło o to, że w zespole bytomskim, w Ptakowicach, było już dość dużo bydła, a aleko było odstawiane do Bytomia. Natomiast jeśli chodzi o zespole gliwickie tam bydła prawie zupełnie nie było, wydałam więc zarządzenie, żeby część bydła z gospodarstwa w Ptakowicach została przetrzucona do majątku w powiecie gliwickim. Powstał o to cały rwetes, dlatego że sprzeciwił się temu starosta bytomski, że ja tutaj jeemu ogalacem jego powiat i zwrócił się z tym do starostwa gliwickiego. Oczywiście starostwo gliwickie stanęło po stronie starostwa w Bytomiu i wydano polecenie zwrócenia bydła z powrotem do Bytomia. Ja kategorycznie się temu sprzeciwiłam, i wobec tego starosta gliwicki odwiadczył mi, że pośle milicję, żeby to bydło zabrała i odstawiała z powrotem do Bytomia. Stawiałam się tutaj ostro, dowodząc zwyczajnie, że przecież zarówno jeden, jak i drugi majątek, niezależnie od tego w którym leży powiecie, administrowany jest przez Państwowe Nieruchomości Ziemskie, więc chyba my mamy prawo dysponować tym bydłem dowolnie, tak jak to jest dla naszych gospodarstw potrzebne. Nie trafiło to jednak im do przekonania i zagrozili, że o ile w ciągu dwóch czy trzech dni tego bydła nie odeślę z powrotem do Ptakowic, to zabiorą milicyjnie. Wówczas niedługo namyślając się, poleciałam do prokuratora w Gliwicach. Przedstawiłam mu całą sprawę, powiedziałam, że uniemożliwia mi na prowadzenie prawidłowej gospodarki. Prokurator znów w miejscowej milicji polecił zabezpieczyć to bydło w gospodarstwie w Flawniowicach i absolutnie nie pozwolił, aby było ono ruszone, aż do decyzji prokuratury w Gliwicach. W tej sprawie prokurator gliwicki porozumiał się z prokuratorem bytomskim, i w każdym razie stanęło na moi i bydło zostało w majątku Flawniowice. Podobnych zatargów z miejsc



wymi władzami było dużo. Były to jednak drobiazgi, które tak czy inaczej uważało mi się pożyślnie załatwić. Najczęściej władze miejscowe, milicyjne lub Urzędu Bezpieczeństwa, dopominały się o wydanie z gorzelni spirytusu, z tego czy innego tytułu, na taką czy inną uroczystość. No oczywiście kategorycznie odmawiałem, ponieważ wówczas już urzędował Monopol Spirytusowy, gorzelnie były planowane i znajdowały się pod kontrolą odpowiednich inspektorów, więc w ten sposób się tłumaczyłem, że wydawać nie mogę i niech się zaróca w tej sprawie do Monopola, bo on tym dysponuje i niech wydaje jak uważa. Tłumaczyli mi, że przecież wiadoma rzecz, że gorzelnia zawsze potrafi jakoś na lewo ten spirytus wyciągnąć, więc mógłbym to dla nich załatwić. Wówczas kategorycznie na to odpowiadałem, że "jakoś, namawiając mnie do złodziejstwa, czy coś w tym rodzaju", że absolutnie nie mogę się na to zgodzić, a ponieważ uważają się za gospodarzy powiatu, w ogóle za gospodarzy terenu, więc dam im smaczoch, niech tam poślą milicję, która ten spirytus gwałtem odbierze, ale ja zgodzić się na to nie mogę. Tego rodzaju spraw było bardzo dużo, ale to mnie podniecało, dodawało bodźca do pracy i na ogół byłem bardzo z niej zadowolony. Muszę tu stwierdzić, że miałem na ogół bardzo sympatycznych i porządnych współpracowników, zarówno w Zarządzie w Cpolu, jak i w Zespołach. Wszyscy ci ludzie byli na poziomie, a poza tym byli to bardzo sympatyczni, pracowali z całkowitym oddaniem i po pewnym czasie widać już było ogromną zmianę we wszystkich posiadanych przez PNZ gospodarstwach rolnych. Wszędzie zauważało się, że gospodarstwo rozwija się pełną parą. Zaraz na początku 45 roku przejęliśmy tylko gospodarstwa całkowicie opuszczone, ponieważ, podlegające zasadniczo wydziałom powiatowym w poszczególnych starostwach. Jak już zaznaczyłem siedzieli tu nasi administratorzy, którzy tam się ulokowali, ale nie bardzo wiedzieli co mają ze sobą robić. Poza tymi majątkami był cały szereg innych

gospodarstw, już objętych przez najrozmaitsze instytucje, takie jak różne kopalnie, huty i inne instytucje państwowe, nie wyłączając administracji, jak również milicji czy UB. Te gospodarstwa od samego początku były na ogół lepiej zagospodarowane. Ich posiadaczom właściwie zależało tylko na tym, żeby wyciągnąć z nich jak najwięcej. Przede wszystkim warzywa i owoce i ewentualnie mleko. Instytucje te dysponowały dużymi funduszami, więc finansowały je dobrze, przez co zagospodarowywane były w szybszym tempie, niż się to nam udawało. No i przede wszystkim mieli dobrych administratorów, ponieważ dawniejsze ziemiaństwo, bo które uciekło ze swoich majątków, zapisywało się często do Polskiej Partii Socjalistycznej i obejmowało w tych majątkach odpowiednie funkcje administracyjne. Zdawało się im, że w ten sposób zabezpieczą się przed ustąpieniem do Polskiej Partii Robotniczej. Gdy przyjechałem na początku 46 roku na Śląsk, to jak wspominałem prawie nie było w majątkach wojsk sowieckich. Na moim terenie tylko jeden majątek był przez nich zajęty. Siedzieli tam, niewiele co gospodarowali i podlegali jakimś pułkownikowi w Gliwicach. Musiałem z nim nawiązać kontakt, ponieważ zajęli majątek, ale w nim nie gospodarowali, i musieliśmy go sami zagospodarować. Zwróciłem się do tego pułkownika, żeby jak najprędzej tych żołnierzy stamtąd zabrał, aczkolwiek muszę przyznać, że zajmowali tylko budynki mieszkalne i nie przeszkadzali, a nawet pomagali. W wielu wypadkach korzystałem na przykład z pomocy wojskowego weterynarza, nawet bardzo sympatycznego oficera, kapitana czy majora, który mi kresztą oświadczył, że niedługo będzie musiał wyjechać, dlatego że został skazany na 10 lat obozu, ale jakoś się tym nie przejmował. Spytałem go, dlaczego tak obojętnie o tym mówi. Powiedział, że w jego zawodzie to jest całkiem obojętne, czy on siedzi przy wojsku, czy będzie w obozie, bo wszę-



dzis są takie czy inne inwentarze i wszędzie będzie pracował w swoim fachu jako weterynarz. Przy okazji będzie z tej rasyi dostawał większe racje żywnościowe. W miastach natomiast było jeszcze bolszewików bardzo dużo. Zajmowali oni wiele budynków, byli skoszaroni. Był tam i cały sztab. Na ogół jeżeli chodzi o dzień to ich się niewiele na ulicach widywało, ale wieczorami chodzenie po ulicy było niebezpieczne, ponieważ stałe były napady i najgroźniejsze rabunki, a przede wszystkim odbierano ludziom zegarki. Na zegarki i rowery były takie specjalne polowania. I ja również miałem takie niezbyt przyjemne zdarzenie, które aresztą zakończyło się bardzo szczęśliwie. A mianowicie wracałem kiedyś do domu, gdy mieszkałem już w nowym mieszkaniu i przechodziłem przez taki, duży, plac zupełnie pusty. Podeszło do mnie dwóch żołnierzy i zapytali, która jest godzina. Chciałem wyjąć zegarek i zobaczyć, ale wtedy coś mi tknęło i powiedziałem "a, psia krew" i zakląłem jeszcze bardzo nieładnie po rosyjsku i powiedziałem "nie wziąłem zegarka, zostawiłem w domu". Po od razu pomyślałem, że jak wyjmę zegarek z kieszeni, to momentalnie mi go odbiorą. Zorientowałem się w tym w ostatniej chwili. Popatrzyli na siebie, powiedzieli "żal, żal" i poszli sobie dalej, a ja zadowolony wróciłem do domu. To było moje jedyne drobne zajście z bolszewikami, a poza tym byłem z nimi w bardzo dobrych stosunkach i często musiałem się widywać z tym pułkownikiem, który o ile sobie przypominam, nazywał się Koniszarow, i kiedyś mi tak w osteryjczy pochwalił się, że nie jest takim nowym oficerem, ale jeszcze starym - z carskiej armii. Powiedział mi to z taką dumą, że mi się to ogromnie w nim podobało.

Niezależnie od bardzo absorbującej mnie pracy, musiałem pomyśleć również o jakimś urządzeniu się i zagospodarowaniu osobistym. Żona cały czas mieszkała w Warszawie, a ja tutaj byłem sam na tym właści-

wie cudzym gospodarstwie, więc musiałam przecież pomyśleć o jakimś mieszkaniu i lepszym urządzeniu się raczej tu w Gliwicach. Gliwice było to duże przemysłowe miasto, położone bardzo blisko dawnej granicy polskiej. Było ono w tym czasie już całkowicie zamieszkałe, przede wszystkim przez ludzi z Małopolski Wschodniej. Bardzo dużo było tu lwowiaków, a poza tym spotkałam tu wielu znajomych, a więc dwu czy trzech adwokatów, kolegów mego brata Piotra z Wilna. Spotkałam również i swoich znajomych, więc nawiązałam tutaj bliskie stosunki towarzyskie, tak że wieczory zwykle spędzałam poza domem. Niezależnie jednak od tego wszystkiego musiałam zdobyć jakieś mieszkanie, żeby sprowadzić żonę i jakoś się urządzić na stałe. Gliwice dziwnie jakoś - prawie nie były zniszczone przez bolszewików, ani podczas akcji wojennej ani nie były spalone. W związku z zajęciem Gliwic przez rzyjczdnych, oraz z powodu pozostania tu na miejscu wielu autochtonów o mieszkanie nie było już łatwo. Tym bardziej, że bardzo dużo mieszkań zostało już zabezpieczonych przez najrozmaitszych ludzi, którzy wcześniej do Gliwic przyjechali i na wszelki wypadek te mieszkania zajmowali. Czasem robili to dla swoich jakichś krewnych, którzy ewentualnie mogliby tutaj do Gliwic przyjechać. Jeżeli chodzi o meble, to zostały one gruntownie rozszabrowane, względnie doprowadzone już do stanu nieużywalności. Mimo to udało mi się dostać całkiem ładne mieszkanie na takiej ulicy długiej. Dlaczego ona się tak właśnie nazywała - nie wiem, dlatego że była to mała, krótka uliczka, położona w takiej cichej dzielnicy willowej, gdzie dom stanowił część składową długiego bloku, który Niemcy budowali w swoim czasie dla robotników. Mieszkanie było samo w sobie oddzielną częścią tego bloku. Składało się z piwnicy, parteru i I piętra. Na dole były dwa pokoje i kuchnia, a na górze - dwa pokoje, łazienka i jeszcze dodatkowy, jakby słuźbowy, mały



pokeik. Był również do wyłącznego mojego użytku także strych, i za domem ogródek. Mieszkanie to bardzo mi się podobało no i chciałem je zdobyć, a mogłem je mieć stosunkowo łatwo, gdyż należało ono do takiego faceta, który już sobie, zdaje się, mieszkanie jakieś zabezpieczył, a to mi odstąpił dość tanio, ponieważ sądził ode mnie tylko jednego kwintala rzepaku. No rzepak udało mi się dostać z majątku. Kupiłem ten metr rzepaku i oddałem mu. On zdaje się kombinował dla siebie ciejarnię no i potrzebował rzepaku, a bezpośrednio z majątku dostać go było dość ciężko. Zapłaciłem mu w ten sposób no i dostałem mieszkanie. Było ono jednak prawie zupełnie puste. Zostało tam jedynie łóżko, jakąś tam małą szafeczkę, dwa czy trzy krzesła, jakiś tam sarny stół, więc musiałem pomyśleć o meblach. Z tym też właściciel nie miał żadnych trudności, ponieważ administratorzy, którzy wcześniej przyjechali do Glinic, na początku czy w połowie 45 roku, brali tych mebli podostatkiem, z porzuconych i opuszczonych przez Niemców pałaców. Mebli

i mieli nie tylko pięknie u... .. znowywali je również w piwnicach lub na strychach. A poza tym łatwo było różne rzeczy nabycić na takich targach, które dwa razy w tygodniu odbywały się w mieście, gdzie wszystko właściciel można było kupić od wyprzedających się autochtonów. Ponieważ w poszczególnych majątkach również miałem możność wybrania sobie dowolnej ilości mebli, jakie chciałem, więc raczej pozostawiłem to do przyjazdu żony, żeby ona wybrała sobie, co będzie się jej podobało. Tymczasem umeblowałem dla siebie tylko jeden pokój, żeby gdzieś mieć też dach nad głową. No i pierwszą rzecz poszedłem na pocztę z prośbą o założenie telefonu, co zresztą zostało mi załatwione w ciągu kilku dni. Po tym wszystkim zwolniłem się na parę dni w Zarządzie Okręgowym i ruszyłem do Warszawy po żonę. Zabrałszy swoje bardzo niefortunne sukienki no

i przyjechaliśmy na stałe do Gliwic. Zaraz w następnych dniach wyruszyliśmy z żoną do tych majątków, gdzie można było dostać najlepsze meble. No i w Pławniowicach u bardzo miłego i sympatycznego Jasia Nawrockiego wybraliśmy piękne meble z pałacu Pławniowickiego i rzeczywiście zaopatrzyliśmy się pod dostatkiem w piękne antyczne meble różnego rodzaju. Część mebli wzięliśmy jeszcze z innego majątku w Rudzińcu. Drobiazgi gospodarcze, jak talerze, szklanki, widelec, itd. kupowaliśmy na targach, zarówno w Gliwicach, jak i w Opolu. Nie było żadnych trudności pod tym względem i rzeczywiście wszystko mogliśmy sobie zakupić. W ten sposób urządziliśmy sobie przyjemnie i ładnie nasze mieszkanie. A oprócz tego zaraz na wiosnę doprowadziliśmy do porządku ogródek. Było tam kilka drzew owocowych, truskawki, było trochę porzeczki no i oczywiście posieliśmy warzywa. Również mieliśmy swoje kury, ponieważ był taki mały budynek gospodarczy, przylepiony do domu od strony ogródka. No i później musiałem również pomyśleć o samochodzie. To też nie było takie trudne, ponieważ ogłosiłem, że szukam właśnie samochodu i zaraz zostałem zawiadomiony, że tutaj gdzieś w lesie, niedaleko od Gliwic, leży wrak czterocylindrowej Hanay. Poprosiłem takiego miejscowego mecenasika, który był jednocześnie szoferem komisarza ziemskiego, pojechałem razem z nim do tego lasu. No i rzeczywiście zobaczyliśmy samochód, który był w zupełnie dobrym stanie, ale oczywiście leżał gdzieś w lesie dłuższy czas na powietrzu, więc stan jego był już nienadzwyczajny i trzeba go było doprowadzić do porządku. Ściągnęło się go do Gliwic i przeprowadziło bardzo dokładny remont. Tutaj popełniłem bardzo duże głupstwo, no zarejestrowałem ten samochód nie na siebie, a na Zarząd Okręgowy. Oczywiście byłoby znacznie korzystniej, gdyby go zarejestrował na siebie, ale liczyłem się z tym, że musiałbym wtedy mieć szofera,



bo trudno byłoby mi cały czas jeździć samemu bez niego. Musiałabym wówczas tego szofera opłacać, a ponieważ zarejestrowałam go na Zarząd Okręgowy, to Zarząd ten zaangażował dla mnie również szofera, opłacanego przez Zarząd w Opolu. Miałam zupełnie porządkny kryty garaż, który był niedaleko mojego mieszkania. Wadą było to, że nie był ten garaż ogrzewany, no ale to nic a nic nie przeszkadzało. Szoferem moim był sympatyczny chłopak, Polak, żołnierz byłej armii niemieckiej, lotnik, który w swoim czasie był strącony nad Włochami no i tam już zgłosił się do dowództwa polskiego. Po demobilizowaniu przyjechał do domu do Gliwic i zaangażował się do mnie jako szofer. Był to zupełnie dobry szofer i parę lat z nim jeździłam, aż do końca pobytu mojego w Gliwicach. W ten sposób całkiem dobrze się zagospodarowałam i urządziłam. Mieszkałam się tam w Gliwicach bardzo dobrze. Mielisz tu bardzo dużo sympatycznych znajomych, no i zabrałam się przede wszystkim bardzo gorliwie do mojej pracy w PZSach. Praca i stosunki z miejscowymi administratorami i Zarządem Okręgowym, jak już mówiłam, układały się bardzo dobrze i w ogóle pod każdym względem życie ułożyło mi się bardzo dobrze i szczęśliwie. Trudności napotykałam jedynie w stosunkach z miejscowymi władzami administracyjnymi, które lubiły się strącać do naszych spraw gospodarczych, więc musiałam się przed tym bronić. Poza tym były tego rodzaju nieprzyjemności, jak na przykład fakt, że w jednym z majątków parę koni i kilka krów była utrzymywana dla miejscowego starosty, który był ich właścicielem, jak również milicji, czy sekretarza partii, lub pracownika UB. Nie wiedziałam, jak tę sprawę rozwiązać, a administrator tłumaczył się, że nie mógł odmówić tym osobom, bo inaczej popsułby sobie stosunki. Jednakże niedopuszczalne było, żeby majątek utrzymywał cudzy inwentarz. Napisałam to w sprawozdaniu. Dyrektor się nieco na to krzywił, bo też nie wiedział, jak tę całą

sprawę załatwić. Podałem mu taką myśl, żeby napisać do administratora pismo, na podstawie mego sprzeczania, że niedopuszczalne jest wydawanie pieniędzy państwowych na utrzymywanie obcych inwentarzy, więc jeżeli administrator uważa to za wskazane i możliwe, to owszem, ale wówczas należy wyznaczyć za to pewną opłatę. Jednakże wskazane byłoby, żeby inwentarz ten został przez właścicieli zabrany. Dopilnowałem tego no i z pewnym zatargiem, biorąc na siebie całą winę, porozumiałem się ze starostwem w Strzelcach i innymi i po pewnym czasie rzeczywiście inwentarz ten został zabrany. Wspominałem również, że były trudności na temat spirytusu w gorzelniach, gdyż zawsze przy każdej uroczystości żądano od nas pewnych ilości spirytusu, ale oczywiście nieoficjalnie. Tu też wykręcałem się, ponieważ twierdziłem, że od nas to nie zależy, że gorzelnie podlegają Monopolowi, więc radziłem, żeby zwrócili się o to do Monopola Spirytusowego. Kiedyś, w innym znów zespole miałem inny incydent. Mianowicie przyjechałem wieczorem i nocowałem w majątku pana Polowya. Zostałem tam wjeżdżając na podwórce już trzy samochody osobowe, a szofer powiedział mi, że to zjechała tutaj cała "władza" powiatowa, ponieważ jeden z samochodów jest starosty, drugi komendanta milicji, sekretarza UM itd. Zostałem licznie towarzysząc przy stole biesiadnym, auto zastawionym, popijające sobie wódeczkę. Starostę, miejscowego już znałem dobrze, więc on gdy zobaczył mnie - ucieszył się i powiedział: "przyjechał tu inspektor, to wszystko nam pozyskanie załatwi". Chodziło mianowicie o to, że urządzali oni loterię fantową na jakiś cel, nie pamiętam już, o co tam chodziło, i chciał żeby majątek dał jakieś fanty, powiedzmy metr abośa, kilka metrów ziemiaków, czy parę przyników, może jakiegoś cielaka i tak dalej. Ja w pierwszej chwili oświadczyłem, że naturalnie, zrobię to z największą przyjeannością i dziwię się, że administrator na to się nie



gedzi, bo przecież to można zawsze załatwić. "No widzi pan" - powiedział od razu starosta - "wiedziałem, że z pana łatwo da się to załatwić". "No dobrze ale na to musimy uprzednio spisać protokół. Napiszemy protokół, że tak i tak, zjechali tu tacy a tacy panowie, oświadczyli, że żądają wydania takich a takich inwentarzy i takich a takich przedmiotów na cele społeczne, i na podstawie tego protokołu administrator będzie zmuszony wydać te rzeczy." Na to powiedzieli, że oni nie mogą takiego protokołu podpisać, ponieważ to jest niezgodne z prawem, gdyż tutaj te fanty daje się dobrowolnie. Na to znowu oświadczyłem, że ani ja, ani administrator, nie możemy w ten sposób rozdawać mienia państwowego, i niech się z tym zwrócą do Zarządu Okręgowego. Jak Zarząd pozwoli, to my wydamy bardzo chętnie. I oczywiście w ten sposób cała ich prośba spaliła na panewce, ponieważ oficjalnie takiego listu do Zarządu Okręgowego wysłać nie mogli, a jeśli by nawet wystąpili, to spotkaliby się tam z odmową. No i w ten sposób i ten incydent również został jakoś załatwiony. Takich spraw, nie należących do przyjeźności, było dość dużo i dość często się zdarzały, no ale ja je łagodziłem, lub jakoś załatwiał je sam administrator, a ja mu w tym pomagałem. Było też parę takich wypadków, że z tych lub innych względów, zupełnie niesłusznie, był taki administrator czy kierownik gospodarstwa zatrzymywany przez UB, wówczas musiałem interweniować i ostro występować. tłumaczyłem, że winy z punktu gospodarczego nie było, składałem takie oświadczenie na piśmie no i zazwyczaj udawało mi się takiego delikwenta obronić. Jeżeli zaś posądzany był o jakieś sprawy polityczne, to sytuacja już była beznadziejna, i musiałem się z tym pogodzić, że takiego faceta zamykano. Bardzo często bywało tak, że po odsiedzeniu po pewnym czasie takiego je-gomością zwalniano i powracał on do swojej roboty i pracy w majątku.

Muszę tu stwierdzić z całą stanowczością, że pracowało się

wówczas bardzo dobrze. Wszyscy pracowali z całym poświęceniem. Wszystko zależało na tym, aby zagospodarować jak najlepiej te majątki, nie oglądając się na żadne sprawy polityczne, bo zależało tylko na tym, aby te gospodarstwa doprowadzić należycie do porządku. Rzeczywiście praca ta dawała wspaniałe rezultaty i majątki z każdym rokiem a nawet miesiącem wyglądały coraz lepiej i prosperowały bez zarzutu. Na ogół w terenie panował spokój. Od czasu do czasu był on zakłócany jakimś satargami lub wystąpieniami jakichś tam tajnych oddziałów niemieckich, a bardzo często - organizacji opozycyjnych w stosunku do ustroju. Wtedy występowało tam KBW i UB, zaraz kogoś aresztowano i najczęściej potem w okolicy na dłuższy czas panował spokój i nie było już żadnych sbrojnych satargów, ani żadnych walk czy czegoś w tym rodzaju.

Należy tu stanowczo stwierdzić, że główną zasługę szybkiego, należytego i właściwego zagospodarowania wszystkich użytków ziemskich należało przypisać przede wszystkim wzorowej administracji, zarówno w terenie jak i w Zarządzie Okręgowym, a przede wszystkim w Zarządzie Głównym w Poznaniu z Maringe'em na czele. Byli to przede wszystkim wybitni ludzie, którzy wyłącznie zależało na należytej pracy. Pracowali oni z całkowitym poświęceniem, bez względu na panujące już wówczas przykre stosunki. W początkowym okresie mojego pobytu w Gliwicach, nie pamiętam już daty, odbyły się wybory do Sejmu. Wybory te miały być przeprowadzone pod kontrolą komisji alianckich, zgodnie z odpowiednimi układami jaltańskimi. Muszę jednak stwierdzić, że ani w okresie tzw. kampanii wyborczej, ani podczas samych wyborów nigdy z żadną komisją, z żadną kontrolą w lokalu wyborczym się nie spotkałem, jakkolwiek byłem ciekaw, jak to się odbywało i zagiądałem do niejednej komisji wyborczej w Gliwicach. To te wybory te nie miały absolutnie nic wspólnego z żadnymi demokratycznymi, tajnymi wyborami, jakkolwiek było wówczas kilka list



wyborczych, nie to co obecnie. Obecnie głosuje się na jedną listę wyborczą, a raczej na z góry wyznaczonych kandydatów. Więc nie ma tutaj żadnych wyborów, ponieważ nie ma między kim wybierać, bo nie ma ani takiego czy innego stronnictwa, tylko z góry wyznaczeni ludzie. W rezultacie zupełnie jest obojętne, czy w tym Sejmie zasiądzie "x" czy "y", dlatego że on ma i tak te same poglądy polityczne, czy też je udaje, ponieważ to jest mu wygodne, ale nie stanowi żadnej opozycji, ani też krytykuje żadnych posunięć państwowych ani rządowych. Listę numer 1 miała Polska Partia Robotnicza, czyli PPR, czyli komuniści polscy. Lista numer 2 bodajże należała do Polskiej Partii Socjalistycznej, a lista numer 3 do Stronnictwa Ludowego, na czele którego właśnie wówczas stał Nikołajczyk - premier rządu londyńskiego. Następnie była jeszcze zdaje się lista jakiegoś Stronnictwa Ludowego, stanowiącego jakiś odłam przedwojennego Stronnictwa Ludowego. Było to stronnictwo bardziej radykalne, bardziej może zbliżone do przedwojennego "wyzwolenia", tylko może jeszcze bardziej lewicowe. Było to niby stronnictwo komunistyczne chłopskie, czy coś w tym rodzaju i trudno mi nawet ściśle określić co ono wówczas reprezentowało. Nie było żadnego stronnictwa prawicowego, więc nikt nie reprezentował tej ogromnej kiedyś partii Narodowej Demokracji, ani Chrześcijańskiej Demokracji, ani nikt ze strony prawicowej wśród tych kandydatów do Sejmu nie był reprezentowany. Było zdaje się jakieś Stronnictwo Demokratyczne, ale to też był taki twór sztuczny. Nie wiadomo kto reprezentował tych ludzi, a raczej co oni sobą reprezentowali. Kampania przedwyborcza odbywała się w ten sposób, że stronnictwa lewicowe prowadziły ją wyłącznie na listę Polskiej Partii Robotniczej, tylko oni mogli agitować i mogli się odbywać na rozmaite zebrania na których przemawiali różni dygnitarze, członkowie Rad Narodowych itd. Natomiast o ile chodzi o zebrania

Innych stronnictw to były one kolejalnie utrudniane. Szczególnie nie dopuszczano prawie zupełnie do zebrań Stronnictwa Ludowego, na co trzeba było uzyskiwać specjalne pozwolenia, z czym były wielkie trudności. Zwykle na takich zebraniach dochodziło do jakichś nieporozumień. Wówczas wkraczała milicja czy Urząd Bezpieczeństwa i takie zebrania rozpędzano. Stosunkowo łatwiej było urządzać zebrania Polskiej Partii Socjalistycznej, ale tutaj też były trudności. Szalenie utrudnione było również zgłoszenie listy wyborczej w terenie. Mianowicie zgodnie, zdaje się z przepisami i pragmatyką wyborczą na to, aby jakąś listę zgłosić, należało bodaj że mieć 500 podpisów. Zebranie tych podpisów było szalenie trudne dla tego, że jeżeli taką listę się ujawniało, że ktoś agitował, ktoś zbierał te podpisy, to zwyczajnie go zamykano, no i w rezultacie zebranie tej potrzebnej ilości podpisów było niemożliwe. Mogę się mylic co do ilości podpisów, ale to nie odgrywa większej roli, bo i tak do zebrań ich nie dopuszczano, i po prostu kandydatów podanych na takiej liście zamykano, czy to na dłuższy czas, czy krótszy - tylko na okres wyborczy - w każdym razie pozbawiano ich możliwości działania, agitacji i przygotowywania się do wyborów. No i poza tym przed samymi wyborami było wprost zastraszanie ludzi. Na przykład do mnie do mieszkania przyszło dwóch takich typów. Przede wszystkim kazali im zdjąć czapki. Powiedziałem im, że przychodzą do mieszkania prywatnego, więc wszelkiego rodzaju grzeczność i uprzejmość to nakazuje. Następnie zapytałem, o co im chodzi. Powiedzieli mi, że przyszli dowiedzieć się, na jaką listę będę głosował. Powiedziałem im, że to im nie może obchodzić, dlatego że zgodnie z Konstytucją i z pragmatyką wyborczą, wybory są tajne. Ja jeszcze sam nie wiem, na jaką listę będę głosował, muszę się zastanowić, ale w każdym razie nie mam zamiaru nikomu tego ujawniać i im o tym oświadczać. Więc wynieśli się z mieszkania jak niepyzani, ale widziałem, że byli



niezadowoleni i droili groźne miny w stosunku do mnie, ale niewiele sobie z tego robiłem. Przed samymi wyborami było podane do wiadomości, oczywiście nieoficjalnie, że wszyscy ci, którzy mają głosować na listę numer 1 mają się zbierać w różnych wyznaczonych na ten cel lokalach i pójść zaraz z samego rana, gremialnie, w porządku pochodzenia, i wszyscy razem będą głosować na jedynkę. W moim okręgu na ten cel była wyznaczona restauracja, niedaleko od mojego mieszkania, koło dużego placu. Trochę inaczej ta sprawa przedstawiała się w majątkach. Przede wszystkim pojawiała się ta sama samochodem niewielka grupa ludzi i oświadczała kierownikowi gospodarstwa, rzędcy lub administratorowi, że w dniu wyborów ma on zebrać wszystkich ludzi, wpakować ich na wozy i zawieźć do komisji wyborczych, nakazując im wszystkim głosować na listę numer 1. Jeżeli taki kierownik gospodarstwa tego odmawiał i mówił, że on tego nie zrobi, to wówczas zwyczajnie zabierano go i przetrzymywano w UB aż do końca wyborów. Czasem, gdy ktoś się postawił nieco ostrzej i kategorycznie protestował, mówił że do tego nie dopuści, ponieważ wybory są wolne, więc każdy człowiek ma prawo głosować na kogo mu się podoba, no to wtedy przetrzymywano go dłużej, czasem tydzień lub dwa. Spraw nie wytyczano, ponieważ nie było żadnej podstawy do oskarżenia, więc po przetrzymaniu takiego faceta puszczano go do domu, ale to już wpływało, może nie tak na niego samego, jak na otoczenie, w ten sposób, że ludzie się bali i stosowali się do wszystkich wydawanych im poleceń. Podobne historie odbywały się również na wsiach, gdzie sołtysowie polecano zebrać mieszkańców i zawieźć w ten sam sposób wszystkich, gremialnie do komisji wyborczej. Podczas samych wyborów, wbrew odpowiednim poleceniom i pragmatyce wyborczej, również stosowano różne naciski. Myśmy z żoną przygotowali sobie trójki no i po przyjeździe do komisji wyborczej otrzymaliśmy stemplowane koperty. Ja swoją trójkę włożyłem do tej koperty, wrzuciłem do urny i nawet nie zwróciłem uwagi, że koło urny stał jakiś młody człowiek i na nas się przyglądał. Ale gdy zaraz po mnie

swoją kopertę chciała wrzucić do urny żona, ten jejoność wyrwał jej tę kopertę z ręki i powiedział, że teraz głosować nie może, bo obecnie głosują tylko ci, którzy tu przychodzą, gromadnie i głosują na jedynkę. Oczywiście cała ta historia rozwścieczyła mnie prawie do nieprzytomności i zrobiłem w komisji wyborczej piekielną awanturę. Żądałem, aby tego faceta w ogóle z lokalu wyborczego wyrzucić, bo w ten sposób jakieś wolne, sprawiedliwe wybory nie mogą się odbyć. Uspokoił mnie tylko przewodniczący komisji, który mi powiedział: "Proszę pana, po co się tutaj denerwować, po co się złościć i przejmować, szkoda zdrowia, szkoda nerwów, przecież to i tak nie nie pomoże". I rzeczywiście to powiedzenie całkowicie mnie uspokoiło, jakby oblało zimną wodą, więc zabraliśmy się razem z żoną do domu. No ale przecież można sobie wyobrazić, ilu ludzi taki facet namstraszył i zmusił do głosowania nie na tę listę, na którą chcieli, a wprost i wprost nie na tę jedynkę. Ja na wszelki wypadek od razu zabrałem się z domu i wyjechałem samochodem w teren, bo nie byłem pewien, jaki będzie skutek tej mojej awantury, zrobionej w komisji wyborczej. No ale jakżeś to wszystko minęło szczęśliwie, nikt nie nie mówił i żadnych przykrych następstw dla mnie z tej racji nie było. W ten sposób te wybory się skończyły. No i były pierwsze wybory do Sejmu. Naturalnie najwięcej głosów otrzymała jedynka, ale dość dużo jednek głosów miało i Stronnictwo Ludowe Mikołajczyk i PPS. Tylko znikoma liczba takzwanym "posłów" była z innych mniejszych grup politycznych. Dziwił mnie tylko bardzo Mikołajczyk, bo od razu na pierwszym zebraniu Sejmu zabrał głos i z trybuny rozpoczął swoje przemówienie w ten sposób, że zwrócił się do tego tak wybranego Sejmu - "Wysoka Izbo". Jak to, ten człowiek, który reprezentował zupełnie inny odłam społeczeństwa polskiego, człowiek który przyjechał z Zachodu, który reprezentował rząd londyński mógł się zwracać do Sejmu w ten sposób wybranego. Przecież on został przysłany tutaj przez tych ludzi,



którzy tworzyli opozycję, był tutaj wyznaczony do takiej komisji kontrolnej przysłanej z Londynu przez aliantów. Jak on mógł zaakceptować te sfałszowane w stu procentach wybory i w ten sposób zwrócić się do Sejmu, zamiast tego żeby protestować i wolno, że się go nie uznaje. Wtedy musieliby się alianci tą całą sprawą jakoś zainteresować. Jednakże Nikołajczyk zaakceptował te wybory. Ten Sejm początkowo prosperował, ale też nie długo, bo już będąc po paru miesiącach całe Stronnictwo Nikołajczyka zostało wprost napadnię na lokal w Alejach Jerozolimskich zlikwidowane, kupę ludzi przy tym aresztowane, a Nikołajczykowi udało się zbiec za granicę. Później nastąpiło tzw. "złanie się" PPR z PPS i nazwano się PZPR to jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Powstało też Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, z połączenia się rękawych ludowców. Pozostało również Stronnictwo Demokratyczne. Nie mogę do dziś dnia zrozumieć, po co te dwa stronnictwa poza tym PZPR istnieją, kiedy one tak grają, jak taśta dyryguje. Jest to wazystko jedno stronnictwo, jedni ludzie, przez nikogo nie wybierani, a wprost odgórnie wyznaczani. Powinną rolę w tych wyborach odegrało też i wojsko, które w tym wypadku zostało dopuszczone do głosowania, choć poprzednio według polskiej konstytucji wojsko powinno było być apolityczne, apartyjne i w ogóle udziału w życiu politycznym nie brać. Tutaj wojsko zostało do wyborów dopuszczone, no a odbyły się one w ten sposób, że żołnierze całymi kompaniami prowadzeni byli do komisji wyborczych no i tam oczywiście kazano im wrzucić doręczone wprost do ręki kartki. No a trzeba tu zaznaczyć, że wtedy wojsko polskie obsadzone było głównie przez oficerów sowieckich i nie wiem czy 10 czy 15% było w tym przetrzejenych oficerów polskich. Na początku do wojska przyjmowano również oficerów AK, ale trwało to krótko, bo zaraz wytoczone im procesy, a przede wazystkim powyrzucano ich z wojska. Tymczasem zaś to całe wojsko ludowe polskie

był to odłam armii sowieckiej, prowadzony przez oficerów prawie wyłącznie sowieckich. Polscy oficerowie, którzy byli wówczas w wojsku, musieli się im również podporządkować, dlatego że w przeciwnym wypadku byli zaraz z wojska zwalniani do rezerwy, albo też wprost zaamykani, z tych lub innych powodów. Wszyscy zawodowi oficerowie Armii Krajowej, którzy wstąpili do wojska na samym początku jeszcze w roku 45 i obywatnie byli do niego przyjałowani, potem byli zwalniani. Nie słyszałem, aby któryś z tych, którzy w wojsku pozostał zrobił jednak jakąś większą karierę. To samo dotyczyło oficerów, którzy przyjechali z Zachodu. No ale wkrótce zostali pozwoleniani, a wielu z nich dostało się na dłuższe lata do wyczerpania.

Gdzieś pod koniec 46 roku nastąpiła zmiana dysekcji naszego Okręgu w Opolu. Dotychczasowy dyrektor Ludwik Ślaski odwołany został do Poznania i objął tam stanowisko naczelnika wydziału, natomiast na jego miejsce przyszedł Eugeniusz Klose, również bardzo miły, sympatyczny fachowiec i człowiek, z którym także bardzo dobrze i przyjaśnie się pracowało. Gdzieś w pierwszych dniach lipca 1947 roku zupełnie niespodziewanie nastąpiły aresztowania w zespole łaźniakim, a mianowicie w zespole położonym w bezpośrednim sąsiedztwie Gliwic. Został aresztowany administrator zespołu Janowski, jeden z pracowników majątku zespołowego, pan Zagajewski, oraz rzędecą jednego z majątków tego zespołu, również położonego bardzo blisko Gliwic. Jak później dowiedziałem się, nie był aresztowany, ale gdzieś znikł kowal z tego majątku. Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni i zaskoczeni tym wypadkiem. Głowiliśmy się o co tu chodzi, dlaczego nastąpiły te aresztowania, ale absolutnie nie mogliśmy się niczego domyśleć, bo wszyscy ci aresztowani ludzie byli właśnie bardzo spokojni, świetni fachowcy i o ile wiedziałem - nie wtrącali się absolutnie do żadnych spraw politycznych. Kilka dni później, któregoś dnia przed wieczorem, był u mnie akurat administrator z zespo-



tu Rudziniec, Bronic, no i siedzieliśmy i rozmawiali o różnych naszych fachowych sprawach. Naptem zjawili się u mnie jakiegoś dwu jegomościów, zapytali o moje nazwisko, powiedziałem im, zapytali, kto to jest ten pan, który tu jest, więc odpowiedziałem im, że jest to administrator i że omawiany tutaj sprawy klubowe. Potem poprosili nas obydwu, żebyśmy poszli razem z nimi do Urzędu Bezpieczeństwa tutaj w Gliwicach. Nie wiedziałem, o co tu chodzi, myślałem, że tu chodzi o jakieś wyjaśnienia w związku z tymi aresztowanymi. Powiedziałem sobie, że idę tutaj z tymi panami do Urzędu Bezpieczeństwa i przypuszczalnie wkrótce powrócę do domu. No niestety, tak nie było. Po przyjeździe do tego Urzędu od razu nas rozdzielono. Mnie zabrano do jednego pokoju, a Bronica do drugiego. Na razie o mnie nie było wypytywano, siedziałem i czekałem jakiś czas, a jakiś jegomość coś tam pisał i do mnie się nie odzywał. Po pewnym czasie przyszedł drugi, kazał mi oddać wszystkie znajdujące się przy mnie rzeczy, więc zrozumiałem, że zostałem aresztowany. No i zabrano mnie do samodzielnego osobowego i zawieleno do Katowic, do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Bronica już więcej nie widziałem, ale później dowiedziałem się, że został wówczas od razu zwolniony i powrócił do domu. w Katowicach, całkiem już wieczorem, nigdzie mnie nie przesłuchiwano a wprost zaprowadzono do celi, gdzie było kilku czy może nawet kilkunastu ludzi. Cella była dość duża, ale bardzo niewygodna, dlatego że była tylko jedna przyczółka, pochylona w stronę drzwi zbita z nieheblowanych desek. Ponieważ wszyscy już leżeli, kazano mi również kłaść się spać. Spanie to było bardzo niewygodne, dlatego że było bardzo ciasno, tak że musieliśmy się po prostu wgniść między śpiących, no a przy tym deski były nieheblowane i pochylone, więc człowiek obawiał się ciągle w dół, przy tym byłem bardzo zdenerwowany. Nie wiedziałem przecież, o co chodzi, jak długo ta "przyjemność" potrwa, więc to spanie było bardzo problematyczne. Na drugi

éxiéń rano, zaraz po śniadaniu, to znaczy po kawie z razowym calem-  
ben, zostałem wywołany i zaprowadzony na któregoś tam piętro, do ja-  
kiegoś pokoju, gdzie przy biurkach siedzieli trzech czy czterech  
jegośośców. Jeden z nich wskazał ręką krzesło naprzeciwko swojego  
stolika, kazał mi usiąść i zaczął takie przesłuchanie. Przede wszyst-  
kim spisał dokładnie wszystkie moje personalia; czyta się zajmuje,  
co robię w Państwowych Kieruchomościach Ziemi. Później raptem  
zadał mi pytanie, jak się nazywał kowal w takim i takim majątku  
i czy ja w ogóle go znam, więc powiedziałem, że oświadczyć go nie  
znam, wiem że był taki kowal, ale nie wiem nawet dokładnie, czy  
tak się nazywał, jak mi to później podał ten zwany oficer śledczy.  
Oczywiście musiałem go widywać będąc w majątku, dlatego że jeżdżąc na  
inspekcje w każdym gospodarstwie zawsze oglądałem nie tylko tę część  
rolną, ale tak samo wszelkiego rodzaju warzaty. Za każdym razem  
oczywiście bywałem i w kuchni, widziałem tam pracujących ludzi, ale  
który jest tym kowalem, o którego w tym wypadku chodzi - to nie  
wiem. Następnie dał on spokój z tym kowalem, widocznie zadowolona  
go ta moja odpowiedź, no i przeszedł na różne zarzuty pod względem  
gospodarstwa, że my tu gospodarujemy źle, niewłaściwie i tak dalej.  
Na te zarzuty oczywiście odpowiadałem mu bardzo energicznie, że to  
nieprawda, że przejęliśmy majątki zapuszczane, niezagospodarowane,  
a teraz tuż właśnie zapowiadają się bardzo dobre i burzajne i  
to wszystko jest nasza zasługa. Tego rodzaju przesłuchania odbywały  
się codziennie. A celowo znałem oczywiście ludzi, którzy ze mną  
siedzieli. Każdy z nich, jak opowiadał za co siedzi, to trudno było  
zrozumieć, o co tu chodzi i jakie było przez niego popełnione prze-  
stępstwo. Był nawet jeden pan przywieziony z Warszawy, rzekomo  
skazany na karę śmierci za jakieś tam nadużycia gospodarcze, w ja-  
kimś przedsi- biorstwie warszawskim. Był to bardzo sympatyczny, wy-



bitnie kulturalny i inteligentny jegomość i z nią najczęściej siedziałem i rozmawiałem. On liczył na to, że sprawa się wyjaśni i że mu zmienią ten wyrok śmierci na inny i że uda mu się z tego jakoś wykręcić, bo naprawdę nie rozumie o co chodzi, gdyż te wszystkie zarzuty jego stawiane są absolutnie bezpodstawne i niesłuszne. Nie pamiętam już jak jego sprawa się zakończyła i czy udało mu się jakoś z tych tarapatów wykąsać. Muszę tu przyznać, że przeprowadzane ze mną przesłuchania były bardzo zgodne i prowadzone w przyzwoitej formie, tak że pod tym względem absolutnie narzekać nie mogłem. Jeden tylko raz, któregoś dnia było w ten sposób, że kiedy mówiłem o nazwach gospodarstwach, w jaki sposób je zagospodarowywaliśmy i że wszyscy pracowali bardzo dobrze i gorliwie, jegomość z sąsiedniego biurka nagle się zerwał i zaczął krzyczeć, że ja tu brednie opowiadam, dlatego że u nas wszystkie gospodarstwa są pod pałą. Odpowiedziałem na to, że bardzo się dziwię, że on w ten sposób mówi, i przytoczyłem mu przykład w bytomskim powiecie, takiego zespołowego majątku Wtawowice, prowadzonego przez nas bardzo dobrze i majątku Zbroczanowice należącego właśnie do Urzędu Bezpieczeństwa, który prowadzony jest niżej wszelkiej krytyki; nie mają nic w gospodarstwie i ausiny im stała, właśnie z Wtawowice, posyła słoną. Powiedział "aprawdzimy, czy to prawda", ale już się uspokoił, siedł przy biurku i więcej się do tej rozmowy z moim oficerem śledczym nie wtrącał. Z poprzednio aresztowanymi, znaczy z administratorem zespołu, pracownikiem zespołowym i rzędcą wspomnianego majątku nie miałem absolutnie żadnej styczności, i nie wiedziałem co się z nimi dzieje. Ale w toku śledztwa jakoś się domyśliłem i wywnioskowałem z pytań tego mojego oficera śledczego, kiedy powracam stale znowu do osoby kowala, że kowal ten był posądzony o przynależność do jakiejś wrogiej ustrojowi organizacji i z tego powodu właśnie był aresztowany. Nie wią-

zał on jednak tego spełniał z tymi innymi naszymi aresztowanymi. Tak prowadzone moje przesłuchania, trwające około dwóch tygodni, ogromnie mnie zmęczyły, jak również zmęczony byłem tym spaniem, które było bardzo niewygodne. Zresztą po dwa czy trzech dniach wyniosłem się ze swoim kocykiem wprost na podłogę, co było o tyle lepsze, że nie było pochylania i było płasko, więc zawiązałem się w koc, marynarkę położyłem sobie pod głowę i jakoś te noce spędzałem. Jakoś, jak powiedziałem, po dwóch tygodniach po takim przesłuchaniu na śledztwie zakomunikował mi ten mój oficer śledczy, że na drugi dzień prawdopodobnie zostanę zwolniony. Nie byłem tego pewny, bo nie kładło się na to, ale w każdym razie byłem już bardzo zadowolony i czekałem tego następnego ranka z niecierpliwością. O zwykłej porze zostałem przez tak zwanego konjunktowego, czyli takiego dozorcę więziennego, wywołany z tym, że karał mi tym razem zastrzał ze sobą wszystkie swoje rzeczy i zwrócił mi odebraną uprzednio obrączkę. Z tego wnioskowałem, że rzeczywiście mogę być tego dnia zwolniony. Naprowadzono mnie znów do tego samego oficera śledczego, no i znów zaczęło się takie zwykłe śledztwo, taka zwykła sobie rozmowa. Przy tej rozmowie, takim pewnego rodzaju dochodzeniu, zwrócił mi jednak moje wszystkie rzeczy, a więc zegarek, i pieniądze, więc wiedziałem, że lada chwila zostanę zwolniony. Ale co jakoś jasnacie się odwlekalo, a po pewnym czasie on wprost zwrócił się do mnie i zaproponował mi, czy ja bym się nie zgodził współpracować z UB. Powiedziałem, że ja nigdy w życiu takiego zaproszenia nie prowadziłem, nie mam pojęcia w jaki sposób się to robi, więc nie wyobrazałem sobie, żeby mógł się jemu na coś przydać. On mi powiedział na to, że już mnie dobrze poznał i że aresztą ma o mnie bardzo nadzwyczajną opinię, świetną opinię wydała o mnie dyrekcja, że jemu zależy na takim współpracowniku, i że praca moja będzie polegała tylko na tym, że jeżdżąc po



na jątkach i pisząc sprawozdania jeden z egzemplarzy, odpis, będę przekazywał Jemu. Odpowiedział mi na to, że oczywiście bardzo chętnie będę to robił, ale z tym, że zgodnie z pragmatyką, urzędniczą żadnych takich czynności nie wolno mi wykonywać bez wiedzy i zgody moich przełożonych. Jeżeli pozwoli mi na to dyrektor Okręgu, wówczas będę jeden z odpisów mojego sprawozdania przysyłał pod wskazanym adresem. Odpowiedział mi na to, że to jest wykluczone, ponieważ chodzi o to, żeby to było utrzymane w tajemnicy. No gdy ja będę pytał o to, a dyrekcja jeszcze tam komuś powie, to się szeroko rozjeżdżie i każdy będzie wiedział, że ja jestem konfidentem Urzędu Bezpieczeństwa, co jest niewskazane. No na to mi odpowiedział, że ja jestem urzędnikiem lojalnym, posłusznym, i nie ma mowy, żeby takie rzeczy mógł wykonywać bez zgody mojego dyrektora. Na to mi powiedział, żeby się jednak namyślił, bo jeżeli się nie zgodzi, i nie podpiszę takiej deklaracji, to wówczas nie będę zwolniony, lecz zostanę przekazany do więzienia karno-śledczego. No oczywiście ogromnie mnie to zaskoczyło, bo już byłem nastawiony na to, że wyjdę do domu. No, ale niestety, zatrzymał mnie po tej całej historii, zostawiał co jakiś czas samego w pokoju i karał się namyślać. Z ten sposób ja się coraz bardziej zaczynałem denerwować i byłem niespokojny, ale byłem zdecydowany absolutnie na taką propozycję się nie zgodzić. Po jakichś czterech, czy pięciu godzinach, tego rodzaju rozmów, co robił zresztą w bardzo grzecznej formie, w końcu spytał się mnie, czy się zdecydowałem czy nie, co on ma robić, czy odesłać mnie do więzienia karno-śledczego, tak jak powiedział, czy też mnie zwolnić. Więcej powiedziałem, bo już byłem bardzo zdenerwowany, głosem podniesionym "niech pan robi to co do pana należy, ja żadnej deklaracji podpisywać nie będę". Powiedział mi na to "szkoda, szkoda, wobec tego zostanie pan jednak mimo wszystko zwolniony". Wziął teczkę, leżącą cały czas przed nim na biurku, wyjął taki rodzaj zwolnienia

no i jeszcze jakąś kartkę, którą kazał mi podpisać. Powiedziałem mu, że ja nic nie będę podpisywał i do niczego nie będę się zobowiązywał. Wtedy on powiedział, żebym ja to przeczytał, że to nie ma nic wspólnego z naszą rozmową. Przeczytałam i rzeczywiście było tam tylko zobowiązanie z mojej strony do nie opowiadania absolutnie nikomu się tu przez te dwa tygodnie pobytu w Urzędzie Bezpieczeństwa w Katowicach. No więc to oczywiście chętnie mi podpisałem, bo przecież mogłem się do tego zobowiązać, a czy to wykonał, to się w przyszłości okaże. Oświadczył mi w końcu, że teraz już nastąpi to moje zwolnienie, ale jest jeszcze taka mała formalność do załatwienia, bo naczelnik Urzędu jeszcze chciał ze mną mówić. Niechyt się tym ucieczyłem, że nic coś mogłem na to poradzić. Zruszyłem tylko ramionami i musiałem się oczywiście zastosować do jego żądania. Wtedy kiedy mnie już tak do tego naczelnika prosił tylko, żebym absolutnie mu nie powtarzał o tej naszej rozmowie. No oczywiście przyrzekłem mu to, bo przecież nie miałem innego wyjścia i zresztą przecież nie mi to nie szkodziło. Prowadził mnie do luksusowo urządzonego gabinetu. Przy biurku zobaczyłem wybitnie przystojnego, młodego Żyda, ubranego w skórzaną kurtkę. Pomyślałem sobie wówczas, że przecież takich już widywałem w czasie tej sławetnej rewolucji październikowej jako komisarzy. Brakowało mu tylko pasa i rewolweru przy tym pasie. Odymy weszli, naczelnik wstał, wyszedł z za biurka, podał mi rękę, i bardzo uprzejmie mnie prosił, żebym usiadł. Następnie usiadł z powrotem, no i zaczął ze mną rozmowę, że bardzo mu przykro, że ja tam krótki czas spędziłem u nich, że to była tylko pogląd, a następnie zaczął mnie wypytywać o moją służbę wojskową, zapytał mnie szczególnie o to, czy ja nie pracowałem czasem w dwójce, lub w wywiadzie wojskowym, czy coś w tym rodzaju. Powiedziałem mu krótko, że ja byłem tylko zawsze i wyłącznie oficerem liniowym, i nigdy nie byłem nawet w żadnym sztabie, a tym bardziej nie byłem



w "dwójce", ani nikim tego rodzaju. Ponieważ on dalej na ten temat mówił o tej ewentualnej mojej pracy wywiadowczej, zwróciłem mu uwagę i zapytałem, czy zamierza do tego, aby mi zaproponować współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa. Powiedział, że właśnie tak i że chciałby mieć takiego współpracownika. Na to mu odpowiedziałem kategorycznie, że absolutnie się do tego nie nadaję no i w żadnym wypadku na to zgodzić się nie mogę. Wówczas on mnie jeszcze raz przeprosił za to przekazywanie z powodu rzekomego jakiegoś nieporozumienia. Odrowadził mnie bardzo uprzejmie do drzwi i zaznaczył jeszcze, że gdyby miał jakiegokolwiek trudności czy przykrości w dyrekcji Państwowych Mieruchomości Ziemiskich, żeby się zwrócił do niego a on ci ułatwi swoją pracę itd. Ślicznie mu podziękowałem i powiedziałem, że z tego nie skorzystam. Spytał, dlaczego jestem tego tak pewien. "No bardzo prosta rzecz" - odpowiedziałem - ponieważ bardzo jestem z pracy zadowolony, mam bardzo dobrą opinię, jak tu zresztą już w Urzędzie wiadomo, u moich przełożonych, więc bardzo wątpię, żebym potrzebował pomocy, czy jakiegokolwiek interwencji. Stedy jeszcze raz mnie pożegnał i z tym wróciliśmy do pokoju mojego oficera śledczego, z którym od razu zabraliśmy się na dół, zeszliśmy przez główne wyjście na ulicę i on mnie cały czas odprowadzał. Idąc ulicą zapytał: "No chyba jest pan już całkiem zadowolony i szczęśliwy. Wówczas powiedziałem mu że nie, że poczuję się zadowolonym i szczęśliwym dopiero wówczas, kiedy się z nim pożegna i zniknie z tym szeregiem tłumem ulicznym. Stedy poczuję się całkiem wolnym, bo nie wiem czy idąc tak ze mną nie namyśli się i nie zawróci mnie z powrotem do Urzędu Bezpieczeństwa. Rozemknął się i powiedział: "Nie, absolutnie nic takiego nie może już nastąpić, więc mogę być spokojny, bo za chwilę ze mną się pożegna. tylko że miałby do mnie jeszcze jedną prośbę". Znowu trochę się spieszyłem, bo pomyślałem, czy czasem on mnie nie poprosi o pożyczkę, czy coś w tym rodzaju, bo wiedział,

do miasta przy sobie trochę pieniędzy. Zresztą, mogliście, żeby  
mu ja pozostał i kłamał mi, tego, żeby nie poszedł mnie potem, że  
chciałem mu dać koperty czy coś takiego. Powiedziałem, "proszę bardzo  
chętnie wszystko dla pana zrobię". On mi powiedział, że chciał  
mnie jeszcze uprzedzić, że jednak chciałby być ze mną w kontakcie,  
więc bycie od czasu do czasu do mnie telefonował, że i jeszcze ma  
do mnie jedną wielką prośbę". Okazało się, że głupotom. Prosił mnie  
jedynie, abym przed wyjazdem do Gliwic poszedł do fryzjera i dopro-  
wadził się do porządku. Oczywiście po dwóch tygodniach niegolenia  
się, nie strzyżenia i spania w ubraniu musiałem okropnie wyglądać,  
czego się tylko domyślałem, bo przecież przez cały ten czas do-  
lustrza nie zamierałem. Obiecałem mu, że to zrobię. Wówczas poszedł  
się ze mną, podał mi rękę bardzo uprzejmie, a ja jak najszyciej  
zamieszkałem się z tłumem. Nie miałem zamiaru chodzić do fryzjera,  
chciałem właśnie w Gliwicach pokazać się, jak to ja wyglądam po  
wyjściu z UB po tym "przyjemnym" dwutygodniowym tam pobyciu. Podróż  
nie było, ale doszedziałam się, że ukrótce stanędzi autobus do Gli-  
wic, więc zaraz zamieszkałem do niego i pojechałem. Ponieważ od stacji  
autobusowej w Gliwicach do domu było dość daleko szedłem więc sobie  
na piechotę, spotykałem znajomych, wszyscy się dziwili ogólnie,  
że nareczacie już jestem i dziwili się, że ja tak strasznie wyglądam,  
więc chwiliłem się, że do tego stopnia doprowadzono mnie przez te  
dwa tygodnie, bo nie miałem zbyt słodkich tam warunków. Przejadłem  
do domu, zastulen a nas siostrą, która z żoną przygotowała paczki dla  
mnie i dla mojego matki, który wówczas również był w areszcie w Kato-  
wicach. Ona początkowo, przez cały bodaj tydzień, nie wiedziała,  
co się ze mną dzieje, ponieważ w Gliwicach w Urzędzie Bezpieczeństwa  
odpowiadali, że mnie tam nie ma, a co się ze mną dzieje i gdzie  
jestem, tego oni nie wiedzą. Dopiero żona pojechała do Katowic, tam  
poszła do Urzędu Bezpieczeństwa i tam ją poinformowano, że rzeczy-



wiele ja tu jestem aresztowany. Żona jeszcze zwracała się także do mojego przyjaciela Kazia Bepczyńskiego, który znał bardzo dobrze katolickiego prokuratora i podobno on interweniował w sprawie mojego zwolnienia. Była również interwencja dyrektora Zarządu Głównego, o czym oczywiście później się dowiedziałem.

Po powrocie do domu pierwszą rzeczą wykonywałem się, wyzyłem, ogoliłem się no i czepcałem. Radzę z mojego powrotu oczywiście była ogromna. Ja też się cieszyłem, że wywinąłem się z tej nieprzyjemnej historii. Zanim więcej po jakimś miesiącu zwolniony zostałem z więzienia również Janowski, administrator zespołu fabryki i ten pracownik Zagajewski. Natomiast był dość poważny proces tego rzędcy z tego majątku, ponieważ okazało się, że kowal żniwi. Nie wiem, czy go w rezultacie w końcu znalazłono czy nie, czy należał do jakiejś organizacji, ale o przynależności do niej pomyślano również tego rzędcy. W tym procesie występowałem jako świadek i oczywiście jak mogłem tak broniłem tego niewinnie cierpiącego, porządniego człowieka. Niestety, nie udało się nic mu pomóc i wyrok był dość duży, ale nie pamiętam już jaki. Dostał w każdym razie kilka lat więzienia.

Jasne, że mimo tego podpisanego przeze mnie zobowiązania w UB, wszystko dokładnie opowiedziałem o przebiegu śledztwa prowadzonego w Katowicach i tak samo o warunkach i kolegach, z którymi tam się działem itd. Odpocząłem wtedy jakiś dzień w domu a potem zabrałem samochód i pojechałem do Opola zameldować się tam w dyrekcji, że już jestem i że mam zamiar przystąpić do pracy. Tam się ucieszyli z mojego powrotu i dokładnie auskultowali: czy wiesz o dyrektora Klosego, u którego był jednocześnie jego zastępca inżynier Czernowski i naczelnik wydziału Holnego, Kasar, wszystko opowiedział, o co im chodziło, o co najczęściej pytawali. Opowiadałem o ich podejściu

ciu do sorawy zagospodarowania wszystkich naszych majątków. No i tak ten cały przykry, ale nie tak jeszcze straszny, incydent skończył się i zaczęłam dalej pracować na swoim stanowisku w Państwowych Nieruchomościach Ziemijskich. Pracy miałam bardzo dużo, bo właśnie rozpoczynały się żniwa, więc cały czas byłam w terenie, objeżdżając wszystkie podległe mi gospodarstwa rolne. W swoim czasie wspominałam, że na tak zwanych Ziemiach Odszyskanych na całym tutaj Śląsku było bardzo dużo majątków tak zwanych dzierżawionych, tj. administrowanych przez najrozmaitsze instytucje, a przede wszystkim kopalnie, huty i tak dalej. Inne instytucje państwowe również dzierżawiły te majątki, choć nie wiem, czy płaciły tę tak zwaną tenutę dzierżawną czy też nie, w każdym razie użytkowały je i przeprowadzały zbiory, niby dla swoich pracowników. Te gospodarstwa były marnie prowadzone i różnym wynikiem dla ich użytkowników.

Bodaj że w połowie 47 roku przyszło rozporządzenie z Ministerstwa Rolnictwa, że wszystkie majątki - dzierżawione, jak również te leżące jeszcze na terenie dawnej Polski - zostają przejęte przez Państwowe Nieruchomości Ziemijskie. Wszyscy inspektorzy zaczęliśmy wtedy te wszystkie gospodarstwa objeżdżać, sporządzać protokoły przyjęcia. Przyjmowaliśmy je z inwentarzem lub bez niego płatnie, lub częściowo nieodpłatnie. Nie miało to wielkiego znaczenia. \* Każdym razem mieliśmy masę pracy przy ich przejmowaniu i rzeczywiście byłam ograniczenie zajęty. Jeździłam po wszystkich tych majątkach, a przecież właśnie na Opolszczyźnie i w katowickim takich majątków było bardzo dużo. Wspominałam już w swoim czasie, że na administracji tych majątków siedziało przede wszystkim bardzo dużo byłych właścicieli ziemskich, jak również administratorów z dawnych majątków, i w ogóle ludzi, którzy w terenie w swoim czasie zajmowali się rolnictwem, a teraz znaleźli się na tych tak zwanych Ziemiach Odszyskanych, gdyż myśleli, że tu im będzie dużo łatwiej, i co w rzeczywistości było.



Były tu dużo lepsze stosunki z władzami administracyjnymi niż gdzie indziej. Gdy rozeszła się wiadomość, że majątki te będą przejęte przez państwowe Nieruchomości Ziemskie, administratorzy nastraszyli się tych zmian, i że zalienią się ich warunki i stosunki, przeważnie zaczęli porzucać pracę i uciekać stamtąd, szukając jakiegoś innego zajęcia. My znaleźliśmy się w bardzo ciężkiej sytuacji, ponieważ przejmowaliśmy już te gospodarstwa, bez kierownictwa i bez ludzi, którzy je znali i dobrze gospodarowali, musieliśmy więc szukać nowych administratorów. W związku z tym w Zarządzie Okręgowym w Opolu odbyło się zebranie wszystkich inspektorów i naczelników wydziałów Zarządu Okręgowego. Na tym zebraniu chodziło o omówienie sprawy ucieczki administratorów w przejmowanych majątkach. Majątki te były dotąd w posiadaniu fabryk, hut i różnych instytucji państwowych i dlatego nazywały się majątkami szierławionymi. Początkowo zostały przejęte tylko majątki położone na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, a następnie, tak jakby w drugiej fazie, majątki położone w pozostałych rejonach Polski, chwilowo zarządzane przez przygodnych administratorów. Administratorzy się uciekali, bojąc się, co będzie, gdy te majątki przejmie instytucja państwowa. Chodziło o to, aby inspektorzy terenowi, objeżdżając te przejmowane majątki, starali się porozumieć z tymi administratorami i namówić ich, aby pozostali i nie postawili nas w ciężkiej, trudnej, sytuacji szukania nowych ludzi. W związku z tym piękne, rzeczywiście piękne, przemówienie wygłosił kierownik kadr, tzw. personalny. Był to bardzo ciekawy typ. Człowiek niby nieinteligentny, tzw. ówiera inteligent, bez wykształcenia, mało kulturalny, ale mający jedną ogromną zaletę, ponieważ umiał pięknie mówić. Przy każdej okazji zabierał głos, no i rzeczywiście wygłaszał piękne przemówienia. Ja początkowo myślałem, że jestu ktoś te przemówienia pisze, a on uczy się ich na pamięć i później dopie-

ro wyglądała. Po pewnym czasie jednak przekonałem się, że nie. On mówił ex proptu, zupełnie z sensem i zupełnie dobrze. Tak samo i tutaj wygłosił długie i piękne przemówienie, tłumacząc nam, jak my powinniśmy w terenie postępować, aby samówie tych uciekających administratorów do pozostania na tych posiadach. A mianowicie - namawiać, aby oni pozostali na miejscach, ponieważ postawił nas w bardzo ciężkiej sytuacji przejmowania majątków bez kierownictwa. Tłumaczył, że przecież im będzie bardzo dobrze, że my będziemy przecież dbać o ich los, ich rodziny - żony, dzieci i tak dalej - tak że nie ma absolutnie żadnego sensu, żeby oni rzucali posiadki i uciekali. Gdy skończył to swoje przemówienie poprosiłem i ja o głos. Powiedziałem wówczas, że jestem bardzo wdzięczny kierownikowi personalnemu, bo rzeczywiście wygłosił tak piękne przemówienie, a poza tym jestem jeszcze wdzięczny za to, że tym swoim przemówieniem przypomniał mi jedną z najpiękniejszych dzieł literatury polskiej, a mianowicie "Trylogię" Sienkiewicza<sup>x)</sup>. Mówiąc zaś konkretnie, ten wyjątek "Trylogii", kiedy to król szwedzki oblegał zamek w Zamościu i wysłał do Zamoyskiego swego posła, generała Forgella, żeby ten go przekonał, że nie ma sensu się bronić, bo on i tak zamek zdobędzie. Prosi żeby Zamoyski zamek poddał. Forgell tutaj tłumaczył Zamoyskiemu i zebranej na Zamku szlachcie, że przecież pod panowaniem króla szwedzkiego jest w Polsce bardzo dobrze, że król ten dba przecież o naród, o ludzi, o ich byt i w ogóle przedstawiał panowanie tego króla w takich pięknych kolorach, gdyż miał nadzieję że zachęci tutaj Zamoyskiego i zebraną szlachtę do poddania zamku. No ale wówczas wśród zebranych był także i Zagłoba, który dość głośno powiedział, że "diabeł się w ornat ubrał i ogonek na Masę dzwoni". Wywołało to wówczas wśród szlachty śmiech, ponieważ Forgell został wykpiony i musiał odjechać z niczym. Powiedziałem, że właśnie swoim przemówieniem nasz personalny przypomniał nam ten wyjątek

x) "Potop" tom III, rozdział III



z "Trylogii", ponieważ również w pięknych słowach przedstawia tę sytuację administratorów, przejmowanych przez nas majątków, że i ja podobnie jak wówczas Zagłoba nic innego powiedzieć nie mogę jak to, że "diabeł się w ornat ubrał i ogonek na kszycę dzwoni". Personalny Kownacki oczywiście nie wiedział ani kto był Zamoycki, ani Zagłoba, ani na czym sprawa polegała, ale znaleźli się tacy, którzy mu dokładnie to wytłumaczyli, i on wtedy - oczywiście poza moimi plecami - zagroził, że "Kownacki jeszcze popamięta jak to diabeł w ornat się ubiera i ogonek na kszycę dzwoni. Ja już postaram się jemu za to odwdziżyć". No i rzeczywiście, później, kiedy musiałem szukać innej posesy na Śląsku, miałem z tym kolosalne trudności, bo prawdopodobnie wszystkich swoich kolegów personalnych Kownacki o mojej osobie uprzedził, i w żadnej instytucji rolniczej na Śląsku nie mogłem wówczas dostać posesy. Z przejmowaniem tych majątków mieliśmy rzeczywiście wiele kłopotu i pracy, ale w rezultacie nie było tak źle, jak przypuszczaliśmy. Wielu dotychczasowych administratorów porzuciło posesy, ale tymczasem oddawaliśmy majątki pod nadzór naszych dotychczasowych administratorów, którzy tam dojeżdżali, i zawsze się znalazł jakiś brygadzieta lub zastępca dotychczasowego kierownika, więc jakoś to szło. W każdym razie były to majątki na ogół bardzo dobre, ponieważ oni biorąc je poprzednio mogli wybierać i wybierali jak najlepsze, a poza tym zupełnie możliwie je zagospodarowali. Było w nich stosunkowo znacznie więcej inwentarzy niż w naszych majątkach, tak że ostatecznie jakoś w nich sobie radę dawaliśmy. Trzeba było jednak szeregi majątków, tam gdzie administratorzy odeszli, obsadzić nowymi ludźmi. Angażowanie tych pracowników odbywało się, przez Zarząd Okręgowy. Przyjmował ich zasadniczo dyrektor, no i musieli oni wszyscy przejść przez tego naszego sławnego personalnika. Każdy zgłaszający się, składający podanie o przyjęcie, musiał odpo-

wiednio się przedstawić i zdać egzamin. Egzaminowaliśmy takich kandydatów zazwyczaj my sami. Odbywało się to zwykle w ten sposób, że gdy przyjeżdżałem do Zarządu Okręgowego, to personalnik łapał mnie, dawał mi jedno, dwa czy trzy podania, w zależności od tego, ile tam miał kandydatów i zmuszał do tego, abym ich na miejscu przeszkolował. No trudno, musiałem takiego faceta brać do jakiegoś pokoju i egzaminować. Zazwyczaj nie żądałem żadnych wiadomości z teorii, chodziło mi o jego umiejętności gospodarowania i doświadczenie. Wypytywałem najpierw gdzie był, co robił, a potem zadawałem takie pytania czysto praktyczne. Najczęściej zdarzało się, że jednakże ci kandydaci absolutnie na te samodzielne kierownicze stanowiska się nie nadawali. Wówczas na podaniu pisałem, że na objęcie posady rządu w tym czy innym majątku kandydat absolutnie się nie nadaje. Często bywało, że kiedy personalnemu takie podanie oddałem, łapał mnie i powiadał: "pan musi to poprawić, dlatego że ten człowiek jest nam konieczny, on dla nas jest odpowiedni itd.". Wtedy mówiłem: "dobrze panie, ale on pojęcia o niczym nie ma, więc on nie może tutaj takiego wspaniałego majątku, jakim jest ten czy tamten, prowadzić, ponieważ go położy, a ja nie mogę być za to odpowiedzialny. Jeśli on wam jest potrzebny, to go przyjmijcie, ale ja go absolutnie przyjmować nie mogę, ani zaakceptować na to stanowisko, bo absolutnie nic nie umie i nie ma żadnej praktyki". No, ale personalny tu mnie zawsze chciał zmusić do przerobienia opinii, upierając się, że on może jest zły administrator, czy rządcą, on tego nie wie, ale to jest taki człowiek, jaki im jest potrzebny. Wiedziałem co to znaczy dla nich. To znaczy, że był to jakiś "ubiarz", albo jakiś wybitny partyjnik, który zamiast gospodarować, będzie tylko w majątku siedział i agitował za tym obecnym pięknym ustrojem. Więc oczywiście w tych wypadkach opinii ujemnej o tym kandydacie nie przerabiałem, no i na ogół nie wiedziałem, jak tam dalej ten per-



sonalnik tę sprawę załatwiał, czy przyjmował go, czy nie, zależało to oczywiście od tego, czy przychodził na mój teren, czy na jakiś obcy, z którym nie miałem nic wspólnego. Jeżeli przychodził na mój teren, to go poznawalem, przyglądałem się jego pracy i wtedy mówiłem personalnikowi, że "daliście tu takiego, który pojęcia o gospodarowaniu nie ma". Między innymi był taki charakterystyczny przykład w tym zakresie. Później już gdy miałem inny powiat, z miastowicie pszczyński, i przyjechałem do Tych, zastałem tam nowego rzędcę, takiego młodego człowieka, który mnie z miejsca prosił oświadczenia, że administratorem zespołu jest sabotażysta. Tu się nastraszyłem, bo ten administrator zespołu, który siedział w swojej kancelarii, był to bardzo przyzwyczajony człowiek, mieszkanin, gdzieś tam z Kępolski. Znałem go dobrze, był to dobry administrator, więc się trochę speszyłem i pytam: "jak to, dlaczego?". "Ano proszę, bardzo" - powiada - "zaprowadź pana na pole i pokażę co on tutaj kazał mi zrobić". Prowadziłem na pole i cóż się okazało? Były tam buraki i administrator kazał je przerywać. No a ten rzędca mi powiada: "niech pan zobaczy, jak te buraki ładnie powychodziły, jakie równe są rzędy, a on tutaj przyjechał i kazał mi wyrwać. Dziewczyny siedzą i wyrrywają te buraki, a po jednym buraczku od czasu do czasu tylko zostaje". Popatrzyłem na niego oczywiście jak na wariata. Wiadomo przecież, że buraki muszą być przerywane. Spytałem go: "panie, a gdzie pan dotychczas gospodarował?" Od odpowiada, że gospodarował u ojca. "A ojciec miał duże gospodarstwo?" - "7 hektarów". "A buraki miał?" - "Miał". "No i co pan widział, jak ojciec gospodarował?". - No, ja tak nie bardzo się przyglądałem, bo nie miałem czasu zajmować się gospodarstwem. "Aha, rozumiem; to ja panu coś powiem proszę pana; mam tutaj taką broszurę, niech pan ją sobie przeczyta. To jest broszura napisana bardzo dobrze, właśnie o tym, jak uprawiać buraki cukrowe. I niech pan się do tego stosuje. A poza tym

radzę panu, niech pan słucha administratora, ponieważ on jest odpowiedzialny za to. W każdym razie on panu dobrze polecił, i zupełnie nie jest sabotażystą, a pan niech lepiej jego słucha, to będzie pan lepiej zagospodarował". Po obejrzeniu majątku odjechałem do Pszczyzny, a tam administrator, gdy o tym wspomniałem, skłapał się za głowę i powiedział "panie, ja już nie mogę wytrzymać, bo to jest taki facet, którego gdzieś tam wycieli z Katowic z Urzędu Bezpieczeństwa i kazali go przyjąć. No więc cóż, musiałem go przyjąć, ale on nie ma pojęcia o gospodarstwie". Będąc potem w Opolu powiedziałem personalnikowi, że "daliście takiego faceta, który pojęcia nie ma o rolnictwie i on całe to piękne gospodarstwo zniszczy". Na to mi odpowiedział: "to nie, on się pewnie nauczy, a tymczasem on jest dla nas odpowiedni i bardzo potrzebny". Zresztą w ogóle warunki i stosunki w pracy zaczynały się bardzo psuć.

Jakkolwiek w ciągu roku 1948 majątki wyglądały już dużo lepiej, bo były już zagospodarowane, dobrze obsiane, było w nich już sporo inwentarza, m.in. otrzymaaliśmy UNRRA'owskie konie, było już trochę bydła, ale warunki pracy stawały się coraz cięższe i coraz trudniejsze. Coraz więcej zaczynały się wtrącać miejscowe władze powiatowe, a przede wszystkim Urzędy Bezpieczeństwa. Jako przykład opowiem tu pewne ciekawe zdarzenie. A mianowicie któregoś dnia zatelefonował vice-starosta gliwicki, taki pan Bożek, i powiedział, że oni tu urządzają nadanie ziemi i w związku z tym wydają wielki obiad i potrzebują do tego oczywiście jakiegoś alkoholu. Więc on zwraca się do mnie z prośbą, żeby z gorzelnii Słupsko wydał 50 litrów spirytusu. Powiedziałem: "Jakkżesz to jest możliwe, panie starosto, przecież to jest spirytus monopolowy, wszystko jest opieczętowane, więc jak się do niego dostać". On na to powiedział: "A, panie, to wiadoma rzecz, że gorzelniany to zawsze jakoś potrafi sprytnie zrobić, że nikt tego nie zauważy". Na co ja: "to pan chce żeby ja do spółki razem z go-



gorzelanym kradł państwowy spirytus i zaopatrywał w niego starostwo na obiad, to jest niemożliwe". "No panie, ale jakos pan sobie da radę" on mi na to powiada. No to ja jemu: "panie starosto, to jest niemożliwe, natomiast ja pana poradzę jak to zrobić. Panu podlega Milicja. Niech pan pośle milicyjny wóz ciężarowy do tego Słupska i niech oni tam znaną drogą od gorzelanego tego spirytus pobiorą. Oczywiście gorzelany nie będzie mógł odmówić". "To jest niemożliwe" - on powiada. "Tak, dla pana to jest niemożliwe, a dla mnie jest niemożliwe panie starosto, żebyś ja razem z gorzelanym kradł dla pana spirytus. Dowidzenia panu". No na tym to się skończyło. Oczywiście ten starosta obrócił wszystko w żart i pozornie nie miał do mnie żadnej pretensji. Drugi znowu ciekawy wypadek był taki, że w majątku, aresztą w mieście powiatowym, w Strzelcach, stało w stajni majątkowej parę koni, dwie czy trzy krowy, i trochę świń. Zdziwiłem się, bo dawniej tego nie widziałem, więc pytam administratora "co to jest?" a on mi powiada, że to jest cały inwentarz pana starosty, naczelnika milicji, szefa bezpieczeństwa itd. Ja mówię "Jak to, to pan tutaj żywi ten cały interes?" A ten na to "A co mam robić?" Przecież jak oni mnie proszą, żebym przyjął, pan rozumie, to jak ja mogę odmówić. Jak mu odmówię to będę miał życie zatrute". "Proszę pana, ja tutaj napiszę w zleceniach, że żądam kategorycznie zabrania obcych inwentarzy z budynków majątkowych. Niech pan im to pokaże i powie, że to ja kazałem. W ten sposób pan się tego pozbędzie, bo w przeciwnym razie - żywieniem tego inwentarza ja pana osobiście obciążę". Nie wiem już jak administrator z tej sytuacji wybrnął, w każdym razie jak byłem w majątku następnym razem nie pytałem go już o to, bo to była sprawa drażliwa, ale żadnych obcych inwentarzy w majątku już nie widziałem. Niezależnie od takich wypadków, a było ich w majątku bardzo dużo, wydziały rolne powiatów wtrącały się do gospodarki i wbrew naszemu planowi kazały nam przyjmować jakieś zalo-

zenia gospodarcze. Tu już były trudności gospodarcze, no i wtedy zawsze zwracałem się do dyrekcji, co z takim funtem robić. Dyrektor Klone zazwyczaj mówił, żeby nie zwracać na to uwagi i nie stosować się do ich poleceń, dlatego że oni w zasadzie nie mają do tego prawa. Ale wtedy stwarzało się na miejscu dla administratora bardzo ciężkie warunki, bo puła się jego stosunki z miejscowymi władzami, które wiadomo było - że tak czy inaczej będą się wścieły, gdy ten administrator tego czy innego dla nich nie wykonał. Była jeszcze jedna taka znamiona rzecz. A wiadomości w kilku majątkach zastałem takich mechaników. Pytam "skąd oni się wzięli?". Byli to tacy scenarzyści, którzy mieli się opiekować inwentarzem martwym. Wyjaśniłem to w ten sposób, że wstąpiłem kiedyś wczesną wiosną do warsztatu, czy do kurni, no i zobaczyłem takiego faceta siedzącego z instrukcją w rąku. Miał rozbraną zupełnie snopowiązałkę. więc zdziwiony zapytałem, co on robi. Powiedział, że on się właśnie uczy snopowiązałki. "Jak to" - powiedziałam - "przecież do snów masz jeszcze czas, nie ma pan nie pilniejszego do roboty?" "Właściwie nie, ale ja bym chciał się tego nauczyć". Zapytałem kto on jest. On powiada - "mechanik". "Jaki mechanik, skoro pan nie ma o tym pojęcia i dopiero z instrukcją uczy się pan snopowiązałki." "No tak już jest" - on mi mówi z uśmiechem. No ale tu stojący obok mnie administrator wrzucił na mnie, żeby dać spokój, no i potem mi wyjaśnił, że to jest taki mechanik, który został przysłany ze szkoły partyjnej w Łodzi i majątek musi go tak czy inaczej zatrudnić. Na, lepiej właśnie na stanowisku mechanika, na którym jest on absolutnie niezależny i może robić co mu się podoba a w ten sposób stale obcować z ludźmi. Oczywiście chodziło tu o to, żeby taki facet po szkole partyjnej był miły ludźmi no i szpiegował i donosił oczywiście co się da. No naturalnie już na to nie było żadnej rady. Takich mechaników zastałem jeszcze kilka w innych majątkach, więc zameldowałem to



oczywiście w Zarządzie Okręgowym, ale tam tylko wzruszono ramionami i powiedziano, że trudno - musiał się z tym pogodzić. Pocięszające w tym wszystkim było jednak to, że majątki nasze szybko stawały na nogi. Otrzymaliśmy nawet dość dużo traktorów amerykańskich, tak że praca stawała się łatwiejsza. Stosunki jednak pogorszyły się jeszcze bardziej wówczas kiedy na stanowisko dyrektora po Eugeniusza Klose, który poszedł na województwo rzeszowskie, przyszedł dyrektor Niedźwiedzi. To był ciekawy typ. Kiedyś się z nim już zetknąłem, jeszcze przed wojną, w lipnowskim powiecie na jakimś zebraniu ziemianinów. Był to syn właściciela jednego z majątków w tymże powiecie i tam odznaczał się tym, że dużo hulał, a przede wszystkim agitował między chłopami i robotnikami, na bolszewicki sposób, nie wiadomo po co i na co i nawet podobno urządził kiedyś u ojca strajk. Był to typ bardzo nieciekawy. Przyszedł tutaj, zafundował sobie wspaniałą samochód i bardzo często jeździł do Katowic, gdzie podobno grywał w karty w klubie i nawet zazwyczaj wygrywał. Jako dyrektor był on raczej słaby, nieciekawy i w ogóle czepiał się ludzi. Jakoś mnie sobie nie bardzo upodobał, bo szukał stale dziury w całym i zawsze był ze mnie niezadowolony. W ogóle coraz ciężiej było pracować w PZKach i warunki pracy stawały się coraz trudniejsze. Nastąpiły zmiany powiatów, ja też dostałem wtedy inne. Musiałem oddać te, z którymi się już styłem - bytomski i gliwicki - a dostałem powiaty strzelecki, pączyński i rybnicki, oraz dwa majątki, gdzieś aż koło Częstochowy. Później nastąpił dla mnie jeszcze jeden przykry i ciężki incydent, a mianowicie aresztowania w Zarządzie Głównym. Aresztowany został Maringe, Śląski (ten nasz pierwszy dyrektor w Opolu, a potem naczelnik wydziału rolnego w Zarządzie Głównym), naczelny inspektor Krzyżanowski no i jeszcze kilku innych. Przyszło więc całkiem nowe kierownictwo, już nie tak fachowe i wysbitne pod

każdym względem, jak to było dotychczas, i zaczęło się robić tak, że praca stawała się zupełnie niemożliwa. Zaczęłam poważnie myśleć o zmianie posady. Nie było to jednak łatwe. Objęłam wszystkie możliwe instytucje reino, gdzie ani na ogół zaano i gdzie znałem dyrektorów, wisa że chętnie by mnie przyjęli, co mówili bez ogródek, natomiast radzili, abym przebrnął przez personalników. A przejście przez personalników nie było możliwe, bo jak tylko powiadziałem swoje nazwisko, to od razu szukali jakiegokolwiek pretekstu, aby mnie nie przyjąć. W ten sposób zaczęłam już myśleć, aby się stamtąd wynieść. Porozumiałam się na ten temat z żoną i doszliśmy do przekonania, że naszą się starać przenieść do Warszawy, dlatego że tu już trochę było wytrajna, a poza tym do Warszawy nas, a szczególnie naszą żonę, bardzo ciągnęło. Żał mi było bardzo opuszczenia Gliwice. Przyjechałam się do miasta, do warunków. Praca była przyjemna, mimo tych przykrości, które zaczynały panować. Lubiłam tę pracę, leżała w moim umosobieniu. Poza tym miałam tu już dużo przyjaciół. Przede wszystkim zaprzyjaźniłam się z adwokatem Nową. Następnie bardzo miłi byli państwo Zadora-Giszewscy i cała kupa innych znajomych. Zaprzyjaźniłam się z większością administratorów, a szczególnie z Janem Karockim, administratorem zespołu w Mianiosicach. Tak, że żałowałam Gliwic, swojej pracy i atmosfery, ale na to nie mogłam nic poradzić. Muszę jeszcze wspomnieć, że wówczas jeszcze nabyłam sobie ten domek, w którym mieszkaliśmy. Było to prawie w centrum, więc wygodnie. Miałam przecież piękne meble, pochodzące z pataców pomieszczeń, a zgromadszone przez różnych administratorów. Meble te otrzymałam na darmo, ponieważ i oni za nie nie nie płacili. W ten sposób to życie możliwe nam się w Gliwicach ułożyło.

W grudniu 48 roku rozwiązałam swój stosunek służbowy z Państwowymi Kierownictwami Ziemi w Opolu. Muszę przyznać, że



dyrekcja legła się ze mną bez żalu. Byli zadowoleni, że odchodzę, ponieważ moi wystąpienia i otrzymania nieraz porępowania ukazywałem się dyrektorowi, więc legła mnie bez żalu. Wznowiłem z dniem 1 lutego 49 r., a za styczeń otrzymanem należny mi urlop. To mnie urzędują, ponieważ musiałem się przecież przygotować do wyjazdu, skombinować mieszkanie w Warszawie no i przede wszystkim znaleźć w Warszawie jakąś odpowiednią posadę. Musiałem również wynająć ten swój domek w Gliwicach, bo to był przecież dosz nabyty przez mnie na wiadomości, na ulgowych warunkach. Początkowo wpłaciłem niewielką sumę, a reszta była rozłożona na wieloletnie raty. Raty były małe, więc nie odczuwałem trudności, a ich regularnym uiszczaniem. Łatwo na mieszkanie znalazłem dość łatwo. Był to starszy pan z rodziną, który pracował w przemyśle gliwickim. Wynajął ode mnie to mieszkanie z tym, że wpłacił stosunkowo niewielką sumę, ale przede wszystkim musiał spłacać całą i inne obciążenia, związane z posiadaniem tej nieruchomości. A przy tym - co najważniejsze - zapłacił mi za pewien okres z góry, no więc miałem gotówkę, która była mi potrzebna w związku z przeniesieniem i skonstruowaniem mieszkania w Warszawie. Ale ten pan mieszkał w moim domu stosunkowo niedługo, ponieważ przenosił się na inną posadę, do innej miejscowości, więc musiałem go wynająć komuś innemu. Z tym nie miałem również kłopotu. Wynajęli to mieszkanie nasi dobrzy znajomi, państwo Sfolginiowie, a matką jej rodzice, państwo Zawadzcy, którzy zresztą byli bardzo mili. Oni już nie płacili mi nic z góry, ale umówili się, że będą tylko wpłacać raty. Nie płacili mi nawet żadnego komornego, bo nie zależało mi na tym, a chodziło tylko o to, żeby to było porządnie i należycie utrzymane, no i żeby wpłacali raty, które mnie obciążały, i podatek ciążący na tej mojej nieruchomości, tak żeby to wszystko należycie i regularnie było płacone. Najważniejszą jednak

rzeczą było znalezienie mieszkania i posady w Warszawie. Dlatego też dość często jeździłem do Warszawy, żeby coś odpowiedniego znaleźć. Żona oczywiście zostawała w Glinicach i przygotowywała się do wyjazdu. Nie miałem z mieszkaniem większej trudności, dlatego że w tym czasie zjechał do Warszawy jeszcze mój kolega z 8 pułku artylerii, Tatar. Z nim również przyjechał mój kolega Rogoziński, a przy tym Netzer, który już wtedy był zdrowy, nabył ruiny na ulicy Langiewicza. Miał on wówczas stosunki i był czynny, bo organizował właśnie wtedy ten Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, ZBOWID. Był on jednym z pierwszych jego organizatorów. Nobiąc to nawiązał oczywiście różne stosunki. Rzecz znamienna, został on odznaczony orderem Grunwaldu, jako przedstawiciel Armii Krajowej, przy tym odznaczał go wówczas sam ówczesny prezydent Bierut. No i jednym słowem Eymund Netzer otrzymał wówczas ruiny tej willi na ulicy Langiewicza. Nie miał on oczywiście pieniędzy na odbudowę, ale pieniądze te wpłacił mu Tatar, z tym że razem ją odbudują. Była to willa piętrowa, z facjatką, więc Tatar miał mieć I piętro i facjatkę, a Netzer cały parter. Odbudowali tę willę, była ona bardzo ładna. Był tam również ładny ogródek. Jak przyjeżdżałem do Warszawy to zatrzymywałem się u Tadzia Rogozińskiego, który mieszkał na facjacie, gdzie były dwa pokoiki z kuchenką, albo u mojego szwagra, Mieczysława, który wówczas zamieszkał już na stałe w Warszawie. Przewodził on nadal firmę budowlaną, spółdzielnię, założoną przez Mieczysława i jego kolegów, ponieważ przedsiębiorstwa prywatnego nie można było posiadać. Stworzono więc taką teoretyczną spółdzielnię, fikcyjną, ale właściwie była to taka prywatna instytucja, z której dochody dzielili między sobą. W swoim czasie, jak wróciłem z Hol- denbergu, pracowałem jeszcze w tej samej spółdzielni, w tym tzw. "Toroku", u Mieczysława. Była to zresztą wówczas fikcyjna praca,



podobnie jak w okresie okupacyjnym. Ale w tym już poprzednio mówilem. Udało mi się tutaj, już bez większych trudności, uzgodnić zarobno z Tatarem, jak i Tadziem Rogozińskim, że zamieszka w tym jedyna większa pokoja na facjacie i będę miał do dyspozycji kuchnię i łazienkę, a Tadezio zamieszka w mniejszym pokoju, na II pięterku, w pokoju, który miał zresztą zupełnie osobne wyjście na schody, więc było to zupełnie wygodne. Przychodziem wówczas do Mieczysława, u którego właśnie nocowałem, i opowiedziałem o swoich planach. On mnie pochwalił, ale na drugi dzień powiedział, że przemyślał tę całą historię i uważa, że po co nam mieć takie, niewygodne, mieszkanie, kiedy można tu zrobić zupełnie inaczej. Chodzi o to, że właśnie w tym momencie odbudowywał się dom na ul. Piługa, w spółdzielni gdzie jeszcze przed wojną Mieczysław był prezesem. Teraz ten dom odbudowywano i było w nim jeszcze dość dużo wolnych mieszkań. Każdy z poprzednich właścicieli musiał wpłacić pewną sumę pieniędzy na odbudowę swojego mieszkania. Przy tym robiło się tak, że duże mieszkania, przeważnie pięciopokojowe, przerabiano się na dwa mieszkania po dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Nie każdy z właścicieli mógł wględnie chcieć, odbudowywać bo nie miał pieniędzy. Robiono w ten sposób, że odnajmowano komuś swoje mieszkanie z tym, że on na odbudowę wpłacał pewną sumę, a te pieniądze szły na konerne za podnajęte przez lokatora mieszkanie. Mieczysław zaproponował mi, czy nie chciałbym tak zrobić, ponieważ na takie dwa mieszkania do dyspozycji, a właściciele nie mają pieniędzy, nie mogą nie wpłacić więc chętnie by je podnajeli. Ja oczywiście zgodziłem się, ponieważ mieszkania te były dużo ładniejsze i wygodniejsze, niż to na Langiewicza. Pomimo, że byłem z Tatarem i Rogozińskim w znakomitych stosunkach, podobnie jak i z mieszkającym na parterze Masiem Ketzerelem, wolałem jednak mieć swoje mieszkanie, zupełnie niezależne. Obejrzałem te mieszkania i wybrałem mieszkanie Furyny, brata tego

pryncypała mojego z Zębowa, Stanisława Puzyny, a jednocześnie przyjaciela mego szwagra Mieczysława. Zresztą sam go również znałem i właśnie z tego względu to mieszkanie bardziej mi odpowiadało niż inne. Było to mieszkanie na II piętrze, dwa pokoje, względnie duże, z łazienką i dużą, widną, kuchnią i jeszcze dość sporym pokojem słuźbowym. No oczywiście byłem bardzo z tego zadowolony, jakkolwiek nie bardzo mi odpowiadało to, że otrzymując to mieszkanie musiałbym wziąć do siebie, jako współlokatora, moją szwagierkę Julę, ale trudno, ktoś się musiał nią opiekować, no więc zgodziłem się na to i w ten sposób została ta sprawa definitywnie załatwiona i miałem już mieszkanie. Chodziło tylko o drugą rzecz, o znalezienie odpowiedniej posesy. Okazało się jednak, że nie jest to ani łatwe, ani proste. Miałem przecież dużo przyjaciół i kolegów, byli oni na najrozmaitszych stanowiskach w Ministerstwie Rolnictwa i innych instytucjach, no ale i tu napotykałem na te trudności, że musiałem przebrnąć przez personalników. A to, jak się okazało, było niemożliwe. Był na przykład taki wypadek; że poszedłem do mojego przyjaciela, który stosunkowo niedawno powrócił z Zachodu, jednakże był na stanowisku dyrektora instytutu, tzw. WINDU. Chodzi tu o Mariana Dutza. On powiedział, że bardzo chętnie mnie przyjmie, ale sytuacja jest taka, że on sam nie jest bardzo dobrze widziany, bo przecież był u Andersa, na Zachodzie, tam walczył i dopiero w 47 roku powrócił do Polski i w ogóle nikogo nie może sam przyjmować. Procedura jest tego rodzaju, że dopiero personalnik musi przedstawić kandydata do zatwierdzenia. Więc jeżeli ja załatwię sprawę z personalnikiem - to on zaakceptuje i przyjmie mnie na bardzo dobre stanowisko. Posada odpowiadała mi bardzo, ponieważ byłaby to posesja w rolnictwie, w pracy naukowej i współpracowałbym z takim nadzwyczajnym człowiekiem, jak mój przyjaciel Marian Dutz. Niestety jednak, przez personalnego nie mogłem absolutnie przebrnąć, a on wręcz, jak mu powiedziałem swoje nazwisko, kategorycznie odmówił.



wił mi możliwości przyjęcia do tej pracy. No tu domyśliłem się, że i do Warszawy przywędrowała moja teczka personalna z odpowiednią opinią, wyrobioną mi przez "przyjaciela" pana Kosińskiego z Opola. Trudno, musiałem dalej się starać i szukać innej posady, ale robiłem się już coraz bardziej przygnębiony, bo jednak już styczeń prawie dobiegał końca, tak że trzeba już było zabierać się z Gliwic, a tymczasem ja jeszcze nie mogłem się ustabilizować. Mieszkałem jeszcze ciągle u szwagra Mieczysława. Żona zaś nadal pozostawała w Gliwicach. W drugiej połowie stycznia, idąc ulicą, spotkałem mego kolegę, jeszcze z 8 pułku i z prac konspiracyjnych w Warszawie okupacyjnej, a mianowicie Antka Łocza. Ucieszyliśmy się ogromnie z tego spotkania, no i on spytał mnie, co ja robię. Powiedziałem mu więc, że właśnie jestem w takiej sytuacji, że muszę się przenieść z Gliwic do Warszawy, mam tu już mieszkanie, ale nie mam jeszcze żadnej posady. Wówczas on mnie oświadcza, że: "mój kochany, jak to siłą światnie składa, ja cię przyjął chętnie do siebie. "O co tu chodzi?" - myślałem sobie, "gdzie tu Łocza raptem może mnie przyjąć do siebie". No więc powiada, że teraz właśnie zostało mu powierzono zorganizowanie takiego przedsiębiorstwa eksploatacji żwiru, piasku i innego kruszywa. Organizuje to przy Ministerstwie Rolnictwa. No i od razu zaproponował mi stanowisko swojego zastępcy, to znaczy vice-dyrektora tego przedsiębiorstwa. No więc powiadam "ja przecież wcale się nie znam na tego rodzaju pracy". Na to on powiada: "głupstwo, to nie taka mądra rzecz, przecież ty nie będziesz eksploatował, a tylko będziesz kierował działem administracyjnym lub biurowym, ponieważ vice-dyrektorem technicznym będzie zupełnie kto inny". Zapewnił mnie, że dał sobie radę, a jemu bardzo zależy na tym, żeby mógł z nim współpracować, dlatego że przecież zna mnie dobrze i wie, że nasza współpraca na pewno będzie dobra. No ja powiedziałem, że mu-

szę się w tym wszystkim rozszperze, jak i co. Miał on już takie niewielkie biuro na ulicy Kazimierzowskiej. Poszedłem tam, porozmawiałem się w tym wszystkim. Było tam zaledwie kilka osób. Powiedziałem mu: "wiesz, tak na wice-dyrektora to bym nie chciał, ale chętnie obejmę stanowisko naczelnika zbytu, czyli sprzedaży tego kruszywa". On się zgodził. Podpisałem z nim umowę na bardzo dobrych, jak na ówczesne czasy, warunkach i ustaliliśmy, że już od 1 lutego zgłoszę się i zacząć pracować, obejmując to stanowisko. Wtedy już zadowolony wróciłem do Gliwic. Tam ostatecznie przygotowywałem się do wyjazdu i 1 lutego wróciłem do Warszawy, choć nie byłem jeszcze całkiem goty z przeprowadzką, ponieważ trzeba było jeszcze załatwić przewóz mebli. Chodziło jeszcze także o to, że były to wszystko meble polskie i podlegały urzędowi likwidacyjnemu, tak zwanemu UI-owi, więc należało to formalnie załatwić bo wtedy dopiero można było te meble kupić. Zwróciłem się więc z tą sprawą do tego UI-a, złożyłem odpowiednie podanie i przesyła komisja, która je oceniała. Muszę przyznać, że szacunek był bardzo niski, a meble były piękne, antyczne. Posiadam je do dzisiejszego dnia a nabyłem je właściwie za grosze. Następnie, gdy już załatwiłem te formalności, wynajmłem z firmy Hartwiga samochód z przycepą, oni to wszystko zapakowali, no i z tym wyruszyli do Warszawy. To było gdzieś w drugiej połowie lutego. Ja na ten czas wziąłem zwolnienie z pracy, jakkolwiek byłem tam ogromnie zajęty, bo przecież musiałem tam swój wydział - tak zwany wydział sprzedaży - zorganizować.

No i w ten sposób przeprowadziłem się do Warszawy i bardzo ładnie urządziłem w mieszkaniu na ulicy Piłsudskiego pod numerem 1. Było to ładne rozkładowe mieszkanie. Okna jego wychodziły na stronę zachodnią, a więc było to mieszkanie słoneczne. Mały pokój służbowy był obok kuchni. Kuchnia duża, widna, której okno wychodziło już na podwórze. Wadą mieszkania było to, że nie było tu centralnego ogrze-



wania, a zwykle piece, a właściwie jeden dobry piec między dwoma pokojami. Feler był ogromny w tym, że jednak trzeba było dźwigać węgiel z piwnicy, aż na II piętro. No ale wówczas nie odgrywało to dla mnie większej roli. Byłem wtedy jeszcze silny i zdrowy, więc noszenie węgla nie przedstawiało dla mnie żadnej trudności. Jednym słowem urządziłiśmy się bardzo ładnie. Rozstawiliśmy te nasze piękne meble, przywiezione z Gliwic, i takęśy sobie szczęśliwie zamieszkali. Po tym wszystkim musiałem się już należyście zabrać do mojej pracy w biurze. W tym okresie, jak wspominałem, mieściło się ono przy ulicy Kazimierzowskiej. Nie było to specjalnie daleko od ulicy Pługa, ale nie miała ona dobrej komunikacji. Dopiero w alejce Niepodległości chodziły wówczas trolejbusy. No ale do alei Niepodległości dochodziłem piechotą, lub dojeżdżałem tramwajem, chodzącym Piltrową z przesiadaniem. Nie było to wygodne, więc przeważnie chodziłem sobie na piechotę. Pracy od razu miałem bardzo dużo, dlatego że należało od razu zorganizować mój wydział bytu. Przedsiębiorstwo nasze należało do dużego przedsiębiorstwa budowlanego - Państwowego Przedsiębiorstwa Robót Komunikacyjnych, którego zarząd początkowo znajdował się w Poznaniu. Było to jedno z pierwszych biur budowlanych państwowych, zorganizowanych przez dyrektora Filipkowskiego, zresztą kolegę mojego jeszcze z 8 pułku, a przyjaciela z węgry - Mieczysława. Później z Poznania centrala została przeniesiona do Warszawy i umiejscowiona się na ulicy Mianowskiego, a więc tuż, tuż koło mojego mieszkania na Pługu, co było dla mnie bardzo wygodne, ponieważ stale musiałem być w kontakcie z zarządca głównym. Przedsiębiorstwo Robót Komunikacyjnych podlegało Ministerstwu Komunikacji. Składało się one z szeregu oddziałów budowlanych i właśnie do tej centrali przyłączone zostało nowoutworzone nasze przedsiębiorstwo i mianowane zostało numerem 5 i nazywało się PRZK 5. Centrala PRZK składała się z całego szeregu oddziałów specjalnych, a mianowicie z budownictwa kolejowego,

drogowego, mieszkaniowego, w ogóle budowy domów itd., a każdy z tych oddziałów nosił swój numer. Wówczas odbudowa Warszawy ruszyła całym pędem, można powiedzieć, że "ruszyła z kopcyta". Warszawa była przecież jeszcze wtedy całkowicie krajowca i trzeba było ją odbudować, dlatego też budownictwo się rozwijało bardzo szeroko. No a do każdego budownictwa trzeba było dostarczyć odpowiednią ilość kruszywa, więc na nas spoczywała ogromna odpowiedzialność. Ponieważ dostawa kruszywa była bardzo potrzebna i wynegowano dostawy dużej jego ilości, i wszyscy go na gwałt żądali, więc dostawa ta była reglamentowana przez PKPG, czyli Państwową Komisję Planowania Gospodarczego. Ja na podstawie planów produkcji czyli planów eksploatacji kruszywa różnych oddziałów nam podlegających, musiałem opracować odpowiedni ogólny plan zbytu i przedstawić do zatwierdzenia do PKPG. Oczywiście nasza centrala w pierwszym rzędzie żądała dostawy do odbioru przez przedsiębiorstwa własne, z drugiej strony PKPG żądało, żebyśmy dostarczali kruszywo także do innych przedsiębiorców. Nie było to takie proste zadanie i dlatego jednocześnie musieliśmy organizować szereg oddziałów, rozbudowywać oddziały już istniejące i tworzyć nowe. W ten sposób po pewnym czasie powstało dość dużo takich oddziałów eksploatacyjnych. Jeżeli chodzi o Warszawę to eksploatowała ona wyłącznie piasek. Przede wszystkim naszą tu zadaniem, że chodziło tu o kruszywo myte, budowlane, czyli przede wszystkim wydobywane z rzek. Jeżeli chodzi o piasek warszawski, to podobnie jak kiedyś przed wojną wydobywali go z dna tak zwani piaskarze, wyciągali go na barki i wyczuli na brzeg. Teraz wycinając tych wszystkich drobnych piaskarzy, upaństwowiliśmy, wprowadziliśmy specjalne maszyny do wydobywania piasku, który się następnie wywoziło na brzeg i stamtąd dopiero był ten piasek zabierany samochodami. Tak samo musiały jeszcze powstać inne oddziały. Przede wszystkim cho-



dzilo o żwir. Jeżeli chodzi o żwir to najlepszy był z Odry. Szczególnie dobrą jakością odznaczał się oddział w Kozlu. Było jeszcze cały szereg innych, jak np. duży oddział we Wrocławiu, następnie pod Szczecinem w Mielniku, i koło Nowego Bącza. Plan eksploatacji sporządził nasz wydział produkcji, którego naczelnikiem był mój kolega jeszcze z okresu okupacji Stefan Krasnobąski, dowódca rejonu w Mokotowie. On opracowywał te plany produkcji, przedstawiał je mi, a na tej podstawie sporządzałem dopiero plany i z nim musiałem się udać do MKPG i tam dopiero był on zatwierdzany. Kruszywo, jak wiadomo, składało się z trzech zasadniczych produktów, a mianowicie chodziło o czysty żwir, następnie o taką mieszankę żwiru z piaskiem o różnej wielkości, granulatu większych i mniejszych kamieni, i o czysty piasek. No i jak zaznaczyłem musiało to być sycie, płukane, bo inaczej ten żwir do budowy się nie nadawał. Praca ta nie była taka łatwa i prosta, no i trzeba było cały ten mój wydział życia odpowiednio zorganizować. To też dosyć szybko się rozwinął i w rezultacie miałem w wydziale dwudziestu siedmiu pracowników, bo przecież trzeba było złożyć te wszystkie odbiorców i kartoteki eksploatacji poszczególnych oddziałów. Musiałem wiedzieć, gdzie, w jakim oddziale, jakie jest kruszywo, jaka jest jego jakość, żeby odpowiednio przygotować wykaz dostaw i terminarce. Roboty było bardzo dużo i rzeczywiście mieliśmy masę pracy i wszyscy moi pracownicy byli bardzo zajęci. Zaprowadziłem przy tym taki system, że każdy do 15 każdego miesiąca musiał złożyć odpowiednia zapotrzebowanie na miesiąc następny. W zapotrzebowaniu tym musiał wymienić ilość zapotrzebowanego kruszywa, jego rodzaj, a w przypadku żwiru - podać jego granulację, ile pospółki, ile piasku. Nówczas rozkładałem to zapotrzebowanie na poszczególne oddziały i polecałem w odpowiednich partiach, możliwych oczywiście do wykonania przez poszczególne placówki w następnym miesiącu wyjechać na teren całego kraju. No

ale przede wszystkim chodziło nam o zaopatrzenie Warszawy. Bywał przy tym nieprzyjemny często nacisk odbiorców, ze strony przedstawicieli partii, nawet z KC, żądali, aby im dodatkowo wysyłać kruszywo poza zapotrzebowania. Oczywiście było to niemożliwe, ponieważ musieliśmy trzymać planu zatwierdzonego przez PKD, no i często z tego tytułu miały różne nieprzyjemności. niezależnie jeszcze od tego wszystkiego, aby się dobrze orientować w możliwościach eksploatacyjnych poszczególnych oddziałów, musieliśmy wyjeżdżać w teren, by tam kontrolować wykonania tych naszych zapotrzebowań, ponieważ zdarzało się, że oddziały robiły różne kombinacje i sprzedawały to kruszywo, że tak się wyrażę - "na lewo", poza zapotrzebowaniem. Do tego musieliśmy mieć pomocników i odpowiednich pracowników, którzy te wszystkie sprawy również kontrolowali. Była tu jedna bardzo wygodna rzecz, a mianowicie, jak wspomniałem, nasze przedsiębiorstwo podlegało Ministerstwu Komunikacji, więc mieliśmy centralę telefoniczną i telefony, tzw. kolejowe, które były automatyzowane, więc od razu mogłem się połączyć prawie z każdym oddziałem, nakręcając początkowo numer centrali Ministerstwa, a następnie numer miasta wojewódzkiego, a nawet powiatowego, więc od razu miałem połączenie. w razie nagłej potrzeby mogłem od razu interweniować i zaizolować teraźnię, czy wielkość dostawy przez to lub inne przedsiębiorstwo. w związku z tym wspomnę tu także dwa ciekawe zdarzenia. A mianowicie wówczas właśnie w Warszawie budowała się ta sławna trasa B-Z i robiony był tunel przy Nowym Zjeździe, koło kościoła św. Anny. Któregoś dnia zwróciło się do mnie dwóch inżynierów. Przyszli wprost bezwzględnie z placzem, błagał mnie o to, żeby natychmiast dostarczyć jak największą ilość bardzo dobrego kruszywa, dlatego że jest tragedia: zaczął się osuwać kościół św. Anny i muszą go ratować. Ponieważ wiedziałem, że właśnie nadeszła pewna



ilość wagonów kruszywa do jednego z przedsiębiorstw budowlanych, więc zadzwoniłem tam, czy mają jakieś pilne roboty, czy ew. nie mogą poczekać z dostawą pewien czas. Powiedzieli, że owszem, że mają pewną ilość wagonów, które zostały właśnie dzisiaj rano podstacjone i mogliby odstąpić pewną ilość kruszywa. Poleciłem im, żeby natychmiast te wagony przekazali na budowę trasy K-Z. I rzeczywiście budowa ta jeszcze tego samego dnia to kruszywo dostała, a ja jednocześnie telefonicznie kazałem żeby następny ładunek przesłali pod wskazany adres. W ten sposób przyczyniłem się do tego, że obsuwanie się kościoła św. Anny zostało zahamowane, a kościół uratowany. Inny szkodliwy wypadek przedstawiał się następująco. Otóż któregoś dnia otrzymałem telefon i ktoś mówi: "Ja mówię tu z KC. My tutaj budujemy nasz dom partii na Pańskiej i tam nie dostarczono kruszywa. Dlaczego?". Powiedziałem, że przez telefon żadnych informacji nie udzielam i nie wiem z kim rozmawiam. "-" Jak to" - powiada - "ja jestem z KC" - "Ja tego nie wiem, może pan z równym powodzeniem mówić, że pan jest powiadzany prezydentem Bieruta. Ja żadnych informacji przez telefon udzielić nie mogę" i odłożyłem słuchawkę. Po pewnym czasie pukanie do drzwi. Schodzi jakiś jegomość i patrząc na mnie pokazuje palcem i powiada: "My nie należycie do partii?". Ja mówię: "to nie ma do rzeczy, czy ja należę do partii, czy nie, i nie mam czasu na takie rozmowy. Czym mogę panu służyć?". Wtedy on powiada, że on właśnie telefonował i przychodzi wyjaśnić, dlaczego budowa ich domu nie dostała kruszywa. Powiedziałem wówczas: "Dobrze proszę pana, my w tej chwili sprawę wyjaśnimy" i zwróciłem się do urzędniczki, aby się podała zapotrzebowanie tego budownictwa. Okazało się, że zapotrzebowanie ich jest już wykonane, nie dotyczy ubiegłego miesiąca, a na miesiąc bieżący przedsiębiorstwo zapotrzebowania nie złożyło. W ten sposób wyjaśniłem to temu panu partyjnemu. On wtedy powiedział, że zaraz tę sprawę esłatwi i prosił mnie

na wszystko, żeby jak najprędzej żwir dostarczył. No oczywiście nie chciałem się narazić takiemu panu z Komiteta Centralnego Partii, więc znówu powiedziałem, że owszem postaram się, to załatwię jak najprędzej, ale tylko w tym wypadku, jeżeli jeszcze dzisiaj otrzymam zamówienie na miesiąc bieżący i że robię to w drodze wyjątku, specjalnie dla niego. Powiedział, że dobrze, że za godzinę takie zapotrzebowanie zostanie dostarczone, a mnie prosi na wszystko, żeby ten żwir dostarczył, dlatego że inaczej budowa stanie. No muszę przyznać, że bałem się tego bardzo, bo gdyby rzeczywiście budowa stanęła, to ja bym ponosił za to słuszną, czy niesłuszną odpowiedzialność. Znowu w tej chwili telefonowałem do któregoś przedsiębiorstwa. Zapytałem ile mają w tej chwili gotowych wagonów już załadowanych i na jakie zamówienie. Powiedziałem, żeby zmienili zamówienie i te wagony natychmiast wysłali na budowę, tak, a taką a taką zamówienie niech wykonają w następnej kolejności. To zamówienie powinno być jeszcze dzisiaj expresem wysłane. Ekdajże był to Oddział w Koźlu. No i w ten sposób sprawa została załatwiona, i tak jak obiecałem temu jegomościowi, po dwóch, trzech dniach otrzymał te wagony, a to zamówienie, tak jak przyrzekł, było mi jeszcze tego samego dnia dostarczone. Po trzech dniach ten jegomość jeszcze raz się u mnie zjawił i serdecznie dziękował za tak wspaniałą pracę i szybko dostarczenie tego żwiru. Takich spraw miałem dosyć dużo. Ze wszystkich stron były różne interwencje, ale nie mogłem się ze wszystkimi liczyć, dlatego że wszystkie dostawy były wykonywane zgodnie z zamówieniami, składanymi w terminie, bo inaczej nie dałbym sobie rady. Pracy jak zaznaczyłem miałem bardzo dużo, ale była ona żywa, więc ogromnie mnie pociągano i czułem się tu dobrze. Zarabiałem przy tym nieźle, dlatego że wynagrodzenie było wysokie, no a przy tym dostawaliśmy jeszcze różne premie za wykonanie planów i odpowiednie za-



opatrzenie budownictwa w kruszywo. Stosunki zarówno u nas, jak i z zarządca Centralnym były bardzo dobre, dlatego że obsada personalna była bardzo odpowiednia. Wszystko to byli ludzie bardzo porządni i przyzwolici. Naszym naczelnym dyrektorem, jak wspominałem, był Łocz, ten mój kolega z 8 pułku artylerii, a następnie z konspiracji, i do pewnego stopnia z powstania, więc znałem go bardzo dobrze. Był to bardzo porządny, uczciwy i szalenie pracowity człowiek, a przy tym bardzo dobry organizator. Stąd gdy skończyły się już te prace organizacyjne, gdy trzeba było zarządzać przedsiębiorstwem tak na co dzień, Łocz nie dawał sobie rady i zwrócił się już jego nieporozumienia z jego zastępcą, vice-dyrektorem Jaszczynem, żydem, bardzo dobrym technikiem, dobrym pracownikiem i przyzwolonym człowiekiem. No obydwaj oni byli partyjni. Więc i na tle partii były tam między nimi najgroźniejsze nieporozumienia. Następnie byli naczelnicy wydziałów. Takim naczelnikiem wydziału, z którego najwięcej zależało do uzyskania i od którego zależała moja praca i jej porządek był Stefan Krasnodębski z Wydziału Produkcji. No z nim musiałem się dość często kłócić, ale nasz numerus byliśmy z nim w bardzo dobrych stosunkach. Był również naczelnik Wydziału Technicznego, naczelnik Wydziału Zaopatrzenia, no i była księgowość. Jednym słowem było to duże przedsiębiorstwo. Jeżeli chodzi o naczelników wydziałów, to taki był zbieg okoliczności, że wszystkich ich angażował Łocz, i zawsze byli to jego koledzy, tacy lub inni, ale przeważnie byli to oficerowie - zawodowi, ale zawsze z Armii Krajowej. Już nie licząc mnie, był nim również sam Łocz, Krasnodębski, następnie Szulc, naczelnik wydziału zaopatrzenia, i Lewandowski. Wszystkie to tak czy osak stykało się z Armią Krajową, no i dlatego stosunki między nami były bardzo dobre i byli to ludzie sympatyczni. Po prostu było z innymi pracownikami. Tu gdzie sam organizowałem wydział również angażowałem ludzi przez siebie dobranych. Dru-

gia vice-dyrektorem od spraw handlowych, administracyjnych, był Zandberg. Znalem go jeszcze przed wojną, a następnie podczas okupacji, gdyż miał on bliiski kontakt z "Toroziem", czyli przedsiębiorstwem budowlanym swagry Michożyłowa, więc często go widywałem i znałem go bardzo dobrze. Był to sympatyczny człowiek, bardzo przyzwyczajony, no i współpraca z nim - a był on właścicielem moja bezpośrednim zwierzchnikiem - też się dobrze układała. Bardzo dobre stosunki miałem również w PKP, tam gdzie chodziłem zatwierdzać plany zbytu. W każdym razie z całej mojej pracy byłem ogrocznie zadowolony. Trochę tylko trudności miałem z Łoczem. Łoek, jak powiedziałem, później gdy przedsiębiorstwo się rozwinęło i zaczęło pracować normalnie, nie bardzo sobie dawał radę. Ale tutaj było uproszczone zadanie, bo jak widziałem, że w moim przekonaniu robi jakieś głupstwo, to szedłem do niego do domu, tłumaczyłem i starałem się wyjaśnić mu, że powinien postępować i robić tak lub inaczej. Szczególnie chodziło mi o ułożenie stosunków z tym jego zastępcą Jaszczynem. No ale to niewiele pomogło, ponieważ oni jakos to sobie nie mogli objąć co kade i kłócili się, a przy tym Łoek wlecznie podążał Jaszczynem, że ten chyba na jego miejsce i chce zająć stanowisko naczelnego dyrektora. Przy jakiejś okazji rozmówiliśmy się w cztery oczy z Jaszczynem i on mi przyrzekał, że nic podobnego, absolutnie o tym stanowisku nie myśli, nie zależy mu na nim i nawet gdyby mu je zaproponowano - nie objął by go. Uspokoiłem więc pod tym względem Łocza, ale niewiele to pomogło, i stosunki między nimi ani rusz nie mogły się poprawić. W rezultacie cała ta sprawa stała się dla wszystkich tragedią, dlatego, że istniała między nimi, między dwoma partyjnymi, w końcu oparły się o Zarząd Bielnickowy Partii i zaczęto u nas przeprowadzać najrozsądniejsze kontrole. Na taką kontrolę przychodziły różne typy, które nie miały o niczym żadnego pojęcia, a raczej wazytali się czepiały, i we wszystkim na każdym kroku widziały



zło. Była to siłąkła sprawa, bo po kolei zaczęto nas wzywać do Urzędu Bezpieczeństwa i tam byliśmy przesłuchiwani. Między innymi chodził tam Krasnodobski, a gdy wrócił - na drugi dzień opowiadał mi, że siedział tam do godziny 12. Pytali go o różną rzecz, a między innymi o jego działalność w AK i pracę w przedsiębiorstwie, ale w końcu puścili go. Ja się bałem, że w końcu i mnie tam wezwą. Jakos tak minęło parę dni i nie byłem wzywany. Następnie chodził tam Lewandowski, tam naczelnik Wydziału Zapobiegania, i Szale, naczelnik Wydziału - chyba księgowości - i inni, ale jakoś wszyscy wracali.

### Wizytacje

No i któregoś dnia dostałem telefoniczne wezwanie, żeby i ja się zjawił do Urzędu Bezpieczeństwa, gdzieś na ulicy Bierakowskiego, na Pradze. Miałem tam pójść na godzinę 12-tą. Na ten dzień właśnie złożyłem z żoną bilet do teatru. Żegnając się z domu z żoną powiedziałem, że nie wiem o której godzinie wrócę i gdyby nie zdążył, to w każdym razie przyjdę wprost do teatru, więc na wszelki wypadek zabrałem ze sobą bilet. Żona tak jakby coś przeczuwała, że coś tu jest nie w porządku, że coś kręca, więc przycisnęła mnie i zaczęła powiadać, gdzie ja idę i dlaczego mogą się spóźnić. Musiałem jej powiedzieć, że dostałem wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa, ale dodałem, że wrócę na pewno wrócę, ponieważ wszyscy tam chodzili, byli pytani o różne sprawy ale wszyscy wrócili wieczorem do domu, więc i ja jestem pewien, że też wrócę. Na ustaloną godzinę poszedłem na ulicę Bierakowskiego, no ale, niestety nie powróciłem stamtąd i zostałem zatrzymany. Pamiętam dobrze, było to dokładnie 7 października 1950 roku. Muszę wyraźnie podkreślić jeszcze raz, że myślny pracowali bardzo dobrze i nie było żadnego wypadku, żeby badana była zatrzymana, z braku krawczywa. I ogólnie wszystkie przedsiębiorstwa były zawsze bardzo z nas zadowolone. Nigdy nie było

żadnych pretensji ani skarg. Było dla mnie zupełnie jasne, że sprawa zaczęła się tylko od tego, że właśnie między sobą kłóciła się cała ta dyrekcja, a konkretnie naczelny dyrektor Łocz ze swoim zastępcą Jaszczynem, obydwaj partyjni. Kłócili się znaczy i na terenie partii, więc zaczęła w to wnikać Dzielnica i przeprowadzać różne śledztwa, badać, wnikać we wszystko i dokuczać nam na każdym kroku. Oczywiście w końcu zobaczyli, że cały personel kierowniczy, to znaczy naczelnicy wydziałów, sam dyrektor i vice-dyrektorzy tak czy inaczej byli powiązani z AK. Jedynie tylko kolega Szule nie był w AK, dlatego że był zagranicą. Był on oficerem zawodowym, namyślał się dość długo, czy wrócić do kraju czy nie, przyjechał dość późno więc też musiał być podejrzany. Ponieważ my wszyscy należeliśmy do AK, więc UB prawdopodobnie doszło do przekonania, że po co rozpatrywać całą sprawę, zobaczmy co z tego wyniknie, najlepiej na razie wszystkich zamknąć. No i w ten sposób nas wszystkich zamknięto. Że nie byliśmy winni to najlepszy dowód, że w parę lat później, a konkretnie w latach sześćdziesiątych odbyła się sprawa rehabilitacyjna i wszyscy ośmiu zostaliśmy uniewinnieni, za wyjątkiem Jaszczyna, który zaraz po zwolnieniu wyjechał do Izraela i tam już pozostał, no więc był już z tej sprawy wyłączony. Wezwania do UB dokonywane były w ten sposób, że ktoś telefonował do naszego szefa personalnego, a ten zawiadamiał osobę wezwaną, żeby dnia następnego na godzinę taką a taką stawiała się w Urzędzie Bezpieczeństwa. Tak samo więc było i ze mną. Już poprzedniego dnia personalny zadzwonił do mnie, że jestem wezwany na ulicę Sierakowskiego, więc żeby się tam koniecznie udał na godzinę 12-tą. No zdenerwowany byłem oczywiście solidnie. Głównie martwiłem się o to, jak to przyjmie żona. Pocięszalem jednak i siebie i ją w ten sposób, że wszyscy już byli wzywani, a ja jestem ostatni, bo może w całej produkcji najmniej jestem zainteresowany, jako na-



czelnik wydziału zbytu, wobec tego ja wrócić, tak jak inni, co zna-  
czy, że UB nie dopatrzyło się żadnego przestępstwa z naszej strony.  
Tym niemniej, znając ich postępowanie i stosunek do wszystkich, a  
przede wszystkim do byłych AK-owców, byłam zdenerwowana i jak mogłem  
tak pocieszałem i siebie i żonę. Po otrzymaniu więc tej "przyjemnej"  
wiadomości od personalnika, dnia 7 października wyruszyłem na ulicę  
Sierakowskiego tak, żeby dotrzeć akurat na tę wyznaczoną godzinę.  
Warszawski Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa, jak mówiłem, mieścił  
się na ulicy Sierakowskiego w 4 czy 5 piętrowym bardzo solidnym  
gmachu byłego żydowskiego domu akademickiego. Przyjechałem więc  
dokładnie przed oznaczoną godzinę i zaraz przy wejściu skierowano  
mnie do małego budynku naprzeciwko, żebym otrzymał przepustkę.  
Tam siedziało kilka typów spod ciemnej gwiazdy. Jeden spytał o co  
mi chodzi. Zresztą wszyscy oni byli zajęci jakąś sprawą, przedlu-  
chawali tam kogoś, pytali się o coś, kłócili się z kimś o coś, tak  
że atmosfera była już nieprzyjemna. Wyjaśniłem, że zostałem tu te-  
lefonicznie wezwany do pokoju numer taki a taki. Oni prawdopodobnie  
po porozumieniu się z tym pokojem wydali mi przepustkę na piśmie i  
powiedzieli, żebym szedł na drugą stronę ulicy do tego gmachu, a  
tam mi już wskażą gdzie i co. Tak też się stało, poszedłem tam i  
powiedziano mi, że pokój jest na IV piętrze. Jakkolwiek była winda  
nie skorzystałem z niej, ponieważ jaacy tam stali i czekali na nią,  
więc nie chciałem w tym towarzystwie przebywać, poszedłem na piecho-  
tę, zapukałem i wszedłem. Przy biurku siedział jakiś młody jegomość,  
który powiedział, żebym zaczekał na korytarzu. Wyszedłem więc na kory-  
tarz, usiadłem na krzeselku i siedziałem, siedziałem i czekałem,  
czekałem i siedziałem. Trwało to bardzo długo, zapewne kilka godzin.  
No prawda, zdenerwowałem się, patrzyłem na zegarek. Parę razy puka-  
łem do tych drzwi, ale cały czas odpowiadano, żebym czekał. I tak  
czekałem rzeczywiście do późnego wieczora. Zdenerwowałem się oczy-

wiecie ogromnie, ponieważ chodziło mi przede wszystkim o żonę. Myślałem, co to biedactwo tak myśli, siedzi w teatrze, zastanawia się, denerwuje się dlaczego mnie nie ma, co się ze mną stało, i to mnie najwięcej denerwowało i niepokoiło. No ale ciągle jeszcze byłem pewien, że mnie wypuszczą i że wrócę na noc do domu. Przy tym całym zdenerwowaniu byłem jeszcze bardzo głodny, bo przecież rano zjadłem tylko śniadanie i przez cały dzień absolutnie nic nie jadłem, no a muszę tu powiedzieć, że jakoś tak dziwnie i szczęśliwie się składało, że wtedy gdy byłem zdenerwowany, to miałem najlepszy apetyt i chciało mi się jeść i spać. Najchętniej bym coś zjadł i położył się spać, ale tymczasem musiałem siedzieć na tym krzeselku i czekać na milowania Bożego. Trzeba było oczywiście zrezygnować z teatru, ponieważ było już dość późno, w każdym razie nie wcześniej niż godzina 10ta wieczorem, nie pamiętam dokładnie. No i w końcu zostałem wezwany do tego pokoju, w którym już poprzednio byłem, przez tego samego jegomościa, który pierwszy mnie przyjął. Kazał mi usiąść naprzeciwko siebie przy biurku, no i zadał mi kilka jakichś nie nie znaczących pytań i zapytał o wszystkie moje personalia, które zanotował na kawałku papieru. Następnie kazał mi się przesiąść do innego biurka, dał mi kartkę papieru i kazał mi napisać swój życiorys. W trakcie kiedy pisałem kilkakrotnie wychodził z pokoju, zostawiając mnie samego. Następnie wracał i pytał, czy już napisane. Stąd kiedy skończyłem wziął mój życiorys, bardzo pobieżnie go przejrzał, odłożył na bok, a zaczął mnie pytać. Pytania raczej były bez znaczenia, ale w pewnym momencie rzucił się, że niewyraźnie odpowiadam i że nie chcę mu odpowiadać. Powiedziałem, że się myli, że odpowiem możliwie jak najdokładniej na wszystkie pytania. Kazał mi wówczas chwilę poczekać i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił i powiedział, żebyś uszedł za nim. Zaprowadził mnie do innego pokoju, gdzie siedziało trzech czy czterech jegomościów. Stałem



przy drzwiach i czekałem. Jeden z nich zwrócił się do mnie, z takim wybitnie rosyjskim akcentem, podniesionym głosem, dlaczego ja nie odpowiadam na pytania zadawane mi przez oficera śledczego. Powiedziałem mu, że zdrziwniony jestem tym zarzutem, dlatego że odpowiadam na wszystko jak mogłem najszczegółowiej i co wiem to wszystko powiem, ponieważ nie absolutnie nie mam do ukrywania. Dalej, tak samo podniesionym głosem oświadczył mi, wtrącając co chwila jakieś rosyjskie słowo, że muszę odpowiadać jak się należy, ponieważ inaczej oni będą musieli z tego wyciągnąć konsekwencje i mnie ukarać. Więc powiedziałem, że będę tak samo jak dotychczas szczególnie odpowiadając, ponieważ nie mam nic do ukrywania, więc nie potrzebuję nic kręcić i czegokolwiek zatajać. Zrozumiałem, że tu chodzi przede wszystkim o zastraszenie mnie, bo nie tylko oni sami prowadzą to śledztwo, ale w to wszystko zamieszana jest Rosja bolszewicka, więc niech ja sobie tutaj pomyślę, że jak będę się stawiał, to mogę być wywieziony na "białe niedźwiedzie". Wiedziałem jednak, że to są tylko "strachy na lachy" i nie bardzo się tym wszystkim przejąłem. Ale w każdym razie czułem się niezbyt przyjeźnię. Następnie ten facet kazał mi odejść i mój dotychczasowy opiekun wyprowadził mnie z tego pokoju, zabrał znowu do swojego i zadał mi kilka pytań i kazał jeszcze raz napisać mój życiorys. Zwróciłem mu uwagę, że przecież przed chwilą pisałem. "To nie szkodzi, piszcie drugi raz". Trudno, usiadłem i napisałem drugi raz. Zrozumiałem, że tu chodzi o to, że gdybym się w czymś pomylił, to znaczy piszę niezgodnie z prawdą. Chodzi o sprawdzenie, czy nie bujam, czy nie kłamie, bo pisząc te dwa, trzy, czy więcej życiorysów (bo potem napisałem ich jeszcze całą kupę) gdzieś w końcu mogę inaczej napisać, a więc będzie dowód, że bujam. Gdy skończyłem, mój śledczy odłożył go na bok no i znowu wyzwał z pokoju, zostawiając mnie samego. Było już późno i całkiem nie było mowy o teatrze, a nawet zaczęła już

wątpić, czy w ogóle powrócę do domu. Po pewnym, nawet dłuższym czasie, wszedł do pokoju jakiś inny typ i nie mówiąc usiadł przy biurku, oglądał jakieś papiery, a ja sobie siedziałem i patrzyłem na niego i nie wiedziałem co dalej będzie. Potem wziął arkusz papieru, pióro, myślałem więc, że znów może mi pisać życiorys, ale on powiedział: "Zapodajcie mi swoich wszystkich znajomych". Odpowiedziałem mu na to, że przecież ja żyję już ponad pięćdziesiąt lat i w swoim dość długim życiu miałem przecież masę swoich kolegów, znajomych itd., więc nie bardzo rozumien, kogo mam podać. Prawdopodobnie chodził mu o moich znajomych z wojska. Potwierdził to i powiedział "zapodajcie swoich znajomych z wojska". Pomyślałem więc tu oczywiście kolegów, czy znajomych jeszcze z armii rosyjskiej, a tym bardziej z III Korpusu, ale zacząłem mu wymieniać kolegów z 8 pułku artylerii, poczynając od Kazia Budzianowskiego. Wszystkich, których pamiętałem, wymieniałem z imienia i nazwiska, następnie przeszedłem do okresu późniejszego, a on sobie każdego pisał, aż wypełnił dwie strony, a może i więcej. Przerwał z końcem pisanie, i zaczął po kolei pytać mnie, kto to jest. No więc ponieważ pierwszy był Kazio Budzianowski, mój kolega jeszcze z 8 pułku, więc powiedziałem, że zginął w obozie i już nie żyje. Następny drugi, trzeci - o żadnym nie nie wiedziałem, albo wiedziałem, że nie żyje, albo nie wiedziałem co się z nim dzieje. A końcu ten mój śledczy zdenerwował się i powiedział, że to ja jemu podaję nazwiska nieobecnych lub nieżyjących. Więc powiedziałem, że cóż ja na to poradzę, była wojna, okupacja, masa ludzi zginęła, umarła, rozproszyła się po całym świecie, więc nie wiem co się z nimi dzieje. "To zapodajcie mi" - powiedział - "waszych obecnych znajomych". Podałem mu więc przede wszystkim wszystkich moich biurowych kolegów. Nic tu nie ryzykowałem, bo i tak ich znali. Następnie wymieniłem krewnych mojej żony, jakichś bliźszych znajomych, z którymi miałem kontakt, a po-



dając ich nazwiska wiedziałem, że nie nie ryzykuję i nieczyta ich nie narażę, ale między innymi podałem także i pułkownika Śpka-Maleckiego i Kapaczyńskiego. Ten Śpek-Malecki to był Al-owiec, a Kazio Kapaczyński był posłem na Sejm i należał do partii, więc wiedziałem że tutaj nie nie ryzykuję jak się ich nazwiska poda. Mój śledczy zapytał mnie o parę osób, wyjaśniłem mu kto, co, i skąd go zna, ale on zainteresował się tutaj trochę więcej Śpkiem-Maleckim i Kapaczyńskim, ponieważ widocznie te nazwiska słyszał. Też mu wyjaśniłem, podkreślając ich wysokie stanowiska. Na tym on przerwał i powiedział "dosyć będzie", odłożył pióro i kazał mi dalej spokojnie siedzieć, a sam wyszedł na korytarz. Po pewnym czasie wrócił, posiedział trochę, zresztą nie nie mówiąc, i znów wyszedł. Ta cała procedura trwała oczywiście bardzo długo, więc już wiedziałem i zorientowałem się, że to już nie tyle jest późno, ale zbliża się ranek. Już wiedziałem, że o powrocie do domu tego dnia, w którym tu przyszedłem - nie może być mowy. Gdzieś około godziny piątej zjawily się sprzątaczkę, które on oczywiście odprawił, więc sprzątały w innych pokojach. Myśmy tak siedzieli dalej, aż gdzieś prawdopodobnie około godziny Smaej zaczęli się schodzić urzędnicy. Wtedy kazał mi wyjść na korytarz i tam dalej siedzieć. Muszę przyznać, że byłem porządnie zdenerwowany, bo już coraz więcej myślałem o tym, że już pewnie mnie tu zamkną i w ogóle nie puszczą do domu. No ale jakoś trzymałem się mocno. Byłem na ogół spokojny i czekałem, co będzie dalej. Obserwowałem te wędrowki pracowników po korytarzu i różnych innych ludzi, którzy chodzili i załatwiali różne sprawy. Tak upłynął czas tak gdzieś do godziny 12, czy 1-szej. Wtedy przyniesiono mi miskę zupy, chyba jakiegoś krupniku, z kawałkiem chleba, i wyszedł ten pierwszy mój zasadniczy oficer śledczy i kazał mi zjeść obiad. Zjadłem, podziękowałem. No oczywiście apetyt miałem niesamowity i jeść chciało

mi się ogromnie, bo przecież całą tę noc siedziałem, denerwowałem się i absolutnie cały czas nic nie jadłem i czekałem, co ze mną będzie. Ponieważ nie powiedziano mi, że mnie zatrzymują, więc miałem nadzieję, że jeszcze mnie puszczą. I znowu wezwał mnie do siebie ten tak zany oficer śledczy, ten pierwszy, no i kazał przede wszystkim napisać życiorys. Napisałem znów ten życiorys, starając się, nie w nim nie zaleźć, żeby był jak najzgośniejszy z tych, które poprzednio napisałem, odtoczyłem, oddałem mu i czekałem dalej. On co pewien czas wychodził z pokoju, i po jednym takim powrocie ze swoim sąsiadem od razu zapytał mnie, skąd ja mam takie stare meble. No więc wytłumaczyłem mu, że te meble kupiłem przez Urząd Likwidacyjny, a są z Tien Odzyskanych, ponieważ mieszkałem w Gliwicach. Miałem na to wszystkie dokumenty, więc nie było tu żadnego ryzyka wyjaśnienia tej całej sprawy tak jak było w rzeczywistości. No ale z tego pytania i interesowania się moimi meblami, domyśliłem się, że albo tej nocy, albo w tym dniu odbyła się w domu rewizja. Denerwowałem się więc o ten, że nie wiedziałem co myślą, co się tam dzieje. Musiała się już domyślić, że mnie zatrzymano, skoro nie wróciłem do domu, skoro była ta rewizja, ale nie wiedziałem przecież, jak ona się odbyła, co tam było i czy czasem czegoś nie podrzucili, bo słyszałem kiedyś o wielu takich wypadkach podczas rewizji. I nie tu nie mogłem poradzić. Nie mogłem go nawet o to zapytać, ponieważ wiedziałem, że mi i tak nie odpowie. W ten sposób dalej tak siedziałem, a ten śledczy zaczął się jeszcze wypytywać o stosunki biurowe. Trochę tam notował, ale nie było to w formie jakiegos protokołu, więc to mnie zdziwiło. Nie zadawałem mu jednak żadnych pytań, bo co mnie to obchodziło. Tak minął cały dzień i znów zaliżał się wieczór i znowu pusto się zrobiło w całym urzędzie. Siedział tylko ze mną stale ten mój pierwszy oficer śledczy i w końcu zaczął mnie wypytywać o Armię Krajową, o udział w kon-



spiracji, w Powstaniu Warszawskim. Tutaj nie miałem nic do ukrywania, więc mówiłem wszystko szczerze, jak było, więc był on zdaje się zadowolony, bo notował i nie nie mówił. Do i tak zbliżył się wieczór. Tu już nie dostawałem nic do jedzenia, żadnej kolacji, więc tak się trzymałem tym lekkim kruszkiem obiadkiem, no ale stosunkowo smacznym. Potem już wieczorem była chyba godzina dziesiąta, po kolejnym powrocie do pokoju śledczy powiedział mi, żeby oddać wszystkie rzeczy, jakie przy sobie posiadam. Trochę byłem tym zaskoczony, jakkolwiek spodziewałem się tego, no i spytałem go wówczas: "Cóż to znaczy, jestem aresztowany?" "tak", odpowiada, "jesteście zatrzymani". "A dlaczego?" "To się później dowiecie, teraz o tym nie będziemy mówili" odpowiada. No więc cóż, musiałem mu wszystko oddać: portfel, w którym miałem trochę pieniędzy (on je przeliczył), pasek, szelki, sznurowadła od butów i wszystko, jak to zwykle przy aresztowaniach bywa. Spisał to wszystko bardzo ładnie na jakimś kawałku papieru, wsadził to do biurka, wstał i powiedział "chodźcie za mną". Zaprowadził mnie na dół do autoryny. Weszliśmy do takiego obszernego pomieszczenia, w którym jedna ściana była wklejona, jakby półokrągła. Przyjął nas tam usundrowany ten oddziałowy. Ten mnie Jewu przekazał nic nie mówiąc, machnął tylko ręką i wyszedł, a ten ten - znowu kiwnął ręką - kazał mi iść ze sobą i zaprowadził do drzwi, które otworzył i kazał mi wejść. Oczywiście była to cela, ale wchodząc zatrzymałem się na progu i wprost odgrybiałem. Było to malusieńkie pomieszczenie, zupełnie wąskie, na szerokość drzwi, rozszerzające się i kończące się półokrągłą niszą, gdzie było nieco szerzej. No i zobaczyłem tutaj leżących ludzi. Dwóch leżało w stronę drzwi, a trzech w stronę niszy - głowami. W ten sposób wypełniali oni całą celę, tak że nie miałem gdzie się położyć. Tymczasem oddziałowy zamknął drzwi na klucz, a któryś z tych leżących uniósł się i powiedział: "No niech pan się tutaj kła-

dzie z nami". "No dobrze, ale jak ja się tutaj zmieszczę? Nie zmieszczę się, ani między tymi dwoma poznami, ani tam bo jest przecież zupełnie ciasno". "Ale niech się pan jakos na pogrzek kładzie u nas w nogach". Ponieważ nni już i tak leżeli, jak to się mówi, "na waleta" i nogi już mieli splątane, więc ja nie miałbym się gdzie podziąć. No więc on mówi "nie, nie niech pan się nie krapuje, podkulimy nogi, a pan się jakos tam umieści". "No a gdzie głowę podziej?" "Wówczas klepał się za przeproszeniem w siedzenie i mówi "a tutaj niech mi pan położy". "No trudno" - powiedział - "ale niech pan przynajmniej grzecznie się zachowuje". No, jakos tam się ułożyłem, ale naturalnie o jakimś rozbiaraniu się nie mogło być mowy, ale muszę przyznać, że zasnąłem twardo. Tak zaczęła się ta moja pierwsza noc w celi w warszawskim Urzędzie Bezpieczeństwa na ulicy Bierskowskiego. Miałem tę straszną niewygody, szturchany przez całą noc nogami moich współtowarzyszy niedoli jakos ją przespaliśmy i rano zostałem obudzony wołaniem z zewnątrz "pobudka". Jak później się dowiedziałem była to już godzina szósta, gdyż o szóstej rano zawsze budzono wszystkich więźniów. Wstaliśmy więc z naszymi posłaniami, sienniki ułożyliśmy pod ścianą, jeden na drugim, w ten sposób utworzyło się coś w rodzaju kanapy i na tym siedliśmy sobie w szczęściu. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi i ten sam oddziałowy kazał nam iść do unywalni. Poszliśmy tam wszyscy razem, gdzie byliśmy tylko sami, ale chociaż o to, że trzeba było przecież jakos się zakatwić. Tuż przy unywalni była ubikacja, ale w niej były tylko dwa sedesy, więc tylko na dwie osoby. Tragedia polegała na tym że nie mieliśmy przecież ani kawałeczka papieru. No ale zaraz mnie nauczono jak to robić. Okazało się, że trzeba było raz spuścić wodę, a później spuszczać ją drugi raz podając się tą spadającą, zresztą zupełnie czystą wodą. Na wszystko było bardzo mało czasu, więc trzeba było bardzo się spieszyć, a nie każdy mógł zrobić to w tak szybkim tempie, więc towa-



rzysze nieszczęście wolał, żeby się pośpieszyć. Po umyciu się, w takiej ogólnej uciążliwości, pod kranami, powróciliśmy do seli i wydane nam zostało śniadanie, które składało się z tej samej "kawy". Była to oczywiście lura, zupełnie nie cukrzona, i każdy otrzymał swoją dzienną porcję chleba. Po zjedzeniu części chleba i popijając go tą "kawą", zasiadliśmy sobie na tych siennikach i oczywiście zaczęły się rozmowy, polegające przede wszystkim na tym, kto i za co siedzi, jak długo siedzi, i ten. podobne historie. Niektórzy zwierzali się i opowiadali całe swoje historie, a inni milczeli i nie chcieli w ogóle głosu w tych sprawach zabierać. Natomiast większość interesowało to, co się dzieje nauczyciel, więc jak jest w Warszawie, jaki jest nastrój itd. Opowiedziałem im wszystko co widziałem.

O tych właśnie nastrojach, a na pytanie za co siedzę, powiedziałem, że nie wiem, ponieważ nie mi nie ujawniono, że zostałem aresztowany po rewizji w naszym biurze, a raczej po kontroli. Dotychczas mi nie powiedziano, jakie są zarzuty przeciwko mnie, a ja się do niczego nie począłem, bo pracowałem, moim zdaniem, zupełnie dobrze. No to któryś mi powiedział: "Niech pan się nie martwi, oni już znajdą panu paragraf, może być pan zupełnie spokojny". Śniadanie dawał mi, muszę tutaj wspomnieć, ponieważ to było dość ważne, ten sam oddziałowy, który mnie przyjmował. No i tu spotkała mnie przykreść, gdy trzymałem w ręku miskę, a jakiś postroony widać nalewał kawę, oddziałowy zauważył, że mam na rękę obręczkę stolarzki, że nie mam prawa jej mieć i odebrał mi ją. Trochę byłem tym przestraszony, ale on powiedział "Nie bójcie się, nie zginie, w swoim czasie was się zwróci, jak będzie potrzeba". Musiałem się, oczywiście, z tym pogodzić jakkolwiek było to dla mnie bardzo przykre. Później, jak już wspominałem, siedzieliśmy sobie na tej prowizorycznej kanapie i gadali. I tak zaszła chwila aż do obiadu. Nikogo z nas nie wywołano

i nie były przeprowadzane żadne śledstwa, podano obiad. Tu już był inny oddziałowy. Obiad dano nam ze tych samych misek, z których pi-  
liśmy kawę. Mogliśmy je jedynie popłukać w umywalni, ponieważ co  
pewnie czas wypuszczano nas do ubikacji. Obiad oczywiście składał  
się tylko z zupy. Chętnie ten litr zupy zjedliśmy. Przeważnie były  
to krupniki albo kapuśniak, albo pyzski lub zupa fasolowa. W każ-  
dym razie można było się tym poilić, ponieważ był to jednak cały  
litr i dochodził do tego jeszcze nasz chleb. spokojnie przeszedł nam  
cały dzień. śnieżorem, kiedyśny się kładli, ułożyliśmy się już tym  
razem znacznie wygodniej, jednakże trudno nam się było znaleźć w  
zręczności osób. No ale jakże trzeba było się układać, a ponieważ mieli-  
śmy na to czas, więc odpowiednio się do tego przygotowaliśmy i uło-  
żyliśmy się znacznie lepiej. Ale jednak było niewygodnie, ponieważ  
wzajemnie musieliśmy się kopać, gdyż trudno było spać absolutnie  
bez ruchu, a tym bardziej leżąc w pozycjach bardzo wyjątkowych i nie-  
wygodnych. Następną część przeszedł nam właściwie spokojnie, ale zda-  
rzył się taki zamieszany wypadek. Rozwijając to, że dwóch czy trzech  
moich towarzyszy było wywołanych i wychodziło na dość długo na  
górze i po powrocie opowiadali o przesłuchiwaniu, czyli śledztwie,  
ale gdzieś w godzinach przedwieczornych otworzyły się drzwi i znów  
wszedł nowy współtowarzysz. Tu już zupełnie nie wyobrażaliśmy sobie,  
jak można w tyle osób ułożyć się do spania w tych warunkach. Idąc  
jeszcze przedtem do umywalni zobaczyłem z boku tego ogólnego duże-  
go pomieszczenia jakieś uchylone drzwi, więc przechodząc zajrzałem  
i zobaczyłem, że jest to jakieś pomieszczenie zupełnie puste. Nie  
mogłem go dokładnie obejrzeć, ale zobaczyłem jedynie, że jest ono  
małe. Ponieważ było ono puste, więc zwróciłem się do oddziałowego,  
kiedy nam dawał kolację, i prosiłem, czy nie moglibyśmy we dwóch  
- z tym nowym, spać w tym pomieszczeniu. Dowiedziałem się od swo--



ich współtowarzyszy, że był to przedtem tzw. "karc", ponieważ tam zamykano za karę poszczególnych ludzi za różne przewinienia. Oddziałowy zastanowił się i mówi "no dobrze, może być nam i pozwolił, ale trudno mi tam będzie zamknąć drzwi, to jedno, a poza tym przecież tam się nie podzielicie. No ale jakos damy sobie radę". Trzeba przyznać, że zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy, jak to pomieszczenie wygląda. W końcu zgodził się i dał nam nawet jakiś siennik, bo stąd już nie można było uciec, bo było skurat tyle, że pokrywały tę całą małą celę. Kiedy weszliśmy do tego tak zwanego "karc" zobaczyłem, że jest to pomieszczenie wielkości metra kwadratowego, z podłogą wglębioną trochę, cementowaną podobnie jak część ścian. Jak później się dowiedziałem, było to po to, że jak ktoś siedział tam za jakiegoś grubszego przewinienia, czy jak zwykłe bywało, nie chciał odpowiednio sennować, to go wówczas tak czy inaczej męczono. Tu go wtedy zamknięto w tym małym pomieszczeniu i nalewano wody, tak żeby było "prądkanie" czas spędzać. W tej wodzie musiał stać. Tymczasem gdy myśmy tam weszli było zupełnie sucho. Położyliśmy sobie siennik i zastanawialiśmy się jak tu się ułożyć, bo przecież żeby można było wyciągnąć nogi - o tym nie było mowy. Oddziałowy jakos tam zamknął drzwi, pozostawiając szparę, bo inaczej byłoby nam bardzo duszno, i jakos położyliśmy się. Jak nogi ścierpły po takim dłuższym skuleniu, to wtedy wyciągaliśmy je zwyczajnie na ścianę i takasmy sobie leżeć i spać. W każdym razie było znacznie wygodniej niż w takiej celi. No i tak przespaliśmy do rana. Nano oddziałowy otworzył drzwi i kazał nam iść do unywalni, więc poszliśmy tam razem z naszymi kolegami, z naszej poprzedniej celi. Następną noc spędziliśmy już zupełnie inaczej, gdyż przed wieczorem przetranszono mnie do całkiem innej celi. Była to duża celi. Było tu chyba ponad dziesięciu, czy piętnastu ludzi, i można było ruszać się, chodzić i spacerować. Sienniki tak samo były złożone jeden na drugim pod

ścianą i na nich się tam siedziało. Tam już był tak zwany "starszy celowy", który przeznaczony mi właśnie, tu się ukłonił i już zupełnie inaczej wyglądał. Ale w nocy zostałem obudzony, posłowałem jakiś jagomość siedział na mnie i z wielkim krzykiem dusił mnie. Był to jakiś potężny inoet, co mi ruz nie mogłem się spod niego wyrwać, dopiero inni go odciągnęli i uspokoiłi. Zresztą, on, widac było, działał tylko przez sen, bo potem - jak oprzytomiał - bardzo mnie przeproszał. Jak się wyjaśniło następnego dnia, był to ogrodnik, gazis z pod Warszawy, który był strasznie przerażony, dlatego, że był posądzony o jakieś szpiegostwo, czy coś w tym rodzaju. Zrobiono u niego w domu rewizję i znaleziono całą masę dolarów, do czego się przyznał. Zabrano jego, dwóch synów i aresztowano całą rodzinę, tak że był strasznie niespokojny, co się tam w domu dzieje. Cały dzień był ogromnie zdenerwowany i w nocy zaczął mi się, że go napadają, obrabowują, wszystko odbierają a on w ten sposób właśnie się broni i dlatego na mnie się rzucił, że co mnie cały czas później przeproszał. Rozumiawsza, że to przecież nie jego wina, ale obawiałem się tych następujących podobnych wypadków, które się jednak na szczęście nie powtórzyły. A tej całej, jak już zaznaczyłem, było znacznie więcej ludzi niż poprzednie. Była tu większa różnorodność tych siedzących. Sprawy też były najrozmaitsze. Byli tu posądzeni o szpiegostwo, o jakieś szkodnictwo gospodarcze, a przede wszystkim o AR. Najważniejszą rzeczą było tło polityczne. Wszyscy ludzie byli niezadowoleni z tego nowego ustroju, no i chcieli przeszkodzić w jego rozwoju. Wylapywano i sądzano tych rzekomych wrogów Polaków, wrogów ustroju. Niektórzy towarzysze siedzieli już dość długo w tym UB no i mniej więcej orientowali się co się tutaj dzieje, jak tu postępują i jak się z ludźmi obchodzi. Niektórzy wracali do celii znaltretowani, pobici i tak dalej. Mniej więcej orientowali się również kto siedzi. Dowiedziałem się, że sporo tu



jest AK-owców, wymieniali nawet nazwiska. Przypomniałem tu sobie moich kolegów z Solanbergu, z Kozendy Głównej Armii Krajowej. Wszyscy mówili, że siedzą tu powądzani o jakiejś niekorzystnej dla ustroju działalności. Ja również przed południem wywoływano jakichś truch, czy esterech, ludzi na górę na śledztwo. Powracali po dłuższym lub krótszym pobycie, w zależności jaki był przebieg śledztwa i jak delikwent rozprawał, czy korzystnie w pojęciu oficera śledczego, czy też nie, więc czy trzeba go było na nim wyuzszać czy też nie. Sposoby wyuzszania były różne. Czasem niektórzy wracali dość solidnie pobici, ale nie było jeszcze tak źle, jak się zaczynałem już obawiać. Mnie jak dotychczas nie wyzywano ani razu, więc siedziałem spokojnie i obserwowałem, co się dzieje. Słuchałem tylko opowiadań tych biednych moich kolegów. No i oczywiście najwięcej zamartwiałem się, co się dzieje w domu, jak się czuje żona, czy jest niespokojna, czy się boi o mnie i w ogóle, czy wie co się ze mną dzieje. W tej celi siedziałem chyba około dwóch tygodni no i któregoś dnia wieczorem zostałem zawołany przez tego samego oddziałowego, co mnie tutaj przyjmował i który mi zabral obrączkę. Wywołując mnie kazał mi zabrać wszystkie swoje rzeczy. Żadnych rzeczy nie miałem, tylko swój płaszcz który mi wówczas zostawiono, a który tutaj służył mi jako kołdra. Gdy wyszedłem z celi odebrał mi miarkę i łyżkę, kazał na siebie włożyć płaszcz i jednocześnie oddał mi obrączkę, z czego oczywiście bardzo się ucieszyłem. Następnie poprowadził mnie jakimś korytarzem i wyprowadził na mała klatkę podwórka, w której była brama wychodząca na ulicę. W tej bramie stał mały ciężarowy samochód. Kazało mi wejść do niego i usiąść w głębi, to znaczy przy samej szoferce. Z tyłu przy wyjściu z samochodu, wskoczyło dwóch żołnierzy, uzbrojonych w rewolwery, którzy tam usiedli i skierowali go w moim kierunku. Samochód ruszył i gdzieś mnie powieziono. Jakkolwiek z tyłu samochodu nie był rektryty, nie bardzo mogłem się zorientować, gdzie mnie wie-

zą i jakimi alicami. W końcu zajechaliśmy gdzieś przed jakieś duże  
gnach, kazano mi tam wysiść. Jak wysiadłem to zauważyłem, że jest  
to więzienie ale gdzie jest to więzienie? Domyślałem się, że w zar-  
mawie, bo jechalibyśmy krótko, więc nie można było mnie wysiść  
gdzieś poza nią, tym bardziej że, jechalibyśmy alicami i nie wyjeżd-  
żaliśmy nigdzie na zewnątrz. Więc tylko gnałem w kierunku, ale nie  
wiedziałem gdzie i do jakiego więzienia mnie przywieziono. Jak póź-  
niej się okazało przyniesiony zostałem do więzienia karno-słonecznego  
numer 5 (ul. 5), na ulicy 17 Listopada. Były to kiedyś magazyny 36  
półki piecownicy. O tym wszystkim dowiedziałem się oczywiście później.  
Wiedziałem tylko tyle, że jesteśmy na przelocie ze nie przejeżdżaliśmy  
przez mosty, więc tylko powiem, że nie jesteśmy na północ, w  
kierunku na Krakowice. Gdy mnie przysiedli przed ten gnach, ss-  
muchał się, natrętnie przed jakimś kłosem, czy, brzołą, widać było  
mi żołnierze wychodzący z samochodu, kazali mi wysiść i trzymając  
cały czas ręce w pogotowie, skierowane w stronę przodu, kazali  
przejść do ławki i zasłonił. Parta się, chwycił i wprowadzono  
mnie na taki dziedzińcyk. Tu od razu przesłano jakimś wartow-  
nikowi, w mundurze, ale nie wojskowy, ale w takim ciemnym, z zielo-  
nymi kaszycami, z mundurze służby więziennej. wprowadzono mnie  
do wartowni, gdzie było kilka dozorców więziennych, wszyscy w mun-  
duren. Następnie spisano moje dane personalne, wszelkie dane mnie dotyczą-  
ce do jakiegś tam kłosa, a następnie jeden z tych tak ciemnych od-  
dzianowców, jakich nazywaliśmy, poprowadził mnie gdzieś przez pod-  
wórko do dużego piętrowego gmachu na pięć pięter. Tam zaczął po-  
cześnie stojąc twarzą do ściany, a sam wchodził do otwartych drzwi.  
Był tam dość krótko i następnie, zaczął mi wejść do jakiegoś po-  
mieszczenia. Powiedział mi, że jak wejść będzie tam siedział offi-  
cer, którego muszę się, dowiedzieć. No nie bardzo wiedziałem, jak  
mam się dowiedzieć, niby z jakiego tytułu i kosa. Powiedziałem mu,



że nie wiem jak mam się meldować. "No zwyczajnie" - powiada - "tak jak teście się meldowali oficerowi w wojsku. Tu będzie porucznik, więc się zameldujecie - obywatelu poruczniku taki a taki wiecie melduje się wam". Kazał mi później wejść do tego pokoju, gdzie siedział jakiś oficer i coś pisał. Stałem więc w drzwiach i nie bardzo w formie meldankowej, zakomunikowałem mu, że przychodzę tutaj i melduję się jako aresztowany. Zapytał mnie wówczas, czy byłem w wojsku. Powiedziałem że tak. Spytał, czy jestem oficerem, odpowiedziałem, że tak. "Jak to i nie umiecie się należycie meldować?". Powiedziałem, że nie wiedziałem, że tu jest jakiś dryg wojskowy, a poza tym dawno w wojsku nie byłem, więc nie pamiętam jak się melduje. "Dobrze, mniejsza z tym" - powiada - "za co jesteście aresztowani?". Odpowiedziałem, że nie wiem. "A wy też nie wiecie, dobrze wy wiecie co wy za ptaszek jesteście". Następnie zwołał oddziałowego i kazał mnie zaprowadzić do celi numer, tam jakiś. Już teraz nie pamiętam, jaki to był numer celi. Wszedłszy więc na korytarz i ten zaprowadził mnie do jakichś drzwi, następnie kluczem je otworzył i wpuścił mnie do celi. Otwierając drzwi z klucza jednocześnie zapalił światło. Uszedłem więc do celi a drzwi od razu za mną się zamknęły. Stałem na progu. Zapomniałem tu uprzednio zaznaczyć, że zania przyprowadzono mnie do tego budynku na pierwsze piętro, przedtem byłem w innym, na I-szym piętrze w magazynie. Tam również przy biurku czy stole siedział oddziałowy i coś tam notował. Gdy mnie przyprowadzono kazał mi się rozebrać do naga, oddać absolutnie wszystkie rzeczy, następnie wyjął kopertę, z której wytrząsnął wszystkie rzeczy, które zdałem w swoim czasie w Urzędzie Bezpieczeństwa. Kazał mi sprawdzić czy to wszystko jest zgodne z wykazem, który mi przeczytał. Rzeczywiście, wszystko się zgadzało, więc włożyłem z powrotem do koperty. Następnie kopertę, razem ze

wszystkimi rzeczami tj. bielizną, ubraniem, czapką, pasem itd. schował, zapisawszy dokładnie, a następnie dał mi już białą wierzianą, zwykłą taką białą płócienną i ubranie drelkowe. Pozwolił zatrzymać mi tylko skarpetki i chusteczkę do nosa. Wydał mi również drewniaki. Otrzymana przeze mnie bielizna była czysta, natomiast to ubranie drelkowe, bluza i spodnie, były wymiętoszone i brudne, więc nie bardzo przyjemnie było to wkładać. No ale trudno. Nic nie miałem tu do powiedzenia. Gdy się ubrałem, a w tym czasie oddziałowy na mnie czekał, zabrał mnie i poprowadził, jak już mówiłem, na I piętro do celi. Po wejściu do niej zobaczyłem dość duże pomieszczenie, chyba około 30 metrów. W środku przeciwległej ściany było niewielkie zakratowane okno, znajdujące się pod samym sufitem i jak od razu zauważyłem - zasłonięte od zewnątrz tak zwany "koszem", uniemożliwiający wyglądanie na zewnątrz. Pookoła ścian, jedno za drugim, stały piętrowe żelazne łóżka. Zrobione były z żelaznych, odpowiednio wygiętych, rur, naciąganych metalową siatką, na których leżały sienniki. Na tych łóżkach, na każdym pięttrze spali ludzie, przykryci kocami. Spali po jednym, albo po dwóch. Jakiś wszedł, to nikt się absolutnie nie poruszył, tylko leżący na lewo od drzwi uniósł się trochę. Jak się później okazało, był to celowy, który mi powiedział: "panie, niech pan się rozbiera, złoży ubranie w kostkę, bo zaraz oddziałowy otworzy drzwi i każde ubranie oddać, no i niech się pan kładzie o tutaj" - pokazał łóżko. No rzeczywiście rozobrałem się szybko i ledwie zdążył to zrobić, drzwi się otworzyły i sądziłem oddziałowy mówiąc do mnie: "Wylóżcie ubranie", więc wyniosłem je i położyłem na stosie ubrań moich kolegów, ułożonych porządkie w taką stertę. A obok stały szeregiem buty, położyłem więc swoje ubranie, postawiłem swoje buty, cofnąłem się, zawiązałem się w koc i ledwo się zdążyłem położyć na tym wskazanym miejscu, gdy światło zgasło. No i wtedy, owiniąwszy się w koc, który również dostałem w



magazynie, tam gdzie mi wydano to całe ubranie więzienne, położy-  
łem się na boku i z miejsca zasnąłem ponieważ byłem przemęczony i  
mocno zdenerwowany. Pierwsza noc w tej pierwszej celi więziennej,  
w której spędziłem wiele miesięcy, minęła zupełnie spokojnie. O go-  
dzinie 6 rano była pobudka. Wtedy oddziałowy zapalał światło, bo  
kontakt był zewnątrz celi, no ktoś wołał "pobudka" no i wszystko się  
zrywało. Pierwszą czynnością było ułożenie sienników na jednej z  
górných przyz jeden na drugim. Na dole nie zostawało ani jednego  
siennika. Zobaczyłem wtedy, że łóżka są naciągnięte taką żelazną  
siatką, jakiej używa się do parkanów. Było to nie elastyczne i nie  
sprężynujące, a zupełnie twarde, no i na tym trzeba było wówczas  
cały dzień siedzieć. Jeszcze wcześniej oddziałowy otwierał drzwi,  
celowy wychodził na korytarz po tę kostkę ubrań, wnosił je do celi,  
a każdy brał swoje i ubierał się. Potem celowy wrzucał buty i wszys-  
cy się ubierali. Następnie odbywało się mycie; stawiało się jedyną  
miednicę, na "kiblu", nalewało się niewiele wody, dlatego że musia-  
ło jej wystarczyć dla wszystkich, a było jej jeden a najwyżej dwa  
kubły, w zależności od ilości więźniów. Trzeba było myć się jak  
najprędzej, bo przecież kolejka była dość duża, a wszyscy musieli  
zdążyć się umyć. Był jeden kawałek mydła dla wszystkich, wydawany  
przez więźniów. Było to bardzo małe, zwykłe mydło, ale zawsze  
można było się nim umyć. Ręcznik każdy miał swój. Nie było mowy o  
żadnej szczoteczce do zębów, ani w ogóle o czyszczeniu zębów w tych  
warunkach nie mogło być mowy. Całe jeszcze szczęście, że każdy miał  
swoją ręcznik, który utrzymywał w magazynie przed przeprowadzeniem  
do celi. Po umyciu, względnie przedtem, w zależności od zwyczaju  
panującego w celi, odbywało się tzw. "kiblowanie", to znaczy za-  
łatwanie się do stojącego przy drzwiach "kibla". Był to duży okrąg-  
ły kubeł przykrywany pokrywą, którą się zdejmowało, no i wówczas

każdy siadał na brzegu tego kibla i załatwiał się. Była to bardzo ważna czynność, dlatego że chodziło o to, żeby kibel był jak najrzadziej otwierany, bo chodziło o powietrze w celi: okno w ogóle się nie otwierało, a był tylko mały lufcik, który wolno było otwierać i to tylko za pozwoleniem oddziałowego. Przez taki mały lufcik cęła wietrzyła się bardzo słabo, więc tutaj już trzeba było samą pilnować, żeby kibel był jak najrzadziej używany i żeby jak najdłużej utrzymywać czystość powietrza. Z tego względu przestrzegano było bardzo jego odkrywanie. Nie mogło to być robione przez każdego, kiedy mu się to podobalo, tylko wprost na podstawie uzgodnienia. Pytało się "No jak, załatwił się, czy nie?" Jeśli więkazość odpowiadała się za tya, to wtedy kibel się otwierało i każdy po kolei załatwiał się, starając się robić to jak najprędzej, żeby można było kibel jak najszybciej zakryć. Biedni byli ludzie choćby na półcieńdek, dlatego że tak czy owak musieli się starać, aby stosować się do ogólnych zwyczajów. Oczywiście, o ile nie mogli się zupełnie do tego zastosować, wówczas otwierało się kibel a oni się załatwiali. Było to jednak ale widziane, i taki człowiek był biedny, bo mu zazwyczaj dokuczali, narzekali itd., ale w każdym razie nie robiono mu nigdy z tya trudności, chyba że ten ktoś był złośliwy i robił te historie namyślnie. Trzeba było z tym rannym kiblowaniem załatwić sprawę jak najprędzej, bo w pewnym momencie oddziałowy otwierał drzwi, mówił tylko: "kibel", wówczas dwóch dyżurnych brało kibel i wносиło gdzieś do wylania. Później i mnie się trafiło, że byłem dyżurnym i wносиłem ten kibel. W pierwszym wypadku bardzo mnie ta funkcja interesowała, ponieważ chciałem poznać jak więzienie wygląda zewnątrz, poza celą. Był to duży, szeroki korytarz, gdzie po jednej stronie, tam gdzie była nasza cęła, były jedna przy drugiej cele, a po drugiej, jak się później okazało, niewielkie stosunkowo pokoje, gdzie siedzieli i urzędowali oficerowie śledczy. Po załat-



wieniu tego wszystkiego robiło się w celi względny porządek. Robiło się tylko to, o czym wspominałem, więc układało się na najwyższym łóżku sienniki i koce. Koca w ciągu dnia nie wolno było używać. Poza tym sprzątanie polegało tylko na tym, że cele się z grubsza zamiatano, służącą do tego użytku siotłą. Następnie było śniadanie. Śniadanie każdy otrzymywał w misce, bo każdy miał miskę i łyżkę wydaną w magazynie. Na śniadanie była kawa, czyli zabarwiona na ciemno lura, nie mająca żadnego smaku kawy i oczywiście nie cukrzona. Cukrzyć można było dopiero wtedy, gdy miało się już paczki względnie tzw. "wypiski". To zależało od okresu, bo w pewnym czasie można było otrzymywać paczki, w innym - "wypiski", no i wypiski były już do końca mojego pobytu. Paczki względnie "wypiski" miał prawie każdy z tych, którzy siedzieli już pewien czas, ale było i kilku którzy nie otrzymywali nic, między innymi i ja, więc wówczas dzielono się z kolegami. Oczywiście jako nowy budziłem tu zainteresowanie i dostawałem do kawy cukier, i jeszcze mi proponowano inne jedzenie, z czego nie skorzystałem. Do kawy był chleb. Otrzymałem i ja swoją porcję chleba. Chleb - już nie pamiętam - wydawano na jeden dzień, czy też na kilka dni, w określonej ilości. Chleb był rozmaity. Przeważnie albo spleśniały, albo zupełnie suchy, w zależności od tego, jak długo przebywał w magazynie do czasu wydania. Muszę przy tej okazji zaznaczyć, że wszędzie, a przede wszystkim w tej naszej celi, była straszna wilgoć. Otóż sufit był zupełnie mokry i z niego stało kapalo na tych, którzy spali na górnych pryczach, ale niewiele sobie z tego robili i jakoś przyzwyczaili się, bo czy chcieli czy nie chcieli musieli się z tym pogodzić. Pewien problem stanowiło również mycie misek. O ile chodzi o śniadanie, to nie było to specjalnie kłopotliwe ponieważ kawa nie brudziła misek, natomiast po obiedzie czy kolacji gdy była jakaś zupa czy coś tłustszego to umycie misek było pewnym problemem.

Ale i wówczas jakoś dawno się radę, jakkolwiek dawano zimną wodę do mycia, ale używało się wówczas mydła i jakoś zawsze te miski były obmyte, a następnie ułożona w stos jedna na drugiej i po posiłkach, wystawiane na zewnątrz celi. W celi miski nie można było trzymać. Na zakończenie tych wszystkich czynności całe towarzystwo zasiadało na dolnych pryczach i wówczas zaczynały się rozmowy. Rozmowy bardzo rozgarnięte i bardzo ciekawe. Tematy rozmów należały przede wszystkim od akładu osobowego danej celi: od rodzaju ludzi, ich zainteresowań itd. A ludzie byli najrozmaitsi. Najwięcej było ze mną wówczas młodzieży, siedzącej za jakieś tam przynależności do organizacji lub działalność niekorystną, w pojęciu milicji lub UB, dla obecnego ustroju. Zdarzali się czasem urzędnicy państwowi, którzy podobnie z tego samego tytułu trafiali do więzienia, oskarżeni o sabotaż gospodarczy. Kiedyś siedzieliś z kilkoma oficerami z "dwójki". Ci akurat byli po wyrokach w pierwszej instancji, zresztą były to bardzo wysokie wyroki. W więzieniu śledczym siedzieli i czekali na wyrok - kasacyjny, który w swoim czasie wniesli do sądu. To muszę przyznać, że nie był to specjalnie ciekawy element, a przy tym najgorzsze, że strasznie się między sobą kłócili. Zetknąłem się również w więzieniu z akademikami, siedzącymi przeważnie ze względów politycznych. Było także trochę młodzieży szkolnej, która tworzyła także w szkołach tajne organizacje i z tego tytułu dostała się do więzienia. Był także razem ze mną w pierwszej mojej celi dłuższy czas, lekarz weterynarii, który się dostał do więzienia za przynależność do organizacji w okresie okupacji. Organizacja ta była posądzona o likwidację jakiejś bandy żydowskiej, która napadała na wsie, bo przecież musiała jakoś zdobywać żywność, ale przeprowadzała ona podobno także jakieś napady i rabunki i podobno z tego tytułu została przez oddział, do którego ten lekarz należał, zlikwidowana. Lekarz ten nazywał się Leonik. Był on gdzieś począt-



pobytu w tej celi obsiedli mnie wszyscy i wypytywali o amnestię. Niestety, na ten temat nie konkretnego powiedzieć nie mogłem. Później natomiast wiadomości co do amnestii i różnych takich spraw przechodziły głównie od tych, którzy jeździli na rozprawy sądowe, ponieważ tam się stykali z ludźmi wolnymi, a przede wszystkim z adwokatami, którzy udzielali wiele wiadomości w tym zakresie. Znacznie już później, w innej celi, zetknąłem się z profesorem historii. Nie pamiętam za co był oskarżony, zdaje się, że był posądzony o jakąś absurdalną historię i spodziewał się, że będzie kwolowany, i przysięgał tu na wszystko, że nic złego nie popełnił. Kiedyś zmusiłem go wprost, żeby opowiadał dzieje Polski, jej dzieje historyczne, a przede wszystkim w rocznicę święta 3 maja namówiłem go, żeby opowiedział o Konstytucji 3 maja.

Wszyscy więźniowie ogromną wagę przywiązywali do snów i w zależności co i jak komu się sniło wyciągało się z niego wnioski i wróżyło - albo pobyt dłuższy w więzieniu, albo wyjdzie, a takim wyjaśnianiu snów biegły był nasz celowy. No i zwykle tak było, że gdzieś po śniadaniu, któregoś od niego z boku się dosiadał i prosił go, aby wyjaśnił mu jego sen. Opowiadał mu ten sen, a ten mu wtedy tłumaczył co i jak, i jak to mu krótko, czy będzie jeszcze siedział, czy nie będzie, i czy wyjdzie na wolność. Jeżeli snił się las, a on wychodził z tego lasu, to znaczyło, że wszystko dobrze i na pewno niedługo wyjdzie. Gdy siedział w tym lesie, a szczególnie gęstym, to znaczyło, że będzie siedział wiele lat w więzieniu. Jeżeli las się palił, to dobrze, w ogóle pożar: to była dobra wróżba, dlatego że paliły się wszystkie nieszczęścia, wszystkie kary które mu groziły i tak dalej. To samo dotyczyło pogrzebów. Jeżeli na przykład snił się pogrzeb, to było dobrze, bo to znaczyło, że wszystkie smartwienia zostały pogrzebane i na pewno niedługo wyjdzie z celi. Widać tak samo był dobry, dlatego że ktoś to była pociecha, to była opieka i znak, że ktoś o

kowo w okresie okupacji w Ostrołęckim, a potem osiadł w Ciechanowku i tam go aresztą później widywałem. W więzieniu, już po wyroku, został on przeniesiony do więziennej izby chorych i tam pełnił funkcje lekarza. Był zupełnie dobrym lekarzem i wiele dobrego dla więźniów zrobił. Na początku mojego pobytu w celi może najsympatyczniejszą był właśnie celowy. Był to rolnik z zawodu, aresztą mój kolega z SOG, który siedział już dłuższy czas. Był już po otrzymaniu aktu oskarżenia, czekał na sprawę sądową i był prawie pewien, że zostanie zwolniony. Został on posądzony o jakieś szkodziwo gospodarcze, a pracował w przemyśle mięsnym. Skrótce po moim przybyciu miał sprawę i prawie zaraz po tym wyszedł na wolność. Był to sympatyczny człowiek, z którym wtedy najczęściej rozmawiałem, zawsze cały dzień obok niego siedziałem i gadałismy sobie o różnych sprawach, o ile nie trzeba było odrywać się do jakichś czynności więziennych i brać udziału w ogólnej dyskusji w celi. Był jeszcze bardzo młody, sympatyczny, jakiś dwadzieścia-dwudziestoletni całopak, nie pamiętam już jego nazwiska, na imię miał Stasiek. Siedział on za udział w organizacji, takiej czynnej prawicowej organizacji, która działała gdzieś bodaj w Ciechanowie lub innych powiatach północnej Polski. Likwidowali oni różnych urzędników, przede wszystkim Urzędu Bezpieczeństwa i nieprzyjemnych dla ludności mieszkańców. Cekał na sprawę sądową i był przekonany, że będzie skazany na karę śmierci, ponieważ brał udział w tych różnych zabójstwach. Ale zachowywał się bardzo spokojnie i nie przejmował się całą sprawą. Głównymi tematami rozmów były oczywiście sprawy więzienne, a najważniejszą rzeczą była sprawa amnestii. Każdy się spodziewał, że będzie amnestia i wtedy wyjdzie wcześniej. Po ogłoszeniu wszystkich spraw, a przede wszystkim wysondowania takiego nieoprzybyłego z miasta, który mógł coś słyszeć o amnestii, wypytywano go na wszystkie strony. To samo dotyczyło i mnie. Zaraz z samego rana pierwszego dnia mojego



nia myśli i nim się opiekuje. Pamiętam również, że ja miałem kiedyś bardzo długi i ciekawy sen. Opowiedziałem ten sen temu koleżce celowemu, no i on mi go wytłumaczył zupełnie dobrze, na moją korzyść. O ile sobie przypominam, dużo z tego się sprzedało, powiedział mi zresztą wówczas ile czasu będę siedział, co się zupełnie pokryło z rzeczywistością. Tak że byłem z wyjaśnienia tego sna całkiem zadowolony. Ale nie można powiedzieć, żeby on tłumaczył te sny zawsze korzystnie dla więźniów. Nie chciał ich specjalnie pocieszać. Mówił tak jak myślał i jeżeli na przykład wypadło mu z tego snu, że więzien będzie długo siedział, to bez ogródek to mówił. Takie opowiadanie snów było bardzo ciekawe i stanowiło rozrywkę dla wszystkich w celi. Ogromnie ważną rzeczą w życiu celowym to były opowiadania. Opowiadania jakichś książek, filmów, sztuk teatralnych i w ogóle czegośkolwiek, ponieważ to odrywało myślenie od tych spraw więziennych i dużo przyjemniej spędził czas. Ja przez cały swój pobyt w więzieniu 7 razy opowiadałem całą "Trylogię", to znaczy począwszy od "Ognia i Siarki", a kończąc na "Panu Kołodyjowskim". Tak że zrobiłem się pod tym względem sławny i kiedy mnie przerzucano z jednej celi do drugiej, to gdy tylko poznawałem nowych współwięźniów i witając się z nimi podawałem swoje nazwisko, to wszyscy się cieszyli, dlatego że po całym oddziale szeroko się rozeszło, że jest tu taki Kownacki, który świetnie opowiada "Trylogię". Opowiadałem zresztą nie tylko "Trylogię". Opowiadałem również, filmy, książki i sztuki teatralne. No ale nieraz to było nudzące, bo najprzyjemniejszą w ogóle chwilą w celi to była o-ta wieczorem, wtedy kiedy po apelu - tak zwana wieczorówka - układało się do snu, gasiło się światło i człowiek sobie leżał i myślał o tych różnych swoich sprawach. A wtedy z celi zaczynało wołać: "panie Kownacki, niech pan coś opowie, panie Kownacki niech pan coś opowie". No i trudno

się było od tego wykręcić i trzeba było opowiadać. Ja już się nauczyłem i mnie zresztą sprawiało to przyjemność, no ale, powiadam, nie zawsze, bo często było to męczące, nie chciało mi się opowiadać i musiałem się wykręcać, choć to nie przychodziło łatwo.

Wspomniałem, że najwięcej ludzi siedziało za przynależność do organizacji. Dopiero tutaj w więzieniu dowiedziałem się, jaka ogromna ilość organizacji była w tych latach w Polsce. Organizacji najróżniejszych, walczących przede wszystkim przeciw bolszewikom, organizacji zwalczający ten narzucony nam przez nich ustroj. Działy one w najróżniejszy sposób. Były organizacje bardzo czynne, bardzo poważne, przede wszystkim zaliczyć trzeba tu ŻOB, stanowiący jakby przedłużenie działalności Armii Krajowej. No ale ta organizacja została dość szybko zlikwidowana. Natomiast były takie organizacje zupełnie samorzutne, które oddziałami partyzanckimi walczyły z tym narzuconym nam ustrojem. Były to większe lub mniejsze oddziały konspiracyjne, świetnie uzbrojone, działające przeważnie w partyzantkach. Głównym ich zadaniem i celem była przede wszystkim likwidacja ludzi niekorzystnie uosobionych dla ludności, ludzi dokuczających, więc różnych tam przedstawicieli UB, nieprajętych wójtów itp., których wprost bez pardonu likwidowano. No i te organizacje stopniowo były wykrywane i likwidowane przez Urzędy Bezpieczeństwa i tzw. Korpus Bezpieczeństwa. Tych właśnie aresztowanych pakowało się do więzień i o nich to otarłem się, w celiach, i z nimi przebywałem przez cały mój pobyt w więzieniu. Do takiej czynnej, bardzo poważnej organizacji należał właśnie ten Stasiak, o którym już wspominałem. Organizacja ta była potem zlikwidowana. Zorganizowana była pod dowództwem jakiegoś porucznika "Komańca" (pseudonim), który jeszcze przedtem był sągarnięty i został oczywiście zlikwidowany. Następcą jego był taki "Cacko" (taki dość śmiały pseudonim) i też został zlikwidowany, ponieważ dostał trzydziści parę wyroków. Takie wyroki dawano się w zależności od ilości popełnionych zbrojeń, i też oczywiście był rozstrzelany. Sta-



siek siedział i czekał na sprawę no i oczywiście potem na wyrok. Były także takie organizacje nic nie znaczące, bezcelowe i bezsensowne, które wcale nie wiadomo co robiły. O ile się, zorientowałem chociażby ja w robotach. Na przykład była taka zupełnie nielegalna organizacja, młodych chłopców - 14-15-letnich - którzy postanowili wysadzić w powietrze ten pomnik wzniesionemu na dziedzińcu. Oczywiście to im się nie udało, dlatego że pomnik był granitowy, zresztą zostali spłoszeni przez milicję, i musieli uciekać, co im się na szczęście udało. Ale posali oni wówczas na schody ruchome przy placu Saskim no i postanowili wysadzić te schody, ale tu znów spłoszył ich milicjant, który tam się schronił przed czołżem. Postanowili więc zlikwidować tego milicjanta, ale nie mieli czasu, więc spróbowali nacierać go pokaleczyć. On się jakoś tam bronił, krzyczał, w końcu przyjechał patrol milicyjny, złapał jednego czy dwóch chłopaków no i wpadli wszyscy. Była również taka organizacja dość poważna, też młodzieżowa, że tak powiem. Byli to młodziacy z Ostrołęki, którzy działali prawie do otwarcia, na podstawie, jak się tłumaczyli, teorii Marksa, Engelsa i Lenina. A mimo to twierdzili, że każde państwo, każdy naród powinien dążyć do niepodległości, niezależnie zupełnie od innych narodów, według swoich obyczajów, swoich tradycji, trybu życia, i dlatego twierdzili, że zupełnie niepotrzebnie poleca się wstąpić do Związku Radzieckiego, a powinna dążyć do komunizmu swoim drogą. Oni tak samo zostali wszyscy wygarnięci i zamknięci. Obrona ich była dość ciekawa, dlatego że w śledztwie gdy oficer śledczy im coś zarzucał, to taki osłartony mówił, że "nie, towarzyszu oficerze, wy się mylicie, dlatego że u Marksa na stronie takiej a takiej było powiedziane to i to, więc wolno to robić". Rzeczywiście trudna była z nimi sprawa, no i w rezultacie dostali oni wyroki bardzo małe, a w większości zostali zupełnie zwolnieni. Był jeszcze jeden taki ciekawy wypadek, otóż kiedyś

wpuszczono nas do celi takiego faceta, mocno pobitego, który ledwo szedł na nogach. Spytałiśmy co ma z nogami, to prosił o misianiec, aby je sobie wyzoczyć. Powiedział, że ma nogi rozbite, złeptane w niezolliwy sposób, tak że nie może chodzić. Był na różnyon szedz-  
twach wozili go już do różnych miastech. Już wyjechał się, bodajże z  
prasznyckiego. Była tam taka chłopstwa organizacja, a on był solty-  
sem w jakiejś wsi, gdzie robiono sabotaże i występowało zdecydowanie  
przeciwko ustrojowi. A końcu wszystkich wyzowano. Twierdził, że jego  
wzięto jako pierwszego. Ponieważ teraz bronil się milczenie, nie  
powiedział ani słowa i pozwolił się, biał przez dłuższy okres, więc  
tamci mieli czas się ukryć. Teraz nie chce się, już zaczyna i żeby go  
tak mordowano jak dotychczas, i bądzie teraz już wszystkich sypał.  
Upowiedział go, że może się tu bardzo mylić, dlatego że rzeczywiście  
ci jego koledzy mogli się na pewien czas ukryć, ale jak się przeke-  
niali, że już więcej nikogo nie biorą, bo on nikogo nie sypie, to po-  
wrócili do domu i teraz mogą ich wszystkich wybrać. On na to powia-  
da: "Jeżeli oni są tacy śadni, to już nie jego wina, bo on przez ta-  
kich śadni nie ma zamiaru dalej cierpieć". No i rzeczywiście jak od  
razu drugiego dnia po przyjeździe do nas został wzięty na przesłucha-  
nie, czyli na tzw. śledstwo, był tam dość długo, a następnie powró-  
cił z papierosem, zadowolony, uśmiechnięty, dał się nam wszystkim  
z tego papierosa "zastachnąć" i powiedział, że teraz to już będzie  
miał spokój, bo już go tam w celi oficera śledczego ukarwali, napo-  
ili i dziękowali, że on tak ładnie wszystko zeznaje. No i rzeczywi-  
ście wszystkich sypał. No a ja powiedziałem: "nobrażaj, co to z tego wy-  
niknie". Niestety miałem rację, bo już po dwóch czy trzech dniach  
zaczęto zwozić z tej jego wsi i jego okolic masę ludzi. Przeladowali  
nimi nasz oddział w niezolliwy sposób, tak, że nawet do naszej celi  
wpuścili bodaj że dwóch, czy trzech, jego kolegów z jego organizacji.  
Było to wyjątkowe, ponieważ raczej nigdy z jednej sprawy w tej naszej



celi nikt nie siedział. Tu prawdopodobnie nie mieli już ich gdzie podziak, więc posadzili ich razem. No niestety właśnie rację i ta jego taktyka sypania w tym momencie, gdy wszyscy mogli się ukryć niestety się nie sprawdziła i wyszli oni na tej jego taktyce bardzo źle. Wszakże część organizacji było to organizacje nie mające większego znaczenia i nie osiągnęły one absolutnie nic, a poginęło z tego powodu wiele skrytych i bardzo usiólnych, owych chłopców. Z przedstawicielami tych wszystkich organizacji zetknęłam się właściwie znacznie później. A pierwszą moją celi było sporo członków organizacji, których mniej znalazł; wyjątek stanowił Stasiak, o którym już wspominałem. Wówczas siedziałem w tej pierwszej celi. Po śniadaniu, uszyłam się i wystawieniu na korytarz wisiek, następowala uroczysta chwila, a wiadomości wolno było palić. Odbywało się to trzy razy dziennie, po śniadaniu, obiedzie i kolacji, oddziałowy dawał ogień. Wstawiał drzwi, bierzył zapalnik z ręką, pochodził do niego celowy i przypalał papierosa, drzwi się zamykały i następnie swoim papierosem ten dawał przypalać innym. Papierosy wolno było palić w celi, ale nie wolno było palić. Pozwiesz palić tylko, jak zazwyczaj, to trzy razy po posiłkach. Jeżeli papierosów w celi było więcej, to wypalenie tej pierwszej partii przeciągało się. Przypalało się papieros od papierosa i paliło się po kolei, aby tę uroczystość przeciągnąć jak najdłużej. Ale to jeszcze nie wystarczało i kombinowało się, żeby jakoś w ciągu dnia jeszcze sobie popalić, choć było to zabronione, no i w ten czy inny sposób karano. O ile ktoś z sądu czy skądinąd przyniósł kawałeczek pudełka, tzw. "draskę", to ją się bardzo starannie przechowywało. Miało się wtedy jedną, czy dwie zapalniczki i od tego zapalało się papierosa. Robiło się ogień jeszcze inaczej. Mianowicie zbierało się trochę wolny z koca, wzięto się ją z gniazdek, tarło się drewniskiem o podłogę cementową, to się z końca zsczywało tło, no i w ten sposób także można było papierosa

przypalić. Wykrycie palenia zakazanego papierosa było dość trudne, ponieważ oddziałowy w zasadzie nigdy nie wchodził do celi, więc nie mógł posłuchać szan. Nie wchodził, ponieważ było mu to zakazane, to wprost ni, tego uważano, aby nie został obywatelski, aby mu nie odebrano kluczy, czy coś w tym rodzaju: zawsze stał przed progiem i stąd wydawał ten ogień czy poletek. Oddziałowi oczywiście byli różni. Byli lepsi, byli gorsi. Do takich może najlepszych, najwybitniejszych, należał taki jegomość w średnim wieku, który zawsze poprowadził nas wszystkich przy jakiegokolwiek robotcie - przy wychodzeniu na korytarz, wynoszenia "kibla" itd. i zawsze mówił "bujaj się". Nazwaliśmy go więc "bujaj się". Ale był także bardzo niesympatyczny, bardzo dokuczliwy, lający się, za co oddziałowy, którego nazywaliśmy "Mundzio", ponieszał klucze na imię: Zygmunt czy jakiegoś podobnie i ktoś gdzieś podsunął, że mówiono do niego "Mundzio" więc nazwano go tym imieniem. To był bardzo nieprzyjemny ty. Kiedyś z nim była taka śmieszna historia z celi. Kłanowicie goy kiedyś za drzwi się przyczepił do celi, trzymając klucze w ręku, ktoś mu te klucze wytrącił, a inny je kopnął w głąb celi. On się szybko cofnął, zasunął zasunę i potem przez drzwi błagał, żeby mu te klucze oddano, ponieważ on będzie za te klucze odpowiadał, po co mu tak dokuczają i tak dalej. Czując się powiadzieli nie pokazując się kto mówi, że jest dres, że wszystko dokucza, więc teraz trafiła się okazja, aby jego dokuczył, niech on też pójdzie posiedzieć za to że stracił klucze. On prawie że płakał, błagał, no ale w każdym razie tak się nad nim znęcano, aż do chwili, gdy usłyszano jakiś ruch na korytarzu. Ponieważ mógł tu zażądać oficer śledczy, więc nie chcąc, aby to posługowało za sobą jakieś przykre konsekwencje dla celi i nie chcąc się już dalej tak znęcać nad tym "Mundziem" - klucze mu oddano. Właśnie jeszcze takie ciekawe zdarzenia z innymi oddziałowymi. I właśnie dowiedziawszy się, że jeden taki młody oddziałowy,



zresztą antypatyczny facet, nazywał się Sybura. Przypomniałem sobie, że miałem w baterii takiego weteranijnego pisarza, który pięknie ryczywiście pisał, a maszyny do pisania, wówczas nie mieliśmy, więc całą korespondencję pisał pod moje dyktando. Kiedyś przy okazji zapytałem go czy nie znał Stanisława Sybura, który był kapralem w wojsku. Powiedział, że to był jego ojciec, ale już nie żyje. Powiedział to takim tonem, że zrozumiałem, że wcale nie chce ze mną rozmawiać, a szkoda, bo gościłem jakos w ten sposób u siebie i miał kontakt. Zauważyłem się jednak, że po takim wglądzie w antypatycznego faceta jakim był Otas Sybura, znalazł jest taki antypatyczny i pełni taką nieprzyjemną rolę, jak funkcja wdziankowa w więzieniu. Zresztą jak sobie przypomniałem to słowo się doświadczałem, że i ten Stanisław, mój były żołnierz, był raczej takim... leniwym po-  
glądzie, tak że będąc jeszcze po prostu jako weteran w wojsku, koleżki miał jakieś przyzwroci, słuchał w więzieniu, i nie wiem, czy w ogóle z nami nie został wykreślony. Jak z tego wynika bar-  
dzo się zalecił na nieuczynia i odpowiednio tego swojego symbola wybuchł.

Coś takim ciętym towarzystwem w więzieniu byli też zwani "korytarzowi". Byli to wspaniale wykształceni do obsługi wdzian-  
nia. Nie wiem zresztą, czy się kierowało przy ich wyborze. Sprzą-  
tali korytarze, robili porządek i pomagali wdziankowemu w różnych  
pracach. Oni przygotowyli obiad, oni też obiad, zaledwie czy kolację  
wydawali. Byli to takie drobne funkcje w więzieniu, ale od nich  
zależało bardzo dużo, bo mogli tak czy inaczej w celi pomagać. A  
składali się z bardzo różnych ludzi, wśród nich często bywali  
"ubierze", obsługa wdzianowa, która też za coś do więzienia tra-  
fiła no i mieli te uprzywilejowane stanowiska korytarzowych. Było  
tu znacznie lepiej, ponieważ mieli większą wolność, zresztą, sie-  
dzeli w osobnej celi. Ale oprócz "ubierzy" wśród tych korytarzo-

wych trafiali się najrozmaitsi ludzie. Otóż kiedyś gdzieś, wkrótce przed moim wyjściem, pewien czas takim korytarzowym był bardzo sympatyczny ksiądz, który asystował przy pisaniu listów. Później w jednej z cel zetknąłem się jeszcze z jednym, no ale to był facet antypatyczny. W ogóle nie przyznawał się do tego, że jest księdzem i zachowywał się w celi pod każdym względem niżej wszelkiej krytyki. Był bardzo egoistyczny, lubił dokuczać współtowarzyszom. Na ogół księży było bardzo dużo. Siedzieli za różne rzeczy, najczęściej za kazania, że coś z ambony powiedział, coś mu się tam "wypanęło", resztą nic ważnego, ale skwapliwie go zamykano, bo chodziło o to, żeby to głoszenie prawdy przez duszpasterzy jak najbardziej utrudnić, więc tych czynnych, aktywnych księży za byle co zamykano. W ogóle w celach było jak najbardziej rozmaite towarzystwo, z różnych sfer, z różnych dziedzin, i siedzących za różne przewinienia. Prawie zupełnie nie spotkałem przez cały czas siedzenia w więzieniu kryminalistów. Przeważnie prawie wszyscy siedzieli za takie czy inne, w pojęciu bezpieczeństwa, przestępstwa polityczne. Obydwaj księża, o których poprzednio wspominałem, siedzieli również za kazania. Nie wiem już, co w tych kazaniach mówili, ale i jeden i drugi opowiadali mi, że powiedzieli coś tam w tych kazaniach niezgodnego z dążeniami panującego u nas ustroju. Oddział nasz, to znaczy te cele na I piętrze, nazywał się oddziałem śledczym. Tutaj się siedziało przez cały ten okres, kiedy było prowadzone śledztwo. Po jego zakończeniu, skierowaniu sprawy do sądu i otrzymaniu wyroku, takiego delikwenta przetrzucało się na inny oddział. Przeważnie na parter w tym samym budynku. Tam już były cele karne i tam już się siedziało do ostatecznego załatwienia sprawy, to jest do wysłania do więzienia karnego, względnie do wyjścia na wolność. To się działo już po uprawomocnieniu się wyroku w sądzie apelacyjnym, jednym słowem wtedy, kiedy sprawa była całkowicie zakończona. Tak jak i inni



do piero po wyroku I-szej instancji i otrzymaniu kary zostałem przetrzucony na parter do wydziału karnego. Tymczasem pozostawałem w tej samej celi. Na oddziale śledczym nie byłem ani razu przetrzucony do żadnej innej celi i pozostałem tam do końca, tj. do otrzymania wyroku I-ej instancji. Znamienne było to, że na oddziale śledczym w tej samej celi nigdy nie siedzieli ludzie z tej samej sprawy. No, zrozumiała rzecz. Chodziło o to, żeby ludzie oskarżeni w tej samej sprawie nie porozumiewali się ze sobą i nie uzgadniali, w jaki sposób mają zeznawać. Ściśle tego przestrzegano. Do pewnego stopnia było to również przestrzegane już po wyroku I-ej instancji, znówu żeby nie uzgadniać jakichś spraw związanych z apelacją. To też w czasie mojego pobytu na oddziale śledczym nikogo z moich kolegów, współoskarżonych, nie spotkałem. Na oddziale śledczym oprócz cel męskich były i cele kobiece. Tam siedziały same kobiety. Przepuszczano, że tak samo oskarżone były w jakichś sprawach politycznych. Zresztą pamiętam, że z dwoma czy trzema takimi kobietami, spotkałem się kiedyś jadąc do lekarza na "Gęsiówkę". No a poza tym wiadomo było, że są tu kobiety, ponieważ a niektórymi celami porozumiewało się za pośrednictwem pukania. Po śniadaniu całe towarzystwo spokojnie zasiadało na tych parterowych przyczekach i zaczynały się ciche, spokojne, rozmowy i dyskusje. Panował wtedy w tym czasie spokój. Niektórzy tylko w kółko spacerowali po środku celi, co dawało troszeczkę ruchu i sprawiało pewną przyjemność. Lubieża często łazie dookoła celi, no ale o tyle to było niedobre, że kiedy się człowiek odwracał od okna, odruchowo podnosił oczy i wtedy raziło to światło, które od razu zamieniało się na ten mrok panujący w celi. No i przy każdym okręceniu ciągle się patrzyło na to światło, co bardzo ujemnie odbijało się na wzroku. Spokój i ta stosunkowo cisza panowała w tym okresie dlatego, że tutaj właśnie w tym czasie zaczynały się śledztwa. Każdy spodziewający się wzma-

nia na śledztwo był skupiony, ponieważ żaden nigdy nie wiedział, jak to śledztwo będzie przebiegało i w jakim stanie z niego powróci. Wezwanie na śledztwo odbywało się w ten sposób, że oddziałowy otwierał drzwi, wówczas celowy podchodził do niego, a oddziałowy szeptał mu do ucha celowego jakąś literę, no powiedzmy na K. wówczas celowy ze swej strony wymieniał nazwiska tych siedzących w celi, a zaczynających się właśnie w danym przykładzie na literę K. Ja zazwyczaj, gdy potem byłem celowym, to zaczynałem w tym wypadku wymieniać od nazwiska Kowalski. Cała rozmowa odbywała się szeptem. W końcu, jak celowy trafił na potrzebne oddziałowemu nazwisko, tenent kiwał głową, wówczas celowy ręką wzywał tego delikwenta do wyjścia. Ten przeważnie się zegał i wychodził z oddziałowym na śledztwo. W ten sposób śledztwo jego się zaczynało. Śledztwa trwały nieraz krótko, a nieraz bardzo długo. Czasem wracał taki delikwent nawet na obiad, czasem grubo po obiedzie. W międzyczasie inni byli wzywani tak samo i czasem powracali bardzo późno, a zdarzało się, że nie powrócili wcale na noc. Wtedy się domyślano, że taki został ukarany i poszedł do tzw. "kina", czy innego rodzaju karcera. Ja każdego dnia spodziewałem się, że również będę wezwany na śledztwo, bo już siedziałem dość długo. Celowy pocieszał mnie, że ja jeszcze mogę posiedzieć tak dłużej, nawet parę miesięcy i dopiero będę wezwany na śledztwo. Chodzi o to, jak on się wyraził, żeby "skruszał", to znaczy żeby się denudował, żeby się możliwie najbardziej zalażał, no i wówczas - w pojęciu oficerów śledczych - będę lepszy do zeznań. Lepiej będę odpowiadał - w myśl ich życzeń - na stawiane pytania. Ze śledztwa ludzie powracali w najrozmaitszym stanie. Niektórzy wracali strasznie maltretowani nieraz zbici w okropny sposób. Kiedyś, pamiętam, któryś z współwięźniów został wprost wepchnięty przez oddziałowego, wesołgał się na czworakach, był niesamowicie pobity i maltretowany. Natomiast inni



wracali nieraz bardzo weseli, zazwyczaj z papierosem w ustach, niezależnie od tego, czy palili czy nie palili, bo chodziło o to, żeby oficjalnie zupełnie przynieść do celi ogień i wszyscy od niego zapalali i można było wtedy oficjalnie zapalić papierosa. Niektórzy wśród nich współwięźniów w celi mieli już śledztwo ukończone. To znaczy, że otrzymali akt oskarżenia, przeczytali go, czyli sprawa w pierwszej fazie już była zakończona. Czekali teraz na rozprawę sądową i pozostawali w tej celi do chwili przeniesienia na oddział karny, lub do wyjścia na wolność. Wyjaśnienia celowego, żeby posiadać dłuższą i, jak on się wyraził, "skruszał", uspokoiło mnie, bo jakoś denerwowałam się tym, że siedzę bez żadnego rezultatu, a nie poczuwałam się absolutnie przeciw do żadnej winy, więc chciałam wyjaśnić dlaczego i za co siedzę. Ogromnie również denerwował mnie brak wiadomości z domu. Pojęcia nie miałem i nie wiedziałem nic, co się dzieje z żoną, jak się czuje i jak sobie daje radę. Jednakże na to wszystko nie mogłem nic poradzić. Nic nie mogłem zrobić, więc musiałem cierpliwie czekać. Niedziałalem, starałem się być jak najspokojniejszy i czekałem co dalej będzie. Tymczasem zaś obserwowałem co się tu dzieje dookoła, z tymi biednymi kolegami. Ci wszyscy, którzy już mieli zakończoną śledztwo i otrzymali, a raczej którą już przeczytano akt oskarżenia, czekali na wezwanie do sądu i na rozprawę. Każdego dnia, oprócz oczywiście niedziel i świąt, zaraz po śniadaniu oddziałowy wzywał takiego jegomościa i od razu było wiadomo, że wzywany był do sądu, bo nie szeptał tu jak zwykle, tylko wywoływał po nazwisku. Szedł mu przy tym zabrać płaszcz, no więc wiadomo było, że jedzie do sądu. Wracali stamtąd o różnych porach. Często dość szybko, a nieraz całkiem wieczorem, lub nawet w nocy. Po powrocie takiego jegomościa wszyscy obsiadali go dookoła i musiał dokładnie opowiadać, co się działo, jak przebiegała

jego sprawa, a przede wszystkim, co słyszał, jakie były najważniejsze wiadomości, co mu mówił adwokat i w ogóle, czego się dowiedział. Najwięcej jednak wszystkich interesowała sprawa amnestii. Ale w tym zakresie najczęściej opowiadający nic nie wiedział. Mówił najczęściej o różnych pogłoskach, o tym, że właśnie na nią się zanosi i że będzie ona na pewno, ale nie wiedział o tym nic konkretnego. Najwięcej i najchętniej zawsze opowiadający mówił o swojej rodzinie, no ale to znów nas wszystkich najmniej interesowało, bo o rodzinie właściwie można się było dowiedzieć czegoś dopiero przy widzeniach, a one odbywały się dopiero po otrzymaniu wyroku. A to mogło być dopiero na innym oddziale, tam. karzą. Okres ten, od otrzymania aktu oskarżenia, aż do pierwszej rozprawy sądowej trwał kilka miesięcy. Przez ten czas oskarżony pozostawał w swojej celi śledczej, ale w tym czasie, co było bardzo ważne, miał prawo odwiedzić go adwokat. Adwokat również przynosił różne wiadomości, a przede wszystkim informował swego klienta o sprawach domowych, co się w rodzinie i w domu dzieje. Poza tym z adwokatem oczywiście omawiało się sprawę. On informował, co i jak należy zeznawać, jak sprawa się przedstawia, czy jego zdaniem sprawa jest trudna czy łatwa, w każdym razie omawiał ją, aby się do niej potem przygotować. Adwokaci byli bardzo różni. Niektórzy przychodzili dość często, inni natomiast bardzo rzadko. Ja nie czekałem na wizytę adwokata, gdyż nie tylko nie miałem śledztwa zakończonych, ale ono się w ogóle jeszcze nie rozpoczęło. Natomiast do takich właśnie oczekujących na sprawę sądową po zakończeniu śledztwa należał mój celowy. No i przyszło mi do głowy, że jak on tylko pójdzie na sprawę, a przecież z góry będzie o tym wiedział, poproszę go, aby przez swego adwokata nawiązał kontakt z moją żoną. I wtedy, gdy ten mój byłby kolega z AGG będzie chodził na rozprawę będzie miał już ten kontakt nawiązany. Gdy gdzieś ehyba w połowie stycznia przyszedł adwokat tego kolegi, mówiąc mu, że



na naznaczoną sprawę w końcu stycznia, jednocześnie powiedział, że postara się dowiedzieć, co się dzieje u mnie w domu i z moją żoną. Jednakże nie może dać żadnej wiadomości w czasie pierwszej rozprawy sądowej, ponieważ już nie przyjdzie, bo już wszystko oświadczył. Termin sprawy był już wyznaczony, więc nie miał już po co przychodzić, a to nie było ani łatwe i ani proste, i o ile wiem - adwocaci nie bardzo lubili do więzienia przychodzić. Więc musiałem czekać cierpliwie, kiedy będzie ta rozprawa i kiedy przyswiecie mi jakiegokolwiek wiadomości. Z tą sprawą nie chciałem się zwracać do innych, którzy w międzyczasie mieli sprawy sądowe, bo oni nie bardzo chcieli się tego podejmować, bo się bali, zresztą nie byli pewni swoich adwokatów, no i jakoś mi się to nie kleiło. Natomiast z tym kolegą udało mi się to bardzo łatwo. Siedziałem no i niecierpliwie oczekiwałem na tę sprawę. Z adwokatem oskarżony widywał się gdzieś w jakimś osobnym pomieszczeniu, oczywiście na terenie więzienia. Był wysyłany z celi i odprowadzany do tego osobnego pomieszczenia przez innego oddziałowego, nie tego dyżurnego. Tam już z adwokatem pozostawał sam na sam i zwykle przy tym już nikogo nie było, chyba że był tam jeszcze drugi adwokat z innym oskarżonym, oczywiście tylko w tym wypadku, o ile ci ówaj oskarżeni nie należeli do tej samej sprawy. Oczywiście lubili ogrozić te wizyty adwokatów, nawet gdy dotyczyły innych współoskarżonych. Adwokat zawsze coś ciekawego powiedział i przynosił coś oskarżonemu, jakkolwiek było to zakazane. Zawsze jednak coś w kieszeni przynosił: jakieś papierosy, kawałek czekolady, porażnicze czy coś takiego, co było bardzo atrakcyjne w celi. Zetknięcie się ze światem zewnętrznym poza celą było bardzo przyjemne, bo przecież my wcale z tej celi nie wychodziliśmy. Nie mieliśmy ani gazet, ani książek, ani absolutnie żadnych wiadomości ani styczności z kimkolwiek, aby można było porozmawiać. Więc nawet wyjście czy to na śledztwo, czy właśnie do adwokata było,

jak powiedziałem, dla nas bardzo atrakcyjne. Tak samo wielką rozrywką stanowiła dla nas łabnia, do której nas prowadzono całą celą w sobotę. Nie mieliśmy przecież żadnych spacerów i ten spacer tylko po tej maleńkiej celi był niewystarczający. Wybitnie atrakcyjne dla nas było porozumiewanie się z sąsiednią celą za pomocą pukania wg. alfabetu Morse'a. Niektórzy świetnie to umieli robić, tak że po pewnym czasie i ja się tego nauczyłem i tak samo porozumiewałem się z sąsiednią celą. Mówię dlatego "z sąsiednią celą", bo nasza była na korytarzu zaraz pierwsza z lewej - i sąsiadów mieliśmy tylko z jednej strony. Druga ściana wychodziła na senody. Przez takie pukanie można się było dowiedzieć bardzo dużo, na przykład, co się dzieje w sąsiedniej celi, czy tam kogoś nie ma z mojej sprawy i w ogóle, jakie oni mają wiadomości. Pukanie szło po całym korytarzu od celi do celi. Na przykład ktoś pytał, czy jest ktoś ze sprawy takiej i takiej i po pewnym czasie otrzymywałeś tą drogą łabienzkową odpowiedź, że taki i taki siedzi w tej i tej celi. Naturalnie takie pytania były bardzo ryzykowne, bo były one zakazane pod ogromnym rygorem. Jeżeli kogoś złapano przy takim pukaniu, to wówczas był mocno karany i w ogóle za to odpowiadała cała cela, bo nie można było nigdy stwierdzić kto konkretnie pukał, bo nikt się do tego przecież nie przyznał. Kary były najrozmaitsze i można powiedzieć - wyszukane. Przede wszystkim wszystkie kary należały podzielić na dwie kategorie: na kary zbiorowe, gdy za coś odpowiadała cała cela, no i na kary indywidualne, dla poszczególnych oskarżonych. Najczęściej stosowaną karą zbiorową było pozbawienie celi na noc sienników. Polegało to na tym, że wieczorem, to znaczy po apelu, po godzinie szóstej, kiedy się już układało spać oddziałowy kazał wyrzucić wszystkie sienniki na korytarz. Nie wyrzucić w pełnym znaczeniu tego słowa, tylko wynieść je i ułożyć w stos, tuż przy drzwiach. Wszyscy porostawali wówczas bez sienników i trzeba było spać na gołych siatkach. O ile



przy tym zostawiono koca, to wówczas jeszcze pół biedy, ale bez koca to już w ogóle była tragedia. Można sobie było wyobrazić, jak można było spać - w samej bieliznie - na tej siatce żelaznej, która się wgniatała w ciało. Bardzo prężną karą było również zatrzymanie otwierania lufcika. Chodziło o to, że okna przecież w ogóle nie otwierało się w celi, natomiast był niewielki lufcik, który zasadniczo dzień i noc był otwarty. Otóż oddziałowy mógł kazać lufcik zamknąć. Po pewnym czasie stawało się duuzno, nie było czym oddychać i w zależności od tego, jak długo to trwało - odpowiednio ludzie się w celi czuli. Gdy to trwało dłużej, brakowało zupełnie powietrza i ludzie się dusili, bo przecież trzeba się liczyć z tym, że w międzyczasie musiał być otwierany "kibel", więc i sapach był odpowiedni. Gorzej jeszcze było wówczas, gdy przy otwarciu celi, co się odbywało regularnie w sobotę, oddziałowy wysypywał z kabla przez otwarte drzwi na podłogę emerek, no i kazał ją myć. Jeśli przy tym lufcik był zamknięty to można sobie wyobrazić, jakie w celi było powietrze i jak się wszyscy dusili. Ja z tego wszystkiego przeżyłem tylko raz karę pozbawienia w celi śniadków, na dwie noce. To nie było takie straszne i można to było wytrzymać, ale o tym opowiem w swoim czasie. Znacznie cięższe były kary indywidualne. Najłagodniejszą karą, ale najczęściej stosowaną, było pozbawienie delikwenta prawa "wypieki", prawa zakupu z własnych pieniędzy artykułów spożywczych. Na oddziale karnym stosowano również pozbawienie widzenia z rodziną. Następną karą, której zdaje się nikt nie uniknął, to było sadzanie delikwenta "na nóżce". To już stosowane było w trakcie śledztwa. Chodziło o to, że przewracano się do góry nogami stołek, względnie krzesło. Stołek był lepszy, ponieważ miał znacznie grubsze nogi, natomiast gorzej było jak się sadzało takiego pana na wywróconym krześle. Było to w ten sposób, że krzesło odwrócone stawiało się pod ścianą tak, aby nie mogło ono pod ciężarem przechylić się

naprzód. Również kazano jeździć na nóżce. W ten sposób musiał się nadwinąć, że ta nóżka wrywała się w odbytnicę. Daleko ona nie wchodziła, tam dostać by spodnie jej tam nie puszczały, ale tą pochyloną nóżką opierało się o kość ogonową, gdzie było bardzo silne unerwienie, więc oczywiście to piekielnie bolało i więcej niż kilkanaście minut nikt nie mógł wytrzymać i zwyczajnie się walił, a często bywało, że po prostu zemdliał. W zależności od stopnia kary, albo go cuczono, albo bez cuczania, jeśli całkiem nie zemdliał, znów sadzano na tej nóżce, lub przerywano, o ile czuł lepiej znosić. Te kary, poza "wypinkami", stosowano już w trakcie śledztwa, aby zmusić badanego do zeznawania tak jak podobało się oficerowi śledczemu. Do kar łagodniejszych należały zaliczyć tzw. "karc". Chodzi o to że oskarżonego pakowano się do pustej zupełnie celi z zamykanym oknem. Cella była cała wyceglowana i malowana, ale w każdym razie była ziana i stał tylko kibel, a poza tym nie było nic. Oczywiście o ile ktoś sobie zdawał z tego sprawę, że usiąść w danej wypadku nie może, bo przeziębienie sobie nerki - musiał cały czas stać. Zależało jak długo mógł wystać, bo jeśli nie mógł dłużej wytrzymać to siadał na podłodze, ewentualnie na niej spał, o ile pobyt w takiej celi się przedłużał. Stędy tak czy inaczej tracił zdrowie. Najczęściej przeziębiano się nerki. Widziałem takich panów wracających z takiej samotności, całych spuchniętych ponieważ oczywiście mieli całkowicie przeziębione nerki. Tej kary także dwukrotnie nie uniknąłem. Jeżeli w takiej celi siedziało się w ubraniu, to wtedy nazywało się ją "Kinen", z tej prostej przyczyny, że człowiek żeby się rozgrzać, bił ramięmi o ścianę, skakał, biegał po celi, hałasował drewniakami, a oddziałowy przez szajtkę zaglądał i miał przedstawienie jak w kinie. Jeżeli jednak pakożano się do tego zupełnie nagiego człowieka to wówczas nazywało się to "plażą". Ze względu na bardzo smutne skutki dla zdrowia nie można było w takiej



celi długiej wyśledzić. Dalej stosowano takie kary, jak pozbawienie całowickiego snu. To odbywało się dwójako: albo w ogóle nie dawano mu spać i kazano siedzieć w celi śledczej na stołku i co chwila, o ile zasypiał, budzono go albo też zanękało go się w osobnej celi, tak samo z wyjątkiem okna, dawano mu się koc, świeciło się bardzo jasnym światłem prosto w oczy i unieszkodliwiano sen. Jeżeli naciągał na siebie koc i przykrywał się nim, zresztą robił to zupełnie automatycznie, wówczas szarżujący otwierał drzwi i po prostu budził go poś przewróttem kazania wyjścia rąk spod koca. Sługo tak nie mógł człowiek wytrzymać bez snu, bo przecież serce mu kasało. Nie wspominałem już o takich karach, jak popielite zapchanie się, straszenie bicia i tak dalej, co stosowano wyłącznie do mało inteligentnych chłopów, dlatego że kochani oficerowie śledczy zdawali sobie z tego sprawę, że inteligent bity zaczyna się i nie będzia wtedy zeznawał, tak jak to bywało podczas śledstwa w gestapo. Słyszałem o jeszcze takim wypadku, a mianowicie takiego badanego rzucono na podłogę a ponieważ miał długie włosy, więc jeden z oddziałowych uderzył mu na nie, tak że absolutnie nie mógł się ruszyć, usta miał zatkane, a do nosa nalewano mu łyżeczką wodę, tak że człowiek się dusił. Powiedziano mi, że jeżeli zdecyduje się zeznawać, to wówczas niech drugie to go puszcza. Nie wiem jak tam było dalej w tym konkretnym wypadku, o którym mi opowiadano, ale w każdym razie można sobie wyobrazić, że w tych warunkach człowiek nie mógł długo wytrzymać, bo dusił się, adiał i musiał się zdecydować na takie lub inne zeznanie. Był jeszcze jeden taki "wspaniały" "karc". A mianowicie było takie małe pomieszczenie, metrosej powierzchni (metr kwadratowy), które miało ocementowaną wgłębioną podłogę, gdzie nalewano około pół metra głębokości wody i do tego sadzano całowickiego. Stał w wodzie zupełnie nagi i nie mógł, ani usiąść, ani położyć się i tam odpowiednio krócej albo dłużej przebywał, w zależności od

tego, jak karę mu wyznaczono. To też nie należało do przyjemności i rozkoszy, a co pewne - bez względu na bardzo ujemnie uduło się na zdrowiu każdego przeżywanego tego człowieka. Ja z tego wszystkiego przeżyłem tylko oprócz dnie nocce bez śnienników i dwukrotny pobyt w "kibic". O innych zaś wypadkach opowiadali mi współtowarzysze z celi, którzy to wszystko przeżyli na własnej skórze i co się na ich zdrowiu bardzo odżyło. Ten tak zwany "karc" z wodą, widziałem na własne oczy jedynie w UB na Sierakowskiego, o czym już uprzednio opowiadałem. Do bardzo przyczyn rzeczy należy tu jeszcze salicylicy re- zont, a raczej salicylicy cel. Na ucieczkę odżyło się, to bardzo rzadko. Na przez cały pobyt w więzieniu przeżyłem to tylko dwukrot- nie. Polegało to przede wszystkim na tym, że pewnego dnia wyrzucano wszystkich z celi i przeprowadzano do innej, zupełnie pustej, a tu przychodzili salicylicy, oczywiście więźniowie, którzy tę celę salo- wali. Wówczas, gdy tylko skończyli to salicylicy, momentalnie z po- wrotem wracali się do tej swojej celi. To stało się bardzo przy- kre, dlatego że było strasznie mokro, wszystko było zalane, suchla- pane, trzeba było być przodem, podłoga, no a najważniejsze, że przez jakiś czas siedzieli się w tej strasznej wilgoci, w sąrodzie farb. No ale było to rzadko, więc trzeba się było z tym jakoś pogodzić.

Wszystkie te sprawy związane z jakimś, że tak powiem, kontaktem zewnętrznym odbywały się zazwyczaj w tym okresie od śniadania do obiadu. W tym czasie siedzieliśmy względnie spokojnie, zachowywa- liśmy się cicho, unikaliśmy pukania, głośniejszych rozmów czy na- wet kłótni. Ciężkość tych, którzy byli jeszcze w okresie śledztwa, była niepokojna, zdemotywana tymi warunkami na śledztwa, ponie- waż każdy się tego bał; chciał tego uniknąć, choć było to zupełnie beznadziejne. Nie wiedziałem przecież w jakim stanie z tego śledztwa wróci i jak ono będzie przebiegać. Najlepiej czuli się oczywiście ci, którzy byli już po zakończonym śledztwie i którzy już strzymali



akta oskarżenia i czekał już tylko terminu rozprawy sądowej. Rozmowy odbywały się półgłosem, w innym zupełnie nastroju niż w późniejszych godzinach dnia. Nie nasłuchiwało nawet tutaj, do opowiadań. Wszelkie było jakoby tutaj skupione i każdy każdego wszędzie wszyscy spoglądali na drzwi, co też nas dzisiaj czeka i co nas może przyniesie spotkać. W ten sposób schodził czas do obiadu i pewien okres po obiedzie, ponieważ wtedy też były śledztwa. No ale w każdym razie po obiedzie żadnych wywołań na ogół nie było. Choć były także i śledztwa nocne. Te odbywały się w podobny sposób. Mianowicie w nocy, nie wiadomo o której godzinie, oddziałowy otwierał drzwi, celowy podchodził do niego, bo musiał coś powiedzieć szefowi z kóśką, a ten mu szepotał te pierwsze litery nazwiska. Celowy albo szepotał mu nazwiska i kiedy brał, brał tego biednego delikwenta, ten też się zrywał, ubierał i wychodził ze oddziałowym, który go prosił do odpowiedniego oficera śledczego. Nocne śledztwa odbywały się stosunkowo rzadko, ale jednakże się powtarzały. Szczególnie tych śledztw wszyscy się bardzo bali, ponieważ śledztwa takie były zawsze wyjątkowo ostre i przegrane. Kiedyś, pamiętam, mi zaszło w nocy krzyki kobiece. Widać było, że ta kobieta była w straszny sposób maltretowana, bo krzychała nieustannie i słychać było oficera śledczego, który szedł do niej głośno "mów, mów, to przestanę". No ale nie wiem jak to się skończyło, nie wiem, jaka to była kobieta, nie znam jej, w każdym razie zrobiło to na nas wszystkich - bo wszyscy nie spali, wszyscy nadlucznili - bardzo przegrane wrażenie, i tak nam wszystkim było tej biednej morderkowanej dziewczyny.

O jakiejś godzinie 12, może trochę po ukucastej, ułamek obiad. Odbywało się to podobnie jak przy śniadaniu. Oddziałowy otwierał drzwi i szedł "obiad", a korytarzowi już stali z karczemką i celowy wówczas brał szef, po kolci podał, a oni nalewali tę zupę, a następnie po skończeniu rozdawania - wszyscy siadali i zjadali

te zupkę, posiadany przez siebie łyżkami. Nie mogą powiedzieć, żeby te zupy były szczególnie złe. Nie można było tu nic nadzwyczajnego wyśmagać. W każdym razie były gęste. Ja osobliwie najlepiej lubiłem krupnik, gorzej było jak był zamoczak albo kapuśniak; była też fasolówka i grochówka. Było to dość gęste, a nawet przeciwnie smaczne. Zależało to oczywiście od kucharza, bo kucharze to byli więźniowie, no i oni się zaimienili. Jeśli jak był dobry kucharz, to i lepsza była zupa. Czasem w tej zupie trafiały się jakieś skraweczki mięsa. Nie było to jakieś lepsze mięso, ale jakiś ogon, czy strzęp ucha świńskiego, czy coś w tym rodzaju. Czasem jeszcze kęsbarko się też trafiało, ale jak się trafiało, to człowiek był zadowolony, że ma coś lepszego. Muszę powiedzieć, że na ogół człowiek się najadał tej zupy. Była pełna miska, więc było jej z górą litr, więc każdy się naład, przegryzł trochę chleba i było zupełnie dobrze, a co najważniejsze było to zdrowe. Nikt nie chorował nigdy na doładek, a nawet ci, co chorzy przysiali, to im się z tym doładkiem poprawiało i jak smaki twierdzili, było lepiej. Okropna zupa to była zupa dorozowa. Do kotła z zagotowaną wodą wrzucano całe zupełnie doraze, które rozgotowywały się tam na miarę. Były tu także i kartofle. No ale przede wszystkim to kawaleczki tego doraza, razem z wątróbki, ściami i tak dalej, to była taka papka, której nie można było właściwie zupełnie zjeść; człowiek tylko wylawiał kawaleczki kartofli, no i czego innego, co się w tej zupie trafiało. Była to rzeczywiście niełobna zupa i rzadko kto ją zjadał do końca. Na kolację była często wydawana tylko kawa. Ponieważ mieliśmy w celi wydany już chleb, więc cała kolacja składała się tylko z tej kawowej lury i kawaleczką chleba. Ale najczęściej jednak dawali nam te zupy z obiada, znaczy powtórzenie tego samego. To też było niezłe, dlatego że, jak mówili, te zupy nie były najgorsze, chyba że była to



zupa dorszowa. Po obiedzie i kolacji oficjalnie zapaliliśmy papierosa. Bardzo ważnym uzupełnieniem wyżywienia w więzieniu, były tak zwane "wypiski". Początkowo były paczki dostarczane przez rodziny, a potem paczki skasowano i wprowadzono to tak zwane "wypiski". Polegało to na tym, że jeżeli ktoś miał na koncie jakieś pieniądze, to można było zapisywać się na dostarczenie takich czy innych produktów. Można więc było kupić biały pieczywo, cukier, jakiś tłuszcz, olej i co ważne, można było kupić także taką kiełbasę, a raczej kaszankę krasną; nazywali ją filaczem. Pamiętam, że przed wojną posiadacze pań kupowali taką kaszankę, ponieważ była ona dobra i taki pieasek obficie ją jadali. No nas ona też smakowała. Ale pamiętam, że któregoś razu dane nam taką kaszankę, zupełnie zaputą i śmierdzącą, tak że prawie nikt jej nie jadł i zerwali ją oddziałowemu, co za się bardzo nie podobalo, bo przypuszczam, że z tego powodu zarząd miał jakieś przekroci, choć sądzę, że ktoś na tym również dobrze zarobił. Zakupić "na wypiski" można było tylko rzeczy wyznaczono i to w ograniczonych ilościach. Nie można było oraz czegoś za dużo lub takich towarów, których nie było wspanie więzieniu. Początkowo daliśmy czas nie miałem "wypisek", dlatego że byłam taka "skruszona", jak to niej celowy się wyraził, ale po paru tygodniach mogłam już także wypisywać. Po "wypiskach" były wydawane raz na jakiś czas, ale była to dobra rzecz i można było odpowiednio uzupełnić sobie to niedostateczne wyżywienie. Tych nieposiadających "wypisek" wamyśmy czasem podkarzali, dzieląc się z nimi, i w ten sposób im pomagano. Zresztą muszę tu stwierdzić, że koleżeństwo w celi było bardzo duże i zawsze jeden drugiego podtrzymywał tak fizycznie jak i na duchu. Przyjemnością i atrakcją, jak wspominałem, były kąpiele. Do kąpiel prowadzono nas raz za tydzień, w sobotę. Była to, jak powiedziałam, wielka przyjemność, ponieważ przede wszystkim stało się wtedy trochę ruchu, bo człowiek przesuwał przez korytarz, po

schodach i całe podwórko, w drugi jego koniec, i tam wchodzili do rozbieralni. Potem, jak zobaczyłem, były to dwie takie rozbieralnie, dlatego że jak weszliśmy do jednej, to z drugiej strony łaźni jakaś inna cela się ubierała. Do łaźni szło się tylko celami, żeby bronił Bole nie spotkać się z kimkolwiek ze swojej sprawy i jakoś się z nim nie porozumieć. W rozbieralni rozbierano się do naga, zostawiało się ubrania, a bieliznę rzucało się na kupę, ponieważ potem wydawano czystą. Wchodziło się do właściwej łaźni, to jest pod prysznic, gdzie stał jeden przy drugim, tak że pod prysznicem człowiek się bardzo dobrze mył i mógł nawet sobie podregulować wodę, jaką chciał. Przez ten czas wszystkie nasze ubrania były przetrząsane, bo przeprowadzana była rewizja, czy czegoś tam w nich nie zostawił ktoś. Kto miał jakiegось papierosa, to oczywiście też zabierali i w ogóle co tylko tym oddziałowym i korytarzowym się podobalo to brali i na to nie było żadnej rady ani apelacji. Ta łaźnia miała jeszcze jeden plus. A mianowicie chodziło o to, że gdy celami wychodziliśmy na to podwórko, mogliśmy zobaczyć tych więźniów, którzy szli do łaźni lub właśnie z niej wracali. No i wtedy można było spotkać kogoś ze swoich znajomych, czy kolegów. No i właśnie tak się zdarzyło, że podczas takiej kąpieli, ktoś tam zawołał "patrzcie, patrzcie idzie jakaś cela"; wszyscy rzucili się oglądać ją tak samo i wśród tych więźniów zobaczyłem mojego kolegę. Był to mój vice-dyrektor z przedsiębiorstwa, Zandberg. A ten sposób dowiedziałem się, że Zandberg też jest aresztowany; zorientowałem się więc, że zamknęli nas wszystkich. W każdym razie nie wiedziałem jeszcze o dwóch, to jest o Zandbergu i naczelniku wydziału technicznego, Maciejowskim. No a tutaj zobaczyłem Zandberga, to już wiedziałem, że on siedzi. Po skończonej kąpieli wracaliśmy oczywiście do tej naszej ubieralni, gdzie wydawano nam od razu czystą bieliznę bez wyboru co się trafiło. Czasem trafiło się na jakąś koszulę czy kalesony zupełnie po-



darte, ale na to człowiek nie zwracał zupełnie uwagi. Pracownie wszyscy, tak jak ja, mieliśmy tylko po jednej parze skarpetek, więc przy okazji prało się je. Do celi oczywiście wracano się w drewniakach na boso nogi, bo nie można było włożyć tych mokrych skarpetek. Po ubraniu się wszystkich nas zabierano i prowadzono z powrotem do celi. Trzeba było to wszystko robić szybko, bo oddziałowi nas pośpieszali, krzyczeli i wytyłali, szczególnie tym, którzy się opóźniali. Były takie wypadki, że chciało się z tej, czy innej, przyczyny przeciągnąć tę historię, to wtedy ktoś specjalnie wolno się ubierał i narzekał, że nie może, że boli go strasznie ręka, czy coś w tym rodzaju, no a tymczasem inni jakieś swoje sprawy załatwiali. Przejemność ludzi jednak była przede wszystkim tym, że w tym czasie, kiedyś w niej byli, w celi przeprowadzano rewizję. To znaczy, że dwóch oddziałowych przewracało wszystko do góry nogami i wszystko co tylko było zakazane - zabierali. Przede wszystkim zabierali te wyostrome łyżki, które się specjalnie ostrzyło, ponieważ taką wyostrzoną łyżką wygodnie było przekrajać chleb, czy też cokolwiek nią zrobić. Zabierano wszelkie wyroby z chleba, któreśdy sobie robili, na przykład szachy, czy waresy. I ja się nauczyłem to robić. Zrobiłem sobie na przykład pokrowiec na okulary. Poza tym różne inne rzeczy robiło się również z chleba. Wtedy zabierano to. Zabierano również szachy i waresy, no ale pocieszaliśmy się i robiliśmy je sobie na nowo, tak że było właściwie tak w kółko. W każdym razie taka rewizja była nieprzyjemna, ponieważ człowiek przychodził do takiej celi, przewróconej do góry nogami, no i musiał robić jakiś porządek. Zabierano również grzebienie metalowe, których nie wolno było mieć. Ja byłem zupełnie pozbawiony grzebienia, bo miałem właśnie taki grzebień metalowy, pasiatkowy, który mi przy przeprowadzeniu do więzienia odebrano. No ale nie było wielkiego smutwienia, bo zawsze mi ktoś grzebień pożyczył i byłem odpowiednio ucie-

sany. Cołenie odbywało się raz na tydzień, w niedzielę. Celili oczywiście fryzjerzy, którzy ucieli to robić, ale tak samo i więźniowie. Strzygło się na ogół rzadko. Pamiętam, że byłem ostrzyżony dopiero po kilku miesiącach i miałem bardzo ładne kędziory, ponieważ zawsze włosy mi się kręciły. Niedziela była tym przyjemna, że w tym dniu nie było śledstw, zresztą i w sobotę były one jakby ograniczone. O ile wtedy, gdy byliśmy w kaźni, ktoś był wcześniej wywołany na śledztwo, to oczywiście tego tygodnia do kaźni nie szedł i pozostawał w brudnej bieliznie. W ciągu tygodnia bardzo się ona brudziła, ponieważ spało się przecież bez prześcieradeł, a wprost na tych bardzo brudnych siennikach. W ten sposób także więcej, jak opowiadałem, schodził nam ten cały dzień więzienny. Najprzyjemniejszy moment to był wieczór, położenie się do łóżka. No i tutaj, jak wspominałem, zaczynało się wołanie: "panie Kownacki, niech pan coś opowie". No i opowiadałem oczywiście wówczas bardzo wiele, zarówno w tej celi na oddziale śledczy, jak i później - w różnych innych, na oddziale karnym.

W ten sposób zbliżała się już Boże Narodzenie, a ja jeszcze ani razu na śledztwie nie byłem i przyznać, że z niecierpliwością tego oczekiwałem, no bo chciałem, żeby coś się w tej mojej sprawie wyjaśniło. No i wreszcie nadeszło tak przez nas wszystkich oczekiwane Boże Narodzenie. Spodziewaliśmy się, że to święto będzie choć w minimalnym stopniu uczczone. Ale nic podobnego nie nastąpiło. Wigilia jak i pierwszy dzień niczym się nie różniły od dni powszednich. Natomiast my w celi chcieliśmy obchodzić te święta Bożego Narodzenia jak najbardziej uroczystie. Zrobiliśmy więc choinkę - z mietli. Jakoś ją tam ubraliśmy kawałeczkami papierków od papierosów, jakimś galgankami i czym się tam dało. Zapalenie jakichś świeczek było oczywiście niemożliwe. Śpiewaliśmy natomiast kolędy. Staraliśmy się robić to jak najgłośniej. Słyszeliśmy, że w innych celach śpie-



wano je również. Oczywiście wywołało to dość energiczną reakcję ze strony oddziałowego, który walił w drzwi, otwierał je i krzychał, że wszystkich nas ukarze. No ale jednocześnie śpiewano i w innych celach. Myśny przerywali oczywiście w tym momencie, kiedy on otwierał drzwi, tymczasem śpiewy rozlegały się gdzie indziej, stedy on zatrząskiwiał te drzwi, pędził tam gdzie śpiewano i nie mógł w końcu nic poradzić. W końcu tylko prosił bardzo, żebyśny śpiewali jak najciszej, żeby tego nie było nigdzie słychać, bo będzie miał duże przykrości. Następnego dnia inny oddziałowy, był to właśnie ten Munda, o którym już wspominałem, zapowiedział, że o ile będziemy śpiewać kolędy, to z polecenia oficera śledczego będziemy spać bez sienników i to nam dopiero uprzejmni święta. No i musieliśmy oczywiście zrezygnować z tej wielkiej ugrzejności śpiewania kolęd, bo nie chcieliśmy ryzykować tej kary. Natomiast przeżywalismy bardzo sprawę zajęcia. Otóż chodziło o to, że przez szparę w oknie widzieliśmy, w którejś z kamienic na ulicy 71 Listopada, wywieszzonego na balkonie zajęcia. No i zastanowiliśmy się, kiedy ten zajęć zostanie w końcu oprawiony. No i został zdjęty bodaj że na dwa dni przed świętami. Stedy były całe dyskusje i rozmowy na ten temat, co też z tego zajęcia zostanie zrobione i jak to będzie smakowało. Każdy opowiadał, co to u niego w domu robiko się z takiego zajęcia. No więc było to wielkie przeżycie w celi. Po świętach wszystko wróciło do normalnego, codziennego trybu życia. Tak samo ludzie chodzili na śledztwo, tak samo niektórzy jeździli na sprawy. Ci po zakończeniu śledztwa i po wyrokach zabierani byli gdzieś i nie wiedzieliśmy, gdzie są i co się z nimi dalej dzieje. Ja siedziałem już prawie trzy miesiące no i - diabli wiedzą - dlaczego i za co. No ale cóż, nie miałem nawet z kim na ten temat mówić, a te rozmowy w celi nie przynosiły mi żadnej pociechy. Mój celowy jedynie pocieszał mnie, że już pewnie wkrótce zaczną chodzić na śledztwo i sprawa się wy-

Jaśni, no i możliwe że mnie zwolnią, bo może było takich wypadków, że po odsiedzeniu pewnego czasu, ni stąd ni zowąd, człowieka zwalniano. Ja na to właśnie nie liczyłem, ponieważ wiedziałem, że nasza sprawa jest jakos rozdmuchana i zrobiono z niej jakieś wielkie przestępstwo i że pewno tak zaraz nas nie wypuszczą. Mniej więcej w połowie stycznia 51 roku zaczął jeździć na sprawę do sądu ten staś, o którym wspominałem, ten miły młody chłopak z warańskiej rodziny robotniczej, który był oskarżony o czynną działalność przeciwowej organizacji, która wykonała bardzo dużo wyroków śmierci. Mówiłem wówczas, że spodziewałem się na karę śmierci, ale nie bardzo się tym przyjaśniał. Był jakos zawsze spokojny i szczegółowo nam opowiadał o całej sprawie. Więć okazało się, że była ich tam cała kupa, na czele z tym ich dowódcą tym Cacko. Dużo niezwykłe się zdarzyło, że właśnie po wyroku staś wrócił do naszej celi. Był to rzadki, a nawet wyjątkowy wypadek, a szczególnie wtedy, gdy zasądzona była wysoka kara. A on właśnie miał trzy wyroki śmierci. Należał przypuszczać, że stało się to dlatego, że te cele, przeznaczone dla więźniów z wyrokami kary śmierci, były już całkowicie przepełnione i nie mieli go gdzie podziać. że był on w ogóle cichy i spokojny, więc dlatego wpuszczili go z powrotem do naszej celi. Bardzo dokładnie opowiedział nam o całym przebiegu tej sprawy. Powiedział, że wszyscy oni zostali skazani na karę śmierci, i w zależności od dowiedzionych rzekomo przewinień, dostali po kilka wyroków śmierci, a ten Cacko dostał ich trzydzieści kilka. Zależało to od tego ile zabójstw mu zarzucano, bo nie wszystkie zostały mu dowiedzione. Ale z tym się absolutnie nikt nie liczył i nie odgrywało to żadnego znaczenia. Panował w zasadzie taki zwyczaj, że skazany, gdy otrzymał wyrok kary śmierci, był zabierany do celi K3, która mieściła się gdzieś poza naszym korytarzem. Dokładnie nie wiem gdzie, ale gdzieś niedaleko. Taki skazany przebywał w tej celi 90 dni, dlatego że wyrok musiał się uprawomocnić i dopiero po



90 dniach wyrok był wykonywany. Stędy gdy tych skazańców zabierano z tej celi KB, to myśly to wszyscy przeżywali bardzo głęboko dlatego, że darli się oni w niebogłosy, krzyczeli, bronili się, tak że musiano ich z celi wyciągać i dopiero zabierać. Gdzie te wyroki były wykonywane, tego nie wiem, ponieważ były najrozmaitsze wersje, najrozmaitsze przypuszczenia; podobno gdzieś w jakichś celach na Mokotowie. Nasz Stas przesiadzał z nami jakieś dwa, trzy, tygodnie i później dopiero został zabrany. Był, jak mówilem, cały czas bardzo spokojny, opowiadał o całej rozprawie. Opowiadał też o całej rodzinie i prosił, żebym ja, o ile wyjdę, koniecznie odwiedził jego rodzinę. Podał swój adres, gdzieś w Szwarcu. Dokładnie już teraz tego adresu nie pamiętam, no ale w każdym razie po wyjściu z więzienia, w pierwszych dniach swojej wolności, odwiedziłem jego rodzinę. Oni absolutnie nie nie wiedzieli, co się z nim dzieje i co się z nim stało. Opowiedziałem o wszystkim dokładnie. Matka jego się przy tym popłakała, ojciec też był bardzo zgnębiony. Nie pamiętam już, jaką jeszcze miał rodzinę, ale w każdym razie byli oni bardzo mi wdzięczni za wizytę i o Stasiu żadnej wiadomości nie mieli.

Pod koniec stycznia 51 roku zaczęła się rozprawa tego mojego celowego. Tak go przez cały czas nazywałem, ponieważ jego nazwiska nie pamiętam. To już miało dla mnie ważne znaczenie, dlatego że wówczas nareszcie otrzymałem dokładne wiadomości o tonie. Jak już kiedyś wspominałem, przy widzeniu z adwokatem prosił go, aby jego żona odwiedziła moją, i dowiedziała się a przy następnym widzeniu adwokat przekazał co i jak się u niej dzieje. Tej wiadomości nie udało się wówczas otrzymać, ponieważ adwokat już do niego nie przychodził. Ale na rozprawie mego kolegi, tej pierwszej, była moja żona, powiadomiona o terminie przez jego żonę. W ten sposób dowiedziałem się pośrednio, że żona czuje się dobrze, pracuje, gdzie - to zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że w domu jest wszystko w

porządku, więc żeby się o to nie martwił. Najważniejsze, że żona daje sobie jakąś radę i czuje się zupełnie dobrze. I jeszcze jedna wiadomość, która w danym momencie absolutnie nie miała żadnego znaczenia, to to, że w tej rozprawie brał udział adwokat Kosogrodzki, który został przez żonę zaangażowany jako obrońca w tej przysięłej mojej sprawie. W tej chwili nie miało to dla mnie większego znaczenia, ponieważ nie mogłem się z nim widzieć, ale w każdym razie dowiedziałem się z opinii tego mojego kolegi, że jest to bardzo dobry adwokat, w każdym razie na rozprawie wyróżnił się jako najlepszy adwokat spośród pozostałych. W każdym razie wiadomości te ogromnie mnie pocieszyły, bo niepokoiłem się bardzo co do żony a teraz wiedziałem, że jakoś daje sobie radę i że wszystko jest u niej w porządku, a najważniejsze, że jest zdrowa. Dowiedziałem się później, że żona regularnie przychodzi na rozprawę tego mojego kolegi, zawsze na nich asystuje i jakieś wiadomości dla mnie podaje. Kolega ten już niedługo pozostawał w naszej celi. Zapadł wyrok, na podstawie którego on po kilku już dniach wyszedł. Jesteli nawet dostał wyrok, to był to wyrok niewielki, objęła go amnestia i prawie natychmiast został zwolniony.

W ogóle w tym czasie w celi bardzo się przeczekało. Sporo ludzi odezło po wyrokach, bo przeniesieni zostali na oddział karny. Zresztą jak wychodzili z celi, to człowiek nigdy nie wiedział, gdzie idą, po co idą. Szli, że tak powiem, w nieznane. Troną przyszło nowych, ale było ich znacznie mniej niż poprzednio i było luźniej, więc spalić wygodniej i lepiej. Na ogół życie w celi po świętach i nowym roku jakoś się unormowało i nieco mniej było śledztwa. Ja siedziałem już długo, bo prawie trzy miesiące, i jeszcze tego śledztwa nie miałem i, jak mówiłem, z niecierpliwością na nie oczekiwałem. Po wyjściu z celi naszego celowego mnie dlaczegoś spotkał ten zaszczyt i zostałem przez oddziałowego wyznaczony jako celowy. Siedziałem cały czas



w tej samej celi, więc przyzwyczaiłem się do niej mimo tej strasznej wilgoci i różnych przykrości, które mnie tu spotykały. Jakoś czułem się tutaj lepiej i nie chciałem jej zmieniać, bo bałem się, że w innej spotkał się z czymś jeszcze gorzszym niż tutaj. I tak szły dni za dniami. No i nagle gdzieś w końcu lutego zostałem wezwany przez oddziałowego i postawiony przed drzwiami, tam gdzie siedzieli oficerowie śledczy. Oddziałowy prowadząc mnie uprzedził, że muszę tu odpowiednio dobrze się zameldować. No i rzeczywiście po wejściu do tego pokoju stanąłem na baczność i zameldowałem się siedzącemu przy biurku słodemu człowiekowi. Oprócz niego siedział tutaj jeszcze jakiś drugi, z boku na krześle pod oknem. Pokój był niewielki, podłużny, stał w nim jeden tylko stół przy którym siedział ten pierwszy facet, a przy drzwiach stał taki zwykły kuchenny stolek. Stały także krzesła, na których siedzieli ci obywatel panowie, i jeszcze jedno, czy dwa, krzesła. Kiedy wszedłem do tego pokoju i zameldowałem się, oficer będący zresztą po cywilnemu (uprzedzony przez oddziałowego mówieniem do niego przez per "panie poruczniku") kiwnął na mnie, żebym się zbliżył do stołu. Kiedy zbliżyłem się, podał mi jakiś papier i powiedział, żebym go przeczytał i podpisał. Okazało się, że była to tak zwana sankcja, czyli usankcjonowanie przez prokuratora mojego aresztowania i zatrzymania w Urzędzie Bezpieczeństwa. Termin ważności tej tak zwanej sankcji opiewał na dwa tygodnie, no więc zupełnie znacząco bezprawnie trzymano mnie, czego nie ośmielkałem powiedzieć temu oficerowi śledczemu. W ogóle zaznaczyłem, że dotychczas nie wiem za co jestem trzymany i to bezprawnie - jak się okazuje - i w ogóle tego podpisać nie chcę. Wywołało to straszną burzę. Ten mój śledczy zerwał się z miejsca, podskooczył do mnie, wyachiwał mi pięściami przed nosem, no i wołał, że ja się tu nie powinienem stawiać, że oni mnie tu w ogóle będą trzymać do śmierci, że zgniję tutaj w kryminale; że jak to nie wiem, za co siedzę, powi-

nieniem siedzieć, a zresztą to nie ma żadnego znaczenia, bo skoro jest człowiek, to znajdzie się zawsze i odpowiedni paragraf. Wymyślał mi przy tym ostatnich słowami, porozstawiał tutaj noich wszystkich przedków po kątach, no a najwięcej się dostało mojej biednej matce. Tymczasem siedzący z boku ten drugi facet powiedział sobie najspokojniejszym tonem: "Słuchaj, co ty się będziesz patyczkował, posadź go na nóżce to on będzie wtedy inaczej gadał". Więc ten pierwszy złapał stojące obok krzesło, przewrócił je do góry nogami, opierając o ścianę oparcie i powiada do mnie "siadaj". Odpowiedziałem na to, że nie siadę, że możecie mnie posadzić siłą, ale uprzedzam, że to wszystko powiem w sądzie na rozprawie. "No to pójdziesz do "karca" - powiedział wówczas ten officer. "No", powiadam, na to już nie mam żadnej rady". Podszedł do drzwi, otworzył je, zawołał oddziałowego, coś mu tam porzekał do ucha, taktowno kiwnął na mnie, wyprowadził mnie na parter, do jakiegoś zdaje się bocznego budynku, przez jakiś korytarz i przekazał innemu oddziałowemu, ten znowu otworzył celę i wpuszczył mnie do niej. Uprzednio jeszcze kazano mi zdjąć bluzę. Zostałem więc w jednej koszuli, spodniach, no i na całe szczęście w drewniakach, dlatego, że gorzej byłoby gdybym był boso i zupełnie rozoberany. Stędy byłoby to nie tylko "kino", ale tak zwana "plaża". Była to niewielka podłużna cela, zupełnie pusta. Nie było żadnej przyosy, tylko tuż przy drzwiach był "kibel" no i oczywiście była żelazna pieca. Okno było wyjęte, a przy tym wówczas był dość duży mróz na dworze, bo zauważyłem, że na kracie siedzą wróble, co oznaczało, że się tu grzeją; bo zawsze w celi było cieplej niż na dworze, więc wybrały sobie tutaj takie lepsze siedlisko. Nie wiedziałem jak długo będę w tym tak zwanej "kinie". Oparłem się więc o ścianę tego pieca, ponieważ okazała mi się trochę cieplejsza i tak sobie stałem spokojnie ale zaczynałem coraz bardziej marznąć. Przekonałem się wtedy i nauczyłem, że trzeba



Jednak stać jak najdłużej bez ruchu, dlatego że wówczas dookoła całego ciała tworzyła się taka warstewka cieplejszego powietrza i ona izolowała od tego zewnętrznego zimna. Gdy jednak miao to zaczynałem marznąć i robiło mi się strasznie zimno, skakałem po tej celi, biegałem i biegałem o plecy rękoma i wyprawiałem różne hopki, strasznie przy tym natasując drewniakami o podłogę. Wówczas zaglądał tutaj celowy no i widział, co się ze mną dzieje. Nie reagował na to i nie zwracał uwagi, zamykał wówczas wizjerkę i odchodził, a ja się wtedy uspakajałem i znów stawałem przy tym piecu. Widok mój właśnie nazywał się tym "kinem". Bo to było kinem dla tego oddziałowego, który widział te skoki tego biedaka zamkniętego w takiej celi. Staralem się stać spokojnie jak najdłużej, ale takie skoki musiałem jednak co jakiś czas powtarzać. Tak stałem do obiadu. Później dano mi obiad, który zjadłem naturalnie z wielkim apetytem a przede wszystkim - co było najważniejsze - zupa była gorąca. I tak stopniowo dzień zbliżał się do końca, do kolacji i znów otrzymałem zupę. Ciągłe stałem oparty o piec. Gdy już czułem zapęczenie, wtedy siadałem na tym kiblu, podkładając pod siebie ręce, ponieważ zdawałem sobie z tego sprawę, że jeżeli siądę na podłodze, lub na tym kiblu, i oprę się o ścianę to mogę sobie przeziębic nerki, a to pociągnie już za sobą dużo gorsze następstwa. Po pewnym czasie zacząłem drzeć na całym ciele, dosłownie każda cząstka mojego ciała drżała. No ale cóż, nie mogłem na to nic poradzić. Rozgrzewałem się jak mogłem tymi ruchami, ale tego ciepła wystarczało nie na długo, bo na dworze rzeczywiście był bardzo silny mróz. Oczywiście nie wiem ile było stopni, w każdym razie wiedziałem, jeszcze będąc w celi, że na dworze był mróz, ale to miało tę zaletę, że było sucho, więc może trochę mniej marzłem, co później się sprawdziło. Wieczorem w celi zostało zapalone światło, to znaczy była żarówka na suficie, taka sama zresztą, jaka była w naszej celi i światło świeciło się całą noc. Rano powtórzyło się to

samo, co było dnia poprzedniego, to znaczy stałem drżąc cały czas. Nie wiedziałem, jak długo to będzie trwało i jak długo będę mógł wytrzymać tak stojąc. Tymczasem stałem, jakosć nogi mi wytrzymały. W każdym razie starałem się unikać siadania czy kładzenia się na podłodze. Nono otrzymywałem kawę i kawałek chleba. No i stałem dalej. Gdzieś po paru godzinach, nie wiem czy to było blisko obiadu, czy nie, zostałem wywołany. Oddziałowy kazał mi włożyć bluzę i poprowadził na górę, więc od razu poszedłem pod naszą celę, ale oddziałowy powiedział "nie, nie" i zaprowadził mnie pod drzwi mojego oficera śledczego. Zapukał, otworzył drzwi, wszedłem do celi. W biurku siedział sam jeden tylko ten oficer śledczy, który był poprzednio. Będąc w tym "kiblu" i następnie prowadzony cały czas przez oddziałowego zastanawiałem się, co mam robić, podpisać tę tak zwaną sankcję, czy też sprzeciwić się dalej. Wszedłem jednak do przekonania, że sprzeciwianie się nie ma absolutnie żadnego sensu, bo czy tak czy tak będą mnie nadal trzymali. O ile nie podpiszę, to utrudni, tak czy owak, temu oficerowi śledczemu sprawę, będzie zły a przez to jeszcze gorszy, a dla mnie i tak sytuacja nie zmieni się na lepsze, a tylko się pogorszy. To też gdy jako tako po wejściu zasładowałem się, bo głos mi urwał, nie mogłem w ogóle wypowiedzieć słowa, bo jak mówilem to drżałem z zimna, zarócił się do mnie ten oficer: "no jak, podpiszecie tę sankcję, czy nie?" Kiwnąłem głową i powiedziałem, że podpiszę. Podszedłem wtedy do biurka i już nie czytając i nie sprawdzając, czy jeszcze mi może coś innego podesunęli, podpisałem to. Wówczas nie zadając mi już żadnych pytań, nie prowadząc żadnego śledztwa, oficer śledczy zawołał oddziałowego i kazał mnie odprowadzić do celi. No i w ten sposób skończyło się to moje pierwsze śledztwo, które nie doprowadziło do niczego i z którego nic nowego się nie dowiedziałem, ale dość solidnie naciерpiłem się w tym "kiblu". Ogromną jednak przyjemnością



był ten powrót do celi. Jakim tylko wszedł, momentalnie ktoś nakrył mnie kocem, posadzili mnie w rogu celi, z jednej strony usiadł jeden z tych współwięźniów, z drugiej usiadł drugi, a ponieważ tu już było po obiedzie, zaczęli mnie karać. I karali mnie w ten sposób, że jeden z tych moich kolegów wydostawał z zupy kawałeczki mięsa i wkładał mi do ust. Znaczyło to, że te wszystkie skrawki mięsa które tylko mieli na wczorajszym i dzisiejszym obiedzie, pozbierali dla mnie w jakiejś schowanej misce i w ten sposób mnie karali. No i rzeczywiście, pomimo tajem i robiło mi się coraz cieplej i byłem bardzo wzruszony takim takim przyjęciem mnie z powrotem w celi. Porzucałem się tak, jakbym gdzieś skądś wrócił do tego swojego najlepszego domu. Było to ogromnie miłe i bardzo wzruszające. Po trzech dniach znowu zostałem wezwany na śledztwo. W pokoju siedział tylko ten jeden oficer śledczy, zresztą, jak się później dowiedziałem, nazywał się Świerczyński, ale byliśmy pewni, że to był jego pseudonim, dlatego że "ubiarze" nie lubili oficjalnie występować pod swoim nazwiskiem, zawsze się z nim kryli, a występowali pod pseudonimem. Śledztwa te dalej się powtarzały dość często i jakos odbywały się na ogół spokojnie. Przede wszystkim dotyczyły one nie naszego przedsiębiorstwa, nie spraw jego dotyczących i nie tego co nam narzucano początkowo, a więc nie tego, co myślałem, że chodzi o jakieś nadużycia, o czym mi mówił oficer śledczy w urzędzie bezpieczeństwa, o jakimś sabotażu czy coś w tym rodzaju. Nie, temu oficerowi śledczemu chodziło przede wszystkim o AK. Pytywał mnie bardzo szczegółowo, co ja w AK robiłem, jakie miałem stanowisko, co robiłem w czasie okupacji. I w swoich pytaniach ciągle jakby zależał do tego, czy ja kiedyś nie byłem w "dwójce", w sztabie, czy nie pracowałem gdzieś w jakimś wywiadzie. No co do AK to przecież nie miałem tu nic do ukrywania, więc szczerze i otwarcie wszystko mówiłem, nie potrafiowałem i nie mogłem tu niczym ryzykować, no

i absolutnie nie sypałem. Zresztą o to nie wypytywał. Jeśli nawet pytał o kogoś, kto był moim dowódcą, czy coś w tym rodzaju, to operowałem tylko i wyłącznie pseudonimami, nie chcąc ujawniać nazwisk. Później już, po wielu takich dość często powtarzających się śledztwach, przeszedł na sprawę naszego przedsiębiorstwa, PPKM 5. Wtedy to zmieniło obraz całego śledztwa. Muszę tu zaznaczyć, że wypytyując w ten sposób wielu ludzi o organizację Armii Krajowej i całą sieć AK później to zestawiali i w ten sposób mieli dokładny obraz działalności organizacyjnej Armii Krajowej. Porównywali zeznania poszczególnych członków i wyprowadzali wnioski z tych dokładnych już danych. Odnośnie działalności w naszym przedsiębiorstwie PPKM5 oficer śledczy wypytywał mnie dokładnie o moją funkcję. Na czym moja praca polegała, co ja robiłem, jak były dostarczane te kranzywa, jak były produkowane itd. Chodziło ma o dokładne dane. No i oczywiście wypytyując mnie o różne szczegóły czepiał się każdego drobiazgu. Rozmawiał często o inne wydziały, nie tylko o mój wydział zbytu, więc łatwo wywnioskował, że on również prowadzi śledztwo moich kolegów, że wypytywał także o zaopatrzenie, o park maszynowy, no i o inne różne rzeczy. Ale i w tych śledztwach powracał często do Armii Krajowej. Pamiętam takie śmieczne zdarzenie, a mianowicie, któregoś razu kiedy mówiłem w ogóle o działalności Armii Krajowej, wspomniał "aha, ja wiem czegoście chcieli, wyście chcieli najpierw rozbić armię niemiecką a potem armię radziecką". No nie mogłem już tutaj wytrzymać, roześmiałem się i powiedziałem, że nie wiedziałem, że Armia Krajowa była tak potężna, że mogła liczyć na rozbięcie tych największych armii świata. "No nie gadajcie, nie gadajcie"- powiada - "ja już wiem czegoście chcieli, wyście przede wszystkim chcieli wystąpić przeciwko Związkowi Radzieckiemu". Tutaj już to przemilczałem, bo i co miałem do powiedzenia. I tak przy stosunkowo spokojnych, ale częstych śledztwach upływał mi rok 51.



Życie nie zmieniało się zupełnie, zmieniali się natomiast dość często współtowarzysze mojego "siedzenia". Już w połowie 51 roku było nas dużo mniej niż i kiedyś w ogóle zmniejszała się ilość więźniów w całej celi do czterech, a przy tym ja byłem cały czas celowym. Bez tylko zdarzyła się taka niezmienna, a bardzo przykra w następstwach dla mnie, historia. Niewiedzieć, któregoś dnia podczas śledztwa oficer śledczy zapytał mnie, kiedy poznałem Filipkowskiego. Filipkowski był to naczelny dyrektor Państwowego Przedsiębiorstwa Robót Komunikacyjnych, naczelny dyrektor centrali, który całe to przedsiębiorstwo zorganizował jeszcze w Poznaniu, a kiedy zostało ono przeniesione do Warszawy to Filipkowski również tu przeszedł. Stół był w czasie okupacji kolegą, współpracownikiem i członkiem spółdzielni "Porok", którą prowadził szwagier. Ja wówczas, pracując wprowadzić fikcyjnie w tym przedsiębiorstwie poznałem również tego Filipkowskiego. Wobec na pytanie śledczego odpowiedziałem, że znałem Filipkowskiego właśnie z okresu okupacji, kiedy pracowałem z nim w Poroku. Wywołało to straszną burzę. Zerwał się i zawołał: "Łiesz, poznałeś go przed wojną". Nie było to zgodne z prawdą. Natomiast ja powiedziałem prawdę, więc upierałem się przy swoim zdaniu. Nie rozumiałem absolutnie dlaczego mu zależało właśnie na tym, żeby poznał Filipkowskiego przed wojną, a nie podczas okupacji. Należało co za różnica? W gruncie rzeczy nic z Filipkowskim, poza tymi sprawami służbowymi, absolutnie mnie nie łączyło. No i tak myślałem, co mi ostatecznie odpowiedzieć, żeby mieć święty spokój. Ponieważ w swoim czasie jeszcze założyłem, że trzeba zawsze mówić prawdę, trzymałem się w miarę możliwości tej zasady, uważając, że kłamać i wykręcać się należy tylko wtedy, gdy jest to konieczne. Więc i teraz upierałem się przy tym swoim zdaniu, że znałem Filipkowskiego tylko w czasie okupacji. Wywołało to, jak zaznaczyłem, straszną burzę i ten cały oficer śledczy dał się na mnie, wytykał od ostatnich i

w końcu powiedział, że jeśli mu nie powiem prawdy, to odeśle mnie do "kina". Nic tu nie miałem już do powiedzenia, więc wzruszyłem tylko ramionami. Wtedy zawołał oddziałowego, a ten mnie odprowadził do sąsiedniego bloku i tam mnie ulokowano w tej osobnej celi, w tym tak zwana "kinie". Do celi "kinowej" wpuszczono mnie w całym ubraniu, nie kazano mi zdejmować bluzy, więc myślałem, że będzie mi ciepło, jednakże zawiodłem się na tym srodcie. Jakkolwiek nie było mrozu, jak poprzednio, a była plucha i padał śnieg z deszczem, była straszna wilgoć i takie przejmujące, przesikające powietrze, aż do szpiku kości. Podobnie jak poprzednio na kratach siedziały tu wróble, ale mniej niż dawniej, dlatego że na dworze było cieplej więc latały sobie i szukały żarcia. Na moje nieszczęście była to sobota, więc groziło mi to, że zostanę tu co najmniej dwie doby, dlatego że w niedzielę tj. dnia następnego, nikt mnie nie mógł wziąć, dlatego że w tym dniu śledztwa nie były prowadzone. I tak się niestety stało. Najwięcej obawiałem się tego, żeby to siedzenie w "kinie" i te różne przyjeerności śledztwa nie wpłynęły źle na moje zdrowie, a więc żeby nie przeziębic nerek, i żeby mi to nie zaszkodziło w ten sposób, żeby nie zostałem na przyszłość kaleką. Tego bałem się najwięcej. Wtedy pilnowałem się jak mogłem, nie siadałem na ziemi, nie opierałem się gołymi plecami o ścianę, tylko podkładałem sobie ręce. Marzłem tym razem niesamowicie. Było mi dużo zianiej niż poprzednio, bo jak powiedziałem, to wilgotne, mokre powietrze przenikało mnie do szpiku kości. Stałem więc cały czas i tym razem, opierając się o kaflowy piec, ponieważ stale mi się wydawało, że kafle są cieplejsze od tej cementowej ściany. No i tak zaszedł mi czas aż do wieczora i powtórzyło się to co poprzednio. Rozgrzewałem się co jakiś czas skokami. Następnego dnia ludzikiem się jednak że może pobyt w tym "kinie" nie potrwa dłużej niż jedną dobę. Jednak się zawiodłem. Jakkolwiek gdzieś koło południa zostałem wywo-



łany i uciechyłem się, że pójdę już z powrotem do mojej celi, jednakże okazało się, że chodziło o golenie, bo jak już mówiłem, była to niedziela dzień golenia. Golenie odbywało się na korytarzu, gdzie były piece, znajdujące się między niektórymi celami, więc było napalone i było ciepło. Więzień, który mnie golił posadził mnie przy takim piecu no i zaczął golić. Ponieważ przy tym cały drżałem z zima, drżała na mnie cała skóra, więc trudno mu było mnie golić. Golił mnie strasznie wolno, przytrzymywał skórę i jak skrobał brzytwą, to co chwila przerywał, rozmawiał z innym golarzem, z innym oddziałowym, a ten jakos nie zwracał uwagi, lub udawał że nie zwraca uwagi na to moje golenie, które trwało strasznie długo. Rzeczywiście trwało ono chyba ze dwie godziny, bo zdążyłem się rozgrzać. A pewnym momencie jednak oddziałowy zwrócił uwagę golarzemu i więźniowi, dlaczego mnie tak długo goli, ale ten odpowiedział, że nie może tego robić szybciej, ponieważ by mnie pokaleczył, bo cała skóra na mnie drży. No rozumieliśmy to wszyscy, zresztą nie wyłączając tego oddziałowego, że chodziło tu o potrzebę jakiegos ogrzania się. Po ogoleniu zostałem znowu wpuszczony do tej celi "kino". Drzwi się zamknęły i znowu zacząłem spędzać czas, stojąc oparty o piec. Czasyłwie wytrzymałem jakos to stanie i wiem, że nie usiadłem ani razu na podłodze, siedziałem tylko na "kiblu", ale podkładając pod siebie ręce. Zresztą "kibel" był chyba cieplejszy, a może mi się tylko tak wydawało. Podziwiałem wówczas siebie i innych, którzy mogli wytrzymać stanie na nogach tak długo, no i pomyślałem sobie, że jednak człowiek jest silny i może wiele wytrzymać. Trzeba przyznać, że byłem o tyle o ile młody, miałem przecież pięćdziesiąt parę lat i byłem zupełnie zdrowy, więc jakos te stanie przychodziło mi z mniejszym trudem. I tak spędziłem tę drugą dobę "kina", cały wieczór i noc. Drzemałem, a raczej majaczyłem na stojąco, ciągle przedstawiały mi się jakieś obrazy, czy coś mi się śniło. Nie wie-

działem, czy spałem, czy to był sen, ale w każdym razie cały czas stałem na nogach i od czasu do czasu się rozgrzewałem skacząc po całej celi. Następnego dnia rano, w poniedziałek, otrzymałem kawę na to normalne śniadanie i czekałem, co będzie dalej. No i gdzieś około południa zostałem wywołany i zaprowadzony na nasz oddział, wprost pod drzwi oficera śledczego. Cały czas zastanawiałem się jednak nad tym, co jemu tak zależy na terminie poznania przez mnie Filipkowskiego. No i myślałem, że jeżeli ja znów powiem, że poznałem go podczas okupacji, to znowu mnie postawi do "kina" i będzie to trwało tak długo, aż mnie kompletnie słabnie, przeziębii, rozchoruję się i co wtedy z tego przyjdzie. I tak się wówczas namyślałem, co mu i jak powiedzieć. Ale kiedy już przyszedł pod same drzwi, gdy zapukałem i posłyszałem z tamtej strony słowo "wejść" i wziąłem się ręką za klamkę coś mi powiedziało wewnątrz "trzymaj się swego, mów prawdę, mów prawdę". Znowu powstał tu cały dramat meldowania się, bo z tego przemarznięcia, które we mnie cały czas tkwiło drżałem cały i nie mogłem wprost powiedzieć słowa, więc z tym zameldowaniem miałem kłopot i ani rusz mi nie wychodziło. On oczywiście zaczął się od razu drzeć, że co to jest że ja się nie umiem zameldować. Te jego pretensje rozwścieczyły mnie wówczas, więc się rozzłościłem, podniosłem głos i krzyknąłem, jak on może ode mnie wymagać jakiegoś przyzwoitego meldowania, kiedy mi tu zęb na zęb nie trafia, bo jestem przemarznięty. Bałem się że on znowu się zdenerwuje i znów nie zadając mi żadnych pytań - odeśle do "kina". Ale jakoś zachował się zupełnie inaczej. Całkowicie się uspokoił, ale nie kazał mi siedzieć, o czym marzyłem oczywiście, ale postawił mnie przy takim rozgrzanym kokosowym piecu, więc było mi cieplusienko. Było wprost gorąco, więc oczywiście to ciepło od razu mnie rozmarzyło i strasznie chciało mi się spać, bo przecież dwie noce absolutnie nie zarużyłem oka. Gdy trochę już odtajałem wówczas spojrzał na mnie i zupełnie spokojnie ale z takim przekąsem powiedział do mnie: "no i



kiedy poznaliście Filipkowskiego". Odpowiedziałem wówczas również zupełnie spokojnie "poznałem podczas okupacji, tak jak poznałem ostatnio, panu poruczniku". Spodziewałem się tutaj znowu wybuchu, no ale na szczęście żaden wybuch nie nastąpił, natomiast wziął on papier i zaczął prowadzić normalne śledztwo. Przetrzymał mnie jeszcze na stojąco przy tym rozgrzanym piecu chyba ze trzy godziny, tak że ledwo już stałem na nogach i myślałem, że się zwalam, że zadławię, ale jakoś wytrzymałem. No i po tym czasie, kiedy już to śledztwo szło zupełnie spokojnie, zupełnie dobrze, odpowiadałem mu na pytania, a moje odpowiedzi nie wywoływały żadnych historii i nie była już poruszana żadna drażliwa sprawa - odesłał mnie do celi. Tutaj podobnie jak poprzednio zostałem nadzwyczajnie przyjęty. Posadzono mnie między dwoma kolegami, nakryto kocem no i karmiono z tej miski, do której powybijano wszystkie najlepsze kawałki kartofelków i mięsa. To wywoływało naturalnie we mnie takie tkliwe uczucie, jaką taką rzewność, i czułem się tu człowiek, jakby wrócił do najbliższych, a nie do tej celi, gdzie były takie straszne warunki i gdzie nie było wiadomo, co jeszcze człowieka czeka.

Przez dłuższy czas jeszcze się głowiłem i starałem się wynioskować, o co temu oficerowi chodziło, dlaczego mu zależało na tym, żeby Filipkowskiego poznał przed wojną, a nie podczas okupacji. I w końcu doczekałem do tego, że byłem już przekonany, że dlatego cacieli we mnie wstąpił, że ja go znałem jeszcze przed wojną, bo wówczas znałbym jego całą rodzinę, więc musiałbym znać również jego szwagra, to jest ówczesnego pułkownika Polczyńskiego, który był szefem sztabu Armii Krajowej, a przed wojną był jakimś wyższym oficerem w "dwójce". Więc skoro znałbym Polczyńskiego, to "ukochany" oficer śledczy wplątałby mnie już w "dwójkę" i już tak szybko bym się z tego wzięcia nie wygrzebał. No więc w gruncie rzeczy byłem zadowolony z tego, że trzymałem się i mówiłem prawdę i to tylko

potwierdziło tę moją opinię, że w miarę sił i możliwości nie należy klamać, nie należy się płatać, a tylko mówić prawdę, która nie powinna zaszkodzić, a ukrywać tylko te rzeczy, które mogły by być dla mnie w śledztwie niekorzystne. Znamienne tu było to, że obydwa moje pobyty w "kinie" nie wywołały u mnie nawet kataru. Trudno jednak powiedzieć, czy się nie odbiły na ogólnym stanie zdrowia, bo przecież chorowałem głównie na nerki i z sercem też nie było w porządku. Jednak jakoś to wszystko przetrzymałem i czułem się zupełnie dobrze. Wiem na ogół dobrze, że dużo moich współtowarzyszy więźniów, którzy przebywali w "kinie" dłużej niż jeden, czy dwa, dni ciężko to odchorowali. Tak że odbijało się to na ogólnym stanie ich zdrowia, a przede wszystkim na nerkach, sercu itd. Z tego by wynikało, jakie to "cudowne" sposoby stosowało, i prawdopodobnie nadal stosuje do dziś dnia, UB, żeby zmusić do fałszywych zeznań, do zeznawania w sposób, na jakim oficerowi śledczemu zależało.

Mój pobyt ciągle w tej samej celi nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym. Tylko tyle, że zmieniała się ilość moich współtowarzyszy. Pozostało nas w celi niewielu, a i ci, którzy zostali, też się zmieniali. O tyle to było korzystne, że wygodniej było spać, ponieważ spaliśmy już każdy osobno. Tym bardziej, że zaczęła się wiosna, więc było cieplej i nie potrzebowaliśmy się wzajemnie ogrzewać. Wygodniej przecież było spać na takiej wąskiej prycy samemu, niż we dwóch.

Chodziłem dość często na śledztwa, ale odbywały się już one spokojnie. Byłem wypytywany najczęściej o różne sprawy AK-owskie, ale również często poruszane były sprawy naszego przedsiębiorstwa PPRK5. Z zeznań moich wynikało, jak sądzę, że nie było nic złego w działaniu naszego przedsiębiorstwa. Oficer śledczy specjalnie teraz już nie kwestionował moich zeznań, więc myślałem, że to wszystko odbędzie się szczęśliwie i dobrze i że na rozprawie są-



dowej powinienem być uniewinniony.

Gdzieś na początku lata 51 r. stała się bardzo dla mnie przykra historia. Mianowicie raptem prawie zupełnie przestałem widzieć. Wszystko mi jakoś migotało przed oczyma, no i w ogóle o jakimś czytaniu nie było mowy, zresztą nie było tu możliwości takiej próby. Raz tylko trafił mi się skrawek gazety, na którym był kawałek tytułu "Trybuny Ludu" i nawet nie mogłem przeczytać tej nazwy, tak że wydawało mi się, że tracę bezpowrotnie wzrok i że całkiem oślepnę. Kiedyś na śledztwie, gdy oficer śledczy był w dobrym humorze i zapytał mnie, jak ja się czuję, to powiedziałem, że na ogół dobrze, ale coś mi się robi ze wzrokiem. Powiedział, że to głupstwo, ponieważ teraz w Związku Radzieckim zalecają oczy, to znaczy, o ile ktoś jest chory na oczy, to mu je wyjmują a wstawiają nowe. Ja jednak powiedziałem mu, że wolę swoje złe, niż te sowieckie dobre. W każdym razie w przystępie dobrego humoru poradził mi, żeby w izbie chorych zgłosił się do lekarza okulisty, który od czasu do czasu przyjmował gdzieś na "Gęsiówce". Zrobiłem to i któregoś dnia zostałem na "Gęsiówkę" zawieszony, jeszcze z całym szeregiem tych moich biednych innych kolegów. Zresztą sama jazda była bardzo przyjemna. Była to duża innowacja i wielka satysfakcja, że człowiek się trochę ruszył, gdzieś pojechał i zobaczył świat. Jakkolwiek, jadąc tym samochodem, gdzie przy wyjściu siedzieli milicjanci z pepeszami, niewiele można było zobaczyć, ale w każdym razie jakoś się widziało kawałek tej Warszawy. No i to oczywiście sprawiało tę wielką przyjemność. Na "Gęsiówce" niewiele się działo. Przyjęła mnie bardzo młodziutka lekarka, z którą zresztą miałem pewne nieporozumienie, dlatego że badała mi oko przybliżając szkło powiększające tak blisko, że dotykała rzęs, więc odruchowo mrużyłem oczy, co z kolei z jej strony wywołało niezadowolnienie. Powiedziała, że przeszkadzam, że nie może mnie zbadać i jeszcze coś takiego powiedziała,

co świadczyło o tym, iż posądza mnie o symulację. To znówu mnie nieco oburzyło i powiedziałem: "to pani mnie posądza, że ja tylko udaję, że nic nie widzę - myli się pani, nie mam w tym żadnego celu, bo nawet gdybym oślepił, to i tak by mi to nic nie pomogło, bo i tak bym dalej siedział, więc po co miałbym udawać". Ona wówczas trochę się zaitygowała. Jakoś tam te oczy zbadala, zbadala mi nawet dno oka. Wreszcie powiedziała, że to nic takiego, ponieważ ona żadnych zmian w oku nie widzi, prawdopodobnie jest to awitaminioza i zapisała mi tran. A ten sposób na "Gęsiówce" byłem u tej lekarki dwa razy no i otrzyywałem tran. Niestety, tran mi był wydawany tak, że dawałem łyżkę z oddzielną przed obiadem nalewał mi na nią jakiegoś oleistego płynu. Rzeczywiście w smaku od razu poznałem, że nie jest to tran, a zwyczajny olej rzepakowy i zrobiłem - o ile naturalnie mogłem - awanturę. Oddzielną mi, oburzył, powiedział, że jak to, że ja go posądzam, że tutaj ktoś kradnie tran, a daje olej. Ja na to, że nikogo tu nie posądzam, ale na tyle jestem już doświadczonym człowiekiem, że potrafię olej od tranu odróżnić. To jednak poskutkowało i później, w dalszym okresie, dostawałem już tran, a nie olej. Może mi się po tym trochę poprawiło, ale w każdym razie niewiele. Znacznie później, wtedy gdy się już widywałem z adwokatem, to prosiłem tego, żeby mi przysłał witaminy. No i rzeczywiście dostałem je. Były one częściowo wydane, a częściowo - nie wiem dlaczego - zatrzymane, i dali mi je dopiero przy wyjściu. No ale te witaminy jednak pomogły, bo po pewnym czasie uspokoiło się z tymi oczami i widziałem już znacznie lepiej, ale oczywiście już nie tak dobrze jak poprzednio.

W dalszym ciągu życia w celi toczyło się zupełnie normalnym trybem. Teraz już rzadziej chodziłem na śledztwo. Pewnego razu, gdy zostałem na nie wezwany, w pokoju oficera śledczego zastałem jakiegoś stosunkowo młodego jegomościa, ubranego po cywilnemu. Tak samo



jak poprzednio śledztwo toczyło się dalej, ale poruszane już były wyłącznie sprawy przedsiębiorstwa, a ten jegomość okazał się biegłym w naszej sprawie. Ten najwięcej zadawał mi pytań. Odpowiadałem na wszystko bardzo szczegółowo o pracy naszego przedsiębiorstwa. Zarzucał mi, że mówię nieprawdę, a przede wszystkim zarzucił mi oportunizm, że ja się wykręcam od różnych rzeczy i nieściśle podaję to, co się w przedsiębiorstwie dzieje. Powiedziałem mu na to, że zeznałem tak, jak było faktycznie, a jemu może się wydawać inaczej, ponieważ on nie zna dokładnie tej pracy i życia naszego przedsiębiorstwa pracującego w bardzo ciężkich warunkach. Na tym to śledztwo się zakończyło bez jakiegos wyrażnego skutku dla mnie.

Gdzieś w drugiej połowie 51 r. przytrafił się taki ciekawy wypadek. Siedzieliśmy nas wówczas w celi tylko trzech. Jeden chłopak, który miał zdaje się jakąś sprawę organizacyjną, no a poza tym jakiś taki dość dziwny jegomość, nieciekawym w ogóle typ. Nie pamiętam za co siedział, aresztą nie bardzo chciał nam o swoich sprawach opowiadać. No i właśnie wówczas zdarzyła się taka historia. Pukał do sąsiedniej celi, a oni nam odpukiwali, ale robili to bardzo słabo, więc trudno było ich zrozumieć. Tak samo i oni nie bardzo rozumieli, o co nam chodzi. W każdym razie, któregoś dnia zrozumiałem, że pytają, czy jest tutaj pan Kownacki, wyraźnie więc chodziło o mnie. Powiedziałem, że owszem jestem. Wówczas odpowiadano, że tam w celi jest Zandberg, nasz vice-dyrektor, który chciałby ze mną porozmawiać. Ponieważ pukał bardzo słabo za niego robił to prawdopodobnie ktoś inny, więc porozumieć się nam było bardzo trudno. Wówczas ten siedzący ze mną jegomość mówi: "zaraz, niech pan poczeka, ja panu ułatwię. Zrobimy tutaj dziurę do sąsiedniej celi, wtedy będzie można się porozumieć". No i rzeczywiście wyciągnął on z kółka drut i między cegłami zaczął kręcić, a ponieważ to był bardzo stary budynek i budowany był jeszcze na

glinę, a nie na cement, więc dziura wykręciła się stosunkowo łatwo. Była ona dość duża, a przy tym zrobiliśmy ją przy otworze wentylacyjnym, zamykanym na drzwiczki. Pełno tam było przy tym kurzu, więc tę dziurę zawsze można było zalepić ciłem i pokryć kurzem, tak że była ona absolutnie niewidoczna. No i oczywiście już przez tę dziurę bardzo łatwo się rozmawiało z Zandbergiem, a nawet można było się jednym okiem jemu przyjrzeć. Wyglądał on zupełnie normalnie, dobrze, i wydawało się, że nic się nie zalecił. On mnie jakos podobno nie widział, ale najważniejsze było to, że mogliśmy się ze sobą porozumieć. Każdy z nas z osobna opowiadał o przebiegu śledztwa i o swoim życiu w celi. Te rozmowy przez dziurę trwały dosyć długo. Prosiłem tylko ich, aby dobrze otwór maskowali, żeby go nie wykryto, ponieważ wtedy groziłaby nam bardzo przykra sprawa i moglibyśmy być bardzo ostro ukarani. Oni mówili, że ją dobrze maskują, aczkolwiek mają ją wprost w ścianie, a nie ukrytą w wentylatorze jak u nas. I tak przez dłuższy czas mogliśmy sobie z Zandbergiem swobodnie rozmawiać. Ale pewnego dnia, gdy powróciliśmy z łazienki a nasi sąsiedzi tam z kolei poszli, w ich celi odbywała się - jak to zwykle - rewizja. Ja stałem właśnie odwrócony plecami do wentylatora i w pewnym momencie poczułem uderzenie w plecy drzwiczkami i przez tę naszą dziurę wysunął się taki pręt, wyciągnięty z miotły no i zaczął mnie szturchać w plecy. Złapałem wówczas pręt i zacząłem wołać: "co tam, co tam się dzieje?". Oczywiście domyśliłem się, że wykryto przy tej rewizji naszą dziurę, ale oczywiście nie mogłem się do tego przyznać, więc trzymałem ten pręt i wołałem: "co to jest kto to jest, o co tam chodzi". Pręt się szarpnął dość silnie, więc puściłem go, ale jakos nikt się stamtąd nie odzywał. Domyśliłem się, że dziura została wykryta i czekała nas jakaś bardzo nieprzyjemna z tego tytułu kara. I rzeczywiście, tuż przed samą wieczorną weszło do celi dwóch umundurowanych oficerów UB. Kazano nam



się odsunąć zupełnie, do przeciwległej ściany pod okno, a oni zaczęli tę naszą dziurę oglądać. Potem jeden z nich się odwrócił i zwracając się do mnie spytał, jak długo siedzisz w tej celi. Powiedziałem, że 11 miesięcy: "No to kto zrobił tę dziurę?" "Nie wiem" - powiedziałem - "może ta dziura zrobiona została parę lat temu. Myśmy jej nie ruszali, nie robili, nie wiemy czy ona była i w ogóle nie rozumiemy, co się stało". Jak to, siedzicie" - powiada - "prawie rok i nie wiecie kto dziurę zrobił?" "Skąd ja mogę wiedzieć, czy ta dziura nie została zrobiona trzy czy cztery lata temu. Myśmy nie widzieli tej dziury i nic z nią nie mamy wspólnego. Zresztą my nie wiemy, kto siedzi w sąsiedniej celi, to po co mamy z nimi w ogóle mieć jakiś kontakt". "No" - powiada - "zobaczmy". Byliśmy naturalnie tymi przejęci, no i nie wiedzieliśmy, co za "przyjemność" z tej racji nas czeka. Wieczorem dyżur miał może najsympatyczniejszy z oddziałowych, ten "bujaj się", no i kiedy wydawał nam kolację spytał wprost "Co się u was stało chłopcy?". Powiedziałem: "panie, tu wykryli jakąś dziurę i nas posądzają o to, że to my ją zrobiliśmy, a my nic nie wiedzieliśmy o niej. My nie wiemy, czy tu była dziura, czy nie była, zresztą ona nam niepotrzebna". "No nic się wam wielkiego nie stanie" powiedział i z tym zamknął drzwi. Później wieczorem kiedyśmy się ukiadali spać, ja jako celowy wyłożyłem na korytarz ubranie, a oddziałowy powiada: "no, oddawajcie no sienniki". "Jak to sienniki?" "No jesteście ukarani, ale niewiele, tylko dwie noce bez sienników, to wytrzymacie". Więc myśmy się ucieszyli, bo rzeczywiście była to niewielka kara. Wyłożyliśmy te sienniki, aczkolwiek przedtem prosiłem oddziałowego, że my położywszy sienniki na środku i on będzie je widział, a sami będziemy spali bez sienników. Ale on powiedział "Nie, nie zwracajcie głowy, co wy chcecie, żeby ja za was tutaj siedział, że wam się podobają dziury robić". "Ależ" - powiadam - "panie oddziałowy, przecież już mówiłem

panu, że żadnej dziury nie robiliśmy". "No nie nie gadajcie i dawajcie sienniki". Nie było na to rady, wynieśliśmy więc te sienniki i marzyłem tylko o tym, żeby nie kazał również wyłożyć i koców. No ale on jakoś koców nie żądał, więc to już był dla nas ratunek, bo przecież spanie w samej białej tylko na twardej śłatce będąc prawie gołym, było bardzo nieprzyjemne. Noc jednak ratował sytuację dlatego, że można się było w niego zawinąć i zawsze trochę izolować od siatki. Gdy drzwi się zamknęły, poskakaliśmy sobie z radości no i jakoś ułożyliśmy się do snu. Następną noc powtórzyła się ta sama historia, że kazano nam wyłożyć sienniki i drugą noc musieliśmy również przespać bez nich, na tych twardej żelaznych siatkach. Było to jednak i męczące i bardzo niewygodne, ale jakoś tam wytrzymało się. Nawet przecież, że człowiek jest mocny i wiele może jeszcze przetrzymać. Przetrzymaliśmy i to, a na trzecią noc już spaliśmy normalnie, na siennikach. Trzeba przyznać, że była to niewielka stosunkowo kara, za to możliwość rozmawiania z Zandbergiem sprawiła mi wielką przyjemność i była dla naszej sprawy bardzo pożyteczna, ponieważ pewne rzeczy mogliśmy sobie wyjaśnić.

Pod koniec 51 roku, gdzieś może w październiku nastąpiło tak zwane zakończenie śledztwa. Polegało to na tym, że zostałem jak zwykle wezwany do oficera śledczego. Uszedłem i zobaczyłem przede wszystkim Krasnodębskiego. Zameldowałem się. Wówczas ten nasz oficer śledczy - tak zwany Świerczyński - powiedział "przywitajcie się". Przywitaliśmy się z Krasnodębskim i to czule. Popatrzyłem na niego i powiedziałem: "Słuchaj Stefan, przecież ty świetnie wyglądasz". On mi na to odpowiedział "Ja tak tylko wyglądam, ale jestem spuchnięty i dlatego tak się wydaje". Porozmawialiśmy sobie tylko na takie tematy "jak się czujesz, a co tam u ciebie słychać", a tymczasem oficer śledczy wyłożył taką dużą grubą teczkę i kazał nam razem ją przeglądać. Widzieliśmy tam protokoły nas wszystkich.



Mieliśmy tylko zobaczyć swoje protokoły i jakieś tam dołączone do tego rzekome dokumenty. A końcu kazał nam całe te akta podpisywać. To się nazywało zakończenie śledztwa. Chodziło o to, czy nie chcemy wnieść do tego czegoś nowego ale przecież to dla nas było wszystko obojętne, bo i tak wiele to z prawdą nie miało wspólnego. Specjalnieśmy się już nie przejmowali ich treścią, podpisywaliśmy to i oficer śledczy kazał nam odejść do naszych cel. Od tego momentu nie byłem już wzywany na śledztwa, więc normalnie spędzałem dni już tylko w celi. Było nas niewielu i nie było żadnej nowej sprawy, ponieważ nie było nowych więźniów. Siedzieliśmy we trzech, towarzystwo mi, zmieniał, a ja stałe siedziałem w tej samej celi. Chyba gdzieś w styczniu 52 roku zostałem znów wywołany z celi i zaprowadzony do kancelarii. Posadzono mnie w kącie przy jakimś osobnym stołiku i dano mi do przeczytania dość grubą teczkę, która za tytułowana była "akt oskarżenia w sprawie Łocza, Kowalskiego i innych". Formalny akt oskarżenia był podpisany przez prokuratora. No musiałem to przeczytać, zapoznać się ze wszystkim i podpisać. Czytałem uważnie. W kancelarii było parę osób. Było kilku urzędników, ale nie zwracałem na nich uwagi i czytałem spokojnie strona po stronie ten akt oskarżenia. W pewnym momencie nie mogłem już wytrzymać i rozszalałem się głośno. Wówczas ktoś mnie zapytał "czegoś ja się tak znówu cieszę z tego aktu oskarżenia". Powiedziałem, że tutaj są takie ozdury, tak wszystko niezgodne z prawdą w tym akcie oskarżenia, że już nie mogłem wytrzymać, że tu przecież nie ma żadnej zarodni, żadnej winy z naszej strony, a za to nas trzymają tu w więzieniu. facet, który poruszył tę sprawę, powiedział: "No, jak to będzie, to się okaże dopiero w sądzie". No więc przeczytałem ten akt do końca, podpisałem i zwróciłem go komuś tam w tej kancelarii. Wezwano znów oddziałowego, który zaprowadził mnie do celi. Aręczenie tego aktu było o tyle dla nas ważne, że od

tego momentu miał prawo odwiedzać nas adwokat. Zasadniczo akt oskarżenia zerzucał nam wszystkim sabotaż gospodarczy, to znaczy że nie wykonywaliśmy swoje obowiązki, nie wykonywaliśmy planów i temu podobne bzdury, które się nie zgadzały ze stanem faktycznym. Krasnodębskiemu na przykład zarzucano, że miał zły sprzęt, więc nie produkował jak się należało, że produkcja była nieodstateczna, że było na przykład za dużo piasku a za mało żwiru, czy pospółki, czy coś w tym rodzaju. Jednym słowem bzdury, które nie wynikały w całości sensu naszej gospodarki, w nasze możliwości produkcyjne. Sprawy AK-owskie nie były w akcie oskarżenia poruszone. Tak że te śledztwa, jeśli chodzi o mnie, które najwięcej mnie dotyczyły, związane z Armią Arąjową, tutaj nie były poruszone i przeszło mi nad tym do porządku dziennego i w ogóle ani słowa o mojej działalności w tej organizacji nie wspomiano. Posa sabotażem w działalności gospodarczej akt oskarżenia sugerował tylko dwie inne rzeczy: Jaszczynowi zarzucano, że był "trockistą" a Jankowi Szulcowi, że wrócił zbyt późno z Zachodu, więc na pewno podjął się szpiegowstwa na rzecz aliantów amerykańskich czy angielskich. Był jeszcze jeden zarzut w stosunku do Lewandowskiego, że wziął łapówkę. Tych spraw ja osobiście nie znałam i nie wiedziałam, jak je sobie wytłumaczyć, ale wiedziałam na pewno, że to bzdurstwo. Nie interesowała mnie tylko sprawa Jaszczyna, czy on był "trockistą" czy nim nie był, to już było dla mnie obojętne, bo nie wiedziałam, na czym polega to przestępstwo. Jeżeli nawet komunista w swoim czasie był "trockistą", to i cóż, Trockiego dawno już nie było, dawno nie był. Najpoważniejszym zarzutem w stosunku do mnie było w akcie oskarżenia to, że zupełnie świadomie dostarczyłam na budowę lotniska na Bernerowie niewłaściwy, zupełnie zły żwir. W ogóle było to w samym założeniu absurdalne, dlatego że przecież ja tylko wysyłałam zamówienia do oddziałów produkcyjnych, podając jedynie, ile mają wysłać żwiru. Podawałam



adres wysyłkowy, ale nie zajmowałem się przecież bezpośrednio samą wysyłką. Nie byłem na punkcie produkcyjnym i nie mogłem wiedzieć, jaki żwir w danej chwili się ładuje. Chodziło o to, że to była budowa lotniska, więc ja świadomie ją utrudniałem, żeby ona było nie zrobione. I takie tam dyrdymałki były w tym akcie oskarżenia wypisane. Zresztą wypadek ten z dostawą żwiru na budowę lotniska pamiętałem bardzo dobrze. Chodziło tu o to, że któregoś dnia zostałem zawiadomiony przez przedsiębiorstwo budujące to lotnisko, że otrzymali oni tam "x" wagonów niewłaściwego kruszywa. więc od razu wsiadłem do samochodu, pojechałem na lotnisko, obejrzałem ten żwir i porozumiałem się z kierownikami tego przedsiębiorstwa. Chodziło o to, że zależało im na innej granulacji, niż otrzymana, ale żwir był dobry, to był przysyłany z Koźła, z naszego najlepszego punktu eksploatacji. No więc powiedziałem im, że o ile chodzi im o inny rodzaj kruszywa, to niech oni ten żwir zostawią i nie rozładowują z wagonów (bo był on jeszcze w wagonach), to ja go przetrucę gdzie indziej, a im dostarczę inny. I rzeczywiście tak postanowiłem zrobić. Będąc tam na lotnisku zauważyłem jakichś dwóch facetów kręcących się po całej budowie. Zapytałem, kto to jest, powiedzieli mi "a to jacyś faceci, prawdopodobnie z UB". No to już mnie zastanowiło i zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie, że tu "UBiarze" do tych spraw się wtrącają. Po powrocie do swojego biura od razu telefonicznie zaproponowałem ten żwir innemu przedsiębiorstwu, które szlachliwie go wzięło i powiedziało, że oni zaraz przysyłają po niego samochody, ponieważ dla nich będzie wygodniej zabierać ten żwir samochodami, a nie wagonami. Na tym się ta sprawa niby zakończyła, ale po pewnym czasie zadzwoniono do mnie z tego przedsiębiorstwa, które miało żwir zabrać i powiedziano mi, że żwiru nie wzięli, ponieważ przedsiębiorstwo budujące lotnisko ten żwir wyładowało, bo doszło do przekonania, że będzie on dla nich odpowiedni,

więc na próżno tylko posyłano tam samochody. Powiedziałem, że to już nie moja wina, ponieważ mnie wprowadzili w błąd, ale natychmiast zadzwoeniłem na tę budowę lotniska i natychmiast im, że mi głowę zawracają. Powiedzieli na to, że im w pierwszej chwili się wydawało, że żwir jest niewłaściwy, ale doszli do przekonania, że mogą go zużytkować, bo nie wiedzą, jaki inny mogą dostać i że może nie być lepszy. No i na tym sprawa się zakończyła, więc nie widziałem w tym żadnego przestępstwa, bo wszystko było załatwione jak się należy. Przecież UB musiało się do czegoś przychylić, a skoro nie mieli nic innego, to się przychyliłi do tego, bo ostatecznie nic mądrego przeciwko mnie nie mogli wymyśleć. W każdym razie mojej winy w tym żadnej nie było. Tym bardziej, że już od dawna był rozslany okólnik do wszystkich przedsiębiorstw eksploatacyjnych, żeby bezwzględnie wysyłali kruszycę tylko do niego i zgodnie ze do granulacji z zamówieniem. Przecież nie wysyłając bez pośrednio z oddziału tego czy innego łazunku ja nie mogłem za to odpowiadać, ponieważ nie ja go ładowałem, nie ja go wybierałem, a kto inny. I na to miałem dowody w formie akt biurowych, bo przecież wszystko w opisach w aktach zostawało. Był to w każdym razie chyba najpoważniejszy zarzut w akcie oskarżenia w stosunku do mnie. Innych zarzutów właściwie nie pamiętam, były to tylko jakieś drobiszgi, niedostarczenie gdzieś w terminie jakiegoś materiału do jakiegoś przedsiębiorstwa budowlanego i takie drobne zupełnie rzeczy, które wszędzie mogły się zdarzyć. Nawet nie wiadomo, czy miały miejsce i czy w ogóle zarzuty te były słuszne. Dopiero trzeba było je zbadać. No ale akt oskarżenia mnie to zarzucał i za to musiałem przed sądem odpowiadać. Jak to będzie - jeszcze nie wiedziałem, ponieważ takto jeszcze było do sprawy sądowej i nie wiadomo było, kiedy ona się odbędzie. Natomiast z niecierpliwością oczekiwałem pierwszej wizyty adwokata. Chodziło mi tu przede wszystkim o wiadomości od żony.



Po kilku dniach zostałem wywołany przez oddziałowego: "Kownacki do adwokata". Oddziałowy zaprowadził mnie do frontowego budynku, tam gdzie była kancelaria i wpuścił do takiego niewielkiego pokoiku. Zostałem tu jakiegoś jegomościa, którego pierwszy raz w życiu widziałem. Przedstawił mi się jako adwokat nowogrodzki. Oddziałowy zostawił nas samych, zaszykując za sobą drzwi. Siedzieliśmy przy takiej małej stoliku i pierwsza rzecz zapytałem go: "panie mecenasie, co słychać u żony?". Powiedział mi, że jest zdrowa, czuje się zupełnie dobrze i pracuje, zarabia pieniądze, na z czego żyje więc żona była zupełnie spokojna. Przesłała mi pozdrowienia. Zapytywałem go o różne szczegóły, ale on właściwie nic konkretnego mi na te tematy nie mógł powiedzieć, poza tym co już powiedział. Następnie adwokat zaczął mnie wypytywać o samą sprawę, oczywiście na podstawie aktu oskarżenia. Miał wynotowane wszystkie zarzuty przeciwko mnie i o każdy po kolei zaczął mnie wypytywać. Wygadałem mu tu wszystko szczegółowo i rzeczywiście on mi przyznawał, że to są błahe zarzuty i ma nadzieję, że to wszystko szczęśliwie się skończy. Brosankowo niedługo ze mną rozmawiał, wyciągnął z teczki jakieś porządki, czekolady i inne rzeczy i powiedział, oglądając się czy nas kto nie słucha, że właściwie to nie wolno mu tych rzeczy dawać, więc prosi, żeby je tak schował, żeby tego przy mnie po drodze nie znaleźli. Wpakowałem pełne kieszenie, gdzie tylko się dało, wszystko czego nawet nie mogłem zabrać. On obejrzał mnie czy nie widac. Znało było, że się bardzo bał, co leżało w jego naturze, bo przecież był żydem, a poza tym nie chciał tutaj ryzykować, bo rzeczywiście nie wolno mu było nic dawać i gdyby mnie po drodze zrewidowali i coś znaleźli, to mogliby mieć poważne przykrości. Następnie adwokat poklepał się ze mną i zapowiedział, że niedługo znówu przyjdzie mnie odwiedzić, żeby sobie dokładnie przypominał wszystkie szczegóły tych zarzutów, postawionych mi w akcie oskarżenia. Wyszedłem na

korytarz, tu od razu podszedł oddziałowy i odproszadził mnie do celi. Z tej wizyty najwięcej cieszyłem się tymi wiadomościami o żonie. Byłem szczęśliwy, że była zdrowa, że dobrze się czuła, tylko absolutnie nie mogłem zrozumieć, gdzie mogła pracować, co mogła robić, a adwokat mi tego nie umiał powiedzieć. Żona moja przecież, nie licząc bardzo wczesnego okresu w życiu, nigdy nie pracowała, nie była żadnym fachowcem, więc nie rozumiałem, gdzie mogła pracować a szczególnie jak mogła dobrze zarabiać. Nad tym właściwie długo się głowiłem no i prosiłem adwokata przy następnym widzeniu, aby jednak żonę o to zapytał i mi powiedział, a poza tym, żeby zapytał, jak się jej powodzi materialnie, z czego żyje i jak sobie daje radę. Tymi przyniesionymi przez adwokata przysmakami oczywiście podzieliłem się skrupulatnie z kolegami w celi. Korzytkiem naturalnie to wszystko bardzo ciekawo i zafascynująco, uważając tylko, aby tego przez wizję, nie zauważył oddziałowy, bo wtedy i ja i adwokat nielibyśmy z tego tytułu przykrośli. Nie powiem, żeby adwokat mi się specjalnie podobał, ale widac było, że jest to sprytny facet, że zna się na wszystkich rzeczach. Potea, jak się dowiedziałem, uchodził on za wybitnego adwokata i jednego z najlepszych w Warszawie obrońców w tego rodzaju sprawach karnych. Przychodził do mnie stosunkowo często. O ile o to chodzi, bo adwokaci raczej rzadko przychodzili, ale kiedyś mi powiedział, że właściwie przychodzi niepotrzebnie, ale zmusza go tego moja żona. Pray tym prosił mnie, żeby przed każdą jego wizytą odpowiednio się przygotował i obmyślił pytania, które chce zadać, dlatego że, niestety, notować ich nie miałem możliwości, bo przecież ani ołówka ani papieru nie wolno było posiadać. Chodziło mu o to, żeby będąc u mnie jak najmniej tracił czasu. I było raz takie zdarzenie, że kiedyś przyszedł do mnie i od razu zapowiedział, żebym szybciej mówił, bo on nie ma czasu, ponieważ się spieszy do Utwocka. Powiedziałem mu, że wobec tego,



jeśli się ma tak spieszy to ja nie mam nic do powiedzenia, dlatego że o ile on przychodzi, to ja choć ogólnie z nim porozmawiam i dowiedzieć się czegoś nie tylko o sprawie, ale co słychać na świecie a przede wszystkim u mojej żony, ponieważ przecież proszę go o to. No ale skoro on się, teraz spieszy "do widzenia" - powiedział - "ale następnym razem niech pan tak się urządzi, żeby pan mógł być u mnie dłużej". Nie umiał mi przez dłuższy czas powiedzieć, kiedy odbędzie się sprawa, bo jeszcze o niej nie miał zawiadomienia. Twierdził, że to potrwa jeszcze kilka miesięcy. No ale bodajże już w lutym przyszedł i powiedział, że sprawa wyznaczona została na trzeciego marca. Jednocześnie zapowiedział, że więcej <sup>nie</sup> odwiedzi, bo nie ma po co i że następny raz zobaczymy się już na sali sądowej. Ucieszyłam się, ogromnie, że do początków marca było już niedaleko i wiedziałem, że ta sprawa sądowa tak czy inaczej rozstrzygnie mój los i tak czy inaczej wyjaśni się cała moja sprawa. No i właściwie byłem jak najzupełniej pewny, że zostanę uwolniony i wyjdę na wolność. Opierałem to swoje przekonanie na tym, co mówił adwokat, a poza tym na tym akcie oskarżenia, który właściwie nie zawierał żadnych poważnych zarzutów, a same jakies drobności i głupstwa. Mimo tej strasznej sytuacji, jaka wówczas w Polsce panowała, tej niesprawiedliwości i prześladowania na każdym kroku, myślałem jednak, że w danym wypadku kiedy nie ma absolutnie żadnych podstaw, nie będą mnie więcej w więzieniu trzymali i zwolnią mnie. Drugiego marca przed wieczorem oddziałowy wywołał mnie z celi i powiedział, że zaprowadzi mnie do magazynu mundurowego, gdzie zamienię swoje ubranie na jakies czystsze. No oczywiście odmówiłem, bo po pierwsze nie miałem zamiaru znów przyzwyczajać się do czyichś brudów, bo wiedziałem że nowego, czystego mi nie dadzą, a poza tym chciałem właśnie pokazać się na sali sądowej tak jak wyglądałem, bo rozumiałem, że tu im chodzi o to, żeby wobec publiczności i sądu zaprezen-

tował nas jak najlepiej, żebyśmy nie wyglądali tak, aby ludzie nie myśleli, że tutaj nas specjalnie gniją. No a mnie chodziło o to, żeby właśnie ludzie widzieli jak w rzeczywistości jest i jak my naprawdę wyglądamy. --kategorycznie więc odmówiłem i powiedziałem, że mam zupełnie przyzwoite ubranie i nie mam zamiaru go zmieniać. Oddziałowy machnął ręką i zrezygnował z wyprowadzenia mnie do magazynu mundurowego. Na drugi dzień, to znaczy już trzeciego marca, z samego rana wyprowadzono mnie znova i zaprowadzono do oddzielnej celi gdzie fryzjer mnie ostrzygł i ogolił. To samo podobno zrobili i z pozostałymi kolegami z mojej sprawy. Zaraz po śniadaniu wyprowadzono mnie ponownie na korytarz i tu już spotkałem się ze wszystkimi moimi siedmioma kolegami, odpowiadającymi z tego samego tytułu, tj. z moimi dyrektorami i naczelnikami wydziałów. Strasznie marnie oni wszyscy wyglądali, byli wyniszczeni, ale niektórzy z nich, jak na przykład Krasnodębski, którego jeszcze przedtem widziałem, byli spuchnięci. Katomiast podziwiali mnie, że ja tak dobrze wyglądam i mam zupełnie dobrą cerę, a nie taką zniszczoną jak oni wszyscy. O chwili takiego oczekiwania na korytarzu, w trakcie którego po cichu rozmawialiśmy ze sobą, chociaż to było nam zakazane przez oddziałowego, zjawił się ten "sławetny" nasz oficer śledczy, ten Świerczyński, i wyprowadził nas na podwórze, a potem za bramę, gdzie oczekiwał na nas samochód. Na całe szczęście był to samochód ciężarowy, ale otwarty, z ławkami, więc ulokowaliśmy się i byliśmy zadowoleni, że jedziemy właśnie takim samochodem i będziemy wszystko dobrze widzieli po drodze. Z tyłu usiadło tylko dwóch żołnierzy z KBR, oczywiście z pepeszami, którzy nas pilnowali. Razem z nami usiadł też ten nasz "kochany" oficer śledczy no i tak ruszyliśmy w kierunku Warszawy. Pojechaliśmy przez odzudowany już dawniejszy most Kierbedzia i wykończoną już trasę 42. Tę, którą pomagaliśmy budować poprzez zaopatrywanie jej w kruszywo. Przejechaliśmy więc



nowowbudowany tunel pod Krakowskim Przedmieściem. Wszystkim nam przeszła ta trasa bardzo się podobała. Nie zaliczała się przez to bardzo Warszawa. Inaczej zupełnie wyglądała niż za naszych czasów w 50 roku. Natychmiast jechał klucząc nieco po ulicach Warszawy. Wjechaliśmy w Aleję Niepodległości, skręciliśmy w prawo na Koszykową, no i tu zatrzymaliśmy się przed takim niewielkim, jednopiętrowym dawnym starym budynkiem, który był właśnie wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Tutaj już przed wejściem gromadziło się trochę ludzi. Prowadzono nas parami do takiego korytarzyka. Tu stały nasze rodziny. Zobaczyłem żonę. No nie wydała mi się zmieniona. Uśmiechnęła się do mnie, ale widziałem na jej twarzy takie jakieś smutwienie, więc wyskoczyłem z tej mojej dwójki i uściskałem jej rękę. Milicjant oczywiście krzyknął na mnie, żeby nie wychodzić z szeregu. Przeszliśmy później na I piętro do jakiegoś dużego pokoju, który, jak się następnie okazało, był taką poczekalnią dla oskarżonych. Tutaj zestawiono nas zupełnie samych, więc mogliśmy już swobodnie rozmawiać. Przyrzekliśmy się sobie, uściskaliśmy się no i potem zaczęliśmy już omawiać sprawę. Przede wszystkim wszyscy jednocześnie stwierdziliśmy, że absolutnie nie wolno nam się przyznawać do żadnej winy, bo przyznanie się do jakiegokolwiek winy pociągnie odpowiednie konsekwencje. Skoro choć jeden z nas przyzna się do winy to znaczy musi być skazany, bo jest winien i trudna będzie dalsza apelacja. To było moje zdanie, które jeszcze poprzednio uzgodniłem z adwokatem. Wszyscy to potwierdzili i na tym stanęło. Minęło pół godziny czy godzina, znów wszedł milicjant i zaprowadzono nas na salę sądową. Była to duża sala. Zaraz na lewo od drzwi był stół sędziowski. Prostopadle do stołu sędziowskiego stały ławki. Dla oskarżonych stały one pod okratowanymi oknami i były wyższe, a przed nimi były dla adwokatów. Po prawej stronie było miejsce dla prokuratora i następnie szereg ustawionych krzeseł, jak się potem okazało

dla biegłych. No wszystko było oddzielone barierą od sali przeznaczonej dla publiczności. W tym momencie było już na sali bardzo dużo ludzi i była ona już pełna. Byli już nasi adwokaci, byli też biegli, którzy siedzieli na wyznaczonych miejscach. Nas usadzono w pewnej kolejności, jak przypuszczaliśmy - w zależności od ważności oskarżenia, od wielkości winy. Pierwszy posadzony był Łocz, potem Jaszczyński, Zandberg, Krasnodębski, Szulc, Maciejewski, ja i Lewandowski ostatni. Tak że ja razem z Lewandowskim siedzieliśmy już prawie przy barierze oddzielającej salę od miejsc dla sądzonych. Tuż za barierą siedziały nasze żony, tak że bliźniutko od siebie miałam żonę i mogłam nawet coś-niecoś jej powiedzieć, jakkolwiek od razu zwrócono mi uwagę, ponieważ tuż przy nas siedziało dwóch milicjantów, którzy nas pilnowali. Mogliśmy natomiast rozmawiać z naszymi adwokatami, co naturalnie skwapliwie wykorzystaliśmy. Rozmawiałem i ja ze swoim adwokatem; on mi powiedział, że dzisiaj będą jedynie takie formalne sprawy, jak sprawdzenie personaliów i odczytanie bardzo dużego zresztą aktu oskarżenia, ewentualnie załatwienie jakichś wniosków lub innych formalności. Dopiero później nastąpi przesłuchanie każdego z nas, naturalnie po kolei, poczynając od Łocza. Wśród biegłych poznałem oczywiście tego jegomościa, który już kiedyś był w więzieniu i razem z oficerem śledczym mnie przesłuchiwał. Nazywał się on, o ile sobie przypominam, Radliński. On właśnie specjalnie był biegłym od nich spraw. Po pewnym czasie na salę wkroczył sąd. Jak zawsze wołny zawołał "Proszę wstac". Wszyscy wstali i, sąd - trzyosobowy - wkroczył i zasiadł przed stołem sędziowskim. Przewodniczącym był taki jegomość w mundurze majora, który nazywał się Litaanowicz, a oprócz tego było dwóch ławników, jakichś młodych podporuczników, nie było wątpliwości, że byli "ubiarzami". Sędzią przewodniczącym był Żydem, a poza tym spośród obrońców nas adwokatów 7 również było Żydami, a tylko jeden jedyny



nie był Żydem. Wśród biegłych Żydów nie było a co dziwne - prokurator również nie był Żydem tylko Polakiem, za to miał wybitnie ciekawe nazwisko. Po usadowieniu się przy stole sędziowskim i rozłożeniu różnych akt sądzia zapowiedział, że odbędzie się tutaj rozprawa przeciwko Koczowi i innym oskarżonym z tej samej grupy artykułów i w tej chwili sąd przystąpi do sprawdzania personaliów. I począwszy od Koczki wypytywał wszystkich o dane personalne: imię, nazwisko, imię ojca, data urodzenia i tak dalej. Sprawdzone również i odnotowane zostały personalia biegłych i uderzyło nas to, że nie było tam właściwie ani jednego fachowca, który by się orientował w sprawie eksploatacji kruszywa. Był jeden mechanik, ekonomista, no ale co oni mieli wspólnego z eksploatacją kruszywa? Następnie po sprawdzeniu wszystkich personaliów sądzia zapowiedział, że odbędzie się odczytanie aktu oskarżenia no i niezwłocznie do tego przystąpił. Po odczytaniu aktu oskarżenia zarządzona została krótka przerwa, więc wyprowadzono nas do takiej dużej ubikacji i pozostawiono nasych. Tu mogliśmy sobie spokojnie rozmawiać i palić papierosy. Przede wszystkim poruszyłem tutaj sprawę biegłych, że przecież oni nie mają pojęcia o eksploatacji kruszywa, no więc nie możemy polegać tylko na ich opinii. Musimy zaprotestować i prosić sąd o powołanie innych. W związku z tym uchyliłem drzwi. Stał tam milicjant i powiedziałem mu, że chciałbym rozmawiać ze swoim adwokatem. Na to on powiedział, że dobrze, że zaraz go tu poprosi, a zresztą gdy pójdę na salę to będę mógł z nim porozmawiać. Ja powiedziałem - wtedy nie będę miał czasu, no ale trzeba trafić, że był tu blisko jeden z adwokatów, którego poprosiłem do siebie. Ten wszedł do tej naszej ubikacji i powiedział mi, że kwestionujemy fachowość tych biegłych. Powiedział "dobrze", zaraz jak sprawa się rozpocznie, to tę kwestię poruszamy. I rzeczywiście po pewnym czasie zaprowadzono mnie znowu na salę przed sąd, który rozpoczął dalsze postę-

powanie. Wstał wówczas jeden z adwokatów i prosił o udzielenie mu głosu w sprawie formalnej. Wiedział właśnie to, że cała ława oronicza kwestionuje tych biegłych i prosi o powołanie innych, podając cały szereg nazwisk fachowców w sprawach kruszywa i budownictwa. Podał jednego, czy dwóch, profesorów politechniki, którzy powinni się na tym znać. Sąd po pewnym czasie, poszeptawszy między sobą, to znaczy porozumiewszy się, wniosek ten odrzucił, twierdząc że są to ludzie sprawdzeni, ludzie fachowi i sądowi całkowicie wystarcza ich opinia i fachowość ponieważ dostatecznie i biegie potrafią ocenić postępowanie i pracę oskarżonych w przedsi. bierstwie. Oderzyła mnie i została nowila jeszcze jedna sprawa, a mianowicie w przeczytany akcie oskarżenia zarzuty absolutnie nie odpowiadały tym, które były już w akcie oskarżenia czytany przez mnie no i z tym, co osawialiśmy z adwokatem. Były tylko trzy zarzuty i to zupełnie drobne rzeczy, co do których ja nie byłem przygotowany, jednakże w zasadzie wiedziałem jak na to odpowiedzieć. Tak samo poruszyłem ten problem z moim adwokatem, ale on machnął ręką i powiedział, że to nie ma znaczenia ponieważ niewiadomo z jakichś tam względów akt oskarżenia został przerobiony. Śmiej jakiegdyś się dowiedzieli, rzeczywiście ten pierwszy akt oskarżenia został przez prokuraturę odrzucony, ponieważ prokurator nie znalazł w nim cech przestępstwa, więc on musiał sporządzić nowy akt oskarżenia, rzekomo mocniejszy, który właśnie został złożony do sądu. Następnie sąd przystąpił do przesłuchania oskarżonych. Pierwszą wyszedł przed taką kretką, znajdującą się przed stołem sędziowskim, locz i zaczął rozznawać, odpowiadając przede wszystkim na pytania sądu i odwołując się wszystkie zarzuty, które przeciwko niemu wysunęto w akcie oskarżenia. Po godzinie, czy dwóch, jego zeznanie została ogłoszona przerwa w rozprawie sądowej, więc znowu wyszliśmy, ale już do tej poczekalni, w której byliśmy na początku. Dostarczono nam wówczas różne paczki z jedzeniem. Jeszcze na począ



ku zeznań na pytanie sędziego przewodniczącego, lecz odpowiedział, że absolutnie nie przyznaje się do winy i że pracował zgodnie ze swoim sumieniem, tak jak umiał najlepiej, i nie uważa, żeby popełnił jakieś przestępstwo. W zeznaniach swoich lecz bardzo szczegółowo opowiadał o swojej działalności w naszym przedsiębiorstwie, o ogromnych trudnościach, na jakie natrafialiśmy w swojej pracy, a przede wszystkim na brak sprzętu. Na tę przerwę obiadową otrzymaliśmy od rodziny wspaniałe paczki. Zastępowały one nam obiad, ponieważ tutaj żadnego obiadu nam nie dostarczono. Ale nie myśleliśmy nawet w tej chwili o obiedzie, zjadając wspaniałe kotlety wieprzowe, przekładane bułką grubo posmarowaną masłem. W ogóle jedzenie było wspaniałe, bo przecież tak długi czas nic takiego nie widzieliśmy i odegrało to koleśalną rolę w naszym samopoczuciu. Najedliśmy się zaskomicie, a poza tym jeszcze dużo zostało, bo nie mogliśmy już tyle na raz zjeść. Poza tym myśleliśmy o tych naszych kolegach z celi, którym też trzeba było jakiegoś smakołyków i solidniejszego jedzenia sawieść i między nich podzielić. Myśleliśmy, że podczas przerwy można będzie zobaczyć się z rodzinami, no ale nie było takiego pozwolenia, więc było to absolutnie wykluczone. No to też był rodzaj takiej szykany, bo coś by to szkodziło, gdybyśmy się z tymi rodzinami zobaczyli. Chodziło tylko o to, żeby nam dokuczyć i zrobić przykrość. Wówczas jednak w tzw. sądach ludowych był taki zwyczaj, że nie wolno było widzieć się z rodzinami. Dopuszczane było tylko widzenie z adwokatami. No i tutaj, w czasie przerwy, prawie do każdego z nas przychodził adwokat. Szczególnie długo adwokat siedział z loczem. Z moim niewieleśmy mieli już sobie właściwie do powiedzenia. Przerwa trwała dość długo, a potem zostaliśmy znów wyprowadzeni do sali. Ze swojego miejsca pokiwałem z daleka żonie, dziękując w ten sposób za takie wspaniałe jedzenie, które mi tutaj dostarczyła. I znowu zaczęła się rozprawa, dalszym

zeznaniem Łocza. Zeznawał on dalej, aż do wieczora i dość późno została zarządzona przerwa do dnia następnego. Wrócićśmy do naszej celi. No więc ja, oczywiście, jakkolwiek już wszyscy leżeli na prczach, musiałem opowiadać o całej rozprawie i poczynstować ich znaki mitymi zapasami, jakie przywiozłem. Trwało to dość długo, jakkolwiek często zaglądał do celi oddziałowy i burczał, dlaczego gadamy, a nie śpiemy. Następnego dnia z samego rana znowu zawiadano nas do sądu przyprawdżono na salę, gdzie siedliśmy na swoich miejscach. Pokiwaliśmy głowami w stronę naszych rodzin. Sala, jak zauważyłem, znów była przepelniona, podobnie jak dnia poprzedniego. Widziałem tu też swoich znajomych i różnych interesantów z naszej pracy, kolegów z biura, no i oczywiście była również moja żona. Przychodzili na rozprawę także moi znajomi, nie mający nic wspólnego z naszym przedsiębiorstwem. Rozprawa znowu zaczęła się od zeznań Łocza, które trwały gdzieś do południa, czyli do przerwy obiadowej. Łoczowi zadawali pytania tak przewodniczący sądu, jak prokurator, biegli i adwokaci a w szczególności adwokat Łocza, która starał się go jego własnymi odpowiedziami jakoś wyciągnąć, no i zbagatelizować zarzuty, znajdujące się w akcie oskarżenia. Podobnie jak w dniu poprzednim na przerwę obiadową dostarczone nam paczki od rodziny, niemiłej wspominałem niż poprzednio. Po przerwie zeznawał Jaszczyn. Jego zeznania, tak jak i Łocza, były bardzo szczegółowe i obszernie. Podobnie jak te z dnia poprzedniego, nie zakończyły się one przed wieczorem, więc znowu zarządżona została przerwa do dnia następnego i odwieziono nas znów do więzienia, gdzie powtórzyła się sytuacja z dnia poprzedniego. Przy zeznaniu Łocza została poruszona sprawa dotycząca go osobiście, nie mająca absolutnie nic wspólnego z naszym przedsiębiorstwem. Bo przy zeznaniach Łocza na przykład, nie poruszano wcale sprawy Armi Krajowej, choć było wiadomo, że Łocz cały czas pod-



czas okupacji pracował w AK i poświęcił tej pracy wiele, był prześladowany przez gestapo, ale tych spraw absolutnie u niego nie poruszano. Ale o ile chodzi o Jaszczyna została tutaj poruszona sprawa jego przynależności w swoim czasie do "trockistów". Jaszczyn odpowiedział, że rzeczywiście należał do tej grupy, popierał wówczas ten kierunek, ale miał wtedy osiemnaście lat i później, jak dorósł, zmienił zupełnie przekonania i w tej chwili z tymi poglądami nie ma absolutnie nic wspólnego. Zdawałoby się, że sprawa została już dla Jaszczyna zupełnie pozytywnie wyjaśniona, natomiast, jak się okazało, nąd tego nie uznał i w uzasadnieniu wyroku była ta sprawa poruszona i obciążono go tymi zapatrywaniami. Po Jaszczynie zeznawał Zandberg. Jego zeznania były stosunkowo krótkie, ponieważ był on mniej obciążony od pozostałych, poza jeszcze Maciejewskim, który był oskarżony z 265 artykułu, to jest z tytułu przestępstwa urzędniczego, a nie sabotażu. Po Zandbergu miał zeznawać Krasnodębski, ale podczas przerwy przyszedł do mnie mój adwokat z zapytaniem, czy ja mógłbym teraz zeznawać, czy jestem przygotowany. Powiedziałem mu, że ja jestem zawsze przygotowany, ale dlaczego nie mam zeznawać w kolejności, tylko teraz. Powiedział, że jemu osobiście na tym zależy, ponieważ on potem będzie miał jeszcze inną sprawę, na którą musi wyjść i na moje zeznania nie zdążyłby wrócić, więc wolałby, żeby teraz zeznawał, bo potem byłby już całkiem wolny. Powiedziałem mu, że jest mi całkiem obojętne, czy mam zeznawać dzisiaj, czy jutro, bo jestem przygotowany dotrże, z sprawę znam dokładnie i nie potrzebuję jej przewlekać i tak czy inaczej jeszcze się z nią zapoznawać. I rzeczywiście po przerwie obiadowej zostałem wezwany przed sąd. Od razu na początku na pytanie sędziego - przewodniczącego oświadczyłem, że absolutnie nie przyznaję się do winy, że żadnej winy nie popełniłem, bo pracowałem sumiennie i należycie jak tylko mogłem. Wspominałem uprzednio, że akt oskarżenia w ogóle

był zmieniony. Tak samo zmienione zostały zarzuty w stosunku do mnie. Mianowicie zostały tylko trzy. Był tylko ten jedyny zarzut z poprzedniego aktu oskarżenia a mianowicie, że dostarczyłem nieodpowiednie kruszywo na budowę lotniska w Bernerowie, a ponieważ to było lotnisko wojskowe, więc tutaj popełniłem ten zabotaż. Drugi zarzut był ten, że nie dostarczyłem kruszywa wszystkich nabywców, figurujących w wykazie PKiG. No i trzeci zarzut był taki, że nie sprzedałem piasku w Bielinku. Obydwa zarzuty wyjaśniłem od razu. Zaopatrzenie całej Polski w kruszywo było niemożliwe, ponieważ nie mieliśmy jeszcze przedsiębiorstwa tak rozbudowanego, tak dużego, które mogłoby zaopatrzyć cały kraj, odbudowujący się i rozbudowujący. Co do piasku w Bielinku to była bardzo prosta historia. Piasku było wówczas wszędzie pod dostatkiem a ten z Bielinka można było sprzedawać tylko w Szczecinie i jego okolicach, ponieważ Bielink nie posiadał bocznic kolejowej i w ogóle stacja kolejowa była daleko, a piasek dostarczano jedynie barkami do Szczecina. Tam się zaopatrywało w niego wszystkie przedsiębiorstwa szczecińskie, albo przeladowywało się na wagony i wywoziło w głąb kraju. Jeżeli chodzi o szczecińskie przedsiębiorstwa to one właśnie piasku nie potrzebowały bo miały swojego pod dostatkiem. Natomiast wysyłanie tego piasku w głąb kraju, z przeladunkiem na pociąg, było trudne, kosztowne i bezcelowe, ponieważ w kraju było właśnie najwięcej zapotrzebowanie na piasek. Dlatego ten piasek pozostał na haldzie, a nie został zatopiony, aby mógł być w każdej chwili wykorzystany. Transport do Szczecina i zostawianie go tam też było bezcelowe. Wyjaśniłem to sądowi bardzo dokładnie i wydawało mi się, że usprawiedliwiłem się z mojego postępowania. Na wstępie zresztą swojego oświadczenia stwierdziłem, że jest mi trudno zeznawać, ponieważ nie mogę robić notatek, aby odpowiadać na zarzuty biegłych, ponieważ nie widzę, gdyż straciłem wzrok ze względu na nieodpowiednią warunków w więzieniu. Oświ-



czyłem także, że tutaj obrona nasza jest bardzo trudna, ponieważ mamy przeciwko sobie nie tylko ogólne nastawienie, ale przede wszystkim aż 9 prokuratorów, bo do prokuratorów zaliczamy również o biegłych, którzy nie znają pracy przy eksploatacji kruszywa, a z ich postępowania i orzeczeń wynika wyraźnie, że obciążają nas, ponieważ tak prawdopodobnie im kazano. Zeznawałem kilka godzin, więc te moje wypowiedzi trwały dość długo, bo było też dużo pytań. Przede wszystkim sędziego-przewodniczącego, biegłych i mojego adwokata, który starał się zbagatelizować wszystkie te zarzuty. Kiedy zeznawali moi poprzednicy adwokat mój zadawał pytania odnośnie mnie. Wszyscy wyrażali się o mnie w superlatywach. Jaszczak powiedział, że ja byłem filarem wydziału i, że u mnie cała praca, cały dział, prowadzone były absolutnie bez zarzutu. W stosunku do mnie również nie poruszano zupełnie sprawy Arai i Krajowej. Po mnie zeznawał Jan Szulc, naczelnik wydziału planowania, któremu zarzucano, jak poprzednio wspomniałem, to że podjął się szpiegostwa na rzecz aliantów i, że zobowiązał się wywiadowi amerykańskiemu przekazywać wiadomości z Polski. Zdawało mi się, że sprawa jest całkiem już wyjaśniona, ponieważ Szulcowi nie dowiedziono, żeby on jakiegokolwiek wiadomości kiedykolwiek za granicę przesyłał. Na końcu zeznawał Krasnodębski. Była tu taka ciekawa historia, dlatego że jednym z głównych zarzutów stawianych Krasnodębskiemu było niewłaściwe wykorzystanie sprzętu, a w związku z tym - zbyt mała produkcja. Był zarzut postawiony przez biegłego, że pogłębiarka, remontowana gdzieś w Gdańsku, została przewieziona do Krakowa w okresie, gdy eksploatacja trwała i w ten sposób nie została właściwie wykorzystana, co należało robić wtedy, gdy eksploatacja była już skończona. Był to zarzut absurdalny i w związku z tym, gdy wszyscy już pytania swoje zakończyli i wolno już było wówczas również oskarżonym zadawać pytania, wstąpiłem i zapytałem, czy mogę zadać pytanie zarówno oskarżonemu Krasno-

dybakiemu jak i biegłemu. Zapytałem najpierw Krasnodębskiego w jakim okresie trwa eksploatacja. On wyjaśnił, że wydobywanie kruszywa z wody jest niemożliwe w okresie zimowym, kiedy rzeki są zamrażnięte i wtedy tej eksploatacji się nie prowadzi. Wówczas zapytałem biegłego, jak on sobie wyobraża, jak można było przeprowadzić pogłębiarkę w okresie, gdy rzeka była już zamrażnięta i żeglugi już nie było. Więc i z tego względu trzeba było ją prowadzić jeszcze w tym okresie, kiedy odbywała się eksploatacja. Była to taka jasna i prosta rzecz, że przecież każdy wglądnie inteligentny człowiek by zrozumiał. To też jasno z tego wynikało, że tutaj chodziło tylko o czepianie się oskarżonych, a nie o wyjaśnienie sprawy. Po Krasnodębskim zeznawał Maciejowski, naczelnik wydziału mechanicznego, a następnie Lewandowski, naczelnik wydziału zaopatrzenia. W stosunku do Lewandowskiego, jak już w swoim czasie wspominałem, był zarzut wzięcia łapówki. Ten zarzut w tym nowym akcie oskarżenia również figurował, ale Lewandowski w zeznaniu oświadczył, że żadnej łapówki nie wziął, że to nie jest zgodne z prawdą i że oświadek zeznawał fałszywie. W zeznaniach Lewandowskiego była poruszona dość ciekawa sprawa. Otóż Lewandowski prosił Sąd o dopuszczenie lekarza, żeby go zbadał, bo w więzieniu nie ma lekarza, a przyjmuje jedynie weterynarz. Sędzia zapytał, co mu jest. Więc on powiedział, że ma uszkodzoną odbytnicę, przez sadzanie go na "nóżce". To jego oświadczenie wywołało poruszenie na sali i oburzenie. Ktoś zawołał "jak to, tak się znęcają nad ludźmi!". Więc sędzia wszystkim uciszył i powiedział Lewandowskiemu, że następnego dnia będzie już badany przez lekarza. W ten sposób po kilku dniach skończyło się to przesłuchanie i sąd przystąpił do przesłuchania świadków. W międzyczasie zaszła taka dość ciekawa okoliczność. A mianowicie przy naszych zeznaniach, za pośrednictwem naszych adwokatów, żądaliśmy dostarczenia z naszego przedsiębiorstwa całego szeregu dokumentów, stwierdzających nasze postę-



powanie, a więc różnych naszych zaświadczeń, całej korespondencji w sprawie zaopatrzenia przedsiębiorstwa w sprzęt eksploatacyjny. Ja żądałem wszystkich swoich okólników, które wysyłałem do oddziałów, a które miały dostarczać wszystko ściśle według zamówień. No niestety z tych dokumentów dostarczono nam bardzo niewiele, a brakowało przede wszystkim tych najważniejszych, które były do pewnego choćby stopnia dla nas usprawiedliwiające. Było to jasne. W przedsiębiorstwie przecież "ubiarze" dąbali w tych dokumentach i oczywiście pozabierali te, które dla nas były korzystne, natomiast wyciągnęli i przekazali tylko te, które dla nas mogły być niekorzystne. Tutaj więc nasze żądanie mogło być wykonane tylko w niewielkim stopniu. Świadców było bardzo dużo i trzeba przyznać, że większość z nich, a przede wszystkim świadkowie terenowi, zeznawali całkowicie na naszą korzyść. Szczególnie dla mnie były dobre te zeznania, dlatego że kierownicy działów zbytu dokładnie opowiadali, jak się to odbywało, jak przesyłano zapotrzebowania, jak je realizowano, tak że to wszystko wyglądało dla mnie zupełnie korzystnie. Bardzo niekorzystnie natomiast były dla nas zeznania inspektorów, którzy na pewno byli również pracownikami Urzędu Bezpieczeństwa i pod każdym względem nas wszystkich po kolei obciążali. Korzystne były zeznania dyrektorów Zarządu Centralnego, a mianowicie inżyniera Włodzimierza Filipkowskiego, naczelnego dyrektora Zarządu Centralnego i jego zastępcy inżyniera Paszenickiego, który szczególnie korzystnie dla nas zeznawał dowodząc, że myślny jako przedsiębiorstwo robili wszystko, żeby ułatwić pracę ówczesnemu budownictwu i zaopatrzyć je w kruszywo. Te świadków oskarżenia, był również ten, który zeznał, że dał łapówkę Lewandowskiemu. Tutaj w sądzie powiedział dokładnie, w jakich okolicznościach to się stało, jakkolwiek Lewandowski kategorycznie temu zaprzeczał. Sprawę tę wyjaśnię jeszcze później. Przy zeznaniach świadków nasza jeszcze ciekawa dla

nie okoliczności. A mianowicie chodziło o to, że już w czasie przebiegu samego postępowania procesu, mogliśmy prosić sąd o wezwanie jeszcze dodatkowych świadków, świadków obrony. No myśmy się specjalnie do tego nie kwapili, ale też koniecznie chciał jeszcze kilku świadków powołać, a między innymi chciał jeszcze koniecznie powołać taką panią Steinsberg albo Steincberg - już nie pamiętam, która prowadziła w PKPG zatwierdzanie planów produkcji kruszywa i kontrolę ich realizacji. Dowodził, że ona zezna na pewno dla nas korzystnie. Ponieważ była to osoba, z którą przede wszystkim i prawie wyłącznie tylko ja miałem do czynienia, kategorycznie się temu sprzeciwiałem i dowodziłem Łoczowi, że nic absolutnie ciekawego nie może ona wniesić, a zeznawać przed sądem będzie się bała i będzie odpowiadała na pytania, jak pytający będzie sugerował. No ale Łocz się uparł i któregoś dnia Steinsbergowa została jako świadek przed sądem powołana. Nic właściwie ważnego ani konkretnego, co by mogło sprawę Łoczowi ułatwić, ona nie zeznała, natomiast na pytania biegłego mnie bardzo obciążała. Chodziło o to, że biegły zapytał ją, czy były takie wypadki, żeby z powodu niedostarczenia kruszywa w jakimkolwiek przedsiębiorstwie budowlana budowa została zatrzymana i nie mogła być dalej kontynuowana. Na to świadek odpowiedziała: "Tak, że były takie wypadki." No więc biegły jej podziękował i widac było, że z tego powodu był bardzo zadowolony. Odpowiedzi jej bezwzględnie bardzo mnie obciążała. Bo skoro ja nie dostarczyłem kruszywa, zaniedbałem tę sprawę w ten sposób, że jakaś tam budowa stanęła, a jaka - to biegły już to wy bada, a mogła być przyczyną z jakiegoś powodu ważna, no więc to mnie bardzo obciążało i można by to podciągać pod sabotaż. Zdenerwowałem się tutaj ogromnie no i później jak już inni przestali świadkowi zadawać pytania, poprosiłem o głos i zapytałem świadka, czy tylko przedsiębiorstwo PPK5 zaopatrywało budownictwo w kruszywo. Wówczas ona powiedziała, że były jeszcze



inne przedsiębiorstwa eksploatacyjne, a poza tym przeważnie przedsiębiorstwa budowlane jeszcze w ten czy inny sposób same się w kruszywo zaopatrywały. Myśmy byli jeszcze wówczas zbyt mały i dopiero rozwijającym się przedsiębiorstwem więc nie mogliśmy wszystkich w kraju zaopatrywać. Ta odpowiedź była już dla mnie pozytywna i wygodna. Zapytałem jeszcze wobec tego, że ona tutaj stwierdziła, że zdarzały się wypadki zatrzymania budowy z powodu braku kruszywa, czy może ona również stwierdzić, że był chociaż jeden wypadek, gdzie z powodu braku kruszywa niedostarczonego przez nas budowa została zatrzymana. Ona na to powiedziała, że nie, że takiego wypadku ona nie zna, bo o ile wie, to nasze dostawy zawsze odbywały się w porządku i nie było żadnych skarg. Podziękowałem więc i usiadłem. Uspokoiłem się. A ten sposób pociągnięcia spowodowane niewłaściwie ustawionym pytaniem przez biegłego odrzuciłem. Zaraz po zeznaniach tego świadka wyprowadzono nas do poczekalni. No i pamiętam, nie wiem, czy w życiu kiedykolwiek komukolwiek tak strasznie wyżyłem, krzycząc na cały głos, jak wówczas Łoczowi, za to że się upierał i że tego świadka wezwał. No gdyśmy tylko weszli do tej poczekalni on pierzchy podbiegł do mnie i wieszował mi, że tak świetnie mówię. No ale oblałem go od razu zimną wodą, wyżyłając mu od ostatnich po co on tego świadka wezwał. Krzyczałem tak, że w końcu wszedł milicjant, ponieważ sądził, że się bijemy i nas uciszył. Znamienne było jeszcze zeznanie świadka ówczesnego dyrektora tego naszego przedsiębiorstwa, Janiszewskiego czy Januszowskiego - nie pamiętam już dokładnie. Otóż na moje pytanie w jakim stosunku był wykonany plan produkcji w roku 1957 odpowiadał on że w 62%. O tyle było to ciekawe, że biegli zarzucali nam że myśmy nie wykonali planu produkcji, wykonując go jedynie w 93%, jakkolwiek my na podstawie otrzymanych z przedsiębiorstwa dokumentów, dowodziliśmy wykonaliśmy plan w 102%. Nawet gdyby było tylko 98% wykonanie planu to i tak było dużo więcej, niż wypracowało to przedsiębiorstwo po na-

szym odejściu, pracując już na naszych wzorach w późniejszym okresie, dużo spokojniejszym niż my poprzednio. Zdawało się, że to ograniczenie nam pomoże i scharakteryzuje tę naszą wytęśloną pracę. Jeżeli chodzi o zeznania biegłych to oni również, jak zaznaczyłem, nas obciążali. Chodziło o to, że biegły, badając wykonanie planu i wykorzystanie sprzętu opierał się na podstawie teoretycznych obliczeń, prawdopodobnie przeprowadzonych na przykładzie nowego sprzętu i dowodził, jakie zadanie produkcyjne mają wykonać poszczególne pogłębiarki, ile mogą wydobyć tego kruszywa, a ile wydobywały będąc w naszym posiadaniu. Biorąc jednak pod uwagę, że biegły opierał swoje wszystkie obliczenia na danych teoretycznych, prawdopodobnie na książkowych, nie brali zupełnie pod uwagę zużycia tego starego sprzętu, który posiadaliśmy. No więc taka opinia takiego biegłego była absolutnie niesłuszna i bardzo dla nas niekorzystna. Po zeznaniu świadków, zeznania składali biegły. Jak już zaznaczyłem, biegły byli tendencyjni i zeznawali dla nas niekorzystnie. Po złożeniu oświadczeń przez biegłych sąd udzielił głosu prokuratorowi. Przemówienie prokuratora było bardzo merne i nieciekawe. Mówił on źle, a jeśli chodzi o treść, to polegało ono wyłącznie na tym, że wyciągnął z zeznań świadków jedynie fragmenty nie mające dla sprawy większego znaczenia, ale mniej czy więcej dla nas niekorzystne. Po przemówieniu prokuratora sąd udzielił głosu adwokatom. Adwokaci przemawiali również w kolejności, poczynając od adwokata Łocza aż do adwokata Lewandowskiego. No, wypowiedzi ich oczywiście były lepsze lub gorsze, ale w każdym razie starali się oni w miarę możliwości nasze postępowanie usprawiedliwić i udowodnili, że żadnej winy, a w szczególności sabotażu, z naszej strony nie było absolutnie. Po przemówieniach adwokatów sąd udzielił głosu wszystkim oskarżonym, w tak zwanym "ostatnim słowie". Każdy z nas nie wygłaszał tutaj żadnych mów, tylko prosił o uniewinnienie, nie poczuwając się do żad-



nej winy. Ja powiedziałem między innymi, że nie starałem się tutaj dowieść, że byłem pod każdym względem idealnym pracownikiem, bo takich w ogóle nie ma, oczywiście musiałem w pracy mojej popełnić pewne błędy, musiały być pewne niedociągnięcia, ale o ile jakiegokolwiek były, to za nie przecież już odpakutowałem, siedząc dłuższy czas w więzieniu. Wobec tego do takich specjalnych win, za które mógłby być karany - nie poczuwam się i proszę Sąd o uniewinnienie. Po wygłoszeniu przez oskarżonych "ostatniego słowa" Sąd zamknął posiedzenie sądowe i poukał, że wyrok w tej sprawie ogłoszony zostanie 7 kwietnia 1952 roku. Muszę tu zaznaczyć, że cała nasza sprawa sądowa odbywała się codziennie, z wyjątkiem oczywiście niedziel i niektórych sobót i przeciągała się do późnych godzin. Sprawiła ona nam wielką radość i satysfakcję, ponieważ przecież odrywała nas od tego więziennego trybu życia. Ponieważ sprawy kończyły się dość późno, zawsze denerwowałem się jak żona dostanie się do domu, a szczególnie jednego dnia, kiedy rozprawa trwała bardzo długo i skończyła się bodaj że o drugiej w nocy i na sali wśród publiczności pozostała tylko jedna moja żona. Byłem bardzo o nią niespokojny i denerwowałem się, że będzie sama brnęła po nocy do domu, no ale wszystko to skończyło się, jak się potem okazało, szczęśliwie. Byłem zadowolony, gdy już następnego dnia znów na tej pierwszej ławce niedaleko od nas zobaczyłem ją. Przez cały czas trwania procesu na sali asystował ten nasz śledczy oficer, ten tak zwany Świerczyński, bo byłem zawsze pewien, że to był jego pseudonim. Jeśli czasem jego nie było, to zawsze był jakiś inny przedstawiciel Urzędu Bezpieczeństwa. Stale siedział przy biegłych i często coś im szeptał, więc prawdopodobnie dawał im jakieś wyjaśnienia lub wskazówki, co też dowodziło o tej niekorzystnej dla nas tendencji biegłych. Ogłoszenie wyroku zostało wyznaczone na popołudniową godzinę 7 kwietnia. Rano już zostaliśmy jak zawsze przed wyjazdem do

sądu ogoleni, a jak trzeba - ostrzyżeni, no i tam zawiezieni. Przyjechaliśmy jak zwykle do budynku na Koszykowej, przy rogu Alei Niepodległości. Zaprowadzono nas do poczekalni a później na salę. Już wchodząc do sądu zobaczyliśmy ogromną ilość ludzi. Sala sądowa była tak przepełniona, że wszyscy bardzo ciasno siedzieli na ławkach poza tym pełno ludzi stało w przejściach, było również wielu, którzy już w ogóle nie mogli się na salę dostać. O wyznaczonej godzinie wszedł sąd i został ogłoszony wyrok. Wszystcy, poczynając od Lewandowskiego i ode mnie zostali skazani z artykułu 3, za sabotaż, od 5 do 8 lat. Pięć lat dostałem jedynie ja, wszyscy inni dostali sześć, siedem i osiem lat, jedynie Maciejewski i Zandberg byli skazani z artykułu 236 "przestępstwo urzędnicze" i otrzymali wyrok po dwa lata każdy. Adwokaci zgodnie z uprzednim ustaleniem z nami zapowiedzieli apelację. Po ogłoszeniu wyroku na sali rozległy się płacze, krzyki i głosy niezadowolenia, więc milicja byrdzo szybko wyprowadziła nas z sali. Pokiwalem ręką żonie. Zresztą zdołała ona już jakoś wydstać się na korytarz i wychodząc zdołała ją jeszcze uściskać i powiedziałam, żeby się nie martwiła, że na pewno to jakoś szczęśliwie się dla mnie skończy i przypuszczalnie wcześniej wrócę do domu.

Zawieziono nas jak zwykle do więzienia, ale nie wróciliśmy już do dawnych naszych cel. Spakowano nas do jakiejś niewielkiej celi, w której stały tylko dwa piętrowe łóżka, a było nas osmiu, więc musieliśmy spać po dwóch na jednej pryczy. Nikt nie chciał położyć się z Łoczem, bo wszyscy temu wymyślali, że to przez niego była ta cała sprawa i wszystko to się stało i teraz dlatego wszyscy muszą pokutować. Więc powiedziałem, że ja się z Łoczem położę i nie obciążam go tak bardzo winą. Jest to mój stary kolega, więc cenię go i lubię pod każdym względem, więc nie strąnię od niego, i ułożyłem się obok niego na piętrowej pryczy. No i tak jakoś przeespaliśmy tu jedną noc, a następnego dnia z samego rana rozprowadzono nas już



po różnych celach, innego oddziału, a mianowicie oddziału karnego, który się mieścił w tym samym budynku. Pomieszczono nas tak jak poprzednio każdego osobno, po to, abyśmy nie mogli się ze sobą porozumiewać, jakkolwiek obecnie było to niezrozumiałe, ponieważ sprawa już została zakończona i było obojętne, czy się ze sobą widzimy czy też nie. Widocznie jednak były takie przepisy, więc siedzieliśmy osobno. Przeszedłem do jakiejś niewielkiej celi, było tam tylko sześć ludzi. Jak to zwykle przedstawień się, no i wtedy, gdy usłyszeli moje nazwisko, ktoś się odezwał: "A ja o panu słyszałem, pan tak ładnie opowiada różne filmy, książki, a przede wszystkim "Trylogię", więc nam nadzieję, że i nam będzie pan też opowiadał". Wszyscy go podtrzymali więc obiecałem im, że będę im opowiadał, ale muszę się na nowym oddziale trochę rozzejrzeć. Było tu całkiem inaczej niż na oddziale śledczym. Było trochę więcej swobody i wygody, a co najważniejsze nie było prowadzonych śledztw, a więc i pod tym względem było spokojniej, nie było tych szykan i przykrości przebywania na śledztwie z tym oficerem śledczym, kiedy nigdy nie było wiadomo, co człowiek może spotkać. A najważniejsze, że były tu już widzenia z rodziną, które odbywały się raz, a może nawet i dwa razy, na miesiąc. Wolno było pisać listy co też sprawiało dużą przyjemność, można było listy otrzymywać, dawano gazety, tak że człowiek czuł się znacznie lepiej. Były także "wypiski" i to chyba znacznie lepsze niż poprzednio. Jedynie chyba znacznie przykreszszą rzeczą były częste przerzuty z jednej celi do drugiej, no i trochę inaczej odbywały się rewizje. Te przerzuty nie były przyjemne, dlatego że nie było wiadomo, na kogo człowiek trafi, jakie będzie tym razem towarzystwo. Dużo od tego zależało, czy będą to ludzie sympatyczni, z którymi można zawsze łatwiej przetrwać, czy też czasem trafi się ktoś niesympatyczny, nieprzyjemny, kto będzie psuł całą atmosferę. Ja przez cały pobyt w celi karnej miałem bardzo różne towarzystwo,

lepsze i gorsze. Raz na przykład siedziałem tylko z kilkoma oficerami zawodowymi, należącymi do dwójki. Dostali wyroki dość duże. Muszę tu jeszcze jedną rzecz zaznaczyć. Tu na oddziale karnym siedzieli tylko ci ludzie, którzy złoczyli apelację, więc czekali na wyrok apelacyjny. Poza tym było jeszcze tu kilka osób, które były już po wyroku apelacyjnym i czekały na zwolnienie, o ile dostały wyrok uniewinniający lub na wywiezienie do innych więzień karnych, na odbywanie wyroku zgodnie z decyzją sądową. Do pierwszej mojej celi na oddziale karnym przybyłem już po porze spaceru, więc na spacer wyszedłem dopiero dnia następnego. Spacer to była oczywiście duża przyjemność, a co najważniejsze, te spacerowały się nie tylko z ludźmi z jednej pojedynczej celi, ale po kilka cel, więc można było spotkać kolegów siedzących w innych celach. Mnie szczególnie zasiecało naturalnie na spotkaniu swoich kolegów ze sprawy. I rzeczywiście, już od razu pierwszego dnia jak tylko pierwszy raz wyszedłem na spacer spotkałem swojego kolegę, vice-dyrektora Jaszczyna. Odbywaliśmy go na podwórzu, chodząc po dwóch kółkach. Każdy starał się iść jak najprędzej, aby użyć jak najwięcej ruchu, więc ci, co chodzili szybko, chodzili po kole zewnętrznym. Natomiast było takie kółko wewnętrzne, po którym chodzili zazwyczaj ludzie starsi, chorzy, kulawi, którzy nie mogli chodzić szybko, więc namociliby ruch na tym większym kole. Tu mogli sobie chodzić wolniutko, ewentualnie nawet można było tu się mijac. Gdy wyszedłem pierwszy raz na spacer, od razu wszedłem na to kółko mniejsze, bo zobaczyłem Jaszczyna i chciałem z nim zamienić kilka słów, jakkolwiek to było zakazane i zaraz pilnujący oddziałowy krzychał "eicho!" i krótko mówiąc - wymyślał. Gdy zobaczyłem Jaszczyna wszedłem na to mniejsze kółko, przywitałem się z nim z daleka, mówiąc takim teatralnym szeptem "dzieńdobry, co tam u pana słychać?". No on popatrzył i mówi: "No co panie Andrzeju, wpadliśmy". Odpowiedziałem Jesu, na-



turalnie po następnych i dalszych obrotach "Jak to wpadliśmy, to ja wpadłem, ale pan nie wpadł, bo pan na to, co pan chciał, bo pan był partyjny, walczył pan o ten ustrój, dostał pan ten ustrój i teraz ten ustrój jest panu za to wdzięczny, a ja tego ustroju nigdy nie chciałem, więc wpadłem i nie mogę być z tego zadowolony". No, ci co to słyszeli, to trochę się pośmiali, on też się uśmiechnął do mnie i powiedział: "no to tak się tylko zdaje, ja nie tego chciałem, o co innego walczyłem, wyobrażałem sobie, że to życie partii, praca partii będzie zupełnie inaczej wyglądała, a teraz wygląda zupełnie inaczej i to mnie niezupełnie odpowiada". W innych następnym dniach spotykałem w ten sposób innych moich kolegów ze sprawy, a między innymi Łocza, Maciejewskiego i Krasnodębskiego. I z nimi także zawsze udawało mi się zamienić choć kilka słów. Oddziałowy krzychał, ale niewiele na to się zwracało uwagi, no i dopiero kiedy groził, że jeżeli w tej chwili nie przestaniemy rozmawiać, to pójdziemy do celi, wówczas milkliśmy na chwilę, by później znów po cichu zacząć te rozmowy.

Najważniejszą dla mnie sprawą to było oczywiście widzenie się z żoną, którego się lada dzień spodziewałem. No i wkrótce dowiedziałem się, że już prawie wszyscy mieli takie wizyty, i zartwiłem się, dlaczego ja dotychczas jej nie mam. Zacząłem się trochę denerwować, ale przyszło mi do głowy, że żona stara się o widzenie bez kret, bo normalnie odbywało się ono przez kraty. właściwie nie było to żadne widzenie, dlatego, że wyglądało to w ten sposób, że był taki korytarz ogrodzony siatką i po tym korytarzu oddzieloną siatką z obu stron, spacerował oddziałowy. Te ogrodzenia siatkowe odległe były od siebie o półtora mniej więcej metra, tak że oddziałowy mógł tam swobodnie przechodzić, a tu przez te siatki druciane ci rozmawiający krzyczeli do siebie. No i każdemu się zdawało, że im głośniejsze krzychał, tym lepiej rozmówca go usłyszy. Oczy-

wicie to było błędne. W ten sposób wszyscy wzajemnie się przekrzykiwali i nie było słychać. Ja jednak marzyłem o tym, żeby żona dostała widzenie bez krat. No i rzeczywiście po kilku dniach zostaliśmy wzwany na widzenie. Wyszliśmy, najpierw postawiono mnie pod takim murkiem w budynku, gdzie to widzenie się odbywało, a potem mnie tam wpuszczono. Byłem zaskoczony, gdy znalazłem się w tym pomieszczeniu, gdzie były te kraty. Zobaczyłem z daleka żonę, która coś perswadowała odziałowemu, no i później razem z nim wyszła, a mnie cofnięto znowu na podwórko. Po krótkim oczekiwaniu wpuszczono mnie do innego pomieszczenia i tam ujrzałem już żonę, siedzącą przy stole. W szczycie tego stołu usiadł odziałowy, a mnie posadził też przy stole, ale naprzeciwko żony i nie pozwolił nawet nam się przywitać. Oczywiście w tych warunkach trudno było rozmawiać. On powiedział, że nie słucha, więc zacząłem w końcu mówić. On tylko wtedy przerwał, gdy zacząłem pytać, jak tam ze sprawą. Powiedział "wszystko możecie sobie mówić, tylko absolutnie nie możecie rozmawiać o sprawie". Dowiedziałem się więc, jak żona się czuje, jak sobie daje radę. Dowiedziałem się, że ma posadę, o czym wiedziałem już zresztą wcześniej od adwokata. Żona powiedziała mi, że czuje się dobrze, że pracę urządził jej taki mój przyjaciel, Mizio Szpakowski, w sekretariacie kursów dokształcających dla urzędników, które właśnie prowadził<sup>x)</sup>. Usłyszyłem więc, że żona czuje się dobrze, że ma pieniądze, że jakoś sobie daje radę. Dowiedziałem się tu również, że inny przyjaciel mój, Jurek Kaszkiewicz, pożyczyl żonie trochę pieniędzy na opłacenie adwokata, który bardzo solidnie zdarł, bo o ile sobie przypominam, to żona mu zapłaciła pełne 11 tysięcy złotych, co na ówczesne kursy było ogromną sumą. Przy pierwszej wizy-

---

<sup>x)</sup> Kursy Praktycznej Wiedzy Ekonomiczno-Handlowej Stowarzyszenia Wychowawców BGH w Warszawie 1948-1953



cie żona powiedziała mi, że się wystarza o widzenia ze mną bez krat, ale jak teraz przyszła to wprowadzono ją do tego pomieszczenia, gdzie odbywały się widzenia z kratami, więc zaprotestowała. Miała z tym pewne trudności, ale zażądała, aby ci dyżurni porozumieli się telefonicznie z naczelnikiem, ponieważ on musi o tym wiedzieć. Tak też się stało i wówczas uzyskała tę wizytę bez kraty. Takie wizyty odbywały się już do końca mojego pobytu w więzieniu.

Jedną z najprzekrzejszych rzeczy na oddziale karnym były rewizje. Odbywały się one trochę inaczej niż na oddziale śledczym, bo tam rewidowano nas wtedy, gdyśmy chodzili do ławni. Tu również raz na tydzień prowadzono nas do ławni, ale wtedy nie rewidowano celi, lub robiono to bardzo rzadko. Natomiast tutaj przy rewizji kazano nam wychodzić na korytarz, a kilku oddziałowych przeprowadzało ją w celi, a myśmy stali na korytarzu w szeregu i każdy z nas był rewidowany dorywczo, rozbierany do naga. Pray tym była zwykle śmieszna historia. Mianowicie ze mną w celi siedział chłopak, którego nazwiska już nie pamiętam, mówiliem do niego "Zbysio". Był on bardzo sympatyczny. Nie miał on nogi a miał do pół uda protezę i jakoś chodził. Znamienne było to, że do tej protezy chował on różne zakazane rzeczy, jak karty, szachy przez nas z chleba robione i różne takie przedmioty, których nie wolno było trzymać i które nam odbierano. On to wszystko sobie ładnie chował do protezy, no i oczywiście nie była ona rewidowana, ponieważ protestował, gdy mu ją kazano zdejmować. Mówił, że mu lekarz zabronił zdejmowania i powiedział, że to może być zrobione tylko w jego obecności. Oni wtedy się jakoś peszyli i nie kazali mu tej protezy odpinać. Natomiast on ją przecież stale na noc zdejmował, dlatego że spać w niej było mu niewygodnie, zresztą narzekałby na to sąsiad, bo proteza by mu również przeszkadzała. I tak do końca mego pobytu w tej celi, a była to moja ostatnia cela, bo z niej wyszedłem już na wolność,

Zbysio pozostał. Nie pamiętam już jaki on miał wyrok. W każdym razie po wyjściu z więzienia byłem u jego rodziców, opowiadałem o nim wszystko, jak się czuje i jak tam żyje w tej celi. Bardzo mi dziękowali. Była to taka rodzina robotnicza, mieszkająca na Grochowie.

Dużą zaletą oddziału karnego było również otrzymywanie książek i to że raz na dzień, na krótki czas, dawano nam gazetę do czytania; oddziałowy, dając nam ją, kazał szybko przeczytać, a po pewnym czasie odbierał i dawał do następnej celi. Z tych gazetami była taka dość śmieszna historia, bo akurat wówczas był aresztowany taki wielki szef komunistycznej organizacji, taki Jacques Duclos. No i naturalnie nasze gazety się o tym rozpisywały, jaki to nieszczęśliwy ten Jacques Duclos, bo tak go prześladują, ale on wkrótce wyjdzie, bo broni go 14 adwokatów, jedzenie ma przynoszą z miasta, ponieważ przecież on nie mógłby być na tym wikcie więziennym. Siedzi w willi osobno i tak dalej. No więc gdy któregoś dnia odbierając nam gazety oddziałowy zapytał mnie, bo byłem wówczas tym celowym: "no, cóście tam przeczytali?" Powiedziałem "ano przeczytaliśmy właśnie jak to Francuzi mordują tego biedaka Jacques'a Duclos, ma celę tylko 14 metrów, nie to co my, no i ma przynoszone obiady, bo ma przecież same obiady w więzieniu, a my tu takie dobre". On machnął ręką, uśmiechnął się i powiedział "nie gadajcie, nie gadajcie". Wyśmiali się trochę z tego tytułu pośmieli, więc było to takie rozweselenie naszego pobytu w celi. Książek mogliśmy dostawać pod dostatkiem. Nie bardzo się je wybierało, brało się pierwsze lepsze. Jakoś ja się wziąłem za książki Aleksandra Tołstoja, za jego powieści. Zresztą, z przyjemnością to czytałem; oczywiście były to tłumaczenia na język polski. No ale przede wszystkim, co już było do przewidzenia, musiałem stale opowiadać. Więc znowu tutaj opowiedziałem "Trylogię" i kiedy przerywałem, to znów w innej celi musiałem zaczynać od początku.



W każdym razie w czasie swojego pobytu w więzieniu opowiadałem "Trylogię" 7 razy od początku. Każde opowiadanie trwało około miesiąca. Ale nie oszczędziłem opowiadać "Trylogię", ponieważ niektórzy już ją znali, więc prosili mnie, żeby opowiadał filmy, albo książki, które tutaj można było dostać więc opowiadałem im je. To moje opowiadanie sprawiało im widocznie dużą przyjemność, ponieważ mi dziękowali i byli za to wdzięczni. Nieraz to już było dla mnie bardzo męczące, dlatego że kiedy człowiek wreszcie ułożył się do łóżka i chciał sobie położyć i pomyśleć (kładliśmy się już o 9-ej, ale od razu człowiek nie zasypiał, a myślał o różnych swoich sprawach) nie chciało się gadać, ale wówczas zaczynały się prośby "Panie Kownacki niech pan opowie coś, niech pan opowie". No ale jeżeli coś już zacząłem opowiadać, a szczególnie "Trylogię", to tym bardziej mi nie dawali spokoju i wieczorem krzyczeli "niech pan opowiada dalej, niech pan opowiada dalej". Było to czasem męczące, ale na ogół opowiadałem z przyjemnością.

Do przyjemnych chwil pobytu w więzieniu można było również zaliczyć pisanie listów. Odbywało się to w ten sposób, że zabierano nas do osobnych celi, tam rozdawano papier, koperty i pozwalano pisać te listy, nadzorował to jeden z korytarzowych. Jednym z tych korytarzowych był bardzo sympatyczny i miły ksiądz. I kiedyś po pisaniu tych listów on mnie jeszcze dłużej zatrzymał i powiedział, że bym udał się dalej, że piszę "bo chciałem jeszcze z panem porozmawiać". Chodziło mu o to, że chciał się ze mną wprost poradzić. Nie miał z kim rozmawiać i poradzić się, i powiedział "pan mi jakoś trafił do przekonania, wydaje mi się pan uczciwym, solidnym i porządnym człowiekiem, więc chciałem pana o coś zapytać. Chodzi o to że Kuria robi ogromne starania o zwolnienie mnie z więzienia, a ja nie wiem co mam robić. Zgodzić się na to i prosić Kurię, żeby robiła dalsze starania, czy też z tego zrezygnować i pozostać w wię-

zieniu, bo przecież chodzi o to, że służyć Bogu i bliźniemu mogą wszędzie, a tutaj mogą się ludzie więcej przydać, tym niewinnie przewaźnie cierpiącym, niż na wolności". Odpowiedziałem mu na to "Trzeba, proszę księdza, wszystko zrobić, aby się stąd wydostać bo przecież sam ksiądz powiada, że ludziom można służyć i tu i tam. Lepiej służyć tam, ponieważ wtedy ksiądz będzie silniejszy i praca jego będzie dawała więcej pożytku niż tutaj, bo tutaj ludzie myślą ostatecznie tylko o tym, jak się jak najprędzej z tego więzienia wydostać, a nie myślą o sobie i swoich przetyciach poza więzieniem". "Może i pan na rację. wobec tego ja nic nie będę robił i zdam się na wolę Bożą. Jak mnie zwolnią, to naturalnie wyjdę, a jeżeli nie - to będę jeszcze tu ludziom służył i jakoś tam wytrzymaam". Powiedział mi jeszcze ten ksiądz, że bardzo by chciał się ze mną zobaczyć po wyjściu z więzienia i wziął mój adres. Dał mi również swój, ponieważ powiedział, że po wyjściu będzie mieszkał w takim domu księży na ulicy Nowogrodzkiej, naprzeciwko Banku Rolnego, w domu dawnego kina "Roma". Po pewnym czasie, po wyjściu z więzienia, kiedy już jako tako urządziłem się w domu, odwiedził mnie jeden z byłych kolegów - więźniów, który mi powiedział, że ksiądz już dosyć dawno wyszedł. Poleciałem więc od razu do tego domu "Romy", dowiedziałem się, że rzeczywiście tam mieszka, ale nie zastałem go. Byłem kilkakrotnie, ale nigdy jakoś nie miałem szczęścia księdza w domu zastać i zobaczyć się z nim. Bardzo tego żałowałem, a później dowiedziałem się, że on się stamtąd wyprowadził no i w ten sposób nie mogłem się z tym porządnym, uczciwym pod każdym względem i sympatycznym człowiekiem zobaczyć.

Któregoś dnia wychodząc na spacer, mijając jakąś celę, zupełnie odruchowo zakręciłem palcem taką kłópkę od wizjerki. Zrobiłem to zupełnie niechcąc, ale zauważył to oddziałowy i zapytał o nazwisko.



Był to jakiś oddziałowy, który mnie jeszcze nie znał. Powiedział, że stanę do raportu karnego. No i rzeczywiście, na trzeci dzień po tym wypadku zostałem wezwany do naczelnika więzienia. Zaszedłem się, a on zapytał mnie dlaczego stanę do raportu. Powiedziałem mu, że jest mi przykro, bo zrobiłem to zupełnie odruchowo i nie chciałem wcale zajrzeć do tej celi. Nie wiedziałem nawet o tym, co się później okazało, że w tej celi nie było nikogo, że była ona zupełnie pusta. Nie przyjął tego do wiadomości i powiedział mi, że będę ukarany pozbawieniem "wypisek". Pozbawienie "wypisek" było oczywiście karą bardzo przykrą, ale zaliczało się ją do kar stosunkowo łagodniejszych, bo znaczenie przykrzejszą karą było na przykład pozbawienie widzeń z rodziną, względnie prawa do korespondencji itp., nie licząc już takiej przyjemności jak różnego rodzaju karcery. To też nie bardzo przejąłem się tą sprawą. No i wtedy, gdy nadeszły pierwsze "wypiski", rzeczywiście mnie ich nie doręczono. No ale kole-dzy, siedzący ze mną razem, od razu się ze mną zaczęli dzielić. Oczywiście nie chciałem się na to zgodzić, bo niby z jakiej racji miałem ich kraywdzić. Natomiast zaraz w jakiejś pół godziny, czy go-dzinę, po rozdaniu tych "wypisek" spotkała mnie wielka i bardzo przy-jemna niespodzianka. Mianowicie drzwi się otworzyły, stanął w nich dyżurny oddziałowy trzymając w garściach pełno różnych zapasów wywołał mnie i powiedział: "to dla was wszystkie tutaj Kownacki dają z innych cel". No byłem tym oczywiście bardzo wzruszony i zrobiło mi to wielką przyjemność, że jednak wśród tych współwięźniów jestem taki popularny. Dostałem takie ilości wszelkiego rodzaju zapasów, że przekraczały one znacznie tę moją normalną "wypiskę". No więc z kolei oczywiście dzieliłem się z moimi kolegami w celi.

W okresie mojego pobytu na oddziale karnym adwokat stosunkowo rzadko mnie odwiedzał. Przychodził tylko, żeby porozmawiać ze mną i przekazać mi wiadomości. Gdy był pierwszy raz, jeszcze na odzia-

le karnym, to wówczas wypytywał mnie trochę o sprawę i powiedział, że potrzeba mu jeszcze trochę danych do uzupełnienia wniesionej już przez niego skargi kasacyjnej do Sądu Wojakowego. Pogadaliśmy sobie jeszcze, a kiedy odchodził wtedy jak zwykle oddał mi jakieś smakołyki od żony. Adwokat przypuszczał, że sprawa apelacyjna odbędzie się gdzieś na początku roku 53, w styczniu czy lutym, więc musiałem jeszcze do niej kilka miesięcy poczekać w tych niezbyt przyjemnych warunkach. Gdzieś na jesieni miałem takie dość dziwne zdarzenie. Któregoś dnia wywołał mnie oddziałowy i zaprowadził na I piętro do takiej celi oficerów śledczych. No byłem tym bardzo zaniepokojony, ponieważ nie wiedziałem, o co tu chodzi. Gdy wszedłem, zobaczyłem siedzącego przy biurku jakiegoś oficera, na ora, więc pięknie mu się zameldowałem, a on wstał, uprzejmie przywitał się ze mną, i poprosił abym siadł na stołku, nie jak zwykle w śledztwach przy urzędach, ale tuż przy nim, przy biurku. Zapytał się, jak się czuję i rozmawiał takim bardzo uprzejmym tonem, że byłem coraz bardziej niespokojny o to, o co mu właściwie chodzi. Bardziej jeszcze się zaniepokoiłem kiedy spytał mnie, czy ja byłem w AK. Odpowiedziałem mu twierdząco, że to przecież było wiadomo i nie potrzebowałem zresztą tego ukrywać. Wówczas zapytał mnie, czy ja miałem kiedyś jakieś sprawy w gazowni. Powiedziałem, że owszem, byłem kilka razy na ulicy Kredytowej, bo zawsze były jakieś kłopoty z gazem w okresie okupacji i musiałem się starać, czy to o powiększenie kontyngentu czy to o wyjaśnienie niedokładności z rachunkami. Jemu jednak nie o to chodziło. Powiedział, czy nie wiem, że wtedy właśnie w Zarządzie Gazowni na ulicy Kredytowej był magazyn broni, czy ja o tym słyszałem, czy coś wiem, a może ten magazyn broni należał do naszego oddziału. Więc powiedziałem, że nie, tam magazynu nie mieliśmy, a czy tam był w ogóle magazyn, o tym nic nie wiedziałem, więc tym bardziej nie mogę wiedzieć, do kogo on należał. Chodziło



o to, że on pisze coś w rodzaju historii Armii Krajowej i brakowało mu jakichś danych o tym magazynie, który był w gazowni a oncisł te dane uzupełnić. No więc bardzo mi podziękował, pożegnał się ze mną, przeprosił nawet za kłopot jaki mi sprawił, otworzył drzwi, poprosił oddziałowego i zostałem znowu odprowadzony do celi. No więc całkowicie się uspokoiłem. Nie wierzyłem oczywiście, że on pisze jakąś historię Armii Krajowej, czy coś w tym rodzaju i nie wiem, o co mu właściwie chodziło, ale wiedziałem, że już z tego tytułu żadnych przykrych konsekwencji nie będę miał.

Tymczasem dowiedziałem się, że wszyscy moi koledzy zostali z tego więzienia WARSZ wywiezieni. A mianowicie, że Maciejewski i Zandberg zostali wywiezieni na "Gęsiówkę", natomiast wszyscy pozostali - do karnego więzienia w Sztumie. Dziwne było to, że wywieziono ich jeszcze przed rozprawą apelacyjną. No ale tak się stało i na to nic nie można było poradzić. Gdy później przyszedł mój adwokat, pierwsza rzecz od razu go zapytałem, czy on wie, że wszyscy zostali wywiezieni. Twierdził że tak. Dlaczego na "Gęsiówkę" a częściowo do innego więzienia to naturalnie nie wiedział. Co do Zandberga i Maciejewskiego to przypuszczał, że ponieważ mieli najłagodniejsze wyroki to tak trochę pobiją i zapewne wkrótce już zostaną zwolnieni, bo tutaj się wszyscy spodziewają amnestii. Wówczas powiedziałem, że to dla mnie jest dobre, bo skoro tamci pozostali zostali wywiezieni do więzienia karnego to znaczy, że będą jeszcze siedzieli, a ja zostałem tutaj, to znaczy zaraz po wyroku apelacyjnym zostaną zwolnieni. Oczywiście tamci z "Gęsiówki" też zostaną, szybko zwolnieni. "Jak to, skąd pan to może wiedzieć?". "Jasna, przecież wiadoma rzecz że wyroki, panie mecenasie, kreują nie sądy, a UB, więc UB już postanowiło, że tamci zostaną zwolnieni jak tylko wyjdzie amnestia; ja dostanę jakiś zaniejšzony wyrok i też wyjdę, natomiast tamci będą siedzieli dłużej". On się trochę oburzył i powiada: "nie wol-

no "tak mówię, sądy są sprawiedliwe" - i tak dalej, "No dobrze, dobrze" - powiedziałam - "pan wie swoje, a ja wiem swoje i pan się przekona, że tak będzie". No i rzeczywiście, jak się później okazało, tak się stało. To znaczy, że ja i tanci dwaj zostaliśmy zwolnieni. Oni nawet nie apelowali, bo już ich wyroki się kończyły w najbliższych dniach, a ja byłem zwolniony z apelacji, natomiast tanci siedzieli jeszcze znacznie dłużej.

Pozostawałem więc dalej w więzieniu na tym oddziale karnym i czekałem na apelację. Czulem się wówczas fizycznie zupełnie możliwie. Byłem już teraz spokojny, że mi nic specjalnego nie grozi i przekonany zupełnie, że po wyroku apelacyjnym na pewno zaraz wyjdę. Jeżeli chodzi o moje zdrowie, to wzrok mi się trochę poprawił, ponieważ dawano mi tran, jak również żona dostarczyła mi duże ilości leków, które regularnie brałem, tak że z powodu tego względu czulem się już znacznie lepiej. W czasie mojego pobytu w więzieniu na oddziale karnym była uchwalona ta pierwsza Konstytucja Rzeczypospolitej Ludowej. Myśmy to odczuli w ten sposób, że słyszeliśmy salwy artyleryjskie, widzieliśmy sztuczne ognie, a co najważniejsze - otrzymałiliśmy znakomity obiad i kolację. W ten sposób uchwalenie tej konstytucji zostało uczczono. Poza tym wszystko u nas się absolutnie nie zmieniło. Gdzieś koło Bożego Narodzenia zjawił się adwokat i zakomunikował mi, że sprawa apelacyjna odbędzie się 24 stycznia 53 roku i że my nie będziemy wzywani na rozprawę, że w ogóle oskarżeni w Najwyższym Sądzie Wojskowym nie stają, a tylko ich adwokaci. Natychmiast po wyroku zawiadomi mnie o nim i o tym, co dalej ze mną będzie, bo tylko miesiąc z kawałkiem zostawało do wyroku, liczyłem więc, że może jakoś nareszcie skończy się pobyt w tym "miłym" więzieniu. Adwokat nie mógł oczywiście przewidzieć, czy zdąży zaraz po wyroku przyjść do mnie, to znaczy 24 stycznia, ale w każdym razie obiecał mi, że na pewno będzie 25 rano. Więc



siedziałem sobie i czekałem. Byłem jednak zdenerwowany i nie wiedziałem, jak to się skończy, choć byłem jak najlepszej myśli. Tymczasem w dni widzeń żona mnie odwiedzała i pocieszała, twierdząc, że wszystko na pewno dobrze się skończy, ponieważ rozmawiała z całą szeregami adwokatów i różnych prawników, a także z ludźmi, którzy się na tym znali. No więc z niecierpliwością czekałem na tego 25 stycznia. No i rzeczywiście, 25 z samego rana oddziałowy wywołał mnie i powiedział "Kownacki, do adwokata". Poszedłem więc za nim do tego pomieszczenia we frontowym budynku, gdzie była kancelaria więzienna i wartownia. Wszedłem do tego pokoju i zobaczyłem mojego adwokata siedzącego z innymi jeszcze adwokatami, którzy rozmawiali z jakimś więźniem. Adwokat zobaczył mnie, pokazał mi rękę i powiedział "niech pan siada, zaraz panu wszystko powiem, jest wszystko w porządku, za parę dni pan wychodzi". Chciałem zapytać o moich kolegów, ale powiedział mi, że zaraz będziemy rozstrzeliwani. "Niech pan czeka, inni jeszcze pozostają, będą jeszcze siedzieć". No muszę się przyznać, że tutaj w tym momencie ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie, którego może nigdy nie przeżywałem. Tak jakby mnie coś ścisnęło za gardło, chciało się jakby śmiać, jakby płakać, nawet i byłem zadowolony, że adwokat od razu nie mógł ze mną rozmawiać, że mogłem posiedzieć sam i pomyśleć o tym, że już za parę dni czeka mnie wyjście na wolność. Martwiłem się tylko o to, że moi koledzy pozostaną jeszcze w więzieniach. Adwokat podszedł do mnie, przywitał się i powiedział: "no proszę pana, wszystko bardzo dobrze się skończyło". Pierwszą rzecz zapytałem go "no a jak koledzy?" "Koledzy dostali różne wyroki i wszyscy, oprócz Maciejewskiego i Zandberga będą jeszcze dalej siedzieli w więzieniu w Sztumie. A pan, proszę pana, przypuszczam że za jakieś dwa do trzech tygodni na pewno wyjdzie, ponieważ sprawa musi jeszcze potrwać. No wyrok musi być opracowany,

przesłany tutaj do więzienia z nakazem pańskiego zwolnienia". Jak już wspominałem, w pierwszej instancji skazany zostałem na 5 lat więzienia za sabotaż gospodarczy. Tego rodzaju wyroki nie podlegały amnestii. Natomiast Najwyższy Sąd Wojskowy wyrok w stosunku do mnie zmienił, zasądzając mnie na trzy lata z 386 artykułu, to jest za przestępstwo urzędnicze, gospodarcze. Ten artykuł podlegał amnestii. Siedziałem już z górą dwa lata, więc ponieważ objęty zostałem amnestią, nie dosiedzę do końca trzech lat, a mam być zwolniony za jakieś dwa tygodnie. Czekalem więc z niecierpliwością tej szczęśliwej chwili, a tymczasem siedziałem spokojnie, opowiadając w celi filmy i książki.

Tymczasem 31 stycznia gdzieś koło obiadu, otworzyły się drzwi i oddziałowy powiedział: "No Kownacki, zbierajcie się, wychodzicie na wolność, tylko szykujcie się jak najprędzej". No naturalnie waruszyłem się tą wiadomością i ucieszyłem nią ogromnie, i zacząłem się szykować. Przede wszystkim musiałam poddać wszystkie rzeczy, które mi były tu dane, więc w pierwszym rzędzie książki i przygotować się w ogóle do wyjścia. Zrobił się wielki rwetes, bo całe towarzystwo rzuciło się do mnie. Jeden mnie prosił, aby z nim zamienić się na buty, drugi żeby koniecznie dać mu tuzę i sponie. Oczywiście chętnie się zamieniłem, bo wiedziałem, że zaraz będę to musiał zdać, więc wszystko jedno co i w jakim stanie tam oddam, byłem tylko oddebrałem więc się. Wzrostem wszyscy mnie zaczęli prosić, żeby odwiedził ich rodziny, oczywiście tych mieszkających w Warszawie i żeby powiedział, co z nimi się dzieje, jak oni się czują itp. Zgodziłem się oczywiście chętnie. Zanotowałem sobie nie mogłem, bo nie miałem czasu, więc te wszystkie adresy i wszystko o co mnie proszono musiałem sobie dokładnie zapamiętać. Oddziałowy co pewien czas zaglądał i stale mnie pospieszał, żeby się szykował jak najprędzej, ponieważ jak się zaważkonie, że tak powiem, to kancelaria przestanie



urzędować no i będę musiał zostać do jutra. No więc oczywiście szybko się przyzwykowałem, starałem się zapamiętać to wszystko, o co mnie proszono i wyszedłem. Najpierw oddziałowy zaprowadził mnie do magazynu mundurowego, gdzie musiałem zdać wszystkie rzeczy więzienne, więc absolutnie wszystko, co było na mnie i otrzymałem wówczas swoje rzeczy. Otrzymałem cały depozyt: pióro, zegarek itd., oraz pieniądze. Następnie dał mi moje ubranie. No, wszystko było w okropnym stanie, bo brudne, wilgotne, ponieważ leżało w worku w wilgoci. Niechętna była strasznie brudna, no ale co miałem robić, musiałem się w to wszystko ubrać, jakkolwiek nie było to przyjemne. Nakręciłem swój srebrny zegarek, który był zupełnie czarny, i ogromnie się ucieszyłem, że on chodzi, bo był to wspaniały zegarek szwajcarski. No i całe szczęście, że przeleżawszy tutaj tyle czasu w wilgoci jakoś się nie zepsuł i chodził. Zaprowadzono mnie do kancelarii więziennej. Tam musiałem pokwitować otrzymane przeze mnie pieniądze, przeliczone zresztą, bo w międzyczasie właśnie nastąpiła zamiana pieniędzy, dokonana naturalnie dla nas niekorzystnie. No ale trudno. Niewiele tego stosunkowo było, ale to już nie odgrywało dla mnie większej roli. Następnie otrzymałem dokument zwolnienia i zakomunikowano mi przy tym, że zaraz po przyjeździe do domu, to znaczy nie dłużej jak po upływie tygodnia, muszę się zameldować w komisariacie milicji. No i z tym wszystkim uszczęśliwiony już zabierałem się do wyjścia, gdy posłyszałem, że jest jakaś awantura w kancelarii, ponieważ jakaś kobieta, tak samo zwalniana jak ja, mówiła, że ona musi wracać do Wławy, skąd pochodzi i nie ma ani grosza pieniędzy, za co więc kupi sobie bilet. Powiedziano jej, że to ich nie nie obchodzi, więc ona płakała, żądała jakiegoś ekwiwalentu, czy pieniędzy na podróż. Pieniądzy jej nie dano, natomiast powiedziano, że dostanie bilet przejazdowy. Ponieważ ona się dalej upominała, że przecież

nie za grosza, a będzie jechała, więc dałem jej 20 złotych; podziękowała mi pięknie a ja się ładnie jej ukłoniłem i szczęśliwy i zadowolony wyszedłem, odprowadzony przez oddziałowego do samej bramy. Tam mnie przepuszczono, ukłoniłem się oddziałowemu, poklepałem mu rękę, a on powiada: "No daj Boże, że się z wami tutaj już nie spotkamy". Ja mówię "na pewno się nie spotkamy". I z tym sobie poszedłem. Muszę się przyznać, że wspaniale się wtedy czułem. Czułem się zupełnie wolny, swobodny, że mogę sobie robić, co mi się podoba i jechać, gdzie mi się podoba.

### Trudna wolność

Coś mi się zmierzchało przede wszystkim do domu. Zastawiałem się, jak mam jechać, więc wyszedłem na ulicę Inżynierską, tam złapałem pierwszą napotkaną taksówkę i pojechałem do domu. Taksówkarz mi powiedział, że on nie ma licznika, no ale jakoś mnie zadowolę, ja też się pogodzę i wszystko będzie dobrze, do wójta z tym nie pójdziemy. Jednocześnie mu powiedziałem, że musiałem się z kimś podzielić swoją radością, że właśnie wyszedłem z więzienia. Powiedział, że on też siedział, zresztą niedługo, bo parę miesięcy, i w ogóle nie wie za co. Tu od razu spotkałem taką bratnią duszę i rozmawiając z nią na te tematy więzienne szczęśliwie dojechałem na ulicę Ługa. Miałem przy sobie klucze, więc dostanie się do mieszkania nie przedstawiało dla mnie żadnych trudności. Wyobrażałem sobie, jaka to będzie radość, ile to będzie krzyku. No ale weszliśmy do mieszkania absolutnie nikogo nie zastałem. Mieszkanie było puste. Nie było ani żony, ani jej siostry, Juli. Obazedłem całe mieszkanie i obejrzałem je. Zastoczonny byłem, że nie było tych najlepszych naczyni, najbliższych, mebli a przede wszystkim tej ogromnej francuskiej szafy, następnie szafek, krzesel ani żadnego z lepszych, cenniejszych mebli. Pomyślałem sobie wówczas, że żona mówi-



ła na widzeniach, że dobrze jej się powodzi, że dają sobie radę, ale widzę, że prawdopodobnie tak nie było, bo musiała sprzedawać meble. Przede wszystkim byłam szalenie głodny no i brudny, więc marzyłem tylko o tym, żeby cokolwiek zjeść i wykąpać się. Znalazłem jajka, masło, więc zrobiłem sobie jajecznicę, i w trakcie, kiedy jadłem tę jajecznicę, posłyszalem, że ktoś z klucza otwiera drzwi. Wskoczyłem więc do przedpokoju, myślałem, że to żona, ale okazało się, że to sześcioletka Julia, która posiedziała mi, że żona za chwilę przyjdzie, bo musiała po drodze zrobić jakieś zakupy, bo właśnie obydwoje były głodni na obiedzie. Za chwilę zjawiła się żona. Była oczywiście ogromna rada, ponieważ żona nie spodziewała się mojego przyjscia w tym czasie. Była tak sama jak ja, poinformowana przez adwokata, że to będzie trwało około dwóch czy trzech tygodni, więc nie spodziewała się, male jeszcze zupełnie. Dowiedziała, że właśnie szykowałam się do odwiedzenia mnie w więzieniu. Dowiedziałem się jednocześnie, że mebli nie sprzedają, a tylko bojąc się, żeby nie były skonfiskowane, porozdawala je naszym znajomym i przyjacielom. Bala się, że obejmie mnie taki wyrok, że będ. miał wszystko skonfiskowane. Od razu dowiedziałem się, że żona, bojąc się, dosiedlenia, wydziała zały pokój służbowy dwóm studentkom, a w pokoju stołowym też jakaś lokatorka sypiała, więc miałem trochę kłopotu, bo nie chciała się wyprowadzić. Latata do władz i skartyla się, przyszedł przedstawiciel tego biura, w którym ona pracowała i zarzucał mi, że my wyrzucamy biedną dziewczynę. Powiedziałem, że nikt jej nie wyrzuca, ale po prostu nie ma gdzie już spać, więc zaproponało się jej, aby spała w kuchni, . czego powstała cała awantura. No, ale jakoś to się szczęśliwie w końcu zakończyło i wszystko się uspokoiło. Po pewnym też czasie wyprowadziła się, i wyprowadziły się również te dwie studentki z pokoju służbowego. Postanowiłem teraz przede wszystkim posiedzieć spokojnie w domu, odpocząć, a potem

zabrał się do szukania posady. Na drugi, czy trzeci dzień po powrocie do domu poszedłem do komisariatu milicji, żeby zgodnie z poleceniem, wydany mi w więzieniu - zaregistrovať się. Musiałem tam dość długo czekać i czekając słyszałem jakąś odprawę, która się odbywała w sąsiednim pokoju, na której zwierzchnik, nie wiem co za jeden, wydawał różne dyspozycje milicjantom, a między innymi czytał taką listę osób, które mają być nadzorowane. No i byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem swoje nazwisko, że mają obserwować mnie, co ja będę robić i tak dalej. No, myślałem sobie, niech sobie obserwują, przecież nic takiego zarządzonego nie będę robić, a zacznę tylko szukać sobie posady. No i rzeczywiście nigdy nie zauważyłem tego, żeby ktoś za mną chodził, czy pilnował mnie w jakikolwiek sposób. Rozmówiłem się z jakimś sierżantem, który mi powiedział, że mam siedzieć spokojnie, niczym się specjalnym nie zajmować, a przede wszystkim naszą zacząć pracować. Powiedziałem, że bardzo chętnie, właśnie będę musiał szukać pracy i będę wdzięczny, o ile mi w tym pomoże, bo łatwo powiedzieć "szukać pracy", ale co mam robić.

Po kilku dniach wyruszyłem na miasto, pod adresy, podane przez kolegów z ostatniej celi. Przede wszystkim chodziło mi o to, żeby odwiedzić i pocieszyć rodziców tego "Zbysia", mojego współtowarzysza z celi, tego miłego, sympatycznego chłopca bez nogi. Odwiedziłem tak samo rodziny innych, którzy dali mi swoje adresy i wszędzie opowiedziałem co i jak, kiedy się spodziewają wyjścia. Wszystko co tylko wiedziałem - powtórzyłem, żeby pocieszyć tych biednych ludzi. Wszyscy ci moi koledzy siedzieli za jakieś sprawy polityczne, więc działali w organizacjach, czy za jakieś wystąpienia przeciwko rosyjskim klubom sportowym, bo wszędzie takie historie w Warszawie się zdarzały. Wszędzie na stadionach słyszało się na meczach głosy "w mord, go, bij za katyń, wykończ go jak nagprzódę". No to wtedy



takich siedzących i krzyżujących zabierali tajalacy i musieli oni to w więzieniach opokutować. Do tego rodzaju przestępców należeli właśnie ci moi koledzy z celi.

W domu ciągle odwiedzali mnie znajomi i przyjaciele, którzy przychodzili dowiedzieć się, jak ja się czuję i żebym opowiedział, co przeżyłem i jak przeżywałem ten pobyt w więzieniu. Przede wszystkim musiałem się zająć ściąganiem do domu mebli i zabrałem się do szukania posady. Władzy innymi odwiedził mnie Jurek Kuszkiewicz z żoną, ponieważ dowiedział się, że zostałem zwolniony. Specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć, przyjechali oni z Łodzi. Z entuzjazmem również witano mnie w moim dawnym biurze, to jest w tej PPRK5. O tym jednak, żeby dostać taką posadę, nie mogło być mowy, bo od razu szczerze powiedział mi dyrektor, że on przecież jako na szerszych chęci nie może mnie obecnie zaangażować, gdyż mógłby z tego tytułu mieć jakieś przykrości. Nie zrozumiałem go oczywiście i nie miałem do niego żadnej pretensji. Biuro wypłaciło mi jakieś odszkodowanie, czy zaległe pobory, nie pamiętam. Niewielka to była suma i nie mając żadnych innych dochodów musiałem się zabrać do szukania jakiejś posady. Nie było to jednak takie proste. Byłem w różnych biurach rolniczych, chodziłem do różnych kolegów. Byłem w Ministerstwie Rolnictwa, no i wszędzie mówili, że napotykali na ogromne trudności w zaangażowaniu takiego faceta, który siedział w więzieniu. Byłem nawet u mojego przyjaciela Mariana Dutza, który był wówczas dyrektorem instytutu rolniczego, tak zwanego PINGO'na. On mi powiedział, że chętnie mnie przyjął do siebie do biura, ale sam muszę się wystarać o to, żeby mnie przyjął przede wszystkim personalnik. On dopiero, jako dyrektor, mnie zaakceptuje, ale przedstawić mnie musi jako kandydata - personalnik. Personalnik jednak mi kategorycznie odmówił, bo powiedział, że on do instytucji naukowej nie może przyjąć specjalisty, ale nie będącego naukowcem. Były

to naturalnie wszystkie bujdy, dlatego że miałem dostateczne kwalifikacje, aby w tego rodzaju instytucji pracować. Wiedziałem, że wprost odmawia mi tylko dlatego, że siedziałem. Rozumiałem tych panów do pewnego stopnia, bo przecież zawsze było łatwiej odmówić niż przyjąć, bo a nuż by się coś takiego stało z mojej, czy nie mojej winy, zawsze byłoby w stosunku do takiego jegomościa zarzut, że jak mógł przyjąć takiego, który już siedział w więzieniu. Sytuacja rzeczywiście była bardzo trudna, no i w końcu zaczęłam się bardzo martwić, czy znajdę jakąś posadę, a nie mieliśmy już żadnych zasobów finansowych i nie mieliśmy właściwie z czego żyć. Miałem na przykład taką historię, że przez mojego kolegę jeszcze z 6 pułku Stefana Kasperzkiego, dostałem protekcję do takiego poważnego faceta, partyjnego, który powiedział, że bezwzględnie mnie przyjmą. Chodziło tym razem o firmę "Geoprojekt". No i skierował mnie do personalnika. Personalnik potwierdził, że ten mnie skierował i kazał się zgłosić za tydzień. No tygodniu go nie zastałem. I tak się powtarzało kilkakrotnie. W końcu zwróciłem się do jednej kancelistki i powiedziałem: "proszę pani, niech pani mi powie" - rozmowa była naturalnie prowadzona w cztery oczy - "czy ja mogę tu jeszcze przychodzić, czy jest jakaś szansa, czy jest to bezcelowe?" Ona, obejmawszy się, czy nas nikt nie słucha, powiedziała: "ja radzę panu więcej nie chodzić, bo ja wiem, że pana tutaj nie zaangażują. Co i jak - nie mogę pana powiedzieć". Więc zwróciłem się znowu do tego jegomościa, który mnie tam protegował, a on mnie na to wprost powiedział: "nie możemy pana zaangażować, gdyż pan był pułkownikiem sanacyjnym, a tego w ankiecie pan nie podaje, to znaczy fałszuje pan ankietę". Wytrzeszczyłem oczy i powiedziałem: "Nie, proszę pana, nigdy w ogóle nie byłem w Legionach i nie byłem senatorem, nigdy nie byłem pułkownikiem, więc to jest fałsz, nie wiadomo przez kogo napisany". "No", to powiada, "w tych warunkach pan



posady nie znajdzie, a przerobic ankietę może pój tylko za pośrednictwem partii". Oczywiście do partii nie miałem zamiaru chodzić. Drugi taki wypadek był w majątkach ziemskich, należących do Ministerstwa Komunikacji. Jak się zgłosiłem - ogromnie się ucieszyli. Rozmawiałem tam z jakimś vice-dyrektorem i też powiedział: "Panie, ja tylko marzyłem o takim pracowniku jak pan, właśnie taki inspektor jest nam szalenie potrzebny". "No" - powiedziałem - "panie dyrektorze, ale muszę się przyznać, że ja wyszedłem z więzienia". "O, to", powiada, "to gorsza sprawa. Musi pan rozmawiać z dyrektorem naczelnym". Poszedłem do tego dyrektora i powiedziałam mu od razu, tak i tak, że jestem tutaj potrzebny, bo rozmawiałem z vice-dyrektorem, i jest dla mnie tego rodzaju etat, ale mam taką plaszę na sobie, że siedziałem w więzieniu, więc skierował mnie tutaj do pana dyrektora. "O" - powiada ten dyrektor - "to nie jest żadna przeszkoda, jest pan przecież pełnoprawnym obywatelem, pan mógłby u nas pracować. Tylko to jest nieporozumienie, my mamy etat ogrodnika, a pan jest rolnikiem, więc z tego tytułu nie możemy pana przyjąć". A ja powiedziałem "panie dyrektorze, gdybyście wy mieli etat rolnika, to pan by mi wówczas powiedział, że panu jest potrzebny ogrodnik, i odwrotnie, ponieważ ja właśnie jestem rolnikiem, to pan mówi że panu jest potrzebny ogrodnik. To rozumieć, dziękuję i dowidzenia". No więc on powiada "nic podobnego, pan się myli". "Rozumieć, panie dyrektorze, dziękuję, panie dyrektorze" i wyszedłem. Później znówu była taka historia. Przekazałem przez Kurka Kuszkiewicza załatwiłem protekcję u naczelnika wydziału w departamencie kadr Ministerstwa Przemysłu Cieskiego. No więc jemu powiedziałem szczerze, co i jak, że taką właśnie historię mam w ankiecie i że z tego tytułu mnie nie bardzo chcą przyjmować do pracy, bo twierdzą, że fałszują ankietę. "No nic, proszę pana" - powiada - "dam panu posadę mimo tego pułkownika i mimo tych wszystkich historii, niech pan przyjdzie do mnie za dwa dni, tu u mnie

będzie dyrektor, bo właśnie podległe nam przedsiębiorstwo przeprowadza się z Gliwic do Warszawy i tam potrzebni są pracownicy, więc będzie pan zaangażowany. I rzeczywiście, zobaczyłem się z tym dyrektorem, wszystko bardzo pięknie, jest dla mnie kierownicze stanowisko, jakiegoś naczelnika wydziału. Ten dyrektor wiedział nawet, że ja siedziałem i powiada "proszę pana niech pan przyjdzie za dwa tygodnie, od pierwszego sierpnia (bo to był lipiec), bo my teraz się przeprowadzamy, nie mamy jeszcze urządzonego lokalu. Niech pan się po tym czasie zgłosi i zacznie pan pracować". "A powiadam, "dobrze, zgadzam się, ale mam jeszcze dwa tygodnie czasu, więc chciałbym wiedzieć, ile ja tutaj zarobię. Oni tak popatrzeli jeden na drugiego i powiadają "no, proszę pana dostanie pan 900 zł". "900 zł za kierownicze stanowisko? Przecież to jest bardzo mało. To jest za dużo, żeby umrzeć, a za mało żeby żyć. To ja się absolutnie na to nie mogę zgodzić". Na to ten protegujący mnie powiada "No, w pańskich warunkach pan nie może być wymagający". "Co" - powiadam - "w moich warunkach? Ja jestem pełnoprawnym obywatelem. Nie jestem pozbawiony praw obywatelskich, odsiedziałem swoje, mogę pracować, więc nie rozumiem takiego postawienia sprawy". No rzeczywiście zdenerwowałem się zacząłem krzyżeć, więc oni powiadają "nie ma co się denerwować, niech pan przyjdzie, zobaczymy może dostanie pan coś więcej". Ja byłem wściekły i powiadam "Tak rozumiem rzeczywiście że w mojej sytuacji nie można się nawet awanturować i nie można być wymagającym, więc zasadniczo się godzę, ale mam jeszcze czas, więc może znajdę coś lepszego, to wówczas nie zgłoszę się do panów. Natomiast jeżeli nie znajdę nic, to na pierwszego się zgłoszę i zacznę pracę za te 900 zł. No więc oni powiadają "no, ale przecież my musimy coś wiedzieć". "Naturalnie, jeżeli jakąś pracę znajdę, to panów o tym zawiadomię". No i wyszedłem stamtąd, ale pomyślałem sobie, że rzeczywiście mogę nie znaleźć nic lepszego i w ogóle nie



dostaną żadnej posady, dopóki nie zostanie poprawiona ta idiotyczna historia w mojej ankiecie personalnej. A że mi powiedziano że tylko w partii można to przerobic - poleciałem natychmiast w aleje Jerozolimskie do Komitetu Stołecznego Partii. Tutaj miałem taką dość dziwną historię. W biurze przepustek powiedziano mi: "proszę tutaj do kabiny telefonicznej zatelefonować pod taki a taki numer". Zadzwoniłem, powiedziałem o co chodzi, ale jakiś niewieści głosik odpowiedział "tak, rozumiem, ale to absolutnie nie do mnie, niech pan dzwoni pod numer taki a taki". Historia taka powtórzyła się trzy, czy cztery razy. W końcu telefon odebrał jakiś męski głos. No więc już zły i zdenerwowany powiedziałem "proszę pana, odsyłają mnie tu od jednego do drugiego numeru, macie taką a taką sprawę i nie możecie jej załatwić". On mi na to "towarzyszu, nie denerwujecie się, ale do rzeczy, nie do mnie, ale ja już wam dam taki numer telefonu, że na pewno was załatwię". Zadzwoniłem ten numer. Odezwał się kobiecy głosik, więc znowu podniosionym już tonem opowiedział całą historię a ona mi powiedziała: "towarzyszu nie denerwujecie się, przyjdźcie do mnie, dostaniecie na dole przepustkę". No więc wziąłem tę przepustkę, poszedłem gdzieś na II piętro, wszedłem do takiego gabinetu i zobaczyłem bardzo przystojną, młodą blondynkę w luksusowym gabinecie przy biurku, więc zdążyłem, zatrzymałem się i stoję w drzwiach. Ona się usmiechnęła i powiedziała "chodźcie towarzyszu, to do mnie. Siadajcie tu." No usiadłem i zacząłem znów od początku opowiadać całą swoją historię. No więc tutaj "towarzysz" rozpuścił oki i zaczął te wszystkie swoje perypetie opowiadać. Ona mi powiedziała w pewnym momencie "No tak, ale pułkownicy też u nas mają prawo do pracy". "No, to tak się mówi teoretycznie, praktycznie szukam już pracy z górą dwa miesiące i absolutnie jej znaleźć nie mogę, więc nawet - jak widać - ci fałszywi, ci rzekomi, pułkownicy nie mogą jej jednak znaleźć". "Nie towarzyszu, dostaniecie pracę. Gdzie byś-

cie chcieli pracować?" Odpowiedziałem, że w "Geoprojekcie" była już sprawa napięta, i że tylko dlatego mnie nie przyjęto, że siedziałem. "Dobrze" - powiada - "poczekajcie w poczekalni, ja za chwilę was poproszę, będę telefonować do Geoprojektu". No rzeczywiście czekałem dość długo. A końcu ona mnie poprosiła, ale powiada "Towarzyszu, absolutnie nie wiem, co się stało, ale do "Geoprojektu" nie mogę się dodzwonić, ale mam dla was coś lepszego w waszym zawodzie. Idźcie na Świerczewskiego 81, tam jest Zarząd Przemysłu Zielarskiego, zwróćcie się tam do pokoju takiego i takiego, tam będzie personalna, ona was przyjmie na posadę na możliwych wydaje mi się warunkach". Ja mówię "dobrze, idę tam zaraz, ale pani pozwoli, że wrócę tutaj, jeżeli nie załatwię tam mojej sprawy". "Naturalnie proszę bardzo" - powiada - "ale z pewnością załatwicie tam sprawę jak się należy". No coś miałem robić. Dojechałem na Leszno, czyli na Świerczewskiego. Tam na III piętrze, jak panię tam do pokoju 305-a, zapukałem i zobaczyłem młodą brunetkę, rozmawiającą w gabinecie z jakimś panem, więc się cofnąłem. Czekalem dość długo, aż wyszła ta pani z gabinetu, razem z tym panem, i spytała mnie, czy ja do niej. Powiedziałem "tak". "A w jakiej sprawie? Ach, to was przysłali z partii". Ja na to: "tak". "No to czemu pan od razu nie powiedział?" "No pani była zajęta, więc nie mogłem przeszkadzać". "No to w tej chwili was załatwię, tylko skończą sprawę z tym panem". I rzeczywiście, za chwilę wróciła, zaprowadziła mnie do jakiegoś pokoju i powiada, żeby napisać podanie. Powiedziałem "proszę bardzo, mam już ankietę gotową". Czytając ją spytała mnie "to pan był w wojsku?" a ja: "czy to jest zilitaryzowana instytucja ten przemysł zielarski?". "Nie, nie, ja tylko pytam przez ciekawość". No i od razu zostałem tutaj zaangażowany, przy czym oświadczone mi, że początkowo na trzy miesiące próbne, i przez ten czas otrzymaam uposażenie tysiąc trzysta złotych, a później po upływie tego czasu



pobory zostaną podniesione. Było to przecież o 50% więcej niż tam w Przemysle Chemicznym, więc oczywiście się zgodziłem z tym, że za kilka dni przychodzę do pracy. To znaczy miało być od 1 sierpnia 1953 roku.

I w ten sposób zacząłem pracować w Zarządzie Przemysłu Zielarskiego, w którym pracowałem przez całe 15 lat, aż do momentu odejścia na emeryturę. Przynależony zostałem do Wydziału Kontraktacji i powierzone mi zostały pod opiekę Ośrodki Doświadczalne, to znaczy majątki rolne produkujące ziarna, a przede wszystkim nasiona roślin zielarskich. Poza produkcją nasion i surowców roślin zielarskich, uprawiano tu rośliny specjalnie trudne, te których nie chcieli brać do uprawy inni kontraktujący je. Majątki te różnie prowadziły doświadczenia uprawowe. Praca ta pod każdym względem mi odpowiadała jakkolwiek w zakresie uprawy nie znałem właśnie uprawy ziarna. Zdawałem sobie sprawę, że jakoś się tego nauczę, i na pewno dam sobie radę. W każdym razie praca ta była dla mnie odpowiednia. Wydział Kontraktacji, do którego byłem przynależony, zastąpił bardzo sympatyczne towarzystwo. Było tam wówczas jakieś 10 czy 11 osób. Wydział był podzielony na działy, więc przede wszystkim dział kontraktacji, dział doświadczeń, dział nasienny, dział agrotechniczny, no i właśnie ten, który mnie najbardziej interesował, to jest dział Ośrodków Doświadczalnych.

W tym końcowym okresie zdarzyło się jeszcze kilka ważnych dla mnie spraw, które są dla mnie, lub mnie, głęboko przeżywanymi. Niewątpliwie pierwszą rzeczą, to była śmierć mojej żony. Żona umarła w 1971 roku, na białaczkę, po wieloletniej chorobie. No oczywiście śmierć mojej żony przeżyłem bardzo głęboko, poczułem wtedy ogromne osamotnienie. Przecież przeżyłem z nią 50 lat. Byłem do niej bardzo przywiązany. Czulem się po jej śmierci okropnie.

Ważną jeszcze przeżywaną w tym okresie była sprawa rehabili-

tacyjna. Odbyła się w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, a była to rozprawa dotycząca nas 4-miu, a raczej 7-miu, dlatego że vice-dyrektor, Jaszczyna, wyjechał do Izraela a nieobecnego nie można było sądzić. Nie występował on o rehabilitację, tak że było nas tylko siedmiu. Ta sprawa odbywała się zupełnie inaczej, niż ta poprzednia w Sądzie Rejonowym. Inny tu zupełnie był stosunek Sądu, i nawet prokuratora, który na zakończenie przewodu sądowego wycofał oskarżenie w stosunku do nas i zostaliśmy uniewinnieni. Sprawa ta odbyła się w 1957 roku i wyłącznie tylko zawdzięczając to Łoczowi, który dzięki swoim jakimś znajomościom i stosunkom spowodował, że Prokuratura Generalna wniosła do Sądu wojewódzkiego sprawę o rehabilitację. No wielkiego, praktycznego znaczenia to dla nas nie miało. To tylko było przyjemne, że człowiek miał satysfakcję, że nie był karany, że nie popełnił jakiegokolwiek przestępstwa, czy czegoś w tym rodzaju. No bo przecież sędem satodał nie miał żadnego sensu. Praktyczne znaczenie było tylko to, że w jakichś podaniach, czy ankietach, już nie pisałem, że byłem karany a mogłem napisać, że nie byłem karany. Pisząc, że byłem karany mogłem zawsze narazić się na jakąś odnowę, czy coś w tym rodzaju.

Z innych takich moich ważniejszych spraw było to, że po 57 roku, gdy już bardzo zmalało prześladowanie żołnierzy Armii Krajowej, mogłem nawiązać kontakt ze swoimi kolegami z "Chrobrego II" i od tego czasu mogłem się spotykać na różnych takich zebraniach koleżeńskich, towarzyskich, a co najważniejsze - można było składać wnioski o awanse, odznaczenia i tak dalej. Oczywiście takich wniosków złożylem wówczas bardzo dużo, ale nie wszystkie przeszły, ponieważ nie kwapiono się z tym, żeby specjalnie AI-owców odznaczać. Zawsze się to jednak, w ten czy inny sposób, na terenie tzw. ZPOWID podkreślało. Zawsze uprzywilejowani byli żołnierze Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich, czy coś w tym rodzaju, a AI zawsze było źle



wiecziano u tej naszej władzy ludowej. Poza tym wiele pracowałem społecznie na terenie przemysłu zielarskiego. Niekiedy byłem wybierany do Rady Zakładowej i zawsze prawie byłem jej przewodniczącym. Dłuższy czas praca ta dawała mi dużo satysfakcji. Kobiłem, co co tylko można, byłem popularny wśród kolegów z Zarządu Przemysłu Zielarskiego, aż do przyścia do nas dyrektora Cieślawskiego. Początkowo był dla mnie bardzo dobry, a następnie, ponieważ był to człowiek, który nie znosił żadnego sprzeciwu, nie znosił samodzielnosci u pracowników mu podległych, a ja zawsze chciałem przeprowadzać to, co, według mnie, było najlepsze i co powinienem być robić, więc na tym tle między nami były zatargi. Cieślawski dążył do zwolnienia mnie z pracy i pozbycia się mnie z Zarządu Przemysłu Zielarskiego. Pomyślałem sobie, tego, ale potem, gdy dostałem już papiery invalidy wojennego - istniejące przepisy dawały mi możliwość obrony i nie dopuszczaly do zwalniania z pracy. Trwało to tak długo, dopóki ustawa ta nie została zmieniona, a trzeba zaznaczyć, że u nas każda nowa ustawa, niezależnie jaka by była, to zawsze będzie na niekorzyść pracownika, na niekorzyść tego szarego obywatela. Tak było i w tym wypadku. Wyszła nowa ustawa w sprawie tak zwanego zaopatrzenia byłych żołnierzy oraz invalidów i więźniów różnych obozów koncentracyjnych, ale w rezultacie ta ustawa jakkolwiek nazywała się korzystna dla tych ludzi, których obejmowała, to w gruncie rzeczy była niekorzystna. Jak tylko ta ustawa wyszła to okazało się, że jest w niej taka klauzula zmieniająca ten artykuł, który chronił invalidów wojennych od zwolnienia z pracy. Tutaj ten artykuł został określony dla tych, którzy dochodzili do wieku emerytalnego. No więc oczywiście od razu Cieślawski z tego skorzystał, dał mi zwolnienie i musiałem wyjść na emeryturę. Było to w roku 1968, no i od tego czasu jestem na emeryturze, jestem rencistą jako invalida wojenny.

Zakończenie<sup>x)</sup>

Było to 1 sierpnia 1953 roku. Gdzieś koło 9-tej czy 10-tej nasza personalna, zresztą najmiłsza ze wszystkich "personalników" jaką znałam, pani Teterowa, wprowadziła do naszego pokoju biurowego jakiegoś kandydata na objęcie stanowiska kierownika Działu Ośrodków Doświadczalnych. Wszystkie zmiany były wówczas niesile przeze mnie przyjmowane. Były to czasy kiedy ze wszystkich stron można było się spodziewać zaskoczenia i przykrych konsekwencji. W tym 2 i półrocznym stosunkowo długim, jak mi się wydawało okresie pracy w Zarządzie Przemysłu Zielarskiego, bo tak się ta instytucja po przekształceniu jej z Centrali Zielarskiej nazywała, gdzie wiele mogłam już naorac smutnego doświadczenia, bałam się nowych ludzi. Nareszcie skład wydziału stał się miły i przyjemny, a każda zmiana mogła te przyjazne stosunki popsuć. Takie były czasy. Najważniejszy był nasz prześiły i dobry obecny szef pan Miński, który wprowadzał w atmosferę spokoju, życzliwości i prawdziwej dobrej pracy. Siedziała tu również jedna z najstarszych pracowników tej instytucji Zosia Karpalanka, oddana bez reszty problemom zielarskim. Był tak zwany "Groszek" czyli dryblas o gołępcim sercu, właściciel legitymacji partyjnej, o poglądach zupełnie nie świadczących o akceptacji swojej przynależności oraz pani Hanna czyli pani Rudnicka, osoba aczkolwiek nieco zgorzkniała w stosunku do życia ale życzliwa, dobry fachowiec, prowadząca wraz z przejeściowo jej przydzielonym panem Kuwałkiem doświadczalnictwo. Dział Ośrodków Doświadczalnych opuścili właśnie niedawno starsi panowie, dwaj weseli przyjaciele, którzy go poprzętnie prowadzili tzw. "Głośny Zalewski" czyli Stefan Zalewski i pan Michorowski. Przyjęto na ich miejsce mojego kolegę z SGGW rolnika Tadeusza Morysińskiego, który tu jednak nie miał zamiaru długo zagrzac miejsca ponieważ był to duch niespokojny, który stale gdzie indziej szukał szczęścia. Miał manierę "dobrego kumpla" i doświadczonego wyjadacza", który na wszystkim się znał.

Po ciężkim okresie, który w tej instytucji przeszłam, wydawało mi się, że znalazłam się w końcu w raju i bałam się, że ta sielanka

---

x) Zakończenie stanowi uzupełnienie dziejów ostatnich lat życia Andrzeja Kownackiego spisanych przez Jego drugą żonę Danutę Kownacką dla której został ten pamiętnik sporządzony.



może być zakłócona przez pierwszego lepszego "intruza", którego tu na miejsce Morysińskiego mogą wsadzić. Wiadomo bowiem było, że jedynym partyjnym w naszym Wydziale był tylko nieszkodliwy Groszek, więc prawdopodobieństwo wsadzenia tu "wtyczki" było duże. W tym momencie wszystkie oczy skierowały się ku drzwiom, w których <sup>ch</sup> stanął mężczyzna średniego wzrostu w brązowym garniturze. Na pierwszy rzut oka nie zrobił na nas złego wrażenia. Ale wszystkie nasze swobodne rozmowy jak zawsze przez nas prowadzone zostały zahamowane. Mówiło się o tym i owym tylko dla pozorów, że nic się nie zmieniło. Tylko Morysiński zapuszczał się w dłuższe wywody. Niewygodny wydał się nam fakt, że nasz nowy kandydat na te stanowisko był najwyraźniej palaczem. Ostentacyjnie stwierdziliśmy, że "u nas się nie pali". Nie wydawał się niczym zaskoczony a pogodnie i swobodnie odpowiadał na wszystkie nasze uwagi. Zgodził się nawet, że będzie "na palenie" wychodził z pokoju.

Niebawem biurowa poczta pantoflowa sparaliżowała nas wiarygodną wiadomością o tym, że nowy kandydat został przyjęty z KB. Tematy rozmów jeszcze się zawężyły i wypowiedzi stały jeszcze powściągliwsze. Ograniczono się do tematów zawodowych i czysto biurowych. Każdy z nas chciał pokazać jaki to on jest fachowiec i co "ten nowy" może o tym wiedzieć.

Gdzieś po południu, pod koniec urzędowania, Morysiński jednak nie wytrzymał i z typową dla siebie emfazą znawcy rozpoczął indagacje na temat Powstania Warszawskiego. Naturalnie jako znawca tematu, choć nie wiem czy w ogóle w nim brał udział. Był to przecież 1 sierpnia, a więc rocznica wybuchu Powstania. Byłam wściekła, że takie, drogie naszemu sercu tematy zaczyna przy "nowym" i "niepewnym człowieku". Ale rozmowa rozwijała się już w ożywioną dyskusję gdzie "protegowany z KB" wypowiadał się dla nas nietypowo, choć entuzjazm jego na temat Powstania nie był tak płózienny jak u Morysińskiego. "Nowy" mówił spokojnie z pogodnym spojrzeniem na twarzy. W pierwszym momencie robił wrażenie jakby nie chciał podejmować szerszej polemiki na te tematy. Później jednak, gdy zapalczywość przeciwnika się wzmogła i on zapalił się i zaczął z werwą namiętnie dyskutować. Wszyscy, a szczególnie ja, pomyśleliśmy w duchu co też ten z protekcji partii ma tu do powiedzenia i czy to czasem nie prowokacja... Twarz jego mówiła jednak co innego. Zbyt był przejęty tematem. <sup>lekko nasycie</sup> Morysiński z pewną wrodzoną sobie nonszalancją traktował rozmówcę ~~górąco~~ wyrażał ~~nie~~ polotem i elokwencją oraz kwiecistością wypowiedziami. W wypowiedziach "nowego" rysowała się jednak pewność i spokój człowieka, którego auto-

rytet nie może być podważony, człowieka w pełni w swych poglądach dojrzałego.

To mnie najbardziej w nim drażniło. Byłam zawsze entuzjastką i entuzjazm był u mnie zawsze motorem życia.

Passją mego życia w owym czasie było zieleniarstwo i jemu po zamianowaniu się nauczyciela w 1949 r. oddałam się bez reszty. Nasiennictwo zieleniarstwo, które stworzyłam było w zieleniarstwie moją wyłączną domeną, a że należałam już do najstarszych pracowników Wydziału, w którym do tej chwili stale następowały jakieś zmiany, czułam się już pewnie i na swoim miejscu gotowa byłam walczyć z całym zapamiętaniem o prywatne nasiennictwo w Zieleniarskich Ośrodkach Doświadczalnych. Odtąd osobą kierującą tymi Ośrodkami stał się właśnie ów nowy pracownik Wydziału Andrzej Kownacki. Jak się okazało był on ~~jak się potem przekonałam~~ dobrym fachowcem rolnikiem z ogromną praktyką w swojej dziedzinie "w kaszę sobie dauchać nie dał". Zaczęła się więc era naszych ciągłych walk na temat pozycji nasiennictwa w Ośrodkach. On widział bowiem całość zagadnień Ośrodkowych i na tym tle wycinek nasiennictwa. Ja walczyłam jak lwica o jego prywatne, traktując wszystkie inne poczynania w Ośrodkach peryferyjnie.

Kownacki wydał mi się zbyt pewnym i apodyktycznym intruzem. Tym bardziej, że swoim autorytetem i jakąś magnetyczną siłą <sup>woli</sup> Zawsze umiał przekonać i przeciągnąć na swoją stronę innych pracowników Wydziału. Szczególnie panią Kudnicką, która była moją konkurencyjną firmą na terenie Ośrodków, gdzie prowadziła również ważną jak nasiennictwo gałąź doświadczalnictwa. Dopiero znacznie później do przemysłu włączony został Instytut Przemysłu Zieleniarskiego (Ośrodek) - były w owym czasie jedynymi placówkami prowadzącymi badania i doświadczenia agrotechniczne tak potrzebne dla <sup>młodego</sup> przemysłu. Ich sprzymierzenie jako ludzi już w pełni dojrzałych pozbawionych młodzieńczych entuzjazmów denerwowało mnie i drażniło. Niezależnie od tego czułam wewnętrznie jakąś przychylność i życzliwość jaką mnie ten człowiek darzył. Było to połączone ze szczyptą pobłażliwości i czułości. To drażniło mnie najwięcej, i stawało się przyczyną zaciętych walk na naradach i konferencjach.

Niezależnie od tego niepokoił mnie fakt, że nikt go nie zna, a wszyscy są od razu pod jego wpływem i jakimś osobistym czarem. Pragnęłam odkryć jego tajemnicę, ale to się łatwo mimo prostoty



jego bycia, nie dawało. Wiedziałałam, że mimo ogromnej szczerości coś się na niego jego przeżycie kryje o czym nigdy nie mówi. Ono mówił wiele. Powiedział nam nawet któregoś dnia o tym że wyszedł jak mówił, z "kryminału". Dość szybko zorientowaliśmy się wówczas, że to wprowadzenie przez KC nie było groźne i że ten człowiek nie może być w żadnym wypadku "wtoczką". Aczkolwiek był zawsze osobą kierującą - wodzem. To jakoś wynikało z jego natury. Imponowała mi cicho jego odwaga i porządek. Wszystko co robił było systematyczne i logiczne, a wykonywane było z pewnością siebie i spokojem. A jego odwaga na przestrzeni lat przez które go znałam nie miała sobie równej. Muszę dziś przyznać że rzadko kto w moim życiu był dla mnie autorytetem. Nie zaliczam do nich w każdym razie nikogo z moich dyrektorów czy awierczników biurowych. W moim życiu nie wiem czy wymieniłaby ich kilka. Takim autorytetem jednak był Andrzej Kownacki. Imponowała mi w pierwszym rzędzie właśnie jego odwaga. Tak niezłomna, że przerastająca wszystkie moje dotychczasowe wzorce. Tu nie chodziło nawet o odwagę w walce zbrojnej. Tu chodziło o odwagę cywilną, głoszenia swojej strony swego zdania, poglądów i postawy, niezależnie od sytuacji i konsekwencji, które za to ponosił, a w pierwszym rzędzie utraty popularności, szczytów, praw, a nawet tego, że wszyscy odwrócą się od niego i pozostanie w zupełnym osamotnieniu zaszczyty i osaczony. Nigdy w takich wypadkach nie zmieniał swego zdania i walczył do ostatnich swych sił aby udowodnić swoją prawdę. Miałam możność się o tym później przekonać, w okresie strasznych przykrości i poniżeń, które miały go jeszcze w tej instytucji spotkać.

Oczyli się nowych problemów i zagadnień łatwo, jakby od niechcenia, czasem nadrabiając miłą i sposobem bycia chwilowe braki w wiedzy zielarskiej. Jednak po dwa czy trzech latach miał już te zagadnienia w małym palcu. Jego hobby były jednak zawsze problemy organizacyjne w rolnictwie a ponieważ nikt w owych czasach nie chciał tego się w przemyśle zajmować i nie umiał tego prowadzić, na odcinku Ośrodków Doświadczalnych wprowadził szybko jaki taki porządek, choć w owych czasach nie była to prosta sprawa. W każdym z takich majątków, na kierowniczych stanowiskach tkwiły indywidualności, które z tych czy owych względów były nie do podważenia i kierowały niepodzielnie swymi "włóściami" nie dając się przekonać o konieczności zmian organizacyjnych idących w kierunku podporządkowania macierzystej

instytucji, której w końcu miały służyć.  
Sam dyrektor Marciniowski z Zakrzowa, przedwojenny endek, powojenny stalinowiec stanowiący postrach nie tylko dla majątku i okolicy ale również wszystkich inspektorów i władz, operujących zresztą jako prawnik prorożadą demagogią stanowił już sam w sobie nie tyle problem. Budował on swoje stosunki z władzami na zastraszeniu, groząc wprowadzeniem UB, awoimi koligacjami partyjnymi i innymi powiązaniem organizacyjnymi. Wszystkie niedogodne mu nakazy organizacyjne omijał bezkarnie kpiąc z nich w żywe oczy. Uczywał naturalnie swoje poglądy i pochodzenie z okresu międzywojennego stwarzając pozory wiernopoddanego oddania władzy stalinowskiej. Kiedyś gdy Kownacki przyjechał do niego na kontrolę z miejsca zastrzegł, że za chwilę przyjedzie tu również miejscowe UB, które interesuje się jego kontrolą. Innym razem ni stąd ni zowąd spytał się czy nie jest bratem Piotra Kownackiego, licząc się prawdopodobnie z tym, że gdy Andrzej się przyzna to będzie go miał w rękę jako brata znanego w Wilnie endeka. Andrzej na wszystkie te zaczepki odpowiadał zawsze spokojnie twierdząc, że te sprawy nie należą do kontroli gospodarstwa, którą ma przeprowadzić. Co do brata wiedząc ku czemu skierowana jest inwigilacja - nie przyznał się. W kilka dni potem jednak od znajomych dowiedział się, że właśnie ów Marciniowski występował przed wojną również jako prawnik i był również także zagorzałym endekiem w tymże Wilnie. Człowiek ten w tym okresie tyranizował miejscową ludność i doprowadził wielu autochtonów do decyzji przeniesienia się na stałe do Niemiec.

Innym zapewne typem niepodzielnego władcy ziemskiego majątku w miejscie był dyr. Maciołowski. Człowiek niezwykle pewny siebie, ale dobry fachowiec i silny autorytet nie znoszący innego zdania i sprzeciwu, I tu nadzorowanie także nastroczało wiele trudności, nie mówiąc o późniejszych młodych kombinatorach wykorzystujących różne koniunktury i trudności stosunków Kownackiego z własną dyrekcją.

W okresie kierowania Wydziałem przez pana Zbigniewa Winińskiego kierowaną dyrekcją przez dyr. Jana Kasperowicza ludzi uczciwych i fachowych nasze życie biurowe w przedwojennym ziemskim układało się jednak wyjątkowo jak na te czasy dobrze. Skoncentrowanie wszystkich wysiłków całego zespołu na dobrej i właściwie prowadzonej pracy i odpowiedzialność za powierzony



każdemu odcinek dawało zadowolenie i satysfakcję. Wrodzone społeczne instynkty Kownackiego spowodowały że szybko stał się nie tylko duszą Wydziału, ale i Zjednoczenia. Poza zagadnieniami fachowymi, którym oddawał się z pasją, wyłoniła się nowa dziedzina która Go zaczęła również absorbować. Była to praca społeczna w halzie Zakładowej. Dotychczas bierna jednostka organizacyjna pod wpływem Jego udziału ożyła i zaczęła się koncentrować wokół Jego osoby. Słowo *halza* zaczęło się utożsamiać z Jego nazwiskiem. Na ogół odsunął się od naszczytanych funkcji wchodząc natomiast głęboko w sprawy tej organizacji. Ze szczególnym upodobaniem zajmował się sprawami bytowymi pracowników, a szczególnie mieszkaniowymi. Tę właśnie w tym okresie zostało przez niego zdobytych, wygospodarowanych a nawet odbudowanych ze starej willi na ul. Śmiechowej, gdzie sam po godzinach pracy chętnie doglądał budowy, dbając o najdrobniejsze spełnienie życzeń przyszłych mieszkańców. Niejedną ze zdziwień nie patrząc jak swoje zarowie i siły traci dla współpracowników. Był to okres wielkiej Jego popularności w halzie. Staczał batalie w ministerstwach, w związku z ostatecznym potrzebującym pomocy, a szczególnie walczył o osoby niezaradne, ~~potrzebujące~~ ~~pozwoli~~ i znajdujące się w trudnych warunkach. Toteż przeciętny "ludek biarowy" nie mógł pojąć, że może to robić bezinteresownie. Między innymi sam opowiadał mi kiedyś ze śmiechem, jak to załatwiał mieszkanie takiemu panu Czeszejce, który miał ciężkie warunki mieszkaniowe i kilkoro dzieci a kiedy udało mu się dopiąć swego, po zakończeniu sprawy zaprosił szczęśliwego posiadacza nowego mieszkania na wódkę, naturalnie za swoje pieniądze. Po pewnym jednak czasie w Zjednoczeniu zaczęła krążyć pogłoska, że Kownacki dlatego załatwił mieszkanie Czeszejce, że ten go zapraszał na wódkę. Podobnych przykładów było więcej.

Corocznie Rada organizowała choinki dla dzieci swoich pracowników. Chcąc ograniczyć koszty organizacyjne tej imprezy a jednocześnie ją urozmaicić, <sup>Rada</sup> zgodziła się na moją propozycję wprowadzenia "do akcji" harcerzek z prowadzonej przez mnie wówczas <sup>w</sup> ~~przez~~ harcerskiej. Oznaczałam, że będzie to słuszne, tak z punktu widzenia harcerskiego, jak również kadry. Harcerki zorganizować bowiem miały gry i zawody, a dobyte przy okazji sprawnie opiekanki dzieci "pod moim kierunkiem i nadzorem", a dzieci naszych pracowników zetkną się w ten sposób z harcerstwem. Rada tymczasem

będzie miała "z głowy" problem zapewnienia imprez i właściwej organizacji zabawy. Do wykonania całego planu potrzebny był jednak jak zawsze autentyczny "Św. Mikołaj" lecz żadna z moich dziewcząt się do tego nie nadawała. Zwróciliśmy się więc o pomoc do Andrzeja Kopackiego, prosząc aby nim został. Stwierdziłam jednak, że propozycja ta sprawiała mi pełną przykrość natury psychicznej. Nie chciałam odmawiać, a jednocześnie musiał się w tym wyraźnie przełamać. Już poprzednio stwierdziłam, że unikał wszelkich tradycji świątecznych i nigdy o nich nie wspominał. Początkowo nie mogłam tego zrozumieć. Zastanawiała mnie również jego ogromna miłość do każdego spotkanego dziecka a jednocześnie brak jakiegokolwiek wzmiarki o własnych dzieciach.

W tym wypadku przeszedł się i zgodził się na rolę Mikołaja. Bardzo śmieszne zajście związane z tą rolą Mikołaja. Jedną z najmłodszych dziewczynek śmiała i rezolutna w momencie odbierania prezentu od Św. Mikołaja, który wdał się z nią w rozmowę czy była grzeczna i nie nie przeszkadzała, intensywnie wpatrywała się w jego ręce, a potem zapytała: "Czy Św. Mikołaj ma żonę?" Okazało się, że sprytna dziewczuska zauważyła obrączkę na palcu Św. Mikołaja. Biedny Św. Mikołaj znalazł się w opresji ale jakoś z tego wybrnął. Rzeczywiście nigdy nie pamiętałam aby choć na chwilę dotykał z ręki ten symbol powiązań rodzinnych, który był mi wyraźnie bardzo drogi. Po zakończonej imprezie Kasia zdecydowała, że pozostałe kilka paczek ze słodyczami dla dzieci przeznaczy w nagrodę za bezinteresowną pracę harcerkowi. Mimo iż byłam przeciwnego zdania ostatecznie się na to zgodziłam bo moje dziewczęta były na pewno biedniejsze od tych, które otrzymywały te paczki i trochę słodyczy, młodszą w wieku lat 15 czy 16 też jest potrzebne. Nikt z nas jednak nie przypuszczał że pociągnie to za sobą przykre skutki w postaci narzekania rodziców, którzy uznali za krzywdzące dla ich pociech dzielenie przeznaczonych przez Kasię wyłącznie dla nich słodyczy. W wyniku tych plotek już nigdy więcej nie zgodziłam się na udział swoich harcererek w biurowych choinkach. Ten fakt świadczył jednak o braku wyrobienia społecznego i małostkowości naszego środowiska biurowego, co później przykryła cieniem miało się połofyc na naszych stosunkach biurowych.

Tymczasem jednak atmosfera w biurze a szczególnie nasza wewnętrzna wydziałowa była bardzo przyjemna. Szetelna i odcana praca jednocześnie nas i spajała wzajem przyjaźni. Nasz pokój biurowy był



chyba wówczas najcięższym pokojem w instytucji, nie tylko ze względu na jego schludne urządzenie (kwiaty, obrazki czy czystość) co sami utrzymywaliśmy ale również na atmosferę. Duszą Wydziału był jej cichy szef pan Miński - dowcipny i utalentowany wszechstronnie, piszący wiersze i robiący na poczekaniu ciekawe szkice i karykatury, a umiejący cicho i zdalnie kierować zespołem, w którym objawiły się już wyraźne indywidualności. Dla każdego było miejsce na odrębny rozwój jego inicjatyw. Gdy kolidowały między sobą, potrafił rozładować napięcia i skierować je na właściwe tory. Wiadomo było jednak, że jeden cel przyświeca nam wszystkim - dobro zielarstwa. Był to, jak pamiętam okres najbujniejszego jego rozwoju. Rozwoju, nie jego propagandy, co jego podstaw, budowania jego zrębów organizacyjnych. I mimo iż czas, nie były najbardziej mu przychylnie udawało się to przeprowadzić. wiadomo, że w czasie 8-godzinnego dnia pracy musi się znaleźć miejsce na odprężenie i wypoczynek. Najczęściej bywało to pod koniec urzędowania. Wówczas to właśnie następowały te miłe momenty do dziś jeszcze przez nas wspomniane momenty opowieści, gdy Andrzej Kowalski opowiadał nam opowiadanie jakiegokolwiek ostatnio widzianego filmu, przeczytanej książki lub najczęściej opowieści ze swego tak ciekawego życia. Wszyscy słuchaliśmy chętnie tych barwnych opowiadań dotyczących się najczęściej jego przygód wojennych lub ciekawostek życiowych. Zauważyłam jednak, że nigdy nie dotyczyły one Jego najbliższej rodziny i że retuszowały skrętnie wszystkie epizody, które by o nich mówiły.

Ziedyć nawet, gdy życie towarzyskie w Wydziale się rozwinęło w czasie zorganizowanych przez Radę spotkań klubowych grano w brydża. Robiliśmy także spotkania domowe na które i Andrzej zaprosił nas do siebie. Dom jego, każdego urzekał pięknem wnętrza. Przyczyniały się do tego śliczne stare antyczne meble oraz staranność gospodyni, osoby posiadającej ogromny gust, która jak potem się dowiedziałam miała wielkie poczucie piękna i studiowała w swoim czasie w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wszystko tu pasowało do siebie i miało swoje właściwe miejsce. Żona Andrzeja w tym czasie nie pracowała zawodowo i z całym zamiłowaniem i pieczołowitością urządzała wnętrze tego domu, co głównie wypełniało jej życie. Robili to zresztą razem. On posiadał duże zdolności manualne i to tak wszechstronne, że każdego zaskakiwały - od stolarskich i metaloplastyki po umiejętność naprawy wszyst-

kich domowych instalacji. <sup>X</sup> Był, gdy było trzeba, także szewcem, <sup>nie</sup> po krawcom i tapicernem. Wszystko co nie było kupione było w tym domu zrobione ich rękami i wspólnym wysiłkiem. Najczęściej ona planowała pod względem artystycznym a on wykonywał <sup>te</sup> starannie i mocno. Żona Andrzeja zrobiła na mnie wrażenie osoby surowej i zamkniętej w sobie, a której coś się już w życiu zamknęło na zawsze. W ich domu po raz pierwszy ujrzałam coś co mi potem dało wiele do myślenia - na wysokiej antycznej szafce ujrzałam zdjęcie kogoś o kim nigdy w swych opowieściach nie wspominał, a kto musiał mu być osobą najdroższą. Fotografia przedstawiała ładnego młodego chłopca. Ani wtedy, ani nigdy w rozmowach toczonych przez Andrzeja i Zofię Kownackich nie padło jego imię. Tak jakby go nigdy nie było. Nikt też w ich obecności nie pytał się o niego, ponieważ czuł, że byłoby to niestosowne. Dopiero w wiele lat później usłyszałam o nim z ust samego ojca i to niezbyt wiele. Było to w jakąś rocznicę sierpnia, kiedy zakomunikowałam z zapalem, że jadę na Cmentarz Wojskowy, licząc, że Andrzej również tam się tego dnia wybierze. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy powiedział mi, że idzie tego dnia przede wszystkim na cmentarz Powązkowski, a potem dopiero pewnie pójdzie na wojskowy. Spytałam czy mogę pójść razem z nim. Uśmiechnął się jakoś niewyraźnie i powiedział, że mogę. Wtedy to idąc powiedział mi kilka słów o swojej tragedii. Było to suche kilka słów relacji. I wówczas dopiero zrozumiałam wszystko. Na dnie duszy tego pogodnego a nawet zawsze wesołego człowieka leżały przeżycia, których nie chciał dzielić z nikim, bo były zbyt bolesne. Z małych obserwacji i wycinków opowieści, potem złożyłam sobie całość. Z tym przeżyciem do końca życia nie dzielił się właściwie chętnie z nikim. Jedynie zawarł je w swoich wspomnieniach, choć relacje te są również pozbawione odczuć osobistych. Może właśnie dlatego, że one były tak bardzo głęboko przeżyte. To było dziwne, że choć znałam różnicę naszego wieku a wychowana byłam w poczuciu szacunku i posłuszeństwa w stosunku do ludzi starszych z Andrzejem nigdy od samego początku, mimo iż zawsze do niego mówiłam pan, czułam się rozumiana i bliska. Mam wrażenie, że i inni to odczuwali ponieważ to on sam stwarzał wokół siebie tę atmosferę prostoty i bezpośredniości. Nie wykluczało to, a wręcz raczej wyzawało starcia na temat różnicy poglądów. Nic jednak tak mnie jednak nie denerwowało jak fakt, że po zakończonej batalii uśmiechał



choć się choć właściwie wydawało się, że argumentami został pokonany  
w trakcie dyskusji walczył zapamiętałe. Wydawało mi się wów-  
czas, że kpi ze mnie i moich poglądów i z zadrą w sercu wołałam,  
że proszę aby się nie śmiał ze mnie. Wówczas niezmiennie uśmie-  
chając się odpowiadał "Nie śmieję się z, ale do". Nasze poglądy  
poczynając od spraw fachowych bardzo się różniły i nikt nie chciał  
ze swojej pozycji ustąpić. Zauważałam, że na ogół z powodu niezbyt-  
nie przedłożonych racji lub dla "świętego spokoju" wszyscy na  
ogół mu wówczas ustępowali. Miał dar zwyciężania. Ja jednak temu  
nie podlegałam. Toteż nigdy nie było między nami dłuższego stanu  
spoczynku. Może dlatego, że bardzo zależało mi, żeby właśnie on  
uznał moje zdanie i przyznał rację. Stanowił bowiem dla wszyst-  
kich silny autorytet. Zupełnie jednak nie interesowała mnie Jego  
powierzchność. W ogóle nigdy nie dzieliłam ludzi na ładnych  
czy brzydkich, a raczej na miłych i niemiłych. Dowodem tego jest  
fakt, że kiedyś na imieninach ktoś z dalszej rodziny zauważył  
że w mojej instytucji, a nawet w tym samym wydziale pracuje  
jego kolega. Ponieważ nie wiedziałam kto to może być ów znajomy,  
policzyłam, że jest moją krowką. A tamten ze zdziwieniem  
stwierdził, że przecież trudno było nie zgadnąć bo jest to bar-  
dzo przystojny mężczyzna. Wówczas ze zdziwieniem spytałam "Czy  
on jest taki przystojny i ładny?" co rozbawiło całe towarzystwo.  
Następnego dnia po raz pierwszy przyjrzałam mu się w inny spo-  
sób analizując Jego rysy i postawę. Zresztą wiem, że nigdy  
w moich późniejszych uczuciach do Niego nie odgrywało to większej  
roli. Miał natomiast jakiś szczególny czar i to chyba w sposo-  
bie bycia i charakterze, dzięki któremu ludzi pociągał do siebie.  
Fluid ten jednak, jak stwierdziłam działał jedynie na ludzi  
pozbawionych dumy i bezczelności. Ci <sup>ostatni</sup> go nie znosili. Przede  
wszystkim nie znosili Jego odwagi, która była dominującą ce-  
chą Jego charakteru. Żadna przemoc i siła nie mogła go znisz-  
czyć. Rozumował bowiem bardzo prosto i niekiedy wprost po dzie-  
cinemu. I choć był urodzony na krawędzi ówca wieków zacho-  
waniem i charakterem tkwił w poprzedniej epoce. Jego sposób  
bycia oparty był na starych zasadach rycerskości. Chyba nawet  
na tych zawartych w ukochanej przez Niego "Trylogii". Tyle miał  
cech z Andrzeja Kmicica. Walczył w sposób bezwzględny i bez-  
kompromisowy z pychą, bufonadą i bezczelnością, a pomagał  
chętnie i bezinteresownie wszystkim w jakiś sposób pokrzywdo-

nya przez życie.

Był to chyba jedyny człowiek w życiu, który mi tak imponował swoją odwagą. Nie bał się naprawdę niczego, a nawet tego co najczęściej ludzi jednak ostatecznie zakamuflowaczenia, odsobnienia i nieprzychylniej opinii ludzkiej. Tkwiło w nim głęboko jakieś poczucie prawdy. Czasem zawodził się na ludziach nie przyznawał się jednak do tego ponieważ ufał im długo i naiwnie nawet gdy tkwił już w dawno przygotowanej na siebie zasadzce. Okazało się to najwyraźniej w okresie gdy zabrakło dobrego, mądrego fachowca jakim był dyrektor Jan Kasperowicz, po jego chorobie i przejściowych dyrektorach Kudzi i Kozaku, *gdą* przyszedł dyrektor Tadeusz Cieslawski, człowiek o dużych ambicjach, niskich moralnościach i ogromnej pewności siebie. Opierał się na tajemniczych do dziś przez nas nie znanych powiązaniach politycznych. Człowiek ten wchodząc do naszego przemysłu sprowadził wraz z sobą sztab swoich zaszczytników, ludzi na których się opierał i których faworyzował, stopniowo rozgrywając zamierzoną przez siebie walkę z dotychczasowymi autorytetami w przemyśle. Robił to podstępnie i chytrze, pobłażając i awansując pochlebców a rugując ludzi posiadających własne zdanie i własną postawę życiową. Dziwnym zbiegiem okoliczności niezczył w pierwszym rządzie ludzi uczciwych i oddanych bezinteresownie sprawie, szczególnie byłych Kowców. z walce tej stopniowo stawał się coraz bardziej bezwzględny. Jego sprzymierzeńcy byli to ludzie interesu, pocałuncy bez charakteru i własnej inicjatywy. Bronili ich często nawet wówczas, gdy popełniali malwersacje. Będąc bezpartyjnym dostępował praw i udogodnień, jakien zwykły przyzwoity człowiek wówczas nie posiadał, wyciągając przy każdej okazji korzyści osobiste. Jego częste indywidualne wyjazdy służbowe prawie wyłącznie do krajów kapitalistycznych przy jego rzekomej bezpartyjności budziły w nas zdziwienie i podejrzenia o przynależność do wyższego stopnia wężmichnia. Po ugruntowaniu jego władzy w instytucji rozpoczął się stopniowy rozłam wśród pracowników. Było to charakterystyczne dla tego okresu. Większość pracowników podporządkowała się całkowicie i bez zastrzeżeń nowej władzy poddając się jej niszczącemu działaniu. Kto się przypadkowo naraził usuwał się w cień lub odchodził z pracy.





narzekający, prawdopodobnie na skutek przebytych poprzednio przejęć życiowych, jak również obecnego wiecznego podniecenia i zdenerwowania, zaczął odczuwać silne bóle wewnętrzne, których długo nie można było zidentyfikować. Okazało się w końcu, że była to daleko już posunięta kamica nerkowa i pacjent musiał się poddać zabiegowi operacyjnemu. Niezależnie od tego, co się dopiero po latach okazało, w tym okresie którejś nocy, nastąpił pierwszy bardzo głęboki zawał. Był to zawał bardzo rozległy o którym nikt nie wiedział. Gdy tylko <sup>Kownacki</sup> wrócił po operacji ze szpitala, a skończył wówczas 55 lat, dyrektor zwołał zebranie Rady, na którym wobec <sup>konca</sup> ~~nie~~ kadencji, <sup>postanowiono</sup> ~~wybrał~~ <sup>Łołą</sup> Radę. A zasadzie prawie wszyscy życzyli sobie następnej kandydatury Kownackiego. To też i tym razem tę kandydaturę przegłosowano. Dyrektor jednak podstępnie sprowadził jakiegoś swego znajomka z Centralnej Rady Związków Zawodowych, który kategorycznie sprzeciwił się tej kandydaturze, motywując, że jest to już trzeci raz ta sama osoba i to człowieka który powinien już przejść wg opinii Dyrekcji na emeryturę. Obecność w Radzie broniła go od zwolnienia a storpedowanie tej kandydatury dawało możliwość zwolnienia. W międzyczasie wiele osób zostało przez Dyrekcję urobionych i zmuszonych <sup>ch</sup> do wyboru kandydata podstawicznego przez dyrekcję a powołnego jej nakazem.

Niezwykle przykrym był fakt bezmyślnej uległości całej załogi, która sobie w ten sposób szykowała bardzo <sup>wielką</sup> ~~przejłą~~ przyszłość oraz wystąpienia niektórych dotychczasowych współpracowników Andrzeja, godzących się na nowy stan rzeczy. Szczególnie utkwiło mi w pamięci jedno dowodzące o całkowitej zdradzie słusznych poprzednich założeń, lekceważące Kownackiego jako człowieka. Niestety wypowiedź ta pochodziła z ust nie tylko członka Rady ale i dawnego podkomendnego Andrzeja jeszcze z Chrobrego II obecnie sekretarza komórki partyjnej w naszej instytucji.

Od tej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała prawie załoga bała się nie tylko popierania Kownackiego, ale także wszelkich z nim kontaktów, które były <sup>z</sup> ~~z~~ przez <sup>jedynie</sup> ~~tylko~~ dyrekcję widziane. Patrzyłam na tego człowieka, którego to <sup>tylko</sup> ~~tylko~~ złościło, ale nie zatamało. Nie zatamał go również fakt otrzymania prawie natychmiast wypowiedzenia. Jednocześnie w tym czasie żona Andrzeja zachorowała na białaczkę. Postanowił się bronić.



Z jednej strony szukał wszystkich środków ratunku dla żony, z drugiej robił starania pozostania w pracy. Zbieg okoliczności sprawił, że dowiedział się wówczas o nieznanym mu dotychczas prawie inwalidy wojennego, którego przeniósł przed zwolnieniem i to nawet w okresie emerytalnym. Osajście w tym wypadku warunkowane było jedynie zgodą osoby zainteresowanej. W ten sposób pokrzyżowane zostały plany dyrekcji. Życie w naszej instytucji dla Kownackiego było jednak nie do pozazdroszczenia. wieczne szykany i przykrości nie miały końca. Przeprowadzane były często nawet rękami osób z naszego wydziału, tych po których się tego nie mógł wcale spodziewać.

Patrzyłam jak wyczerpywała Go ta stała nierówna walka, na którą musiał być przygotowany w każdej chwili. Napięty wewnętrznie do ostatnich granic, zewnętrznie był stale taki sam, pogodny i spokojny. Czasem tylko wybuchał. Na każdym kroku starano się mu pokazać, że jest zbędny i niepotrzebny, a on głuchy na wszystko, czy na pozór dziecięco naiwny nadal wykonywał wszystkie obowiązki, służył kolegom radą jak kiedyś, będąc lojalnym do końca w stosunku do ludzi. Improwował mi bardzo właśnie wówczas gdy nic go nie dziwiło i gdy twardo stał stale na swojej pozycji. Zawsze byłam po jego stronie, choć nie miałam żadnego wpływu na bieg wypadków. Chciałam aby czuł, że go nigdy nie opuszczę i nie odwrócę się od niego jak inni, wierząc że to Mu się również na coś przyda. Mój stan oczu nie różnił się również od dawnego pomysłnej przyszłości w pracy. Zaostrzyła to obecnie moja postawa życzliwa <sup>dla Kownackiego</sup> ~~inni~~ <sup>przychylna</sup> ~~niezłiw~~ <sup>na ludzi</sup> w milczeniu wyczekiwali ostającego końca tej gry nerwów, którą najbliższe otoczenie żyło. Te lata, to lata ogromnej ułki, szyskan i podstępnej walki bo "dyrekcja gotowa była niszczyć każdego, kto by stawał opór. Tylko wrodzona pogoda ducha i lekceważenie trudności pozwoliła mu na przetrwanie tego długiego okresu, choroby. Postawa ta była zawsze czynna. Nie umiał żyć inaczej. Pomagał każdemu, kto się do niego zwrócił o pomoc. Ale najwięcej chyba pomagał mnie. Najpierw ratował mnie jak umiał w chorobie oczu, budując we mnie nadzieję wyleczenia, potem gdy już traciłam wzrok pomagał w pracy zawodowej i w życiu domowym. Przy nim czuło się dziwne bezpieczeństwo i spokój.

W roku 1968 uchylono broniące go prawo inwalidy wojennego.

Z wybitcia godzinę - otrzymał wypowiedzenie pracy z instytucji, w której przepracował prawie 25 lat. Zależało na na tych kilku miesiącach, aby miał w niej pełne 25 lat lecz na to się nie zgodzono. Dyrektor triumfował. Ale los ludzki jest niezbadany. A kilka lat potem na skutek licznych interwencji musiał być i pan C. przeniesiony na emeryturę, do której miał jeszcze czas i nie zadługo zmarł.

Andrzej tymczasem po zwolnieniu z pracy przeżywał ciężki okres końcowego etapu choroby żony przebywającej w kilku nawrotach w szpitalu chemotologicznym na Caocińskiej. Do końca, jak w każdej sprawie, walczył o Jej zdrowie i wierzył, że uda się je uratować. 50-ciolecie wspólnego życia obchodzili niestety w szpitalu przy Jej łóżku. Zmarła 23 lipca 1971 roku jako najwierniejszy towarzysz i przyjaciel Jego trudnego życia. Pochował Ją przy Tym, którego najgoręcej wspólnie kochali - przy Piotrusiu. I tak zamknął się przedostatni etap życia Andrzeja. Wszystko co przeszedł nie wpłynęło naturalnie korzystnie na nadwątlony już stan Jego zdrowia. W kilka miesięcy potem zauważony został do pójścia na drugą operację serca, przy czym istniała tu już ogromna obawa śmierci z racji złego stanu serca. Pozostał wówczas zupełnie sam. Resztki rodziny rozsypane zostały po świecie - brat Stanisław w Kalifornii, ostatnia żyjąca jeszcze siostra w Moskwie. Jedynie garstka przyjaciół pozostawała w Warszawie oraz kuzynka Maryla w Poznaniu. On, ostatnią postanowił prosić o przyjazd do Warszawy na okres pobytu w szpitalu. Wówczas to chyba ja stałam się kimś mu naprawdę potrzebnym. Był wówczas przygotowany na śmierć choć o tym wiele nie mówił. Świadczył o tym fakt sporządzenia testamentu, w którym jak miałam się później od Niego dowiedzieć zapisał mi wszystko co posiadał. Dzięki zbiegowi okoliczności, że udało mu się dostać w ręce dr. Wesółskiego, mimo krytycznych momentów choroby i z tego wyszedł cało. Były to jedne z najcięższych moich dni. Czulałam, że mogę stracić najwierniejszego przyjaciela i byłam bezradna. I tym razem jednak nie dał się śmierci. Wiedziałam już teraz jasno, że dalsze nasze życie zostało przesądzone. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Dnia 15 sierpnia 1972 r. wzięliśmy cichy ślub w kościele św. Marcina. Był to kościół bliski mojemu sercu. Decyzja ta stała się przyczyną



dramatu jaki zarysował się między nią i moją matką. Sprawa ta również rzutowała naturalnie na Andrzeja.

W domowym życiu Andrzej potrafił być stolarzem, kucharką, szewcem, krawcem, elektrykiem, a na działce ogrodnikiem, rolnikiem, inwestorem czy dekarzem, to jest wszystkim czym trzeba było być w danej chwili aby stać się samowystarczalnym. Wszystko co zrobił było wykonane trwale i mocno. Cieszył się i był po dziecięcemu dumny z wykonanej dobrze pracy.

Z biegiem lat odzyskał pogodę a nawet radość życia. Był zawsze skłonny do dowcipkowania i pełen humoru.

Sprovokowany przeze mnie dał się namówić na udział w zagranicznych wycieczkach i nawet w nich zasnukował. Ciekaw był tego szerokiego świata, którego jeszcze nie widział, lub tego który przemierzał w mniej ciekawych okolicznościach. Z pobłażaniem, ale i ogromną wyrozumiałością patrzył na moje zapały i namiętności podróżnicze. Na kilka dni przed śmiercią ogarnęło go rzadkie u niego przygnębienie i zaduma nad przeszłym życiem. Wówczas to zadał sobie pytanie "Czy było warto?". Chodziło o to, czy było warto postawić wszystko na kartę walki o wolność, o wolność kraju w którym żył. Walki o o wolność ciała i Ducha. O własne przekonania. Był to początek 1980 roku. Patrzył na to co się wokół działo, śledził z napięciem upadek gospodarczy i moralny Kraju i ... zachwiał się. Był dla mnie tytanem siły duchowej więc odczuwał to wówczas bardzo boleśnie. Było to tuż przed nowym zrywem i buntem Narodu co miał na imię "Solidarność".

Zmarł w dniu 12 lutego 1980 roku, nagle, na zawał serca w autobusie jadąc samotnie z Dworca Centralnego do domu. Pochowany został w dn. 18 lutego 1980 roku przy żonie i synu, w rodzinnym grobie na Powązkach w kwaterze 251.

© ARCHIWUM WSPOMIENIE

843  
- 401  
442